



Vladimir Volkoff

SPISEK

Zamach 11 września 2001 roku
miał niezliczone konsekwencje, a jedna z nich
zupełnie umknęła uwadze opinii publicznej.

V.V.

Zamach w dniu 11 września 2001 roku miał niezliczone konsekwencje, a jedna z nich zupełnie umknęła uwadze opinii publicznej. Pogrzeb generała, którego helikopter zestrzelano nad Czeczenią, odbywał się w Soborze Chrystusa Zbawiciela w Moskwie. Otwartą trumnę złożono na katafalku pośrodku nawy. Wtedy trup eksplodował. Wybuch zabił arcybiskupa, dwóch księży, przedstawiciela prezydenta i żonę generała, oraz ranił jego syna i wielu innych uczestników mszy żałobnej. W kilka godzin później sześć innych trupów, także żołnierzy zabitych w Czeczenii, eksplodowało w różnych miejscach na terytorium Rosji...

„Dzień wybuchających trupów” staje się początkiem łańcucha zdarzeń, które z wolna odsłaniają kolejne fragmenty niezwykłego SPISKU. Czy Stany Zjednoczone utracą przywództwo polityczne świata na rzecz odnowionego sojuszu rosyjsko-francuskiego? Czy gra toczy się tylko o ropę naftową? I jaką rolę w tej grze przewidziano dla świata arabskiego, a jaką muzułmanie sami zamierzają w niej odegrać? Vladimir Volkoff, autor takich bestsellerów, jak *Montaż*, *Gość papieża* czy *Werbunek*, z właściwym sobie mistrzostwem opisuje tajną wojnę, której stawką jest „nowy ład światowy” i „nowy człowiek”. Ostatnie wydarzenia w Gruzji nadają politycznemu wizjonerstwu Volkoffa niezwykłą aktualność.

★ ★ ★

Vladimir Volkoff to pisarz nie tylko doskonały, ale i czytelniczko niezwykle atrakcyjny. Jego książki to przypowieści o współczesnych maskach zła, a raczej demona, który manipuluje naszą, nie wierzącą w niego rzeczywistością.

Bronisław Wildstein, *Wprost*

Powieści Volkoffa stanowią próbę zajrzenia w głąb rusko-bolszewicko-monarchistycznej duszy, która sama w sobie jest największą zagadką.

Marcin Wołski, *Gazeta Polska*

Tak pisać potrafią tylko biali Rosjanie. Ale niewielu z nich może się równać z Volkoffem w kwestii politycznej przenikliwości i rozumienia rzeczywistości.

Tomasz P. Terlikowski, *Rzeczpospolita*

ISBN 978-83-89481-37-6
ISBN 978-83-61374-57-2



Wśród ważnych pisarzy współczesnych poczesne miejsce zajmuje dla mnie Vladimir Volkoff.

Jan Pospieszalski, *„Warto rozmawiać”*

Vladimir Volkoff

Spisek

Przekład Beata Biały

WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału: Le Complot

Copyright © Editions du Rocher, 2003

Copyright © for the Polish translation by Klub Książki Katolickiej, 2008

Published by arrangement with Literary Agency „Agence de l'Est”

Projekt okładki: Piotr Łysakowski

Redakcja techniczna: Agnieszka Bryś

ISBN 978-83-88481-37-6

Klub Książki Katolickiej Sp. z o.o.

ul. Dąbrówki

762-006 Dębogóra

e-mail: klub@kkk.com.pl

Przesądna wiara w historyczną siłę spisków (zarówno indywidualna, jak zbiorowa) pozostawia całkowicie na boku zasadniczą przyczynę porażek odnoszonych tak przez pojedyncze osoby, jak przez całe państwa — ludzkie słabości.

Aleksander Sołżenicyn

Rosja jest podświadomością Europy i jej barometrem.

Dieter Groh

Morze Kaspijskie to strefa strategicznych interesów USA.

Bill Clinton

Deo vindice!

(hasło Skonfederowanych Stanów Ameryki)

ROZDZIAŁ I

POMYSŁ INTRYGI

Wrzesień-grudzień 2001

1

Zamach w dniu 11 września 2001 roku, który doprowadził do zburzenia bliźniaczych wież World Trade Center w Nowym Jorku, miał niezliczone konsekwencje, a jedna z nich zupełnie umknęła uwadze opinii publicznej.

Prezydent Federacji Rosyjskiej był w tych dniach tak zajęty, że wbrew pierwotnym planom nie udał się na pogrzeb generała Bezborodki, którego helikopter został zestrzelony nad Czeczenią. To generał wpadł na pomysł, żeby zastosować w Czeczenii metodę walki z powodzeniem wykorzystywaną wcześniej przez armię francuską w Algierii — jednoczesnej spokojnej pacyfikacji oraz agresywnego ataku. Postępując w ten sposób, Bezborodko w krótkim czasie osiągnął wyniki, które uczyniły z niego bohatera narodowego.

Jego pogrzeb, na który prezydent wysłał jednego ze swych najbliższych współpracowników, odbywał się w Soborze Chrystusa Zbawiciela w Moskwie.

W czasach reżimu komunistycznego Sobór został zrównany z ziemią, a na jego miejscu zbudowano pływalnię miejską. Teraz jednak — w geście coraz bardziej manifestacyjnej pobożności — został odbudowany jako wierna kopia pierwotnej świątyni; nawet najgorsi mafiosi sypnęli groszem na ten zbożny cel. Jego kopuła widoczna była z każdego zakątka stolicy. Pod jego sklepieniem rosyjski Kościół prawosławny przeprowadził kanonizację swoich nowych męczenników, w tym cara Mikołaja II i jego rodziny.

Zgodnie ze zwyczajem, otwarta trumna została wniesiona do cerkwi

przez sześciu oficerów w galowych mundurach, którzy złożyli ją na katafalku pośrodku nawy.

W obłoku dymu unoszącego się ponad świecami i nad głowami zgromadzonego tłumu, w którym widać było mundury, cywilne garnitury, suknie od najślawniejszych dyktatorów mody i zawiązane pod brodą chustki, uroczyste kołysały się czerwone sztandary, biało-niebiesko-czerwone flagi narodowe i białe proporce ozdobione krzyżem świętego Andrzeja. Brodatemu patriarsze w mitrze towarzyszyli trzej biskupi, tuzin księży i diakonów i dwudziestka akolitów — wszyscy ubrani w złoczone ornaty.

Chór dwustu głosów wykonał hymn *Chwała Panu*, śpiewany w carskiej Rosji podczas wojskowych uroczystości pogrzebowych. Sięgnięto po całą mistyczną wzniosłość, na jaką stać Kościół prawosławny, by uczcić wielkiego żołnierza, który oddał życie za ojczyznę. „Panie, pozwól spocząć pośród Twoich świętych walecznemu Iwanowi” — błagały, a raczej domagały się władcze basy.

Msza zbliżała się ku końcowi.

Chór zaintonował pianissimo pełną rezygnacji i ukojenia pieśń końcową — *Wieczysta pamięć*.

Patriarcha podszedł do trumny, żeby po raz ostatni okadzić zmarłego, który miał na czole przepaskę z formułą odpuszczenia grzechów w języku starocerkiewnym — to był jego paszport do wieczności. Na poduszce z czerwonego jedwabiu spoczywała duża, woskowoblada i spokojna twarz, o rysach tchnących energią i stanowczością zarazem, jakby medytująca tajemnicę dowodzenia, którą już z nikim się nie podzieli.

Patriarcha zabujał masywną, złotą kadzielnicą, z której uniosły się kłęby wonnego dymu.

Wtedy trup eksplodował.

Wybuch zabił patriarchę, dwóch księży, przedstawiciela prezydenta i żonę generała, oraz ranił jego syna i wielu innych uczestników mszy żałobnej.

W kilka godzin później sześć innych trupów, także żołnierzy zabitych w Czeczenii, eksplodowało w różnych miejscach na terytorium Rosji — dwa już pod ziemią, jeden w kostnicy, dwa w domu rodzinnym, gdzie oczekiwały na pogrzeb, i jeden na pokładzie samolotu, który wskutek wybuchu runął na ziemię.

W tej sytuacji władze nakazały ekshumację innych niedawno pochowanych i przy otwieraniu niektórych trumien też doszło do eksplozji, które raniły lub zabiły grabarzy i świadków. Żeby zmniejszyć ryzyko, użyto armatek wodnych, co spowodowało kompletne unicestwienie ciał i wywołało oburzenie rodzin zmarłych. Efekt psychologiczny byłby zapewne ogromny, gdyby tylko światowa opinia publiczna nie była wówczas zaabsorbowana jeszcze bardziej spektakularnymi wydarzeniami — *Nine-Eleven* [*Nine-Eleven* — 11 września.] w Nowym Jorku.

A jednak pewien francuski dziennikarz uparcie starał się upowszechnić informację o rosyjskiej rzezi. Swoją artykuł w „L'Univers” [„L'Univers” (dosł. Wszechświat) — aluzja do tytułu francuskiego dziennika „Le Monde” (Świat) [wszystkie przypisy oznaczone gwiazdką pochodzą od tłumaczki] zatytułował: „W Rosji nawet martwi zabijają”.

Czasopismo satyryczne „Le Dindon dechainé” [„Le Dindon dechainé” (dosł. Rozwydrzony indyk) — aluzja do tytułu francuskiego pisma satyrycznego „Le Canard enchainé” (Kaczka w okowach)] znalazło lepszy tytuł: „Rosja — kraj, gdzie nieboszczycy pierdzą z hukiem”.

2

Kirsten O. Kirsten do Roberta C. Chastowa III, e-mail:

Nasze władze nie powinny się dać zaślepić przez wiadome wydarzenia, którym zapewne nadawać będą nadmierne znaczenie. Tylko posłuchaj tych głupot, które wygaduje codziennie nasz czcigodny prezydent, marszcząc brwi i wykrzywiając usta niczym bohater kreskówki. Jak mawiał Ambrose Bierce: „Patriotą jest ten, kto przedkłada interes jednej strony nad interesy ogółu”. Jak Cię znam, Twoja uwaga skupiona jest obecnie na ulubionym temacie. Czy istnieje, według Ciebie, jakiś związek między *Nine-Eleven* a tymi zabójczymi truposzami? Czy to przypadek, zbieg okoliczności, interferencja, a może zmasowany atak? Jakich procedur użyto, żeby spowodować eksplozję tylu trupów niemal jednocześnie i z tak dobrym skutkiem? Mam nadzieję, że Ty, który jesteś w tej dziedzinie specjalistą, będziesz mi mógł w tej sprawie udzielić jakichś odpowiedzi.

Robert C. Chastow III do Kirsten O. Kirsten, e-mail:

Według mnie, byliśmy w Rosji świadkami operacji o wiele bardziej subtelnej niż ta grubymi nićmi szyta historia z samolotami wbijającymi się w wieżowce.

Moi informatorzy potwierdzają, że ciała zostały przygotowane do transportu przez firmę pogrzebową Mohamedow z Groznego w Czeczenii, która pracuje na rzecz armii rosyjskiej, a której pracownicy „nie mogli zostać przesłuchani”, co oznacza, że zwiali w góry. Wnioskuje z tego, że była to operacja mudżahedinów (czeczeńskich lub nie), dysponujących odpowiednimi środkami i świadomych, jaki oddźwięk taka akcja wywoła w mediach.

Zbieżność w czasie z operacją islamistów w Stanach Zjednoczonych musi być przypadkowa i z punktu widzenia interesów terrorystów czecheńskich bardzo niefortunna, ze względu na ograniczony rozgłos, jaki przez to zyskała.

Ciało generała zostało prawdopodobnie zaminowane przez pracowników firmy pogrzebowej. Wybuch był zdalnie sterowany przez jednego z uczestników pogrzebu i prawdopodobnie miał na celu wyeliminowanie prezydenta Rosji. Można się zastanawiać, dlaczego autorzy akcji zadowolili się samym wybuchem i nie naładowali ciała odłamkami. Zapewne obawiali się, że nadmierny ciężar trumny może wzbudzić podejrzenia.

Pozostałe trupy zostały zaminowane przez tych samych pracowników firmy pogrzebowej, tym razem z użyciem mechanizmów zegarowych.

Przypuszczam też, że trumny (z wyjątkiem trumny generała) zostały wyposażone w zapalniki z fotokomórkami, wywołujące eksplozję w momencie otwierania skrzyni.

To wskazuje na trójstopniowy montaż, skomplikowany i precyzyjny, który zrodził się w nieprzeciętnym umyśle kogoś, kto dysponuje odpowiednimi środkami i personelem.

3

— Czyżby wierzył pan w teorię spisku? — spytał uprzejmie Robert C. Chastow III.

Uprzejmość miała na celu zamaskowanie sarkazmu. Niezbyt dokładne, dodajmy.

— No, tak — mówił dalej. — Oczywiście, wszystko jest jednym wielkim spiskiem! A kim, według pana są spiskowcy? Czy, drogi Diwo, obarcza pan winą masonów czy może raczej Mędrców Syjonu? Albo sięga pan dalej, do magów z Agarty, którzy od tysiącleci żyją w podziemnych tunelach Himalajów, skąd potajemnie rządzą światem? A może jest pan bardziej *en vogue* i oskarża pan o wszystko Komisję Trójstronną, Grupę Bilderberg oraz Council for Foreign Relations? No, chyba że jeszcze bardziej podejrzane jest tajne stowarzyszenie Skull and Bones? Kim jest pański Antychryst? Stary dobry Rockefeller, jak przypuszczam, kozioł ofiarny wszystkich miłośników teorii spiskowych, co?

Jedli obiad w prestiżowej restauracji „Cercle Interallié” przy Polach Elizejskich. Musieli jednak usiąść nad basenem, gdyż Diwo, najmniej paryski spośród paryżan, popełnił gruby nietakt, zakładając pod swój szary garnitur z nazbyt szpiczastymi wyłogami biały golf zamiast koszuli, co praktycznie uniemożliwiało im wejście do restauracji.

Diwo wcześniej powiedział, że współczesne rozdrobnienie narodów Europy na wiele regionów, będących fikcyjnymi i posługującymi się dialektami państewkami, które niekiedy przeradzają się w niepodległe i ledwo zdolne do życia państwa, jest raczej wynikiem świadomych działań

niż spontanicznych zrywów. Robert C. Chastow III (proszę mi mówić Robin, ale nie Bob, *please!*) zripostował. Diwo uśmiechnął się krzywo.

— Nie chodzi o to, że wierzę w teorię spisku. Po prostu stwierdzam, że podejrzanie wielu ludzi próbuje ją zdyskredytować. Musi być jakaś przyczyna, prawda?

— Ależ to nonsens! — jęknął Robin.

— Nonsens, nonsens! — prychnął Diwo, dziobiąc widelcem truskawkę. — Nie sądzę, że mamy do czynienia z jednym ogólnoswiatowym spiskiem, zawiązanym u zarania dziejów. Ale uważam za możliwe istnienie wielu spisków. Czy Grupa Tugenbund nie była spiskiem? A Adam Weishaupt i jego zakon iluminatów? Przecież on nawet wymyślił sobie przełożonych i fundatorów. Poza wszystkim, czego to dowodzi? Jak lubicie mówić wy, Amerykanie, każdy ma prawo do swoich paranoi i bycia prześladowanym. Choć ja osobiście wolę inne powiedzenie: paranoja nie chroni przed prześladowaniem.

Znów uśmiechnął się krzywo.

Robin poprawił się na krześle i skrzyżował ramiona na piersi.

Miał około czterdziestki. Wzrost średni, niezbyt barczysta sylwetka, twarz kanciasta, oczy orzechowe, włosy kasztanowe i nieco przydługie, ale przycięte ręką sprawnego fryzjera, z przedziałkiem po lewej stronie i krótkim kosmykiem po prawej. Kremowa, lekko wpadająca w żółć koszula, brunatny krawat i ciemnobrązowy garnitur z mediolańskiego salonu „Fratelli Caraceni”. Wyraz twarzy pełen rezerwy i pewności siebie.

— Niech mi pan raczej opowie o pańskiej podróży do Rosji.

Diwo, stary francuski pisarz pochodzenia rosyjskiego, zawsze płynący pod prąd, właściwie skończony, jednak wciąż mający wiele pożytecznych kontaktów i czytelników, a także ograniczony autorytet, który wprawdzie posiadał dosyć późno, ale posiadał, bo Diwo nigdy nikomu się nie zaprzedał. Był jednym z tych, których Robin nazywał swoimi „termometrami” — miał ich rozsianych po całym świecie. W Aszchabadzie,

Samarkandzie, Wilnie... Właśnie kilku z nich odwiedził, ale nie znalazł tego, czego szukał.

— Phi! — rzekł Diwo ze zwykłym sobie lekceważeniem. — Rosja przeżyła Terror, Termidor i Dyrektoriat. Teraz przeżywa okres Konsulatu. Oby Bóg oszczędził jej kampanii egipskiej oraz kodeksu cywilnego, który dożywotnio zamieni wszystkie kobiety nie będące wdowami w nieletnie dziewczynki. Poza wszystkim, żadna kobieta rosyjska by tego nie zniosła — szybko otrułaby ojca lub męża i odzyskała niezależność.

— W kraju nie ma zamieszania?

— Ten kraj przeżył trzy czwarte wieku, idąc na czworaka i w dodatku rakiem. Proszę mu dać kilka lat, żeby się zorientował, gdzie jest północ.

— A jak nowy prezydent?

— Zdaje się, że z powrotem stawia lokomotywę na szynach.

— Być może, ale mafia...

— A wy w kółko to samo! Mafiosi to tylko nabywcy majątku narodowego, których potomkowie będą się nazywali Buwarski i Pekuszetow [Aluzja do bohaterów powieści Gustave'a Flauberta *Bouvard et Pecuchet*]. Wprawdzie zabili kilku bankierów, ale bankierzy to rasa, która łatwo się odradza.

Robin szukał po omacku. Powoli wprowadził w ruch znajdujący się na dnie jego kieliszka Armagnac, który rozgrzewał wnętrzem dłoni. Nie płacił swoim „termometrom”, ale podejmował ich jak należy, zachęcając do praktykowania epikureizmu.

— Czy pańskim zdaniem należy się spodziewać powrotu komunistów do władzy?

— Ależ drogi Robinie, od dawna już komuchy istnieją tylko we Francji. Tak zwani rosyjscy komuniści to nacjonaliści wzdychający do nie tak odległej epoki, gdy wy, w swoich slipkach od Braci Brooks, trzęśliście się ze strachu przed Związkiem Sowieckim.

— I to mówi pan, stary monarchista! Czyżbym przyłapał pana na sympatii dla Sowietów?

— Odkąd stali się bezbronni, mam do nich mniej pretensji.

— A co z pańskim monarchizmem? Widzi pan jakieś szanse?

— Monarchiści? Cóż, są ich dwa rodzaje. Tak zwani monarchiści postni, którzy paradują po ulicach w carskich mundurach, i ci drudzy, którzy twierdzą, że tylko Rosja monarchistyczna godna jest tego imienia. Od tego jednak daleko jeszcze do restauracji!

— A co z tymi „brunatno-czerwonymi”, o których tyle się mówi?

— Folklor, drogi przyjacielu, folklor.

— Stowarzyszenie „Pamięć”?

— To prowokacja KGB i to grubymi nićmi szyta!

— A te wszystkie nowoczesne partie o tak egzotycznych dla naszych zachodnich uszu nazwach: „Jabłko”, „Niedźwiedź”...

— Sami macie w USA partię Słonia i partię Osła, prawda?

— Może napiłby się pan kawy do armagnacu?

— Sam armagnac wystarczy, dziękuję.

— Krótko mówiąc, nie spotkał pan nikogo interesującego.

— Przeciwnie. W Petersburgu działa pewien *think tank* — „zbiornik myśli” (a może raczej należałoby go nazwać „rydwanem myśli”), blisko związany z prezydentem dzięki jego petersburskim znajomościom, który — jak mi się zdaje — ma całkiem spory potencjał.

Robin wpatrywał się w dno swego kieliszka, próbując ukryć rodzące się w nim emocje myśliwego, który zwietrzył zwierzynę.

— Co to za ludzie?

Diwo zastanowił się.

— Idea jednej i niepodzielnej ojczyzny... Swoista, patriarchalna religijność — są wśród nich prawosławni, żydzi, a nawet muzułmanie... Odrzucenie totalitaryzmu, podobnie jak i merkantylnego liberalizmu...

— Mają jakąś doktrynę? Gdzieś publikują?

- W Rosji każdy publikuje. Ale doktryna? Nie, raczej nie.
- Jak dobierają członków?
- Nie sądzę, żeby mieli jakiś oficjalny system rekrutacji, bo tak naprawdę trudno mówić o członkach.
- Są blisko rządu?
- Blisko... ale nie wiem, w jakim stopniu. Wydaje mi się, że to szare eminencje. Coś w rodzaju lobby.
- Spotkał ich pan?
- Tak.
- Czym się zajmują na co dzień?
- To zależy. Na kolacji, którą z nimi jadłem, był biskup, policyjna szucha, dwóch historyków — jeden słowianofil i jeden okcydentalista
- którzy o mało się nie pobili. To bardzo rosyjskie.
- Mają kontakty z mafią?
- Nie z tą, która eksportuje rosyjski kapitał. Tych chętnie wysiedliby z kraju.
- Mają jakiś adres?
- Spotykają się w dawnym pałacu książąt Myszkiców.
- A jak się nazywa ta organizacja?
- To nie jest organizacja.
- No więc, co? Koło, klika, banda, bractwo?
- Nie wydaje mi się, żeby mieli oficjalną nazwę. Słyszałem jednak, jak ich żartem nazywano Bojarami.

Robin zmienił temat rozmowy, żeby nie ugruntuwać w rozmówcy wspomnienia tych zwierzeń. Następnie sprawdził, czy jego gość dopił swój armagnac, po czym podpisał rachunek, starając się robić to bez pośpiechu. W rzeczywistości zaś bardzo się spieszył, żeby wrócić do siebie i spokojnie przemyśleć to, co właśnie usłyszał.

4

W odróżnieniu od innych Amerykanów ze swego środowiska, Robin nie miał zaufania do mieszczącego się przy placu Concorde hotelu „Crillon” — znał tam zbyt wielu ludzi, a sam budynek leżał za blisko ambasady. Jako wiceprezes organizacji humanitarnej Bids for Kids [Gra słów oznaczająca „Aukcje na rzecz dzieci”] zdecydowanie wolał dyskretnego „Ritza”, w którym czuł się jak u siebie. Lubił tamtejsze salony, bary, biura, a nawet podziemny chiński salonik... Gdy dotarł do swojego pokoju, włączył komputer i wypuścił się na burzliwe i pełne bogactw wody Internetu.

Potrzebował trochę czasu, żeby zdobyć kilka informacji na temat „Bojarów”, ale im bardziej zagłębiał się w labirynt sieci, tym większą zyskiwał pewność, że nie jest to czas zmarnowany. Był trochę zły, że bez tego starego wariata Diwa przegapiłby to, czego od miesięcy szukał, żeby dopełnić obrazu intrygi pod nazwą „Śmiertelna rana”. Uniósł głowę znad klawiatury, zastanawiając się, jak to możliwe. Odpowiedź była prosta: Bojarowie nie mieli ani struktury, ani oficjalnej nazwy. Gdyby mieli, dawno by wpadł na ich ślad.

Krok po kroku dotarł do ich adresu: Nabrzeże Mojki 90. Znalazł nawet kilka zdjęć pałacu Myszkiców, barokowej budowli z podtrzymującymi brzuchate balkony pilastrami, atlantami i kariatydami, ostatnio odnowionej i pomalowanej na błady, lekko turkusowy błękit. W pałacu mieściła się siedziba tygodnika satyrycznego „Pałka”, czasopismo

historyczne „Fakty i legendy”, radio i telewizja, Bank Galperin i Katz, kaplica prawosławna, sala gimnastyczna, basen, sala do medytacji *zen*, ekspozycja broni oraz podziemna strzelnica. Był tam też mały hotelik, a po drugiej stronie wewnętrznego dziedzińca restauracja i luksusowy bar. Czy istniał jakiś związek między tymi wszystkimi rodzajami działalności? Trudno powiedzieć.

Bliższe badanie wykazało, że publikacje i programy radiowo-telewizyjne pochodzące z pałacu Myszkinów miały umiarkowaną orientację prawicową — gospodarka rynkowa, surowe przepisy i porządek, sympatia dla władzy wykonawczej, nieufność w stosunku do wpływów zagranicznych, w tym zwłaszcza Międzynarodowego Funduszu Walutowego, wyraźne zainteresowanie przeszłością Rosji — także sowieckiej. Skąd pochodziły pieniądze? Tego nie podawało żadne źródło w sieci, ale Bank Galperin i Katz, który opierał swoje interesy na turkmeńskim gazie i kaspijskiej ropie, wydawał się całkiem solidny.

Złoczone boazerie pałacu Myszkinów służyły także za scenę częstych spotkań ważnych osobistości, których nazwiska nie zostały ujawnione. Ochrona zatrudniała uzbrojonych drabów — dwa metry wzrostu i odpowiednia sylwetka.

Robin zamejlował do swego mentora, przesyłając wyniki owocnego śledztwa.

Odpowiedź nadeszła niezwłocznie.

Kirsten O. Kirsten do Roberta C. Chastowa III, e-mail:

Ambrose Bierce powiada: „Konserwatysta zakochany jest w obecnie istniejących nieszczęściach, podczas gdy liberał stara się zastąpić nowymi”. Ci faceci wyglądają mi na przeklętych konserwatystów. Wykorzystaj ich jak należy.

Robin wyłączył komputer i zszedł na kieliszek do baru „Hemingway”.

— Umie pan zrobić *mint julep*? — spytał wszytkowiedzącego barmana Colina.

— Właściwie to ja jestem jego wynalazcą, panie Chastow — odparł Colin.

Pieprzny smak mięty na kostce lodu sprawił, że Robinowi stanął przed oczami krajobraz dzieciństwa — taras ze skrzypiących desek, białe kolumny, rozległe trawniki, srebrnolistne magnolie, mech luizjański na dębach, leniwe kołysanie się bujanych foteli, wilgoć unosząca się w powietrzu. A jednak to nie był ten sam *mint julep*. Dlaczego?

Nagle poczuł nieprzewartą chęć udania się na Południe. Postanowił skrócić swoją podróż dookoła świata.

Był zresztą przekonany, że rzeczywistość porusza się niczym lodowa kra lub drobiny zsiadłego mleka, mieszając przyczyny i skutki. Mądrość ludowa głosi, że nieszczęścia chodzą parami, ale dotyczy to nie tylko nieszczęść. Życie to łańcuch, w którym jedno wydarzenie zazębiają się z innymi. W niektórych można się dopatrzeć ręki Opatrzności. Eksplozje rosyjskich nieboszczyków i odkrycie istnienia Bojarów wydawały się należeć do tej kategorii.

Robin czuł, że już wkrótce nastąpi przyspieszenie reakcji — w chemicznym sensie tego wyrażenia.

Poleciał liniami Deltą, pierwszą klasą. Od czasu do czasu żałował, że nie korzysta z wygód jakiegoś jeta, jeśli nie prywatnego, to przynajmniej wynajętego. Jego stanowisko oraz prywatne zasoby pozwalały mu bez problemu z tego luksusu korzystać, jednak ponad wszystko nie znosił ostentacji. W Atlancie wynajął swój ulubiony samochód — Oldsmobile Intrigue, bez kierowcy, i zapuścił się w noc, nawet nie zahaczając o swoje miejskie mieszkanie. Żaby nadrzewne rechotały w najlepsze. Robin nie włączył klimatyzacji i koszula kleiła mu się do pleców. *Home at last!* — nareszcie w domu — pomyślał sarkastycznie.

Wcześniej zadzwonił, zapowiadając swoje przybycie, więc gdy cztery i pół godziny później minął bramę parku i ujechał kilometr, ujrzał

białą, ozdobioną kolumnami korynckimi budowlę Chastow Plantation, rozświetloną pośród nocy niczym sala balowa. Stary Wuj Chester, jedyny służący, jaki tu jeszcze pozostał spośród dawnych kilkudziesięciu, zszedł po schodach z wyrazem dobrodusznej radości na twarzy, chwytając w stare i pomarszczone dłonie torby Gladstone ze świńskiej skóry — także pomarszczonej. Robin i staruszek objęli się na powitanie, długo klepiąc się po plecach. Chester był czarny — Robin nigdy by sobie nie pozwolił na taką poufałość względem białego. Wchodząc po schodach, pomyślał:

„Dziwnie jest wracać do domu, w którym nie ma już kobiety”.

Wziął prysznic, włożył czyste ubranie i zapadł się w fotel na bieżniach na tarasie, twarzą do rozświetlanej nocy, nakrapianej miriadami świcideltek. Chester, który jako dobry baptysta, nigdy w życiu nie miał w ustach alkoholu, przygotował mu *mint julep* na bazie zwykłego burbona, a nie — jak Colin — *Maker's* Marka, a mimo to jego *mint julep* był doskonały: pełen kostek lodu, smaku świeżej mięty, z dodatkiem kropelki miętowego syropu.

Przed podaniem kolacji Wuj Chester usiadł na tarasie z tyłu domu ze swą nieodłączną, odziedziczoną po przodkach Biblią, w której czytał Ezechiela, a dwa kołyszące się po obu stronach domu fotele stworzyły skrzypiący kontrapunkt dla nocy. Jak to mówią, wszystko znowu było na swoim miejscu, a Pan Bóg w niebie, tyle że Robin już w Boga nie wierzył.

Po kolacji z sumą, którego stary Chester osobiście złowił, Robin wszedł na górę do sypialni i położył się w wielkim łożu z baldachimem, w którym zmarł jego dziadek. Łoże to wykonali niewolnicy w XIX wieku i żeby do niego wejść, trzeba było wspiąć się po trzech stopniach. Kiedy Robin odwiedzał Chastow Plantation, zawsze w nim sypiał. Niektórzy uważali, że to ponury zwyczaj, on sam jednak odczuwał niewypowiedzianą czułość na myśl, że drewno tego łoża przesiąkło ostatnimi

kroplami potu Dziadka, który umierając, kurczowo chwycił się jego krawędzi swymi smukłymi dłońmi.

Zgasił światło i zamknął oczy.

Rezydencja Chastow Plantation powstała przed Wojną — to znaczy, wojną secesyjną. Spalona przez Hermana w czasie jego marszu ku morzu i odbudowana dzięki pieniądzom pewnego jankeskiego *carpetbaggera* [*Carpetbagger* (ang.) — awanturnik, szabrownik; termin używany zwłaszcza podczas wojny secesyjnej], który poślubił jedną z panien Chastow (okoliczność skrzętnie przemilczana przez rodzinę), rezydencja szczyciła się tym, że jest nawiedzana przez ducha. Wprawdzie duch na plantacji nie jest czymś obowiązkowym, ale splendoru dodaje. Niestety, nie chodziło o jakąś jasno włosa muzę Konfederacji, lecz o czarnego niewolnika, który w księżycowe noce podzwaniał łańcuchami, przechadzając się od piwnic po strych. Robin nadstawił ucha — jako zawodowy działacz humanitarny powinien być wrażliwy na dźwięk łańcuchów. Niczego jednak nie usłyszał — zasnął w najlepsze.

Nazajutrz zapragnął zwiedzić swój rodzinny dom i poprosił Chestera o klucze.

Wszędzie panował duszny półmrok Południa, żłobiony prześwitami okiennic i żaluzji. Rozsuwając zdobione żółtą skórą drzwi, przechodził z pokoju do salonu, z sypialni do przedpokoju, z pakamery do garderoby, zwiedził salon dla panów, gdzie w dawnych czasach palono cygara, popijając porto, oraz salonik dla pań, gdzie haftowano, paplając o niczym. Rodzinie udało się zachować (lub odnaleźć) wiele mebli i pamiątek z tamtej epoki — jadesitowe wazy na bogato zdobionych kominkach, kolumnowe łóżka w cienistych sypialniach.

Wyjrzał przez okno w fasadzie domu — w 1861 roku przez ten właśnie, ocieniony dębami trawnik, prapradziadek w czarnych wysokich butach wyruszył na swej klaczy *Fairy* (czyli Wróżce) na wojnę. Cztery

lata później tym samym trawnikiem powrócił do domu, tyle że już bez *Fairy* (która została zjedzona) i boso. Mimo wysokości sufitów, wszystko zalatywało naftaliną i gnijącym drewnem. Robin wyszedł. Upał skrócił mu oddech.

Obszedł dokoła dom, którego elegancja była mu tak dobrze znana. Rozpoznawał poziome stopy gontów, kontrastujące ze żłobionymi kolumnami o ślimakowatych kapitelach i wystającymi spomiędzy dachówek ceglanyimi kominami, wysokie okna o ciemnozielonych okiennicach ze szczelinami wentylacyjnymi i zawieszone u parapetów poidła dla ptaków; przypatrywał się kamiennym podnóżkom do wsiadania na konia, przywołujące obrazy butów do konnej jazdy, ostróg, rąbków sukien amazoнок i spodnie z gumką pod stopą.

Przeciął park, gdzie w smutnym nieporządku tłoczyły się azalie, derenie i kamelie, skryte w opiekuńczym cieniu magnolii. Doszedł do cmentarza, gdzie obok innych przodków spoczywał także Dziadek, pod płytą, na której wygrawerowano długą, kwiecistą, łacińską inskrypcję, wyliczającą jego nieprzebrane zasługi, poza tymi najważniejszymi, które miały pozostać tajemnicą. W różnych epokach psy były grzebane w pobliżu swoich panów; im także podarowano osobne nagrobki ozdobione imionami: Jack, Rover, Beau.

Robin zapuścił się aż na stary cmentarz niewolników, usiany mrowiskami, między którymi dostrzec można było kamienie z wrytymi imionami (najczęściej biblijnymi) — Jozue, Elizeusz, Sara, a nawet Nabuchodonozor, a także trzema oczkami łańcucha, które znaczyły: zrodzony jako niewolnik, żył jako niewolnik, zmarł jako niewolnik.

Potem zawrócił do domku, w którym Dziadek zamieszkał, by wprawić w zakłopotanie syna i synową, a który nazywał „czworakami niewolników”. Prawdziwe czworaki dawno już zgniły i zawaliły się, gdyż były to chaty z ustawionych na czterech ceglach desek lub bali, ale

Dziadek czerpał złośliwą przyjemność z nazywania w ten sposób domu, który kazał przyozdobić w niezwykle okazały sposób i zainstalował tam kanalizację, ogrzewanie, światło, radio, telewizję i najbardziej nowoczesne urządzenia alarmowe. „Dzieci wypędziły mnie do czworaków niewolników” — lubił jęczeć obłudnie.

Teraz domek był niezamieszkały. Raz jeden Robin popełnił nietakt, proponując go Chesterowi, który co wieczór wracał swoim starym buickiem z blaszanymi „skrzydełkami” i zardzewiałymi zderzakami do Vidalii, ale Chester wolał mieszkać z rodziną, w której ciężko się było zorientować, kto jest matką, kto siostrą, kto żoną, a kto córką. Zresztą, myśl o przenoszeniu swoich kłopotów do domu, który „pułkownik” przystosował dla siebie, była dla Chestera oburzająca. Roberta C. Chastowa I nazywano „pułkownikiem”, choć nigdy nie był wojskowym, podobnie jak Chestera nazywano „Wujem”, choć Chastowów nie łączyły z nim żadne więzi rodzinne. To właśnie takie tradycje dodają smaku byciu Południowcem.

Robin odwiedził po kolei wszystkie pomieszczenia, ale nawet w bibliotece nie znalazł śladu człowieka, którego tak bardzo kochał. Dziesięć tysięcy tomów, które Dziadek tam zgromadził, pieścił i nikomu nie pozwalał dotykać (poza Chesterem, który robił to niezwykle delikatnie, samym czubkiem palemki z piór!). Dziesięć tysięcy tomów, w których mieszkali już tylko ich autorzy, ściśnięci między okładkami, jak motyle w szklanej gablocie.

— Muszę zobaczyć dzieci — pomyślał Robin.

Zadzwoił. Trafił na Dawida.

— Przyjedź, stary, kiedy tylko będziesz mógł. Dzieciaki bardzo się ucieszą. Zostaniesz na obiedzie? Connie piecze kurczaka.

Odpuścił sobie obiad. Dawno już zatracił umiejętność jedzenia rękami, czego wymagała etykieta. Zresztą, nie zamierzał tam zostać zbyt długo — sytuacja była znośna tylko dlatego, że każdy wznosił się na wyżyny taktu. No, może poza Konstancją.

Dawid McIan, plantator orzeszków ziemnych, mieszkał w Vidalii, w

domu *ante bellum*, którego okrągłe białe filary pełniły rolę kolumn podpierających dach tarasu. Nie była to jednak prawdziwa „plantacja”, jak rezydencja Robina. Raczej posiadłość w stylu *dog run* [*Dog run* (ang.) — wybieg dla psów], z szerokim, centralnie biegnącym korytarzem, po którego obu stronach rozmieszczono po dwie izby. Niegdyś psy biegały tu całkiem swobodnie w tę i z powrotem — od tarasu frontowego do tarasu z tyłu domu. Rodzice Dawida zrezygnowali z tej psiej mody, pozostawiając tylko jedne drzwi wejściowe. Piąta izba wychodziła na tylny taras i długo służyła jako pokój gościnny dla wędrownych kaznodziejów, których z czystej ostrożności nie wpuszczano na pokoje. Teraz mieściła się tam kuchnia, która wcześniej stanowiła odrębny budynek, w obawie przed pożarem. Robin nie wiadomo który raz zadał sobie pytanie, jak Konstancja mogła zrezygnować z Chastow Plantation i zamieszkać w tej psiej budzie.

Na filarze po lewej stronie zawsze wisiała stara flaga Georgii, czerwona z niebieskim krzyżem św. Andrzeja po prawej oraz białą pieczęcią na błękitnym tle po lewej. Nie tak dawno Georgia zastąpiła ją białą flagą ze złotą pieczęcią, w obawie, że poprzedni sztandar będzie wywoływał nieprzyjemne skojarzenia u czarnoskórej ludności stanu. Dawid otrzymał kilka telefonów z pogrózkami, ale uparcie zachował na fasadzie domu ów symbol starego Południa. W końcu dano mu spokój i wszyscy pogodzili się z jego nostalgią za Konfederacją.

Teraz stał na szczycie schodów, wysoki, szczupły i umięśniony, z rękoma założonymi z tyłu, twarzą ogorzałą od przebywania na świeżym powietrzu, jak zwykle roześmiany.

— Witaj, podróżniku! Co słychać u Barbarzyńców?

Nie musiał odpowiadać. Uścisnęli sobie mocno dłonie. Nigdy tak naprawdę się nie lubili.

Byli rówieśnikami. Pochodzili z tego samego środowiska, tyle że Chastow był bogatszy od McLana (ale w starych rodach z Południa fortuna liczy się mniej niż genealogia). Kiedy Chastow nudził się w kościele episkopalnym (świątyni snobów), McLan ziewał w kościele baptystów (przybytku wieśniaków), ale obaj byli członkami *country clubu* w Savannah. Razem polowali na przepiórki. Razem grywali w „tchórze”, dziwaczną grę, w której naprzeciwko siebie stawały dwa samochody, po czym ruszały pełnym gazem, a przegrywał ten, kto jako pierwszy zjechał z toru, unikając czołówki. Obaj tańczyli na dorocznym balu starego Południa i to właśnie tam doszło między nimi do pamiętnej scysji (mało brakowało, a skończyłoby się na rękoczynach). Od tamtej pory, ilekroć się spotykali, przypominali sobie ten incydent, a każdy z nich czytał w oczach drugiego skrytą urazę.

A przecież poszło o drobiazg.

Dawid, w szarym mundurze dotrzymywał towarzystwa Konstancji, najpiękniejszej dziewczynie Południa, ubranej w różową krynolinę i biały kapelusik, doskonale podkreślający jej olśniewającą cerę i kruczoczarne włosy. Robin, naturalnie także w szarym mundurze, kilkakrotnie przerywał im walce i polki, „odbijając” Konstancję. Nie było w tym nic sprzecznego z obyczajem, poza tym, że robił to jednak zbyt często, a Konstancja uśmiechała się do niego nazbyt czule. Ze dwadzieścia razy odśpiewano *Dixie* — hymn Południa, ze sto razy wzniesiono konfederalne okrzyki i nawet najbardziej dziewicze i dystyngowane usteczka wołały: *Give 'em hell* | *Give 'em hell* (ang.) — Do diabła z nimi; w środowisku purytańskim taki okrzyk miał posmak bluźnierstwa, jako że święta sprawa była wystarczającym usprawiedliwieniem wulgarności słów, a starzy dżentelmeni pouczali z gorzkim humorem: „Jeśli wasz pieniądz będzie Południowcem, to Południe zmartwychwstanie”. Kłócono się, czy mówiąc o jankesach, czyli o tych z Północy, należało dorzucać przymiotnik *damned* — przekłeci. Dla jednych był to święty obowiązek, dla innych

pleonazm... Wszystko to tworzyło atmosferę dwuznaczności — w pół drogi między nabożnością i kpiną.

Robin, upojony kobiecością Konstancji, uczuł potrzebę (co typowe dla jego charakteru) posunięcia się o krok dalej i zatryumfowania nad Dawidem. Podszedł do niego, mówiąc:

- O, proszę! Masz nowiutki mundur!
- Nieprawda, był już używany rok temu.
- Chyba nie chcesz powiedzieć, żeś go wypożyczył.
- Taa...
- Twoja rodzina nie brała udziału w Wojnie?

Zapadła cisza. W takich okolicznościach podobna uwaga była jak policzek, a Dawid był od Robina o pół głowy wyższy. Wyzwanie było zatem ryzykowne. Dawid jednak się opanował.

- Owszem, brała.
- I co? Myszki zjadły mundur dziadunia?
- Nie, wciąż go mam.
- No i?
- Nasiąkł potem i krwią pradziadka. To nie jest zwykła szmatka na maskaradę.

— Każdy mundur to rodzaj przebrania — powiedział Robin, usiłując odzyskać przewagę.

W takich okolicznościach zabrzmiało to jak zachęta do linczu. Dawid zbladł, ale w końcu tylko wzruszył ramionami i odwrócił plecami do Robina, który niechętnie uznał się za pokonanego. Żeby pozbyć się tego uczucia, chwycił w pół Konstancję i pociągnął na parkiet. Rok później wzięli ślub, ale dziś Konstancja nosiła nazwisko McIvan, które w specyficznej hierarchii Południowców było uważane, nie wiedzieć czemu, za lepsze niż Chastow.

- Cześć, stary byku — rzekł Robin. — Jak się mają orzeszki?

Bardzo rzadko odpowiadali na pytania, które sobie nawzajem zadawali.

- Dzieci, chodźcie! — krzyknął Dawid. — Tata przyjechał. Przybiegli — odszykowany Robin IV i wystrojona Christobel.

Robin IV uściskał dłoń ojca („Jak się masz, ojczu” bez znaku zapytania), a Christobel chłodno go ucałowała. Robin III poczuł uścisk w sercu, ale niezbyt mocny. Swoje życie poświęcał sprawie znacznie ważniejszej niż rodzina. Odchyliwszy moskitierę, w drzwiach stała Konstancja — wciąż ciemnowłosa, różowa i postawna, w dodatku promieniająca blaskiem kobiety spełnionej.

— *Hi.*

— *Hi.*

Urodę Konstancji psuło tylko jedno: złość, z jaką patrzyła na byłego męża. A przecież nie zdarzyło się nic, co by usprawiedliwiało taką wrogość. On był mężem wiernym, choć często nieobecnym. Ona też, o ile mu wiadomo, zachowywała się bez zarzutu. W łóżku dobrze im się układało. Chcieli mieć dwójkę dzieci, syna i córkę, i mieli dwójkę dzieci, syna i córkę. Nie kłócili się o pieniądze. W trakcie rozwodu byli nawet dla siebie bardzo hojni.

„Czemu ona tak mnie nienawidzi? — zastanawiał się Robin. — Zanim wyjadę, muszę ją zapytać”.

Wszyscy weszli do klimatyzowanego salonu. Robina posadzono na najwygodniejszym fotelu i Christobel nieśmiało przysiadła na jego oparciu. Robin IV zajął się Game Boyem, pewnie po to, żeby dodać sobie powagi, a może także dlatego, że inaczej nie umiał. Konstancja usiadła wyprostowana na krześle, pokazując gołe nogi, które przez tyle lat wolno było Robinowi pieścić. Dawid rozparł się na niskiej kanapie, szeroko rozstawiając kolana, sterczące powyżej jego głowy. Ojciec zadał kilka stosownych, acz ogólnikowych pytań o postępy szkolne dzieci. Panowie popijali Jacka Danielsa. Dawid, choć był baptystą, a więc z założenia przeciwnikiem alkoholu, w towarzystwie chętnie po niego sięgał. Konstancja wstała, by im nalać, a kiedy przechodziła koło Dawida, ten klepnął ją wesoło w pośladek:

— Zapomniałaś o szklaneczce dla siebie, Connie!

Nie, nie zapomniała. Szklanka była pretekstem do tego klepnięcia.

Robin zrozumiał, że był to gest podkreślający własność i nie miał o to pretensji. Nagle przypomniał sobie, że nie przywiózł dzieciom prezentów — gdyby to zrobił, może okazałyby więcej entuzjazmu. Przynajmniej się ich nie domagały. Pod tym względem nie można im było nic zarzucić. Konstancja i Dawid dbali o to, żeby dzieci umiały się zachować jak należy. Obiecał, że popołudniu lub następnego ranka podrzuci im grę elektroniczną i chińską lalkę.

Mimo wszystko wyczuwało się ogólne zażenowanie.

— Słyszałem ostatnio świetny kawał — rzucił Dawid, specjalista od anegdotek. — Trzy kobiety spotykają się w piekle. Jedna mówi: „Należało mi się. Jestem prezbiterianką, a przyprawiłam mężowi rogi”. Druga mówi: „Mnie się też należało. Jestem baptystką, a wypięłam baryłkę piwa”. A trzecia mówi: „Ale mnie się należało najbardziej. Należę do Kościoła episkopalnego, a podczas uroczystej kolacji pomyliłam widelce”.

— Bardzo zabawne — rzekł Robin, członek Kościoła episkopalnego.

Podniósł się do wyjścia.

— Pozwolisz, Dawidzie, żeby Konstancja odprowadziła mnie do samochodu?

W duchu założył się sam ze sobą, że Dawid odpowie *be my guest* — „nie krępuj się”.

— *Be my guest* — odparł Dawid. — Connie, odprowadź go.

Byli małżonkowie zeszli po schodach i ramię przy ramieniu szli między krzewami azalii. „Nie rozumiem małżeństwa — myślał Robin. — Jak to możliwe, że kiedyś byliśmy sobie tak bliscy, tak zjednoczeni — ciałem, życiem, pracą, a teraz już nie jesteśmy, a ona jest blisko z innym?”. Z oczami wbitymi w ziemię, wymamrotał, nie zwalniając kroku:

— Dlaczego tak mnie nienawidzisz, Konstancjo?

Ona też na niego nie spojrzała. Patrzyła pod nogi. Ale jej odpowiedź zaskoczyła go.

— Jesteś gliną.

— Ach, tak — powiedział. — Tak, jestem gliną...

Zawsze miał ten celowo irytujący zwyczaj potwierdzania najbardziej dziwacznych oskarżeń. W jego ustach „tak” oznaczało „nie”. Konstancja wciąż o tym pamiętała.

— W każdym razie — poprawiła się — jesteś tajniakiem. Na co on odpowiedział wciąż tym samym tonem:

— Ależ tak, jestem tajniakiem.

A potem, bardziej serio, dodał:

— W każdym razie, byłem. Niedługo. Ale cóż jest tak niegodnego w służeniu swemu krajowi płaszczem i szpadą?

Konstancja zatrzymała się na alejce i odwróciła twarzą do niego.

— Ty nie służysz swemu krajowi — syknęła. — Ty się posługujesz swoim krajem.

Jak jej się udało odkryć to, do czego on sam przed sobą długo się nie przyznawał?

— A ja — głos Konstancji się załamał — ja kocham ten stary kraj.

Zawsze przepełniały ją namiętne, patriotyczne uczucia. Dla niej konstytucja amerykańska była religią, prezydent bogiem, krajobrazy amerykańskie szczytem piękna, a amerykańscy obywatele — jedynymi prawdziwymi obywatelami. Dawid był taki sam. „Ma rację czy błędzi — to moja ojczyzna”, „Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie, ale co ty możesz zrobić dla swego kraju”... Jednocześnie był najbardziej konserwatywnym izolacjonistą — Ameryka tylko dla Amerykanów, Amerykanie tylko w Ameryce. Oboje musieli się nieustannie utwierdzać w tych przesądach a la Monroe.

Nagle, z mieszaniną dumy i wstydu, Konstancja powiedziała (jakby go to dotyczyło):

— Jestem w ciąży. To dziewczynka.

I uciekła.

Robin odprowadził ją wzrokiem. Biegła ładnie, oczywiście jak na tak postawną kobietę.

Gdy weszła na schody, na których czekały na nią szczebioczące dzieci, on dotarł do samochodu i z zamyśloną miną przekręcił kluczyk w stacyjce.

5

Jechał, gdzie oczy poniosą.

Stany opuścił kilka miesięcy wcześniej i teraz kiedy znowu się tutaj znalazł, po odwiedzeniu tylu krajów, ogarnęło go dziwne uczucie. To nawet nie było wzruszenie. Przypominał sobie swoją pierwszą podróż do Europy i powrót. Wtedy, choć bardzo podobała mu się Kaplica Sykstyńska, Wersal, Hampton Court, Prado i Kreml, miał lzy w oczach, wchodząc do pierwszego z brzegu nowojorskiego *drugstores* i widząc tam *soda fountain* [Dystrybutor napojów gazowanych] oraz porozkładane na ladzie pojemniki z cukrem pudrem. Teraz świat coraz bardziej przypominał Amerykę i Ameryka stała mu się obojętna. Czy to naprawdę tutaj rozstał się z Konstancją? Niewiele małżeństw rozwodzi się z powodów politycznych. Ale czy naprawdę chodziło o politykę? Rozmyślał, zdając się na automatyczną skrzynię biegów i tempomat.

Dotankował samochód, ale nie dlatego, że bak był pusty, ale dlatego, że miał ochotę z kimś porozmawiać. Pracownik stacji benzynowej, wielki Murzyn, mówił raczej w *geechee* [Tutaj — slang czarnoskórych mieszkańców Georgii] niż po angielsku. Ta wierność dialektowi, którym z pewnością mówiono już tylko w Afryce, rozzłościła Robina. Zjadł szybki obiad w KFC pod portretem pułkownika Sandersa, autora przepisu na grillowane kurczaki. Nie podawano tam wina. Cóż za prowincjonalizm!

Musiał się zadowolić bezalkoholowym i nie nadającym się do picia piwem korzennym.

Wrócił do Savannah i przespacerował się po starych uliczkach, wytyczonych w XVIII wieku za pomocą sznurka. Gdyby nie subtropikalna flora, można by się tam poczuć jak w Anglii. Kolację zjadł w „Oberży Piratów”, nad którą łopotała czarna flaga z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Była to kiczowata restauracja dla turystów z dziećmi, ale tu przynajmniej można było zamówić wino. Turyści byli hałaśliwi, ich dzieci jeszcze bardziej. Robin przez chwilę poczuł wdzięczność dla Dawida i Konstancji — Robin IV i Christobel nie wrzeszczeli jak Siuk-sowie, opróżniając butelki coca-coli i pochłaniając hamburgery.

W drogę powrotną ruszył o zmierzchu zapadającym z szybkością kurtyny teatralnej, spoza której wyłaniało się pomarańczowo-seledynowe niebo. Żaby i świetliki rozpoczęły swój zwykły spektakl „światła i dźwięku”. W bagnach przeciętych wąską wstęgą szosy tętniło życie — kłębiły się tam aligatory i dziewięć gatunków jadowitych węży. Obok zaś powoli wyrastały z ziemi trujące dęby i bluszcze — wrogowie kochanków, jak ich nazwał Vladimir Nabokov, a zaimportowane z Australii *kudzu*, które miało walczyć z erozją, za pomocą swoich przysawek wspinało się po wszystkim, porastając krzewy, samotne drzewa, słupy telegraficzne, całe zagajniki i zrujnowane domostwa... Noc już zapadła, kiedy Robin wjechał do Atlanty — międzynarodowej ojczyzny coca-coli i CNN.

Rano znalazł w poczcie zaproszenie na koktajl humanitarny w Piedmont Driving Club, Mekce wszystkich światowców z Georgii. Z góry poczuł zmęczenie na myśl o toastach za zdrowie populacji, umierających z głodu gdzieś na antypodach, a jeszcze większe z powodu perspektywy spędzenia wieczoru w towarzystwie swoich świętoszkowatych lub naiwnych krajan, nie licząc różnych fanatycznych guru i kiepsko ubranych feministek. „Naprawdę — pomyślał — Klub nieźle

mnie wrobił, każąc zajmować to stanowisko”. Ale wiceprezes Bids for Kids nie mógł odrzucić zaproszenia prezesa fundacji Feel and Feed [Nazwa sugeruje organizację zajmującą się rozdawaniem żywności; można ją przetłumaczyć jako „Żywić ludzi, żywić współczucie”].

Czekała go miła niespodzianka. W eleganckim salonie umeblowanym osiemnasto- i dziewiętnastowiecznymi antykami na tle tłumu, kłębiącego się w takt ogłuszającego rocka, odcinała się kobieca sylwetka.

Była pięć lat starsza od Robina. Wysoka, z twarzą szeroką i kanciąstą, oczami przesadnie niebieskimi i o świdrującym spojrzeniu, ubrana w stalowoszary kostium o kroju sztywnym i odważnym zarazem, w spódnicy z rozcięciem, ukazującym nogi doskonałe od góry do dołu i w jedwabnej bluzce w kolorze brzoskwini, ozdobionej kokardą, której węzeł miał w sobie, nie wiedzieć czemu, coś prowokującego. Jej popielato-blond włosy, gęste i wyszczotkowane, opadały na czoło burzliwą falą, w której czuło się wielką witalność pomieszaną z pewną dozą artyzmu. Miała piękne dłonie, duże i silne, ozdobione drogimi pierścionkami — jeden z diamentem i drugi z szafirem w kształcie markizy. Emanowało z niej coś trudnego do zdefiniowania, co można było określić tylko jednym mianem: Jakość.

— Robinie, niech pan pozwoli, że panu przedstawię naszą wicehrabinę — zakrzyknął jowialnie prezes Feel and Feed.

W środowisku nigdy nie nazywano jej inaczej niż „wicehrabina”. Pochodziła ze starej rodziny z Kentu. Wyszła za mąż za bogatego marklera pochodzenia żydowskiego. Zyskała sobie wielką sławę, biorąc udział w niebezpiecznych misjach humanitarnych. Tytuł wicehrabiny otrzymała od królowej, z osobistej rekomendacji Margaret Thatcher. Od tamtej pory stała się *enfant terrible* Izby Lordów, w której nie ukrywała ani swoich reakcyjnych przekonań, ani wiary chrześcijańskiej zbyt żarliwej, by można ją nazwać cywilizowaną, która nie przeszkadzała jej

wspierać buddystów, fetyszystów lub muzułmanów, choć bywało to czasem niebezpieczne. Jako kobieta miała reputację osoby niewystępczej i nieprzystępczej.

— Ach, tak! Rober Chastow — powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. — Słyszałam o panu. Zajmuje się pan dziećmi.

Zdziwił się, że o tym. Ale ona wiedziała znacznie więcej.

— Głównie sierotami z Rosji, czyż tak?

— Próbuję dać im szansę lepszego życia niż zaciąganie się w wieku osiemnastu lat do służb specjalnych, o co zabiega ich rząd.

Uniosła prawą brew.

— W jednostkach składających się z ludzi pozbawionych rodzin. To musi być bardzo niebezpieczne, prawda?

— Właśnie. Ale nie jestem odpowiedzialny za nabór do armii rosyjskiej.

— Ma pan dzieci?

— Dwoje.

— To za mało.

Złościła go tym swoim brytyjsko-arystokratycznym akcentem.

— Musi mi to pani wybaczyć. Jestem rozwiedziony. I przeciwny płodzeniu bękartów.

— Cóż, w tym punkcie też się różnimy.

— Z jednym wyjątkiem, jak sądzę.

Podobno pochodziła od Wilhelma Zdobywcy. Spojrzała z większą uwagą na Amerykanina, który przecież jako Amerykanin powinien być ignorantem.

— A czemuż to, panie Chastow, jest pan przeciwny płodzeniu bękartów? Z przyczyn religijnych?

— Niezupełnie.

— Ale jest pan religijny?

— Niezupełnie.

- Skąd więc ta antypatia dla bękartów?
- Nie można grać jednocześnie w dwie różne gry.
- Tak frywolne wytłumaczenie tak poważnej kwestii?

Wicehrabina miała szczególnie sposób przyglądania się ludziom— jej spojrzenie było jakby serią kolejnych salw błękitnego światła, na przemian silniejszych i słabszych.

W środowisku anglosaskim dżentelmen ma obowiązek udawania nieśmiałości i pozostawiania inicjatywy damie, ale Robin postanowił kontratakować.

— A pani należy zapewne do bigotek? Która sekta jest pani ulubioną?

Tym razem uniosła lewą brew. „Tylko Angielki z dobrych domów, a szczególnie z południowej Anglii potrafią unosić brew tak naturalnie” — pomyślał.

— Proszę zgadnąć.

— High Church [High Church — tradycyjalistyczny odłam Kościoła anglikańskiego], rzecz jasna.

— To było łatwe. Zna pan tam wielu ludzi?

— Niestety, tak.

— I wciąż im się pan kłania w pas?

— A ma pani jakąś inną sugestię?

— Moglibyśmy zjeść razem kolację.

Ukrył zdziwienie.

— Jaką pani lubi kuchnię?

— Eklektyczną. Wiejska jest całkiem przyjemna.

Robin znał Atlantę jak własną kieszeń. Natychmiast pomyślał o „Aunt Fanny's Cabin” w stylu starego Południa, o „Dante's Down the Hatch” z aligatorami u stóp, o luksusowej restauracji „Bacchanalia”, urządzonej w dawnym magazynie, o „Floataway” z sugestywnymi materacami wyściełającymi ściany i łoskotem przejeżdżających obok pociągów towarowych (szczyt wyrafinowania) i o nieco niebezpiecznej

knajpce „Abdullah the Butcher”, prowadzonej przez dawnego zapaśnika, gdzie można było zapoznać się z *soul food*... [*Soul food* (ang.) — dosłownie: „pokarm dla duszy”; kuchnia ludności murzyńskiej]

— Moglibyśmy zamówić coś u Chińczyka — zaproponował — jeśli uczyni mi pani zaszczyt odwiedzenia mnie w moich skromnych progach.

— Doskonale.

Nie zawahała się ani przez moment. On zaś dorzucił:

— Proszę mi tylko pozwolić wykonać dwa telefony: do Chińczyka i do mojego portiera.

Tym gorzej dla Bids for Kids oraz Feel and Feed. Kilka minut przejażdżki turystycznej po mieście („Oto Omni, oto Fox, a tu świątynia, w której kazania wygłaszał Martin Luther King, a tu najwyższy hotel świata”) i *Intrigue* zatrzymała się w Ansley Park. Portier, w stosownej czapce i uniformie, jowialny i nieco poufały, czekał na nich na czerwonym dywanie pod czerwoną markizą, a w salonie apartamentu na piętrze kierownik chińskiej restauracji w białej marynarce zastawił stół, umieszczając w wiaderku z lodem szampana Bertrand-Devary rocznik 1984 i dyskretnie czekał, by podać koktajle.

Wicehrabina rozejrzała się uważnie. Wystrój był kosztowny i nowoczesny, ale nie zdradzał gustu — ani złego, ani dobrego. Żaden z przedmiotów nie został wybrany ze względu na swój wdzięk lub łączące się z nim wspomnienie. Ani jednego portretu czy fotografii. Wszystko w barwie kremowej, kości słoniowej, skorupki jajka i złamanej bieli.

— Czy to lupanar? Czy pańskie mieszkanie?

— Och, wicehrabino! Jest pani *shocking*, jak mawiają Francuzi.

— Proszę mi mówić Betty.

Dalszy ciąg konwersacji był już mniej lekki.

Betty mówiła wyłącznie o workach ryżu, lekach, szkoleniu techników, nawadnianiu pustyń, zakładaniu szkótek, organizowaniu ambulatoriów, o maszynach do szycia, komisjach, kontrolach, milionach dolarów. Cytowała Bossueta: „Dźwigajcie brzemień biedaka, ale wiedźcie, że odciążając go, odciążacie własne sumienie”. Opowiadała o swoich przygodach w Sudanie i w Armenii, a także w londyńskich norach wykorzystywanych do celów wyborczych przez „tłuste świnie” z Partii Pracy. Z humanitaryzmem rozprawiała się bez litości.

— Przede wszystkim — mówiła, gwałtownie rwąc na kawałki chleb i wycierając nimi sos od kaczki po pekińsku — humanitaryzm karmi się głodem. Gdyby na świecie nie było głodujących, do czego byłby potrzebny? Poza tym, organizuje nieprzyzwoite spektakle, które grają na uczuciach publiczności i przynoszą grube miliardy, tak, miliardy, organizatorom. A dokąd płyną te miliardy? W końcu, jest to najgroźniejsza broń silnych państw, które pod pretekstem niesienia pomocy słabym, wtrącają się w nie swoje sprawy. To się nazywa ingerencja. Jaki to ma związek, pytam, z nauką Chrystusa? Jeśli nie będziemy uważali, to wkrótce to wszystko przerodzi się w neokolonializm, jeszcze bardziej cyniczny niż dawny!

Robin nie mógł się przyznać, że jeszcze mniej niż ona wierzy w kłamliwy humanitaryzm.

— Dlaczego więc, Betty, zajmuje się pani działalnością, którą tak pani krytykuje?

— Dlatego, że obowiązkiem człowieka jest działać.

— A jaki jest najbliższy cel pani wyprawy? Zaczynało go to już nudzić.

— Czeczenia.

Ach!

Dziwne, ale coś w nim oczekiwało takiej właśnie odpowiedzi. To była część owego łańcucha zdarzeń, w którym tkwił od chwili eksplozji nieboszczyków oraz obiadu z Diwem.

Tak, właśnie tworzyła w Czeczenii kolejną NGO [NGO — skrót od angielskiej nazwy Non-Governmental Organization, czyli organizacja pozarządowa]. Ta NGO, pod nazwą Orphans Galore [Orphans Galore (ang.) — syte sieroty], miała się zajmować dziećmi, które wojna pozbawiła rodziców — rosyjskimi i czeczeńskimi, muzułmańskimi i chrześcijańskimi, „bo, rozumie pan, nie wolno robić różnic między dziećmi, a przecież mieszkający tam Rosjanie i tak są po części Czeczenami, a Czeczeni po części Rosjanami, a choć w przypadku chłopców od biedy można stwierdzić, kto jest muzułmaninem, to z dziewczynkami już nie ma szans... To powinno pana zainteresować, przecież lubi pan sieroty? Ale to będzie kosztowało mnóstwo pieniędzy”.

Wykręcił się od odpowiedzi.

— A pani ma dzieci, Betty?

— Sześcioro.

— I zamierza ich pani mieć więcej.

— Dałam już sobie spokój.

— Kocha je pani?

— Bezgranicznie.

— Ale nigdy ich pani nie widuje?

— Kiedy dzieci osiągają pewien wiek, to najlepsze, co matka może dla nich zrobić.

— Była już pani kiedyś w Czeczenii?

— Trzykrotnie. I zrozumiałam jedno: To nie jest wojna Czeczenii przeciwko Rosji lub Rosji przeciwko Czeczenii; to wojna brody przeciwko krótkiej spódniczce.

Odesłał Chińczyka i zaproponował koniak.

— Dziękuję. Dość już wypiałam. Kto idzie najpierw pod prysznic — pan czy ja?

Robin pomyślał o ceregielach, które z pewnością zafundowałyby mu

przedstawicielka jakiejś łacińskiej nacji i poczuł nawet lekkie rozczarowanie, bo tkwiący w nim kosmopolita zdążył się już przyzwyczaić do eleganckiego owijania w bawełnę. Jednak u Anglosasów bezpośrednie przechodzenie do sedna rzeczy łatwiej pozwala zachować godność.

Gdy już leżała w jego ramionach, najpierw upewnił się, że jest tak, jak podejrzewał — miała bardzo piękne nogi. Nogi kobiet zawsze go wzruszały, napotkane w tekście angielskie słowo *leg* przyprawiało go o erotyczny dreszcz, sugerując kształt opisywanego przedmiotu, (ale francuskie *jambe* lub słowiańska *noga* nie robiły na nim wrażenia, choć znał rosyjski i francuski równie dobrze jak język ojczysty). W chwilę potem wyszeptał szelmowsko:

— Wiesz, Betty, że jesteś moją pierwszą wicehrabiną?

Spodziewał się policzka. Wicehrabiną odparła jednak:

— No cóż, w takim razie dowiedz mi tego, amerykański chłopczyku.

Powstrzymała go jeszcze na chwilę, żeby chrapliwie wymruczeć:

— Jeśli byś przystąpił do Orphans Galore... to ile byś... wpłacił?

Zatkał jej usta.

*

Wstał w środku nocy (Betty pochrapywała delikatnie) i poszedł zajrzeć do swego komputera, gdzie na maila sływały informacje o aferze zabójczych nieboszczyków.

W algierskim dzienniku „An Nasr” pojawił się krótki wywiad z anonimowym dowódcą czeczeńskim obcego pochodzenia, posługującym się pseudonimem *Szahid*, czyli Męczennik. Arabski „termometr” Robina przesyłał tłumaczenie artykułu.

Sprawiedliwość Allana zadała potężny cios — powiedział Szahid, z którym przeprowadziliśmy wywiad w jego tajnej kryjówce w górach.

W czasie wojny w Afganistanie generał Bezborodko, wówczas kapitan, a potem major, kazał polewać ciała poległych w walce mudżahedi-
nów pewną chemiczną substancją, która zmieniała je w bezkształtną
masę, czyniła nieczystymi i uniemożliwiała im wstęp do raju Allana. W
ten sposób chciał pozbawić naszych żołnierzy morale. Teraz to on i jego
towarzysze zostali rozerwani na tysiąc kawałków. Chrześcijański Bóg
będzie miał spory problem z odnalezieniem ich w całości w dniu
wskrzeszenia z martwych. *Allahu akbar* [Bóg jest wielki] .

Robin, wciąż zupełnie nagi, przeczytał tekst ponownie. Co za pomy-
słowa zemsta! Co za cierpliwość! I co za gotowość do poświęcenia
ukryta w pseudonimie „Męczennik”!

Jeśli operacja „Śmiertelna rana” miała kiedykolwiek zostać prze-
prowadzona, to jej wykonawca właśnie się znalazł.

6

Szalony Algierczyk lubił się umawiać na spotkanie w zoo w Atlancie.

— Tu mogę się wtopić w tłum małp!

Faktycznie, ten mały człowieczek z okrągłą czaszką, krzaczastymi brwiami, krótkim nosem, wysuniętą szczęką i długimi rękami był nieco podobny do małpy, ubranej w dzinsy i koszulę w kratkę, małpy, której oczy przesłaniały okrągłe szkła, grube jak szyby kuloodporne.

Gestem wskazał na skałę, po której przechadzały się pawiany.

— Czyż nie wygląda na jednego z nas?

— Tak — odparł Robin. (Było to jedno z owych „tak”, które oznaczały „nie”). — Ale nie wiem, jaki kolor ma pański tyłek.

Szalony Algierczyk wrócił do spraw poważniejszych.

— Dostałem przesyłkę. Nie ma tam nic ciekawego. A rosyjski znam świetnie. Czerwoni mnie nauczyli, kiedy jeszcze marzyli o tym, że dotrą aż do Maghrebu. Biedni czerwoni! Jedyne, co mogę panu powiedzieć, to że komputery telewizji, radia i banku tych pańskich Bojarów obsługiwane są przez ten sam serwer, który nazywam „Myszką” — od nazwy pałacu Myszkiniów. To zresztą całkiem spora mysz, chroniona przez wszelkie możliwe *firewalls*. Nie wiem, czy chodzi panu o atak czy o zwykłe włamanie. Jeśli o atak, to nie mogę dać gwarancji, że się powiedzie, ale mamy jeszcze inne możliwości: *flood* i *mail bombing*, które spowodują zatkanie serwera, *nuke*, którego skutki są wkurzające, ale przejściowe, *scanner*, który ma charakter wyłącznie rekonesansu,

sniffer, który przechwytuje informacje docierające do serwera, oraz *spoofing*, który pozwala się pod niego podszyć. Okej?

Robin nie zrozumiał z tego ani słowa.

— Jaka jest różnica między atakiem a włamaniem? — spytał, zadržując się przy wybiegu dla hien.

Istnienie zwierząt tak brzydkich, tak cuchnących i posługujących się tak niemelodyjnym głosem wydawało mu się mocnym dowodem na nieistnienie Boga.

— Sądząc po wcześniejszych zleceniach, nie chodzi o coś tak prymitywnego jak atak — podjął Szalony Algierczyk. — Pan chce zdalnie kierować „Myszka”, skopiować jej katalogi lub je skasować, przechwytać hasła. Krótko mówiąc, chce pan wiedzieć to, co wie ten serwer i wykonywać na nim wszelkie operacje, jakie panu przyjdą do głowy. Okej?

— Tak — rzekł Robin.

Rzucił słoniowi jabłko, które ten pochwycił trąbą i głośno zatrąbił, co pewnie miało znaczyć *thank you*.

— W takim razie — ciągnął Szalony Algierczyk — musimy do „Myszki” wprowadzić trojana. Najlepszego stworzyła grupa hakerów, którzy nazwali się „Kultem zdechłej krowy”. I wie pan, jak nazwali swojego konia trojańskiego?

— Jak?

— „Odylcówka”.

— Nie jestem pewien, czy chwytam aluzję.

— Twierdzą, że są w stanie zgwałcić od tyłu każdy serwer na świecie.

— Spróbuje pan?

— Oczywiście. Ten program nie jest wirusem. Nie jest nawet tajny.

— No cóż, życzę powodzenia.

— Cena ta sama co zawsze?

— Z premią, jeśli się uda.

Robin przystanął obok fosy, w której jakiś zapaśnik szykował się do walki z aligatorem.

— Wie pan, co nas różni, pana i mnie? — spytał Szalony Algierczyk.

— Proszę powiedzieć.

— Ja być może wyglądam jak małpa, ale pan jest tylko *Homo sapiens*, ja zaś jestem już *Homo informaticus*.

Wciąż się śmiejąc, wykonał obsceniczny gest środkowym palcem. Gest, który — jak pomyślał Robin — pokazywali sobie kolejno wszyscy bohaterowie ewolucji: *ergaster habilisowi*, *erectus ergasterowi* i człowiek z Cro-Magnon Neandertalczykowi.

*

Szalony Algierczyk do Roberta C. Chastowa III, e-mail:

Przykro mi, *Homo informaticus* za wcześnie się chwalił. Firewalli „Myszki” są zbyt szczelne, kody zbyt złożone, a hasła zbyt przypadkowe i nie pochodzące z żadnego słownika. „Myszka” jest w dodatku wyposażona w system obronny Antygen, Back Orifex lub Bo Freeze i trojan nie mógł się przedrzeć. Co więcej, mała spryciara jest agresywna. Otrzymałem pocztą zwrotną pakiet celowo źle sformatowanych informacji, które by mnie zablokowały, gdybym nie zareagował odpowiednio szybko. Załączam fakturę. Bez premii (szkoda).

7

Porażka Szalonego Algierczyka nie rozczarowała Robina. Był pewny, że zwykłe informatyczne piractwo nie jest wystarczającą metodą na Bojarów. Gdyby ich tajemnice były tak łatwe do wyświeślenia, musiałby sobie poszukać innego celu. Ripostę serwera „Myszka” przyjął wręcz z ulgą. Teraz można już było przejść do operacji „Śmiertelna rana”, w której powoli rysował się już łańcuszek powiązań: Bojarzy — Szahid — Wicehrabina.

*

Ilekoć Robin zbliżał się do Varsity — jednego z najpiękniejszych kwiatów *Ivy Lique* [Dosłownie „Liga Bluszczowa” — nazwa stowarzyszenia najstarszych i najbardziej prestiżowych amerykańskich uniwersytetów] w samym środku zielonej Nowej Anglii — czuł na plecach dreszcz lęku i oczekiwania.

Nie tylko dlatego, że w każdym z zakątków tego czworoboku budynków spotykał samego siebie — takiego, jakim był przed dwudziestu laty, a dla czterdziestolatka taka konfrontacja z bezkształtną istotą, którą się kiedyś było, jest zwykle niepokojąca. Nie tylko dlatego, że Varsity pozwoliło mu odkryć swoją drugą naturę, którą była kultura. Może nieco bardziej dlatego, że właśnie w Varsity odbył pierwsze walki z sobą samym i że były to walki zwycięskie. Ale przede wszystkim dlatego, że

tu został *born again* — narodzony na nowo i to nie w baptystycznym sensie tego słowa, ale w życiodajnym łonie Klubu.

Przy wjeździe do kampusu rozpoznał miejsce, gdzie za jego czasów studenci uzbrojeni w wypełnione piwem pistolety na wodę zaatakowali grupę starych bigotek w czarnych mantylkach, udających się na jakieś nabożeństwo, co spowodowało spore zamieszanie w mieście. Z pewnością wyszli oni właśnie z „Black Jacka” — tawerny, której dębowe stoły zostały pracowicie wygrawerowane przez studentów upijających się tam od 1850 roku (napis wyryty przez Robina dawał się odczytać do tej pory). Nieco dalej ciężarówka dostawcza władowała się w wózek sprzedawcy lodów, co wywołało na uniwersytecie prawdziwe powstanie. W podłużnym budynku po prawej znajdowała się pływalnia, gdzie pewnego dnia grupa dziewcząt, nowo przyjętych na Varsity w ramach „ko-edukacji”, siłą rozebrała do naga kilku chłopaków. Dalej znajdował się akademik dziewcząt, do którego chłopcy się włamywali, unosząc łup w postaci koronkowych majtek. Po lewej zaczynała się aleja konfraterni Kappa Alpha, Sigma Alpha Epsilon, Phi Delta Theta, Alpha Tau Omega, Sigma Mu, gdzie mieszkali szczęśliwi wybrańcy, zwani „Grekami”. Naprzeciwko wznosiły się zabudowania o charakterze religijnym, w których baptyści, presbiterianie, metodyści, unitarianie, katolicy i anglikanie dysponowali osobnymi pomieszczeniami do swoich modłów. Robin prowadził powoli wypożyczoną Intrigue między zielonymi trawnikami, na końcu których widniały pokryte bluszczem budynki college'ów — jedne ze skromnej cegły, pochodzące z XVIII wieku, inne z okazałego kamienia, oddające hołd neogotyckiej modzie wieku XIX, jeszcze inne ze szkła i betonu — inkarnacja stylu agresywnie nowoczesnego. Robin poczuł napływ dumy, że był kiedyś członkiem tej Skarbnicy Wiedzy, której dewizą był cytat z Ewangelii świętego Jana, rozdział 7, wers 32: „Prawda was wyzwoli”. W jego życiu nie było nic ważniejszego od Varsity. Nic poza Klubem, a Klub był duszą Varsity.

Co za szczęście, że nie musiał się nudzić w Harvardzie, deprawować w Yale, kompromitować w Princeton lub — co chyba byłoby najgorsze — deklasować w Berkeley lub w Columbii! Co za radość, że wysysał soki wiedzy właśnie tutaj, gdzie smakują one najlepiej i są najbardziej odżywcze — w Varsity, po prostu w Varsity (nikomu z absolwentów szkoły nie przyszłoby nigdy do głowy posługiwać się oficjalną nazwą uczelni).

Na skrzyżowaniu Robin zwolnił jeszcze bardziej, żeby z daleka przyjrzeć się sześciennemu budynkowi z czarnego marmuru (za chwilę miał się tam udać) z kopułą z pleksiglasu, nazywanemu nieco niestosownie Kaabą. To tam umarł dawny Robin i narodził się nowy. Ponury refleks błyszczących w słońcu płyt kolejny raz wywołał w nim uczucie niepokoju. Kaaba to było wszystko, w co wierzył, wszystko, co nadało jego życiu sens.

Przejeżdżając obok budynku, skłonił lekko głowę na powitanie, niczym Bretończyk żegnający się pobożnie na widok krzyża.

Na końcu alei zaczynała się ulica, przy której stały rezydencje profesorów — aktywnych zawodowo i emerytowanych. Najmniej pretensjonalna z nich — jednopiętrowy wiejski domek z cegły, ocieniony dębami i oplatany bluszczem, z pięcioma uchylnymi oknami wychodzącymi na skromny trawnik, po którym hasały wiewiórki i chipmunki [*Chipmunk* (ang.) — zwierzątka charakterystyczne dla Ameryki Północnej, z wyglądu przypominające małą wiewiórkę] — należała do „Dr Kirsten O. Kirsten”, dziekana (pani dziekan?) Varsity, już na emeryturze, ponieważ zrezygnował (zrezygnowała?) z działalności dydaktycznej.

Robin zadzwonił.

Doktor Kirsten otworzył drzwi.

Przy swoim małym wroście, z ciężką, nieco przekrzywioną na bok głową, krótko (choć nie nadmiernie) przyciętymi, szpakowatymi włosami, binoklami na bladej twarzy o zamazanych rysach, opadającej na podgardle niczym zbyt wielka kominiarka, ubrany w bezkształtne swetry

i marszczące się spodnie, wyglądał jak karzeł — karzeł, który w dodatku jest hermafrodytą. Anglosaskie nazwisko „dr Kirsten” pozwalało nie zwracać się do niego ani *Sir*, ani *Ma'am*; mówiąc o nim w trzeciej osobie, unikano też zaimków „on” lub „ona”. Jego wielbicielowie mówili „doktor Kirsten”, ci, którzy nim gardzili, używali zaimka *it* — „to coś”.

Wszystkie pomieszczenia domku były maleńkie, a najmniejszy był gabinet. Doktor Kirsten pchnął Robina na krzesło wciśnięte pomiędzy dwie półki z książkami, a sam wtłoczył swój wielki tyłek w fotel uwieczony za maleńkim biurkiem, ustawionym bokiem do okna. Niektóre wydarzenia świata decydowały się właśnie przy tym biurku.

Robert C. Chastow III i Kirsten O. Kirsten spojrzeli na siebie przeciągle.

Jeden z nich był ojcem intelektualnym (jeśli nie duchowym) drugiego.

Stało się to zupełnie zwyczajnie. Klub jest dosyć elastyczny i ten, kto werbuje, może stać się „oficerem prowadzącym”, niekiedy nawet na całe życie, gdyż wzajemne zaufanie to kapitał, który najtrudniej zdobyć. A bardzo ułatwia życie, pozwalając się obywać bez haseł i znaków rozpoznawczych.

Robina łączyła z dr Kirstenem głęboka więź, w której nie było jednak sympatii. Pierwszy z nich wolałby podlegać postaci mniej dwuznacznej i o pochodzeniu anglosaskim, a nie niemieckim. Drugi czułby się swobodniej w towarzystwie ucznia o skromniejszym pochodzeniu. Pomijając wszystko inne, Robin czuł pewne obrzydzenie do ponurego wyglądu dr Kirstena. Skoro osoba, która osiągnęła pierwszy stopień inicjacji (stopnie te liczone od trzynastego do pierwszego), będąca jednym z Trzynastu Patriarchów (tak nazywano kierujących Klubem), a zatem mająca dostęp do pełni prawdy — tej prawdy, która ma „wyzwalać”, więc skoro taka osoba nie manifestuje szczęścia, to rzuca cień wątpliwości na wartość całego przedsięwzięcia. Jednak co do samej

istoty sprawy, przełożony i podwładny byli tak zgodni, jak zgodni są mistrz, który wie, i uczeń, który dopiero wiedzę zdobywa.

— A więc, doktorze Kirsten?

— A więc, Robinie?

Głos dr Kirstena brzmiał jak coś pośredniego między skrzeczeniem a krakaniem. Na jego podstawie trudno było snuć przypuszczenia na temat jego płci.

— Jak zdrowie?

— Nienajgorzej. A co u ciebie? Jak cię świat traktuje? Żadnych nowych zawodów małżeńskich?

— Moja była żona jest w ciąży. Będzie miała córeczkę.

Dlaczego Robin poczuł potrzebę tego wyznania? W dodatku z ironicznym grymasem na twarzy? Oczywiście, dr Kirsten musiał o nim wiedzieć wszystko, musiał znać nawet najbardziej intymne szczegóły, ale ta wiedza nie musiała rozciągać się aż na przyszłe potomstwo ekszony. Czyżby ta „wpadka” była wynikiem cierpienia, z którego Robin nawet nie zdawał sobie sprawy? Doktor Kirsten nie podjął tematu, zadowolając się kiwnięciem głową ze zrozumieniem i delikatnie przeszedł do innych kwestii.

— I co? Masz coś nowego w sprawie „Śmiertelnej rany”?

— Tak, jeśli *Nine-Eleven* nie zmienił naszych planów.

Kirsten zmrużył oczy ukryte za okularami.

— *Nine-Eleven*? Dlaczego?

— Sam prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki wreszcie uświadomił sobie realność zagrożenia islamskiego, a co za tym idzie, nie tylko priorytety polityki amerykańskiej zmienią miejsca na liście, ale i jej imperatywy mogą zmienić znak.

Robin wypowiedział to zdanie afektowanym tonem, często używanym przez członków Klubu, gdy mowa była o prezydencie. Doktor Kirsten odparł:

— Jestem zszokowany. Czyżby Klub miał coś wspólnego z błazeństwami Klauna?

Członkowie Klubu mówili o prezydencie *Clown*, gdy nie był ich

człowiekiem, oraz *Goat* (koziół — w domyśle: ofiarny), gdy był. Lubili przypominać, że wiceprezydent Harry Truman, mimo choroby Roosevelta, nie został poinformowany o projekcie bomby atomowej, Eisenhower nie wiedział nic o *Single Integrated Operational Plan*, który przewidywał zniszczenie jednej czwartej ludzkości, Carter nie miał dostępu do informacji na temat UFO, a Clinton zwrócił się do pewnego wysokiego funkcjonariusza z prośbą, żeby poszukał w Ministerstwie Sprawiedliwości informacji o tym, kto zabił Kennedy'ego.

Robin rozłożył ręce w humorystycznym geście, dając do zrozumienia, że nie zamierza się spierać z oceną swoich przełożonych.

Doktor Kirsten poprawił się w fotelu, krzyżując ramiona i wsuwając dłonie pod pachy, w postawie mentorskiej, którą przyjmował na zajęciach, gdy wykładając Arystotelesa, Machiavellego czy Hobbesa, czuł, że uwaga studentów rozprasza się i chciał ją skupić na idei, którą planował im zaszcześcić. Binokle zsunęły mu się na sam czubek obwisłego nosa. Zmierzył Robina spojrzeniem, przyjmując jedną ze swych najbardziej belferskich min.

— Nie chciałbym cię nudzić przypomnianiem rzeczy oczywistych, ale członek Klubu, który dotarł do prestiżowego, trzeciego stopnia wtajemniczenia, powinien wiedzieć, że to, co myśli, mówi lub robi Klaun, ma znaczenie bardzo względne, bo on myśli, mówi i robi wyłącznie to, co mu każe myśleć, mówić i robić horda sprzedawców broni, przerwa-tyw, psiej karmy, specyfików na nagniotki, wirtualnych obrazków i akcji na giełdzie. Jasne?

— Jasne.

— Członek Klubu, który dotarł do prestiżowego, trzeciego stopnia wtajemniczenia, powinien też wiedzieć, że w 1973 roku Nicholas Murray Butler, przewodniczący Council for Foreign Relations [Rada Spraw Zagranicznych — stowarzyszenie mające kształtować amerykańską politykę zagraniczną] oświadczył: „Komunizm jest narzędziem, za pomocą którego

zniszczymy rządy narodowe i stworzymy rząd ogólnoświatowy, policję ogólnoświatową i ogólnoświatową monetę”. To właśnie dzieje się na naszych oczach. Jasne?

— Jasne.

— Mam nadzieję, że pamiętasz także, jak w 1953 roku Senat Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej usłyszał z ust Jamesa Paula Warburga, członka zarządu Banku Kuhn and Loeb prorocze słowa: „Chcemy czy nie, będziemy mieli rząd ogólnoświatowy. Jedyna wątpliwość dotyczy tego, czy stanie się to w sposób agresywny, czy pokojowy”. Jasne?

— Jasne — odparł Robin machinalnie, choć tkwiącego w nim Południowca złościł ten niedelikatny sposób, w jaki jankesi z góry zakładali, że rozmówca się z nimi zgodzi.

— I może pamiętasz, jak w 1978 roku Edmund Rothschild, nie owijając w bawełnę, oświadczył: „Zamkiem, który teraz należy sforsować, jest naród”. Jasne?

— Jasne, jasne, doktorze Kirsten. Zawsze mnie zdumiewa ta pańska niesamowita pamięć do nazwisk, dat i cytatów.

— I pewnie masz w pamięci deklarację, którą w czerwcu 1991 roku złożył David Rockefeller, prezes Council for Foreign Relations i Komisji Trójstronnej: „Ponadnarodowe zwierzchnictwo elity intelektualnej oraz światowych bankierów jest bezsprzecznie lepszym rozwiązaniem od praktykowanych od wieków formacji narodowych”. Jasne?

— Jasne — westchnął Robin zrezygnowany.

— Proszę więc użyć mózgu, tego „domyślnego aparatu do myślenia”, jak mawia Bierce. Chyba jest oczywiste, że w tych okolicznościach zmiany orientacji politycznej Klauna i jego błazeńskiej świty, zawsze przesadne i efemeryczne, nie mają dla nas żadnego znaczenia. To, co robiono przeciwko Rosji przy pomocy islamu, w niczym nie przeszkadza temu, co zostanie zrobione przeciwko islamowi przy pomocy Rosji i *vice versa*. Tylko konflikt przeciwieństw prowadzi do zmiany — to jeden z aksjomatów. Tak, islamiści zrobią jeszcze na

świecie trochę zamieszania, ale to nie miliard brodaczy zmieni bieg tej planety, nawet jeśli wysadzą jeszcze parę rzeczy w powietrze. Islam nie jest narodem. A jak zauważył Rothschild, zamkiem, który trzeba wyważyć, nie są sekty religijne, które podobnie jak banki mają charakter międzynarodowy, ale narody — zakotwiczone na konkretnym terytorium i w konkretnym ludzie. Słowo „nacjonalista” już stało się słowem obraźliwym. I bardzo dobrze.

— Bezsprzecznie.

— Czy potrafisz jeszcze powtórzyć Lekcję, której ci udzielono, gdy byłeś przyjmowany na czwarty stopień wtajemniczenia?

— „Stany Zjednoczone wypracowały model społeczeństwa idealnego i ich moralnym obowiązkiem jest zaproponowanie go innym krajom, a w razie potrzeby narzucenie go siłą”.

— I wywnioskowałeś z niej legitymizację moralną dla hegemonii amerykańskiej, która została wyłożona w lekcji poprzedniej?

— Znam dialektykę Klubu.

— Ale kiedy dotarłeś do trzeciego stopnia...

— Po raz kolejny stwierdziłem, że Lekcje zawierają się jedna w drugiej, na kolejnych poziomach przekraczając swoje granice lub sobie przecząc. Nie boję się matriszek, doktorze Kirsten. Lekcja trzeciego stopnia mówi, że hegemonia amerykańska jest tylko krokiem w kierunku rządu ogólnoswiatowego, w którym nawet Ameryka musi się roztopić, amerykański model społeczeństwa nie jest modelem absolutnym, ale przejściowym, a my musimy się przygotować na zmiany bardziej fundamentalne niż powszechna ekspansja demokracji reprezentatywnej, która jest warunkiem przyszłego postępu, jaki przyjdzie nam poczynić.

— Bardzo dobrze. Jesteś świetnym uczniem, Robinie. Ale pewnie już nie pamiętasz Lekcji piątego stopnia?

— „Ludzkość nieustannie wznosi się ku górze. Na jej drodze pojawiają się przeszkody. Te przeszkody należy eliminować, nie poddając

się uczuciu litości lub źle pojętego zrozumienia. Na pohybel feudałom i antropofagom. Przeszkody tkwią najczęściej w społeczeństwach — tradycyjnych, przesądnych, zacofanych, fanatycznych...”

— Wiesz, jak Bierce definiuje fanatyka: „Osoba uparcie obstająca przy poglądach, które nie są wasze”...

— „...najczęściej arystokratycznych...”

— I wiesz, co on myśli o arystokracji: „Jeśli chodzi o sens wyrażenia «rządy najlepszych», to jest on już mocno zwietrzały; podobnie jak ona sama”.

— „... lub teokratycznych. Niektóre z nich są bardziej niebezpieczne od innych, gdyż opierają się na lepiej prosperującej gospodarce. Należy je unieszkodliwić, poczynając od najpotężniejszych z nich”.

— Tak. Wiesz, gdzie i kiedy Klub przeprowadził najpiękniejszą operację tego typu?

— Domyślam się. Mój dziadek nauczył mnie, że Ameryka zawsze miała tylko jednego naprawdę groźnego wroga.

— Tak, rozumiał to, ale być może nie do końca zdawał sobie sprawę, dlaczego. Musiał myśleć powierzchownie — o demografii, zasobach naturalnych, postępie ekonomicznym i społecznym, jaki dokonał się w Rosji na początku XX wieku. Dla niego Rosja musiała być konkurentką, rywalką. My zdaliśmy sobie sprawę z czegoś, co nazywam „myślą rosyjską”, a co jest nieskończenie bardziej niebezpieczne. Twój dziadek nigdy nie wykroczył poza piąty stopień wtajemniczenia. Ty jesteś bardziej zaawansowany od niego.

To był szok, na który Robin nie był przygotowany.

— Jak to? Zawsze sądziłem... On mi dawał do zrozumienia... że jest jednym z Trzynastu Patriarchów...

Doktor Kirsten pokiwał swoją ciężką głową.

— Nie, Robinie. Był niezwykle uzdolniony, ale miał swoje ograniczenia. Nie można wtajemniczać ludzi, których miarą możliwości jest

zrozumienie. To cena unikania zdrady powodowanej dobrymi intencjami. To jedyny prawdziwy sekret Klubu.

— Dziadek nigdy nie zdradziłby Klubu, doktorze Kirsten!

Hermafrodyta westchnął tak głęboko, że powietrze przecisnęło się przez jej gardziel z głośnym świstem.

— Czy zawsze wiadomo, kto dopuszcza się zdrady?

Podparł się łokciami na swoim maleńkim biurku.

— No dobrze, Robinie. Porozmawiajmy o „Śmiertelnej ranie”. W końcu po to się spotkaliśmy.

*

Słońce chowało się już za złociste dęby i szkarłatne klony, kiedy zjadłszy kolację złożoną z kilku kanapek popitych kiepską kawą, Robin opuścił domek dr Kirstena.

— A propos — rzucił doktor Kirsten jakby od niechcienia, ściskając mu dłoń na progu — przed odjazdem zajrzyj do Kaaby. Czekają tam na ciebie Lekcja drugiego stopnia.

Robin kompletnie zgłupiał i milczał z otwartymi ustami. Doktor Kirsten spuścił oczy i zaśmiał się sztucznie. W tym śmiechu dało się wyczuć powątpiewanie.

— Tak... Patriarchowie podjęli decyzję na posiedzeniu plenarnym. Dotarłeś do przedostatniego stopnia wtajemniczenia. Jeśli o mnie chodzi, to nie jestem pewien, czy to rozsądne... Zrobiłeś w Klubie prawdziwie błyskawiczną karierę — dwanaście stopni w dwadzieścia dwa lata... Mówię otwarcie: głosowałem przeciwko. Ale decyzja została podjęta. Pewnie z góry założyli sukces „Śmiertelnej rany”. Powodzenia.

8

Robin zaparkował przed Kaabą.

Nim wysiadł, długo przyglądał się zwińczonemu przezroczystą kopułą klockowi z czarnego marmuru, w orbicie którego od dwudziestu lat toczyło się jego życie. Nie, jeszcze dłużej. Odkąd Dziadek zaszczeplił Kaabę w jego wyobraźni, kiedy Robin chodził jeszcze do szkoły podstawowej w Vidalii — tam, na dalekich peryferiach Południa. „Powiedz, Dziadku, co jest w tym wielkim, czarnym domu bez okien, o którym tyle mi opowiadasz. — Nie wolno mi, Robinie. Pewnego dnia, sam zobaczysz...”. Czemu bez okien? To nienormalne — taki ślepy dom. Jako dziecko miał na jego temat koszarne sny; gdy był nastolatkiem, śnił o pasowaniu na rycerza (ceremonii dokonywał nieco odmieniony Dziadek) lub o nocach Walpurgii kipiących budzącą się w nim zmysłowością, po których budził się zupełnie rozbity.

Kiedy pierwszy raz przekroczył ciężkie, stalowe drzwi, uzbrojone w trzy kłódki i komplet zaników, sny i koszmary zniknęły na zawsze.

Dziś już nie było kłódek, zamek był elektroniczny (za klucz służyła plastikowa, perforowana karta, dodatkowo zabezpieczona kodem cyfrowym), a drzwi były trzy razy grubsze — jak w bankowym skarbcu. Klub zawsze szedł z postępem. Trudno się było powstrzymać od pytania, czy ta techniczna ewolucja na dłuższą metę nie pociągnie za sobą ewolucji celów. Nie było bowiem wiadomo, czy na najwyższym poziomie doktryna Klubu wciąż była taka sama jak ta, która towarzyszyła

powstaniu Klubu w dziewiętnastowiecznych Niemczech (dokładna data była tajemnicą lub po prostu pogrzebana została w niepamięci).

Poszedł prawym korytarzem, który doprowadził go do pomieszczenia zwanego Poczta. Kolejny klucz, kolejny zamek cyfrowy. Otworzył swoją skrytkę. Wewnątrz znalazł brązową kopertę z zapisanym na niej zarezerwowanym dla niego numerem celi.

Mieszcząca się na pierwszym piętrze cela była czymś w rodzaju pokoju hotelowego z łazienką i minibarem z mnóstwem przekąsek i napojów. W szafie leżała piżama i bielizna na zmianę (rozmiar zawsze się zgadzał). Okno wychodziło na wewnętrzne atrium budynku, oświetlone światłem sączącym się przez kopułę. Przybory do pisania, kilka słowników. Żadnego telewizora ani telefonicznego gniazdka. Zakaz używania komórek.

Robin usiadł na łóżku i otworzył kopertę, powoli i starannie, żeby pozostawić ją możliwie „nienaruszoną”. Skrzywienie zawodowe. Równie starannie zaklejał listy.

W takiej chwili nie mógł nie zadać sobie pytania, w jaki sposób inicjacja drugiego stopnia wykroczy poza nauki stopnia trzeciego, w jakiej mierze im zaprzeczy i jak uzupełni lekcję, która opierała się na jednym, kluczowym słowie: globalizm. Robin czuł ciekawość, ale i ufność. Żaden z dotychczasowych jedenastu stopni go nie rozczarował.

Koperta zawierała cienką, podłużną książeczkę w kolorze kości słoniowej.

Na okładce z prawdziwej skóry cielęcej była wytłoczona dziwna, kubistyczna figura — jakby karta do gry. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak walet pik lub dama trefl, a w przeciwstawnych rogach widać było napis HOMO, będący imieniem karcianej postaci. Jednak po bliższym przyjrzeniu się i przedarciu przez labirynt linii krzywych i prostych, które postać przecinały, oczom oglądającego ukazywało się zupełnie co innego.

Przed wszystkim strona nie była podzielona symetrycznie na pół, a

obraz odwrócony jak w kartach do gry; przedstawiona na niej postać ukazana była w całości — od stóp do głów. Jej twarz była blada, oczy skośne i pozbawione wyrazu, nos negroidalny, usta subtelnie wykrojone z wystającymi z nich dwoma kłami wampira, wbitymi w jabłko, które postać trzymała w obydwu rękach; jedna z rąk była wielką dłonią małpy, druga zaś małą, wypielęgowaną i ozdobioną złotymi pierścieniami rączką o pomalowanych na krwistą czerwień paznokciach. Czarne, kręcone i upięte w górze włosy opadały na policzki jasnymi anglezami, na piersi splecione były w nieco ciemniejszy warkocz, na dole związany kokardą. Podbródek zdobiła mandaryńska bródka. Bezwłosy tors i biodra były całkiem nagie. Dwa wielkie cycki wisały niczym wykusz nad męskim członkiem, nieśmiało wychylającym głowę spomiędzy dwóch półokrągłych ud. Całość, ledwie odcinająca się od tła, na które składały pasy przechodzące od czerni do jasnej szarości, naszkicowana była bardzo delikatnie, za pomocą żółtawych, zielonkawych i czerwonych dotknięć pędzelka.

Robin otworzył książeczkę. Na pierwszej stronie widniały słowa:

Ecce homo

Druga strona była pusta. Na trzeciej zaś:

Et nil humani...

Rozpoznał styl redaktorów Lekcji (ciekawe, czy autorem nie był czasem sam dr Kirsten?). Cytaty rzadko były podawane w całości. Nie bez kozery Klub wymagał od swoich członków solidnego wykształcenia klasycznego. Jedna z pierwszych Lekcji zawierała jako epigraf niekompletne zdanie z Chestertona: „Różnica między katolikami a protestantami polega na tym, że jedni myślą w kategoriach *good* i *evil*, podczas

gdy drudzy...” (należało dopowiedzieć sobie: *right* i *wrong*) [Dobro-Zło; dobre-złe]. Inna przypominała niedokończony aforyzm Orwella: „Wszyscy są równi, ale...” („niektórzy są równiejsi od innych”). W obecnym przypadku należało najpierw przypomnieć sobie Piłata, a następnie Terencjusza: *Homo sum et nil humani a me alienum esse puto* — jestem człowiekiem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce.

Czwarta strona była pusta.

Na piątej widniał napis gotycką czcionką:

Alle Menschen sind Geschwister [Wszyscy ludzie są braćmi i siostrami].

Niemiecki jest chyba jedynym językiem europejskim, w którym istnieje słowo w liczbie mnogiej, oznaczające i braci, i siostry, bez określania płci. Angielskie słowo *sibling* jest mniej jasne, bo używane w liczbie pojedynczej i w sensie: „brat lub siostra”. Autor Lekcji lubił wyrażać się poprzez kruczki językowe, mające charakter pewnej przeszkody.

Robin przeczytał ciąg dalszy, strona po stronie, żadnej nie omijając — tak jak członkowie Klubu przysięgali czytać Lekcje, niczym w „ćwiczeniach duchowych” św. Ignacego Loyoli. Wtajemniczeni niższych stopni pozostawali w celi do momentu, aż nauczyli się treści Lekcji na pamięć. Wtedy prosili wtajemniczonego wyższego stopnia o stwierdzenie, że potrafią ją poprawnie wyrecytować. Ta zabawa mogła trwać tydzień lub nawet dłużej w przypadku tych, którzy dysponowali słabszą pamięcią. Poczynając od dziesiątego stopnia wtajemniczenia, wolno już było recytować Lekcję nie słowo w słowo, ale myśl po myśli. Od stopnia czwartego, wtajemniczony sam był swoim własnym egzaminatorem.

Przeczytawszy Lekcję do końca, Robin obliczył, że potrzebuje czterdziestu ośmiu godzin, żeby wszystko przetrawić. Ogólną ideę już ogarniał, choć wciąż nie w pełni.

Globalizm, na którym godzinę wcześniej dr Kirsten wyżywał się z takim zapałem, nie był ostatecznym (ani nawet przedostatnim) celem Klubu. Na drugim stopniu wtajemniczenia Klub stawiał sobie za zadanie bardziej fundamentalną metamorfozę, polegającą na sprowadzeniu wszystkich typów ludzkich do jednego jedyne go typu — Człowieka Totalnego, Człowieka Pełnego, Człowieka do Wszystkiego, Człowieka Androgenicznego, zdolnego do samodzielnego rozmnażania się — jedyne go człowieka wykorzystującego cały potencjał Człowieczeństwa. Żeby to osiągnąć, stosowane będą nie tylko radykalne metody krzyżowania ras, ale i wszelkie odkrycia nauki — zapłodnienie *in vitro*, operacje zmiany płci, manipulacje genetyczne, klonowanie. W tym celu Klub miał w najbliższych latach przyjąć w poczet swych członków jak najwięcej biologów i chirurgów. Z entuzjazmem cytowano Obadiaha Silasa Harrisa: „Rasa ludzka będzie ewoluowała w taki sposób, żeby stworzyć prawdziwą i właściwą sobie duszę. To jest przyszłość ewolucji człowieka. Skutkiem narodzin tej uniwersalnej duszy będzie ujednoczenie rasy ludzkiej, co stanie się początkiem nowej ery, jutrzeńką jedynej władzy nad światem”. Dalej autor książeczki tłumaczył to nieco dokładniej.

Ten rodzaj ewolucji jest niezbędny, gdyż to jedyne spos 6b, by uwolnić naturę ludzką od przekleństwa sprawiającego, że ludzie rodzą się różni. Należy jednak zauważyć, że pomimo niebywałych postępów nauki, pełen sukces nadejdzie dopiero za tysiące, a może nawet setki tysięcy lat. *Homo sapiens sapiens* istnieje od 30.000-35.000 lat, podczas gdy pierwsze ślady życia na ziemi datują się na okres sprzed nieco mniej niż czterech milionów lat. W tym przypadku długość poszczególnych okresów ma znaczenie względne i w ostateczności można by ową *reductio humanitatis ad hominem unum* potraktować jedynie jako metaforę, ale metaforę, której poświęcić należy wszystko, co mogłoby przeszkodzić w jej ucieleśnieniu — tak jakby faktycznie mogła się ona

ziścić. Tylko systematyczne i bezlitosne wyrównywanie różnic pozwoli ludzkości zbliżyć się, na tyle, na ile to możliwe, do absolutnej jedności, która stanowi jej entelechię. Los ludzkości ma, być może, kształt asymptoty. To jednak nie może być przeszkodą w dążeniu do urzeczywistniania go.

Robin nie był pewny, czy ten cel go zachwyca. Wyrównywanie środków — tak. Mieszanie cywilizacji i stworzenie jednej — tak. Zniknięcie narodów — tak. Krzyżowanie ras — tak. Ale ludzkość sprowadzona do jednego jedyne go osobnika, rozmnażającego się automatycznie w nieskończoność... Jedno go pocieszało: niezależnie od wysiłków, jakie zostaną włożone we wdrożenie tej Lekcji, jej skutki nie objawią się w pełni za jego życia.

W każdym razie, Klub miał rację — jego dziadek nigdy by nie zaakceptował ani nawet nie zrozumiał takiego ideału. „Toż to jakieś *science-fiction*” — roześmiałyby się. Dobrze więc, że pracował dla dobra Klubu na swoim piątym stopniu wtajemniczenia.

Robin włączył komputer i zaczął rozbierać tekst na czynniki pierwsze, żeby lepiej go zapamiętać. Nagle przerwał.

Skoro drugi stopień stawia sobie za cel absolutną unifikację ludzkości, to jaki może być cel pierwszego? I jeśli on, Robin, dotrze kiedyś do niego, jeśli stanie się Patriarchą, jakaż to najwyższa prawda zostanie mu objawiona? Poczul zawrót głowy, ale pomyślał, że nie do niego należy decyzja. Zaprzedał Klubowi swoją duszę, ciągnąc z tego wystarczająco dużo korzyści intelektualnych i materialnych. Nie mógł się teraz cofnąć.

Wrócił do pracy. Kiedy już sobie przyswoił treść książeczki, wrzucił ją do centralnej palarni dokumentów Kaaby.

9

Obrzuciwszy przelotnym spojrzeniem mały domek w Georgetown (początek XIX wieku, smukły, po jednym oknie wychodzącym na ulicę na każdym piętrze, wartość w okolicach miliona dolarów), Robin naciśnął guzik dzwonka. Dały się słyszeć dwie melodyjne nuty, po których nastąpił kobiecy i znacznie mniej melodyjny okrzyk:

— Jack, idź otworzyć. Przecież to do ciebie!

Wewnątrz trzasnęły jakieś drzwi.

Robin długo się wahał, zanim postanowił zaprosić Jacka Swellingtona na obiad do „Four Seasons”, odwiedzając go u jego sudańskiej kochanki, która zastąpiła kochankę koreańską (Jack pełnię sprawności zyskiwał wyłącznie przy kobietach kolorowych), czy też, zapowiedziawszy się telefonicznie, porywając go z domu legalnej żony, której Jack (zapewne przez nieuwagę) zrobił dwójkę dzieci, a która jako feministyczna *career-woman* drogo mu kazała za to płacić. Ostatecznie Robin pomyślał, że skoro „dom” Swellingtona jest miejscem, w którym ten ostatni czuje się najmniej „u siebie w domu”, to właśnie tu najchętniej spotka się ze swym dawnym kolegą. I tu też będzie najbardziej skłonny oddać mu przysługę.

Drzwi otworzyły się. Jack bardzo się zmienił. Na gorsze.

Jeszcze bardziej nieogolony, jeszcze bardziej rozchełstany i jeszcze bardziej cuchnący burbonem niż przed laty. I to miał być członek śmietanki towarzyskiej Nowej Anglii, dynastycznych elit Harvardu, OSS [Office of Strategie Services — organizacja wywiadowcza, która później przekształciła się w CIA] i CIA!

- Witaj, Swell!
- Kopę lat, Bob!

Robin wzdrygnął się na dźwięk tego zdrobnienia. Natomiast nie mógł sprawić Jackowi większej radości niż zwrócić się do niego: „Swell” [Swell (ang.) — znaczy szykowny, elegancki, fajny, pierwszorzędny]. Swell rozjaśnił się cały — w jego oczach była to ksywka jednocześnie poufała, arystokratyczna, optymistyczna i pochlebna.

- Wchodź, Bob. Włóż do środka.

Znad okularów w kształcie półksiężyców posłał gościowi przyjacielskie spojrzenie.

Przeszli od razu do salonu. W rogu znajdował się barek — prawdziwy barek z pubu, z obitą miedzią ladą, dystrybutorem do piwa i fotkami nagich dziewcząt na abażurze.

- Czego się napijesz?

Ze szklaneczkami w rękach usiedli na niskich fotelach przy niskim stole, na którym Swell natychmiast położył nogi w skarpetkach.

— Przejeżdżałem przez DC [DC (District of Columbia) — region administracyjny ze stolicą w Waszyngtonie]. No i pomyślałem sobie, że wpadnę uściśnąć grabę staremu kumpłowi.

— Taki kit to możesz wciskać *marines* — odparł Jack ze śmiechem.
— Nieważne, że odszedłeś z Firmy. I tak wiem, że przyjechałeś do mnie po informacje.

Swellington był kilka lat starszy od Chastowa i kiedyś pracowali w jednym biurze, ale Chastow opuścił CIA, gdy tylko Klub mu pozwolił, Swellington zaś czuł się tam jak ryba w wodzie, zwłaszcza że miał styl luzaka, który pozwalał mu się dogadywać z „mniejszościami” — Czarnymi, Latynosami, mieszańcami... Jego kariera przypominała zęby piły — najpierw marna, potem błyskotliwa (Somalia, Palestyna, Czeczenia),

ostatnio zaś katastrofalna — kompletnie spartaczył misję w Monterosso, ale jego reputacja była ugruntowana. Stał się specjalistą od spraw beznadziejnych i cokolwiek by zrobił, i tak nikt do niego nie miał o nic pretensji. W większości zawodów można znaleźć takich niezatapialnych nieudaczników.

— Najpierw mów, co u ciebie — powiedział Robin. — Jak żona?

— Bardzo dobrze, doskonale.

— To dobrze (w głosie zabrzmiała nutka współczucia).

— A dzieci?

— Bardzo dobrze, doskonale.

— Masz wspaniały dom.

— Tak, ale za to podatki...

— No i masz ciut daleko do Langley...

— Nawet nie mów! Cztery godziny jazdy dzień w dzień...

Twarz Swellingtona wydłużała się z każdym słowem, a ton wypowiedzi stawał coraz bardziej ponury. Z coraz większym zapałem sączył też burbona ze swego glinianego kubeczka, którego używał, żeby współbiesiadnicy nie widzieli, ile sobie nalewa.

— A jak twoja sudańska przyjaciółka? Nadal taka utalentowana?

Jack zerknął przez ramię, po czym zniżył głos.

— Wspaniała! Nawet sobie nie wyobrażasz! Czasem naprawdę rzuca mnie na kolana.

Ustaliwszy w ten sposób, że Swell miał nie tylko powody do zmartwień, ale i swoje małe rekompensaty, Robin zaczął snuć wspomnienia pełnej chwały przeszłości swego gospodarza. Major *marines*, którego uratował w Somalii, wciągając na linie do helikoptera; terrorysta palestyński, którego wysadził w powietrze za pomocą jego własnych ładunków wybuchowych; saudyjski finansista, którego wyłuskał z Czeczenii... Powoli zbliżali się do właściwego tematu rozmowy. Oczywiście, Swellington nie dawał się nabrać, ale lubił, gdy nim tak manipulowano.

Można to było porównać do przyjemności, jaką czerpie się z masażu. To także część *savoir-vivre'u* zawodowców. W końcu padło to oczekiwane zdanie.

— A propos Czechenii — rzekł Robin — nie wiem, czy czytałeś komentarz tego gościa na temat tych rosyjskich eksplodujących nieboszczyków.

— Którego gościa?

— No, tego, którego nazywają Męczennikiem. Miałeś okazję go spotkać?

Swellington zawahał się przez dziesiątą część sekundy, która pozwoliła mu podjąć decyzję, czy ma zaprzeczyć, czy powiedzieć, co wie.

— A, chodzi o Szahida! Tak, oczywiście.

— Jakie zrobił na tobie wrażenie?

— Charyzmatyczny. Hipnotyzujący. Ma umysł, z którym mógł ukończyć MIT *maxima cum laude*[Ukończyć z wyróżnieniem Massachusetts Institute of Technology]. Kompletny świr, rzecz jasna. Oddał nam liczne przysługi.

— Wciąż oddaje?

— Od czasu *Nine-Eleven* już nie. Otrzymaliśmy rozkaz zerwania takich kontaktów.

— Gdzie się z nim spotykałeś? W Czechenii?

— Żartujesz! Facet nie jest szalony.

— Czyli gdzie?

Swell pozwalał się prosić. Takie były reguły gry.

— A jak sądzisz?

— Stambuł?

— W dziesiątkę, Bob! Nie powinieneś był odchodzić z Firmy.

— A jak organizowałeś te spotkania w Stambule?

Tym razem Swellington zastanowił się nieco dłużej.

Przez jego umysł przeleciało tysiąc różnych myśli. Tajemnica, którą miał wyjawić (zakładając, że nie straciła na aktualności), nie była amerykańska, ale czecheńska. Problem Czechenów.

W każdym razie on, Swell, i tak był tam spalony i już nigdy nie będzie mógł pracować w Czeczeniu. Czemu więc nie zrobić przyjemności staremu Bobowi, który tak dobrze rozumie, że pani Swellington jest bezwzględnie toksyczna, podczas gdy Sudanka to geniusz w spódnicy lub raczej... bez spódnicy? Bob przyjechał, żeby się dowiedzieć, jak złapać kontakt z Szahidem. Dlaczego nie miałyby nawiązać kontaktu z Szahidem, skoro tak mu na tym zależy? Jak Bóg w niebie, trudno podejrzewać Boba o działania antyamerykańskie.

— Łaźnia turecka obok Błękitnego Meczetu. Kąpielowy o imieniu Baszir. Bardzo dobry kąpielowy, który mył mnie delikatnie jak niemowlaka. Hasło: bakszysz w wysokości pięciuset pięćdziesięciu pięciu dolarów i pięćdziesięciu centów. Znasz tę muzułmańską obsesję na punkcie piątki. Podawałem moje nazwisko — to znaczy to, które wtedy nosiłem, a także nazwę hotelu. „Chciałbym się spotkać z twoim bratem”. On: „Po co?”. W zawołanych słowach podawałem mu bardzo ogólną wskazówkę co do powodu spotkania. Potem już nie ruszałem się z hotelu. Dwa lub trzy dni później ktoś dzwonił i wyznaczał spotkanie. Szedłem sam, bez obstawy, bez broni. Szahid sam mnie znajdował.

Później rozmawiali jeszcze o tym i o owym, pomagając sobie nawzajem zatrzeć wspomnienie poprzedniego tematu. Wreszcie Robin zaczął zbierać się do wyjścia. Jack odprowadził go do drzwi, po przyjacielsku obejmując ramieniem. Czuł się wystarczająco arystokratycznie, żeby pozwolić sobie na taki anglosaski brak dystansu.

— Dobrze było cię zobaczyć, Bob. Często o tobie myślę i zastanawiam się, co porabiasz.

— Działalność humanitarna, przecież wiesz.

Swellington dotknął palcem wskazującym nosa.

— Myślałem, że DIA [Defence Intelligence Agency, National Security Agency] albo NSA... Ale w sumie, nie sędzę. Widzę cię raczej jako *free lancer* — takiego najemnika wywiadu.

— Czytasz za dużo powieści szpiegowskich, Swell. Zajmuję się rosyjskimi sierotami, to wszystko.

— No, jeżeli dlatego zamierzasz się spotkać z Szahidem, to chyba pomyliłeś adres, stary. On nie zajmuje się sierotami, on je produkuje.

Swellington klepnął Chastowa w plecy.

— Powodzenia, draniu.

— Dzięki, Swell.

Swell przybrał minę niewiniątka.

— Dzięki? A za co?

Robin także przybrał minę niewiniątka.

— Za poczęstunek, rzecz jasna.

Rozstali się niczym starzy przyjaciele, którymi wcale nie byli.

10

Wróciwszy do Atlanty, Robin spędził przyjemny wieczór w towarzystwie wicehrabiny, która zadreczęła sprawą Orphans Galore wszystkich snobów w Georgii. Wciąż była równie przystępna, idealistyczna i krzepka. Kiedy wydawało mu się, że dał jej wszelkie powody, żeby zapadła w słodki półsen, otworzyła swoje niezmiennie przenikliwe oczy.

— Mam dla ciebie propozycję.

— Znowu?

— Nie żartuj, głuptasie. Chodzi o dzieci z Czeczenii i o to, co my, chrześcijanie, możemy dla nich zrobić. Na pewno jesteś trochę chrześcijaninem, nawet jeśli o tym nie wiesz.

Dowiedziała się tego i owego o Bids for Kids. Robin mógł na trochę porzucić swoje zajęcia — jego asystentka z powodzeniem go zastąpi. W każdym razie, nie musiał się obawiać utraty posady — wicehrabina zasięgnęła też języka w sprawie jego osobistych środków do życia. W tych warunkach, czemu nie miałyby towarzyszyć jej w podróży do Czeczenii? Musiałby tylko wpłacić pewną sumkę jako wpisowe do Orphans Galore.

— Coś jak posag, tak?

— Coś jak posag.

— A czemuż to miałyby mi zależeć na wyjeździe do Czeczenii aż tak bardzo, żeby zapłacić za to, że mnie tam zatłuką?

Tym razem trzepnęła go w ucho.

— Żeby mi towarzyszyć. A także dlatego, że odkąd Stany Zjednoczone zmieniły front i stały się antyislamistyczne, Czeczenia jest

najbardziej opuszczonym miejscem na świecie. Rosjanie już nie muszą się hamować, a wahabici zostali spuszczeni ze smyczy. Dziś, Robinie, jeśli chce się zrobić coś dobrego dla dzieci, trzeba jechać do Czeczenii.

Nic nie było Robinowi bardziej na rękę niż taka właśnie propozycja, którą złożył na karb owego ciągu sprzyjających zbiegów okoliczności.

— A ile wynosi posag?

— Niewiele, bo wyobraź sobie, że mam wielką ochotę tam cię zabrać, mój amerykański chłopczyku. Czteryście tysięcy dolarów?

— Nie stać mnie na więcej niż dwieście tysięcy. Nie teraz.

— A gdybyś wziął pożyczkę?

— To wbrew moim zasadom.

— Tylko, że ja zasięgnęłam języka. Powiadają, że masz wielu bardzo bogatych przyjaciół. Mógłbyś ich poprosić o darowiznę na rzecz czeczeńskich sierot. Oczywiście, nie wspominając ani słowem o sierotach rosyjskich, bo daliby znacznie mniej. Dużo się o tobie mówi, Robinie. Podobno należysz do tajnego stowarzyszenia zwanego KI...

Robin kopnął koldrę i odrzucił ją.

— Milcz, Betty. Członkowie Klubu składają przysięgę, że nigdy nie będą brali ani czynnego, ani biernego udziału w jakiegokolwiek rozmowie o Klubie. To żelazna reguła. Jeśli powiesz na ten temat jeszcze choć słowo, będę musiał wyjść, co biorąc pod uwagę mój strój...

*

Na uniwersytecie Berkeley Robin był umówiony na spotkanie z doktor Marjorie B. Fisch, osobką o niezdecydowanym kolorze skóry, co przypomniało Robinowi niezrównaną definicję Bierce'a: „Mulat — produkt dwóch ras, wstydzący się ich obydwu”. Skojarzenie było niefortunne, ponieważ mimo okularów i różowego kombinezону z błękitnymi

falbankami, doktor Fisch wyglądała na osobę, która nie wstydzi się niczego.

— No cóż, panie Chastow, ponieważ polecił mi pana dziekan, podejrzewam, że jestem zobowiązana wprowadzić pana do *sanctum sanctorum*. Zwracam jednak pańską uwagę na fakt, że naszymi badaniami interesuje się Departament Obrony, są więc objęte tajemnicą.

Rzeczony dziekan był członkiem Klubu, prowadzącym działalność w dziedzinie szkolnictwa wyższego. Robin przyrzekł milczeć jak grób i poprowadzony został przez trzy komory bezpieczeństwa, do laboratoriów ASE — *All Seeing Eye* [*All seeing eye* — wszystkowiedzące oko], którego trójkątne logo przedstawiało boskie oko — to samo, które figuruje także na banknocie dolarowym.

Pierwsze pomieszczenie, do którego został wprowadzony, było przestronne i wysokie jak sala gimnastyczna. Pod jedną ze ścian znajdował się elektroniczny panel sterowania. Na licznych regałach spoczywały jakieś przedmioty rozmaitych kształtów i rozmiarów. Wskazując je po kolei laserowym wskaźnikiem, doktor Fisch zaczęła wykład.

— Jest pan, panie Chastow, w królestwie UAV — *unmanned aerial vehicles*, bezałogowych aparatów latających, a bardziej dokładnie, w dziale MAV — *micro air vehicles*, potocznie zwanych mikrodronami. Drony to, jak pan wie, zdalnie sterowane samoloty, których zadaniem jest wysyłanie na ziemię lub do innego samolotu danych ze swoich obserwacji. Oddały nieocenione usługi podczas konfliktów na Bałkanach. Teraz dzielnie służą w Afganistanie. Musiał pan słyszeć o „Sentinelu”, „Pionierze” czy „Pointerze”, które były używane w Kuwejcie: pięćset pięćdziesiąt dwa loty, w sumie tysiąc sześćset czterdzieści jeden godzin. Obecnie najbardziej skutecznym dronem jest, rzecz jasna, dron amerykański. To „Global Hawk”, który z wyglądu przypomina Boeinga 747.

Drony konstruuja też Francuzi, którzy mają MART-a, CL 289 i „Crecerelle”. Moim zdaniem, nic szczególnego.

Tu, w Berkeley, specjalizujemy się w mikrodronach, które są, rzecz jasna, zgodne z normami DARPA — *Defense Advanced Research Projects Agency*. Oznacza to, że w żadnym z trzech wymiarów nie mogą one przekraczać 15 centymetrów, muszą przekazywać obraz i dźwięk w czasie rzeczywistym i na odległość do dziesięciu kilometrów, latać z prędkością 50 km/h i utrzymywać się w powietrzu przez co najmniej 20 minut. Proszę zauważyć, że przyjęliśmy tu system metryczny, co nieco komplikuje życie, ale takie są reguły.

Nie jesteśmy na rynku sami. AeroVironment skonstruował „Black Widow” — „Czarną wdowę”, która może latać 22 minuty. Posiada odbiornik UHF, który waży 3 gramy, system przekazu obrazów wideo, ważący tyle samo, oraz kamerę, ważącą zaledwie 2 gramy. Pilot automatyczny „wdowy” może zostać włączony przez pojedynczego użytkownika, a rejestrowane przez niego obrazy wyświetlają się na specjalnych okularach operatora.

Z kolei Lockheed skonstruował „MicroStara”, który lata przez godzinę, ale waży aż 100 gramów, czyli za dużo, jak na nasze potrzeby. Zresztą, proszę się przyjrzeć. Wygląda jak papierowa kwoka. Ma 15 centymetrów długości i 15 rozpiętości. Jest już przestarzały.

Chce pan zobaczyć „Czarną wdowę”, która jak na razie zbiera laury? To ta czarna skrzyneczka ze śmigłem. Długość i rozpiętość: 23 centymetry, wysokość: 7 centymetrów.

Francuzi produkują swojego „Epsilona” — jedynekę i dwójkę. Widzi je pan na tej półce. Jedyńska ma 50 centymetrów rozpiętości (śmieszne!), a dwójka — o połowę mniej. Latają tylko około dziesięciu minut, z prędkością 30 kilometrów na godzinę. To niewiele.

Lepszy jest niemiecki MAV, produkowany przez Dorniera. Lata przez 20 minut w promieniu 4 kilometrów, ale ma 30 centymetrów

rozpiętości, czyli zdecydowanie zbyt wiele, gdy się chce zachować dyskrecję. U nas MLB produkuje model „MLB Bat”, który jest ogromny. Proszę zobaczyć — taka wielka papierośnica: 60 centymetrów rozpiętości, ponad 50 długości. Zaletą „Bata” jest to, że może bez przeszkód latać nawet przy dużym wietrze.

„MLB Micro Dot” wygląda sympatyczniej. Nie wydaje się panu, że z tymi dwiema szczelinami podobny jest do głowy Marsjanina? Ma mniej niż 40 centymetrów długości i rozpiętości, a w 1998 roku zdobył nagrodę Uniwersytetu Florydy za lot kontrolowany na odległość sześciuset metrów i wyraźną transmisję z ziemi obrazów o powierzchni półtora metra kwadratowego. MLB produkuje też „MBL Trochoida” (to ta flądra o pionowych płetwach), który ma tę zaletę, że jest w stanie prawie nieruchomo zawisnąć w powietrzu.

W końcu, wśród mikrodronów, które nie wyszły z naszych laboratoriów, ma pan tego „D'Spyfly'a”. Wygląda jak uskrzydłona prasa do papieru, prawda? Jest niezły, ale waży 250 gramów i może latać tylko 6 kilometrów na godzinę, co sprawia, że łatwo go namierzyć.

I co pan o tym myśli, panie Chastow?

— Jestem pod wrażeniem.

— A jeszcze nic pan nie zobaczył. Niech pan szeroko otworzy oczy, panie Chastow.

Doktor Marjorie B. Fisch kiwnęła na Robina palcem wskazującym, zachęcając, żeby się zbliżył do elektronicznego pulpitu, na którym uroczyście położyła dłonie, niczym pianistka, przymierzająca się do zagrania drugiego koncertu Rachmaninowa.

„MLB Bat”, pomrukując z cicha, wystartował z regału i wzniósł się w powietrze. Gdy tylko osiągnął wysokość człowieka, jego wielkie skrzydła rozłożyły się na całą rozpiętość (nie bez kozery nazwano go „nietoperzem”). Teraz zaczął powoli krążyć pod sufitem.

Doktor Fisch wcisnęła jakiś guzik i z półki wystartowała „Czarna wdowa”, kreśląc w powietrzu esy-floresy, to przyspieszając, to zwalniając. W pewnym momencie przeleciała tuż nad głową Robina, który udał, że odruchowo ugiął kolana. Marjorie, wysuwając spomiędzy brunatnych warg bardzo różowy język, po kolei uruchomiła „Micro Dota”, „Trochoida” i „Microstara”. W sali rozlegało się brzęczenie mijających się w powietrzu samolocików. Za chwilę dołączył do nich „D'Spyfly”. To było niczym balet lub karuzela. Pani mikrodronów roześmiała się cicho radosnym i zmysłowym śmiechem. Jej ramiona podskakiwały.

— Przepiękne! — zawołała. — Teraz wypuścimy cudzoziemców. Dla porządku.

Z półek ruszyły ciężko niemiecki MAV i francuski „Epsilon”. Powietrze przecinało dziewięć samolocików, które mijaly się o włos, nie powodując jednak kolizji.

— No i jak, panie Chastow? Podoba się panu?

— To niesamowite. Ale boję się, że one się porozbijają!

Doktor Marjorie B. Fisch przybrała ponownie uczoną minę.

— Kolizja jest niemożliwa. Ich lot jest zaprogramowany co do mikrona, z dokładnością do nanosekundy. Podoba się panu?

— Odjęło mi mowę.

Sterowane elektronicznymi rozkazami doktor Fisch, mikrodrony wróciły kolejno na swoje miejsca, zastygając na półkach, jak gdyby nigdy się z nich nie ruszały.

Robin był wystarczająco zorientowany, by wiedzieć, że prawdziwy start mikrodronów odbywa się inaczej. „MLB Bat” uruchamiany był z ręki, „MLB Micro Dot” z katapulty. Tutaj zastosowano więc jakieś sztuczki, żeby olśnić widownię, ale to nie zmieniało istoty rzeczy.

— Podobało się panu? — ponowiła pytanie Marjorie Fisch, gdy tylko „nietoperz” grzecznie wrócił na swoje miejsce.

— Jestem oszołomiony.

— No to niech pan sobie wyobrazi, panie Chastow, że to nic w porównaniu z tym, co robimy tutaj, w Berkeley. Proszę za mną.

W sąsiedniej sali, do której weszli, minawszy cały system zabezpieczeń, pracowało około tuzina osób, które ignorując gościa, nawet nie podniosły głowy. Robin stanął przed prototypem, nad którym pracowano „u nas, w Berkeley”. Był to mikrodron zdolny do większych wyczynów niż jego poprzednicy, choć rozmiarami nie przewyższał wielkiego latającego karalucha z Georgii; miał też jego kształt i wygląd. Był to „Flying Cockroach 1”.

— Panie Chastow, korpus „Flying Cockroacha 1” zbudowany jest z supercienkich płytek z nierdzewnej stali, a skrzydła z folii mylarowej; poruszają się one 180 razy na minutę, a w ruch są wprawiane przez mechanizm piezoelektryczny napędzany energią słoneczną, co pozwala na ogromne oszczędności w zakresie używania baterii, które właściwie potrzebne są jedynie (poza zupełnie nadzwyczajnymi sytuacjami) do transmitowania obrazów wideo. Żeby dać panu wyobrażenie o stopniu miniaturyzacji, powiem, że żyroskop ma milimetr średnicy. Jeśli chodzi o nazwę i wygląd „Cockroacha”, to są one aluzją do ksywki pewnej firmy, którą my, tutaj w Berkeley, mamy nadzieję pozyskać jako jedno go z pierwszych klientów.

Doktor Fisch zmrużyła oko. Centralna Agencja Wywiadowcza była niegdyś w środowisku dobrze poinformowanych osób zwana „Cockroach Alley” — „Aleją karaluchów”.

Po pokazie możliwości urządzenia, który trwał ze trzy godziny, Robin spytał niedbale:

— Za ile można kupić te zabaweczki?

Doktor Fisch była zdumiona i oburzona.

— Ależ panie Chastow! Te produkty amerykańskiej inteligencji nie są na sprzedaż. Mają służyć obronności naszego kraju, ochronie naszego społeczeństwa!

Robin przyjrzał się jej zaciekawiony.

Ta kobieta, potomkini czarnych niewolników, rzuciła się na ratunek krajowi, który zniewolił jej przodków! To był niekwestionowany sukces amerykańskiej *positive action*, która kolejnym pokoleniom Czarnych

wdrukowała przekonanie, że są pełnoprawnymi obywatelami — nieważne, że za cenę śmiesznej niekiedy demagogii. Cel został osiągnięty. W zamian za szacunek, Czarni byli gotowi rzucić na szalę swoją odwagę i poświęcenie, służąc ojczyźnie, którą stworzyli inni, często ich kosztem. Robin mógł się założyć, że na widok *Stars and Stripes* [*Stars and Stripes* — gwiazdy i paski] amerykańskiej flagi serce Marjorie biło szybciej. Jego serce, serce dżentelmena z Południa, nie znało tego rodzaju patriotycznej tachikardii. Dla niego flagi były całunami.

Wróciwszy do hotelu, zatelefonował do dr Kirstena.

— Mamy narzędzia do rozpoczęcia „Śmiertelnej rany”...

Chociaż mieszkanie Robina przy Ansley Park miało wygląd całkowicie bezosobowego apartamentu, który równie dobrze mógłby znajdować się w dowolnej luksusowej rezydencji, to jeśli chodzi o hotele Robin miał swoje przyzwyczajenia i był domatorem. W Paryżu wybierał „Ritza”, w Sankt Petersburgu (Sankt-Pecie, jak mówił Diwo) — „Europę”, w Moskwie — „Royal Meridien National”, w Londynie — „Chesterfield”, w Rzymie — „Inglatterę”, na Ibizie — „Montessol”. Zwykle, choć nie zawsze, były to najlepsze hotele, wybierane przez niego pod wpływem przypadkowych spotkań lub miłych wspomnień. Fakt, że pracownicy hotelu rozpoznają go bez trudu, wcale go nie niepokoił. W akcjach humanitarnych, które były oficjalnym powodem częstych podróży nie było nic tajemniczego.

W Stambule zawsze zatrzymywał się w „Yezil Ev” — hotelu wysokiej klasy, ale bezpretensjonalnym, mieszczącym się w starej, mieszczkańskiej kamienicy, umeblowanej zgodnie z niemieckim, dziewiętnastowiecznym gustem, z akcentami przywodzącymi na myśl czasy Habsburgów i Bismarcka, czyli całą tę *Mitteleurope* już niebezpiecznie zwróconą *nach Osten* [Europa Środkowa zwrócona ku wschodowi]. Kto wie, co by było bez błogosławionej pierwszej wojny światowej? Stary, znienawidzony porządek mógłby trwać jeszcze bardzo długo... W każdym razie, mieszkanie w pobliżu dawnej bazyliki Hagia Sofia i Błękitnego Meczetu rozbudzało wyobraźnię.

Już pierwszego wieczoru udał się do hammanu, którego niegdyś bywał częstym gościem. Uwielbiał to przesiąknięte wodą powietrze, półmrok i panującą tam powagę. Fakt, że nie było tam okien, ale szklana kopuła, przywodził mu na myśl Kaabę. Udawał, że obawia się tych muskularnych masażystów, którzy obracali go niczym *pancake* [Pancake (ang.) — rodzaj naleśnika]. Dawał im umiarkowane napiwki, żeby nie zaczęli snuć domysłów na temat jego intencji.

Tego dnia czuł w żołądku ucisk lęku, wywołujący lekkie mdłości — a jeśli Baszir nie będzie miał dyżuru lub w ogóle tam już nie pracuje, a przed nim stanie jakiś inny, nic nie rozumiejący Baszir, który spróbuje wykorzystać sytuację? Na razie wszystko szło jak należy. Achmed, trochę urażony, ale uprzejmy, zawołał Baszira, który wymyślił go, wyszorał i wygniótł jak należy, po czym bez mrugnięcia okiem przyjął 555 dolarów i 50 centów.

— Powiedz swojemu bratu, że chcę się z nim spotkać. Mam pewien pomysł, który może go zainteresować. Nazywam się Robert Chastow. Zatrzymałem się w hotelu „Yezil Ev”.

Baszir pogrążył się w głębokiej zadumie, która skończyła się pytaniem:

— Amerykanin?

Od czasu odwrócenia sojuszy, które nastąpiło po *Nine-Eleven*, nie było to w kraju muzułmańskim pytanie całkiem niewinne. Robin odpowiedział z pozorną flegmą:

— Amerykanin.

Nie mógł jednak się powstrzymać i dorzucił:

— Ale nie taki jak wszyscy.

Baszir znowu się zamyślił. Przeżuwał to, co usłyszał, jak krowa trawę, ale z mniejszą naturalnością.

— To może zająć trochę czasu.

Zajął jednak mniej, niż się Robin obawiał. Czwartego wieczoru, zaraz po kolacji, w pokoju hotelowym zabrzmiał dzwonek telefonu. Głos

w słuchawce był mocny i dźwięczny. Posługiwał się wyrafinowanym *Queen's English*, bez oksfordzkiego jąkania.

— Pan Chastow?

— Tak, to ja.

— Jestem bratem Baszira. Chciał się pan ze mną zobaczyć?

— Tak.

— Ma pan dla mnie jakąś propozycję?

— Tak.

— Interesującą?

— Tak.

— Dla mnie czy dla pana?

— Dla nas obu.

— Wspaniale. Czy może się pan jakoś opisać?

— Około 175 centymetrów, siedemdziesiąt kilogramów, szatyn.

Przedziałek z lewej strony. Oczy brązowe.

— Hagia Sofia, jutro o jedenastej. Przed obrazem Jezusa Chrystusa.

Od pierwszej wizyty Robina w Hagia Sofia była ona dla niego jednym z najważniejszych miejsc na świecie. Ta świątynia Bożej Mądrości, dotknięta wrodzonym gigantyzmem i wrodzonymi pęknięciami, ten architektoniczny traktat o teologii chrześcijańskiej, strzeżony przez cztery muzułmańskie minarety niczym przez czterech odźwiernych, ten kościół zamieniony na meczet, w muzeum, ten punkt, w którym spotyka się Wschód (który zawsze pozostanie Wschodem) z Zachodem (który zawsze pozostanie Zachodem), ten nabrzmiały pępek Eurazji... Robin był pewny, że fundamentalna rola tego podróżującego w czasie metafizycznego zeppelinu jeszcze się nie zakończyła.

Jako znawca historii i kultury Rosji nie mógł postawić stopy na tych kamieniach, nie myśląc o scenie, która rozegrała się w tym miejscu na krótko przed rokiem tysięcznym, kiedy to, w obłokach kadzidła i wśród płynących pod sklepieniem świątyni śpiewów chóru, Rosja oddała się duszą i ciałem prawosławiu, od którego zapewne nigdy nie odstąpi (mimo

obiecującego historycznego nawiasu zwanego komunizmem).

Robin powoli wspiął się na podjazd, po którym cesarze Bizancjum jeździli konno, kierując się ku północnemu skrzydłu budowli.

Mimo że była już pełnia jesieni, liczne grupy turystów podążały za swoimi przewodnikami, wymachującymi rozmaitymi chorągiewkami, czapeczkami, proporczykami, chusteczkami... Aparaty fotograficzne i kamery rejestrowały i magazynowały wirtualny obraz Hagii Sofii, który będzie teraz w nieskończoność odtwarzany w albumach i na ekranach telewizorów japońskich, australijskich, islandzkich... „Z domu mojego Ojca uczyniliście jaskinię zbójców”. Robin zatrzymał się przed „obrazem Jezusa Chrystusa”.

Mozaika przedstawiała ludzką twarz, do złudzenia przypominającą tę z Całunu Turyńskiego, która zdawała się mówić: „Ja jestem drogą, prawdą i życiem”. Robin, potomek protestantów, czuł wobec każdego wizerunku Bóstwa instynktowną niechęć, na którą jego ateizm nie miał najmniejszego wpływu. Teraz też poczuł się niezręcznie.

Nie przejmował się tym, czy ktoś go śledzi i kim są „tajniacy” dbający o bezpieczeństwo spotkania. Jednym z nich mógł być ten wąsaty Japończyk lub ta gruba Amerykanka, ewentualnie ten Włoch o sinym podbródku. Szahid na pewno dysponował odpowiednim personelem, żeby sprawa przebiegała zgodnie z regułami gry. Po mniej więcej dziesięciu minutach do Robina podszedł młody, uprzejmy Turek. Wyciągając rękę, spytał:

— Pan Chastow?

— To ja.

— Bardzo mi miło, *sir*. Jestem pańskim przewodnikiem. Proszę za mną.

Czekała na nich limuzyna. Szyby były zasłonięte. Między kierowcą a pasażerami także znajdowała się szyba z zaciągniętą zasłoną. Turek mówił z amerykańskim akcentem.

— Podoba się panu Stambuł, *sir*! Był już pan kiedyś w Stambule, *sir*! Wybrał pan hotel dla koneserów.

Jechali około czterdziestu minut. Kiedy samochód się zatrzymał, wysiedli na wewnętrznym podwórku jakiegoś domu, na które wychodziły pastelowe maszrabije [*Maszrabija* — drewniana ażurowa okiennica, charakterystyczna dla krajów muzułmańskich; *maszrabije* miały chronić kobiety przed wzrokiem obcych]. Turek poprowadził Robina do szatni. Na ławce leżał jedwabny szlafrok haftowany złotem.

— Proponuję, *sir*, żeby się pan rozebrał i włożył tę *aabę*.

— Nie jestem uzbrojony. Może pan sprawdzić.

— Nie boimy się broni, *sir*. Po prostu, wolimy, żeby spotkanie nie zostało zarejestrowane, a by się upewnić, że nie ma pan przy sobie stosownych urządzeń, musielibyśmy pana poddać rewizji, co mogłoby być dla pana nieprzyjemne, *sir*. Kiedy się pan przebierze, proszę pchnąć te drzwi przed panem. Do zobaczenia za chwilę, *sir*.

Turek wycofał się z ukłonem. Robin rozebrał się do naga przed lustrem, które z pewnością było lustrem fenickim. Złożył ubranie w kostkę i włożył *aabę*. Była wykonana zgodnie z tradycją — dwa zszyte z sobą, szerokie prostokąty z dziurą na głowę, opadające na ramiona niczym rękawy. Szwy i otwory obszyte były taśmą. Robin spojrzął w lustro, uznał, że do twarzy mu w stroju tureckiego dostojnika, po czym zapukał we wskazane drzwi.

— Proszę wejść — usłyszał wesoły głos, mówiący z rasowym brytyjskim akcentem, który Robin słyszał już w telefonie.

Znalazł się w obszernym salonie o niskim suficie, w którym królował południowy półmrok. Umeblowanie było tureckie — dywany, kolorowe materace, pasiaste poduszki, niskie stoliki inkrustowane masą perłową. W rogu niski kredens. Maszrabije rzucały na podłogę plamy

światła i cienia w kształcie rombów. Gdy Robin wszedł, leżący na jednym z materacy człowiek poderwał się zwinnie niczym kot zeskakujący z parapetu.

Był to wyraz uprzejmości, ale szybkość reakcji sugerowała ciągłą gotowość na atak.

— Witam serdecznie, panie Chastow. Miło mi pana poznać.

Twarz śniada, szeroka, otwarta, matowa i nie ogorzała, wielkie oczy przywodzące na myśl lustra, a na pięknie wykrojonych ustach lekki uśmiech. Afgańczyk? Mieszkaniec Maghrebu? Libańczyk? Arab? Sycylijczyk? Andaluzyjczyk? A może Walijszyk...

— Miło mi pana poznać — odparł Robin, ściskając muskularną prawą dłoń.

— Proszę usiąść. Niestety, mogę panu zaoferować jedynie tureckie wygodny. Ale ma to i dobre strony, ćwiczysz uda. (Zdania krótkie, artykulacja przedniojęzykowozębowa, szybka i dokładna). Co pan pija o tej porze? (Rzut oka na Rolex). Słońce już minęło szczyt masztu.

Robin zastanawiał się, czy te brytyjskie naleciałości są oryginalne, czy nabyte. Uniósł brew z niemal taką samą elegancją jak wicehrabina.

— Szkocką, jeśli mi pan potowarzyszy.

Gospodarz wybuchnął młodzieńczym śmiechem i pogroził gościowi palcem.

— To niezbyt uprzejme drwić sobie z naszych muzułmańskich przesądów. Fakt, że w tych sprawach jesteśmy dosyć rygorystyczni, ale dla umarłych mamy specjalne dyspensy, a ponieważ jestem potencjalnie jednym z nich, mogę pić, ile zechcę.

Podszedł do kredensu, wyjął z niego dwie szklanki z rżniętego kryształu, jedną z nich napełnił lodem, po czym nalał do niej sporo glenmorangie, trochę wody sodowej i podał drinka Robinowi, który rozłożył się na największym stosie poduszek. Potem wrócił do kredensu, wlał glenmorangie do drugiej szklaneczki, dolewając śladową ilość wody.

— To woda ze szkockich źródeł — wyjaśnił, mrużąc oko.

Opadł na materac, nie roniąc ani kropelki.

— A więc? Mamy coś sobie do powiedzenia? — spytał bez przekonania.

— Nie wiem — odrzekł zimno Robin. — Czy to pan jest pomysłodawcą tych zabójczych nieboszczyków? Czy to pan jest Męczennikiem?

— Tak mnie nazywają.

— Nie wygląda pan na męczennika.

— To tylko wyrok w zawieszeniu, panie Chastow. Zapewniam pana, że nic nie daje takiego spokoju jak wola śmierci. Ani takiego apetytu na radości życia, które ma być tak krótkie, jak to tylko możliwe. A pan? Kim pan naprawdę jest, panie Chastow? Podobno nie jest pan takim samym Amerykaninem, jak pozostali. Sądziłem, że Amerykanie albo są z jednej formy i gliny, albo do tego aspirują. Nie jest pan czasem z CIA? Bo przecież wszyscy Amerykanie, którzy się dziś zapuszczają w nasze rejony, są z CIA, czyż nie?

— Pracowałem w Firmie; to dzięki niej mogłem się z panem skontaktować. Ale dziś interesy moje i Firmy już się nie pokrywają. Nie pracuję dla rządu.

— A zatem pracuje pan w sektorze prywatnym. W takim razie, proszę mi pozwolić, że zgadnę, co będzie tematem naszej rozmowy. Będzie pan mówił o ropie, a dokładniej o ropociągach. Przypuszczam, że ma mnie pan za czeczeńskiego bojownika. A dlaczego tak pana interesuje Czeczenia? (Wciąż ta sama pogardliwie nienaganna wymowa, choć rytm zdań nieco przyspieszył). Proszę mi tylko nie wmawiać, że to z powodu nieszczęść jej ludu. Pana interesuje tylko to, żeby kaspijska ropa i turkmeński gaz nie przypadły w udziale Rosji. Chce pan, żeby zostały skierowane przez niezależną Czeczenię do Gruzji, Rumunii, Serbii i Bośni (stąd wasze wspaniałomyślne wsparcie dla bośniackich muzułmanów) lub, ewentualnie, do Bułgarii, Macedonii i Albanii (stąd wasza heroiczna pomoc dla kosowskich muzułmanów). A zatem, panie

Chastow, którą to amerykańską spółkę naftową pan reprezentuje i w czym mogą wam być pomocni ci biedni czeczeńscy mudzahedini, których tak brzydko zostawiliście na lodzie, gdy po *Nine-Eleven* zaczęliście się trząść o wasze własne tyłki?

Męczennik uśmiechnął się samymi wargami. Jego oczy pozostały nieruchome.

Robin zastanawiał się, co odpowiedzieć. Pociągnął łyk whisky, którą gospodarz celowo spostonował, żeby dać Amerykaninowi do zrozumienia, że jest barbarzyńcą.

— Panie Szahid (nazywam pana w ten sposób, gdyż nie podałeś mi pan innego nazwiska), pewnie pana zaskoczę. Ropociągi interesują mnie tylko w niewielkim stopniu. Tak, miło jest przytrzasnąć Rosjanom paluchy jednej lub nawet obu rąk, ale to jest zadanie na miarę władz oficjalnych, widocznych, dyplomatycznych, wojskowych i handlowych. My, panie Szahid, chcemy się dobrać do ważniejszych narządów. Nie należę do żadnej spółki naftowej i mogę mówić o moich interesach tylko wówczas, gdy są one zgodne z pańskimi. Czy mam kontynuować, czy też wyjść, dziękując panu za hurtową dostawę ładu?

Zapadła chwila ciszy, po czym Szahid roześmiał się młodzieńczo, pobiegł po nową szklankę, którą napełnił glenmorangie, wlewając na koniec kilka kropelek szkockiej wody.

— Faktycznie, nie jest pan jak wszyscy. O co chodzi?

Robin umoczył usta w aksamitnym i jednocześnie ostrym płynie.

— Reprezentuję pewną międzynarodową organizację, która na razie ma swoją główną siedzibę w Stanach Zjednoczonych. W chwili obecnej nasza organizacja i wy, bojownicy czeczeńscy, mamy wspólnego wroga — Rosję. Stany Zjednoczone wspierały Czeczenię do 10 września, od 12 września stały się sojusznikiem Rosji. My nie pochwalamy tego rodzaju zwrotów, gdyż nasze plany są bardziej ambitne. Choć nie mamy nic wspólnego z religią, biorąc pod uwagę rozmach naszych zamysłów,

można nas porównać do największych religii świata. Nasze plany realizują się (i tu właśnie nasze i wasze interesy się pokrywają) poprzez zniszczenie Rosji. Cała ta zabawa z komunizmem i jego upadek bardzo się nam przysłużyły. Komunizm sprawił, że Rosja została znienawidzona. Upadek komunizmu uczynił ją słabą. Nie jest dobrze być słabym i znienawidzonym. Tylko że teraz, na ruinach dawnego ZSRR, Federacja Rosyjska buduje coś, co — jeśli temu nie zapobiegniemy — może ponownie stać się imperium, którego cele mogłyby zagrozić naszym (mam na myśli moją organizację). Postanowiliśmy więc przeprowadzić przeciwko rządowi Rosji niszczycielską akcję.

Ponieważ Rosja wciąż jest nuklearną potęgą, nie możemy spowodować, żeby Ameryka zaatakowała ją bronią jądrową lub konwencjonalną, ponieważ wówczas nie mielibyśmy kontroli nad skutkami. Chcieliśmy więc przeprowadzić przeciwko Kremlowi skromniejszą akcję terrorystyczną, ale i wówczas trudno byłoby przewidzieć konsekwencje. Sądźmy zatem, że zamiast próbować zabić Rosję, lepiej ją stopniowo nadwyreżać, uniemożliwiając jej odgrywanie obecnej roli na świecie. Rozumie mnie pan?

— Jeśli o mnie chodzi, to akcja terrorystyczna na Kremlu bardzo mi odpowiada.

— Od jakiegoś czasu szukam czegoś, co nazywam „organem wewnętrznym”, to jest administracji, partii, laboratorium, instytucji, jakiegokolwiek formacji, której nadwreżenie spowodowałoby osłabienie całego państwa rosyjskiego nie tyle w zakresie jego narodowych funkcji, ile roli, jaką odgrywa na arenie międzynarodowej. Jeśli znajdziemy w otoczeniu prezydenta Federacji Rosyjskiej organizm, który możemy trwale zranić, zrobimy ważny krok na drodze jej stopniowego unicestwiania. Tak działa dzisiejszy świat, w którym wszystko dzieje się wskutek manipulowania opinią publiczną. Przekonajcie ją, że ktoś został pokonany, a będzie pokonany. To zresztą nic nowego — Suncy przewidział to pięćset lat przed naszą erą i to, co było prawdą wówczas,

tym bardziej jest nią dziś, ze względu na demokrację, czyli rozdrobnienie opinii, oraz dzięki mediom, które pozwalają tymi opiniami manipulować.

Wydaje mi się, że znalazłem ten wrażliwy organ wewnętrzny. Coś, co go zanieczyści, dotknie, zmęczy, zdestabilizuje, upokorzy, a potem uczyni to samo z całą Rosją.

— W takim razie wysadźmy ten organ w powietrze. Uwielbiam wysadzać w powietrze.

— Tak właśnie sądziłem. Ale jeśli wysadzi go pan w powietrze, tak powszechne dziś uwielbienie dla ofiar zrodzi niszczycielki ruch współczucia. I nasz organ zastąpiony zostanie innym, może gorszym. Jest pan bojownikiem. Musi pan wiedzieć, dlaczego armia amerykańska woli mały kaliber, który rani, ale nie zabija — ranni są brzemieniem dla swoich. Naszym przeciwnikom trzeba by przez dłuższy czas zadawać wiele ran. Rozumie pan?

— Proszę dalej.

— Przeprowadzimy operację pod kryptonimem „Śmiertelna rana”. Faza pierwsza: rekonesans technologiczny, który nam pozwoli ocenić, czy wybrany organ jest tak ważny, jak sądzimy; musi mieć także wystarczający potencjał, jeśli chodzi o brak popularności.

Faza druga: dotarcie do tego organu i opanowanie go w sposób umożliwiający nakłonienie go do działań korzystnych dla nas, a kompromitujących dla niego.

Faza trzecia: rozpętanie międzynarodowej kampanii informacyjnej, bazującej na tych właśnie działaniach; kampania ta zostanie już przygotowana w fazie pierwszej.

Czy to przedsięwzięcie wydaje się panu godne pańskiego zainteresowania?

Szahid przestał się uśmiechać. Jego twarz zdawała się nagle wychudła, a oczy-lustra zasnute były mgłą. Słuchał z najwyższą uwagą, ale jakby z oddali.

— Proszę dalej — powtórzył cicho, jak we śnie.

— Żeby dobrze przeprowadzić tę operację, potrzebuję człowieka, który umie podejmować ryzyko, potrafi obchodzić się z delikatnym sprzętem, posiada wyobraźnię i dysponuje w Rosji znajomościami bardziej pożytecznymi od tych kilku agentów wywiadu, których ja mogę dostarczyć. Kiedy dowiedziałem się, że to pan jest autorem „zabójczych nieboszczyków”, pomyślałem, że jest pan właściwym człowiekiem.

Szahid trzymał głowę zwieszoną na piersi. Sprawiał wrażenie kogoś, kto konsultuje się z jakąś Inną Rzeczywistością, która o niebo go przewyższa. Oddychał niespokojnie. Było oczywiste, że jego „tak” lub „nie” nie będzie jedynie zgodą lub odmową. Będzie to zaangażowanie całego jestestwa — jak sakramentalne „tak” przed ołtarzem, jak „tak, chcę” przyjmującego chrzest, jak „przysięgam” króla podczas ceremonii sakry.

W końcu wypuścił ustami powietrze, które wypełniało mu płuca i wbił w swego gościa spojrzenie już przejrzyste, które z chwili na chwilę odzyskiwało cały swój blask.

— Proszę mówić mi Husajn — rzekł, wyciągając rękę.

*

Kiedy niewierny wyszedł, Husajn pokłonił się do ziemi i pozostawał w tej pozycji przez długie minuty z czołem przyciśniętym do podłogi; krew napływała mu do mózgu, a serce przepełnione było wdzięcznością dla Boga.

Husajn nie był wahabitą. Wychował się na myśli sufich, dla których świat jest wzajemną relacją Kochającego i Kochanego — Boga i Człowieka. Żarliwa wiara męczennika została mu przekazana w dzieciństwie i teraz, dobiegając trzydziestki, martwił się, że do tej pory nie miał okazji zrealizować swego powołania. Chwilami nudził się na tej ziemi. Czasem sam siebie podejrzewał o tchórzostwo. „Zabójczy nieboszczycy” dali mu głębokie poczucie zadowolenia i zemsty, ale żadnej

nadziei na spektakularną śmierć. Ten Amerykanin „inny niż wszyscy” przybył, żeby mu dać cudowną szansę, a Szahid musi ją umiejętnie wykorzystać. To, czy Amerykanin naprawdę pracował dla prywatnej organizacji, czy też organizacja była zaledwie przykrywką dla tajnych służb, nie miało najmniejszego znaczenia.

Z jednej strony, Husajn nareszcie miał narzędzia, żeby zadać poważny cios Rosji. A przecież się jej bał. Przez całe wieki, dzięki swemu imperialistycznemu powołaniu, Rosja umiała wykorzystywać żywotne siły muzułmańskie, ewangelizując jedne i opanowując inne. Nawiasem mówiąc, ten jej szczególnie chrystianizm, pełny cierpliwości, mistycyzmu i poświęcenia, wydawał się łatwiejszy do pogodzenia z islamem niż scentralizowany i zhierarchizowany rzymski katolicyzm. Krótko mówiąc, Rosja dawała zły przykład.

Z drugiej strony, Husajn nie zamierzał dopuścić, żeby zdecydowaną przewagę uzyskał wielki amerykański Szatan, który, jak na razie, był przeciwnikiem najlepiej uzbrojonym, ale i najbardziej znenawidzonym z powodu swego fundamentalnego materializmu. Trzeba było więc sprawić, że Rosja poniesie straty, ale takie, które będzie umiała pamiętać.

Gdy w końcu podniósł głowę, jego twarz rozjaśnił *bassamat al-farah* — ekstatyczny uśmiech tych, którzy swoje życie oddali do dyspozycji Allaha.

— Proszę wziąć Randolpha i Knarra. Są najlepsi — poradził dr Kirsten, gdy ponownie spotkali się w Varsity. — Jest jeszcze spółka Hill and Knowlton, ale ośmieszyli się z tymi inkubatorami rzekomo odłączonymi przez Irakijczyków w Kuwejcie. Jest też Ruder Finn, ale okazało się, że te ich historie o gwałtach w Jugosławii to brednie. Natomiast Willi Knarr (nie znam Randolpha, on się chyba zajmuje finansami) ma tę zaletę, że jest bezkompromisowym cynikiem. Nie traci czasu na obłudę. Na pewno pan pamięta, kim według Bierca jest hipokryta: „To osoba sławiąca cnoty, których nie szanuje i ciągnąca korzyści z udawania, że jest tym, czym pogardza”. Willy Knarr wyznaje tylko jedną cnotę: skuteczność.

Kiedy Robin wszedł do biur Randolpha i Knarra, najpierw uderzył go wzrost ich pracownic — wszystkie miały powyżej 180 centymetrów. To musiało coś znaczyć. Sam Knarr — przeciwnie — był niskim człowieczkiem, z cofniętym czołem i podbródkiem, ogromnym nosem i grubymi ustami stulonymi w dzióbek. Nosił trzyczęściowy garnitur i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, w stylu lat siedemdziesiątych. Stojąca na biurku ogromna popielniczka była po brzegi wypełniona orzeszkami ziemnymi, co rozzłościło Robina, przypominając mu natchmiast Mclana — drugiego męża jego byłej żony.

— Proszę się częstować — rzekł Knarr, wchodząc za biurko.

Sam poczęstował się pierwszy, biorąc pełną garść i odchylając głowę do tyłu, załadował ją sobie do gardzieli, którą obnażył przy okazji aż po migdały.

Gdy wcisnął się w fotel obrotowy, zza biurka widać już było tylko jego nos i łysinę.

— Panie Chastow, chcę pana zapewnić, że to pomieszczenie nie jest wyposażone w mikrofony, a pan, nawet o tym nie wiedząc, przeszedł przez cały system elektronicznych zabezpieczeń, które wykryłyby każde urządzenie nagrywające, które by pan miał przy sobie.

„Oto kalifornijska wersja tureckiego szlafroka” — pomyślał Robin. Husajn podarował mu taki szlafrok, a Robin wziął prezent do Stanów.

— A teraz, panie Chastow, muszę panu zadać jedno pytanie. Czy mam pana traktować jako klienta indywidualnego, czy też może reprezentuje pan jakąś firmę? Pragnę uprzedzić, że jeśli to drugie, to będę zmuszony dokonać kilku weryfikacji, podczas gdy w przypadku klienta indywidualnego, czułbym się zmuszony poprosić o zadatek.

— Proszę mi podać całą sumę.

— To proste. Operacja, o której wspomniał pan w liście, nie wydaje się specjalnie trudna, bo opinia Zachodu o Rosji, a zwłaszcza o ich nowej władzy, już jest niepochlebna. To nie będzie akcja podobna do tej, gdy trzeba było z Serbów uczynić nazistów (prawdziwy wyczyn). Zastosujemy więc normalną taryfę. Dwadzieścia tysięcy dolarów miesięcznie.

— Tylko tyle?

— Mamy niskie koszty. Nasze pensje, czynsz, prenumerata kilku tytułów. Poza tym pracujemy za pomocą kartoteki, telefonu, Internetu. Do tego doliczyć trzeba, oczywiście, kilka rąk do posmarowania i to już wszystko. Jeśli zatrudni nas pan jako osoba prywatna, poprosimy o zaliczkę za sześć miesięcy z góry oraz depozyt w wysokości stu tysięcy dolarów w banku. Jeśli po pół roku będzie pan sobie życzył, żebyśmy

kontynuowali operację, te sto tysięcy będzie stanowiło zaliczkę na kolejny okres naszej pracy. Jeśli pan zrezygnuje, zatrzymamy je jako odszkodowanie, co jest normalne, gdyż operacje tego typu trwają co najmniej rok. Wszystko to zostanie opisane w umowie, którą panu proponujemy. Nie będzie żadnych zapisów drobnym druczkiem. Czy te warunki panu odpowiadają?

— Na razie nie mam zastrzeżeń.

— Świetnie.

Willi Knarr dobrał sobie orzeszków i wskazał na popielniczkę okrągłym gestem, którego Robin zdawał się nie zauważyć.

— Dobrze. Przyjrzyjmy się teraz pańskiemu zleceniu. Jest pan naszym klientem. My jesteśmy pańskim agentem. Musimy zdać sobie pytanie: co jest pańską grupą docelową? Opinia publiczna tego, co nazywa się „wspólnotą międzynarodową”, czyli dziewiętnastu krajów na sto dziewięćdziesiąt cztery istniejące na naszej planecie? A może jakaś inna grupa wybrana przez pana? Z góry uprzedzam: manipulacja zakłada pewną masę krytyczną manipulowanych. Nie możemy wpływać na opinię publiczną Brunei czy Monako.

— „Wspólnota międzynarodowa” mi odpowiada.

— Z Rosją włącznie?

— Czy można manipulować rosyjską opinią publiczną w tej kwestii?

— I to jak! Co by nie mówić, Rosja jest w obecnej chwili jedynym krajem, gdzie naprawdę można bezkarnie pleść co ślina na język przyniesie. Sprawić, że najbardziej rosyjscy z Rosjan staną się niepopularni wśród Rosjan, to by był... (Knarr cmoknął się w koniuszki palców) majstersztyk. Zresztą, mamy tam całkiem niedrogich korespondentów.

— Nie wspominając o diagnozie Puszkina: „Nasz lud jest łatwowierny. Uwielbia cuda i nowości...”.

— Dobrze. Zbiorę do kupy wszystkie dostarczone przez pana informacje. Nie ma tego zbyt wiele, co? (Otworzył segregator i przeczytał,

przeskakując niektóre wersy.) „Grupa petersburżan, okcydentalistów, słowianofilów, patriotów, prawosławnych; należą do niej duchowni, gliniarze, wojskowi, nauczyciele akademicy, dziennikarze... Przeciwni eksportowi kapitału. Siedziba: pałac Myszkiców. Kaplica, zbrojownia, basen, strzelnica, ruska bania, sala gimnastyczna, sztuki wojenne, hotel i luksusowa restauracja, studio radiowe i telewizyjne... Bank Galperin i Katz... Wydają tygodnik satyryczny i przegląd historyczny... Pseudonim: Bojarzy... Ochroniarze...”. Żeby pokazać, jak pracujemy, najpierw odrzucę to, co nie jest interesujące: okcydentaliści, słowianofile — nikt nie wie, co to znaczy; zbrojownia, basen, ruska bania — nieistotne; Bojarzy — to już lepiej, bo to drażni: za kogo oni się mają?! Poza tym „bojarzy” to znaczy zwolennicy caratu, a więc nie demokracji, na bakier z nowoczesną cywilizacją. Pałac — to doskonale, nikt nie lubi bogaczy. Świetnie do tego pasuje bank. Kaplica prawosławna — nieźle, to pachnie zacofaniem. Ochrona i strzelnica — doskonale. Z tymi elementami można rozwinąć piękną historię. Czy to panu odpowiada?

Knarr znów wpakował sobie do ust garść orzeszków, odwrócił kartkę i przeczytał:

W Rosji pojawiła się liga ekstremistów, bazująca na najbardziej reakcyjnych siłach w kraju i mająca jakoby wpływ na prezydenta Federacji Rosyjskiej. Ta nacjonalistyczna liga, zwana „Bojarami”, skupia najbardziej zdyscyplinowany i zacofany element — od skrajnej prawicy po skrajną lewicę — wokół faszystowskiego programu, charakteryzującego się także nostalgią za stalinizmem. Z jednej strony, Liga próbuje zawładnąć opinią publiczną, posługując się własnymi mediami. Z drugiej strony, organizuje zbrojne oddziały milicji, prawdopodobnie mające w swym składzie elitarne oddziały strzelców i zaprawionych w walce pływaków. Fundusze czerpie od mafii, która pierze pieniądze pod przykrywką banku Galperin i Katz, prawdopodobnie

utworzonego *ad hoc* i mającego siedzibę w luksusowym pałacu Myszkiniów, który jest też siedzibą Ligi. Liga dysponuje tam pomieszczeniami szczelnie zamkniętymi przed opinią publiczną, w których zaciszu jej przywódcy mogą spokojnie konspirować. Pałac Myszkiniów znajduje się w Petersburgu, rodzinnym mieście prezydenta Federacji Rosyjskiej, dwa kroki od ratusza, gdzie po zakończeniu kariery w KGB, sprawował on długo urząd zastępcy burmistrza oskarżonego o defraudację.

— Szkoda — dorzucił Knarr — że pałac nie znajduje się w Moskwie, tuż obok Kremla. Taka insynuacja byłaby bardziej nośna. Ale ta aluzja do ojczyzny prezydenta też jest niezła (proszę mi wybaczyć to samochwalstwo). Długo się wahałem, jaki pejoratywny termin wybrać dla tej organizacji. To słowo wryje się w świadomość opinii publicznej. Wie pan, jak ważna jest logomachia. W końcu uznałem, że „liga” to najlepsze, co możemy znaleźć. „Fracja” wyszła z mody, „klika” jest zbyt ograniczona, „falanga” brzmi zbyt hiszpańsko, „partia” i „ruch” nie budzą antypatii, „gang” czy „banda” — trochę na to za wcześnie, tych terminów użyjemy później, kiedy już trucizna zacznie działać. Można by też powiedzieć „sfora” — „Sfora Bojarów” — to bardzo obrazowe. Ale na razie „liga” daje wiele możliwości co do publicznego rezonansu. Czy takie ujęcie tematu wydaje się panu zadowalające?

— Nie interesuje pana, kim są ci Bojarzy w rzeczywistości?

Willy Knarr nadał się z lekka.

— Ani trochę, *sir*. Jestem uczciwym profesjonalistą, bez przesądów, bez humorów, bez sympatii i antypatii. Robię swoją robotę, kropka. Więc jak?

— Nieźle.

— Świetnie. Teraz potrzebujemy na czele tej Ligi kogoś wyjątkowo antypatycznego, kogo moglibyśmy oskarżyć o wszystkie nieszczęścia tego świata. Opinia publiczna potrzebuje winnego, który musi mieć twarz i nazwisko. To nam pozwoli zasugerować, że nie toczymy walki z

narodem rosyjskim ani nawet z samą Ligą — w której przecież mogą być ludzie całkiem porządni — ale z kimś groźnym. Wie pan, ludzkość się nie zmienia — wciąż potrzebuje czarownic, które mogłyby spalić na stosie. A zatem? Jakieś nazwisko? Nazwisko, które natychmiast zapada w pamięć, jak Milošević, Saddam, Noriega, Knezevic...

— Nie bardzo widzę.

— Żyrynowski nie jest czasem w to zaangażowany?

— Żyrynowski nie bardzo mi pasuje na Bojara.

— Dobrze, w takim razie musimy poszukać. W końcu znajdziemy naszego stracha na wróble. Kiedy zaczynamy?

— Fazę pierwszą — najszybciej, jak się da. Później mam nadzieję dostarczyć państwu więcej interesujących materiałów. Autentycznych. Zaczerpniętych ze źródła.

— Proszę sobie nie zawracać głowy. W naszym zawodzie nigdy nie wolno przeceniać autentyczności. Na początku będziemy działali powolutku, ale w końcu osiągniemy efekt kuli śnieżnej, proszę mi wierzyć. W ogóle nie je pan orzeszków, nie lubi pan?

— Przeciwnie, bardzo lubię — odparł Robin, co miało znaczyć: „nie znoszę”.

*

Miesiąc później niezależna gazeta w Turkmenistanie podała następującą informację:

Nad wyzwolonymi narodami byłego Związku Sowieckiego wisi nowe niebezpieczeństwo. W Sankt Petersburgu powstała liga nacjonalistów. Finansowana przez bank syjonistyczny, deklaruje ona sympatie dla dawnych czasów. Rosja miałaby wycofać się z reform przeprowadzonych po upadku reżimu komunistycznego i przywrócić dawne granice. Liga szkoli biegłych w sabotażu komandosów, gotowych zaatakować rządy krajów, które Rosjanie upierają się nazywać „bliską zagranicą”.

Nowi „Bojarzy”, jak członkowie Ligi nazywają samych siebie, chętnie wyznaczyliby nowego „cara”. Musimy być czujni.

Kilka dni później neokomunistyczne pisemko z Kostromy (leżącej na wschód od Moskwy) rzuciło się na ten sam temat, naświetlając go pod innym kątem:

Niezależnie od osobistych błędów Stalina, bilans bolszewizmu w Rosji należy uznać za pozytywny i trudno zaakceptować fakt, że ruch, który każe się nazywać Ligą Bojarów, a którego korzenie sięgają Czarnej Sotni i popa Gapona, posiada dom w Leningradzie — o, przepraszam! — w Sankt Petersburgu. Wolność wyznania owszem, ale nie powrót do władzy popów, nie pokłony do samej ziemi i guzy na czole, nie haracz płacony patriarchom. Nasz prezydent wcale już nie kryje swoich flirtów z Kościołem prawosławnym, posuwając się nawet do zatrudnienia osobistego spowiednika i częstego przystępowania do komunii. Co to wszystko ma znaczyć? Powrót do średniowiecza? Liga Bojarów spotyka się w pałacu Myszkiców. Aluzja do zacofanego myśliciela Dostojewskiego i jego słynnego księcia (oczywiście!) Myszkina jest jasna. Pamiętajmy, że wspomniana powieść nosi tytuł *Idiota*.

My nie chcemy już więcej ani książąt, ani idiotów.

Wkrótce potem w skrajnie prawicowej francuskiej gazecie „Le Garde-a-vous” (Baczność!) pojawiła się następująca notatka:

Prezydent Rosji, dawny szef straszliwego KGB, które kontynuuje działalność pod szyldem FSB, wpadł na sprytny pomysł utworzenia stowarzyszenia pod niewinnie brzmiącą nazwą „Liga Petersburska”, które w połowie składa się z doradców sprzyjających schizmie wschodniej, a w połowie z gotowych na wszystko narwańców, regularnie ćwiczących się w strzelaniu i sztukach walki. Głównymi przywódcami Ligi są członkowie rosyjskiej mafii, którzy przebiegle zakamuflowali się pod żydowskimi nazwiskami. Można by się założyć, że Galperin i Katz w rzeczywistości nazywają się Ursow i Urski. Przypuszcza się także, iż ci

pretorianie nie będą długo bezczynni. Rosja nigdy się więc nie zmieni, bo nigdy nie przestała nadstawiać swego byczego karku, szukając kolejnego, lepiej dopasowanego jarzma!

Lewicowy tygodnik satyryczny „Le Dindon dechainé”, opublikował karykaturę. Widniał na niej prezydent Rosji w mitrze i sutannie, potrząsający zwiniętą na kształt pałki gazetą pod tytułem „Le Gourdin” (Pałka); podpis głosił: „Prezydent Rosji rusza na podbój opinii publicznej”. Poniżej zaś umieszczono wyjaśniającą notatkę następującej treści: „Chodzą słuchy, że prezydent, znany z powiązań z klerem, wydaje potajemnie dwie gazety związane z nacjonalistyczną Ligą z siedzibą w Sankt Leninburgu — «Pałkę» oraz «Fakty i Legendy». Cóż, z braku stawiających prezydenta w dobrym świetle faktów, dobre i legendy!”.

W końcu włączyła się też telewizja. Program poświęcony Lidze Bojarów pierwsza wyemitowała stacja brytyjska, nadając mu tytuł „Co się kryje za drzwiami domu nr 90?”.

W pierwszych scenach widzowie zaproszeni zostali na przechadzkę ulicami Petersburga. Potem na stateczek płynący Mojką. Do brzegu przybijał on niedaleko pałacu Jusupowa; widzowie dowiadywali się, że w tym właśnie miejscu zamordowany został „lubieżny mnich-pedofil” — Rasputin [Może i lubieżny, ale ani mnich, ani pedofil], a z daleka mogli już dostrzec turkusowy pałac, cały w kolumnach i rokokowych balkonach. Kamera zatrzymywała się przed dwuskrzydłową, misternie rzeźbioną bramą, z umieszczonymi z boku małymi drzwiczkami dla pieszych, po czym ujęcie z dołu ukazywało widniejący na bramie, wypisany przesadnie ozdobnymi cyframi numer 90. Zapytany o zdanie ekspert z dziedziny numerologii stwierdzał ni z gruszki, ni z pietruszki, że liczba 90 ma głębokie znaczenie. Na czarnej tablicy wykazał jasno, że $9 + 0 = 9$, a $9 \times 9 = 81$, zaś $8 + 1 = 9$, a $9 \times 9 \times 9 = 729$, zaś $7 + 2 + 9 = 18$, a $1 + 8 = 9$, natomiast $9 \times 9 \times 9 \times 9 = 6561$, co ostatecznie znowu daje dziewiątkę

i tak w kółko.

Dalsza część składała się z dokumentów archiwalnych. Oczom widzów ukazała się zasnutą kadzidlany dymem prawosławna kaplica i brodacі popi, nadzy siłacze w łaźni parowej, trenujący karateka, strzelcy z bronią w rękę. Czytane zniewieściałym głosem komentarze zwracały uwagę, że dom na Nabrzeżu Mojki 90 musi być siedzibą nacjonalistycznej reakcji i odradzającego się rosyjskiego imperializmu. „Ci ludzie — dyszał ów homoseksualny głos — nie wyglądają wszak na porządnych demokratów, nieprawdaż?”

Wreszcie na sam koniec kamera pokazywała plecy samotnego mężczyzny idącego Nabrzeżem Mojki, mijającego bramę i wchodzącego w boczne drzwi. Rzeźbione skrzydło zdawało się samo przed nim otwierać. Mężczyzna miał na głowie sobolowy toczeł z nausznikami i nieprzemakalny płaszcz znanej angielskiej marki (jej autentyczność potwierdzała podszewka, którą można było dostrzec, gdy wiatr odchyłał połę płaszcza).

„Krązą różne pogłoski — kończył komentator. — Podobno człowiek dowodzący Ligą Bojarów, zły duch prezydenta Rosji, Rasputin nowego reżimu, to Igor Popow, dawny major KGB nawrócony na prawosławie i rzekomo zaginiony we Francji w latach sześćdziesiątych” [Zob. powieść tego samego autora, *Le Retournement* (pol. wyd.: *Werbunek*, Klub Książki Katolickiej, Poznań 2007)].

*

Robin otrzymał z agencji Randolph i Knarr pierwsze wycinki prasowe. Obejrzał też brytyjski program, który był retransmitowany w Stanach, po czym chwycił za telefon.

— I jak, Willy? Wszystko świetnie, ale co robią amerykańscy dziennikarze?

— Jest pan w gorącej wodzie kąpany. Proszę im dać czas na znalezienie Petersburga na mapie Rosji. Na pewno są przekonani, że to gdzieś na Florydzie.

Robinowi zdawało się, że słyszy w słuchawce chrupanie orzeszków.

ROZDZIAŁ II

PUŁKOWNIK IDZIE

NA EMERYTURĘ

Styczeń 2002

1

Z głębi opróżnionej szuflady pułkownik Sangdeboeuf wyłowił ostatni, uwięziony w jakiejś szparze spinacz i wrzucił go do kartonowego pudełka, które z kolei cisnął na starą, sukienną i spiętą skórzanymi paskami walizkę, gdzie spoczywały już cztery grafiki Gustawa Dore — ilustracje do *Opowiastek jurnych* Balzaka, które jeszcze godzinę wcześniej wisiały na ścianie. Grafiki należały do niego. Co do biurowych akcesoriów, których nie zdążył jeszcze zużytkować, był zdania, że po prostu mu się należą. W ten sposób skonfiskował kilka gumek, napoczętą paczkę zszywek, kilka kolorowych długopisów i kilka już zatemperowanych ołówków nr 2. Oczywiście, nie przyszłoby mu do głowy, żeby zabrać zszywacz czy cokolwiek innego ze sprzętów biurowych, które należały przecież do Republiki.

Ostatni rzut oka.

To kwadratowe pomieszczenie, w którym spędził jedenaście lat, zostało pozbawione śladów jego bytności. Wyrzął przez okno. Tyle razy montował swoje pokrętne intrygi, patrząc na blanki murów i bębniąc palcami w szybę! Zamknął walizkę i postawił ją w kącie obok drzwi. Nie czuł smutku, ale raczej pustkę porównywalną z pustką tego biura.

— No, tak, stary — mruknął do siebie. — *Sic transit!* [*Sic transit gloria mundi* (łac.) — Tak przemija chwała tego świata] I dla lepszej kompozycji wypowiedzi dorzucił:

— *Requiescat in pace!* [*Requiescat in pace* (łac.) — Niech spoczywa w pokoju]

Pace wymawiał: „pacze”, jak za czasów, gdy jako dziecko śpiewał w chórze.

Gdyby wycofał się cztery lata przed osiągnięciem wieku emerytalnego (pięćdziesiąt sześć lat), otrzymałby pełną pensję pułkownika. Ponieważ jednak przywiązał się do tego zawodu, który kochał ponad wszystko, w kieszeni zostanie mu tyle, co na galonach. [Galony podpułkownika zdobione są złotem i srebrem].

Wszedł na korytarz, zszedł na parter i udał się do hangaru, w którym miało się odbyć pożegnanie. Dochodził już stamtąd szum rozmów. Sangdeboeuf chciał z tym jak najszybciej skończyć, ale musiał wysłuchać kilku przemówień, jedno sam wygłosić, przyjąć prezent („Ciekawe, co mi kupili?”), napić się whisky („Miejmy nadzieje, że nie będzie to J&B”), zjeść szaszłyki bez baranich jąder, a potem uściśnąć niezliczoną liczbę rąk.

Wszedł do środka. Natychmiast zapadła pełna serdeczności cisza. Wszyscy lubili tego dinozaura, z twarzą jak suszona figa pod porośniętą szpakowatą czupryną kopułą czaszki. Wiedzieli, co czuje i starannie to ukrywali. Podeszła do niego Gisele. Okazała się szczególnie skuteczna podczas jego ostatniej wielkiej operacji o kryptonimie „Szkłana kulka”.

— Witaj, Samsonie. To był jego pseudonim.

— *Ave, doctoressa.*

Był tam też 2K, właśnie awansowany na dowódcę — kwadratowa twarz w okrągłej, bretońskiej głowie, wojskowy w każdym calu.

— Wyrazy uszanowania, pułkowniku.

— *How are you, old sport!* [Co słyhać, stary druhu?]

„Dwa Ka” świetnie sobie radził w śledztwach, ale koniecznie trzeba mu było znaleźć nową misję, żeby zatrzeć wspomnienie „Szklanej kulki”,

która nim porządnie wstrząsnęła. Ernest obiecał się nad tym zastanowić. A oto i on sam — Ernest (prawdziwe nazwisko: pułkownik Robillard), dowódca Wydziału Akcji Bezpośredniej, zawsze jak spod igły, w garniturze z paryskiego „La Samaritaine”, w połyskujących okularach i z wyciągniętą dłonią.

— Miło pana widzieć, Samsonie. Szkoda, że to już ostatni raz. W każdym razie, oficjalnie ostatni.

Z afektowaną dezynwolturą wszyscy ustawiali się z kieliszkami w dłoni. Wszyscy ci wojskowi na próżno starali się przybrać możliwie swobodną pozę — i tak czuło się, że w każdej chwili gotowi są zareagować na rozkaz „do szeregu — zbiórka!”.

Ernest przemawiał krótko i z większym poczuciem humoru, niż oczekiwano.

— Przyjaciele, cieszymy się ogromnie, że pułkownik Sangdeboeuf idzie na emeryturę, a to z dwóch powodów.

Po pierwsze, cieszymy się w jego imieniu. Pierwszy raz w życiu będzie mógł objąć się w sensie metaforycznym, a nie dosłownym i jestem przekonany, że na plażach, które będzie teraz regularnie odwiedzał, jego wielkie palce u nóg zrobią prawdziwą furorę.

Po drugie, cieszymy się we własnym imieniu. Nareszcie nie będziemy musieli znosić jego wyższości, bo — powiedzmy to sobie szczerze — codzienna obecność kolegi, który nas pod każdym względem przewyższa (zwłaszcza jeśli jest naszym podwładnym) bywa naprawdę bolesna. Wszyscy znacie dokonania pułkownika Sangdeboeufa jako członka Oddziałów Operacyjnych; ma na koncie też inne, o których wielu z was nie wie, ale które ja znam i muszę przyznać ze wstydem, że przyćmiewają moje własne.

Kończąc, wzniosę toast, który on by wznosił: *he is a jolly good fellow, vivat, vivat, vivat!*

Tradycyjny prezent wręczyła pułkownikowi Gisele. Rozerwał papier, otworzył wieczko pudełka — w środku leżały ogromne, malachitowe

spinki do mankietów. Wszyscy znali skłonność Samsona do nieco ostentacyjnej elegancji, a malachit był aluzją do jego afrykańskiej przeszłości. Teraz przyszła jego kolej na złożenie podziękowań.

— *Thank you very much. Gratias ago.* Wiem, że wszystkim zalałem za skórę z moją manią wtrącania tych nielicznych angielskich i łacińskich powiedzonek, które ojcuzkowie wbili mi do głowy, oraz tych, które sam wymyślałem, ale dziś czynię to ostatni raz i nie mam zamiaru przy tej okazji zmieniać przyzwyczajęń. Zamierzam więc podziękować wam dwukrotnie — *bis repetita placent* — po jednym razie za każdą spinkę. Na wasze szczęście, nie widzę tu żadnych Greków, więc nie będę miał okazji wtrącić słynnego porzekadła, które było mi przewodnikiem w naszym trudnym zawodzie: *Timeo Danaos et dona, ferentes* co na ucho sądząc, znaczy mniej więcej: „tym, co dają, nie ufaj, bo pójdziesz na rentę” [Lękam się Danajów [Greków], nawet gdy składają dary — cytat z *Eneidy* Wergiliusza].

Nie zamierzam owijać w bawełnę. Lubiłem dowodzić, lubiłem służyć rozkazów, a nade wszystko, lubiłem służyć. Tak, o wiele zabawniej jest służyć, gdy się jest zawieszonym na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nad ziemią, niż gdy się odwala pańszczyznę na poziomie margerytek i ślimaków. Ja miałem to szczęście. I zabawniej jest także wtedy, gdy należy się do takich służb jak nasze, gdzie to, co nie jest zakazane, jest dozwolone, a wszystko, co jest zakazane, jest także wskazane. Hitler zorganizował Noc Długich Noży. W naszym przypadku były to raczej noce długich łyżek, bo trzeba bardzo długiej łyżki, żeby jeść kolację z diabłem, a na tym właśnie, *for better or for worse*, polega nasz zawód. Ale do rzeczy, bo jak wszyscy wiecie, najkrótsze żarty są najmniej długie, a najmniej długie przemówienia, są najkrótsze. Niektórzy spośród was zastanawiają się zapewne, co teraz będę robił:

crachare ad plafondum czy *peignare girafam*. Pragnę was zapewnić, że nie podpisałem lukratywnego kontraktu z Chase Manhattan Bank i że mam zamiar wreszcie zwolnić tempo i zbijać bąki. Innymi słowy: *Sursum corda! Keep a stiff upper lip! Adeste fideles! The devil take the hindmost!* Oraz (tu mrugnął znacząco do 2K): *due in altum!* Krótko mówiąc: wasze zdrowie!

Opróżnił kieliszek.

I to już był prawie koniec. Trzydzieści lat życia — bagatelka. Samson poszedł po walizkę. Przeniósł ją do kupionego okazjnie granatowego rovera ze skórzanymi siedzeniami, który zafundował sobie z okazji przejścia na emeryturę („To moja ostatnia bryka, niech chociaż będzie ładna”) i ostatni raz przekroczył bramę Fortu.

Może nie był to dosłownie ostatni raz — na pewno zapomniał paru drobiazgów, będzie wzywany na konsultacje i zapraszany na różne bankiety, ale w tym najgłębszym sensie „Samson” definitywnie opuszczał swoje miejsce pracy. Odczuwał to trochę jak śmierć, choć przecież miał jeszcze przed sobą dobre dwie dekady życia i nie zamierzał się poddawać. Musiał sobie znaleźć zajęcie i to właśnie nieco go uwierało. Nie zamierzał się obnażać, pisać pamiętniki, nie był człowiekiem rozrywkowym, nie pociągało go introligatorstwo ani modelarstwo, meblarstwo artystyczne lub uprawa róż. Poza wszystkim, żeby hodować róże, musiałby mieszkać na wsi, a Adelina, paryżanka z krwi i kości, nigdy tego nie chciała. Jeśli o niego chodzi, mógł mieszkać gdziekolwiek — było mu dokładnie wszystko jedno. Na razie postanowił odnowić mieszkanie Adeliny. To zajmie go na jakiś czas, a potem się zobaczy. Nie był żadną złotą rączką, ale właśnie o to chodziło — poświęci na to więcej czasu.

Ich związek trwał od lat, ale nigdy nie chcieli zamieszkać razem. Teraz jednak, gdy będzie miał gołą emeryturę (dwie trzecie żołądu), płacenie dwóch czynszów wydawało się absurdalne. Długo wahali się, nim poruszyli ten temat, gdyż wstydlivość w mówieniu o pieniądzach była równie naturalna dla starego żołnierza, jak dla pani doktor filozofii, ale

w końcu się przemogli. W ten oto sposób Gaston Sangdeboeuf miał opuścić swoją garsonierę przy placu Pigalle, dokąd wracał po tylu niebezpiecznych misjach, i wprowadzić się do mieszkania przy rue de l'Universite. W mieszkaniu nie dokonano żadnych zmian od śmierci jego przyjaciela, pułkownika Vadebondieu, po którym wdowę skwapliwie pocieszył — początkowo z wyrzutami sumienia, a w końcu z wdzięcznością („Dzięki, że mi ją zostawiłeś. Będę dobrze traktował twoją Adeline — naszą Adeline”). Jako katolik wierzył niejasno w zmartwychwstanie ciała i zastanawiał się niekiedy, jak to będzie. Biblia zapewniała go jednak i niepokoiła jednocześnie, że w niebie nie ma się ani żony, ani męża. „Wygląda na to, że żyje się tam niczym «niebiescy anieli». Mam tylko nadzieję, że to nie jest straszliwie nudne”.

Prowadził rovera z radością dziecka bawiącego się nową zabawką, od czasu do czasu pozwalając sobie na trzymanie kierownicy jednym palcem. Tego wieczora zabierze Adeline do „Lasserre”. Stolik zarezerwował już dawno. „To będzie nasza najpiękniejsza kolacja. Potem trzeba zacząć oszczędzać”. Zastanawiał się, czy dach się otworzy i czy będzie widać gwiazdy. Potem pójdą na kieliszeczek... gdzie? Może do „Noctambules”, Adelina jako intelektualistka lubiła tam bywać. Wróć na rue de l'Universite, on zdejmie jej okulary...

Nieważne, że była od niego trochę starsza. Kiedy zdejmował jej okulary, wciąż doprowadzała go do wrzenia. Żartowali, że „Zdejmij okulary” stało się ich tajnym hasłem.

Kolacja była przepyszna. Adelina miała na sobie czarną sukienkę z diamentową broszką przypiętą do umiarkowanego, ale obiecującego dekoltu. Jej inteligentne i dobre oczy, uśmiechające się spoza „zdejmovalnych” okularów, także były pełne obietnic.

— Rozumiesz — rzekła, kładąc mu delikatnie dłoń na nadgarstku — że moje życie zupełnie się zmieni? Tak z dnia na dzień?

— *I suppose so...*

Wciąż myślał o ich skromniejszych dochodach.

— Zmieni na lepsze. Zdziwił się.

— Jak to, Adelino?

— Przestanę się wreszcie o ciebie bać, Gastonie.

Zdziwił się ponownie i rozczulił.

— Niemożliwe... Bałaś się o mnie?

— Nie domyślałeś się?

Wytrzeszczył oczy.

— Prawdę mówiąc, nie. Nigdy nic nie mówiłaś.

Potrząsnęła głową i szepnęła najciszej jak mogła, żeby nie usłyszał jej kelner:

— Kochany głuptas z siebie!

Lubiła to słowo — głuptas.

W końcu nie poszli do „Noctambules”. Wrócili prosto do domu, gdzie okulary wreszcie zostały zdjęte jak należy.

Przeprowadzka nie obyła się jednak bez zgrzytów. Na szczęście mieszkanie było na tyle duże, że kochankowie mogli dosyć często przebywać każde w swoim pokoju, ale mieli nieco głupie miny, zasiadając do wspólnego śniadania — ona z swoimi grzankami, on ze swoją kiełbasą, jeszcze zaspani, objijający się o siebie nawzajem i nie mający sobie zbyt wiele do powiedzenia. Najczęściej urządzali wszystko tak, żeby obiad jadać osobno (on łykał coś naprędce w domu, ona zaś w którejś restauracji w okolicy liceum im. Fenelona, w którym uczyła), ale kolację jedli razem, albo zdając się na to, co Adelina przyniosła z miasta (gotowanie nie sprawiało jej najmniejszej przyjemności), albo na to, co Gaston upichcił ze swego bogatego repertuaru wynalazków kulinarnych, które zajmowały mu mnóstwo czasu i wymagały dziesiątek egzotycznych przypraw. Ale nawet siedząc razem przy stole, bardzo uważali na to, co mówią — on się pilnował, żeby nie snuć kombatanckich wspomnień, a ona, żeby go nie zanudzać swoją pisaną od dziesięciu lat pracą habilitacyjną, mającą wykazać, że po Bergsonie nie było

już prawdziwej filozofii, z wyjątkiem, rzecz jasna, Erika Voegelina.

Ta rozprawa habilitacyjna była zresztą przyczyną licznych konfliktów, gdyż Adelina upierała się, żeby używać starej maszyny do pisania marki „Royal”, do której trudno już było znaleźć taśmę, przez co tekst był prawie nieczytelny, podczas gdy Gaston bezskutecznie próbował nawrócić panią filozof na korzystanie z komputerów, na których świetnie się znał. W końcu znalazł rozwiązanie — ona będzie stukąła na maszynie, a on za pomocą swojego doskonałego skanera przeniesie tekst na dysk twardy i wydrukuje go na swojej drukarce.

Pomijając to zadanie, Samson nie miał już żadnych ambitniejszych projektów wykraczających poza zaszpachlowanie pęknięć, odmalowanie ścian, reperację sufitów, zerwanie sukiennych tapet i przybicie nowych, wymianę łazienkowych baterii, zainstalowanie nowoczesnych spłuczek i wykonanie „zgodnej z normami” instalacji elektrycznej.

— Wszystko, co zrobisz, Gastonie, będzie dobre — rzekła Adelina, godząc się w końcu na zmianę wystroju wnętrza, które pamiętały czasy Hektora.

Ale Gaston i tak czuł się w obowiązku konsultowania wszelkich zmian, jakie zamierzał w tym wystroju wprowadzić. On wołał kolory żywe i skontrastowane, ona zaś robiła ukłon w jego stronę, rezygnując ze swoich ulubionych pastelowych półcieni. On byłby zachwycony, mogąc poustawić we wszystkich kątach psychodeliczne lampy, ale szedł jej na rękę, zostawiając tu i tam zielone, niskie abażury. Szukali kompromisu między firankami, za którymi optował Gaston, a podwójnymi, podpinanymi zasłonami, które lubiła Adelina, w końcu wieszając jedno i drugie. Krótko mówiąc, nie było łatwo, ale za to zabawnie. Dusza pułkownika Vadebondieu przyglądała się temu, powtarzając (przy najmniej, taką mieli nadzieję) kwestię z *Życia paryskiego* Offenbacha: „Pan pułkownik jest zadowolony!”.

Salon, z którego meble zostały przeniesione do innych pokoi, zastawiony był teraz taboretami, rusztowaniami, wiadrami z farbą, stosami gazet, a dwa wielkie okna balkonowe zalewały go ostrym światłem. Nagle zadzwonił telefon. Adelina była w szkole. Samson zeskoczył z drabiny, o mało nie zaplątał się w kabel odkurzacza, wpadł do przedpokoju, przypomniał sobie, że telefon został tam odłączony, pospieszył do gabinetu, który teraz służył za sypialnię i podniósł czarną słuchawkę, brudząc ją farbą w kolorze sjeny palonej.

— Halo? — ryknął swym najbardziej aroganckim tonem.

— Samson?

— Tak!

Od miesiąca nikt tak się do niego nie zwracał. Tęsknił za tym, choć nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Samson, tu Daniel. Nie przeszkadzam?

2

Daniel nie należał do ulubionych kolegów Samsona.

Karierę zrobił w Wydziale Akcji Bezpośredniej, ale dostał się tam nie tak, jak się wstępuje do bractwa religijnego, ale tak, jak się rzuca na najlepszą nadarzącą się okazję. Był młodszy od Samsona, ale porzucił armię wcześniej (prawdę mówiąc, gdy tylko było to możliwe), żeby przywdziać ciepłe kaptcie cywila. Nie widzieli się od ponad roku.

— Nie, nie przeszkadzasz — odparł Samson bez przekonania, wycierając w kombinezon dłoń upapraną w farbie.

— Wiesz, miałem problem, żeby cię odnaleźć. Musiałem odświeżyć stare kontakty. Wygląda na to, że się zadekowałeś u starej przyjaciółki, co? Dobra, dobra, nie moja sprawa. Mam nadzieję, że nie matkuje ci za bardzo i będziemy mogli zjeść razem obiad? Pogadalibyśmy o dawnych czasach. O ile pamiętam, jesteś skrajnie mięsożerny. W takim razie restauracja „Pod rzeźnikiem” powinna ci odpowiadać, co? Zawsze pełno tam glin, ale możemy im pomachać z daleka. Dziś o trzynastej? Ja zapraszam.

— Dziś to niemożliwe — rzekł Samson dla zasady.

Poza wszystkim, wolał skończyć pierwszą warstwę na suficie; od malowania już bolały go plecy, a to wprawiało go w fatalny humor.

— To może jutro? Muszę się z tobą szybko zobaczyć.

„Musi się ze mną szybko zobaczyć! Ma tupet! Ciekawe, co knuje”.

— Dobra, może być. *Tomorrow is another day.*

Następnego dnia Sangdeboeuf stanął na ulicy Prouvaires przed restauracją „Pod rzeźnikiem”, w której wyniośle odmawiano podawania antrykotów, gdyż „antrykoty dostanie szanowny pan naprzeciwno”. Przybył tam nieco za wcześnie (skrzywienie zawodowe), ale Daniel, który także był zawodowo skażony, też postanowił przyjść przed czasem, co sprawiło, że za piętnaście pierwsza stanęli oko w oko i obaj wybuchnęli śmiechem.

— Zawsze ten sam stary Samson!

— Wciąż ten sam poczciwy Daniel!

Daniel — wysoki, szczupły, o żwawych ruchach, zawsze wyglądał na młodszego niż był w rzeczywistości; miał bardzo jasne, subtelnie wpadające w biel włosy, cerę gładką i różową, a rysy wyraźne i szlachetne — być może nawet nieco za szlachetne.

Na początek podano im główkę, potem Samson zamówił krwisty stek, który nie mieścił się na talerzu, a Daniel zadowolił się udźcem wołowym (nie był podany w całości, ale prawie). Daniel gawędził o tym i o owym, jak to ludzie interesu, którzy do właściwego tematu przechodzą dopiero przy deserze, ale Sangdeboeuf nie należał do osób, które pozwalają się w ten sposób zwodzić. Gdy tylko przyniesiono danie główne, z hałasem odłożył nóż na stół.

— No, dobra, miło cię znów widzieć, Danielu. Teraz jednak, że użyję słynnego powiedzenia, starczy tych igraszek, pora ściągnąć spodnie. *Out with it.*

Daniel nigdy nie gustował w bezpośredniości starszego kolegi. W jego jaskrawo-niebieskich oczach zapalił się płomyk złości, ale szybko przygasł. To on miał interes do Samsona i miał w sobie zbyt wiele naturalnej elegancji, żeby udawać, że o tym nie wie.

— Ja też się cieszę, że cię znów widzę, ale nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, że spotkałem się z tobą wyłącznie z tego powodu.

Daniel został zatrudniony jako logistyk przez pewną francuską firmę

naftową — OILOC. Organizował dostawy dla przedsiębiorstw produkujących i budujących rurociągi w regionie Morza Kaspijskiego. W szczególności miał nadzór nad znajdującymi się w różnych miejscach bazami, w których przebywali pracownicy spółki.

— Nie wiem, na ile pamiętasz geografie tego regionu.

— Wcale. Moją domeną jest Afryka.

— Postaram się więc sprawę uprościć. Morze Kaspijskie ma nadmiar węglowodorów. Chodzi o ich eksport. Można by to robić na wschód lub na południe, ale na razie eksport odbywa się na zachód, za pomocą dwóch równoległych rur. Jedna znajduje się na południe od Kaukazu i biegnie od Baku nad Morzem Kaspijskim do Supsy nad Morzem Czarnym. Przecina Azerbejdżan i Gruzję — kraje niepodległe i raczej antyrosyjskie; znajduje się „pod opieką” Amerykańców. Druga rura znajduje się na północ od Kaukazu i biegnie także z Baku przez Czeczenię do Noworosyjska, który także leży nad Morzem Czarnym.

Ta druga rura, za którą Amerykanie nie przepadają, jest właśnie interesująca dla nas, bo pracujemy nad jej modernizacją. Nasze bazy to bungalowy podobne do kontenerowców marynarki, które absolutnie nie spełniają kryteriów bezpieczeństwa. Czujesz temat?

— Mieliście już jakieś problemy?

Daniel spuścił oczy, podniósł je, w rękę ugniół kulkę z chleba.

— Zaraz do tego dojdę. Koncern OILOC chce ci zaproponować (sam cię zarekomendowałem, ale nie musisz mi dziękować) stanowisko szefa ochrony całego naszego personelu pracującego wzdłuż rury. Tak długo robiłeś w tym zawodzie i byłeś tak skuteczny, że na pewno znajdziesz jakieś środki prewencyjne. Co więcej, masz talent do zjednywania sobie ludzi — dla jednych będziesz jak brat-łata, dla innych jak dobrotliwy ojczulek... Masz wszystkie zalety żołnierza, ale nie jesteś służbistą. A poza wszystkim (nie tłumaczyłem tego moim szefom, bo by nie zrozumieli), jesteś farciarzem, a to ważniejsze niż wszystko inne.

Jako szef ochrony na tak wielkim terenie i z tak wielką liczbą pracowników, za których będziesz odpowiedzialny, dostaniesz około pięćdziesięciu paczek miesięcznie... I jest to kwota — dorzucił Daniel, widząc, że oczy Samsona nie zaświeciły się chciwie — którą na pewno można negocjować. Do tego, rzecz jasna, pokrycie kosztów, podróże klasą biznesową i podobne drobiazgi. Umowa na czas nieokreślony, którą możesz w każdej chwili rozwiązać.

Ponieważ Samson nadal nie podskakiwał z radości, Daniel uderzył w ton ironiczny.

— No, co? Przecież chyba nie zamierzasz dać się żywcem pogrzebać, zanim ci stuknie sześćdziesiątka? A może martwisz się o zdrowie? To akurat argument za — mamy doskonałe ubezpieczenie. Jeśli chodzi o robotę, to masz *carte blanche*, nikt nie będzie cię ograniczał, jeśli chodzi o środki, obiecuję. Dobrze już poznałem tych moich nafciarzy.

Samson myślał o podróżach, które mógłby sprezentować Adelinie. Była humanistką, hellenistką, tak bardzo by się cieszyła, mogąc poznać Sycylię, Grecję, Kapadocję, Jordanię, Syrię. No i lubiła się ładnie ubierać, a miała jeden jedyny karakułowy płaszcz, w dodatku poszatowany przez mole... Jeśli o niego chodzi, to nie miał marzeń, które można by wyrazić w liczbach, choć miło byłoby kupić do mieszkania farbę pierwszej jakości, zamiast szukać na wyprzedażach i miło byłoby nie musieć stale „uważać” na domowy budżet. „Uważanie” nie leżało w naturze Samsona, nawet jeśli stanowiło stały punkt jego zawodowego treningu.

Ponowne zatrudnienie się, odnalezienie miejsca w społeczeństwie, otrzymywanie instrukcji, wydawanie rozkazów, podejmowanie ryzyka, wybieranie metod działania, śledzenie wyników — wszystko to było bardzo kuszące i... niepokojące. Przez ostatnie miesiące Samson zdążył już się tak bardzo przyzwyczaić do myśli, iż nigdy więcej nie będzie tego robił, że teraz czuł się wręcz urażony. Czyżby ta asceza była zupełnie na nic?

Ale było coś jeszcze. Pułkownik Sangdeboeuf nigdy w życiu nie brał pieniędzy od innego pracodawcy niż państwo. Otrzymywał żold, nie pensję. Słuchał szefów, którzy poświęcili swoje życie (w sensie dosłownym) służbie czemuś, co ich przerastało, a to czyniło ich bardziej godnymi szacunku. Samson nie był pewny, czy służenie biznesmenom, którzy umieją tylko robić szmal, jest tym, co umiałyby i w ogóle chciałyby robić. Zdarzyło mu się kiedyś, że jako starszy sierżant przywalił w głowę komendantowi, który podglądał ludzi w latrynie... Czuł, że byłby w stanie wyrzucić przez okno jakiegoś wartego sto milionów dolarów bubka, który potraktowałby go bez szacunku. To chyba nie były najlepsze predyspozycje do pracy w cywilu. Nie mówiąc już o tym, że w armii, jeśli szefowie nie są z ciebie zadowoleni, mogą cię przesunąć „w obręb armii”. W cywilu mówią ci „wynocha”.

No i Adelina. Właśnie, Adelina.

Bała się o niego — tak powiedziała i on w to nie wątpił. Może jednak zasługiwała na to, żeby w końcu mieć mężczyznę dla siebie, takiego, który wprawdzie mniej zarabia, ale jest z nią każdego ranka, zajadając swoją tłustą kiełbasę, podczas gdy ona przygotowuje swoje cieniutkie grzanki, i tak jeszcze przez wiele lat. Trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt, może siedem tysięcy, może dziesięć tysięcy grzanek... Na tym właśnie polega miłość. Nie na tym, żeby jechać na koniec świata i dać sobie przestrzelić łeb (bo istnieje takie ryzyko) za kilka dodatkowych groszy. Służba dla Francji (Samson wstydliwie mówił o niej „Republika”, ale zawsze myślał „Francja”), to jedno. A kompanie naftowe, te spalone wieprze, gromadzące nieustannie swój ukochany szmal, bez oglądania się na mnie, na ciebie, na kraj — to drugie.

— Danielu — rzekł w końcu, przybierając wylęknioną i trochę ogłupiałą minę — nie jestem pewien. A kim są niegrzeczni chłopcy po drugiej stronie barykady?

— Po drugiej stronie? To Czeczeni, dla których porwania dla okupu są od średniowiecza rodzajem sportu narodowego. Teraz nabrało on

znaczenia religijnego i politycznego, głównie pod wpływem wahabistów, którzy tam przybywają z Arabii Saudyjskiej. Ale w gruncie rzeczy, Czeczeni od wieków nie zmienili zawodu.

— A armia rosyjska nie kontroluje sytuacji?

— Poza generałem Bezborodko, który ostatnio pozwolił się zabić, Ruski nie zrozumieli jeszcze, że w wojnie partyzanckiej jest tylko jedna metoda — komandosi. Rosjanie bawią się w bombardowania, jak Amerykanie. Ewentualnie pozwalają sobie na luksus zajmowania kolejno domów za pomocą granatów lub bagnetów, co jest równie idiotyczne. Powiedziałem „Czeczeni”, ale powinienem powiedzieć „niektórzy Czeczeni”, a nawet „mniejszość Czeczenów”, bo większość, jak wszędzie, pragnie jedynie pokoju. Ale jest to mniejszość zbuntowana, skrajnie agresywna, odwołująca się do metod przodków, które dostosowuje do wymogów nowoczesnej wojny. Dostarczę ci wszelką dokumentację, jakiej będziesz potrzebował. I musisz wiedzieć, że naszym celem nie jest hałas, bicie piany i rozgłos. Chwytasz?

— Mhm...

Sangdeboeuf wrócił do domu z ciężkim żołądkiem i równie wypchaną teczką, gdyż Daniel wcisnął mu rozmaite prospekty, broszury, mapy i raporty; na niektórych z nich widniał uczyniony czyjąś (czyją?) ręką dopisek: poufne. Nie od razu jednak zaczął je przeglądać. Ponownie włożył swój barwny kombinezon i wrócił do malowania sufitu z zadowoleniem zmaconym pokusą. Malując tego ranka, nie przyznawał się sam przed sobą do tego, że się nudzi. Teraz, po południu, malując, czuł satysfakcję, ale też się do tego nie przyznawał. Cały czas jednak rozmyślał, a raczej pozwalał dojrzewać swoim przecuciom, a przecucia te nie sprzyjały propozycji Daniela. Pieniądze — jasne... Ale Samson dobrze pamiętał bajkę La Fontaine'a *Wilk i pies*, która dawno temu, w szkole, zrobiła na nim ogromne wrażenie.

Wtem patrzy... „A co to?” — „Gdzie?” — „Ot tu na karku”. „Eh, błazeństwo!...” — „Cóż przecie?” — „Oto, widzisz, troszkę Przyczesa-no — bo na noc kładą mi obróżkę, Ażebym lepiej pilnował folwarku!”. „Czy tak?...” [Jean de La Fontaine, *Bajki*, Warszawa 1984; przekład Adama Mickiewicza].

W wojsku Samson nigdy nie czuł się uwiązany, ale przywiązany — z własnej i nieprzymuszonej woli; był panem swojego losu, słuchał rozkazów, bo tego właśnie chciał. Natomiast kiedy Daniel mówił: „na moją propozycję”, „można negocjować”, „dobrze już poznałem tych moich nafciarzy”, człowiekowi stawała przed oczami wygnieciona od obroży psia szyja. Może Samson nie byłby na to aż tak bardzo uczulony, gdyby miał dla Daniela więcej sympatii, ale wszystko go w nim irytowało — ten siwy blond, który musiał być efektem jakichś sztuczek, ci „Amerykańcy”, te „Ruski”, to „chwytasz?”.

— A jeśli nie mam ochoty „chwycić”?

Pod wpływem irytacji Samson zaczął zbyt mocno naciskać pędzel i chlapać farbą na prawo i lewo, co w żaden sposób nie zmniejszyło niechęci do dawnego towarzysza broni. Tak, rozpoczęcie życia na nowo w jego wieku to bardzo kuszące, prawdziwe źródło młodości, ale Samson tyle razy przysięgał sobie, że nie będzie żył przeszłością, że teraz oprócz pozornego zwycięstwa odczuwał głęboką klęskę. Około osiemnastej wrzucił pędzel do wiadra z farbą, wywołując kolejną fontannę w kolorze sjeny palonej, wszedł do pokoju służącego mu za biuro i podniósł słuchawkę telefonu. Trafił na recepcjonistkę, która połączyła go z sekretarką, która połączyła go z asystentką, a wszystko to przy wtórze jazzowego utworu i melodyjnego komunikatu „Proszę czekać, będzie rozmowa”, żeby w końcu dowiedzieć się, że pan Ferreor jest „na spotkaniu”, ale „może pan zostawić dla niego wiadomość”.

„Proszę mu powiedzieć, że może sobie wsadzić moją wiadomość w wiadome miejsce” — miał ochotę odpowiedzieć Samson, ale onieśmieszony łagodnym głosem tych sterylnych pańienek, nie odważył się. Zamiast tego, napisał faks.

Do: Szanowny Pan Ferreor Rozważyłem Twoją propozycję. Nie odpowiada mi. Sangdeboeuf.

Korciło go, żeby dorzucić kilka ozdobników — jednych obraźliwych, innych kojących, w stylu „Nie wszyscy pułkownicy armii francuskiej sana sprzedaż” lub „Wasze ceny są zupełnie nie na poziomie moich kompetencji” albo „Jest mi niezmiernie przykro, ale muszę Państwa poinformować, że mam inne plany...”, ewentualnie „Kaź się wypchać swoją propozycją i spadaj na drzewo”, ale uznał, że wszelki komentarz byłby poniżej jego godności.

— *Quod scripsi, scripsi* [*Quod scripsi, scripsi* (łac.) — Com napisał, napisałem — słowa Piłata z Ewangelii św. Jana (19,22)].

Gwałtownie wcisnął przycisk „wyślij”, rzucił okiem na teczkę wypchaną papierzyskami, których nie przeczytał, pomyślał, żeby znowu wziąć się do malowania, ale tylko usunął za pomocą terpentyny plamy farby z podłogi, wziął prysznic i założył domowe ubranie. Chwilę później wróciła Adelina. Zmieniwszy buty, nalała sobie porto i opowiedziała mu o zebraniu komitetu, w którym uczestniczyła — wszyscy gadali równocześnie i nikt nikogo nie słuchał. Samson pozwolił sobie na kilka kropelek whisky Bowmore, myśląc, że gdyby przyjął propozycję Danieła, mógłby nalać sobie do pełna, co nie wyszłoby mu na zdrowie (marna pociecha). Ponieważ jego decyzja była negatywna, nie uznał za stosowne poinformować Adeliny, na jakie pokusy wystawiono go tego popołudnia.

Po kolacji (Adelina przyniosła z restauracji wołowinę, a w lodówce była jeszcze resztką sera) postanowili dać szansę telewizji. Ani Adelina, ani Samson nie mieli zwyczaju psuć sobie oczu przed małym, błękitnym ekranem, ale ona interesowała się niektórymi programami dokumentalnymi, a on też nie umiał się tak całkiem odciąć od bieżących informacji. Ponieważ z salonu wyniesiono wszystkie meble, telewizor stał chwilowo w biurze, gdzie teraz oboje zasiedli — Adelina w bujnym fotelu, a Samson, który desperacko włożył symboliczne kapcie, w fotelu z wytartej skóry. Adelina przejrzała program telewizyjny i wspólnie uznali, że obejrzą debatę o „Zagrożeniach na północnym-wschodzie”.

Wokół stołu siedziało pięć osób: moderator i czterech komentatorów. Pierwszy z nich miał pod szyją kanarkowo-żółtą apaszkę, drugi miał apaszkę błękitną, trzeci był posiadaczem kudłatej brody, czwarty zaś, a raczej czwarta, bo była to komentatorka, miała na sobie damski garnitur i była w tym towarzystwie jedyną osobą pod krawatem (rzecz jasna od „Hermesa”).

— Zgodnie z naszym zwyczajem — zaczął moderator — postaraliśmy się, żeby reprezentowane tutaj były możliwie zróżnicowane punkty widzenia, co zapewni naszej debacie prawdziwy, demokratyczny obiektywizm.

Czwórka komentatorów wymieniła między sobą spojrzenia przesycone manifestacyjną wrogością i zamaskowanym porozumieniem. Kilka razy w miesiącu brali udział w podobnych programach i choć ich poglądy (o ile w ogóle je posiadali) można było traktować wymiennie, musieli sprawiać wrażenie antagonistów, żeby poziom oglądalności nie spadał.

— Spójrz na tych pajaców — rzekł Samson, wierząc się w fotelu. — Wyglądają jak pięć rybek w słoiku. Byłbym zdziwiony, gdyby moderator miał tam coś do roboty. Tort jest wystarczająco duży, żeby każdy dorwał się do swojego kawałka bez zawadzania innym.

— W życiu nie widziałam rybki jedzącej tort — zauważyła Adelina. — Musisz uważać na swoje metafory.

Moderator stwierdził, że nie należy przeceniać zagrożenia ze strony islamistów. Na miliard żyjących na świecie muzułmanów, ilu może być szalonych synów Allaha, gotowych poświęcić życie? A ilu terrorystów zdecydowanych prowadzić zbrodniczą i antydemokratyczną wojnę? W istocie rzeczy, muzułmanie są przecież, podobnie jak żydzi, a nawet niektórzy chrześcijanie, zwolennikami demokracji i tolerancji. Kiedy te siły demokratyczne zwyciężą nad ludobójczym i samobójczym instynktem nielicznych, na planecie zagości ostateczny pokój i demokracja, której hasłem będą prawa człowieka... Oczywiście pod warunkiem, że do tego czasu zostanie wchłonięte inne, być może jeszcze większe niebezpieczeństwo. Albowiem na granicach demokratycznej Europy leży ogromne państwo, dysponujące praktycznie nieograniczonymi zasobami naturalnymi, które niestety, nie może dać międzynarodowej społeczności demokratycznej odpowiednich gwarancji. Tu moderator zaczął snuć rozważania, czy w Rosji prawa człowieka są respektowane jak należy, bo przecież nigdy nie były i jak się okazuje, reakcja zaczyna znowu podnosić głowę.

Czwórka komentatorów pokiwała głowami. Ze strony Rosji można się spodziewać najgorszego.

Pan Żółta Apaszka przypomniał o rosyjskich stosunkach z islamem. Na razie Rosjanie zdawali się stać po stronie wspólnoty międzynarodowej, ale nie można zapominać, że muzułmańskie narody dawnego imperium lub byłego ZSRR zawsze dawały dowody lojalności w stosunku do władzy centralnej, jakakolwiek by ona była. Trzeba więc być nieufnym.

— To znaczy, że Carrere d'Encausse [Helene Carrere d'Encausse — francuska historyczka współczesna, specjalizująca się w historii Rosji] się myliła? — spytał pan Kudłata Broda.

— Skądże znowu — odparował pan Żółta Apaszka. — Ale Rosjanie

są niestali i zawsze chętni do spiskowania z terrorem, niezależnie od jego pochodzenia.

Pan Niebieska Apaszka zauważył, że Turcy byli za Franciszka I dobrymi sojusznikami Francji i podczas wojny o Sewastopol przystąpili do koalicji francusko-brytyjskiej.

Pani Krawat od „Hermesa” przypomniała, jaką rolę odegrała mużułmańska strefa ochronna w amerykańskim planie izolowania (*containment*) rosyjskiego komunizmu, oraz jaką nadal odgrywa w ich polityce *roll-back* [Odpychanie, odsuwanie].

— Cóż, jedenastego września lejce chyba im wypadły z ręki! — zauważył pan Kudłata Broda.

— Coś takiego! Obraża pan sojuszników, którzy dwukrotnie przybyli nam na ratunek? — oburzyła się pani Krawat od Hermesa, niegdyś oddana zwolenniczka komunistów, a od upadku muru berlińskiego równie zagorzała sympatyczka Stanów Zjednoczonych.

— Na ratunek zwycięstwu — sprostował pan Kudłata Broda, którego zawód polegał na okazywaniu złej woli. — Proszę zauważyć, że w 1917 i 1943 roku, kiedy Amerykańcy w końcu postanowili przystąpić do wojny, Niemcy ledwo już się trzymały na nogach.

Moderator poczuł się w obowiązku wtrącić pobłażliwie:

— A pan, drogi przyjacielu, w kółko o tym samym!

Pan Żółta Apaszka skomentował geografię Rosji, kraju bez naturalnych granic i kwadratowych pastwisk, skazanego przez los na imperialistyczny ekspansjonizm. Było to oczywiste, o czym świadczył wciąż odradzający się mit trzeciego Rzymu.

— Roślinożerny niedźwiedź skazany na kanibalizm — podsumował pan Kudłata Broda. — Zresztą, wszyscy dobrze wiemy, że Rosja miała carów białych i carów czerwonych. Jedni warci drugich.

— Faktycznie, można by powiedzieć, że w rosyjską duszę wpisany

jest jakiś rodzaj instynktownego barbarzyństwa — stwierdziła pani Krawat od Hermesa.

— Uważam tę konstatację za rasistowską — odważnie rzucił pan Kudłata Broda, mając pewność, że mu zaprzeczą.

— Tu nie chodzi o rasę — wtrącił się pan Błękitna Apaszka — ale, jak słusznie zauważył Samuel Huntington, o zderzenie cywilizacji. Z jednej strony macie Zachód, wciąż jeszcze naznaczony katolicyzmem i protestantyzmem, które są jednak religiami dosyć cywilizowanymi, a z drugiej Wschód, pozostający w rękach reakcyjnego prawosławia i islamu.

— I tu się z panem zgadzam — ustąpiła pani Krawat od Hermesa. — A prawosławie jest gorsze od islamu, bo stara się uchodzić za religię chrześcijańską, co jednak nie stanęło na przeszkodzie pogromom, rozbiorom Polski, przewrotowi komunistycznemu, a teraz, w chwili, gdy o tym rozmawiamy, ludobójstwu dokonywanemu na narodzie Czeczenii.

Moderator ponownie poczuł się w obowiązku moderować. Nie zebrał się po to, żeby krytykować Rosjan jako takich, ale żeby ich przestrzec przed skłonnościami, które zdają się leżeć w ich naturze, a tym samym chronić nas samych przed skutkami tych skłonności. To nie Rosja jest prawdziwą przyczyną troski, ale ekstremiści, którzy zdają się zdobywać w niej coraz większą władzę.

— Sam prezydent nie jest taki zły — rzekł pan Kudłata Broda. — To Igor Popow jest jego złym duchem.

— Prawdę mówiąc — dorzucił pan Żółta Apaszka, który od czasu do czasu miewał przebłycki bystrości — nie jesteśmy pewni, że to Igor Popow. Należy raczej powiedzieć, że być może to Igor Popow.

Wszyscy się roześmiali, na co Samson zareagował wściekłym pomrukiem.

— Tak — stwierdziła pani Krawat od Hermesa — wydaje się, że wraz z Ligą Bojarów z kąta wyłażą wszystkie złowróżbne duchy historii

Rosji, wszystkie wampiry, upiory i strzygi. Wraca Rostopczyn, który spalił Moskwę, Rasputin ze swoimi orgiami i Raskolnikow — morderca staruszki.

— Ras, Ros.. ja! — zauważył błyskotliwie pan Kudłata Broda.

— Proszę zauważyć, że mieli także Rostropowicza — jeszcze subtelniej podsunął pan Błękitna Apaszka.

Samson zaklął szpetnie, za co przeprosił Adeline.

— Niebezpieczeństwo tkwi w tym — podjął pan Żółta Apaszka — że w Rosji władzę przejmuje reżim nacjonalistyczny i antydemokratyczny. Te choroby są zaraźliwe, o czym dobitnie świadczy historia dwudziestego wieku. Poza wszystkim, istnieją jeszcze kraje gotowe przyjąć faszystowską koncepcję społeczeństwa (spójrzcie na Austrię). Nawet u nas, we Francji, co piąty obywatel głosuje na skrajną prawicę. Zauważcie, że Irlandia, Dania, a nawet Wielka Brytania wahają się, czy włączyć się w ogólnoeuropejską demokrację. A teraz wyobraźcie sobie, że rosyjski model faszystowski może się bez żadnych przeszkód rozwijać...

— W Rosji nic nigdy nie rozwija się bez przeszkód — rzucił pan Kudłata Broda.

— Kretyn! — wrzasnął Samson. — A kto był pierwszy w kosmosie? A Amerykanie szykują swoją tarczę antyrakietową przeciwko komu?

— Nie wiedziałam, że jesteś taki prorosyjski — zauważyła Adeline.

— Nie jestem prorosyjski, jestem wrogiem głupoty. Rosja to ostatnia karta, którą Francja może jeszcze grać w tej nieszczęsnej Europie, a ci mazgaje... Skakałem z rosyjskimi spadochroniarzami, wiem, czego można się po tych gościach spodziewać.

Na ekranie pan Broda i pani Krawat wymienili jeszcze kilka zdań, ale wszyscy zgadzali się co do jednego: rosyjskie niebezpieczeństwo jest bardzo realne i takim pozostanie, dopóki Liga Bojarów nie zostanie w sposób demokratyczny rozwiązana.

— A zatem — ciągnął moderator — możemy przejść do drugiej części

programu. Wszyscy państwo jesteście ekspertami w sprawach rosyjskich, biegłymi kremlologami i geopolitykami świadomymi zagrożenia czającego się na północnym wschodzie. Powiedzcie, proszę, co możemy, co powinniśmy zrobić — my, na naszą skromną miarę.

— Będziemy zmuszeni wyciągnąć NATO z lamusa — stwierdził pan Błękitna Apaszka.

W tym momencie zadzwonił telefon i Samson, szurając kapturami, poszedł odebrać. Dzwonił Daniel.

— Muszę się z tobą zobaczyć.

Samson rzucił okiem na zegarek. Była 22.30.

— Gdzie jesteś?

— Pod twoim domem.

— No, dobra (rzut oka na Adeline — na pewno zrozumie), włącz.

— Wołałbym nie. Jestem w kafejce obok.

— Dobra, w porządku.

— Muszę wyjść na parę minut — rzucił, nie patrząc na Adeline.

Nie odpowiedziała. Wydawała się wpatrzona w telewizor. Na ekranie pan Kudłata Broda zawzięcie gestykulował, wbijając porozumiewawcze spojrzenie w czerwone oko kamery. Pani Krawat od Hermesa pożerała wzrokiem to samo czerwone oko. Oboje spierali się ze sobą, w ogóle na siebie nie patrząc. Moderator był zachwycony — coś się działo.

Samson poszedł do swojej sypialni, zdjął kapturę, stękając włożył buty i pieszo zszedł po schodach; na górę też wejdzie pieszo, bo „winda — żartował — jest dla młodych”.

3

Kiedy wrócił, telewizor był wyłączony. Przeszedł przez pusty salon — nie dokończy już malowania, za to będzie miał na fachowca, który zrobi to lepiej od niego. Rzucił okiem na drzwi do pokoju Adeliny. W szparze dostrzegł światło. Zapukał. „Wejdz”. Była w koszuli nocnej, leżała z prawej strony wielkiego, małżeńskiego łóżka i czytała jakieś odstręczające tomiszczce opublikowane przez wydawnictwo uniwersyteckie. Wszedł, nie wiedząc, od czego zacząć. Ona zaś spuściła okulary aż na sam czubek nosa i spojrzała na niego zza szkieł.

— Kiedy wyjeżdżasz, Gastonie?

Przysiadł na brzegu łóżka. Nie wydawała się zła. Spokojnie zamknęła książkę, zaznaczając stronę zakładką.

— Powiedz mi, o co chodzi. Jeśli możesz.

— Domyślałaś się?

— Wiedziałam, że to nie potrwa długo. Enida poślubiła Ereka [Erek i Enida — tytułowe postacie z romansu rycerskiego Chretien de Troyes] nie po to, żeby zgnuśniał.

Poczuł wielki przyptyw miłości do niej.

— Nie zasłużyłaś sobie na to, Adeline

— Sądzę, że jednak tak. Przynajmniej bardzo się o to staram.

Chwycił ją za nadgarstek i ścisnął.

— Za chwilę mi go złamiesz.

W sprawach działalności Wydziału Akcji Bezpośredniej zawsze był

bezwzględnie dyskretny. Tu jednak chodziło o sprawy biznesowe. Opowiedział jej o obiedzie z Danielem.

— Daniel był tak pewny, że mnie złapie na haczyk, że nie powiedział mi prawdy. Zamierzał mnie o wszystkim poinformować, kiedy już się zgodzę. Teraz ma pełno w portkach, bo obiecał swoim wielkim bossom, że mnie przekona.

— No, dobrze, ale to przecież nie ze względu na jego portki, ty się...

— Nie.

— Nawiasem mówiąc, ten cały Daniel nie wygląda mi na uczciwego faceta.

— W naszym zawodzie trudno jest zostać uczciwym facetem.

— Ty jesteś uczciwy, Gastonie.

— Raczej wyraźnie rozgraniczam dwie rzeczy: kanty dla Republiki i uczciwość w życiu prywatnym. Ale granica nie zawsze bywa ostra. Nabiera się pewnych nawyków. Krótko mówiąc, miałem nosa, pytając go, czy już mieli jakieś problemy.

— I co? Mieli? To dlatego stwierdzili, że byś im się przydał?

— Początkowo drobne. Czeceński *tejp*, czyli klan porwał majstra lub maszynistkę i oddał ich po dwudziestu czterech godzinach (cennik jest stały), czyli nic poważnego. Cytując Daniela, powiedziałbym, że można się przyzwyczaić i jest na to specjalna „czarna kasa”. Po jakimś czasie traktuje się to tak jak płacenie składek na ubezpieczenia społeczne. Gdyby chodziło tylko o takie incydenty, nie potrzebowałiby starego Samsona. Ale wydarzyło się coś nowego. Porywacze nie żądają już kasy, chcą, żeby Francuzi stamtąd wyjechali.

— Całkiem?

— Całkiem. Rozumiesz, dla czeceńskich buntowników sprawa z Rosją jest prosta — to wojna. Z Amerykanami mają własne konszachty. A Francuzi po prostu im przeszkadzają — jeśli wskrzeszą rosyjską „rurę”, zaszachują Amerykanów, a także Turków, którzy są raczej kumpłami Czeceńców; jeśli wybudują inną, która będzie biegła przez Iran,

będzie to korzyść dla szyitów, którzy są wrogami wahabitów. Krótko mówiąc, Francuzi nie są tam mile widziani. I tu sprawy się komplikują. W grę wchodzi interesy kompanii naftowych, które nie mogą ot tak spakować manatków, bo ktoś zmienił zdanie. Ale nie zamierzam nad nimi płakać. Tylko, że tu chodzi także o interesy Francji, Adelino, oczywiście pod warunkiem, że w ogóle można jeszcze mówić o Francji. Jeśli zbudujemy z Rosjanami ten rurociąg, to być może stworzymy prawdziwą Europę, Adelino, Europę, w której da się żyć, Europę europejską (palcem wskazującym stuknął w drewnianą ramę łóżka). I jest coś jeszcze... Samson zająknął się lekko.

— Wzięto trójkę zakładników, którzy zginą, jeśli nie znajdziemy jakiegoś wyjścia.

— A kim są ci zakładnicy — spytała Adelina bardzo chłodno.

— Stary kierownik budowy, pewien belgijski inżynier oraz...

— Oraz?

— Pewna dziennikarka. Sama więc rozumiesz, że nafciarze trzęsą się ze strachu.

— A ty znasz tę dziennikarkę? To przypadkiem nie ta, która ma na imię Matylda?

Nie, to nie była ona, ale kobiety naprawdę mają szósty zmysł! Tę, „która ma na imię Matylda”, zatrudnił w Czadzie jako TW — tajną współpracowniczkę — i żywił do niej uczucia, które Adelina sklasyfikowała jako „ojcowskie... no, może wujowskie”. Nie była zazdrosna, ale nie chciała, żeby ją traktowano jak idiotkę. A tak właśnie się poczuła na wzmiankę o „pewnej dziennikarce”. Gaston wpadł w panikę. Zrozumiał, że on, szczywany lis, pozwolił się zdemaskować. To los dziennikarki zaważył na jego decyzji. Nie miał do Adeliny pretensji — lubił ją podziwiać.

— Nie, to nie ona. To inna dziewczyna, katoliczka pracująca dla „Życia rodzinnego” i „Monstrancji”. Koleżanka Matyldy, ale czy to cokolwiek zmienia?

— To nic nie zmienia — rzekła Adelina, z ledwo wyczuwalną urażą. — Rozumiem, że nie będziesz miał czasu dokończyć remontu mieszkania, ale może chociaż salon...?

— Salonu też nie zdążę, przykro mi. Ale znam pewnego gościa, malarza, którzy był naszym *szerpą* [Szerpa — pomocnik], a teraz pracuje na własny rachunek. Jeśli chcesz, odezwę się do niego.

— Oczywiście. Powiedz, Gastonie, zobaczę cię jutro rano czy też od razu wskakujesz do samolotu?

— Ależ skąd! Muszę przejrzeć mnóstwo papierów, nawiązać parę kontaktów! Jeszcze przez tydzień lub dwa posiedzę ci na głowie.

Adelina potrzebowała minuty, żeby przyswoić sobie tę informację. Będzie miała Gastona przy sobie jeszcze przez kilka dni.

Zawsze wiedziała, że wróci do swoich niebezpiecznych zajęć, ale miała nadzieję, że nie stanie się to tak szybko. Że będzie jeszcze wiele wspólnych śniadań z kiełbasą i grzankami, wiele dni, gdy w czasie wykładu o Platonie czy Nietzschem pomyśli „Zobaczę go po południu”, wiele wspólnych wieczorów, kolacji, kieliszków, seansów przed telewizorem, a nawet — bo gdy się ma mało czasu, trzeba go niekiedy marnotrawić — wspólnych wyjść do restauracji, do kina lub (to już najwyższy stopień marnotrawstwa) do przyjaciół.

Przekręciła się na łóżku i sięgnęła do nocnego stolika, żeby odłożyć książkę.

— Jeśli dobrze rozumiem, masz jeszcze trochę czasu, żeby mi zdjąć okulary?

4

Samson obudził się w łóżku Adeliny. Jej już nie było — wyszła na zajęcia. W kuchni nie będzie już zapachu opiekanego chleba.

Umył się i ubrał bez pośpiechu. Lepiej mu się myślało, gdy szczotkował zęby, golił się, brał pryznic i obcinał paznokcie u nóg.

Sytuacja była jasna.

Firma OILOC proponowała mu dwie misje — jedną długoterminową, to znaczy zapewnienie bezpieczeństwa jej personelowi nad Morzem Kaspijskim, oraz drugą, krótkoterminową, polegającą na odbiciu — „bez hałasu, bicia piany i rozgłosu” — trójki zakładników. Misja numer jeden zapewni misji numer dwa odpowiednie wsparcie logistyczne i minimalną przykrywkę. Przecież nie mógł się nagle pojawić w Groznmym i oświadczyć *urbi et orbi*: „Przybyłem uwolnić trójkę zakładników, ale Francuzi nie mają najmniejszego zamiaru opuścić Czeczenii”. Daniel zagwarantował Samsonowi, że jego szefowie nie oczekują rezultatów natychmiastowych i gratisowych. Samson zgodził się na współpracę, ale na pewno by tego nie zrobił (choć Daniel podwoił ofertę), gdyby nie wierzył, że dysponuje sposobem, żeby sprawę załatwić „na skróty”, oraz kluczem do odblokowania sytuacji.

Był tylko jeden problem, którego Daniel w ogóle by nie zrozumiał (właśnie dlatego Samson nie mówił mu ani o „skrócie”, ani o „kluczu”) — problem sumienia. Zgodnie z regułami służb specjalnych, oficer na emeryturze nie miał prawa wykorzystywać do swoich potrzeb wiedzy

i kompetencji TW, których niegdyś prowadził. Minęły jednak miesiące, odkąd Samson przekazał sprawy swojemu następcy i wydawało mu się, że Sasza nie jest już wykorzystywany. Jeśli, na przykład, odstawiono go na czas jakiś lub zrobiono z niego „śpiocha”, wspomniana reguła mogła być interpretowana w sposób bardziej elastyczny. Zresztą, czyż nie chodziło o interesy Francji? To usprawiedliwiałoby nieco luźniejszą dyscyplinę...

Zjadłszy wzmacniające śniadanko z lyońską suchą kiełbasą w roli głównej, Samson podniósł słuchawkę stojącego w kuchni telefonu i wykręcił numer, który znał na pamięć. Znał na pamięć wszystkie potrzebne numery.

— Haaaloo?

Było to „halo” wypowiedziane z szerokim ziewnięciem, zupełnie nie brzmiące jak „halo” człowieka interesu.

— Nieźle sobie pospałeś, Sasza! Już po dziesiątej.

— Pan Pułkownik!!!

W tym okrzyku wyraźnie było słychać wielką literę — ba, trzy wielkie litery! — w słowie „Pułkownik”.

Sasza zarabiał krocie kupując wszystko, co można sprzedać i sprzedając wszystko, co można kupić, ale miał tylko jedną prawdziwą rację bytu: niebezpieczne operacje, których swego czasu (na jego gust, zdecydowanie za rzadko) podejmował się bez wynagrodzenia jako TW Wydziału Akcji Bezpośredniej. Samson widział go teraz oczami duszy, jak stoi na baczność koło łóżka, ściskając w rękę jaskraworóżową słuchawkę, niczym odbezpieczony granat.

— Co u ciebie Sasza? Jak leci?

— I to pan pyta, pułkowniku? Myślałem już, że pan nie żyje. Co mogę dla pana zrobić? Zmykaj do łazienki, Batszebo, muszę pogadać o interesach. No, prędzej. A więc, panie pułkowniku, mogę się panu na coś przydać?

— Jeszcze nie wiem, Sasza. Jesteś bardzo zajęty?

— Krążę między Ameryką Południową a emiratami, ale emirowie i strusie mogą poczekać.

— Miałem na myśli... zajęty przez naszych?

— Powinien pan wiedzieć lepiej ode mnie, że nie prosiłście mnie o nic od wieków.

— Nic o tym nie wiem, Sasza. Jestem na emeryturze.

— Pan? Na emeryturze? To straszne!

— To ma swoje zalety.

— Nie dla mnie. Co się ze mną stanie?

— Mój następca nie zwrócił się do ciebie?

— Ani razu!

To potwierdzało przypuszczenia Samsona — następca był świetnym spadochroniarzem z Oddziałów Operacyjnych, ale bał się swoich TW, a osoba tak barwna jak Sasza musiała mu się wydawać niezwykle trudna do prowadzenia.

— Cóż, w takim razie może zjedlibyśmy obiad, jak za starych, dobrych czasów?

— Oczywiście, panie pułkowniku. Ja zapraszam.

— Dziś?

— Jasne. Odwołam spotkanie z ambasadorem Dubaju. Gdzie chce się pan spotkać? Może w „Bristolu” o trzynastej trzydzieści?

*

Swego czasu Sasza pozwalał się Samsonowi uwodzić czystą whisky aż do rytualnego kieliszeczka po kawie i dopiero wtedy przechodzili do właściwego tematu spotkania. Teraz jednak, może dlatego, że interesy szły jeszcze lepiej niż kiedyś, albo pułkownik na emeryturze imponował mu mniej niż pułkownik czynny, Sasza od razu zaatakował.

— Proszę mi powiedzieć, ta historia z emeryturą to jakiś żart, prawda? Przecież wiadomo, że wy, szpiedzy, nigdy nie odchodzicie. Składacie śluby wieczyste.

— Ach, tak sądzisz? *Conquisitor in aeternum!* Nie, nie zamierzam kłamać. Obecnie działam jako osoba prywatna.

— Tak, jasne. Domyślam się, jak to wygląda. Wychodzi pan z Fortu głównym wyjściem i wraca tylnym. No, dobrze, co biedny Sasza może zrobić dla Samsona-emeryta?

Pułkownik Sangdeboeuf, pseudonim Samson, przyjrzał się uważnie panu Rościśławowi Szustrenko, pseudonim Sasza, przez obrus, kryształowe kieliszki, srebra i ciepłarniane róże. Wydłużona twarz Saszy, wyrazisty nos, spłaszczone policzki i cienkie wargi — wszystko to przypominało prehistoryczną siekierkę lub głowę rzeźby z Cyklad. Nie było sensu, żeby rzeźba z Cyklad musiała dłużej czekać na wyjaśnienia.

— Ostatnia przysługa, jaką nam, Sasza, wyświadczyłeś, skończyła się w sposób dość nieprzewidywany.

— Zgadza się. Nie przewidziałem, że wasze zbiry rozkwasały mi gębę.

— Nie miałem na myśli rozkwazenia gęby, które było konieczne, żeby uprawdopodobnić całą sytuację, ale kontakt, jaki nawiązałeś ze sprzedawcą pukawek (Samson nacisnął wyimaginowany spust pistoletu), kontakt, z którego złożyłeś raport i na który uzyskałeś zgodę.

— Chce pan powiedzieć, kontakt bardzo przez pana rekomendowany.

— Jesteś z niego zadowolony?

— Dymitr i ja staliśmy się nierozłączni i mówiąc zupełnie otwarcie, jestem mu winien pierwszy milion z mojego drugiego miliarda.

— Czy już wykorzystywałeś ten kontakt do celów służbowych?

— Przecież mówię, że niczego ode mnie nie chcieli! Zresztą, ma to swoje dobre strony — pan nigdy nie chciał mnie puścić do Rosji moich przodków, a teraz jeżdżę tam sobie bez przerwy.

Sasza spojrzał wyzywająco na Samsona jasnymi oczami.

Samson upił łyżeczek chateau margaux, potem drugi. Potrzebował kilku sekund, żeby podjąć decyzję, a wino było naprawdę boskie.

— Wysłałeś nam kilka raportów na temat tego Dymitra Aleksandryczya Gołubińskiego. Były pracownik specnazu, były funkcjonariusz KGB, potem handlarz bronią.

— Nie tylko, Samsonie. Handluje też ikonami i kawioirem... Kiedyś jedliśmy obiad w Saint-Tropez i szef restauracji był bardzo niemiły. Dymitr kupił tę restaurację, żeby wyrzucić szefa na zbity pysk. Knajpa chodzi zresztą jak złoto. To proste — wszystko, czego Dymitr się dotknie, zamienia się w złoto.

— Można się jakoś spotkać z tym twoim Midasem?

— Nic prostszego. Zatrzymuje się właśnie tutaj, w „Bristolu”.

— A kiedy przyjedzie?

— Proszę chwilę poczekać, zadzwonię.

Sasza wyjął swoją wściekle różową komórkę i wystukał numer, który zaczynał się od 007. Ale nie chodziło o Jamesa Bonda, tylko o numer kierunkowy do Rosji. Pozostałych cyfr Samson nie widział. Rozpoczęła się rozmowa po rosyjsku, w której powtarzało się słowo „Bristol” odmieniane przez wszystkie przypadki. Sasza czerpał wyraźną przyjemność z posługiwania się językiem przodków.

— Kolacja w najbliższy piątek. Pasuje panu?

Samson nie podpisał jeszcze umowy — nafciarze, Daniel i zakładnicy będą musieli poczekać tych kilka dni. Jeśli Dymitr nie zechce pomóc, Samson będzie się jeszcze mógł wycofać. Adelina bardzo by się ucieszyła.

— W porządku. O dwudziestej trzydzięci. Zapraszam was obu — powiedział Samson, choć nie był pewny, czy bez podpisanej umowy Daniel zechce pokryć koszty.

— Ach, nie, panie pułkowniku! Z Dymitrem tak się nie da. Rachunki płaci zawsze on — to jego jedenaste przykazanie.

*

Samson spędził cały tydzień na zbieraniu informacji na temat Morza Kaspijskiego, nad którym nigdy nie był, oraz węglowodorów, które nigdy nie były jego domeną. Czubkiem ołówka, który często zwilżał koniuszkiem języka, sporządził syntetyczną notatkę.

MYDŁO I POWIDŁO

- 1) Morze Kaspijskie zawiera, jak sędzę, 10% światowych zapasów węglowodorów. Niektóre złoża są pewne, inne prawdopodobne. Jedne w morzu, inne poza nim. Samo morze nie jest zbadane poniżej stu metrów głębokości. Trzeba więc się liczyć z niespodziankami. Dobrymi lub złymi.
- 2) Nad Morzem Kaspijskim leży pięć państw. Są to (poczynając od południowego zachodu i zgodnie z ruchem wskazówek zegara): Azerbejdżan, Rosja, Kazachstan, Turkmenistan, Iran. Są to kraje fundamentalistycznie muzułmańskie, z wyjątkiem Rosji, która ma dostęp do Morza Kaspijskiego przez ziemie także muzułmańskiego Dagestanu. Leżąca na południu Czeczenia, która znajduje się na trasie rosyjskiego rurociągu od Morza Kaspijskiego do Czarnego, także jest w znakomitej większości muzułmańska.
- 3) Powstaje pytanie: czy z punktu widzenia prawa międzynarodowego, Morze Kaspijskie jest jeziorem granicznym, morzem zamkniętym czy morzem otwartym? Nadbrzeżne państwa, które mają na swoim wybrzeżu zasoby mocno ograniczone (Rosja, Iran), optują za statusem „morza zamkniętego”, gdyż w takim wypadku, zasoby znajdujące się w dnie morskim, dzielone by były pomiędzy wszystkie pięć państw po równo. Państwa, mające szerokie wybrzeża lub też bogate złoża wzdłuż wybrzeży (Kazachstan, Azerbejdżan), głosują za „morzem otwartym”, gdyż wówczas podział zasobów byłby proporcjonalny do długości linii brzegowej. Turkmeni przychylają się do stanowiska rosyjsko-irańskiego.

- 4) Jankesi mają cel podwójny — chcą eksploatować Morze Kaspijskie dla własnych potrzeb oraz nie pozwolić Rosjanom, żeby to oni je eksploatowali. W tym sensie, każda baryłka warta jest tyle, co dwie. Układ nie zmienił się z powodu upadku komunizmu, ale dlatego, że rozpadł się Związek Radziecki; przedtem Moskwa posiadała ponad 80% wybrzeży kaspijskich, dziś — poniżej 20%. Święta wojna ogłoszona ostatnio przeciwko Stanom Zjednoczonym przez niektórych muzułmanów nie zmienia faktu, że w konflikcie (zimnym czy gorącym) z Rosją Amerykanie mają w muzułmanach naturalnych i niezbędnych sprzymierzeńców.
- 5) Nowo powstała teoria korytarzy, a zwłaszcza odrodzenie się tak zwanego jedwabnego szlaku (który nie ma już nic wspólnego z jedwabiem), doskonale współgra z amerykańską polityką omijania Rosji. Euroazjatycki korytarz biegnie od Europy Zachodniej (Niemcy), przez byłą Jugosławię (stąd konieczność rozbrojenia i zrujnowania tego kraju), Turcję, Azerbejdżan, Azję Środkową i kończy się w Chinach. Chrześcijańska Rosja i Armenia oraz szyicki Iran znajdują się poza tym szlakiem, składającym się z sieci dróg zwykłych i żelaznych, korytarzy powietrznych i rurociągów. Główne instytucje, które odgrywają zasadniczą rolę w tej operacji to: MEP (Main Export Pipe) — spisec turecko-azersko-amerykański — oraz TRACECA (Transport Corridor Europe Caucasus Asia) — spisec niemiecko-turecko-azersko-amerykański.
- 6) Nie wydaje się, żeby Francja mogła wyciągnąć jakkolwiek korzyść z istnienia tego pseudojedwabnego szlaku. Natomiast przy Rosji, która zachowa wpływy na Kaukazie, nad Morzem Kaspijskim, Morzem Czarnym i w Azji Środkowej, Francja mogłaby z powodzeniem odgrywać w tym regionie rolę mediatora, zwłaszcza jeśli budową rurociągu biegnącego od Morza Kaspijskiego do Zatoki Perskiej zajęłyby się francuskie kompanie naftowe (ku wielkiemu niezadowoleniu Jankesów).

Ostatni punkt rozśmieszył nawet Samsona.

— Pracuję dla cywilów, a cały czas myślę o interesach narodu, który już dawno zrezygnował z własnej tożsamości. Chyba mam nie po kolei w głowie.

W piątek włożył swój niebieski garnitur w prążki (bardzo lubił prążki), przybył do restauracji wcześniej i spytał o stolik zamówiony przez pana Gołubińskiego. Uniżoność, z jaką go przyjęto, nieco go zaskoczyła, a jeszcze bardziej zdumiała go liczba nakryć — na okrągłym stole było ich aż sześć. Wybrał miejsce na chybił-trafił — najwyżej później się przesiądzie. Znajdujący się w pobliżu stół był już zajęty: stał w rogu, a siedziało przy nim dwóch wysokich, barczystych gości, ubranych w nieskazitelne, białe koszule, nieskazitelne, ciemne garnitury i nieskazitelne, ciemne krawaty. Miny też mieli nieskazitelnie ponure.

— Aha — pomyślał Samson. — Jasna sprawa.

Z uprzejmości wobec swojego gospodarza, nic na razie nie zamówił.

Grupy gości nadciągały w rytmie rezerwacji i improwizacji, serwowano koktajle, whisky i wino. Dwaj goście w rogu, którzy kontrolowali sytuację, pili zwykłą wodę.

Punktualnie o dwudziestej trzydzieści do sali wszedł nieznajomy, za którym podążały trzy nieznajome — dwie w typie modelek, jedna wielkiej damy. Pochód zamykał Sasza. Samson wstał zaskoczony. Spodziewał się raczej delegacji biznesmenów, polityków i oficerów wywiadu. Sasza dokonał prezentacji. Dymitr Aleksandrycz Gołubiński miał około czterdziestu pięciu lat, regularne rysy, oczy niebieskie, usta ironiczne, cerę gładką i łagodny głos. Wyglądał na kogoś o bardzo delikatnej skórze. Miał na sobie granatowy, niemal czarny garnitur, białofiołkową, niemal białą koszulę oraz chusteczkę i krawat w tym samym odcieniu. Uścisk jego dłoni, mocny, a zarazem elastyczny, sugerował, że jest człowiekiem świadomym swojej siły, której jednak nie

nadużywa. Mówił po francusku z akcentem, ale bezbłędnie.

Stanął za jednym z krzesel, „damę” posadził po swojej prawej stronie, Peggy po lewej, Samsona po prawicy „damy”, Maggy po prawicy Samsona, Saszę po prawicy Maggy i w ten sposób kółko się zamknęło na siedzącej po jego lewicy Peggy. Omiótł stół spojrzeniem, żeby sprawdzić, czy wszystko jest jak należy i zanim usiadł, przysunął krzesło sąsiadce z prawej strony.

Peggy była wysoka, chuda, eteryczna, nogi miała do samej szyi, włosy krótko ścięte i ufarbowane na czarno. Była Rosjanką i modelką od Jean-Paula Gaultiera. Maggy była wysoka, chuda, eteryczna, nogi miała do samej szyi, włosy krótko ścięte i ufarbowane na jasny blond. Była Rosjanką i modelką od Chanel. Olga, która mogłaby być ich matką, była niska, drobna, kształtna, wymuskana, uczesana u Charliego, uperfumowana u Guerlaina i nosiła wysoko swój mały podbródek. Była Francuzką, choć rosyjskiego pochodzenia. Miała trudne do wymówienia, wielozłonowe nazwisko, luksusowy butik na rue du Faubourg-Saint-Honore i przygotowywała się do otwarcia magazynu mody w Petersburgu.

Rozmowa w żadnym momencie nie zeszła na Morze Kaspijskie. Olga spytała Samsona, co sądzi o *Damie Pikowej* wystawianej w paryskiej Opera Bastille. Jak to? Jeszcze nie widział? Ależ musi koniecznie! Dymitr wspomniał o tournée teatru Comedie Francaise, który właśnie wrócił z Petersburga. Peggy i Maggy zachwyciły się sukniami aktorek. Sasza oświadczył, że od teatru i opery woli balet. „Pewnie dlatego — rzekła Olga — że jest tam więcej tancerek”.

Dymitr był gospodarzem uprzejmym i władczym. Nikt nie zwracał się do obsługi bezpośrednio — zawsze przez niego. Znał się na francuskich winach. Samson stwierdził, że dwaj goście, którzy kontrolowali sytuację, nadal piją tylko wodę. Sasza w zawołanych słowach zaczął opowiadać o operacji, w której brał udział kilka miesięcy wcześniej.

Odegrał w niej rolę rosyjskiego braciszka zakonnego i właśnie dzięki temu... Samson dostał nagłego ataku kaszlu i Sasza zamilkł, pozwoliwszy sobie na ostatnią zuchwałość:

— Dymitrze, udało ci się pozbyć tych relikwii?

— Patriarcha Rosji ich nie chciał, więc sprzedałem je Kościołowi ukraińskiemu, który dawał najwięcej — odparł Dymitr, uśmiechając się uprzejmie do Samsona, żeby mu dać do zrozumienia, że doskonale wie, kto mu dostarczył owe fałszywe relikwie.

Samson nie odzywał się nie pytany, słuchał i obserwował. Czy zna Petersburg — chciała wiedzieć Olga. Nie zna?! Ależ koniecznie musi poznać!

Sasza powiedział, że zabawnie byłoby wybrać się tam samochodem. Pojechaliby przez Niemcy, gdzie najedliby się *Hundwurstów* [*Hundwurst* (niem.) - kielbasa z psiego mięsa], oraz Polskę, gdzie by się zapchali flaczkami... Olga dorzuciła, że to świetny sposób na złapanie dystansu. Potem rozmawiali o samochodach. Sasza przypomniał dowcip, który krążył po Europie jeszcze przed upadkiem komunizmu.

— Francuz mówi: „Mam dwa samochody: jeden mały — dla żony, drugi średni — dla mnie”. Amerykanin na to: „Ja mam trzy samochody: mały dla żony, średni dla mnie i duży na długie podróże”. A na to Rosjanin: „A ja nie mam samochodu. Moja żona chodzi pieszo, ja jeżdżę metrem, a na dłuższe podróże mam wóz bojowy”.

— Wiele się zmieniło — zauważył Dymitr. Teraz to Amerykanin powiedziałby: „Na długie podróże mam bombowiec”.

Samson odniósł wrażenie, że Dymitr wygłosił tę uwagę z pewną złością, żeby wysondować jego reakcję. Roześmiał się z całego serca.

Po kolacji Sasza zaproponował, żeby poszli posłuchać cygańskiej

muzyki do „Rasputina”. Kobiety zgodziły się chętnie. Samson odmówił.

— No, cóż, Sasza, będziesz dziś poligamiczny — rzekł Dymitr, gdy już stali na chodniku rue du Faubourg-Saint-Honore. A pan, pułkowniku, w którą stronę idzie? Chętnie się z panem trochę przejdę. Drogie panie, dołączę do was nieco później.

Słowo *mesdames* — „panie” — wymówił miękko, z rosyjska: „miedam”.

Samson wyjaśnił, że idzie w prawo, w stronę ronda przy Polach Elizejskich. Sasza zabrał swoją gromadkę w lewo. Dymitr szedł zewnętrznym skrajem chodnika. Dwaj entuzjaści czystej wody z restauracji wyszli za nimi i podzielili się trotuarami. Nie wysilali się, żeby ich nie zauważono. Samson, ubrany w lodenowy płaszcz, maszerował dziarsko; Dymitr, w czarnym, kaszmirowym płaszczu z kołnierzem z sobolowego futra, dotrzymywał mu kroku. Skierowali się w stronę ogrodów. Uliczne latarnie oświetlały zdobiące obrzeża alei monstrualne rzeźby, które wyglądały jak kosmici z brązu, defilujący wolno w dwuszeregu przez okupowane miasto. Były to plugawe i groteskowe kształty, przykucnięte niczym ropuchy lub wyprężone jak obeliski, oświetlone światłami mijających się samochodów. Samson patrzył na nie z zakłopotaniem. W końcu rzekł niemal nieśmiało:

— Dymitrze, proszę mi powiedzieć, czy według pana to jest sztuka? Dymitr zastanowił się przez chwilę poważnie.

— Nie, nie sądzę, żeby to była sztuka. Sztuka powinna pomagać w znoszeniu życia. Coś tak zdeformowanego nie może w tym pomóc.

Starannie konstruował francuskie zdania, których sens nie zawsze był uspokajający.

— Dlaczego więc naraża się nas na taki spektakl? Wyobraża pan sobie, ile taka wystawa kosztuje? Sam transport tych ptasich kuprów i słoniowych członków!... Nie czuje się pan tym obrażony? Mnie to po

prostu wścieka. Czy w Rosji można zobaczyć coś takiego?

Dymitr znowu się zastanowił.

— Chyba nie. Jesteśmy pewnie tak samo lubieżni jak wy, ale w nas jest więcej wstydu.

— Miałem na myśli to, czy macie u siebie tak zwanych artystów, którzy kpią sobie z ludzi, oraz naiwniaków, którzy czują się w obowiązku udawać, że ich podziwiają?

— Na pewno. Ale może ich przyszłość nie jest taka pewna, bo u nas sztukę traktuje się jako potrzebę, nie luksus. Luksus może być absurdalny. To nawet pożądane i miłe, gdy luksus jest absurdalny. Głód ma w sobie spójność. Ale mówię o rzeczach, o których nic nie wiem.

Samson miał ochotę spytać Dymitra, czy wie coś o Lidze Bojarów, ale pomyślał, że za bardzo by się w ten sposób odkrył. Po kilku minutach milczenia, Dymitr powiedział:

— O ile dobrze zrozumiałem, panie pułkowniku, mogę być panu w czymś pomocny?

— To zależy. (Samson zapalił cienkie cygaro). Zafundował nam pan wspianą kolację z pańskim przyjaciółkami...

Do Dymitra dotarło, że aluzja ta mogła zawierać lekki wyrzut.

— Nie przepadam za kolacjami w gronie samych mężczyzn. To takie przygnębiające. Na interesy zawsze jest czas kiedy indziej.

— Och, pańskie przyjaciółki są naprawdę urocze!

Z pewnością miały więcej blasku niż jego Adelina, ale przecież to Adeline kochał.

— Ma pan jakieś kontakty nad Morzem Kaspijskim? — podjął przerwany wątek.

— Proszę mi podać pański adres, wyślę panu świetny kawior. Woli pan czerwony czy czarny?

— Nie wiem — wyznał otwarcie Samson. — A w Czeczenii, ma pan kontakty w Czeczenii?

Zatrzymali się pod jedną z latarni i spojrzeli sobie w oczy.

— A o co dokładnie panu chodzi? — spytał Dymitr.

— Sprawa ma dwa aspekty. Z jednej strony, chodzi o uwolnienie zakładników. Z drugiej, o budowę rurociągów.

— Kto miałby je zbudować?

— Francuzi. Z korzyścią dla was. I dla siebie, rzecz jasna.

— Dlaczego nie zwróci się pan do naszego rządu?

— Jestem przekonany, że od tej strony robi się wszystko, co można. Ale nasza dewiza brzmi: „Bez hałasu, bicia piany i rozgłosu”. *You get my point?*

Przeszli kilka kroków. W końcu Dymitr powiedział:

— Wie pan, ja jestem człowiekiem bez znaczenia. To znaczy, na tym szczeblu. Ale mam przyjaciół. Starych przyjaciół. A oni wiedzą mniej więcej, co się dzieje w tym regionie. Niczego nie mogę panu obiecać. I muszę znać szczegóły.

— Jest pan w stanie podać jakiś procent?

— Jeśli chodzi o mój udział? Jeśli chodzi o długofalową współpracę, to nie, nie mogę podać żadnej liczby. Gdy przyjrzę się sprawie bliżej, podam i albo ją pan zaakceptuje, albo się pożegnamy. Nie będzie pola do negocjacji.

— A co z zakładnikami?

Dymitr znowu się zatrzymał. Uśmiechnął się miłym i okrutnym uśmiechem, który odsłonił wszystkie jego zęby.

— Trzeba będzie zapłacić jakiś mały okup, choć to nie jest takie pewne. Ci czecheńscy spece od porwań i ich amerykańsko-saudyjscy wspólnicy zaczynają mnie wkurzać. Postaram się panu pokazać, co potrafimy, tak, żeby nie musiał pan wydać ani kopiejki. Może poza pokryciem kosztów. Ale koszty będą niczym w porównaniu z okupem. Czy wie pan, ile tam kosztuje nie zwyczajny śmiertelnik (był dumny, że zna takie słowo jak „śmiertelnik”), ale, na przykład, dziennikarz?

— Zastanawiałem się nad tym.

— Milion dolarów. Dlatego porywają głównie Amerykanów.

— A pana ile to będzie kosztowało?

— Mnie — nic. Jeśli dobijemy targu, zajmę się resztą. Możemy się spotkać jutro? (Wskazał na stojącą na chodniku ławkę.) Pan mi pokaże swoją dokumentację, a ja powiem, czy coś mogę w tej sprawie zrobić. No, zaczyna popadywać. (Był dumny, że zna takie słowo jak „popadywać”). Znajdzie pan taksówki pod „Berkeleyem” [Paryska restauracja] . Ja wrócę piechotą.

Uścisnęli sobie dłonie, badając się spojrzeniem. Samson nagle postanowił dać dowód zaufania temu dawnemu wrogowi i, być może, przyszłemu sojusznikowi.

— Niech pan powie, Dymitrze, słyszał pan może o Bojarach? O Lidze Bojarów?

— Tak, oczywiście, to moi przyjaciele. Jeśli przyjedzie pan do Sankt Petersburga, zaprowadzę pana do nich. W pałacu Myszkiców jada się wspaniałe kolacje.

Dymitr oddalił się w stronę placu Concorde. Jego ochroniarze szli za nim, kryjąc się w cieniu drzew. Samson wrócił na plac Etoile, sprawdzając, czy nie jest śledzony. Stwierdził, że nie.

ROZDZIAŁ III

LATA PODROŻY I NAUKI

MŁODEGO ROBINA

CHASTOWA

1960-2000

1

Robert C. Chastow III był jedynakiem.

To mu się nawet podobało.

Czułby się głupio, gdyby musiał się z kimś dzielić swoimi genami. Cieszył się, że jego rodzice wysłali w kosmos tylko jeden komunikat: właśnie jego. I był przekonany, że ciężko byłoby mu się dogadać z braćmi i siostrami, którzy w jakimś stopniu (ale nie do końca) byłiby nim samym. Nie ma rodziny bez chaosu. A Robin chaosu nie lubił.

Jego matka była pięknością z Południa i grała w brydża — to wystarczyło tej *lady* do szczęścia, więc od matczynego towarzystwa Robin wolał towarzystwo czarnego majordomusa, Wuję Chestera.

Ojciec Robina, Robert C. Chastow II, był *good ole boy*, czyli równiachą. Niezależnie od pogody, zawsze lepiej czuł się na dworze niż w domu. Gdy nie mógł polować, chwycił za wędkę. Gdy mógł, to w towarzystwie innych *good ole boys* polował na przepiórki, najchętniej konno. Przed otwarciem sezonu polowania na daniele, przez miesiąc nie jadł mięsa, żeby zwierzęta nie wyczuły zapachu drapieżnika, gdy będzie się do nich zbliżał ze swym łukiem lub muszkietem na czarny proch. Podchodząc dzikie indyki, maskował sobie twarz, ręce, karabin i spędzał dwa dni w lesie, udając głos nawołującej samicy za pomocą małej, nasmarowanej kredą, skrzypiącej deszczułki. Strzelał tylko do samców i zawsze w głowę, nie z szacunku dla prawa, ale z czystego sportowego ducha. Brał udział w chwytaniu grzechotników, które wykurzało się z nor

za pomocą płonącej benzyny i które następnie pozbawiało się jadu. Ścigał po bagnach dzikie świnie; raz nawet zdarzyło mu się jedną z nich powalić na grzbiet. Gotował w kociołkach opsy ze skórą i sierścią, tak jak robią to Czarni. Uwielbiał polować na szopa pracza, co sprowadzało się do nocy przesiedzianej przy ognisku w towarzystwie *good ole boys*, przekazywaniu sobie z ręki do ręki manierki z *moonshine* [Pędzony pokątnie burbon] i interpretowaniu szczekania psów gończych, którego ton był inny, gdy psy zwietrzyły zwierzynę, inny, gdy ją goniły, i jeszcze inny, gdy zmuszały ją do ukrycia się na drzewie, pod którym skakały, ujadając i tocząc pianę z pysków. O świcie najmniej leniwi lub najmniej pijani *good ole boys* szli ustrzelić szopa, który spadał z gałęzi prosto w psie paszcze.

Robert C. Chastow I, dziadek Robina, darzył swojego syna, Roberta C. Chastowa II głęboką pogardą. Robin nauczył się tej pogardy, ponieważ Dziadek był postacią, w której cieniu i blasku upłynęło całe jego dzieciństwo.

Dziadek był stary, wysoki, prosty, sztywny, o siwych wąsach i czuprynie. Każdy reżyser obsadziłby go w roli arystokratycznego dziadka. Był chudy. Miał zakrzywiony nos, cerę sangwinika, z niebieskimi żyłkami na skroniach. Pachniał wodą kolońską, podczas gdy jego syn pachniał burbonem. Nosił krochmalone, białe koszule w szare prążki; zimą wkładał trzyczęściowe garnitury w kolorze stalowo-szarym lub antracytowym; latem — trzyczęściowe garnitury w kolorze szaro-perłowym. Robin nigdy nie widział go bez krawata, nawet przy śniadaniu. Mówił po angielsku ze staroświeckim akcentem, używając jednak typowych dla Południowców wyrażeń, takich jak: *fetch*, *aint*, *yall*, *yonder* [„Iść i przynieść”, „nie ma”, „wy”, „tam” — formy uznawane w standardowym języku amerykańskim za niepoprawne lub archaiczne], w tym również takich, które kokieteryjnie zapożyczał ze słownika Czarnych. Pod siwymi i gęstymi

krzakami brwi, nierozzerwalnie związanymi z jego postacią, kryły się małe i bezlitosne oczy.

Gdy urodził się Robin, Dziadek już dawno był na emeryturze, ale dla niego słowo „emerytura” nie miało żadnego znaczenia. Posiadłość, administrowana przez sprytnego intendenta, wciąż przynosiła niewielkie zyski. Poza tym kalwinistyczna deontologia pracy odcisnęła swoje piętno na wszystkich protestantach, nawet tych z Kościoła episkopalnego, więc Dziadek czuł się w obowiązku otworzyć w Savannah towarzystwo ubezpieczeniowe, które przynosiło mu dodatkowy dochód, a w którym jego syn zajmował tyleż lukratywne, co fikcyjne stanowisko. Ale wszystko to miało się nijak do prawdziwych zajęć Dziadka, o których nic nie było wiadomo, poza tym, że zmuszały go do częstych podróży — nawet gdy już przekroczył osiemdziesiątkę — najczęściej do Rosji. Co tam porabiał, nikt nie wiedział. Domyślano się, że to sprawy handlowe, choć trudno było sobie wyobrazić, co można sprzedać „czerwonym”.

Początkowo Dziadek, choć miał przodka Konfederatę i był dziecicem plantacji oraz domu o białych kolumnach, sam uchodził za mocno „czerwonego”. Był to jeden z tych pokrętnych umysłów, zawsze skłonnych do podcinania gałęzi, na której siedzi — świetnym przykładem są francuscy arystokraci, którzy przyklasnęli wydarzeniom 14 lipca i sprowokowali te z 4 sierpnia, lub rosyjscy intelektualiści, pełni entuzjazmu dla rewolucji lutowej. Dziadek wspierał lewe skrzydło partii demokratycznej, przyjął w swoim domu Martina Luthera Kinga, opowiadał się za integracją białych i czarnych w szkołach i autobusach, do Czarnego, którego nie znał (nawet pracownika stacji benzynowej) zwracał się *per sir*, i to bez ironii. Krótko mówiąc, w niektórych kręgach był uważany za *nigger-lover* („kumpla czarnuchów”), ale nikt nie odważył mu się tego rzucić w twarz — pułkownik Chastow uchodził za człowieka, którego należało traktować z dużą ostrożnością.

Prawdziwa bliskość Robina i jego dziadka zaczęła się pewnej letniej niedzieli.

Mama była na brydżu w Savannah. Tata tropił aligatora na mokradłach Okefenokee. Czarna służba miała wychodne i siedziała w swoich domach. Pod wielkimi oknami huczały ogromne, staroświeckie klimatyzatory, wibrujące, jakby miały unieść dom w powietrze, ale nie przynoszące najmniejszej ochłody. O wyjściu z domu nie było mowy — rozgrzane do białości niebo całym swoim ciężarem spoczywało na stłamszonych mchem luizjańskim dębach, które stały absolutnie nieruchomo. Siedmioletni wówczas Robin włóczył się z pokoju do pokoju. Zabawki już go nie cieszyły, pokolorował wszystkie obrazki. Próbował spać, ale było zbyt upalnie. Czuł się rozpaczliwie samotny. W końcu odważył się przeszkodzić Dziadkowi — ot tak, nagle i bezwiednie, ponieważ klamka biblioteki położonej w „czworakach niewolników” niespodziewanie znalazła się w zasięgu jego małej ręki.

Cztery klimatyzatory warczały w najlepsze.

Dziadek siedział wyprostowany w fotelu; nie rozluźnił krawata, w którym jak zawsze tkwiła spinka z perłą, ale zdjął marynarkę — leżała rzucona na krześle, zamiast grzecznie wisieć na oparciu. Szczelnie zaapięta kamizelka i koszula z wykrochmalonym kołnierzykiem i rękawami, obie w liniach prostych i ostrych kątach, powodowały, że w jego postaci nie było nic niechlujnego. Na nosie miał wielkie okulary, nad którymi szumiały zarośla jego brwi, podkreślone starannie uczesaną akoladą białego wąsa. Wokół Dziadka, za błyszczącymi szybami bibliotecznych witryn, cichutko szeleściło dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć woluminów. On trzymał w ręku ten tysięczny, na którym widniały jakieś nieznane litery i znaki. Między kształtem półotwartego tomu a pochylonym nad nim nosem zachodziło jakieś dziwne pokrewieństwo.

Robin na ogół stosował się do zasady, zgodnie z którą dzieci mogą być widoczne, ale nie powinno się ich słyszeć. Tym razem jednak zwrócił się do groźnego dziadka, jęcząc:

— Dziadku, nie mam co robić...

Dziadek spojrział na wnuka spod okularów, z trudem go dojrzał, zdjął szkła, spojrział raz jeszcze, a potem powiedział, jakby to była rzecz najbardziej oczywista w świecie:

— Wobec tego, chodź, nauczysz się rosyjskiego.

— Rosyjskiego, *sir*? Dlaczego rosyjskiego, *sir*?

Dziadek powiedział „nauczysz się rosyjskiego”, gdyż właśnie czytał rosyjską książkę, ale owo „dlaczego” bardzo mu się spodobało.

— Bo Rosjanie są naszymi największymi wrogami.

— Dlaczego są naszymi największymi wrogami?

Dziadek chciał kontynuować lekturę *Rudina* Turgieniewa, ale nie mógł się oprzeć temu „dlaczego”.

— Robinie, ile masz lat?

— Siedem, *sir*.

— Jaki kraj jest największy na świecie?

— Stany Zjednoczone Ameryki, *sir*.

Ależ ci dorośli zadają pytania!

Dziadek zaznaczył stronę zakładką, zamknął książkę, położył ją na stoliku i wstał.

— Chodź.

Poprowadził Robina do kulistego przedmiotu — dziewiętnastowiecznego globusa, poprzecinanego południkami i równoleżnikami, osadzonego w obręczy z drogocennego drewna. Pchnął go palcem i globus, skrzypiąc zaczął się obracać niczym koło fortuny.

— Pokaż.

Robin nie odważył się zatrzymać w ruchu różowych Stanów Zjednoczonych Ameryki, które sunęły z zachodu na wschód, ale wskazał je palcem lepkiem od zjedzonego lizaka.

— Dobrze. Teraz pokaż mi Rosję, która dziś nazywa się Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Globus wciąż się obracał, lekko przechylony na swojej osi.

— *Sir*, nie wiem, gdzie to jest.

Robin myślał, że dostanie po uchu, ale ku jego zaskoczeniu, Dziadek powiedział:

— Dobrze, że nie udajesz. Umiesz czytać?

— Tak, *sir*.

— W takim razie przeczytaj, co jest napisane na tej wielkiej, zielonej plamie.

— *Russian Empire* — odczytał Robin na lekko pofałdowanym papierze.

— To jest właśnie Rosja. A teraz spójrz. Możesz mi powiedzieć, co jest większe: Stany Zjednoczone czy Rosja?

Robin przyznał z żalem:

— Rosja, *sir*.

— Rosja jest dwa i pół razy większa od Stanów Zjednoczonych. Ma też więcej mieszkańców. Na pięciu Amerykanów przypada sześciu Rosjan.

— Ale, *sir*, my jesteśmy najlepsi, prawda?

— Potencjalnie to oni są najbogatsi. Trudno nawet sobie wyobrazić, ile złota, diamentów, ropy i gazu kryje ich ziemia. To dlatego Rosjanie są największymi wrogami Amerykanów. Bo kiedy się zorientują, że mogą być najsilniejsi, tacy właśnie się staną. Nie mogą się o tym dowiedzieć. Cicho, sza. Rozumiesz?

— Tak, *sir*.

— Żeby pokonać wroga, trzeba go poznać. Poznać i zrozumieć. Lepiej niż on zna i rozumie samego siebie. A żeby go zrozumieć, trzeba poznać jego język. Żeby wpadł w pułapki, które na niego zastawimy. Czy twoja mała główka jest w stanie to pojąć?

— Jest w stanie, *sir*.

— My albo oni, jasne?

— My albo oni, *sir*.

Życie Dziadka uległo w tym momencie przeobrażeniu. Gardził synem. Do tej pory nie dostrzegał, że ma wnuka. Tymczasem on wydawał się jego godny. Klepnął go w ramię:

— A zatem, teraz pobierzesz pierwszą lekcję rosyjskiego.

A ponieważ Robin zdawał się wahać (nudził się śmiertelnie, ale lekcje nie były jego ulubionym zajęciem), Dziadek opuścił swą wielką powiekę kondora na małe oko kobuza (był to rodzaj mrugnięcia, który Dziadek uznawał za stosowny dla młodego pokolenia) i rzekł:

— Zaczniemy od liczby pojedynczej rodzaju męskiego.

2

Nagle odkrycie, że pewien naród wymyślił zupełnie niezrozumiały język, który zapisywał za pomocą fantazyjnych lub zwodniczych znaków, które niekiedy jednak (to już szczyt perfidii) przypominają do-
kładnie to, czym są, pogrążyło Robina w kompletnym osłupieniu. Ale z Dziadkiem się nie dyskutowało, więc po kilku dniach chłopiec zrozumiał, że język rosyjski jest lepszy od najwyższego domku na drzewie i od najgłębszej jaskini oraz że jest doskonałym sposobem na ucieczkę z domu i szkoły.

Robin nigdy nie miał rozwiniętego instynktu stadnego, co bardzo niepokoiło jego nauczycieli, a także w jakimś stopniu rodziców, gdyż amerykańskie dziecko, które nie jest wystarczająco *popular*, nadaje się do natychmiastowej konsultacji psychiatrycznej. Teraz jednak mógł z powodzeniem udawać instynkt stadny, gdyż dysponował najbardziej magicznym spośród latających dywanów. Swoboda, z jaką oddawał się rozrywkom *vulgum pecus*, była tym większa, że robił to jedynie powierzchniowo. Podczas Halloween zbierał cukierki po sąsiadach w Vidalii i rzucał kamykami w okna, jeśli okazywali się skąpi. Sprzedawał napoje gazowane i mył samochody, żeby zarobić kilka groszy, których wcale nie potrzebował. Grał w softball, w baseball, a nawet w football, ale to wszystko była jedynie fasada, za którą kryło się jego prawdziwe „ja”, które łączywie pochłaniało język rosyjski i Rosję. Najbardziej ekscytujące zaś było to, że nie lubił ani Rosji, ani języka rosyjskiego, i że uciekał nie do krainy marzeń, ale tam, gdzie czekali na niego najgorszy z wrogów.

Kiedy był starszy, czytał Dostojewskiego zamiast Faulknera, choć Dostojewski wydawał mu się głęboko antypatyczny. W przeciwieństwie do większości czytelników i krytyków literackich, wyczuł w wielkim Fiodorze Michajłowiczu optymistę, gorąco wierzącego w Boską naturę człowieka. Dla wolnomyślnego młodego protestanta taka wiara była tak samo szokująca, jak wiara w zmartwychwstanie zgniłego ciała. W pewien sposób był jednak pod urokiem petersburskiego proroka i sam siebie za to nienawidził. Ów nieokiełznany spirytualizm, nie mający ani moralnych, ani społecznych implikacji, pociągał go i odpychał jednocześnie. Nie wiedział, czym jest „myśl rosyjska”, ale nie miał wątpliwości, że musi być ona czymś pociągającym i przewrotnym.

Dziadek znał dobrze język i literaturę rosyjską, ale jego wymowa była katastrofalna. Zdawał sobie z tego sprawę i ponieważ w Savannah nie było nauczyciela rosyjskiego, Robin był wożony co dwa tygodnie do Atlanty, gdzie udzielała lekcji pewna wyniosła rosyjska emigrantka, wdowa po słynnym gruzińskim lekarzu. Robin miał dobry słuch, więc kiedy starsza pani kazała mu się uczyć na pamięć wierszy, takich jak ten:

Wdrap się na brzeg, okrutny Czeczenie,
Naostrz klingę swego handzara...

recytował go lepiej niż Dziadek, który łaskawie demonstrował z tego powodu zadowolenie.

Robin był w pierwszej klasie *high school* [Liceum] (czyli miał czternaście lat), kiedy Dziadek pierwszy raz odbył z nim rozmowę na temat Varsity.

To, że młody Chastow pójdzie na uniwersytet, rozumiało się samo przez się. Nie mógł nie przekroczyć tej jedynej prawdziwej linii demarkacyjnej, oddzielającej w Ameryce niewykształconych plebejuszy od patrycjuszy, którym dane było ukończyć kosztowne studia uniwersyteckie.

Nie mógł, rzecz jasna, pójść na któryś z państwowych uniwersytetów, gdzie nauka kosztuje mniej, co samo w sobie jest poniżające. W przypadku Chastowa jednak, co Dziadek nieustannie podkreślał, w grę nie wchodziła żadna inna uczelnia poza Varsity, którą on sam ukończył. To nie mógł być ani pedantyczny Harvard, ani zdziwaczałe Yale, ani nowomodne Princeton. Wiadomo było, że to musi być Varsity.

— Nawet twój głupi ojciec się tam dostał. Faktem jest jednak, że ja skończyłem studia z wyróżnieniem, co zapewne nie było bez znaczenia.

Varsity był najdroższym z wszystkich uniwersytetów *Ivy League*, najbardziej też wymagającym w kwestii egzaminów wstępnych, konkursów i rekrutacji, która zapewniała wyłączność *waspom* [WASP — skrót od *White Anglo-Saxon Protestants*, czyli „biali anglosascy protestanci”]. „Jeśli chodzi o przynależność do *waspów*, to mogę być spokojny” — chełpił się Robin. Dziadek odpowiadał mu zawsze: „Haruj do upadłego i szlifuj backhand”. Robin nie znosił tenisa, ale szlifował backhand — lubił robić to, czego nie znosił.

Jego kandydatura do Varsity została zgłoszona, kiedy tylko się urodził. Wyniki testów, które pisał w szkole, przesyłane były do biura rekrutacyjnego. Raz do roku Dziadek znajdował pretekst, żeby pojechać do swojej *alma mater* i spotkać się z jej prezesem, zawsze przy okazji wspominając o wnuku. Te psychologiczne naciski zwiększyły się, gdy Robin rozpoczął naukę w ostatniej klasie liceum. Dawny student Varsity, znany adwokat z Atlanty, został wysłany na Chastow Plantation, żeby ocenić inteligencję i zachowanie kandydata. Powstała przy tym delikatna kwestia — czy tak ważną osobę, której opinia może zaważyć na losie Robina, wypada podjąć alkoholem, skoro gość mógł się okazać fanatycznym abstynentem lub — przeciwnie — niepoprawnym pijusem? Dziadek w końcu zasięgnął języka u wspólnego znajomego, wskutek

czego adwokat został w drodze powrotnej do domu zatrzymany z powodu nadmiernej prędkości w stanie całkowitego upojenia alkoholowego. Nie zaszkodziło to jednak Robinowi i rodzina w końcu doczekała się pisma anonsującego przyjęcie go na uczelnię. Prawdę mówiąc, Dziadek uczynił na jej rzecz tak wielkie darowizny, że nikt nie był zbyt zaskoczony takim obrotem sprawy.

Jeśli chodzi o Robina, to szanował on nabożny stosunek Dziadka do Varsity, ale go nie podzielał. Dla niego każdy uniwersytet z *Ivy League* wart był tyle, co inne i oznaczał po prostu (kolejność przypadkowa): pożegnanie się z rodziną, dostęp do wiedzy, utratę dziewictwa, hektolitry piwa, bale w wieczorowych strojach, twardą, męską przyjaźń, studenckie bractwo (mniej o to, jakie), ucieczkę z Południa, które ciążyło mu swymi tradycjami pokonanych.

Tym niemniej cieszył się radością Dziadka i gdy tylko otworzył list z uczelni, pobiegł do „czworaków niewolników”, żeby mu go pokazać.

Znalazł go tam zgiętego w pół przy lodówce (on, któremu przez całe życie usługiwano, teraz sam wydobywał z zamrażalnika lód do swojej whisky), a kiedy dziadek, wciąż pochylony, odwrócił się do niego, wnuk stwierdził, że w tej wyniosłej głowie jest coś oślego.

— Dziadku, dostałem się!

Nie spodziewał się może okrzyków tryumfu, ale nie był też przygotowany na to, że Robert C. Chastow I wyprostuje, jakby w zwolnionym tempie, swoją wysoką postać i z miną trochę nieobecną rzuci tylko:

— A, dostałeś się.

Zostało to powiedziane tonem, w którym drzemała świadomość podjętego wyzwania.

— Cóż, nie wątpiłem, że tak się stanie — dodał po chwili i zapytał:

— Napijesz się szkockiej?

Pierwszy raz Dziadek zaproponował Robinowi alkohol i chłopiec zrozumiał, że to jak pasowanie na dorosłego. Poszli sączyć szkocką w głębokich fotelach biblioteki, gdzie Robin zawsze siadał z poczuciem dostępowania wielkiego zaszczytu.

— Zaczyna się twoje prawdziwe życie — rzekł Dziadek. — Muszę ci powiedzieć kilka rzeczy. Nie martw się, nie zamierzam ci tłumaczyć, skąd się biorą dzieci.

Lampy były zapalone, okiennice zamknięte, panowała cisza, jakby na godzinę lub dwie Robin i jego dziadek byli sami we wszechświecie lub co najmniej odgradzeni od niego we wnętrzu zawieszanej w czasoprzestrzeni kapsuły kosmicznej.

— Po pierwsze, musisz się przygotować na szok. Nie mówię o tym, że studia będą trudne — będziesz w najlepszej szkole świata, więc musi być najtrudniejsza. Ale z tym sobie poradzisz. Pierwszy szok przeżyjesz w zetknięciu z innymi studentami, którzy będą wyśmiewać twój akcent i twoje południowe powiedzonka. Nie przepuszczą żadnego i będą drwić bez litości. Jankesi już tacy są. Będziesz miał dwa wyjścia: albo pielegnować swój akcent i walić w mordę każdego, kto odważy się z niego kpić, albo się przystosować. Ja radzę to drugie. Nie traktuj tego jako zdrady tego, kim jesteś. Nie trzeba mieć śpiewnego akcentu, żeby pozostać wiernym sobie. Sto lat temu dostaliśmy baty i musimy się z tym pogodzić. Najlepsze, co możemy z siebie dać, nie spoczywa w tym Południu, którego już nie ma. Przychodzi moment, gdy trzeba umieć się sprzymierzyć ze zwycięzcą. Popatrz na przykład Ivanhoe'a. Stary Cedryk Saski, który nie sprzymierza się z Normanami, postępuje w zgodzie z samym sobą. Jego syn, młody Ivanhoe, który się z nimi sprzymierza, także.

— Tak, *sir*.

— Nadszedł czas, żebym ci powiedział, że w oczach tych, którzy się znają na genealogii, masz też inną słabość.

Dziadek pogładził się po wąsach.

— Lepiej żebyś się tego dowiedział teraz. To stara historia, wielu już

o niej zapomniało, ale... lepiej wiedzieć. Robinie, nie jesteś prawdziwym *waspem*.

Przez chwilę świat zakołysał się Robinowi przed oczami. Czego miał się dowiedzieć? Że ma w sobie krew indiańską lub żydowską? Uważał się za otwartego, liberalnego, tolerancyjnego, przekonanego o fundamentalnej równości wszystkich ludzi, ale dziedziczne przesady są jednak bardzo silne, więc przez moment miał ochotę pomodlić się do Boga, w którego wcale nie wierzył: „Tylko nie Czarny, błagam, tylko nie Czarny!”.

— Jesteś protestantem, w każdym razie w takim stopniu, w jakim protestantami są anglikanie. Jesteś też bez wątpienia biały. („Dzięki Ci, Boże!” — pomyślał Robin, choć już mniej gorliwie, gdyż dziękując, słabiej wierzył w Boga niż wtedy, gdy o coś prosił). Ale każda, nawet najlepsza rodzina, ma swoje sekrety i muszę ci wyjawić jeden z nich: nie jesteś prawdziwym Anglosasem, co w niektórych kręgach będzie działało na twoją niekorzyść.

Nazwisko „Chastow” naprawdę brzmi „de Chateau” i jest francuskie. Założyciel amerykańskiej gałęzi naszego rodu towarzyszył francuskiemu podróżnikowi, który zwał się Cavelier de La Salle. Osiedlił się tutaj. Nazwisko zmieniliśmy podczas Wojny o Niepodległość, bo nie chcieliśmy odróżniać się od innych Amerykanów. Od tego czasu nasze mariaże były zawierane w kręgach *waspów*, ale dla tych, którzy są dobrze poinformowani, plama pozostaje niezatarta. Jesteśmy *waspami* w znakomitej większości naszych genów, ale nie we wszystkich, a trzeba spojrzeć prawdzie w oczy — Francuzi są... inni.

Świat zakołysał się po raz wtóry.

— Inni? Ale Dziadku, co to znaczy? Tyle razy mówiłeś, że nawet Czarni, potomkowie niewolników, są dokładnie tacy sami jak my. A więc?

— Nie udawaj głupszego niż jesteś. Tak, Czarni są takimi samym istotami ludzkimi jak my, bo przecież możemy z nimi kopulować. Ale

Francuzi nie są tacy jak my, bo nie czują, nie rozumują, nie jedzą, nie piją, nie myją się i nie kopulują jak my (choć mogą kopulować z nami — jesteśmy tego najlepszym dowodem). Nie, Robinie, nie ma co sobie robić złudzeń — rasa anglosaska została wybrana z powodu szczególnych właściwości. Ludy łańskie są bliskie ludom afrykańskim, podobnie jak Słowianie bliscy są Azjatom. A teraz, skoro już wiesz, kim byli twoi przodkowie, pora przejść do istoty rzeczy...

Dziadek kilkakrotnie zgiął i wyprostował kościste palce, strzelając stawami.

— Dostałeś się do Varsity. Świetnie. Ale świetnie dlatego, że to pierwszy krok. Twój głupi ojciec, choć też go tam przyjęto, nie poszedł o krok dalej, więc właściwie jest tak, jakby niczego nie dokonał. Po wiem ci więc, czym będziesz się zajmował w Varsity.

Po pierwsze, nauką. Nie ma mowy, żebyś miał oceny niższe niż pięć — i to z wszystkich przedmiotów. Nie życzę sobie żadnych czwórek ani czwórek z plusem. Ostatecznie mogę znieść pięć minus, ale nic poniżej. W przeciwnym razie sprzedam Chastow Plantation, a moje towarzystwo ubezpieczeniowe przekażę w darowiźnie na jakiś zbożny cel, zamiast ci je zostawić w spadku (twój durny ojciec i tak nic nie dostanie).

Oczywiście, będziesz świetny we wszystkich sportach — zwłaszcza w futbolu amerykańskim, bo do niego potrzeba kondycji, silnych mięśni i twardej głowy. Będziesz unikał sportów indywidualnych, bo oceniać cię będą po zdolności do pracy w grupie. Odbędziesz szkolenie wojskowe i ukończysz je jako podporucznik. To absolutnie niezbędne.

— Dobrze, Sir.

— Nie wstąpisz do żadnego studenckiego bractwa...

— Co takiego?!

Robin był tak zdumiony, że zapomniał o kindersztubie. Nie wstąpić do bractwa? Więc po co być studentem?

— Jeśli pozwolisz się wciągnąć jakiemuś bractwu, nieważne, czy najbardziej prostackiemu, czy najbardziej snobistycznemu, nie będziesz mógł wstąpić do Klubu, a jeśli nie wstąpisz do Klubu, to w ogóle nie ma sensu, żebyś zaczynał studia w Varsity. Robin słyszał już jakieś mgliste wzmianki o Klubie, więc się zdziwił:

— A Klub nie jest bractwem?

— Nie, Robinie. Bractwa studenckie to błazeństwo; ich rytuały inicjacyjne — spędzenie nocy nago w lesie czy rzymsko-greckie zapasy w błocie — to rozrywka dla upośledzonych umysłowo. Galony kiepskiego piwa, które musisz wypić w rekordowym tempie, są odwrotnie proporcjonalne do twojego ilorazu inteligencji. Jest oczywiste, że ktoś, kto ogranicza swoje ambicje do tego typu zabaw, nie jest godny wstąpienia do Klubu.

— A ty byłeś w Klubie, Dziadku?

— Byłem, jestem i będę aż do ostatniego tchnienia, a może nawet i dłużej.

— A co to jest ten Klub?

— Klub, chłopcze, to stowarzyszenie ludzi dobrej woli i wielkich możliwości, zarówno intelektualnych, jak i finansowych, którzy starają się skierować świat na właściwe tory, oczyścić z błota koła wozu postępu, pomóc mu omijać lub taranować przeszkody i popychać go, gdy zajdzie taka potrzeba. W tym celu ludzie ci wykorzystują dyskretne i użyteczne znajomości, którym z różnych powodów można zaufać.

— A kto decyduje, jaki jest ten „właściwy tor”?

Robert C. Chastow I był zbyt inteligentny i zbyt uczciwy zarazem (w każdym razie wobec samego siebie), żeby nie uznać zasadności tego pytania.

— Tak, rozumiem, co masz na myśli.

Miał wystarczająco duże doświadczenie, żeby wiedzieć, że dziś już argument autorytetu nie wystarczy i że zawsze trzeba powiedzieć rozmówcy, że się rozumie jego punkt widzenia.

— Rozumiem, co masz na myśli, Robinie, ale ogólnie rzecz biorąc, „właściwy tor” to wolność i dobrobyt większości ludzi. Trudno temu zaprzeczyć, prawda?

Robin z łatwością mógłby to zrobić, bo ostatecznie kto miał zdefiniować „dobrobyt” oraz zagwarantować, że wolność jest czymś pożądanym? Ograniczył się jednak do zrobienia grymasu, który można było uznać za przytaknięcie.

— Krótko mówiąc, Robinie, działamy na rzecz dobra.

— My, czyli kto?

— Chcesz, żebym ci opowiedział historię Klubu? Dobrze. Jest to niezależne stowarzyszenie, które powstało w Niemczech na początku dziewiętnastego wieku — w wielkiej epoce (być może już to wiesz) tajnych stowarzyszeń. Masoni, iluminaci, karbonariusze, Tugenbund — wszystkie te organizacje rzekomo wywodziły się od bractw rzemieślniczych albo zakonu templariuszy. Klub nigdy nie bawił się w takie bzdury. My, w przeciwieństwie do masonów, nie mamy tajnych znaków, nie nosimy rytualnych szat, nie umieszczamy igły kompasu pod lewą pierśią. Nie jesteśmy jak te ówki ze Skull and Bones [Skull and Bones (dosł. „Czaszka i piszczele”) — mniej lub bardziej tajna amerykańska organizacja, z siedzibą na uniwersytecie w Yale, mająca, jak się wydaje, znaczne wpływy na politykę Stanów Zjednoczonych], którzy każą ci się kłaść do trumny i nadają ci nowe imię: „rycerz Untel”. U nas nie ma tego ezoterycznego folkloru. Zresztą, my nie jesteśmy organizacją tajną, choć jesteśmy dyskretni i nie cała nasza działalność jest ogólnie znana — nie lubimy, gdy się o nas głośno mówi.

— Dlaczego?

— Bo w ciszy lepiej się pracuje, a każdy zawód wymaga minimum dyskrecji. Adwokaci nie pozwalają swoim przeciwnikom czytać własnych dossier, lekarze czasem nie uznają za stosowne niepokoić chorych informacjami na temat ich chorób, wielcy francuscy kucharze nie

odkrywają przed klientami swoich przepisów. Nie wspominając o żołnierzach, dla których tajemnica zawodowa to stała konieczność.

— Tak, Dziadku, ale wasz Klub nie zajmuje się przecież gotowaniem! Czym właściwie się zajmujecie?

Robin wciąż jeszcze był naburmuszony, pamiętając, że mu zakazano wstępu do bractw studenckich.

— Popychamy historię, żeby się toczyła we właściwym kierunku.

— Możesz mi podać jakiś przykład?

— Mamy na swoim koncie sukcesy, o których nie wolno mi mówić, ale... Wyobraź sobie mapę Afryki. Na początku wieku była niemal całkowicie różowa i żółta — róż oznaczał kolonie francuskie, żółć brytyjskie. Teraz jest różnokolorowa. Sądzisz, że to Czarni przegonili stamtąd Angoli i Żabojadów?

— Ale co właściwie zrobiliście? Sprzedawaliście broń miejscowym?

— Jesteś w błędzie, Robinie. My działamy od góry, nie od dołu. Uderzamy w głowę, nie w ramię. Chcesz wiedzieć, co zrobiliśmy? Podkopaliśmy morale kolonizatorów, pozbawiliśmy ich pragnienia walki i służby, zaszczepiliśmy im przekonanie, że kolonizacja jest czymś niemoralnym.

— A wy uważacie, że jest czymś moralnym?

— Większość dużych krajów powstało na skutek kolonizacji. Juliusz Cezar we Francji, Wilhelm Zdobywca w Anglii, Walter Raleigh w Wirginii — jak sądzisz, co oni robili? To oczywiste, że my, Amerykanie, nie bardzo mamy prawo krytykować kolonizację jako taką. Ale uznaliśmy, że kolonizacja brytyjska i francuska jest nam zawadą, więc — pstryk! — ukrócilśmy ją w jedną dekadę!

— I sądzisz, Dziadku, że bez was dekolonizacja by się nie odbyła?

— Na pewno nie tak szybko. A w niektórych krajach wskutek wymieszania genów populacji kolonizatorów i skolonizowanych doszłoby do trwałego ich zespolenia. A to byłoby nam bardzo nie na rękę. Coś

takiego stało się w rzymskiej Galii; o mały włos, a powtórzyłoby się we francuskiej Algierii. Na szczęście, mieliśmy tam swoich ludzi.

— W Algierii?

— Tak.

— Wszędzie macie swoich ludzi?

— Wszędzie, gdzie trzeba, kiedy trzeba i jakich trzeba.

— Ale w czym wam właściwie przeszkadzały imperia kolonialne?

Jeśli nie chodziło o moralność...

— Z amerykańskiego punktu widzenia, Francja i Wielka Brytania były zbyt potężne. Musieliśmy sprawić, żeby heksagon [Heksagon — sześciokąt, określenie Francji, ze względu na jej kształt] stał się na powrót heksagonem, a wyspa wyspą.

— No tak, ale nadal czegoś nie rozumiem. Przecież mówiłeś, Dziadku, że wasz Klub powstał w Niemczech, nie w Ameryce.

Dziadek spojrział na Robina, zachwycony jego żywą inteligencją. Wstał, a jego stopy zagłębiły się w turkmeński dywan z wysoko przystrzyżonej wełny.

— Muszę ci coś wyjaśnić. Z jednej strony, Stany Zjednoczone są nam drogie, gdyż tu się urodziliśmy i jesteśmy Amerykanami. Z drugiej jednak strony, zawsze na świecie był jakiś kraj, w którym, niczym wielki ptak (Dziadek poruszył ramionami, naśladując ruch skrzydeł wielkiego ptaka), na jakiś czas przysiadła Wielka Idea. Tak było z Atenami. Tak było z Rzymem. Takim krajem była Anglia za czasów Wielkiej Karty, Francja w okresie Oświecenia. Teraz przyszedł czas na nas.

— A czym jest ta Wielka Idea?

Robina zaczęło to zaciekawiać, choć wciąż był w złym humorze.

Dziadek chodził w tę i z powrotem, zacierając wielkie dłonie o panokciach starannie wypolerowanych i pozbawionych skórek przez ciemnoskórą manikiurzystkę z Atlanty.

— Wielka Idea, Robinie, nie jest jakąś zwykłą, ograniczoną ideą. To z definicji najwyższa idea, jaką ludzkość jest zdolna zrodzić w danym momencie swoich dziejów. W starożytności niewolnictwo nie było sprzeczne z Wielką Ideą; w dziewiętnastym wieku nacjonalizm nie był sprzeczny z Wielką Ideą. Dopiero potem takimi się stały.

— Chcesz, Dziadku, powiedzieć, że Wielka Idea to postęp?

— Można tak to ująć, ale postęp trzeba odpowiednio ukierunkować, a czasem go wymuszać. I to jest właśnie rola Klubu.

— Którą Klub sam sobie wyznaczył?

— Można tak powiedzieć. Prawda jest taka, że ludzie najbardziej tego świadomi zorganizowali się razem najpierw w Niemczech, a potem to Ameryka przejęła pałeczkę.

— Czy w Klubie są jeszcze jacyś Niemcy?

Dziadek przystanął.

— Nie wiem, czy mamy kapitułę niemiecką. Nie wydaje mi się. Poznałem kiedyś naszych członków z Anglii. Może jacyś są i w Niemczech. To byłby raczej wyjątek niż reguła. Od co najmniej stu lat prawdziwi członkowie Klubu — najczystszy z czystych, najtwardsi z twardych — są Amerykanami. Ale — zrozum mnie dobrze — są nimi nie dlatego, że są Amerykanami, ale dlatego, że aktualny stan ewolucji świata właśnie z Ameryki czyni teren najbardziej odpowiedni dla działalności Klubu.

— A kim są wasi członkowie? Jest wśród was, na przykład, prezydent?

Chłopiec wypowiedział słowo „prezydent” z niemal nabożną czcią. Samo przypuszczenie miało być sarkastyczne. Dziadek roześmiał się wobec takiej naiwności i z powrotem usiadł w fotelu.

— Tak, niektórzy z nas podjęli się wykonywania tego niebezpiecznego i śmiesznego zawodu. Nazywamy ich „kozlami” — w domyśle „ofiarnymi”. Jednak ogólnie rzecz biorąc, ta funkcja politycznego klau-na jest, na nasz gust, zbyt widoczna, nie mówiąc już o tym, że nie daje prawdziwej władzy.

Robin obruszył się na tak oczywiste bluźnierstwo.

— Prezydent Stanów Zjednoczonych nie ma prawdziwej władzy?!
To kto ją ma?

Dziadek westchnął. Niewyczerpana ciekawość wnuka powodowała, że musiał mu odkrywać coraz więcej i więcej. Wiedział jednak, że lepiej jest przekarmić młodzieńczą inteligencję niż pozwolić jej zgnuśnić w beczynności.

— „Prezydent Stanów Zjednoczonych”, jak mówisz, ma tylko taką władzę, jaką mu dadzą ci, którzy mogą być mu posłuszni lub nieposłuszni. My możemy od czasu do czasu pozwolić jednemu z naszych członków, żeby sprawował funkcję prezydenta, ale on może działać tylko w takim zakresie, w jakim mu na to pozwolimy. Jeśli zejdzie z wytyczonej drogi, szybko przywołamy go do porządku lub się od niego odetniemy. Były takie przypadki.

— Kim wy jesteście, że możecie sobie na to pozwolić?

Robin był wstrząśnięty do głębi.

Z jednej strony odczuwał wielki szacunek dla dziadka. Z drugiej strony pragnął widzieć świat takim, jakim się wydawał — pozornie stabilny i trochę mdły. Z trzeciej zaś strony rodziło się w nim nowe i sprzeczne z tym uczucie — raczej nadzieja pomieszana z lękiem, że świat jest inny niż się wydaje, że lustra mają dwie strony, że tu i tam otwierają się tajemnicze drzwi i zapadnie, za którymi kryją się zupełnie nowe znaczenia.

— Chcesz poznać kilka liczb? W jednej szóstej jesteście prawnikami, w jednej szóstej nauczycielami akademickimi, kolejna jedna szósta to ludzie interesu, a kolejna to finansjści. Pozostałe dwie szóste to wojskowi, urzędnicy i przemysłowcy. Może cię zaskoczę, ale tylko 3% z nas zajmuje się polityką i jest w rządzie, ale ile tam szarych eminencji! Osobiści asystenci, ministrowe bez teki, nadzwyczajni ambasadorzy, doradcy prezydenta w sprawach bezpieczeństwa. Czy odpowiedziałem na twoje pytanie? Jeśli jesteś ambitny, jeśli chcesz mieć realną władzę zamiast władzy widocznej, będziesz chciał należeć do Klubu. Jeśli chcesz rozwijać Wielką Ideę i sprawić, żeby w historii zwyciężała Dobra

Sprawa, będziesz chciał należeć do Klubu. Ale nie wyobrażaj sobie tego w filmowy sposób. Będziesz należał do jedynej prawdziwej elity świata, ale nie będziesz nosił maski Zorro. Będziesz uważany za zwykłego obywatela, robiącego karierę w zawodzie, który zostanie dla ciebie wybrany i w którym będziesz korzystał z wszystkich możliwych wpływów i znajomości. Tak, wierz mi, Klub umie dobrze ustawiać swoje pionki. Oczywiście, będziesz musiał zrezygnować raz na zawsze z tak cenionego przez niektórych *aurea mediocritas* [*Aurea mediocritas* (łac.) — złoty środek]. Nie wiem, czy słyszałeś o Ignacym Loyoli, ale istnieje podobieństwo w relacji między członkiem Klubu i Klubem a jezuitą i jego zakonem. Także w rękach Klubu jego członek jest „jak laska w rękę starca”...

— Czy dobrze zrozumiałem, Sir? Nie wybiorę sobie sam zawodu?

— My wybierzemy ci zawód, który będzie najlepszy dla ciebie i w którym będziesz najbardziej użyteczny.

— Ale będę mógł sam sobie wybrać żonę?

— Do pewnego stopnia. Nasze kryterium jest zawsze to samo: największa użyteczność dla Klubu.

— A jeśli zakocham się w dziewczynie, która wam się nie spodoba?

— Ach, Robinie!...

Dziadek wydał z siebie jęk, w który zabrzmiało wyraźne zniecierpliwienie.

— Romeo i Julia, *West Side Story*... Tak, to niezwykle wzruszające! I nie powiem ci, że to się w życiu nie zdarza, bo się zdarza, ale jest udziałem zepsutych i nieodpowiedzialnych egoistów. Jeśli się zakochasz w dziewczynie, która nam się nie spodoba, cóż ci się każe z nią żenić? Na pewno uważasz, że jestem cyniczny. Nie chcę cię szokować. Próbuję ci tylko powiedzieć, że Historia to plan, a co się w tym planie nie mieści, musi zostać odrzucone.

Dziadek wykonał gest naśladujący gilotynę.

— Czy to znaczy, Dziadku, że jeśli wstąpię do Klubu, to nigdy nie będę wolny?

— Ależ Robinie! Czymże jest wolność? Może tylko jałowym biegiem, który uniemożliwia jakąkolwiek kontrolę nad światem.

— A czy będę przynajmniej na tyle wolny, żeby opuścić Klub, jeśli mi się nie spodoba? Czy naślecie na mnie morderców, żebym nie zdradził waszych tajemnic?

— Odnoszę wrażenie, że celowo starasz się mnie nie rozumieć. Jeśli jakiś członek Klubu, w dowolnym momencie, jest na tyle głupi, żeby odrzucić wspaniałe możliwości, jakie mu daje Klub, mówimy o nim, że jest „uśpiony” i tyle.

— A jeśli zaczyna gadać na temat Klubu?

— Ale Klub nie ma żadnych sekretów w potocznym tego słowa znaczeniu, Robinie. Nasza struktura jest piętrowa i opiera się na selekcji. Nikt nie wstąpi na wyższy poziom wtajemniczenia, jeśli nie wykaże się na niższym. To nie jest kwestia sztucznego i stopniowego awansu, ale wewnętrznego postępu, który pozwala na pokonywanie kolejnych szczebli. Sami sobie musimy udowodnić, że jesteśmy tego godni. Gdybym próbował wyłożyć całki komuś, kto nigdy nie uczył się algebry, nic bym nie osiągnął. W ten sam sposób, członek Klubu, będący na wyższym stopniu wtajemniczenia, nie mógłby zostać zrozumiany przez niewtajemniczonego. Prawdziwe tajemnice, Robinie, są nieprzekazywalne.

— No, ale macie przecież jakieś hasła, miejsca spotkań, sposoby porozumiewania się!

Dziadek wstał z rękoma w kieszeniach swoich perłowszarych spodni i stanął przed oknem o zamkniętych okiennicach, jakby usiłował przeniknąć wzrokiem to, co znajdowało się za nimi. Długo wpatrywał się w ów wewnętrzny pejzaż, zanim udzielił wnukowi odpowiedzi. Wahał się, co może powiedzieć, a co powinien przemilczeć.

— Posłuchaj. Wszystko — rozumiesz? — wszystko może stać się przedmiotem działania Klubu. To, co jest dobre dla Klubu, jest dobre w sposób absolutny, bo Klub jest dobry. Dobry dla świata. Z tego samego powodu to, co jest złe dla Klubu, jest złem absolutnym. Zwykła moralność jest względna, bo nie bierze pod uwagę istnienia Klubu. Może się zdarzyć, że będziemy robili coś, co inni uznają za godne potępienia, tylko że my wydobędziemy z tego wyższe dobro. W tym sensie — tak, można powiedzieć, że mamy swoje tajemnice. I dysponujemy środkami pozwalającymi nam je skutecznie chronić. I nie wahamy się ich używać. Tego rodzaju decyzje podejmowane są na najwyższym szczeblu i w sytuacjach nadzwyczajnych. Większość członków Klubu żyje, nie mając nawet pojęcia, że takie sekrety w ogóle istnieją. Ich rola polega głównie na tym, żeby pomagać sobie wzajemnie w zajmowaniu stanowisk dających władzę.

— Czy zdarzyło ci się, Dziadku, podejmować takie wyjątkowe decyzje na najwyższym szczeblu?

Cisza. Po czym, wciąż odwrócony tyłem do pokoju, Dziadek powiedział:

— O, tak, Robinie, tak! A raczej zdarzyło mi się brać udział w ich podejmowaniu, bo takie decyzje zawsze mają charakter kolegialny.

— Próbuję to zrozumieć, *sir*. Czy to znaczy, że jeśli wstąpię do Klubu, to Klub może mi pomóc zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych?

Dziadek obrócił się na pięcie i wybuchnął śmiechem.

— A ty znowu swoje! Tak, mógłbyś zostać wyznaczony na tę funkcję, ale ci tego nie życzę. Bo to by znaczyło, że jesteś niezdolny do sprawowania prawdziwej władzy.

3

Jesienne klony w Nowej Anglii mają korony niemal tak płomienne, jak w Kanadzie. Robin nigdy nie widział podobnych na Południu i te ogniste, targane północnym wiatrem czupryny stały się dla niego emblematem Varsity. Od tej pory Varsity będzie dla niego niegasnącym płomieniem, ciągłym autodafe, symbolem *libido sciendi* i zwykłego libido, pragnienia życia, rozchylania pąków, wzrastania, stawania się sobą i mierzenia się ze światem. On był w Varsity tylko jakiś czas, ale ono zostało w nim na zawsze. Przynajmniej tak sądził.

Ku jego zdziwieniu, zaskoczyło go tam coś innego, niż się spodziewał. Tym czymś nie był poziom wykształcenia i ogłady innych studentów, którzy w znakomitej większości pochodzili ze starych nowoangielskich rodzin. Przeciwnie, na tym polu, mimo swego południowego akcentu i powiedzonek, które usilnie starał się kontrolować, czuł nawet pewną wyższość. Dziadek kazał mu przeczytać tak wiele książek, znajomość języka obcego tak bardzo otworzyła mu umysł, a wakacyjna podróż z Dziadkiem po Europie (Londyn, Paryż, Amsterdam, Monachium, Florencja, Rzym) dała mu tak jasne pojęcie o tym, czym jest życie nastawione na sztuki piękne i humanizm, że zdumiewało go, jak wielu nieokrzesanych prostaków znajduje się wśród otaczających go synów prawników i bankierów.

Jednak główną rzeczą, która go zaskoczyła, była niewielka liczba Czarnych. Nie tylko na roku, ale i na ulicy. Spytał, czy są tam gdzieś

„czarne dzielnice”. Nie było. Czarni, tak liczni na Południu, tu nie stanowili fragmentu lokalnego pejzażu. Wykładowcy i studenci Varsity mieli bardzo niewiele okazji, żeby wcielać w życie współczucie, jakie głosili dla Czarnych, Indian, Latynosów i innych nie-waspów. Współczucie było zatem czysto platoniczne.

Dziwiło go też zachowanie studentek. Nie było tu słynnych piękności Południa — jednych cnotliwych, innych rozpustnych, ale zawsze niezwykle kobiecych i dystygowanych. Tu miał do czynienia z hordą wybrakowanych chłopczyc, wściekłych feministek, bezwstydnym ninfomanek, nie licząc kilku wyniosłych i nieprzystępnych pańienek, które nieustannie chichotały między sobą, nie zdradzając, z czego i z kogo tak sobie dworują.

Pierwszy rok studiów upłynął Robinowi głównie na zdobywaniu dobrych ocen. Myślał sobie, że Dziadek łatwiej mu wybaczy jedną lub dwie trójki, jeśli będzie miał na koncie wystarczającą liczbę piątek. Co do reszty, to szybko się zaaklimatyzował, udzielał się w sportach, uchodził za dobrego kumpla (choć może trochę nazbyt trzymającego dystans) i nadal, podobnie jak w liceum, czuł, że jest inny od wszystkich, co napełniało go dumą, którą ukrywał, żeby nie zyskać sobie etykietyki: *unamerican* [W Ameryce wystarczy zachowywać się w sposób, który uchodzi za „nie-amerykański”, żeby otrzymać etykietkę „antyamerykańskiego”. To paranoiczne zjawisko rozwijało się zwłaszcza w okresie maccartyzmu i przeżywa pewien renesans po wydarzeniach *Nine-Eleven*]. W czasie *rush* [*Rush* — tu: kampania rekrutacyjna do bractw studenckich] wszystkie bractwa dały mu do zrozumienia, że byłby w nich mile widziany. Nie mówił ani tak, ani nie, od czasu do czasu pozwalając sobie na rozrywki, ale skrzętnie unikając kompromitacji.

Długo zastanawiał się nad tą historią z Klubem i zdecydował, że do niego wstąpi, jeśli tylko go zechcą. Poza wszystkim, nie czuł specjalnych obiekcji, żeby mu ułatwiono karierę w zawodzie, który dla niego wybiorą. Podobała mu się perspektywa posiadania władzy. A fakt, że

miała ona służyć dobru ludzkości, był miłym usprawiedliwieniem, które głużyło skrupuły. W zamian za te korzyści gotów był zrezygnować z niezależności, na której tak naprawdę wcale mu nie zależało. Prawda Klubu stanie się jego własną — z góry to zaakceptował.

Dziadek uprzedził go, w jaki sposób odbywa się rekrutacja i co się stanie, jeśli wejdzie do grupy trzynastu wybrańców (zawsze było ich dokładnie trzynastu). Będzie uważnie obserwowany przez starszych, a pod koniec pierwszego lub na początku drugiego roku, w najmniej oczekiwanym momencie ktoś klepie go lekko w prawe ramię i powie: „Jesteś przyjęty”.

Intrygową ją Kaaba, siedziba Klubu. Studenci niewiele o niej mówili — albo byli wtajemniczeni, albo mieli żal, że nie są. Przechodząc obok, podnosili wzrok ku czarnym, marmurowym, wypolerowanym płytom, wspinającym się geometrycznie aż ku przezroczyściej kopule, i nic nie mówili lub — w najlepszym razie — prychnęli. Ewentualnie cedzili półgłosem: „Musi tam być kupa szmalu” lub „Ciekawe, co oni tam właściwie robią”, lub „Podobno mają tam w piwnicy jakiegoś trupa” — ale wszystko bez większego przekonania. Wyższość Kaaby nad domami bractw, które afiszowały się z tajemniczością i nieustannie wydierały sobie wzajemnie różne sekrety, polegała właśnie na tym, że Kaaba z niczym się nie afiszowała. Wiadomo było, że zbiera się tam Klub i tyle. Krążyła też pewna legenda. W latach pięćdziesiątych oddział twardzieli z jednego z bractw wdarł się do Kaaby. Ciąg dalszy nie trzymał się kupy. Opowiadano, że napastnicy znaleźli tam podziemną salę tortur, ich włosy posiwiały w ciągu jednej nocy, skopiowali tajną listę członków Klubu, w tym Chruszczowa, Mao i papieża, zostali prześwietleni promieniami sigma, na skutek czego wszyscy stali się bezpłodni, ewentualnie, że jedyne, co znaleźli, to zwykłe biura, jedna biblioteka i dobrze wyposażony bar. Nieważne jednak, co było prawdą. I tak na myśl o przekroczeniu czarnego, marmurowego progu wielu dostawało dreszczy, a Robin szczególnie, bo swoją przyszłość związał

z tym właśnie faktem. W jego wyobraźni Varsity wirowało wokół tego czarnego, szczęsnego bloku, rzucającego cień na cały kampus.

Śniegi Nowej Anglii stopniały, listowie Nowej Anglii grało swoją symfonię w tonacji szmaragdowej, a ptaki Nowej Anglii malowały swój rozszczebiotany fresk. Robin przygotowywał się do egzaminów, tkwiąc z nosem w książkach i kolekcjonując piątki, które skrzętnie ukrywał przed kolegami. Rosyjski był dla niego łatwizną, mógł więc się koncentrować na innych przedmiotach. Zakazywał sobie myślenia o Klubie. „Przejdziemy przez ten most, gdy do niego dotrzemy” — mówił sobie, jak Peny Mason w serialu telewizyjnym, który oglądał raz w tygodniu. Bo powiedzmy sobie szczerze, mimo dobrych ocen, osiągnąć w sportach grupowych i wpływów Dziadka, jakie miał szanse stać się jednym z trzynastu „przyjętych” na ponad sześciuset studentów pierwszego roku?

Los uśmiechnął się do niego pewnego czerwcowego dnia, w ostatnim tygodniu semestru.

Było gorąco, zajęcia powoli się kończyły, bluszcz wdzierał się przez okna, muchy poruszały się jak nieprzytomne, profesorowie odsłaniali swoje pokłady złego humoru lub lenistwa, a Robin myślał już tylko o powrocie na Południe. Nareszcie zobaczy dom o białych kolumnach, mech Luizjański na dębach, błyszczące i roześmiane twarze Czarnych na ulicach Savannah (tu, na Północy, wszyscy ci nieliczni Czarni byli ponurzy i odpychający) i zobaczy Dziadka o wypielęgowanych dłoniach i srebrnych brwiach, który będzie zadowolony z jego wyników.

W środę rano odbyło się ostatnie *convocation* — zebranie studentów, przeplatane śpiewem, kazaniami, modlitwą i różnymi przemowami. Studenci pierwszego roku uczestniczyli w nim w strojach akademickich — pod koniec otrzymywali kwadratowy biret, który czynił z nich pełnoprawnych członków społeczności Varsity. Tłum studentów tłoczył się przed wejściem do kaplicy, do której wchodził dwójkami.

Nagle Robin poczuł na prawym ramieniu lekki dotyk czyjejś dłoni, a jakiś głos szepnął mu do ucha:

— Jesteś przyjęty.

Zatrzymał się. Student w kwadratowym birecie, który obdarzył go tym proroczym dotknięciem, przeszedł już dalej i spowity w czarną, objającą mu się o łydki szatę, zniknął w tłumie, zanim Robin zdołał go rozpoznać.

Po zebraniu Robin wstąpił na pocztę i w swojej skrytce znalazł napisaną na maszynie wiadomość:

„Szesnasta. Na przystani”.

Kampus był położony nad rzeką, na której studenci Varsity, wzorem tych z Oksfordu czy Cambridge, urządzali zawody wioślarskie. Pośrodku rzeki była też wysepka, oficjalnie należąca do Klubu — jego członkowie organizowali tam spotkania lub spędzali wakacje. Innym wstęp był wzbroniony — na co drugim drzewie wisiała tabliczka *Posted* [Wstęp wzbroniony], a teren patrołowały dobermany. W sezonie polowań na kaczki z wyspy dochodził dźwięk wystrzałów — to członkowie Klubu dziurawili niebo. Zastanawiając się, czy to właśnie tam dojdzie do jego intronizacji, Robin zatrzymał się na pomoście przystani, spoczywającym na grubych, drewnianych filarach wbitych w dno rzeki. Pomimo panującego upału, wodę cięło kilka łodzi poruszanych mięśniami zapalonych wioślarzy... Przez szczeliny między deskami przystani widać było piasek plaży i leżącą na nim baraszkującą parkę. Poza tym — ani żywego ducha.

— Robinie!

Był to dr Kirsten w koszuli wyłazącej z bezkształtnych spodni. Zbliżał się, machając ręką kobiecym gestem.

Doktor Kirsten zawsze nosił spodnie, a czasem także krawaty, ale to i tak nie wystarczyło, żeby wyciągnąć jakieś wnioski co do jego płci.

Oczywiście, pod warunkiem, że jakąś w ogóle posiadał. Na imię miał Kirsten i tak samo na nazwisko, a w Niemczech, skąd pochodził, było to imię zarówno żeńskie, jak i męskie. Z wielkiej głowy, przekrzywionej na bok pod wpływem ciężkich i źle wyważonych okularów, dobywał się zupełnie aseksualny głos. Jego policzki, ozdobione kilkoma brodawkami, były zupełnie bezwłose i nie odnosiło się wrażenia, żeby tę gładkość zawdzięczały dobrej maszynie do golenia. Jego koszule i swetry marszczyły się na przodzie. Biodra miał tak szerokie, że mogłyby pomieścić tuzin dzieci. Nigdy nie widziano go nago. Jego biografie redagowane były w stylu telegraficznym, bez zaimków osobowych i dzierżawczych. Studenci czuli się tym skępowani, a Robin, który bardzo lubił szufladkować ludzi i rzeczy, nie był od tej reguły wyjątkiem.

Jednak osoba uczonego (uczonej?) fascynowała go już od pierwszych dni, i to nie tylko ze względu na erudycję, ale fantazyjne metody pedagogiczne, pogardę dla uniwersyteckich form, sposób mówienia o starym, dobrym Szekspirze i wujaszku Chaucerze, jakby Kirsten dobrze ich znał i lekko z nich sobie podrwiwał. Robina zachwyciły też jego definicje (jeszcze wtedy nie wiedział, że zapożyczone zostały od Ambrose'a Bierce'a):

„Centaur — istota, która powstała, zanim wynaleziono podział pracy”.

„Skrzypce — instrument przeznaczony do łechtania ludzkich uszu za pomocą pocierania końskim ogonem o kocie wnętrze”.

„Żaba — płaz o jadalnych udkach”.

„Drzewo — wysoka roślina, której natura wyznaczyła rolę szubienicy”.

„Sznur — nieco już przestarzałe narzędzie, mające przypominać mordercom, że i oni są śmiertelni...”.

— Witaj, Robinie — rzekł dr Kirsten, wspinając się na pomost przystani z lekką zadyszka. — Zabierzesz mnie na przejażdżkę łódką?

— Przykro mi, doktorze Kirsten. Nie mogę. Mam spotkanie.

Doktor Kirsten spojrział na niego ironicznie spoza okularów i zaskrzecztał:

— To ze mną masz spotkanie.

Przy wsiadaniu do łodzi, Robin podał swemu towarzyszowi dłoń, na wypadek gdyby dr Kirsten był damą. Hermafrodyta usadowił się na miejscu dla pasażera, na rufie łodzi, skrzyżował nogi, odchylił się do tyłu, splótł dłonie na karku i pozostawił Robinowi trud manewrowania wiosłami. Gdy oddalili się od brzegu, dr Kirsten zaczął mówić. Słowa leciały ponad wodą, podczas gdy Robin, doświadczony wiosłarz, płasko i niemal bezgłośnie zanurzał w niej pióra wiosel, ciągnąc je następnie ku sobie i tnąc powierzchnię niczym nożem, żeby w końcu, wygięty w łuk i mocno zaparty o ławkę, znów przenieść je ku tyłowi.

4

Kiedy Robinowi dane było wreszcie przekroczyć święty próg Kaaby, odbyło się to zupełnie zwyczajnie — zadzwonił i otworzono mu.

Była ósma rano. Nadchodzili też inni kandydaci — jedni w białych koszulach i garniturach, inni w tweedowych marynarkach ze skórzanymi łatami na łokciach i pastelowych koszulach z kołnierzykami na guziczki, wszyscy pod krawatem, wszyscy akuradni, wszyscy niepewni, co ich czeka. Wiedzieli jedynie, że Klub nie tolerował bylejakości. Było ich trzynastu. Sami mężczyźni. Robin spędził całe lato na trenowaniu, zgodnie z instrukcjami dr Kirstena, amatorskich skoków ze spadochronem. Jakie były letnie zajęcia pozostałych? To nie była jego sprawa.

Wszyscy się znali i witali niezdarnie, ze ściśniętym żołądkiem.

— Hej, Robin.

— Hej, Tom.

Myśleli: „Popatrz, popatrz... Nie sądziłem, że przyjmą Toma”. Albo: „Ha! Sid zawałił sprawę. Dobrze mu tak”. Lub: „Szkoda, że Sally się nie udało”.

Korytarz Kaaby prowadził do głównej sali — okrągłej i zalanej światłem padającym z kopuły. Na środku znajdował się owalny stół z jasnego drewna, przy którym stało dwadzieścia sześć krzeseł; przed każdym z nich leżała zielona bibuła, a na niej blok do notowania, ołówki, temperówka, kryształowa szklanka z wodą i tabliczka z nazwiskiem. Trzynaście krzeseł, stojących tyłem do drzwi wejściowych, było pustych. Niektóre z tych trzynastu, które stały przodem do drzwi, były już zajęte przez osoby w różnym wieku — było tam dwóch studentów

ostatniego roku, kilka osób w sile wieku, jeden starzec, jedna błękitn-włosa dama, ubrana i umalowana bardzo starannie i elegancko. Doktor Kirsten reprezentował zwykle sobie niechlujstwo, które nie było jednak pozbawione pewnej uniwersyteckiej dystynkcji. Przygotowania trwały niecałe pięć minut — wszyscy przybyli punktualnie. Robin stwierdził, że dzięki owalnemu kształtowi stołu każdy nowicjusz miał przed sobą jednego starego wygę. Gdy już wszystkie dwadzieścia sześć krzeseł było zajętych, jakiś pięćdziesięcioletni mężczyzna o trupiej twarzy, w której odbijało się kilka złocistych elementów — zęby, okulary, obrączka — zakasłał znacząco w pięść i rzekł:

— Szanowna pani, szanowni panowie, członkowie Klubu! Dokonamy teraz niezbędnych formalności związanych z przyjęciem. Niech ojcowie chrzestni zaprowadzą swoich chrześniaków do przeznaczonych do tego celu pomieszczeń.

Wszyscy wstali i Robin zorientował się, że jego ojcem chrzestnym jest siedzący naprzeciwko wysoki, trzydziestoletni, ale wciąż pryszczaty facet o gamoniowatym wyglądzie.

— Proszę za mną — rzekł gamoń. — Jeszcze się nie znamy. Jestem Sinclair B. Smythe, makler z Nowego Jorku. Proszę się nie martwić, jestem pańskim ojcem chrzestnym tylko na czas tych pierwszych czynności.

Do głównej sali przylegało trzynaście przeszklonych boksów, zaopatrzonych w stół i dwa krzesła. Sinclair poprowadził Robina do jednego z nich.

— Może pan usiąść tutaj? Ja siądę tu. Gdzie położyłem mój formularz? A, jest! Nie będzie panu przeszkadzało, że będę notował? No, dobrze. Zaczynamy. Robert C. Ghastow, czy tak?

— Robert C. Chastow III, *sir*.

— Och, nie, proszę mi nie „serować”. Może mnie pan „sinc-lairować”, a ja będę pana „robiniował”. Tak. Właśnie. Wszystko w porządku.

Sinclair zabrał się do wypełniania ołówkiem jakichś rubryk na kartce papieru.

— Płec?

— Słucham?

— Pańska płęć?

— Męska.

— Jest pan pewien?

— Czy jestem pewien?

— To pojęcie nie jest wcale tak oczywiste, jak się wydaje. Owszem, posiada pan atrybuty płci męskiej, jak sądzę, ale to naprawdę dosyć względne. W każdym mężczyźnie kryje się *anima*, a w każdej kobiecie *animus*, o czym dobrze wiedzą czytelnicy Junga. Czy jest pan prawiczkim?

— Nie.

— Stracił pan cnotę z kobietą?

— A jak pan sądzi?

— Nie ma pan skłonności homoseksualnych?

— Żadnych.

— Tak się mówi...

Sinclair bawił się ołówkiem, pocierając jego gumką pod prawym okiem i gryząc czubek.

— Gdyby miał pan zostać homoseksualistą, to którą rolę by pan wybrał: czynną czy bierną?

Robin nie wierzył własnym uszom.

— Pyta pan, czy bym wolał dać się... czy też może wolałbym sam...? Ani jedno, ani drugie, Sinclairze. Na samą myśl dostaję mdłości.

— Rozumiem, ale która z tych możliwości wywołuje większe obrzydzenie?

Robin wzruszył ramionami.

— Podejrzewam, że gdybym już musiał wybrać, wolałbym być aktywny, ale naprawdę bez entuzjazmu. Jak można, nie odczuwając do siebie pogardy, zrobić komuś coś, czego nie można by zaakceptować wobec siebie samego?

— To właściwa reakcja, Robinie, bardzo właściwa.

Sinclair przeciągnął palec na kolejną rubrykę.

- Wiek?
- Dziewiętnaście lat. Przecież chyba pan wie?
- Czy uważa się pan za rozwiniętego ponad swój wiek czy może nieco poniżej?

Robin zastanowił się.

— Kiedy się porównuję z rówieśnikami, odnoszę wrażenie, że ich wyprzedzam — więcej przeczytałem, znam więcej języków. .. Oczywiście, gdy pomyślę o oficerach Napoleona w czasie kampanii francuskiej... Niektórzy z nich mieli czternaście lat...

— Narodowość?

— Amerykańska, rzecz jasna.

— Tak, ale pochodzenie...?

— Anglosaskie, celtyckie.

— Żadnych domieszek?

— .. .Odrobina krwi francuskiej.

— A! No, dobrze. Wyznanie?

— Anglikańskie.

— Jest pan pewien?

— Co chce pan przez to powiedzieć?

— No, cóż... Wierzy pan w dziewiczość Maryi, zmartwychwstanie Jezusa? Podkreślam, że nie gramy tu w zabawę „prawda czy fałsz” i może pan, oczywiście, skłamać, ale każde kłamstwo w końcu obróci się przeciwko panu, prawda zaś jest czymś stałym. Klub (czy muszę to podkreślać?) nie ma żadnych religijnych przesądów.

— Powiedzmy więc, że mam wątpliwości co do dziewictwa Matki Boskiej oraz zmartwychwstania.

— Ale jest pan pewien, że zawsze trzeba nadstawić lewy policzek, gdy pana uderzą w prawy?

— Nie.

— I wierzy pan niezachwianie w nieśmiertelność duszy? Sinclair uderzał się ołówkiem w prawe skrzydełko nosa.

— Nie postawiłbym na to stu dolarów.

— A przecież to są właśnie prawdy wyznawane przez Kościół anglikański?

— Faktycznie, tak to wygląda.

— No, cóż. Zapisuję „wyznanie anglikańskie”. U nas właściwie do niczego nie zobowiązuje. Zadam teraz panu, Robinie, trzynaście pytań, a potem pójdziemy do innych zajęć. Dlaczego trzynaście? Nie mam pojęcia. Nasi wielcy poprzednicy wymyślili, żeby wszystko ujmować w „trzynastki”, ale proszę nie przywiązywać do tego nadmiernej wagi. Nie jesteśmy przesądni. Jak pan sądzi, do jakiej grupy społecznej pan należy?

— Do klasy średniej.

— Dlaczego nie wyższej? Ma pan dosyć pieniędzy i ziemi, należy pan do starej rodziny.

— Nie mamy aż tak dużo pieniędzy, a poza tym... Nie wypada mówić, że się należy do klasy wyższej. Niech inni się tego domyślą.

Dlaczego Robin to powiedział? Może dlatego, że w akcencie Sinclaira było coś wyraźnie nowojorskiego i mgliście pospolitego, a do Klubu nie wstępowało się po to, żeby pozwolić sobą poniewierać — nawet najstarszym członkom Klubu.

— Sytuacja rodzinna?

— Jedynek. Rodzice trochę nieobecni. Dziadek obecny za dwóch.

— Jakby pan sklasyfikował swoje poglądy polityczne? Demokrata? Republikanin?

— To rozróżnienie zawsze wydawało mi się sztuczne, a raczej zupełnie niepolityczne. Niektórzy Południowcy są prawicowymi demokratami, a wśród republikanów są i Czarni...

— Jak ze zdrowiem? W porządku? Badania okresowe co roku?

— Badania — niezbyt regularnie. Ale mam wrażenie, że jestem w dobrej formie.

— Zdrowie psychiczne? Skłonności do paranoi? Schizofrenia?

— Nie stwierdziłem.

Pan mi tu funduje prawdziwy kwestionariusz Prousta, Sinclairze — dorzucił Robin, żeby dać do zrozumienia, że jest odczytany.

— Tyle że nas nie interesuje to, co pan odpowie na te idiotyczne pytania, ale jak pan na nie odpowie. W tym sęk. Jakie reakcje budzi w panu przemoc? „Nie zabijaj”? I co z karą śmierci? Pozbawianiem bliźniego życia? Jak pan widzi, nasze pytania zahaczają też o sprawy zasadnicze.

Robin zastanowił się. Skrzyżował ramiona na piersi i poprawił się na krześle.

— Może pana zaszokuję. Nie mam nabożnego stosunku do ludzkiego życia. Albo jesteśmy nieśmiertelni, a wtedy śmierć nie ma żadnego znaczenia, albo nie jesteśmy, a wtedy należy ją zdemitologizować. Śmierć jest jak życie — może być użyteczna lub bezużyteczna, kropka.

I żeby zrobić dobre wrażenie, po sekundzie jeszcze dorzucił:

— Zna pan definicję kary śmierci, którą podaje Ambrose Bierce w swoim *The Devil's Dictionary*? „To kara, której sprawiedliwość i skuteczność kwestionowane są przez wielu poważnych ludzi, w tym także przez wszystkich morderców”.

Sinclair spojrzał na niego z lekkim rozbawieniem — mały kogucik wyglądał na niezwykle pewnego siebie.

— Tak, w porządku. (Sinclair coś notował). A jaki jest pana ulubiony sposób spędzania wolnego czasu? Na dworze? W domu? Co pana naprawdę kręci?

Robin wiedział, że powinien odpowiedzieć: „sport”, żeby pozostać w poetyce amerykańskiego stylu życia, ale prowokacyjnie miał ochotę być prawdomówny.

— Często skaczę ze spadochronem — rzekł, żeby się choć trochę usprawiedliwić — ale tak naprawdę to uwielbiam czytać. Zwłaszcza po rosyjsku, proszę sobie wyobrazić.

Sinclair nie wydawał się nadmiernie oszołomiony.

— Czytanie jako rozrywka? Ciekawe...

— Nie zdefiniował pan „rozrywki”.

— Jedenaste pytanie: jaka jest pańska moralność i na czym ją pan opiera?

— Proszę mi pozwolić się zastanowić. Nie wierzę w żaden imperatyw kategoriyczny (Robin przerabiał już filozofię i chciał to pokazać.) Złota zasada, żeby traktować innych tak, jak chciałoby się być traktowanym samemu, nieuchronnie prowadzi donikąd — inni nie są mną. Prawo naturalne to sympatyczny żart. Wspomniał pan o „nie zabijaj”. W rozumieniu Mojżesza oznaczało to: „Nie zabijaj żydów”. Jeśli chce pan znać prawdę, to dla mnie jest to raczej kwestia smaku — nie zakłada się brązowych butów do niebieskiego garnituru.

— Ale przed chwilą wzdragał się pan na myśl o zrobieniu bliźniemu czegoś, czego nie chciałby pan sam doświadczyć?

— To kwestia smaku, nie moralności.

— Dwunaste pytanie. (Sinclair udawał, że szuka go na liście). Jaki jest pański cel w życiu?

— Dać z siebie jak najwięcej.

— Trzynaste pytanie. Jak chciałby pan umrzeć?

Odpowiedź padła bez chwili wahania.

— Chciałbym dać ze siebie jak najwięcej. I umrzeć pusty jak skorupa homara. Reszta jest bez znaczenia.

— To wspaniale. Teraz możemy dołączyć do pozostałych.

Dwudziestu sześciu członków Klubu ponownie zasiadło naprzeciwko siebie, czekając na to, co nastąpi. Starsi przeglądali notatki, wymieniając szeptem uwagi. Nowicjusze siedzieli cicho. Trupioblady mistrz ceremonii znowu zakasłał w garść. Przemówił znudzonym tonem:

— Szanowna pani, szanowni panowie. Mamy tutaj dwudziestu sześciu członków Klubu należących do różnych stopni wtajemniczenia — od pierwszego do trzynastego. Teraz musimy się nieco lepiej poznać. Proszę, żeby członkowie trzynastego stopnia zwrócili uwagę na szafki, które znajdują się na ścianach korytarza za nimi. Możecie tam powiesić

swoje ubrania i wrócić do tego stołu. Inaczej mówiąc, proszę, żebyście się zechcieli... (wciągnął powietrze ze świstem) rozebrać do rosołu!

To potoczne wyrażenie zabrzmiało dziwaczne w wybrukowanych złotem ustach.

Nowicjusze udali się powiesić swoje marynarki i spodnie na wieszakach, złożyć koszule, wetknąć skarpetki do butów i wszystko to złożyć w szafkach. Widywali się już nago w sportowych szatniach i nie czuli się zażenowani. Niepokoił ich tylko, w jakim stroju będzie błękitnówłosa dama i czy w końcu dowiedzą się, do której płci należy dr Kirsten.

*

Robin nie przypuszczał, że można przeżyć tak okropny dzień, nie doznając trwałych urazów.

Na zewnątrz było już ciemno, gdy wychodził z Kaaby — z gorączką, mdłościami, na miękkich nogach, z nerwami w strzępach, cały obołały. Czuł się nie tyle nagi, ile przeniecony, jakby cała jego świadomość i wszystkie wnętrzości zostały obnażone i wystawione na widok publiczny. Nienawidził teraz wszystkie dwadzieścia pięć istot ludzkich — swoich braci na śmierć i życie. Wiedział o nich więcej niż ich najbliżsi dowiedzą się kiedykolwiek. Słyszał, jak dawali upust wyobraźni, wyrzucając na zewnątrz najbardziej ponure i krwawe imaginacje. Nigdy nie będzie już mógł spojrzeć na żadnego z nich, nie czerwieniąc się ze wstydu — za niego lub za siebie. Czuł się tak, jakby odbyli rytuał braterstwa krwi lub wspólnie uczestniczyli w jakiejś orgii. Pomyślał o „pustej skorupie homara”. Ryknął śmiechem. Pusta? Wypatroszona? Tak. A do tego zmiażdżona.

Trzynastu przesłuchiwanym, trzynastu przesłuchującym, lawina pytań i tylko jedna reguła: nie przerywać. Starsi, w ubraniach, złośliwie przesłuchiwali zupełnie nagich nowicjuszy. Ci ostatni mogli, jeśli starczyło

im odwagi, ripostować, zadając równie raniące, podstępne pytania, a wszystko to powodowało, że wstydlivi wyzbywali się wstydu, niewinni chełpili się potwornościami, których nie popełnili, przebiegli ukrywali swoje plany na przyszłość pod maską lęków z przeszłości, a ku szklanej kopule Kaaby unosił się jakiś zły obłok. Tak, zły, gdyż tego dnia działo się tutaj tylko zło — we wszystkich możliwych postaciach. W jakim celu? Robin nie był pewny. Może był to rodzaj egzorcyzmu, a może chodziło o to, żeby pokazać — bez mistycznych obrzędów, bez czarnej mszy i złych zaklęć, że dla członka Klubu zło jest tylko takim samym narzędziem jak każde inne.

Kiedy już wrócił do swego uroczego, dwupokojowego mieszkania, wynajmowanego od pewnej nobliwej damy, zachwiał się nagle na nogach: czy Dziadek wiedział, na co naraża swego wnuka, każąc mu wstąpić do Klubu? Czy swego czasu także on sam przeszedł przez podobnie haniebne rzeczy? Tak, zapewne. Klub to Klub.

Pierwszy ze starszyny: Johnny, pamięta pan, w jakim wieku przestał się pan moczyć?

Johnny (bardzo spięty): Nie, nie pamiętam. A powinienem? (Nerwowy śmiech).

Inny ze starszyny: Cunningham, proszę nam opowiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach okazał się pan tchórzem?

Cunningham: Tchórzem? Ja nigdy nie stchórzyłem...

Ten sam ze starszyny: Bujać to my! Najlepszy dowód, że teraz umiera pan ze strachu!

Dama o błękitnych włosach: Timothy, czy w okresie dojrzewania podglądałeś mamę w kąpieli?

Timothy: Nie, ja to robiłem raczej w ubikacji (Nerwowy śmiech).

Pierwszy ze starszyny: Murphy, kiedy był pan mały, wrywał pan nóżki muszkom?

Murphy: Nie, nigdy.

Inny ze starszyny: A pająkom?

Murphy: Owszem, zdarzało mi się. Używałem do tego celu pincety, bo się brzydziłem.

Burt: Ja byłem lepszy. Związałem razem za ogony psa i kota. Dru-tem. Ale trzeba uważać, jak się to robi, bo jeden gryzie, a drugi drapie. Niewiele z nich potem zostało. (Nerwowy śmiech).

Owen: Ja byłem jeszcze lepszy. Pewna Portorykanka stała z dzidziusiem w wózku na szczycie schodów. Kupowała właśnie banany. Patrzyłem na ten wózek — stał tak blisko krawędzi... Nie mogłem się oprzeć. Popchnąłem. Nic się takiego nie stało — ot, jedno czy dwa złamania, mogło być gorzej. Miałem jedenaście lat. (Tym razem obyło się bez nerwowego śmiechu; trudno powiedzieć, czy Owen mówił prawdę).

Pierwszy ze starszyny: Wróćmy do meritum. Timmerlaine — tak, tak, o pana chodzi — jakiego najbardziej wstydlivego czynu pan się dopuścił?

Nagle atmosfera uległa zmianie. Robin, zanurzony po szyję w tym bagnie, obserwował. Rozumiał, że chodzi o przekroczenie wszystkich powierzchownych tabu i dotarcie do tych, które odblokują podświadomość nowych członków Klubu. Pytanie zadane Boogiemu Timmerlaine'owi każdy z nich zadał samemu sobie: „Jakiego najbardziej wstydlivego czynu dopuściłem się w życiu?” lub: „Czy kiedykolwiek zrobiłem coś, czego do dziś się wstydzę?”. Dodać należy, że Klub nie sprecyzował, czy nowicjusze mają prawo coś przemilczeć lub skłamać. Jak to ujął Sinclair: nie chodzi o to, co się mówi, ale jak.

— Wstydlivego?

— Tak, panie Timmerlaine, wstydlivego.

— Nie robię rzeczy, których się wstydzę.

Timmerlaine wstał i jego nagość ukazała się oczom wszystkich. Niektórzy twierdzili potem, że dama o błękitnych włosach i Dr Kirsten mocno w tamtą stronę zezowali. Młodzieniec był wysoki i nabyty; w przeciwieństwie do wszystkich rudzielców, miał śniadą, niemal brązową

skórę, na ramionach, piersiach i brzuchu porośniętą kręconymi włosami, zaś jego genitalia były tak ciemne, że wydawały się niebieskie, niczym genitalia dzika. W dodatku kiepsko obrzeżane, jakby ten patrycjuszowski akt higieniczny dokonany został ze znacznym opóźnieniem. Nagle wszyscy zrozumieli, dlaczego Biblia otoczyła złą sławą ten członek dysponujący zdecydowanie większymi możliwościami w dziedzinie rozkoszy niż cztery pozostałe. Oczom zgromadzonych ukazała się cała plugawość ludzkiej kopulacji i wszyscy pojęli, dlaczego przeznaczone do tych funkcji części ciała, nazywane „szlachetnymi” lub „wstydliwymi”, zyskiwały na urodzie ukryte pod przepaskami, stringami, fartuszkami, togami, pancerzami, włosami — jednym słowem, pod czymkolwiek.

Robin nigdy jeszcze nie czuł się tak bardzo częścią ludzkiego rodzaju, jak wtedy, gdy ujrzał genitalia Timmerlaine'a. Nic dziwnego, że po kątach szeptano, że prawdziwe nazwisko Timmerlaine'a brzmi Valdez. Fortuna jego rodziców pochodziła ponoć z Teksasu, co z rasowego punktu widzenia było mocno podejrzane — dwa pokolenia wcześniej mogli się tam nawet zaplątać jacyś *Greasers*, czyli Latynosi, choć oficjalnie przodkowie Timmerlaine'a byli, rzecz jasna, *waspami*. Zakrawało na cud, że jego matematyczne sukcesy, rekordy w podnoszeniu ciężarów oraz pola naftowe rodziców spowodowały jego „przyjęcie” do Klubu.

— Więc nie robi pan rzeczy, których się pan wstydzi, panie... ekhm, Timmerlaine. Musi się pan bardzo różnić od nas wszystkich.

Nagle to wielkie ciało o lazurowych refleksach i potężnych, grających pod cienką warstewką tłuszczu mięśniach, przybrało niespodziewanie purpurową barwę. Dotyczyło to zwłaszcza policzków, męskich i pełnych, wymagających dwa razy dziennie starannego golenia, które w mgnieniu oka stały się podobne do naznaczonych uderzeniami pasa pośladków. Timmerlaine bohatercko wybełkotał słabym głosem:

— Jeśli nawet je robię, to jest to sprawa między mną a moim spowiednikiem. Spowiadam się. I te czyny zostają wymazane. Jestem rzymskim katolikiem.

Katolicy należeli w Klubie do rzadkości, nie tyle z powodu papieża i Maryi, ale właśnie z powodu spowiedzi — jak można ufać komuś, kto znalazł sobie tak łatwą receptę na pozbywanie się swojej przeszłości? W tej niemal wyłącznie protestanckiej grupie, postępowej i bezkompromisowej zarazem, zadeklarowanie innego wyznania musiało być dla Timmerlaine'a pierwszym krokiem na drodze do męczeństwa.

Złotousty trup spytał:

— A czy przypadkiem nie uważa pan samej spowiedzi za czyn wstydlivy? To przecież zwykła ucieczka od odpowiedzialności, ucieczka w wymaginowaną niewinność... Dziewictwa nie można odzyskać, prawda? No, z wyjątkiem Dziewicy Maryi, której, jak głosi wasz dogmat, to się udało po narodzinach Jezusa.

Tego rodzaju uwaga, mająca na celu wyprowadzenie Timmerlaine'a z równowagi, była w Klubie czymś jak najbardziej na miejscu. Nagiapaśnik dzielnie stawił jej czoło.

— Panie profesorze — odparł (trudno było stwierdzić, czy ów tytuł był wyrazem szacunku czy pogardy), „są na tym świecie rzeczy, o jakich nie śniło się waszym filozofom”, mawiał Szekspir. Nie, wyznanie grzechów nie wydaje mi się czynem, którego należy się wstydzić. Przeciwnie, sądzę, że to oznaka dorosłości i odpowiedzialności. Teraz mogę panu wyjawić jeden czyn, którego się wstydzę, bo jeszcze się z niego nie wypowiadałem: przerobiłem czwórkę z zajęć biblijnych na piątkę, żeby uniknąć bury ze strony ojca. (Śmiechy odprężenia na sali. Nikt nie brał zajęć z Biblii na poważnie. Timmerlaine usiadł).

— Robinie — rzekł dr Kirsten — a jaki jest pański najbardziej wstydlivy czyn?

— No chyba, że i pan jest święty — dorzucił zartobliwie jeden ze starszyzny.

— Niemożliwe. On nie jest katolikiem — zasugerował ktoś inny.

Robin poczuł się nagle bardzo samotny na swoim krześle; całe towarzystwo po obu stronach stołu chichotało, nie tyle pokpiwając z niego, ile próbując utrzymać atmosferę odprężenia. Dał sobie dłuższą chwilę na odpowiedź.

— Jakby powiedział Hipolit Taine, wstyd jest pojęciem względnym, zależnym od rasy, środowiska, czasów. Rodowity mieszkaniec Georgii wstydziłby się bekać po obfitym posiłku; mieszkaniec Gruzji — przeciwnie — wstydziłby się tego nie robić. (Czuł, że pozuje, ale wydawało mu się, że robiło to dobre wrażenie na starszyźnie oraz nowicjuszach). Widzę, że w niektórych z waszych rodzin wstyd związany jest z seksem. U nas tak nie było. (Było to tylko pół prawdy, ale nad pewnymi tematami wolał się prześliznąć). Mój dziadek nauczył mnie, że nic, co naturalne, nie jest wstydlive. Wstyd wiąże się z odstępstwem od natury. Natury każdego. Lub ze zlekceważeniem powszechnie przyjętej zasady. Chcecie wiedzieć, jakiego wstydlivego czynu się dopuściłem? Powiem wam. Popełniałem go bardzo często. W liceum grałem w szkolnej drużynie futbolowej i trener powierzył mi pewne szczególne i tajne zadanie — miałem jak najczęściej walić i kopać naszych przeciwników po obandażowanych ranach, których się nabawili podczas rozgrywek. Rany się otwierały. Nasi rywale tracili skuteczność. Często wygrywaliśmy. Byłem na tyle sprytny, że mnie nie nakryto. I wstydziłem się tego.

W Kaabie zapadła cisza zupełnie nowego rodzaju. Robin spuścił wzrok. Cała uwaga skupiona była na nim. Czuł, że zyskał w oczach dr Kirstena.

— A teraz wszyscy po kolei, szybko — rzucił Sinclair spoza okularów. — Czego najbardziej się boicie?

Odpowiedzi posypały się niczym seria z karabinu maszynowego, niekiedy tylko na chwilę przerywana sekundą wahania.

— Szczurów.

- Biedy.
- Wody.
- Wysokości.
- Cierpienia. Choroby. Tortur.
- Boga.
- Złych ocen.
- Że nie powiedzie mi się w życiu.
- Śmierci.
- A ja raczej życia.
- Że nie awansuję w Klubie.
- Potępienia — rzekł Timmerlaine.

W pośpiechu Robin opuścił swoją kolejkę. Teraz pytanie do niego wróciło.

— Wszystkiego, co moi poprzednicy. To znaczy, udało mi się pokonać lęk wysokości poprzez ćwiczenie skoków ze spadochronem i nie bardzo wierzę w wieczne potępienie. Ale sądzę, że najbardziej boję się rozpaczy. Odkrycia, że świat nie jest taki, jakim go sobie wyobrażam, a raczej (plątał się nieco), że jest tylko taki, jakim go sobie wyobrażam.

Na koniec zaś dodał z wyrachowaną prostotą:

— To dlatego chciałem wstąpić do Klubu.

Wszystko to trwało cały dzień, z przerwą na obiad (kanapki) i kolację (też kanapki). Ci, którzy zamiast chleba jedli bagietki, mieli potem na nagich udach kłujące okruchy.

Pytania musiały zostać przygotowane przez kiepskich psychologów i poprawione przez doświadczonych członków Klubu, których cele różniły się z celami psychologów. Robin pomyślał, że w dawnej Europie kandydat na rycerza spędzał noc na samotnej modlitwie w kaplicy, szukając Boskiej inspiracji, i że ten rytuał był odwrotnością tego, co kazało znosić nowym członkom Klubu, którzy musieli odstaniać przed sobą najbardziej plugawe rzeczy, na jakie ich stać. Kto pozwolił Klubowi posuwać się aż tak daleko?

— My — pomyślał Robin — to my im na to pozwalamy.

Nie można powiedzieć, że nie czuł buntu. Wielokrotnie miał ochotę wstać od stołu i rzucić: „Dobra, mam dość. Ubieram się”. Jednak w głębi duszy nie chciał się ubrać. Te zapuszczone w jego świadomość i podświadomość reflektory raniły go i pieściły równocześnie. Poza tym czuł, że gdyby się wycofał, nigdy nie potrafiłby przedstawiać tej ucieczki jako zwycięstwa, choć może by nim była. Klub już stał się dla niego absolutem. Rozczarować Klub znaczyło zgrzeszyć wobec samego siebie. Kto nie wypełniał rozkazów Klubu, był go niegodny. Proste. Klub z definicji był wartością nadrzędną. A jeśli do tego dołożyć oczekiwane korzyści materialne... Nie mówiąc już o rozkoszy płynącej ze świadomości: „Jestem tu, gdzie tylu innych pragnęłoby być...”.

Pod koniec dnia (niebo nad kopułą przypominało czarną kartę z białymi wielokropkami gwiazd) dama o błękitnych włosach ogłosiła, że dotarli do przedostatniego punktu. „To dziecinna zabawa; chcemy, żebyście stąd wyszli w dobrym nastroju”. Jej szczęki ułożyły się w okrutny uśmiech. Inny przedstawiciel starszyny rzekł:

— Proszę, żeby każdy z was zastanowił się przez chwilę, który z posiadanych przez niego przedmiotów jest mu najdroższy.

Robin pomyślał, że z pewnością trzeba się będzie z tym przedmiotem rozstać — to musiała być cena za wstąpienie do Klubu. Uczciwie zastanowił się, co jest mu najdroższe. Sygnet z liceum w ogóle się nie liczył. Nie miał żadnych listów, żadnych miłosnych pamiątek. Mundur konfederacki przodka był cenny, ale Robin nie był fetyszystą i nie przywiązywał do niego aż takiej wagi. Ojciec dał mu niegdyś karabin i sztucer myśliwski, z których lubił strzelać, ale mógłby je bez żalu zastąpić innym karabinem i innym sztucerkom. Miał też pięknego Tissota, ale przecież to tylko zegarek. Miał też nóż Bowie, ale był to tylko nóż Bowie i Robin mógł sobie spokojnie kupić inny — to tylko kwestia pieniędzy. Lubiał niektóre ze swoich krawatów, ale przesadziłby mówiąc,

że mu na nich zależy. Cenił swoje rosyjskie książki, jednak wyłącznie ze względu na ich użyteczność. Dziadek nigdy mu nie dał niczego w prezencie. Kiedy więc przysłała jego kolej, powiedział:

— Obawiam się, że państwa rozczaruję. Chętnie oddałbym Klubowi rzecz, która jest mi droga, ale nie przywiązuję się do rzeczy. Na prawdę, dobrze się zastanowiłem i znajduję tylko jedną, która miała dla mnie jakieś znaczenie. To pluszowy miś, z którym spałem jako dziecko. Jeśli jeszcze istnieje, chętnie go poświęcę, ale obawiam się, że moi rodzice już dawno temu oddali go dzieciom Wuja Chestera. Ma ich około trzydziestki.

— Nie prosiliśmy pana o poświęcanie czegokolwiek — rzekł dr Kirsten. — Nie powinien pan snuć tak łatwych domysłów.

— No, dobrze — rzekł prowadzący obrady, przejmując inicjatywę — z przyjemnością ogłaszam, że od tej pory jesteście członkami Klubu trzynastego stopnia wtajemniczenia. Stopień ów został wam przyznany niejako z góry. Teraz pozostaje wam jeszcze dopełnić jednej formalności. W tym celu spotkacie się z waszymi ojcami chrzestnymi, którzy towarzyszyli wam dziś rano. Potem będziecie mogli wrócić do domu.

Robin powlókł się do boksu i ponownie znalazł się sam na sam z Sinclairem, który patrzył na niego z powątpiewaniem zza prostokątnych okularów.

— Robinie, na pewno zrozumiał pan, że Klub chce, aby jego członkowie byli z nim jak najmocniej związani. Dlatego na koniec chciałbym, żeby wskazał pan czyn zakazany prawem, który trudno byłoby panu popełnić, a który mimo wszystko popełniłby pan, żeby przypieczętować wstąpienie do Klubu, ale tak, by ofiara czynu w niczym się nie zorientowała.

Robin był wyczerpany.

— O czym pan mówi? Gwałt na małym chłopcu? Zamordowanie prezydenta USA?

— Och, to nie musi być nic aż tak dramatycznego. Proszę wysilić wyobraźnię. Mógłby pan, na przykład, świadomie zrobić jakąś krzywdę osobie, którą pan kocha. Sama krzywda nie ma znaczenia, liczy się pańskie zaangażowanie względem Klubu.

— Chcecie mieć na mnie haka? I szantażować, jeśli byłbym nieposłuszny?

— Niezupełnie, Robinie, choć przyznaję, że niekiedy to również może mieć pewne znaczenie. Ale tak naprawdę, to pragniemy czegoś głębszego. Byłoby to coś, co w innych organizacjach przyjmuje formę przysięgi. Coś, co pana zwiąże.

— To śmieszne. Mogę na przykład zdradzić moją dziewczynę, ale to nie jest niezgodne z prawem. Chodzi o osobę, którą kocham? Taką osobą jest mój dziadek. Mógłbym mu ukraść fajkę lub podstawić nogę na schodach, ale on zorientowałby się, że zrobiłem to dla Klubu i nie miałby pretensji. Doprawdy, Sinclair, stawia mnie pan w trudnej sytuacji.

Robin miał już nerwy w strzępach. Z trudem nad sobą panował.

— Jeśli chce pan, żebym utopił ukochanego pointera moich rodziców, uprzedzam, że odpowiedź brzmi: nie.

Koniec końców Robin zaproponował, że podczas najbliższych wakacji gwizdnie ojcu książeczkę czekową i wypisze fałszywy czek na wskazany cel. Tak, będzie go to sporo kosztowało — to przecież kradzież, fałszerstwo, słowem: rzecz bardzo nieelegancka. Nie, ojciec się nie zorientuje, bo nigdy nie wie, ile ma na koncie. Ostatecznie, na beneficjenta wybrano pewne stowarzyszenie ochrony zwierząt, ponieważ była to jedyna organizacja charytatywna, na rzecz której Robert C. Chastow II kiedykolwiek wpłacił jakąś sumę.

5

Dorośle życie Robina zostało podzielone na trzy nierówne okresy.

W pierwszym z nich skończył wyższe studia, uzupełniając je podczas wakacji stażami rekomendowanymi przez dr Kirstena. Robin pracował więc jako dziennikarz-stażysta w telewizji, sanitariusz w misji metodystycznej w Afryce oraz policyjny aspirant w Nowym Jorku (uległ wtedy fantazji i zakupił sobie mahoniową pałkę).

W tym okresie napisał pracę magisterską z literatury rosyjskiej i spotkał Konstancję. Miała wszystko — urodę, koligacje rodzinne, majątek i wykształcenie w Agnes Scott College. Ale to nie te cechy i nie przyjemność odbicia jej kumplowi Davidowi McInowi skłoniły Robina do rzucenia się w wir matrymonialnej przygody. W narzeczonej najbardziej podobało mu się to, że we wszystko wierzy (można by to nazwać rodzajem naiwności), podczas gdy on nie wierzył już w nic (można by to nazwać rodzajem cynizmu). Opowiadał jej niestworzone historie, które ona przyjmowała bez zastrzeżeń. Najsmutniejszym dniem jej życia był ten, gdy się dowiedziała, że Święty Mikołaj nie istnieje. Ale kiedy Robin zrobił jej kawał, układając na trawniku zdechłego grzechotnika, a ona uwierzyła, że to żywy wąż, to jednak zachowała się bardzo dzielnie. Choć pochodziła z rodziny prezbiteriańskiej, z entuzjazmem wstąpiła do Kościoła episkopalnego, który wyznawał większą liczbę sakramentów. Biblia i flaga były dla niej święte i gdyby był taki

zwyczaj, to by je całowała. Dla Robina było to niezwykle odświeżające doświadczenie. Nie mówił jej o Klubie, bo taka instytucja wzbudziłaby w niej instynktowne przerażenie.

W międzyczasie Robin wstąpił do CIA i w ten oto sposób zaczął się drugi okres jego dorosłego życia.

Nigdy się nie dowiedział, czy Klub maczał palce w tym, że CIA zwróciła się do niego z propozycją pracy. Tak czy owak, zgodnie z sugestią dr Kirstena, ofertę przyjął. Przy jego doskonałej znajomości rosyjskiego i świetnych ocenach, był ideałem podporucznika rezerwy. Bez problemów przeszedł test na wykrywaczu kłamstw (jego życie było przecież zupełnie przejrzyste, a przynależność do Klubu nie była tajemnicą) i szybko awansował.

Najbardziej niebezpieczna była jego pierwsza misja. Po pobycie w Instytucie Puszkina w Moskwie, gdzie szlifował współczesny język rosyjski — nieco inny niż ten, którego uczyła go jego petersburska nauczycielka, pamiętająca czasy *ancien regime'u* — w 1989 roku, w imieniu amerykańskich służb specjalnych, nawiązał kontakt z syberyjskimi górnikami, którzy, strajk za strajkiem, w końcu obalili władzę Gorbaczowa.

Był w Nowosybirsku, gdy dowiedział się, że Dziadek umiera.

Spodziewał się tego kataklizmu od chwili, gdy dotarło do niego, że starzy ludzie zawsze w końcu umierają. Jako dziecko, budził się, myśląc: „Żeby tylko Dziadek był jeszcze żywy w swoim pokoju!”. I natychmiast sam sobie odpowiadał: „Nie, nie, w jego rodzinie żyje się do dziewięćdziesiątki, a on ma tylko... Zaraz, policzmy.... Ma dopiero osiemdziesiąt jeden lat. A może żyć dłużej od innych. Może nawet dożyje setki. Albo więcej. To się zdarza. Ja mam teraz dziesięć lat. Będę miał dwadzieścia, trzydzieści.... może nawet umrę przed nim. Nie, tego by nie chciał. W każdym razie, będę kimś innym, to już nie będę ja i to już nie będzie on, umrze zupełnie kto inny...”.

Nie poprosił CIA o urlop ani o zgodę, nie poprosił o nic. Wskoczył w pierwszy samolot, łamiąc regulaminy, pod którymi się podpisał w dwóch

jednobrzmiących egzemplarzach. Nic już się nie liczyło. Nie wiedział, czy bardziej zależy mu na tym, żeby zobaczyć Dziadka żywego, pomóc mu umrzeć i go pożegnać, czy też być przy nim, gdy będą go składali do ziemi w drewnianej skrzyni. Po prostu, w tej chwili nie było na świecie niczego ważniejszego od tego wezwania.

W Georgii śnieg pada niezwykle rzadko, ale tego dnia wydarzyło się coś znacznie gorszego — *ice storm* — burza lodowa, która sprawiła, że wszystkie drzewa, każdy konar, każda najcieńsza gałązka, wszystkie krzewy, ciernie, chwasty, całe *kudzu* pokryły się lodem, a pejzaż, obficie oświetlany słońcem, zmienił się w jedną wielką feerię tęcz. Chodziło się po tęczach, potykało o nie, czując, jak trzaskają pod stopami.

Podróż trwała tak długo, że kiedy Robin dotarł na miejsce, Dziadek już nie żył i był gotowy na pogrzeb (wprawdzie kremacja była bardziej w modzie, ale trzeba było jakoś wypełnić puste miejsca w rodzinnym grobowcu w Savannah). Został zabalsamowany, umalowany, jego wąsy potraktowano bielą, a usta czerwienią, niewidoczną zresztą, bo na wieki zamkniętą w kolejnych trumnach z ołowiu, stali i drogiego drewna. Przygotowanie ciała do pochówku Robert C. Chastow II powierzył jednemu ze swych młodych przyjaciół, byłemu Wietnamczykowi, specjalście od polowania na kaczki i cieszącemu się doskonałą reputacją grabarzowi, którego specjalnie w tym celu ściągnął z Milledgeville.

Georgia postanowiła oddać wszelkie honory czcigodnemu Robertowi C. Chastowowi I, potomkowi oficera Wojny Secesyjnej, właścicielowi Chastow Plantation, założycielowi Chastow Insurance Company, wielkiemu podróżnikowi podejrzewanemu o sprzyjanie komunistycznej Rosji, na którego trawnikach w latach sześćdziesiątych Ku-Klux-Klan palił krzyże z powodu jego sympatii dla Czarnych, i który, gdy równość rasowa zatryumfowała, niemal poszczuł psami bojowników przybyłych, żeby mu wyrazić swoją wdzięczność.

Odprawiona została msza — pastor słauił zalety, których Dziadek nie miał, przemilczając te, które miał. Potem nie rozmawiano juź o zmarłym, nie popłynęła ani jedna łza — wszyscy umieli się zachować jak należy. Po południu w Chastow Plantation odbyło się wielkie przyjęcie. Honory domu pełniła pani Chastow, wspomagana przez Konstancję. Robin II przekazał Robinowi III brązową, zapieczętowaną kopertę z jego nazwiskiem.

— To dla ciebie. Twój dziadek uważał, że nie umiem czytać. Zresztą, aż tak bardzo się nie mylił... Poza tym jutro zaczyna się sezon na dzikie indyki i muszę wstać bardzo wcześnie.

Konstancja nie widziała męża od miesiący i chętnie spędziłaby z nim godzinę lub dwie, chociażby siedząc przed kominkiem w salonie, w którym Chester rozpałił ogień z prawdziwego drewna, nie używając gazu... Chester, chyba jako jedyny, bez skrępowania opłakiwał śmierć „Pułkownika”, a łzy rysowały ślimacze esy-floresy na jego czarnych policzkach. Jednak Robin potrząsnął głową przecząco.

— Muszę teraz być sam.

Zamknął się w pokoju, ostrożnie rozciął kopertę i zaczął czytać tekst napisany na maszynie z granatową taśmą, z interlinią na półtora wersu i mnóstwem literówek.

LIST OD DZIADKA

Robinie, chciałbym, żebyś pilnował swego głupiego ojca, gdy przyjdzie moment sprzedaży moich koni. On kompletnie się na tym nie zna, to dyletant. Wprawdzie Ty także nie jesteś specjalistą, ale masz dość oleju w głowie, by pojąć, że ogier czystej krwi, który prawie wygrał derby w Kentucky, to nie to samo co koń Appaloosa, z kikutem zamiast ogona. Chcę, żeby moje konie były szczęśliwe, gdy mnie zabraknie, dlatego trzeba je drogo sprzedać. Przypominam, że to Ty jesteś dzieckiem, więc możesz wszystko nadzorować.

Teraz, gdy muszę odejść, dostrzegam, jak bardzo kochałem te moje konie.

Jest wiele powodów, żeby kochać konie. Są piękne, ładnie pachną, zmieniają człowieka w centaury i są (niezależnie od tego, co na ten temat myślał Andre Breton, który właściwość tę przypisywał kobietom) najkrótszą drogą mężczyzny ku naturze. Dają nam określone miejsce w społeczeństwie, dużo kosztują, ale przynoszą też wielkie zyski, ich udomowienie zmieniło nie tylko historię wojen, ale i transportu. Poza tym, niektóre z nich są po prostu bardzo serdeczne i nie znam większej rozkoszy niż ta, którą się odczuwa, łamiąc marchewkę między zębami konia i podając mu obie połówki do schrupania.

Trzeba jednak przyznać, że konie winne są wielu nieszczęściom cywilizowanych społeczeństw. Attyla to koń, Dżingis-chan to koń, Pizarro to koń, a co najgorsze, kawaleria to też koń. Podział ludzi na kawalerię i piechurów i fakt, że ci drudzy są zawsze w jakimś stopniu niewolnikami tych pierwszych, wyrządził ludzkości trudną do oszacowania krzywdę i patrząc z tego punktu widzenia, trzeba przyznać, że model T Henry'ego Forda był czynnikiem równie wyzwalającym jak Wielka Karta Angoli, Prawa Człowieka Żabojadów, nasza Deklaracja Niepodległości, ścieżka Ludwika XVI i tryumf bolszewików w Rosji.

Wiesz, jak bardzo lubiłem dosiadać konia — ze względu na jego szybkość, ryzyko, poczucie łączności ze zwierzęciem, ale człowiek na koniu zawsze wydawał mi się czymś zgubnym, nie tylko dla jeźdźcy, który uważa się za kogoś lepszego od wierzchowca i od piechura, ale i dla piechura, który — niestety! — nazbyt często okazuje uniżenie i szacunek dla jeźdźcy. Bitwa pod Azincourt, w której angielscy piechurzy, mający za jedyną broń wielkie łuki, zatryumfowali nad francuską jazdą, uzbrojoną w lance i puklerze, to jedna z najbardziej satysfakcjonujących kart historii i odczuwam wiele sympatii dla halabardników, którzy zrzucali jeźdźców z ich wierzchowców, żeby zatopić im sztylet w szyi.

Gdybyż tylko zło zasiane przez jeźdźców ograniczało się do tego, które sami uczynili! Ale nie! Do tego wszystkiego dołożyło się jeszcze fatalne działanie ich legendy — Mark Twain nie mylił się, twierdząc, że prawdziwym winowajcą wojny Północy z Południem był Walter Scott, ponieważ swoimi powieściami wpoił naszym rodzinom idee rycerskie, z których drogi Cervantes już trzy wieki wcześniej kpił sobie w najlepsze. Całe szczęście, że w tej wojnie to my zostaliśmy pobici, a postępową i uprzemysłowioną Północ odniosła zwycięstwo. Pamiętaj, Robinie

— zawsze i wszędzie twoja walka ma być walką przeciwko człowiekowi na koniu, tym bardziej, że z urodzenia przynależysz do tej właśnie rasy.

Nasz Klub wypowiedział wojnę człowiekowi na koniu już dawno temu. Zawsze byliśmy po stronie słabszych (a w każdym razie mniej silnych), biednych (a w każdym razie mniej bogatych) i to nie z powodu chrześcijańskiego lub wrodzonego współczucia, ale z powodu głębokiego przekonania, że ludzie powinni być równi. I nie chodzi wcale o to, że rodzą się równi — każdy głupi widzi, że wcale tak nie jest, i że równymi trzeba ich dopiero uczynić. Oczywiście, byłoby idealnie, gdyby wszyscy ludzie mogli być bogaci, ale skoro to niemożliwe, to lepszym światem jest taki, w którym wszyscy są biedni, niż taki jak nasz, w którym istnieją i biedni, i bogaci. Tak, równość nie jest naturalna, jest nawet absolutnie sprzeczna z naturą i właśnie dlatego narzucenie jej kosztuje tak drogo (licząc w pieniądzach i w ludzkim życiu), ale tym, co odróżnia człowieka od zwierzęcia, jest właśnie fakt, iż nie jest on ograniczony przez własną naturę. No, bo powiedz: czy jest naturalne skakanie ze spadochronem lub spacerowanie po księżycu jak Neil Armstrong?

Celem naszego Klubu (przynajmniej moim zdaniem) jest stworzenie ludzkości wolnej od konfliktów. Jest tylko jeden sposób, żeby osiągnąć ten cel: globalny rząd. A nie będzie globalnego rządu, dopóki będą istnieli ludzie na koniach, zazdrośni o swoje przywileje. Żeby stworzyć globalny rząd, trzeba możliwie osłabić wszystkie dotychczasowe rządy, poza jednym (tak się składa, że chodzi o nasz), który musimy infiltrować (nie będzie to trudne). Od początku swego istnienia Klub wysadził już z siodła wielu kawalerzystów, w tym, na początku wieku — bagatela! — trzech europejskich cesarzy (gdy dojdę do końca tych wyznań, zobaczysz, że Twój stary Dziadek odegrał w tej operacji pewną rolę). Następne pokolenie nie spoczęło na laurach i pewnego dnia dowiesz się, jak w latach trzydziestych finansowaliśmy jednocześnie Hitlera i Stalina, czego skutki są ci znane — klęska Niemiec i zachwianie posadami ZSRR; do obydwu wyciągnęliśmy potem pomocną dłoń — program „Lendlease” dla jednych i plan Marshalla dla drugich. Jak wiesz, tę samą metodę zastosowaliśmy w przypadku Japonii: jedną ręką wpakowaliśmy im do gardła bombę atomową, drugą zaś podaliśmy róg

obfitości, żeby zrównoważyć światową gospodarkę. Tylko bojaźliwość Trumana utrzymała na koniu ten chodzący anachronizm w postaci japońskiego cesarza; gdyby posłuchano rad naszego Klubu, wszyscy moglibyśmy zejść znacznie dalej, ale niestety, nie jesteśmy wszechmocni, niezależnie od tego, co myślą niektórzy naiwni zwolennicy teorii spisku. W międzyczasie narodziła się ONZ. Po poronionym tworze, jakim była Liga Narodów, był to bardzo poważny krok w stronę globalizacji.

Zawsze wbijałem Ci do głowy: my (o, nie, nie chodzi o Stany Zjednoczone, mam w nosie Stany Zjednoczone, zwłaszcza że są takie mięciutkie i przytulne, ha, ha!), my mamy tylko jednego poważnego wroga, który jeszcze trzyma się „na koniu”. To Rosja. Dlaczego? Po pierwsze, z powodu swych naturalnych bogactw, które są naprawdę fantastyczne i które kiedyś moglibyśmy wykorzystać dla naszego dobra. Po drugie, z powodu prawosławia. Prawosławie, zapewniam Cię, to nie tylko człowiek na koniu, ale człowiek na osiołku, co jest jeszcze bardziej niebezpieczne — *vide* wjazd do Jerozolimy. Jak się okazuje, faryzeusze mieli rację, że podnieśli krzyk. Wyobraź sobie potomka króla jadącego na grzbiecie osła, któremu naród wybrany rzuca pod kopyta tuniki! To nie jest coś, co chcielibyśmy widzieć u nas.

Wracam do Rosji. Przypomnij sobie słowa, które Turgieniew włożył w usta Putuginowi w *Dymie*: „Gdyby nagle jakiś naród miał zniknąć z powierzchni ziemi wraz z wszystkim, co kiedykolwiek wynalazł, nasza prawosławna mateczka-Rosja mogłaby spokojnie spaść w otchłań, nie poruszwszy ani jednego gwoździka, ani jednej szpileczki; wszystko zostałoby na swoim miejscu, bo nawet samowar, łapcie, duga [Duga (duha) — drewniany kabłak służący w zaprzęgu jednokonnym do przymocowania chomąta do dyszli] czy knut — te słynne rosyjskie produkty, nie przez nas zostały wynalezione”. To nieprawda. Nie tylko dlatego, że w ten sposób świat stałby się uboższy, pozbawiony ikon, muzyki klasztornej i całego dziewiętnastowiecznego malarstwa, literatury i muzyki rosyjskiej, ale przede wszystkim dlatego, że Rosja to INNY WARIANT HISTORII LUDZKOŚCI, co paradoksalnie sprawia, że z punktu widzenia Klubu

byłoby dobrze, gdyby zniknęła. Fakt, że Rosja jest jedynym poważnym rywalem gospodarczym dla Stanów Zjednoczonych, ma znaczenie drugorzędne. To, że Klub postanowi infiltrować właśnie Stany Zjednoczone, nie było wcale takie oczywiste. Gdyby to Rosja była infiltrowalna, może właśnie nią zdecydowalibyśmy się zdalnie sterować, ale ona ma w sobie (poza prawosławiem) coś — coś nierozszczepialnego, jakiś składnik, którego nie można zmiażdżyć, skłonność do przesady, niezdolność do podążania pospolitą drogą, tendencję do rzucania wszystkiego na jedną szalę. Wszystko to sprawia, że Rosja nie jest terenem sprzyjającym dla naszych przedsięwzięć.

Ale dość tego filozofowania. Wszystko to wiesz równie dobrze, jak ja i o ile wiem, nieraz już tego dowiodłeś. Ja jednak nie mogę się oprzeć starczej próżności i pragnę Ci opowiedzieć o dwóch przypadkach, w których Twój Dziadek z powodzeniem przestawił panią Historię na właściwe tory. W obu tych przypadkach chodziło o bardzo znamiennych ludzi. Jednego z nich wsadziłem na rumaka, drugiego zaś wysadziłem z siodła.

Pierwszym z nich, tym bardziej znanym, był Trocki. Historia, której zapis zawsze bardzo starannie kontrolowaliśmy („Kto panuje nad przeszłością, panuje nad przyszłością, a kto panuje nad teraźniejszością, panuje nad przeszłością” — pisał genialny Orwell), nie odnotowała zbyt szczegółowo pobytu Trockiego w Stanach Zjednoczonych, ale teraz, sześćdziesiąt lat później, mogę wyjawić mojemu wnukowi, że byłem czymś w rodzaju jego oficera prowadzącego, no, może nie w pełnym znaczeniu tego słowa, ale w każdym razie byłem odpowiedzialny za jego kondycję i skuteczność. Prezydent Wilson zezwolił, żeby Lejba Bronstein, alias Leon Trocki, otrzymał nie tylko dziesięć tysięcy dolarów (w tamtych czasach była to całkiem apetyczna sumka), ale także paszport, dzięki któremu mógł w 1917 roku wrócić do Rosji z żoną, dwoma synkami i pięcioma innymi rosyjskimi „socjalistami”. Co prawda, Kanadyjczycy omal wszystkiego nie popsuli 13 kwietnia w Halifaksie, każąc wysiąść pasażerom statku Christianniafjord i internując w Amherst wielkiego człowieka i jego rodzinę pod pretekstem, że jest obywatelem Niemiec. Wsiadłem tam razem z nimi. Narobiłem straszliwego rabanu. Wywarliśmy presję na Departamencie Stanu, który z kolei wywarł presję na Kanadę. Dyrektor placówki, R.M. Coulter z Ottawy, dał się przekonać przy pomocy londyńskiej admiralicji, w której

mieliśmy pewne wpływy; koniec końców, wygłosiwszy przemowę o wolności, ustąpił. Tak więc, krótko mówiąc, dzięki mojej pomocy Trocki wetknięty został w tyłek Rosji niczym czopek, a 28 listopada 1917 roku nasz drogi prezydent Wilson wydał polecenie, żeby rewolucja bolszewicka nie napotykała z naszej strony na żadne przeszkody. Ambasador Francis, który się temu sprzeciwiał, otrzymał formalne instrukcje, zgodnie z którymi miał jej w żaden sposób nie przeciwdziałać.

Musisz wiedzieć, że Lejba Bronstein, alias Trocki, był zawodowcem. Nie bez kozery nosił bródkę iluzjonisty — był prawdziwym prestidigitatorem, który potrafił oszukać nawet samego siebie, na przykład wmawiając sobie, że ma zadatki na wielkiego wodza; potrafił to wmówić swoim ludziom, a to wystarczy, żeby odnosić wielkie zwycięstwa. Ty, który znasz dobrze literaturę rosyjską, zrozumiesz, jeśli powiem, że był on kimś w rodzaju Chlestakowa z *Rewizora* Gogola. Spędziłem z nim wiele długich godzin na mostku i często przyłapywałem go na kłamstwie i to tak bezwstydnym, że niekiedy delikatnie je demaskowałem, na co on, zamiast się zaczerwienić, tym bardziej puszył się ze swego zuchwalstwa.

„A! Zauważył pan! — wykrzykiwał. — Faktycznie, lubię czasem skłamać, ale muszę przyznać, że jestem w tym mistrzem”.

Nie chciał przez to powiedzieć, że zawsze mu wierzono, ale że kłamstwa, które produkowała jego wyobraźnia, były najwyższej próby. Wiesz, że w języku rosyjskim czasownik *wrať* (kłamać) i rzeczownik *wrať* (błagier) często są wymawiane z podziwem: „Ach, jak on potrafi pięknie łgać!”. Trocki potrafił dać upust wyobraźni. To on, wiele lat później, w 1935 roku, miał czelność powiedzieć — równie zuchwale, co bezkarnie — że demokracja parlamentarna jest tak samo skazana na zagładę jak gospodarka rynkowa (możesz w to uwierzyć?) i że w systemie komunistycznym człowiek stanie się silniejszy, mądrzejszy, subtelniejszy, jego ciało będzie bardziej harmonijne, ruchy bardziej wdzięczne, głos bardziej melodyjny... Rodzaj ludzki, jak twierdził, wzniesie się na poziom Arystotelesa, Goethego lub Marksa (cytuję z pamięci)! A przy tym wszystkim, gdy tak staliśmy na mostku, a morska piana ochlapwała nam twarze i pokrywała mgiełką jego binokle, wyznawał mi, że zawsze wolał książki i idee od przyrody i ludzi, że żył pośród lasów i rzek,

nigdy ich nie dostrzegając, a ludzie byli jedynie ulotnymi cieniami w jego umyśle. Ulotnymi cieniami, Robinie, czyż to nie piękne? Oto człowiek z upodobaniem uprawiający rewolucyjny onanizm, człowiek, który z naszą pomocą zatryumfował nad tym drugim, o którym opowie Ci nieco obszerniej.

Nie potrafię Ci opisać Aleksandra Kołczaka, nie wspominając najpierw o tym, że zdarzyło mi się polować z psami nie tylko w Wirginii, ale też w Anglii i nigdy nie widziałem myśliwego mającego na koncie siedmioletniego kozła, którego ta zdobycz napełniałaby większą dumą, niż mnie dziś jeszcze napełnia kłęska Kołczaka, będąca — wierz mi, że ważę słowa — kamieniem milowym w naszej sprawie. Przypomnij sobie słowa, które Lenin wypowiedział w samym środku wojny domowej: „Jeśli sprawy potoczą się tym torem jeszcze ze dwa tygodnie, reżim bolszewicki jest skończony”. Była to aluzja do zwycięstw Kołczaka na Syberii. A niezależnie od wad monarchistów, republikanów i socjalistów rosyjskich tamtych czasów, żadna z tych partii nie byłaby w stanie tak doszczętnie i skutecznie zniszczyć Rosji, jak mogli to zrobić bolszewicy. Zatem to oni musieli zwyciężyć. Za wszelką cenę. Mieliśmy tego świadomość. Zostałem więc wysłany do Kołczaka, żeby tego dopilnować. Chcesz wiedzieć, pod jaką przykrywką? Były to czasy, gdy często posługiwaliśmy się Czerwonym Krzyżem. Nie byłem w tym względzie jedyny. Stany Zjednoczone, będące wówczas ofiarą demokratycznego i rycerskiego idealizmu, nie posiadały jeszcze prawdziwych służb wywiadowczych, ale możesz być pewny, że umieliśmy tę lukę wypełnić.

Dotarłem więc do Kołczaka i muszę Ci powiedzieć, że nigdy żadna istota ludzka nie wydała mi się równie antypatyczna, a może raczej „antypodyczna” (od słowa „antypody”). O, obaj byliśmy dżentelmenami, obaj nie znaleźmy strachu, ale służyliśmy przeciwnym sobie sprawom z temperamentem tak różnym, jak to tylko było możliwe.

Choć Kołczak był niezrównanym marynarzem i odkrywcą Arktyki (jego imieniem nazwano jedną z wysp, a jego samego nazywano Kołczakiem Polarnym — na wzór Scypiona Afrykańskiego), był on także „człowiekiem na koniu” w najbardziej straszliwym sensie tego słowa. Nie sądzę jednak, że był jakimś barbarzyńcą — czytał Schillera, Szekspira, Orygenesę, Tertuliana, świętego Augustyna, uczył się chińskiego,

nigdy nie udało nam się w nim wyczuć choćby śladu antysemityzmu (przeciwnie, Żydzi go wspierali), a będąc gorliwym synem prawosławia, interesował się buddyzmem, z którego zapożyczył swoją tak obcą Zachodowi koncepcję bytu: byt, niebyt, nie-niebyt — cokolwiek by to znaczyło. Musiały go także uwieść wojenne aspekty filozofii zen i pewnie jako pierwszy na Zachodzie odkrył myśl generała Suncy, który pięć wieków przed naszą erą wymyślił nowoczesne techniki manipulowania opinią publiczną — to, co dziś nazywa się „dezinformacją”, a co pozwala zwyciężać bez walki. Nawiasem mówiąc, Kołczak był najwyraźniej kiepskim uczniem Suncy, bo nigdy tej sztuki nawet nie wypróbował. Tak czy owak, był to umysł otwarty i eklektyczny. I to nie on budził moją odrazę, ale wyznawana przez Kołczaka etyka, jego obraz samego siebie oraz to, jak pojmował człowieka doskonałego — krótko mówiąc, ten kult jeźdźca-herosa.

Prawdopodobnie nie wiesz zbyt wiele o życiorysie tego człowieka — jednego z najdziwniejszych ludzi naszych czasów. Pozwól mi więc tylko wspomnieć, że ten sławny admirał i zatroskany o postęp naukowiec walczył z Japończykami podczas pierwszej wojny światowej przetrzepał nieco skórę Hunom nad Bałtykiem i nad Morzem Czarnym, inteligentnie poradził sobie z rewolucją lutową, błyskawicznie obnażył absolutną nicość prezydenta Aleksandra Kiereńskiego, po rewolucji poprosił o zaszczyt służenia aliantom w skromnym stopniu wojskowym, na przykład w Mezopotamii (!), byle tylko walczyć przeciwko Niemcom, po czym niespodziewanie ogłosił się naczelnikiem państwa rosyjskiego, w ten sposób stając do walki z bolszewikami. Och, wiem, że byli tacy ludzie jak Kornilow, Judenicz, Denikin, był też i Wrangel, ich odwaga nie podlega kwestii, ale Ty i ja nade wszystko cenimy skuteczność. A z tego punktu widzenia, tylko ten człowiek o twarzy wykutej z lodu był w stanie ze swojej kwatery w Omsku zalewać sadła za skórę bolszewikom.

A teraz wyobraź sobie Omsk w 1919 roku.

Główną ulicą jest tam bulwar o wdzięcznej nazwie „Liubow”, czyli Bulwar Miłości, bo tak właśnie miała na imię córka pewnego dziewiętnastowiecznego generała-gubernatora, która zmarła w kwiecie wieku, a zrozpaczony ojciec w ten sposób postanowił uczcić jej pamięć, nie czyniąc rozróżnienia między dręczącym go smutkiem a zarządzanym przez

siebie terytorium. Po obu stronach bulwaru znajdują się wspaniałe hotele — jedne klasycznie umiarkowane, inne pełne wiktoriańskich wy naturzeń, które nadają miastu wygląd stolicy. Stolicy kolonialnej? Niech będzie. Tyle że pochodząc z niemal tej samej epoki co Waszyngton, to zagubione w samym sercu Syberii miasto jest doskonale europejskie. Przeptywający przezeń Irtyśz jest niezwykle majestatyczny i zachęca do rejsów. Jest tam też stara katoga, w której odsłużył swoje Dostojewski i gdzie został uratowany od batów przez francuskiego dyrektora więzienia. Właśnie stąd Kołczak Polarny wygrażał siedzącemu w moskiewskim Kremlu Leninowi.

Sukces, klęska. Kołczak nie znał się na wojnie lądowej. Nie był też wystarczająco dobrym politykiem ani odpowiednio „gorącą głową”. Za to „gorącą głową” i niezłym politykiem był dowódca omskiego garnizonu, generał Władimir Aleksandrowicz Wołków, który dowiedziawszy się, że syberyjski Dyrektoriat zamierza aresztować monarchistycznych oficerów, w tym samego gubernatora, w nocy z 17 na 18 listopada wszystkich ich zapuszkował, przeprowadzając mały zamach stanu. Zauważ, że nie wykonano ani jednej egzekucji — Kołczak nigdy nie czynił użytku z władzy, którą posiadał. Był legalistą, który zamiast potraktować zdrajców i wichrzycieli bronią, przekazał ich mało skutecznemu cywilnemu wymiarowi sprawiedliwości. Z drugiej jednak strony, nie trzymał mocno w garści niektórych swoich generałów, którzy preferowali metody bardziej bezpośrednie. Ta niespójność mocno mu zaszkodziła. Krótko mówiąc, front się załamał. Czerwoni odzyskali teren, a Biali porzucili europejską część Rosji i Ural, cofając się w głąb Syberii.

Kiedy przybyłem na miejsce, od razu zdałem sobie sprawę ze słabego punktu Kołczaka. Był nim oddział czeski, utworzony z austrowęgierskich jeńców wojennych, wyzwolonych przez Rosjan, uzbrojonych przeciwko ich dawnym panom i marzących tylko o tym, żeby pokonać Austrię i przywrócić niepodległe Czechy. W tym celu gotowi byli zaryzykować przejście przez linię Czerwonych i współpracować z Białymi. Wykorzystanie ich nie było samo w sobie złym pomysłem, ale należało im powierzać takie zadania, w których oni działaliby przeciwko Czerwonym, a Czerwoni przeciwko nim. Natomiast Kołczak postawił ich na straży tego gigantycznego, żelaznego węża, czyli Kolei Transsyberyjskiej (7371 kilometrów), będącej jedynym łącznikiem z jego zapleczem

— niekończącymi się syberyjskimi przestrzeniami, pełnymi ludzi i bogactw naturalnych, od których został odcięty, gdy Czesi zrozumieli, że bardziej im się opłaca negocjować z Czerwonymi, niż z nimi walczyć.

Wyobraź sobie te śnieżne równiny (12765000 wiorst kwadratowych), przecięte żelazną serpentyną i pamiętaj, że gdy mówię o śniegu, to mam na myśli prawdziwy śnieg, a nie tych kilka nędznych płatków, które spadają raz na dziesięć lat na Atlantę. Mówię o śniegu i o ciszy, która rozpościera się nad niewyobrażalną przestrzenią. A do tego obrazu śnieżnobiałej ciszy dorzuć jeszcze niewyobrażalne ZIMNO. Gdy pociągi jadące trasą transsyberyjską zatrzymywały się, łatwo można było rozpoznać kuchnie i toalety — po szybko powstających pod okienkami cylindrach lodu, które trzeba było odrąbywać siekierą. A wszystkie działania wojenne coraz bardziej skupiały się wokół tej linii kolejowej. I to był początek końca Kołczaka. Ale trzeba było jeszcze dopilnować, żeby ów koniec nadszedł jak najszybciej i był definitywny. Kołczak opuścił Omsk 14 listopada 1919 roku i zafundował sobie siedmiodniową ucieczkę trasą *railway*.

My, cudzoziemcy, stanowiliśmy tam grupę dosyć liczną, a nasze cele nie zawsze były do końca jasne. Większość wspierała by Kołczaka do końca, gdyby zwyciężył, ale skoro tylko stało się jasne, że przegrywa, szybko go opuścili. Poza sześćdziesięcioma tysiącami Czechów generała Syrowego, który otwarcie nienawidził Kołczaka, byli tam też Japończycy, Łotysze, Polacy, Rumuni, Serbowie, Francuzi z generałem Janinem, który nosił dystynkcje wszystkich krajów świata i z czeskiego Szóstego Pułku Artylerii zrobił gwardię pretoriańską, Anglicy z pułkownikiem Knoksem, pięknym jak Apollo, o ile Apollo nosił wąsy i studiował w Sandhurst, a także Amerykanie, wśród których był ambasador Morris, członek Izby Reprezentantów Harris, generał Grave, pułkownik Morrow oraz Robert C. Chastow z Czerwonego Krzyża.

Tylko ja jeden wiedziałem dokładnie, jakie jest moje zadanie, a polegało ono nie tylko na dopilnowaniu, żeby Kołczaka dopadli Czerwoni, ale także, żeby skarb cesarstwa, który Kołczak przejął w Kazaniu (650 miliardów rubli w złocie), a którego nie chciał powierzyć sojusznikom, ostatecznie dostał się w łapy bolszewików, co dzięki mnie stało się faktem.

Wydarzenia tamtych dni same w sobie nie są interesujące. W miesiąc po opuszczeniu zajętego przez czerwonych Omska, Kołczak, podróżujący siedmioma pociągami (wśród nich znajduje się pociąg ze skarbem), dociera do ostatniej stacji swojej podróży (możesz to potraktować metaforycznie) — do Niżnieudinska. Czesi, którzy chcą jak najszybciej dotrzeć do Pacyfiku, w nadziei, że w ten sposób szybciej wrócą do siebie, zajmują pociągi Rosjan, wyrzucając chorych i rannych na tory. Kołczak rozkazuje zaminować tunele i mosty, żeby zablokować im przejazd. Jego rozkaz zostaje przejęty. Czesi, wciąż będący jego gwardią, choć już nie oddający mu honorów, są wściekli. Janin, dowódca sił sprzymierzonych, jest nieuchwytny, a sytuacja pogarsza się coraz bardziej. Japończycy wciąż są gotowi wspierać Kołczaka. Janin, pod wpływem środków odurzających, które podsunąłem mu razem z moralnym wsparciem, skutecznie ich do tego zniechęca. Zagraniczni komisarze niepokoją się losem Kołczaka; Janin, posłuszny moim sugestiom, nie zamierza go bronić. W Irkucku przejmują władzę rosyjscy socjaliści. Centrum miasta bronione jest jeszcze przez wiernych Kołczakowi kozaków. „Jeśli zaatakujecie rewolucjonistów — poleca im (za moją namową) przekazać Janin — potraktuję to jako akt wrogości i podejmę odpowiednie działania”. Kołczakowi, który pragnie się z nim spotkać twarzą w twarz, Janin oświadcza za pośrednictwem osób trzecich, że po tej straszliwej klęsce byłoby to dla niego zbyt bolesne. Rządowi francuskiemu, który chce się dowiedzieć, jaka jest sytuacja admirała, Janin odpowiada, że nie wiadomo, gdzie ten się znajduje, a ratowanie jego życia wydaje się nad wyraz skomplikowane. Pod osłoną nocy Czesi wycofują się, pozbawiając Kołczaka ochrony. O świcie w ich miejsce pojawiają się czerwonogwardziści. Dnia 14 stycznia 1920 roku o 18.00 Kołczak zostaje na rozkaz Janina wydany w ich ręce. Dnia 15 stycznia o 21.55 zostaje przewieziony do Irkucka. Dnia 7 lutego zostaje rozstrzelany na brzegu Angary. W lodzie wykuto przerębę, do którego wrzucono ciało naczelnika państwa rosyjskiego.

Wróć jednak do samej postaci, która interesuje mnie bardziej od jej smutnego końca, w którym — jak sobie pochlebiam — miałem swój skromny udział, zwłaszcza dzięki zręcznej manipulacji tym cwaniakiem Janinem. Mówiłem już, że Kołczak był mi wstrętny i cieszę się, że

mogłem się przyczynić do jego zguby, ale tak naprawdę nie powiedziałem, dlaczego.

Miał przenikliwe spojrzenie, coś niepokojącego we władczym wykroju ust, głos męski i potężny, ruchy energiczne. Umiał cieszyć się życiem, choć zapewne umiejętność ta była już niniejsza w czasie, gdy go poznałem, niż wtedy, gdy znajdował się u szczytu sławy i niewinności. Wciąż jednak coś mu z tego zostało. Jego marynarze mawiali o nim z aprobatą: „Surowy jest ten nasz admirał. My nie mamy co narzekać, ale oficerowie — ci to dopiero mają za swoje!...”. Miał przy tym poczucie humoru, zachwycał się białymi nocami Petersburga, kochał kwiaty — zwłaszcza nasze magnolie i kamelie. Sądzę, że w głębi duszy był marzycielem, dzieckiem, które zostało zepsute przez życie. Pod koniec nie chciał już słuchać złych wieści, co u człowieka dźwigającego na swych barkach wielką odpowiedzialność, zawsze jest zapowiedzią katastrofy. Uważam, że mimo licznych talentów, był zbyt wrażliwy, żeby zajmować stanowisko, na którym trzeba mieć cechy półboga, jak Napoleon Bonaparte, być jednym z tych pozbawionych skrupułów herosów, u których próżno szukać przesądów i ideałów, kimś, przed kim wszyscy ustępują, a on sam jest gotowy na wszystko.

Dziś wiadomo, że zginął jak chrześcijanin, co także nie jest dobrym znakiem u prawdziwie wielkiego męża. Dobrze wiedział, co go czeka, skłaniał głowę przed nieuniknionym, modlił się, wybaczał, całował dłonie tej, którą kochał. Czy tak postępuje bohater? Ale podobało mi się to, że wolał wrzucić swoją ofiarowaną mu przez cara szablę do Morza Czarnego niż pozwolić, żeby dostała się w łapy buntowników, a także to, jak tuż przed rozstrzelaniem ofiarował dowódcy oprawców swoją papierośnicę.

Jego *Weltanschauung* [*Weltanschauung* (niem.) — światopogląd] był do prawdy zdumiewający. Znamy go dość dobrze z jego korespondencji i zapisu przesłuchań, które zostały opublikowane. Ja jednak pamiętam też dobrze jego zwierzenia. „Liczy się nie to, co jest, ale to, co być musi. Winny jest ten, komu przydarza się nieszczęście, nawet jeśli z punktu widzenia prawa jest niewinny. Za wszystko trzeba zapłacić, nie wolno

odejść, nie zapłaciwszy. Jeśli się człowiek boi, powinien się rzucić na to, co go przeraża — wtedy strach jest mniejszy. Ideologia demokratyczna prowadzi do moralnego rozkładu”. Ludzi dzielił na dwie kategorie — godnych i niegodnych. Jego umiłowanie wojny było nie tylko patologiczne, ale i metafizyczne. Trzeba go było posłuchać, jak wpadał w zachwyty nad ostrzem mieczów samurajów! Miał ich zresztą kilka i to bardzo starych. „W ostrzu miecza — mawiał — drzemie cząstka duszy wojownika”. Czasem, kontemplując pobłyskującą pośród żaru matową klingę, dostrzegał jakieś cienie w miejscu, gdzie żelazo i stal stapiają się w jedno. Bardzo szanował japońską etykietę — nigdy nie widziałem, żeby wysunął któryś z tych mieczy z pochwy bardziej niż do połowy. Miał odwagę mówić, że aby zwyciężyć na wojnie, najpierw trzeba jej pragnąć; dla niego wojna była ponad sprawiedliwością, ponad szczęściem osobistym, ponad samym życiem, a on miał tylko jedno pragnienie — zabijać Niemców. Czasem mówił, że wojna uczyniła go szczęśliwym ponad wszelkie wyobrażenie; niekiedy spieszyło mu się na front, żeby tam wypocząć (sic!)! Kiedyś powiedział do mnie: „Wiara w wojnę stała się dla mnie religią. Wojnę stawiam wyżej niż ojczyznę, wyżej niż wszystko inne”. Sam widzisz, jaki był z niego niebezpieczny fanfaron. Heraklit miał rację, mówiąc, że konflikt jest ojcem wszystkiego, a jedyną metodą pokonania go jest zabicie w sobie ojca, który przekazuje nam tę wiarę — oto prawdziwy sens mitu Edypa. Jeśli prawdą jest, że społeczeństwo może być rządzone albo przez wojowników, albo przez kupców, to ja wybieram kupców, bo wojownicy zawsze mogą się posługiwać wymówką najwyższego poświęcenia.

Jednak czymś najbardziej nieznośnym w tym człowieku była miłość, którą żywił do swej kochanki Anny. Ten żonaty chrześcijanin afiszował się inną kobietą, w dodatku mężatką. Pięknie. Obwołał się naczelnikiem narodu, a siał tylko zgorszenie. Cudownie. Ale najbardziej brzydziła mnie egzaltowana forma tego uczucia, choć muszę przyznać, że Anna była kobietą postawną i pełną wdzięku. On zaś nie czynił żadnej różnicy między tą kobietą a wojną, która była dla niego wszystkim, co najlepsze i najdroższe. „W boju, blisko wroga, czuję szczęście równe temu, które czuję, gdy jestem blisko Pani”. Możesz to pojąć? Za przywilej poczytywał sobie całowanie jej dłoni (dłoni, wyobrazasz sobie?!), co było dla niego najwyższą nagrodą po wojennych wyczynach. Jedną z jej

rękawiczek nosił przy sobie jako talizman. Przemawiał do jej fotografii. W tym wszystkim było coś — wybac porównanie — z zachowania dżentelmena z Południa, a jest to typ, którym brzydzę się najbardziej na świecie.

Muszę jednak przyznać, że Dulcynea Kołczaka miała klasę i do samego końca zachowywała się jak dama. To było jak prawdziwa grecka tragedia. Kiedy, spędziwszy ostatnie godziny swojej dyktatury w przedziale drugiej klasy, Kołczak wpadł w ręce Czerwonych, Anna zażądała, by ją zaaresztowano wraz z nim. Oczywiście ich rozdzielono, ale przez kilka dni jeszcze mogli korespondować i od czasu do czasu na chwilę się zobaczyć. Kiedy go stracono, nikt jej o tym nie powiedział, ale i tak odgadła. Była torturowana przez bolszewików, większość życia spędziła w więzieniu, a w końcu zmarła, nie tak dawno, bo w 1975 roku, pozostawiając po sobie całkiem ładne wiersze, w tym i ten, który z przyjemnością przetłumaczyłem (możesz go sobie też przeczytać w oryginale, który załączam):

«Za rokiem rok, w lutego siódmy dzień
Stoję z pamięcią twarzą w twarz.
Czas, co cię znał, usunął się w cień,
A nie zna cię już terazniejszy czas.

Ten straszny dzień, najgorszy z wszystkich dni,
Dla innych wszak uwagi nie jest wart.
Dla mnie to ból, co w sercu moim tkwi,
A dla nich śmieć wśród kalendarza kart».

Wiesz, jak Anna nazywała Aleksandra w czasach ich ulotnego i zuchwalego szczęścia? „Moja Chimera”! Całkiem zgrabne, prawda?

Nie wiem, dlaczego miałem ochotę Ci o tym wszystkim opowiedzieć. Może po to — jak napisałem na początku — żebyś dobrze zajął się moimi końmi, a może po to, żeby ci przypomnieć, że niezależnie od tego, kim byli Twoi przodkowie, człowiek na koniu ma być Twoim wrogiem, a wreszcie może po to, żeby ostatni raz zabłysnąć jeszcze w Twoich oczach lub — co niezrozumiałe, ale niewykluczone — trochę się oczernić i stać Ci się bliższym.

Wszystko jedno...

Nie wiem, Robinie, czy istnieje inny świat. Jeśli tak, to wyznaczam Ci tam spotkanie”.

Gdyby Robinowi zależało na jego małżeństwie, z pewnością nie spędziłby kilku godzin na lekturze tego listu.

Konstancja zakochała się w nim, bo miał w sobie nieodparty wdzięk Rhetta Butlera, podczas gdy Dawid był raczej w typie wiernego Ashleya. Jednak Rhetta Butlera kocha się przez jakiś czas, Ashleya zaś poślubia się na zawsze. W sercu Konstancji było więc trochę zamętu. Poza wszystkim, Rhett-Robin często był nieobecny, a Dawid-Ashley znajdował tak wiele pretekstów, żeby odwiedzać Chastow Plantation, że nie minęło wiele lat, a Robin obudził się jako rozwodnik z potomstwem, które zapewniało przetrwanie jego rodu.

Flegmatyczny spokój, z jakim udało mu się manipulować syberyjskimi górnikiem pod samym nosem KGB, wywarł wielkie wrażenie na jego przełożonych i po upadku komunizmu powierzono mu niezwykle delikatne zadanie. Chodziło o utworzenie nowego państwa, składającego się z Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy i sporego terytorium znanego pod nazwą Karelii, które miało zostać wydarte Rosji z jej północno-zachodniego boku.

Operacja zakończyła się klęską, co Robin przewidział i przepowiedział. Finlandia nie zamierzała zrezygnować z niepodległości, a poza tym była w niezłych stosunkach z Rosją. Nadbałtyckie państewka satelitarne marzyły o grawitowaniu wokół Niemiec. Karelia, której jedynym produktem było drewno brzoźowe, i gdzie mówiono wyłącznie po rosyjsku, nie bardzo widziała powody do secesji. Zniesmaczony takim ogromem niekompetencji i uporu ze strony dowództwa, Robin poczuł, że nadszedł czas na opuszczenie CIA.

W ten oto sposób rozpoczął trzeci okres swojego dorosłego życia. Śmierć ojca, który utonął po pijanemu podczas polowania na kaczki,

oraz ponowne małżeństwo matki z pewnym mistrzem brydża (w dodatku bankierem) przypadły na ten właśnie okres.

*

Postanowił porozmawiać z dr Kirstenem, który został dziekanem Varsity.

— Ci idioci zatrudniają mnie, bo znam rosyjskie realia, po czym w ogóle nie biorą pod uwagę mojego zdania. Poza tym, przedkładanie *sigint* nad *humint* [*sigint* (skrót od: Signal Intelligence) — wywiad dokonywany za pomocą wysoko rozwiniętej technologii; *humint* (skrót od: Human Intelligence) — wywiad osobowy, agenci] doprowadzi nas do katastrofy. Czy Klub naprawdę chce, żebym nadal w tym tkwił?

— Zabawny zbieg okoliczności, naprawdę — odparł dr Kirsten. — Właśnie miałem zamiar zaproponować ci złożenie dymisji. Przydzieliliśmy cię do CIA, żebyś się nauczył zawodu, dzięki któremu będziesz nam mógł oddawać rozmaite przysługi. Osiem lat szkolenia wystarczy. Sądzę, że nasi dzielni *spooks* [*Spook* (ang.) — potocznie: szpieg] niczego już cię nie mogą nauczyć i nadszedł czas, żebyś zaczął na poważnie pracować dla nas. Ambrose Bierce mawiał, że pokój to okres wciskania kitu między dwoma okresami podkładania dynamitu.

— A jaki kit będę teraz wciskał, doktorze Kirsten?

Doktor Kirsten zaskrzeczał swoim papuzim głosem:

— Tym razem, dla odmiany, zajmiesz się działalnością humanitarną.

Dopóki Robin pracował dla państwa, irytowała go wciąż wzrastająca liczba organizacji pozarządowych, które mnożyły się na całym świecie niczym spadochrony na niebie albo meduzy w Zatoce Meksykańskiej. Teraz miał z tego bogactwa skorzystać.

Wydało mu się to zabawne. Nie będzie tęsknił za Firmą — nie miał w niej przyjaciół („jak pracujesz w CIA i chcesz mieć przyjaciela, kup sobie psa”) i myślał ze złośliwą przyjemnością o tym, jak wykorzysta do wyższych celów metody, których go nauczono w agencji.

— Naturalnie — ciągnął dr Kirsten — zajmiesz się Rosjami. Trening czyni mistrza. Myślę zresztą, że nie muszę cię już przekonywać, iż wojna, którą Stany Zjednoczone z powodzeniem toczyły przeciwko komunizmowi, to tylko jedna z wielu, jakie wypowiedziały i jeszcze wypowiedzą Rosji...

— Przecież to właśnie doktryna Firmy — rzekł Robin z rozczarowaniem (oczekiwał prawdziwych rewelacji).

— Ta wojna — ciągnął niezrażony dr Kirsten — to tylko epizod w tej, którą Klub toczy przeciwko wszystkim, którzy stoją na jego drodze.

Zapadło milczenie i Robinowi zdało się, że czyta w myślach swego rozmówcy. „Masz, drogi Robinie, za niski stopień wtajemniczenia, żebym mógł ci wyjawić, że jeśli Stany Zjednoczone stanęłyby na drodze ideałów Klubu, to zrobilibyśmy wszystko, żeby Stany Zjednoczone znikły z powierzchni ziemi”. To mu się nawet spodobało. Podobało mu się wszystko, co posuwało do przodu jego sposób myślenia. Ale wystrzegął się łatwych antycypacji. W Klubie kolejna Lekcja nigdy nie była taka, jak sobie wyobrażał. Za każdym razem zaspokojenie ciekawości było tym przyjemniejsze, im większa była niespodzianka.

— Na razie — kontynuował dr Kirsten belferskim tonem — polityka Stanów Zjednoczonych jest zbieżna z naszą. Nie bez kozery w 1959 roku Klub podsunął Kongresowi do uchwalenia ustawę nr 86-90 o udzielaniu pomocy narodom dotkniętym komunizmem...

— Rosja nie została nią objęta — wtrącił Robin. — Wiem. Szacunek. Genialne posunięcie.

— Za to Chiny i Tybet owszem i nikt nie dostrzegł absurdalności założenia, że Tybet i Chiny uciskane są przez Rosję, podczas gdy to Chiny uciskały Tybet. Tak czy owak, fundament pod walkę na śmierć i życie z Rosją został położony.

Doktor Kirsten przejechał językiem po wargach.

— Musisz zrozumieć, drogi chłopcze, że państwo, jakiegokolwiek by ono było, jest zawsze towarzystwem na krótką metę, podczas gdy my...

Od tego czasu Robin przeprowadził z powodzeniem dwie operacje dla Klubu, każda z nich rozciągnięta była na wiele lat, a rząd Stanów Zjednoczonych ani ich nie potępił, ani nie pobłogosławił i nie wiadomo, czy władze w ogóle pojęły ich główny zamysł. Na razie ścieżki państwa i Klubu krzyżowały się, choć niekiedy pewnie zdążyły w przeciwnym kierunku.

Kiedy Robin działał na Syberii, CIA zaopatrzyła go w fałszywą tożsamość, przykrywkę i całą biografię. Tym razem konstrukcja była bardziej wyrafinowana, bo Chastow działał pod własnym nazwiskiem, które mogło uchodzić za angielską transkrypcję rosyjskiego nazwiska Czastow; grał rolę syna emigrantów, opanowanego nostalgią za krajem ojców.

Początkowo był „pastorem baptystów” i głosił biblijną prawdę nad brzegami Wołgi.

Kaznodzieje z pozarządowej organizacji Wish Watch [Czekać i czuwać], do której Robin należał, stawiali sobie za cel głoszenie protestanckiej dobrej nowiny wśród nieszczęsnych Rosjan skazanych na piekło; Klub dążył do ograniczenia wpływów Kościoła prawosławnego, żeby osłabić Rosję. Cele więc były zbieżne, a Robin lubił ten rodzaj partnerstwa, w którym cynizm walczy o lepsze z hipokryzją. Podobało mu się błogosławienie tłumów wyciągniętą ręką: „Niech miłość Boga Ojca, łaska Jego Syna i opieka Ducha Świętego będą z wami wszystkimi!”. I przy każdym takim błogosławieństwie miał uczucie, jakby rzucał

„szach mat” prosto w twarz woniejącemu kadzidłem i olejami świętymi brodaczowi, który siedzi w Moskwie i ma się za głowę Trzeciego Rzymu. Okoliczności mu sprzyjały — przez trzy pokolenia potrzeby duchowe Rosjan pozostawały niezaspokojone i wielu z nich bez większego oporu ulegało dyskretnemu urokowi innowierstwa, indywidualnego lub zbiorowego mistycyzmu, ascezy i *bezpowszczyzny*, czyli braku zorganizowanego kleru, dzięki czemu najbardziej ekstremalny protestantyzm mógł tam trafić na podatny grunt.

Kiedy Robin przetań już szlak, na jego miejsce wysłano innych, jemu zaś powierzono bardziej skomplikowane zadanie. Po raz kolejny zakomunikował mu to dr Kirsten.

— Od mniej więcej stu lat pracujemy nad zatopieniem Rosji, ale ona wciąż wypływa na powierzchnię. Na próżno walimy ją wiosłem po głowie — za każdym razem pojawia się po drugiej stronie łodzi. Komunizm był świetnym pomysłem. Zrobił z Rosji stracha na wróble narodów, który dobrze nam służył przez trzy czwarte wieku, bo cały świat pchał się pod nasze opiekuńcze skrzydła, a system podgryzał niczym kwas siły żywotne kraju — gospodarcze i intelektualne. Wszystko świetnie się składało. Gdyby sprawa potoczyła się zgodnie z naszym życzeniem, komunizm trwałby do dziś i doszczętnie zniszczyłby Rosję od środka. Ale to było niemożliwe. Zbyt wielu źle poinformowanych Amerykanów, w tym rząd, pragnęło klęski komunizmu, który uważali za zło absolutne, podczas gdy był on względnym dobrem. Musieliśmy na to pozwolić i nawet ty brałeś w tym udział... Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Załamanie komunizmu miało też jeden pozytywny skutek — rozpad imperium rosyjskiego. I szczerze mówiąc, obawiamy się tylko jednego — że to imperium się odbuduje. A oto co będziesz musiał zrobić...

W trakcie swych duszpasterskich doświadczeń Robert Chastow zaczął się pasjonować kulturą rosyjską w jej najmniej „wielkorosyjskich” aspektach. Między innymi, odkrył głagolicę, czyli alfabet wcześniejszy

od cyrylicy i w oparciu o kolejną organizację pozarządową pod nazwą CuUife [Skrót od: *Culture and life* — kultura i życie lub *Cultivate life* — kultuwaj życie] utworzył w Kijowie instytut badawczy specjalizujący się właśnie w tej dziedzinie. Szefom CIA przedsięwzięcie to mogło się wydawać absurdalne, ale w terenie nikogo nie zaskoczyło. Fakt, że anglosaski pastor o rosyjskich korzeniach jest nieco zbzikowany, wydawał się wysoce prawdopodobny. A to, że dysponował sporymi środkami finansowymi, przemawiało na jego korzyść. Niepodległa Ukraina, która właśnie próbowała stworzyć język literacki w oparciu o dialekt używany już tylko przez mieszkańców zachodnich prowincji, nie mogła nie skorzystać z alfabetu, który mógł stać się jej własnym.

A Robert Chastow odgrywał swoją rolę koncertowo. Hobby rymuje się z lobby — zauważał dowcipnie. Wszystkie drzwi stały przed nim otworem. Pod wściekłym okiem byłych kolegów z CIA, którzy zastanawiali się, w co on gra, spotykał się na prywatnym gruncie z prezydentem Ukrainy i członkami parlamentu, mając tylko jeden cel: wytypować wpływowe osoby popierające powrót Ukrainy do Federacji Rosyjskiej, co przywróciłoby Rosji dostęp do Morza Czarnego. To, co potem stało się z tymi ludźmi, zupełnie Robina nie obchodziło. Dwaj z nich wzbo-gacili się i zmienili poglądy. Trzeci zmarł na ospę. Ukraina, nadal gra-witując wokół moskiewskiego słońca, nie próbowała się bardziej do niego zbliżyć.

Po kilku latach Robin, odwołany do Stanów Zjednoczonych, przekazał fascynację głagolicą swojemu następcy i zajął się kolejną misją, która tym razem polegała na objeżdżaniu świata i umieszczaniu tu i tam „termometrów”; nadal jednak miał oko na Rosję za pośrednictwem innej organizacji pozarządowej Bids for Kids z przedstawicielstwem w Petersburgu. Patriarchowie patrzyli daleko w przyszłość. Nie można

było wykluczyć, że za jedno lub dwa pokolenia Klub otworzy w Rosji swoją filię, a wtedy łatwo będzie rekrutować jej członków spośród sierotek, które już zostały wychowane w odpowiednim duchu.

Jednak po objęciu władzy przez nowego prezydenta Federacji Rosyjskiej pojawiły się inne, pilniejsze sprawy.

6

W żadnym momencie życia Robin nie kwestionował władzy Klubu. Należał do niego. Był jego własnością.

I nie chodziło wcale o bezwstydną inicjację, która zakończyła się kradzieżą i sfalszowaniem czeku, ale o to, że jakaś zewnętrzna wola wśliznęła się w miejsce jego własnej, niczym dłoń do wnętrza kukielki, wzbudzając w nim tę dziwną namiętność, która w istocie była ciekawością. Ewa ugryzła jabłko bardziej z ciekawości niż pożądania i z ciekawości umierały żony Sinobrodego. *Libido sciendi* nie jest najbardziej niewinnym z wszystkich trzech jego rodzajów [Święty Augustyn wyróżnił trzy typy popędów: *libido sciendi* — pasję poznania, *libido sentiendi* — pożądanie zmysłowe oraz *libido dominendi* — pasję dominacji], więc pomijając władzę i korzyści osobiste, jakie zapewniała Robinowi przynależność do Klubu, a także dumę z bycia członkiem organizacji najbardziej elitarnej z wszystkich (na dwieście milionów Amerykanów i pięć miliardów mieszkańców świata co roku do Klubu wstępowało zaledwie trzysta osób, co w sumie dawało maksymalnie liczbę siedmiuset członków), w grę wchodził jeszcze grzech ciekawości, której zaspokojenie warte było zbawienia duszy, w które przecież Robin nie wierzył.

Robin musiał uosabiać cechy idealnego członka Klubu, ponieważ awansował ze stopnia na stopień dwa razy szybciej niż większość jego kolegów. To pozwoliło mu wyrobić sobie syntetyczny obraz rzeczy, który musiał umykać pozostałym.

Z Lekcji na Lekcję odkrywał teorię, która równie dobrze mogłaby się opierać na dialektyce heglowskiej (teza, której zaprzecza antyteza, za którą podąża synteza, zawierająca je obie i dająca początek nowej triadzie), co na Piśmie Świętym („Nie przybyłem po to, by znieść prawo, ale by je wypełnić”). Czuło się w niej pewność doktryny, która poprzez labirynt iluzji prowadzi idealnego kandydata ku ostatecznej, niedostępnej dla większości śmiertelników prawdzie. Na poboczu tej drogi zostawali ci członkowie Klubu, którzy, choć skuteczni na niższych poziomach wtajemniczenia, nie mogli wznieść się na kolejne — nie dlatego, że im tego zabroniono, ale z powodu ograniczeń ich własnej natury lub kultury, które uniemożliwiały im pokonywanie kolejnych sprzeczności, będących w dosłownym znaczeniu gimnastyką i doktryną Klubu. W rzeczywistości, krok za krokiem, podążało się w nieznanym kierunku, okazując ślepe zaufanie swoim przełożonym. Gdzieś przecież musiał być tajemniczy szczyt tej piramidy, bo jeśli by go nie było, to po cóż cała ta podróż?

Robin szybko zrozumiał, że niższe stopnie wtajemniczenia miały za zadanie uwolnić nowego członka Klubu od tego, co mu wbiło do głowy jego środowisko i wykształcenie i uczynić go panem samego siebie. W tym właśnie duchu kazano mu trenować spadochroniarstwo — sport indywidualny, choć przez całe wcześniejsze życie oceniany był według zdolności do działania w zespole. Podobnie został na jakiś czas umieszczony w środowisku czarnoskórych biedaków, co miało go wyzwolić spod wpływu jego bogatych, południowych przodków. Jednego z kolegów, przejawiającego przywiązanie do wiary baptystów, wysłano do Irlandii, żeby zajmował się misjami katolickimi sprzyjającymi IRA. Pewien militarysta musiał spędzić wiele miesięcy w obozie hipisów. Kwakier dostał rozkaz wstąpienia do West Point. Niepoprawny homofob musiał się fraternizować z działaczami organizacji gejowskich. Większość dochodziła do wniosku, że trzeba albo usztywnić się w swoich przekonaniach, albo przejść na drugą stronę barykady. Ale Robin

zrozumiał, że wcale nie tego od nich oczekiwano. Przeciwnie, chodziło o umiejętność powierzchownego sympatyzowania z każdym i z nikim, przyjęcia za fakt, że ludzie są równi i podobni, a nade wszystko o to, żeby nie wyciągać wniosków, zanim się nie wejdzie na wyższy poziom.

Zatem pierwszy etap polegał na zniszczeniu owego „my” wdrukanego jednostce przez otoczenie i na systematycznym wzmocnianiu „ja”. Wynikały z tego liczne dramaty rodzinne, ale Klub się tym nie przejmował, w ten sposób kształtował przyszłe elity. Zdarzył się też jeden czy dwa wypadki, śmiertelne lub psychiatryczne (jakiś fajtapa bez kasku na głowie spadł z konia, jakiś głupiec przeholował z LSD), ale doktryna była jasna i zgodna z odwieczną moralnością Anglosasów: słabi i tak muszą zginąć, więc im szybciej, tym lepiej.

Etap drugi, którego niektórzy członkowie Klubu nie byli w stanie przejść, miał na celu zniszczenie „ja”, po tym, jak zniszczone zostało „my”. Jeśli nie istnieje splot rozmaitych „my”, które sprawiają, że jestem „ja”, to kimże właściwie jestem? Pretensje jednostki do „bycia” są śmieszne. W najlepszym razie może ona istnieć, rozwijać się i rozkoszować życiem. To właśnie pokusy z jednej strony oraz zniechęcenie z drugiej dopadały tych, którzy doszli do tego etapu. Musieli bowiem zdać sobie sprawę z oczywistości: „ja”, na początku uwolnione i hołubione, to w rzeczywistości tylko łachman skazany na rozkład lub iluzję wielkości, jeśli nie zostanie wykupione przez „my” zdefiniowane przez Klub.

Etap trzeci prowadził do odkrycia drugiego człowieka, który źle pokierowany, mógł doprowadzić do powstania innego „my”, konkurencyjnego w stosunku do tego określonego przez Klub. Jeśli istnieję ja, istnieją też inni. Co mam z tym począć? Służyć im? Klub prowadził bezlitosną eliminację skłonności chrześcijańskich, wysyłając swych członków do krajów, gdzie znaczna część ludności umiera z głodu. Ci,

którzy wracali stamtąd nazbyt przepelnieni współczuciem, nigdy nie wznieśli się już na wyższy poziom wtajemniczenia.

Następnym krokiem było odkrycie, że drugi człowiek może zostać skojarzony z „ja”, a nawet nadać mu sens istnienia, pod warunkiem, że się go stosownie wykorzysta. Samo „ja” jest niczym, ale „ja” opierające się na bliźnim, jak Adam na Ewie, a Robinson na Piętaszku, to już odbudowane społeczeństwo, zrealizowana umowa społeczna. Już nie początkowe i arbitralne „my”, ale nowe „my” oparte na wolnym wyborze każdego: $ja + ty = my$, $1 + 1 = 3$.

Właśnie wtedy można było dostrzec ideał egalitaryzmu, początkowo przedstawiany jako nieprzekraczalny, w rzeczywistości jednak będący jedynie przynętą, bo przecież talenty nie są równo rozdzielone między ludzi. Tymczasem stopniowo była wpajana bezdyskusyjna wyższość Klubu. Jedyne prawdziwe „my” było arystokratycznym „my” członków Klubu.

Kiedy już osiągnęło się ten poziom, nagle dochodziło się do konstatacji zaskakującej dla tych, którzy na pierwszym etapie z upodobaniem odrzucili swoje tradycje. Demokracja amerykańska, odziedziczona po brytyjskiej *Magna Carta* i *Habeas Corpus*, uświęcona Konstytucją 1775 roku, nie ma wprawdzie wartości absolutnej, ale i tak jest najlepszym, co pozwala w społeczeństwie funkcjonować rozmaitym „innym”, tak by się nawzajem nie pozjadali. Nie było to żadne magiczne zaklęcie, ale recepta, która z poprawki na poprawkę coraz bardziej zbliżała się do doskonałości, podobnie jak replikowany w nieskończoność dwunastokąt w końcu daje okrąg. Sposób, w jaki białym Amerykanom udało się włączyć do swego społeczeństwa czarnych niewolników (którzy na przestrzeni kilku zaledwie lat omal nie utopili kraju w ogniu i krwi) był niekwestionowanym przykładem tej niemal biologicznej mądrości instytucji tego państwa, tej nieskończonej zdolności adaptacyjnej systemu.

Rzecz jasna, nie ma mowy o imperializmie. Po prostu, Amerykanie, którym udało się wynaleźć ustrój najbardziej sprzyjający koegzystowaniu ludzi w sprawiedliwości i dobrobycie, powinni go teraz eksportować na cały świat wszelkimi dostępnymi środkami. Szlachetność tej teorii miała w założeniu uspokoić niektórych członków Klubu, którzy potrzebowali takiego uczucia pewności rodem z krainy dzieciństwa. Robin nie dał się na to nabrać i przez jakiś czas sądził, że Klub jest tylko narzędziem amerykańskiej hegemonii, która, by zacytować Jana Jakuba Rousseau, pragnęła dostarczyć sile argumentów prawa. W gruncie rzeczy, nie przeszkadzało mu, że przez tyle lat wykorzystywano błyskotliwe umysły dla realizacji tak banalnie nacjonalistycznego projektu. Przeciwnie, uważał, że to nawet dosyć pikantne. Ale pamiętał też, że Klub powstał dosyć dawno i ma pochodzenie niemieckie, więc podejrzewał, że następna Lekcja odsłoni prawdę sprzeczną z dotychczasową.

Dopiero Lekcja trzeciego stopnia wtajemniczenia pokazała, że Klub wcale nie uważa Ameryki za cel, ale za narzędzie zjednoczenia ludzkości w ogólnościowych strukturach, podlegających mechanizmom globalnego rynku. Robin podpisał się pod tą ideą tym chętniej, że dla niego wróg wciąż pozostawał ten sam — Rosja, a dla zjednoczonej ludzkości mogła ona być jedynie przeszkodą, zbyt dużym kąskiem, żeby go można było ot tak przełknąć.

Jej szybkie dochodzenie do formy było coraz bardziej niepokojące. Wprawdzie demografia wciąż jeszcze miała zadyszkę, ale kto wie, co się może zdarzyć teraz, gdy do władzy doszedł ten ich nowy prezydent? A co, jeśli wprowadzi zasiłki rodzinne? Kościół prawosławny może postawić tamę aborcji, a wolność, stabilizacja i podniesienie stopy życiowej mogą przywrócić Rosjanom pragnienie budowania rodzin... Trzeba więc za wszelką cenę zablokować w Rosji taki scenariusz i należy to uczynić, stosując środki znajdujące się poza zasięgiem amerykańskiego rządu, skrępowanego zobowiązaniami ogólnościowymi i od niedawna kompletnie zaślepienego zagrożeniem ze strony islamu.

Uzbrojony w te wnioski Robin kolejny raz udał się na spotkanie z dr Kirstenem, który mocno się w międzyczasie postarzał — podgardle zwisało mu coraz bardziej żałośnie pod bezwłosym podbródkiem. I kolejny raz Patriarcha uprzedził jego wypowiedź.

— No, cóż, Robinie. Chyba tracimy kontrolę nad Rosją. Klub jest więc gotów przeprowadzić operację, którą nazwiemy „Śmiertelna rana”. Masz pomysły, jak to zrobić?

To właśnie stało się przyczyną spotkań Robina z jego „termometrami”. I stąd jego zainteresowanie wybuchającymi trupami, Bojarami, mikrodronami i akcjami humanitarnymi w Czeczenii.

Lekcja poziomu drugiego, ta, która mówiła o zjednoczonej ludzkości, połączonych rasach i płciach, wykraczała poza globalistyczny model z poziomu trzeciego tak bardzo, jak model globalistyczny wykraczał poza indywidualistyczny, od którego, dwadzieścia lat wcześniej, Robert Chastow III rozpoczął swoją podróż przez kolejne stopnie wtajemniczenia. Ta Lekcja wskazywała na jeszcze pilniejszą konieczność wyeliminowania z gry Rosji, zacofanej w swoim prawosławiu, reakcyjnej w swojej polityce i ambitnej w swoim mesjanizmie. Wszyscy filozofowie rosyjscy mówili o „myśli rosyjskiej” nie uzgodniwszy najpierw, co to takiego, ale jedno wydawało się pewne: nie było w niej rozróżnienia między zbrodnią i karą, wojną i pokojem, dobrem i złem, Ewą i Adamem, piekłem i niebem.

Co do Lekcji poziomu pierwszego (o ile Robin kiedykolwiek ją pozna, choć miał coraz więcej powodów, żeby na to liczyć), Lekcji Najwyższej i Ostatecznej, dostępnej jedynie kolegium trzynastu Patriarchów, władców absolutnych Klubu... Jakież to rewelacje przyniesie? Jego ciekawość nigdy się nie stępiła ani nie rozczarowała. Dlaczego miałyby się tak stać tym razem? Rozmyślając o tym, spokojnie pakował się na wyjazd do Czeczenii.

ROZDZIAŁ IV

W CZECZENII

Wiosna 2002

1

Gaston Sangdeboeuf, pseudonim Samson, nie znał Rosji. Jego kariera rozwijała się w zupełnie innym klimacie. Miał jednak do Rosji stosunek pozytywny z powodu rosyjskich spadochroniarzy, z którymi przyszło mu skakać w Iraku, na długo przed wojną w Zatoce Perskiej, a którzy wydali mu się bardzo dobrymi kompanami. Kiedy samolot Aeroflotu wylądował ze zgrzytem na pasie petersburskiego lotniska Pułkowo, Sangdeboeuf rzucił okiem na swego sąsiada, Rościława Szustrenkę, pseudonim Sasza, który miał się znaleźć na znanym sobie terenie, i pomyślał, że kiedyś zrobił wszystko, żeby Szustrenko nie wrócił do kraju swych przodków. To była stara historia. Teraz Szustrenko miał być jego przewodnikiem. W każdym razie, tak sądził. Mało go to obchodziło. Ledwie samolot dotknął ziemi, a jakiś bezcielesny głos poprosił, żeby pan Sangdeboeuf, pasażer klasy biznes, zgłosił się do personelu pokładowego, a gdy to uczynił, stewardessa poinformowała go, że ktoś po niego przyjdzie. I rzeczywiście, reszta pasażerów siedziała jeszcze zapięta w pasach bezpieczeństwa, gdy Dymitr Gołubiński (granatowy garnitur, brzoskwiniowa koszula, granatowy krawat, brzoskwiniowa chusteczka w kieszonce) pojawił się w drzwiach samolotu:

— Proszę, proszę, wychodźcie.

Paszporty Sangdeboeufa i Szustrenki zostały natychmiast zaopatrzone w wize. Ich bagaże nawet nie pojawiły się na taśmie petersburskiego lotniska, tylko zostały odłożone na bok. Współpasażerowie wciąż jeszcze tkwili w samolocie, gdy cała trójka siedziała już w czarnej wóldze

prowadzonej przez barczystego szofera w czarnych okularach, któremu towarzyszył barczysty sobowtór, także w czarnych okularach.

— No, no, nieźle sobie poczynacie — rzekł Samson do Dymitra.

— Mamy swoje sposoby na omijanie biurokracji.

— Sposoby nie dla wszystkich, prawda?

— Gdyby były dla wszystkich, jaki to miałyby sens?

Dymitr uśmiechał się swoim pięknie wygolonym uśmiechem i roztaczał woń bergamotki.

— Który hotel pan zarezerwował? — spytał Samson.

— To właściwie nie jest hotel. Sam pan zobaczy. Myślę, że będzie pan zadowolony. W każdym razie, na dwa lub trzy dni...

Wjechali do Petersburga i Samsona, choć przygotował się do tej podróży, zaskoczył spójny charakter miasta. Groźnie wyglądające staliniowskie budowle z okienkami w kształcie otworów strzelniczych przygotowywały zwiedzających na widok surowych dziewiętnastowiecznych domów, które z kolei rzucały ich w ramiona radosnych, rokokowych pałaców z osiemnastego wieku, których niebieskie, żółte i różowe bryły odbijały się w prostokątnych kanałach, utrzymywanych w ryzach przez granitowe nabrzeża. Nad wszystkim polatywały żółto-białe mewy i wielkie, szare, czarnogłowe kruki Północy.

— Znowu otynkowaliście fasady — zauważył Sasza.

— Nie należy tylko za bardzo zaglądać do środka — odparł Dymitr.

Faktycznie, fasady błyszczały nowością, a wielkie plakaty reklamowe rozpościerały swoje różnobarwne komercyjne płachty z ostentacją, która w tym pejzażu wydała się Samsonowi wulgarna, choć zupełnie nie szokowałyaby w Ameryce. Co reklamowały? Banki, paliwa, samochody, meble, kryształy, konfekcję — wszystko jak leci, z wydatną pomocą pięknych cycków i krągłych tyłeczków. I to miała być ojczyzna Dostojewskiego?

Coraz bardziej widoczny był monumentalny charakter Palmiry Północy. Arkady, balkony, prospekty, ogrodzenia, wieże, kopuły, garbate mosty, stuletnie drzewa, rzeźby, iglice, balustrady, parapety... Wszystko jednorodne, mimo różnorodności.

— Oto sen Piotra. *Le rive de Pierre* [Słowa *le rive de Pierre* (lub *le rive depierre*) można rozumieć dwojako: jako „sen Piotra” lub „sen z kamienia”]. W obu znaczeniach tego słowa, rzecz jasna — rzekł Sasza.

— I Katarzyny — dorzucił Dymitr. — To ona nadała mu realny kształt.

Nad kanałem, którego wody były niebieskie jak stal, wznosił się pałac o turkusowych murach i kolumnach. Samson natychmiast go poznał — to ten budynek wciąż pokazywano w telewizji. To właśnie była kryjówka Ligi (zaczynano już ją nazywać „bandą”) Bojarów.

— To tutaj nas pan zakwateruje?

— Chyba, że ma pan jakieś obiekcje. Jeśli to panu nie odpowiada, znajdziemy na pewno jakiś wolny pokój w „Europie” lub „Astorii”. Proszę tylko powiedzieć.

— Jestem pewny, że tutaj będzie świetnie — odparł Samson.

Nie sądził, że tak szybko spełni się marzenie, które snuł pewnego wieczora na Polach Elizejskich. Odczuwał jednak pewną nieufność. Jak wiadomo, Rosjanie są zdolni do wszystkiego. Czy narażał na szwank swoje kontakty z firmą OILOC, która mogła być zaszokowana, że spędza noc pod tak politycznie niepoprawnym dachem? Szybko doszedł do wniosku, że ma to w nosie. Nawet kiedy był na garnuszku państwa, nigdy nie trząśł się przed przełożonymi. Tym bardziej teraz nie zamierzał się przejmować, co sobie pomyśli jakaś banda handlarzy. Natomiast *conquisitor in aeternum*, wciąż czuł się związany z Wydziałem Akcji Bezpośredniej, więc skoro mógł się im jeszcze na coś przydać, nie zamierzał zrezygnować z takiej okazji. Wołga wjechała w budzącą

grozę bramę z numerem 90 ($9 + 0 = 9$), przecięła alejkę wiodącą na dziedziniec i zatrzymała się przed granitowymi schodami, zdobnymi w balustradę z kutyh w żelazie liści akantu.

Pokój Samsona, sąsiadujący z pokojem Saszy, był wspaniały — drogie materie na ścianach, azerskie dywany na podłodze, fantazyjne stiuki na suficie, srebrne krany w łazience. Za ciężkimi, ocieniającymi okno zasłonami zapadała już petersburska noc.

Czekając na koncert (w Rosji zawsze jest jakiś koncert), całe towarzystwo zeszło na kieliszeczek do baru. Dymitr wyraził żal z powodu opóźnienia przyjazdu Samsona do Rosji z winy administracji francuskiej i rosyjskiej, zasłaniającej się procedurami wizowymi i koniecznością przelewania środków pieniężnych. Tak, niestety, sprawy się przeciągnęły. Ale to może i lepiej. Ze swej strony Dymitr zasięgał właśnie języka na temat stanu zakładników i warunków, na jakich porywacze gotowi byli ich uwolnić. „Pertraktujemy, ale to wymaga czasu, no i musieliśmy poczekać, aż będzie pan tutaj, na miejscu, bo to sygnał, że wasza strona traktuje sprawę poważnie...”. Obecność Saszy, „z którym wykręcił już wspólnie kilka niezłych numerów”, wydawała mu się dobrą wróżbą. Sasza miał towarzyszyć Samsonowi, nie zdradzając się, że zna rosyjski. „Doskonale umie to robić, sam się o tym przekonałem”.

— Ale... zatrudniłem go jako tłumacza!

— Dam panu innego tłumacza, który zna też czeczeński, a Sasza będzie za panem nosił teczkę (Dymitr był dumny, że zna wyrażenie „nosić za kimś teczkę”) i sprawdzał jego tłumaczenia z rosyjskiego. Przy okazji, nie dając nic po sobie poznać, będzie słuchał, co się wokół pana mówi i zda panu z tego relację. Proszę mi wierzyć, to dodatkowe zabezpieczenie. W końcu, obiecałem panu, że ułatwię panu pańską misję, jak tylko będę mógł.

2

Sala koncertowa pałacu Myszkiców miała wystrój włoskiego teatru, z lożami, balkonami ozdobionymi heraldycznymi medalionami, oparciami wyściełanymi czerwonymi, pluszowymi poduszkami i plafonem pełnym amorków. Samson nie był wielkim znawcą architektury, ale odgadł, że wszystko to pochodzi z osiemnastego wieku, zostało mądrze zakonserwowane w wieku dziewiętnastym i pracowicie odrestaurowane w dwudziestym.

Francuski kwartet smyczkowy zagrał Mozarta. Włoska mezosopranistka odśpiewała Schumanna. Samson zupełnie nie rozumiał, dlaczego serce mocniej mu bije ze wzruszenia, a łzy cisną do oczu. W drugiej części koncertu śpiewano pieśni Czajkowskiego, a pianista Lew Goldstein odegrał kilka ostatnich utworów fortepianowych Rossiniego. Potem wszyscy wyszli do foyer, żeby między żłobionymi kolumnami wypić kieliszek szampana, a Samson, stary twardziel, musiał podejść do okna, bo miał ściśnięte gardło i czuł, że nie jest w stanie z nikim rozmawiać. Dlaczego? Nie miał pojęcia. Zwykle, gdy Adelina zaciągała go na koncert, czynił rozpaczliwe wysiłki, żeby zbytnio nie chrapać. Pejzaż, który ukazał się jego oczom spomiędzy dwóch portier, wzruszył go jeszcze bardziej. Ponad dzwonicami i dachami, wygrawerowanymi na niebie niczym miedzioryt łagodnie pociągnięty aksamitnym szronem, tkwił księżyc w pełni, roztaczający swoje żółto-różowe promienie z niemal kobiecą hojnością. Można by rzec, że to Matka bogów obwieszcza światu powszechne zbawienie. Samsonowi wydało się, że przeżywa

właśnie jakiś niezwykle ważny moment swego życia, choć przecież nic nie wydarzyło. Miał absurdalne przeczucie, że oto on, zwykły pół-Tureńczyk, pół-Prowansalczyk, na mgnienie oka stał się centrum wszechświata. Przez chwilę miał przed oczami mapę Europy i poczuł się osaczony — tam, wysoko, na prawo byli Skandynawowie, na dole, po lewej stronie — Hiszpanie, z tyłu zaś wielka połać ciągnącej się do Pacyfiku Eurazji. I pojawił się niepokój: czy można pozwolić, żeby nam to odebrali? Jacy oni? Jakim nam?

Te wszystkie ściskane i całowane dłonie, gardłowe śmiechy, długie suknie, odstonięte ramiona, białe i czarne muszki, szampan i kosmopolityzm — wszystko to mogło się wydawać sztuczne człowiekowi, który całe życie zajmował się tylko twardą rzeczywistością. Cóż z tego, że kilku rosyjskich gangsterów odgrywało przedstawienie pt. „Powrót do *ancien regime'u*”? Jaki to ma wpływ na sytuację polityczną? Istniała waszyngtońska ośmiornica, mahometańska hydra, europejskie bagno i Samsonowi wydało się nagle, że wszystkie te pieśni Schumanna, walce Czajkowskiego, kieliszki i diamenty zmieniają układ na szachownicy. Odetchnął głęboko, myśląc o Adelinie, która zawsze miała tak jasny pogląd na wszystko... Uchylił okno i świeże powietrze wionęło mu prosto w twarz. Wrócił do pozostałych. Gratulując występu członkom francuskiego kwartetu, zastanawiał się mimochodem, czy któregoś z muzyków nie dałoby się zwerbować jako agenta. Wzruszył ramionami — to już nie było jego zmartwienie. Tak, łatwo powiedzieć.

Do kolacji zasiedli w owalnej jadalni. Ustawione w stosownej odległości od siebie stoły zajęte były przez mężczyzn w ciemnych garniturach i kobiety w mocno wydekoltowanych lub zapiętych pod samą szyję sukniach, uczesane w misterne koki.

Przy stole Gołubińskiego za każdym krzesłem stał blondynek w czarnym smokingu, a nad wszystkim czuwał odziany we frak *maitred'hotel*. Samson przeczuwał, że ta kolacja zaważy na jego życiu.

— Wasza Dostojność nie wie, co to zła obsługa, prawda? — zwrócił się do Dymitra Sasza, udając kiepski rosyjski akcent.

— Zawsze to lepsze niż bezrobocie — odparł Dymitr z tym samym akcentem, wskazując gościom ich miejsca.

Sam zasiadł u szczytu stołu. Widać było, że lubi sadzać gości wedle swojego uznania. Po swej prawicy posadził sztuczną blondynkę, cudownie krągłą i w nieokreślonym wieku, którą przedstawił obecnym jako księżnę Marię Myszkinę, zwaną Maszą. „Jest tu u siebie” — dorzucił, wskazując pełny stiuków sufit. Po swej lewicy wskazał miejsce chudej brunetce, także w nieokreślonym wieku, uzbrojonej w szylkretową, długą fikkę do papierosów. Była to niejaka Warwara Kaganowicz. Z lewej strony księżnej posadził Samsona, a po lewicy pani „cygarniczki” — Saszę. Naprzeciwko siebie, na drugim krańcu stołu, wskazał miejsce masywnej postaci w czarnej sutannie, którą przedstawił jako ojca Atanazego.

— Będziemy tu mieli — wyjaśnił swemu zagranicznemu gościowi — coś, co nazywamy „rosyjskim stołem”. Nie będą nam podawali dań po kolei, ale wszystko, co zjemy i wypijemy, będzie natychmiast uzupełniane przez naszych młodych przyjaciół. ..

Pokazał na młodych kelnerów, którzy z uśmiechem uprzejmie skłonili głowy. Na stole ustawiono mnóstwo ozdobionych złotem talerzy z czarnym i czerwonym kawiozem, wędzonym węgorzem, jesiotrem i łososiem, marynowanymi grzybkami, pasztecikami w chrupiącej skórce i pasztetami pachnącymi mięsem i kapustą, kulebiakami i szaszłykami, a także rozmaite gatunki wódki w oszronionych karafkach i wielkie butelki veuve clicquot w wiaderkach z lodem. W tle przygrywała cygańska kapela. Samson zorientował się, że rozmowa będzie miła i powierchowna; faktycznie, mówiono o muzyce, o jubilerze Faberge, o ostatniej francuskiej inscenizacji *Damy pikowej*, w której nieszczęsny

German kończy żywot w szponach babki, co niezwykle rozbawiło Rosjan. Jednakże, po tym miłym wstępie, Warwara, brunetka z cygarniczką, zwróciła się do cudzoziemca prosto z mostu.

— Chciałabym wiedzieć, czy wy, Francuzi, popieracie plan Brzezińskiego, czyli amputowanie Syberii, odcięcie jej od Dalekiego Wschodu i doprowadzenie, że niezależne republiki będą wyrastały jak grzyby po deszczu. Już nam skradziono Ukrainę, Krym i ujścia do Morza Czarnego, teraz odcina się nam dostęp do Bałtyku i za chwilę znajdziemy się z powrotem w epoce Iwana Groźnego, czyli w Księstwie Moskiewskim.

— Panie pułkowniku — wtrącił się Dymitr — proszę się nie dziwić temu nieco gwałtownemu atakowi. Proszę nie zapominać, że znajduje się pan w kwaterze głównej Ligi Bojarów, a my jesteśmy groźnymi ekstremistami, którzy zagrażają pokojowi na świecie.

— Spróbuję się bronić najlepiej jak potrafię — odparł Samson.

Nie dziwili go już Rosjanie mówiący po francusku, z mniej lub bardziej wyczuwalnym obcym akcentem. Pochylił się ku Warwarze z uwodzicielskim uśmiechem.

— Czyżby pani nie wiedziała, że Amerykanie są przekonani, iż *EIOU — America Est Imperare Orbum Universum!*

— Z pewnością nie wiedziałam — odpaliła Warwara — że pułkownicy armii francuskiej mówią po łacinie, w dodatku kiepsko. Poprawnie byłoby: *Orbem Universam*.

— Poprawnie byłoby: *Orbi Universo* — rozstrzygnął autorytatywnie ojciec Atanazy.

— Zdrowie łacinników! — wykrzyknął Sasza, który uniósł w toście kieliszek wódki, opróżnił go jednym haustem i szybko zagryzł szprotką.

— Panie pułkowniku — spytał duchowny — czy umie pan pić wódkę jak należy?

— „Pić jak należy” to jedenaste przykazanie ojca Atanazego — rzekł

Sasza. — Wszyscy Rosjanie mają swoje jedenaste przykazanie. Wódkę pije się... (zawahał się, po czym, rzuciwszy okiem na obecne przy stole rosyjskie damy, uciekł się do eufemizmu) jednym haustem, żeby dostała się do żołądka, nie dotykając naczyń krwionośnych, które wyściełają spód języka, co pozwala wypić jej bardzo dużo bez przykrych skutków ubocznych.

— Jej główne działanie — podjął ojciec Atanazy — polega na otwieraniu kubków smakowych, co sprawia, że zakąski, które spożywa się zaraz po wódce, smakują o niebo lepiej. Trzeba to robić o tak.

Prawą ręką uniósł kieliszeczek i wlał sobie jego zawartość do gardła. W lewej ręce, na czubku widelca trzymał marynowanego grzybka, który powędrował do ust zaraz po wódce.

— Najpiękniej komponują się z wódką anchois w kaparach — oświadczył Sasza.

— Bardzo dojrzały gruyere też jest niezły — rzekł Dymitr.

— Przed rewolucją nasi sąsiedzi Wołkowowie-Muromcewowie wyrabiali świetnego gruyere'a — rzekła księżna Masza. — Powiadają, że eksportowali go nawet do Szwajcarii.

— A jeśli nie ma się żadnej z nich — podjął ojciec Atanazy — można je zastąpić...

— Prasowanym kawiozem — wpadł mu w słowo Sasza. — Niech snobi mówią, co chcą! Prasowany kawior jest najlepszy.

— Tak, ale można też, z chrześcijańską pokorą, zadowolić się kawałkiem chleba z solą i pieprzem. Dzięki nim zalety wódki ujawnią się niechybnie — zakończył duchowny.

— A jaka jest najlepsza wódka? Czysta czy smakowa? — chciał wiedzieć Samson.

— Poważni ludzie piją wyłącznie czystą — odparł Dymitr.

— A co z żubrówką?

— No cóż, kieliszeczek od czasu do czasu, dla rozrywki...

— Jak mam grypę, to kuruję się pieprzówką — oświadczyła Warwara. — Zresztą, lubię ją najbardziej z wszystkich wódek.

Jeden z kelnerów, który musiał znać francuski, natychmiast nalał jej kieliszek pieprzówki, który wychyliła, zagryzając plasterkiem kiełbasy, po czym dorzuciła:

— Amerykanie stanowią pięć procent całej populacji. A zużywają czterdzieści procent światowych zasobów. To nienormalne.

— Ależ przeciwnie, to normalne — zaproponował Dymitr — bo ich budżet wojskowy równa się sumie budżetów wszystkich innych krajów razem wziętych.

— Mój dziadek był duchownym jeszcze przed rewolucją — rzekł ojciec Atanazy. — Miał w piwniczce dwieście pięćdziesiąt gatunków nalewek. Ojciec mówił, że najlepsza była jałowcówka.

— Nie powinniśmy tak źle mówić o Amerykanach — wtrąciła się księżna Masza. — Chcą zapanować nad światem? I co z tego? Są tak potężni, że to naturalne.

— A ich cel to *e pluribus unum* [Jedno uczynione z wielu] — skomentował Samson.

— Przede wszystkim *divide ut regnes* [Dzielić, by rządzić] — spreycyzował ojciec Atanazy, niezły łacinnik, jak na prawosławnego popa. — Stąd właśnie *pluribus*.

— Każdy naród w końcu czyni użytek ze swojej potęgi — podjęła Masza. — Pisał już o tym Ksenofont.

— Tukidydes — poprawił ojciec Atanazy. — ... I musicie przyznać, że hegemonia Amerykanów i tak jest względnie bezbolesna.

— O, tak! Przecież nie ma u nich gułagów. Ich system polega tylko na narzuceniu całemu światu ich *american way of life* [Amerykański styl życia] — ironicznie podsumowała Warwara.

— A jeśli ktoś nie akceptuje MacDonal'd's, wysyłają Boeingi — zauważył Dymitr, nakładając sobie piramidkę czerwonego kawioru na trójkącik ciemnego chleba.

— Ja widzę przede wszystkim — ciągnęła Warwara — że Amerykanie od zawsze są wrogami Rosjan. Przed rewolucją sabotowali imperium. Podczas rewolucji pomogli Sowiecom. Dwie trzecie przemysłu sowieckiego powstało w oparciu o amerykańską pomoc. Ale gdy tylko Związek Sowiecki stał się potężny, za raz się zabrali do rozmontowywania go. Teraz, kiedy nie ma już Związku Sowieckiego, nadal są naszymi wrogami. Dyrektywa Rady Bezpieczeństwa Narodowego z 18 sierpnia 1948 roku ma na celu „osłabienie gospodarcze i rozkład Związku Sowieckiego, niezależnie (proszę zwrócić na to uwagę, cytuję dokładnie: niezależnie!) od podstawy ideologicznej każdego ustroju postkomunistycznego, nawet jeśli będzie głosił demokrację i liberalizm”. I ten tekst pochodzi z 1948 roku! Sami widzicie, że działają naprawdę

długofalowo. Plan jest jasny: amerykańska hegemonia ma być narzucona w trzech etapach. Po pierwsze, zniszczenie narodowej tkanki innych państw; po drugie, przekształcenie innych społeczeństw w międzynarodowe rynki zbytu; po trzecie, okupacja świata przez NATO, coca-colę i spółkę — mówiąc to, nerwowo uderzała widelcem w stół.

— Czy mogę spytać, jaki jest pani zawód? — spytał Samson.

Wetknęła kolejnego papierosa do cygarniczki.

— Jestem historykiem. I twierdzę, że Amerykanie mają zamiar podporządkować świat mamonie, czyli dolarowi.

Z odsieczą kolejny raz przyszła Masza.

— Wariu, jako historyk powinnaś się wystrzegać generalizowania. Wciąż powtarzasz: Amerykanie i Amerykanie... A czy zauważyłaś, że kurs dolara nie zależy od państwa amerykańskiego, ale od Systemu Rezerw Federalnych, który jest instytucją prywatną, co oznacza, że ci „Amerykanie”, jak mówisz, to nie są „Amerykanie” w ogóle, tylko „niektórzy Amerykanie”, uwikłani w pułapki międzynarodowego systemu, który ich przerasta?

— A teoria spisku — rzekł Sasza. — Czyli amerykański spisek jest spiskiem antyamerykańskim?

Wybuchnął śmiechem i ponownie zwilżył sobie gardło.

— Podobnie jak rewolucja rosyjska była rewolucją antyrosyjską — przytaknął ojciec Atanazy.

— Są dwa typy Amerykanów — rzekł Dymitr. — Izolacjoniści i interwencjoniści. Nie cierpię pierwszych i nienawidzę drugich. Żaden kraj na świecie nigdy nie budził takiej nienawiści, jak Stany Zjednoczone. Musi być po temu jakiś powód.

— Bez interwencjonistów i ich dostaw broni pewnie nie udałoby nam się wygrać Wielkiej Wojny Ojczyźnianej — zauważył ojciec Atanazy.

— Bez interwencjonistów — zripostował Dymitr — ani bolszewicy, ani naziści nie doszliby do władzy.

— A pani, księżno — spytał Samson — kim pani jest z zawodu?

Masza zaśmiała się i jej szeroka, pulchniutka twarz pokryła się siateczką powierzchownych, cieniutkich zmarszczek.

— Podobno jestem finansistą. Ja, Myszkina, wyobraża pan sobie!

Ojciec Atanazy zakasłał głośno, aż dźwięk ten rozniósł się echem po jego szerokiej klatce piersiowej.

— Każdy patrzy na świat z własnego punktu widzenia, może więc pozwolą państwo, że przedstawię własny. Jako duchowny prawosławny (pogłodził swoją czarno-siwą, podobną do skrzydeł petersburskich kruców brodę) przede wszystkim dostrzegam, że kiedyś zagrażał nam jeden Moloch, a dziś zagraża nam inny. Wiecie, że dla nas, duchownych, marksizm, kapitalizm... Wszystko to ta sama wieża Babel, materialistyczne społeczeństwo świata, dzika mieszanina ludów, nie dbających o swoje przeznaczenie. Moloch — czy kapitalistyczny, czy marksistowski — zabija w nas to, co najważniejsze. Podam państwu przykład: aborcja, rzeź niewiniątek proroczo przepowiedziana w Biblii, jest zalegalizowana, zaakceptowana, rozgrzeszona i finansowana przez rozmaitych Molochów z jednego i drugiego obozu.

— Panie i panowie, a może byśmy się napili szampana — zasugerowała księżna Masza. — Wódka zawsze w końcu wpędma w melancholię.

Młodzi kelnerzy pospieszyli do stołu. Dymitr gestem pokazał, że zostanie przy wódce.

— Chciałbym o coś spytać — rzekł Samson. — To może trochę grubiańskie, ale skoro już rozmawiamy tak szczerze... Na Zachodzie niektóre gazety przedstawiają członków waszej grupy zarówno jako reakcjonistów, jak i postkomunistów. Co państwo na to?

Warwara pochyliła się nad swoją cygarniczką, wybuchając suchym, jasnym i niezbyt życzliwym śmiechem.

— Amerykanin Samuel Huntington powiedział, że zachodni demokrata może dyskutować z rosyjskim marksistą, ale nie z rosyjskim tradycjonalistą. Miał rację.

— Za komunizmu — przypomniał ojciec Atanazy — miasteczko Świażsk postawiło pomnik Judaszowi. Tak bardzo komuniści nienawidzili naszego Pana Jezusa Chrystusa.

— To zakrawa na plan — zaryzykował Samson, niepewny, o co właściwie chodzi.

Warwara podjęła przerwany wątek:

— Komunizm to idea rodem z Zachodu, obca tradycji rosyjskiej. To niszczenie rodziny, narodu, własności, religii... W dodatku, jest to idea, która poniosła klęskę. Trzy czwarte wieku? Cóż to znaczy w historii? Mniej niż prychnięcie kota.

— Komunizm — dodał ojciec Atanazy — sprzeniewierzał się naszemu powołaniu. Nie był obojętnością na prawdę, ale uzurpacją prawdy. Nigdy nie pragnął drobnomieszczańskiego szczęścia, które jest, jak się zdaje, ideałem Zachodu. Chciał uwolnić świat od społecznego zła. To nic nowego i mogłoby to być nawet sympatyczne, gdyby tylko metody nie były tak potworne. Narodowy bolszewizm to perwersyjna forma rosyjskiego patriotyzmu; poddawanie się uciskowi to zdegenerowana

forma słowiańskiej cierpliwości; samokrytyka nigdy nie dorówna rachunkowi sumienia; komunistyczna nietolerancja jest córką prawosławnej bigoterii, a kolektywizm wypaczoną wersją wspólnoty...

— Ale w prowincjach — rzekł Dymitr — gdzie tak zwani komuniści są jeszcze obecni, sprawy idą wcale nie najgorzej... Mamy tam najlepsze wskaźniki gospodarcze.

— Dzięki komunizmowi? — spytał Samson, jak zawsze ciekawy i pełen szacunku dla wszystkich, nawet najdziwniejszych poglądów.

— Oczywiście, że nie. Z powodu tradycji i dyscypliny. A dyscyplina zawsze daje dobre skutki.

— Z kilkoma wyjątkami. Nie zapominajmy o nazistach i stalini-
stach.

— Oraz leninistach, którzy byli najgorsi z nich wszystkich. Tak, wypijmy za dyscyplinę... z kilkoma wyjątkami!

Mimo poczucia niejakiej obcości, Samson dobrze się czuł między tymi poważnymi, ale obdarzonymi niezwykłym poczuciem humoru Słowianami. Miał poczucie głębokiego porozumienia, nieodpartego duchowego powinowactwa. Uniósł kieliszek, mówiąc:

— Panie, panowie, pozwólcie mi wznieść toast za to, co nas jednoczy. (Był szczerze wzruszony). Nigdy nie czułem się tak dobrze w towarzystwie żadnego Anglosasa. Dziś, panie i panowie, jestem w marzy-
cielskim nastroju i wyobrażam sobie, że w tym pałacu (skłonił głowę w stronę księżnej), jakieś dwieście lat temu, być może w tej właśnie sali, zebrali się młodzi oficerowie w towarzystwie pięknych kobiet, jak my dzisiaj, żeby pić za zdrowie cara Aleksandra i za zwycięstwo nad Francuzami, którzy na rozkaz „prostowłosego Korsykanina” nie wiedzieć po co napadli na Rosję. Byłoby wysoce niestosowne, gdybym ja, były oficer francuski, wypił był za to zwycięstwo, ale wiedźcie, że gdybym mógł, to bym wypił. A potem, sto lat później, inni oficerowie rosyjscy

znowu zebrali się tutaj, jednak tym razem było z nimi dwóch oficerów francuskich i razem, po bratersku, tak jak my za chwilę, wypili za...

Samson wstał.

Po chwili wahania, wszyscy, nawet ojciec Atanazy, uczynili to samo.

— ..za sojusz francusko-rosyjski!

Samson opróżnił kieliszek.

Wszyscy bez wahania poszli w jego ślady.

— Wbrew legendzie — powiedział Dymitr — Rosjanie rozbijają kieliszki wyłącznie po wypiciu za zdrowie cara, ale, panie pułkowniku, w jakimś sensie właśnie to zrobiliśmy.

Delikatnie rozchylił palce, upuszczając na intarsjowany parkiet swój kryształowy kieliszek. Ten roztrzaskał się z cichym brzękiem. Kelnerzy pospieszyli, żeby sprzątnąć odłamki szkła. Wszyscy usiedli.

— Tak — rzekł Samson — wszystko to pięknie, ale nadal nie wiem, kim jesteście i dlaczego tak źle o was mówią. Nazywa się was ligą, ale czym, tak naprawdę, jest liga? Co was skłania do bycia razem lub — jak mawiają Kanadyjczycy — „co jacie zimą?” lub też — jak się mówi po angielsku — *what makes you tick* — co was nakręca?

Sasza wznosił ręce do nieba. Pozostała czwórka spojrzała po sobie. W końcu Dymitr, zbierając od niechcenia okruchy ze stołu, odpowiedział:

— Nie jesteśmy żadną ligą, panie pułkowniku. Mamy kilka podobnych pomysłów i idei, które próbujemy łączyć w nadziei, że z ich ścierania się uda nam się, jak w powieściach przygodowych z dzieciństwa, wykrzesać prawdziwy ogień. Naszą główną ideą jest to — ojcie Atanazy, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę — że wbrew stanowisku dzisiejszego Zachodu, po pierwsze, jest tylko jedna prawda, a po drugie, nie jest nią i nie może być porządek ekonomiczny.

— Marks uważał, że prawda ma wymiar ekonomiczny, liberalny kapitalizm też głosi, że prawda ma wymiar ekonomiczny — stwierdziła Warwara. — Marksizm, kapitalizm...

— Jeden pies — dokończył Sasza.

— Kapitalistycznemu Zachodowi przytrafiło się to, co Dostojewski wieszczył socjalizmowi — rzekł ojciec Atanazy, kręcąc w palcach nóżkę kieliszka. — Uległ trzem pokusom, którymi diabeł mamił Chrystusa na pustyni: przedkłada wartości materialne nad duchowe, wyżej ceni postępek niż ludzką wolność i uznaje globalizm za receptę na całe zło.

— Czy myślę się, sądząc, że kanonizacja Mikołaja II jest dla Rosji bardzo istotnym wydarzeniem? — spytał Samson.

Odpowiedzi udzieliła mu Warwara:

— Jestem niezbyt religijną żydówką, a mimo to jestem przekonana, że kanonizacja cara i jego rodziny wymazuje rewolucję, egzorcyzmuje ją i uwalnia „myśl rosyjską”.

— Ale czym tak naprawdę jest ta „myśl rosyjska”? — spytał Samson, nadal nieco sceptyczny, mimo wódki i szampana.

Zapadło milczenie.

— Podstawową cechą wielkiej idei jest to — rzekł ojciec Atanazy — że trudno ją wyrazić w niewielu słowach, kiedy zaś użyje się ich wielu, trudno jej nie zaprzeczyć lub jej nie zdradzić. Przykład: Bierdiajew. Osobiście jestem zdania, że „myśl rosyjska” to oryginalny sposób ujmowania relacji między władzą polityczną a religijną. Oskarża się nas, prawosławnych, o cesaropapizm, ale dla mnie „myśl rosyjska” zasadza się na tym, że państwo odpowiedzialne jest za zbawienie narodu (mam na myśli zbawienie w sensie eschatologicznym). Pan wezwał swoich uczniów, żeby nauczali „wszystkie narody” — *ta ethne* w oryginale, a nie wszystkich 1 u d z i. A narody potrzebują pasterzy, którzy je poprowadzą, nawrócą na właściwą drogę, a czasem nawet się dla nich poświęcą. Kiedy Mikołaj II w wigilię swojej abdykacji wypowiada szekspirowskie słowa: „Wokół mnie jeno tchórzostwo, kłamstwo i zdrada”,

powtarza tylko to, co nasz Pan mógł powiedzieć w ogrodzie Getsemani. Nadrzędnym celem państwa, godnego tego miana, nie jest administrowanie pocztą i wywozem śmieci, choć są to sprawy bez wątpienia ważne, ale zapewnienie jego obywatelom jak najlepszych warunków przejścia z życia ziemskiego do wiecznego.

— To musi być dla pana trudne do przełknięcia, panie pułkowniku, co? — skomentował Sasza. — Na pewno nie tak się patrzy na rządy nad Sekwaną!

— A w praktyce? — spytał Samson. — Czy to oznacza, że jesteście monarchistami?

Spojrzał uważnie na towarzystwo przy stole.

— Niezupełnie — rzekł Dymitr. — Ale nie wykluczamy hipotezy... biologicznej i sakralnej (bardzo starannie dobierał słowa), która w swojej prostocie jest, być może, najdoskonalszą realizacją Bożego planu — jeśli, rzecz jasna, przyjąć, że wierzymy w Boga, a szczerze mówiąc, ja, który byłem zawodowym ateistą i nie zawsze mogłem się pochwalić żarliwą wiarą, sędzę, że ludzka inteligencja nie znalazła do tej pory nic bardziej satysfakcjonującego od idei Boga, który poświęca się dla swojego stworzenia. Zatem Bóg jest hipotezą wartą utrzymania. Republika to mechanizm, monarchia to organizm. To jasne. Stąd już tylko jeden krok do stwierdzenia, który ustrój jest lepiej dostosowany do warunków...

Mnie, panie pułkowniku, fascynuje to, że Rosja wciąż ma jeszcze wybór. Zachód już nie ma wyboru — sam się stoczył w otchłań bałwochwalczego kultu praw człowieka. Sołowiew mawiał: „Poczucie obowiązku oczyszcza i uszlachetnia, zaś roszczenia wobec praw czynią złośliwym i małostkowym pieniaczem”. Pan taki nie jest, pułkowniku, ale nie może pan zaprzeczyć, że należy do społeczeństwa, które wybrało prawa, a nie obowiązek. My, jeszcze przez parę lat (i komunizm może tu nawet odegrać pozytywną rolę) będziemy stali przed alternatywą. Jeśli, tak jak wy, wybierzemy prawa, będziemy skończeni — jak wy.

Jeśli, przez przypadek, wybierzemy obowiązek, dla ludzkości jest jeszcze jakaś szansa.

Widzi pan, my, którzy się tu zbieramy, i których nazywają Bojarami, nie wierzymy, jak Monteskiusz, że „naturalnym skutkiem handlu jest niesienie pokoju i jednoczenie narodów”. My raczej sądzimy przeciwnie, że handel to jedna z działalności najbardziej szkodliwych dla ludzkiej duszy. Jest takie rosyjskie przysłowie, które znaczy mniej więcej: „Gdzie kramarze, tam i łgarze”. Sam coś wiem na ten temat, bo jestem, między innymi, handlarzem broni. I wcale się tym nie chlubię. Wiem, że mój dawny zawód, zawód żołnierza, był bardziej szlachetny, nie mówiąc już o zawodzie ojca Atanazego, który jest najszlachetniejszy ze wszystkich. Nie przypadkiem w sennikach ekskrementy to pieniądze...

Dymitr nalał Samsonowi szampana, żeby nieco zatuszować pompacyjność swego przemówienia.

— Oto nasze przekonania, przekonania „Bojarów”.

— W porządku — rzekł Samson — rozumiem. Ale w praktyce. .. Co to oznacza w praktyce? Do jakiego ustroju właściwie się skłaniaacie?

Na twarzach biesiadników pojawiły się pobłażliwe uśmiechy. Ludzie Zachodu już tacy są — zawsze chcą precyzyjnych wyjaśnień, nie należy im mieć tego za złe.

— W praktyce to uważamy — podjął wyzwanie Dymitr — że rządzenie ludźmi zasadza się na trzech fundamentach: sprawiedliwości społecznej, wolności jednostki i skuteczności ekonomicznej. I marzy nam się system, w którym wszystkie te trzy skłócone z sobą Erynie jakoś się pogodzą i będą się wspierać, niczym trzy boki piramidy, zamiast rozszarpywać się wzajemnie, jak to czynią w tak zwanych demokracjach.

Wybuchnął śmiechem.

— Tak czy inaczej, drodzy przyjaciele, muszę wam przypomnieć, że nasza trójka jutro o świcie leci do Czeczenii, więc może pora wypić po koniaczku i powiedzieć sobie dobranoc.

3

Na lotnisku Mineralnyje Wody na Dymitra Gołubińskiego czekał opancerzony transporter, zaś na Sangdeboeufa i Szustrenkę wysłana przez OILOC terenowa toyota z napędem na cztery koła. Dymitr i Samson ustalili, że na razie nie będą się obnosili ze swoją znajomością ani przed rosyjskimi wojskowymi, ani przed francuskimi nacierzami.

Na powitanie przysłanego z Paryża „szefa ochrony” wyjechał sam dyrektor placówki.

— Sylbestre.

— Sangdeboeuf.

Krótki uścisk dłoni.

Sylbestre. Około pięćdziesiątki, kanciasty, muskularny, chudy, z agresywnym podbródkiem a la Mussolini i głęboko wciśniętymi w czaszkę, niespokojnymi oczami, których białka poprzecinane były naczyńkami. Naturalnie, Samson wiedział wszystko, czego tylko można było się dowiedzieć o dawnym kapitanie piechoty, a zwłaszcza to, że miał młodszą od siebie żonę, którą odesłał do Francji zaraz po porwaniu zakładników. „Nie zdziwiłbym się, gdyby popijał”. Ale Sylbestre miał trzeźwe spojrzenie, a uścisk dłoni pewny.

— Przed nami daleka droga, ale pan chyba jest przyzwyczajony do takich gruchotów, co?

Tak naprawdę było to pytanie o to, kim właściwie jest ten nowy. Samson odburknął coś niewyraźnie. Życzył sobie stosunków przyjaznych, ale nie poufałych.

Wsiedli do samochodu — Sasza obok kierowcy, Sylbestre i Samson z tyłu. Droga była kiepska i na każdym garbie i każdej dziurze kierowca jęczał: „Jasny gwint!” z bardzo paryskim akcentem. Sasza nie mógł się w końcu powstrzymać i z tym samym akcentem pokrzykiwał za nim: „Jasny gwint!”.

Przebywając pod różnymi szerokościami i długościami geograficznymi, Samson zetknął się już z takimi krajami rozdartymi wewnętrzną wojną, w których człowiek czuje się otoczony przez tyle samo wrogów co przyjaciół, nie wiedząc, którzy są którzy, więc w miarę jak zbliżali się do granicy z Czeczenią, Sylbestre czuł w swoim gościu wzrastającą czujność — jakieś napięcie pomieszane ze znużeniem lub po prostu rodzaj fatalizmu. Samson wiedział, że w każdej chwili może nastąpić zamach, że ta mijana właśnie kobieta może mieć pod spódnicą granat, a ci zamknięci za drutem kolczastym młodzi rekruci mogą nerwowo wytrzymać i puścić ku nim serię... Ale niespecjalnie go to wzruszało.

Po jakichś dziesięciu kilometrach Sylbestre znowu przypuścił atak.

— Były wojskowy?

— Tak.

— Jakie oddziały? — spytał po kolejnych dziesięciu kilometrach.

— Lądowe.

Sylbestre się poddał i już do końca podróży rozmawiali wyłącznie o sprawach neutralnych — wcześniejszym nadejściu wiosny, stanie dróg, trudnościach w zaopatrzeniu, nieporozumieniach z paryskimi urzędami, niezdolnymi do pojęcia trudności chłopaków walczących na pierwszej linii. „Te biurwy są wszystkie jednakowe”.

Przed ich oczami roztaczał się jednostajnie płaski pejzaż. W oddali były widoczne wciąż ośnieżone szczyty Kaukazu, oddzielone od równiny pasmem mgieł, które sprawiały, że góry wyglądały jak zawieszzone

w powietrzu. Na granicy czekała ich długa odprawa paszportowa. W końcu terenówka mogła ruszyć w dalszą drogę.

— Jasny gwint! — rzucił szofer, zasiadając z powrotem na swoim miejscu.

— Witamy w Czeczenii — rzekł Sylbestre.

Samson odpowiedział nieartykułowanym burknięciem.

W mijanych wioskach mężczyźni i kobiety chodzili ubrani po europejsku; mało tam było twarzy brodatych, dużo twarzy jasných, co bardzo Samsona zaskoczyło, mimo informacji wyczytanych w dostarczonej dokumentacji.

— Jak odróżnić Rosjan od Czeczenów?

— Czeczeni mają zielone oczy.

Noc już dawno zapadła, gdy ich oczom ukazał się osadzony pośrodku czarnej równiny świetlisty prostokąt — obóz nacierzy w Samaszkach.

— Zna pan nasze urządzenia?

— Widziałem plany i zdjęcia.

Ale Sylbestre czuł nieprzepartą ochotę do rozmowy.

— Dwieście metrów szerokości na czterysta pięćdziesiąt długości. Potrójna siatka z drutu ostrzowego, fosa głębokości półtora metra, dwumetrowy nasyp. Co piętnaście metrów reflektor — ich snopy przecinają się, by aby czasem nie powstawały gdzieś strefy cienia, (tak mówił „by aby czasem”) Całość jest podzielona na trzy części: obóz mieszkalny, baza sprzętu mechanicznego, obóz inżynieryjny. Dwustu pracowników. Czterdzieści trzy bungalowy. Sam pan zobaczy, że dosyć wygodne.

— Ile sierotków transportu? — spytał Samson, żeby sprawić przyjemność gospodarzowi.

— Dwadzieścia siedem plus kilka prywatnych. Moim zdaniem, prywatne powinny być zakazane. Właśnie przez to wzięto zakładników.

— Wiem.

— Nie da się narzucić dyscypliny w poruszaniu się, jeśli personel dysponuje własnymi środkami transportu.

— Wiem. Ochrona składa się z Czeczenów?

— Prorosyjskich Czeczenów. To co najmniej połowa populacji, może nawet większość, zwłaszcza od czasu, gdy zakosztowali szariatatu wahabitów.

Wjazd do obozu, którego strzegli trzej „śpiący policjanci”, składał się z furtki i stalowej bramy tej samej wysokości co ogrodzenie. Zapora z betonu uniemożliwiała sforsowanie wjazdu siłą. Strażnik w paramilitarnym uniformie skontrolował dokumenty wszystkich siedzących w samochodzie. W świetle silnego reflektora, znajdującego się nad stanowiskiem kontroli, można było dostrzec, że ma zielone oczy.

— Chce pan coś przekąsić, czy woli pan najpierw zobaczyć kwatere? — spytał Sylbestre. — Mamy dla pana apartament prezydencki — dorzucił, wybuchając śmiechem.

— Chętnie bym się trochę odświeżył.

— W takim razie, proszę wysiąść. Pan, panie Szustrenko, jest zakwaterowany tuż obok. A ja idę do restauracji, by aby czasem kucharz nam nie zwiął.

Bungalow Samsona był zbudowany z prefabrykatów i składał się z pokoju dziennego, dwóch sypialni, w tym jednej przerobionej na gabinet oraz łazienki. W kranach była woda. Nawet ciepła. To było najważniejsze. Zrobione z różnych syntetyków meble były porażająco brzydkie, a na ścianie wisiała reprodukcja *Jabłek* Cezanne'a. W pewnej chwili, pod prysznicem, Samson wyobraził sobie Adeline w tym wnętrzu i wybuchnął cichym śmiechem.

Kolację zjedli we czwórkę, razem z kierowcą, Garnierem, co właściwie Samsonowi nie przeszkadzało, ale wykluczało wszelką rozmowę na delikatne tematy. Pieczeń miała konsystencję podeszwy buta do wspinaczki wysokogórskiej.

— Jasny gwint! — skomentował Sasza, zanim kierowca zdążył to pomyśleć.

— Chciałem panu jeszcze dziś wieczorem przedstawić mojego oficera ochrony — powiedział Sylbestre — ale na pewno będzie chciał panu przedstawić się oficjalnie, pokazać papiery... Poza tym, jest już prawie jedenasta. Na pewno leży już w łóżku z żoną.

— Nie pali się — odparł Samson. — Mam zwyczaj *festinare lente*.

— Fetować rentę?

— Och, nieważne...

Samson powiedział dobranoc, wrócił do swego apartamentu prezydenckiego i właśnie zdążył włożyć karmazynowa piżamę, którą dostał w prezencie od Adeliny, gdy ktoś zastukał w okno. Był to Sylbestre z butelką J&B pod pachą. Samson wpuścił go do środka.

— Może szklaneczkę? — spytał Sylbestre.

— *Picolare humanum est* — przyznał Samson, który wolałby położyć się do łóżka, ale dla wykonania misji gotów był nawet spędzić noc, popijając J&B.

— Żibi jest najlepsza — rzekł Sylbestre, co wkurzyło purystę Samsona. „Można to wymawiać z francuska, ale w takim razie powinno być: Żibe, a jeśli z angielska, to Dzejbi.

Sylbestre wypalił zaś bez ogródek:

— Wiem, po co pan tu jest, panie Sangdeboeuf. Sprawdzi pan nasz system ochrony punkt po punkcie, sporządzi, jak to mówią, audyt, a Crepinot z radością pana we wszystko wprowadzi, choć ma pełno w gaciach na myśl o spotkaniu z panem. Ale ja się na to nie nabiorę. Skoro wysłali do nas kogoś takiego jak pan, to znaczy, że chodzi o zakładników.

— Proszę mi opowiedzieć o zakładnikach.

Samson widział ich zdjęcia, znał ich życiorysy, przepuścił ich nazwiska przez dostępne sobie bazy danych. Nie spotkał się z ich rodzinami tylko dlatego, że wolał tego nie robić. Niekiedy widywał ich na granicy snu, w chwili gdy właśnie ją przekraczał: oto stary Katalończyk

o ogorzałej cerze przypominającej wytłaczaną skórę, oto młody Belg o niewinnym uśmiechu, pulchny i prostoduszny, oto ubrana w ekumeniczne dżinsy katolicka dziennikarka z krótko obciętymi włosami i spojrzeniem tomisty. Sylbestre westchnął głęboko.

— Ach, zakładnicy! Matteo (zupełnie nieznośny), Caldens (trochę ciężko myślący), Virginie (milutka)...

Samson dostrzegł natychmiast, że dla Sylbestre'a tych troje zakładników było ludzkimi istotami, podczas gdy dla Daniela, szefa Daniela i szefa szefa Daniela stanowili oni wyłącznie niebezpieczeństwo „hałasu, bicia piany i negatywnego rozgłosu”. Daniel wyrażał się na ten temat ogólnikowo, jego szef bardziej konkretnie, zaś szef szefa zupełnie jednoznacznie i twardo niczym diament: jeśli porywacze zmienią taktykę i zażądają okupu, to firma zapłaci, ile trzeba (oczywiście w rozsądnych granicach), żeby zakładnicy wrócili do domów żywi. Nie ma jednak mowy, żeby położyć na szali interesy firmy, żeby „sprawić przyjemność bandzie zawszańców, bo trójka durniów pozwoliła im się złapać”.

Samson, naturalnie, wcześniej zadał sobie wiele pytań na temat tych trojga: trójka kumpli, trójkąt, para plus znajomy... Działalność polityczna... Mały kryzys... W Paryżu hipotezy te nic nie wyjaśniały. Może wyjaśnią coś tutaj, na miejscu?

— Jak to się stało?

— Powinien pan wiedzieć. Napisałem ze sto sześćdziesiąt sześć raportów.

— Proszę zapomnieć o raportach, kapitanie. Chciałbym to wszystko usłyszeć od pana.

— Ci kretyni złamali przepis dotyczący bezpiecznego poruszania się po terenie. Pewnej niedzieli coś ich przypiliło i pojechali sobie w góry na grzyby. I już nie wrócili.

— Nic pan nie wiedział o ich planach?

— Oczywiście, że nie. To znaczy, żartowali na ten temat przy kolacji dwa dni wcześniej. Caldens powiedział, że lubi kurki czy gąski.

Virginie powiedziała, że w górach jest ich pełno. Matteo powiedział, że trzeba mieć jaja, żeby iść je zbierać, a on ma. Ja powiedziałem...

Sylbestre zastanowił się chwilę.

— Powiedziałem, że jeśli to robi, osobiście rozkwaszę mu mordę. Pośmialiśmy się. Powinienem mieć się na baczości. Chrzanić tych dwóch idiotów, ale ta mała Virginie... Dlaczego zabrali z sobą Virginie? Ta mała niczego się nie bała. Zawsze mówiła, że póki wierzy w Jezusa Chrystusa, nic złego nie może się jej przytrafić... Drażniłem się z nią: „Nic? Naprawdę? Żadna zaraza, żadna lawina?”. Odpowiadała: „Nie wbrew Jego woli!”. Jak ten batalion Czeczenów na nich napadł, musiała zmienić zdanie. Bo przecież trudno uwierzyć, że to była wola Jezusa Chrystusa, żeby ten batalion Czeczenów ich dopadł! Jak pan myśli?

Samson próbował wyobrazić sobie całą sytuację.

Virginie, choć gorliwa katoliczka, mogła być kochanką Sylbestre'a (kto to powiedział: „Chrześcijanie łajdaczą się jak wszyscy, tylko że im to pogarsza nastrój”?) i fakt, że młoda pani Sylbestre została odesłana do domu, mógł nie mieć żadnego związku z porwaniem. Trzeba sprawdzić, kiedy została zrobiona rezerwacja jej biletu. Z drugiej strony, nie można było wykluczyć, że Sylbestre przymknął oko na planowane grzybobranie i powiedział ewentualnym czeczeńskim współnikom: „*fifty-fifty*, panowie”, co będzie bardzo prawdopodobne, jeśli porywacze zrezygnują z żądań politycznych, zadowolając się wyłącznie okupem... Ciemne i trzeźwe oczy Samsona wpatrywały się w coraz bardziej zamglone oczy Sylbestre'a, ale na razie dostrzegały w nich wyłącznie niewinność. Tak czy owak, jeśli nawet porwanie zakładników odbyło się w nieco tajemniczych okolicznościach, nie miało to wpływu na misję Samsona — miał ich odbić „bez hałasu, bicia piany i rozgłosu”.

— Od ostatniego komunikatu, który dotarł do Paryża, porywacze się już nie odezwali?

- Nie.
- A co z miejscową ludnością?
- Trzymają gęby na kłódkę.

A zatem, ostatnia informacja od porywaczy, przesłana do siedziby OILOC w Paryżu, była tą, z którą Samson zapoznał się przed wyjazdem. Brzmiała ona następująco:

Mamy przyjemność poinformować, że po trzech miesiącach goszczenia Waszych przyjaciół, ich wyżywienie zaczyna stanowić dla nas spory problem. Będziemy zobowiązani, jeśli zechcecie rozważyć jak najszybciej naszą propozycję opuszczenia przez OILOC Czeczenii. W przeciwnym razie będziemy zmuszeni stopniowo zmniejszać racje żywnościowe naszych gości, którzy już zrozumieli, że przykładali rękę do niegodziwości, polegającej na okradaniu ludu Czeczenii z jego naturalnych bogactw. Wkrótce zmuszeni będziemy poinformować media, jak bezdusznie podchodzicie do trudnego położenia Waszych współobywateli.

— Dobra — mruknął Samson, myśląc, że tej nocy Sylbestre może mu powiedzieć coś, co nazajutrz prawdopodobnie już by przemilczał — a jak się wam układa z Rosjanami?

— W sumie, nieźle. Chodzi nam o to samo, a goście są raczej sympatyczni i żłopiają wodę jak wodę. Nie udało mi się ich nawrócić na Biżi, ale nie szkodzi. Nie mamy sobie wiele do powiedzenia, zwłaszcza że nie znam rosyjskiego, a ich angielski nie jest lepszy od mojego.

— A ci z Zachodu? Jacy są?

— Najbliżej mamy do gości, których nazywa się tu *French doctors* — francuskimi doktorami. Stacjonują w Sierno.. Sierno... Siernowodsku. Są całkiem w porządku i mają tam trzy lub cztery fajne laski... Ale sam pan rozumie, my robimy pieniądze, a oni służą ludzkości. Mówimy sobie dzień dobry, ale każdy pilnuje swego nosa. Jest też trochę Anglosasów z jakiejś organizacji pozarządowej. Zajmują się sierotami.

Nazywa się toto Orphans Galore. Ich wielki plan to pomaganie zarówno dzieciakom ruskim, jak i czarnodupcom, to jest, chciałem powiedzieć, Czeczenom; to Rusczy nazywają Czeczenów czamodupcami (parsknął śmiechem). Jest tam jeden Amerykaniec i jedna Angolka, markiza, księżna czy inny diabeł. Stacjonują w Acz... Acz... och, ja to nazywam po prostu Aczój-Martin [Chodzi o miejscowość Aczchoj-Martan], tak jest prościej. Butelka J&B była już prawie pusta.

— Panie kapitanie — rzekł Samson — nie chciałbym być niegrzeczny, ale wstałem dziś o świcie, a jak pisał Heraklit, *tomorrow is another day*, więc proponuję odłożyć naszą rozmowę do chwili, gdy jutrzeńka różanopalca poderwie nas ze snu.

Sylbestre wstał, prawie się nie chwiejąc, i prawie nie bełkocząc, powiedział:

— Panie pułkowniku (najwyraźniej odgadł stopień; butelkę wsadził sobie pod pachę), proszę mi wybaczyć to późne najście; życzę panu dobrej nocy.

— Resztki nocy, panie kapitanie, już tylko resztki.

4

Następnego dnia rano Samson obudził się obolały (pamiętka po dniu spędzonym w terenówce), ale z jasnym umysłem i wielkim zapasem energii, która wzywała do działania. Wyrzwał przez wychodzące na południe okno. Za mieścina Samaszki rozciągały się wielkie połacie lasu. W oddali, w wiosennym słońcu wesoło lśniły ośnieżone szczyty gór.

Samson wszedł pod prysznic, podśpiewując:

Ach, serce rośnie, radość śpiewa w duuuszy,
Gdy miłą mą u boku swego mam!

Po czym ogolił się, nucąc:

Rumak kopytem w stajni mierzwę kruuuszy,
Radośnie rzy, gotowy, by wyruszyć!

i uczesał się, kończąc dźwięcznym barytonem:

...w piemoncki kraj, królowi służyć tam!

Następnie udał się do kantyny na śniadanie. Wszyscy kłaniali mu się nieśmiało z daleka, niczym jakiejś ważnej i tajemniczej postaci. Zastąpiwszy nieśmiertelne kiełbaski jajkami na bekonie, zjadł i dał sygnał, że jest gotów rozpocząć pracę.

Oficer ochrony Crepinot okazał się byłym policjantem z Wywiadu Wewnętrznego, o wystającym jabłku Adama i oznakach silnego niepokoju,

co myśli o nim Paryż po porwaniu zakładników, za które czuł się odpowiedzialny, mimo oczywistej nieostrożności ofiar. Żeby pokazać, że jest kompetentny i zrobić wrażenie na rozmówcy, to, co miał do powiedzenia, przedstawiał w punktach. Na początku każdego zdania, nabierał dużo powietrza w płuca.

— Panie dyrektorze, jak pan z pewnością wie, nasze środki ochrony spełniają cztery funkcje: a) perswazji; b) wykrywania; c) opóźniania i interwencji; d) zakazu... Panie dyrektorze, jak pan wie lepiej ode mnie, zadania ochrony składają się z trzech części: a) definiowania środków ostrożności niezbędnych do stawiania czoła ewentualnym zagrożeniom; b) koordynowania stosowania tychże środków; c) kontroli stosowania środków i procedur... Panie dyrektorze, wie pan też zapewne, że naszym zadaniem jest identyfikowanie ewentualnych zagrożeń i określanie właściwego im współczynnika ryzyka. Można powiedzieć, że możemy się liczyć z: a) atakiem na obóz uzbrojonego oddziału, działającego: *primo*, przy użyciu siły, *secundo*, przy użyciu podstępów, *tertio*, przy współpracy — wymuszonej lub dobrowolnej — z kimś wewnątrz; b) akcją wykonaną na grupie poruszającej się poza terenem obozu w pojazdach mechanicznych, na przykład za pomocą fałszywej zapory na drodze; c) akcją na terenie budowy; d) atakiem na samolot — *primo*, na ziemi, *secundo*, w powietrzu. Dla każdego z tych przypadków obliczyliśmy współczynnik ryzyka...

Crepinot rozkładał na stole dokumenty, przedstawiał statystyki. Zaproponował Samsonowi inspekcję stanowisk kontroli, ochrony i nadzoru, wszystkich bram, warsztatów, parkingów, pomieszczeń mieszkalnych i magazynów. Wyjaśnił, jak funkcjonują identyfikatory, których system udoskonalił. Przedstawił czeczeńskiego dowódcę placówki. Pokazał działanie systemu alarmowego i komunikacji. Wy tłumaczył zasady rutynowego zachowania w przypadku ogłoszenia alarmu. Samson sumiennie wszystko sprawdzał. I wszystko zdawało się działać bez

zarzutu. Dając posłuch swemu zawodowemu skrzywieniu, postanowił jeszcze sprawdzić wyposażenie czeczeńskich strażników — każdy z nich miał gwizdek, radio, latarkę, pałkę i karabin wielostrzałowy kaliber 12.

— Panie Crepinot, muszę panu pogratulować. Mam nadzieję, że wszystkie placówki firmy są tak chronione jak pańska, która naprawdę jest *securatis securatum*. Niestety, to wszystko nie zwróci nam naszej trójki przyjaciół, którzy się ulotnili. Nie ma pan jakiegoś tropu, jakiejś sugestii co do miejsca, gdzie są przetrzymywani?

— Żadnego tropu, panie dyrektorze. Nic. Bardzo mi przykro.

Biedak naprawdę czuł się winny.

— Cóż, trudno. Chodźmy do świetlicy na piwo. Przygotujemy plan na najbliższe dni — inspekcje pomieszczeń, samochodów, alarmów przeciwpożarowych i bombowych... Bezpieczeństwo, mój drogi, to często wyłącznie kwestia czujności, a czujność trzeba od czasu do czasu podkreślać. W przeciwnym razie, przestaje być... czujna.

W świetlicy siedział Sasza w towarzystwie jakiejś blondynki o twarzy pospolitej i tępej, która pracowała w sekcji maszynistek. Samson wyciągnął Saszę na zewnątrz.

— Nie mogę ci pogratulować — rzekł Samson. — Ta dziewczyna mogłaby się nazywać Io.

— Rosyjskie przysłowie mówi: na bezrybiu i rak ryba.

— Nadstawiałeś dobrze uszu?

— Jasne. Francuzi nie powiedzieli nic ciekawego, a czeczeńskiego nie rozumiem. Bardziej się przydam, kiedy znajdziemy się w środowisku rosyjskojęzycznym.

Stali teraz twarzą do gór. Samson przyglądał się zalesionym stokom, które na długości kilku kilometrów wznosiły się niemal pionowo na ponad dwa tysiące metrów. To tam, na tych przyprawiających o zawrót głowy zboczach, armia rosyjska walczyła z rebeliantami.

— Gdybym był prezydentem Rosji — rzekł Sasza — opanowałbym równiny i pozwoliłbym *bojewikom* wygłupiać się dalej na szczytach i w grotach. I byłoby po wojnie.

— Żartujesz, mój drogi. W takiej wojnie chodzi o to, żeby odseparować jakiś teren od reszty, ogłosić jego niepodległość i doprowadzić do tego, żeby tę niepodległość uznano. Taki proces jest nieodwracalny. Nie, Rosjanie zdrowo się namęczą, ale nie mają wyjścia.

Samson omiółł góry spojrzeniem.

— Oni gdzieś tam są. Matteo, Caldens, Virginie. Na początku myśleli, że pomoc nadejdzie z przeciągu kilku godzin, kilku dni... Teraz nie wiem, czy jeszcze mają nadzieję. Ciekawe, czy wiedzą, że porywacze nie żądają za nich okupu, ale opuszczenia przez OILOC Czeczenii? List mówi, że przyznali się do niegodziwych działań, ale to nic nie znaczy, poza tym, że mamy do czynienia z syndromem sztokholmskim. Wszystko to, jak sędzę, jest po prostu rewolucyjną retoryką. Czeczenia ma dwadzieścia tysięcy kilometrów kwadratowych, z czego jedna trzecia to góry. Znaleźć tych biedaków, to... A nawet jeśli się ich znajdzie, to pytanie, czy będą w jednym kawałku... Jak tylko nasz oddział będzie się zbliżał, nasi uroczy przyjaciele wahabici z przyjemnością poderzną im gardła. Jutro, Sasza, odwiedzimy kilka osób. Możliwe, że u *French doctors* znajdziesz atrakcyjniejsze... raki.

5

— Garnier, do Siernowodka — zakomenderował Samson.

— ...wodska — poprawił Sasza. — Siernowodsk znaczy „siarkowe wody”.

— Jeśli tam pachnie siarką, to ty się na tym na pewno znasz.

— Mniej niż pan, panie pułkowniku.

— Jak to, mniej niż ja?

— Kwestia stopnia.

Od kiedy Sasza postawił nogę na ziemi rosyjskiej, zachowywał się swobodniej.

Siernowodsk znajdował się w odległości pięciu kilometrów od obozu nacierzy. Droga biegła przez łąki i pola uprawne. To właśnie nią uciekali mieszkańcy Groznego do Inguszetii, kiedy miasto zostało zbombardowane przez Rosjan, ale teraz nie było tu już ani śladu tego exodusu. Ciężarówki cywilne sprawiały wrażenie powiązanych żelaznym drutem, mijając wozy opancerzone, ustępowały im miejsca, nawet jeśli miało to je kosztować wylądowanie w rowie. Młodzi rowerzyści spotykali ubranych w kapelusze starców na osiołku i witali ich z szacunkiem. Już nie widać było tu wojny, ale jeszcze wyczuwalna była jej nieobecność.

W Siernowodsku stały równym rzędem domy z cegły, przeważnie parterowe i pokryte blachą falistą. Żelazne bramy, pomalowane zgodnie z gustem właścicieli, prowadziły na podwórka, z których wchodziło się do domów. Kobiety w chustach miały europejski makijaż, ale chodziły ubrane w dziwaczne żółte, jaskraworóżowe lub pstrokate podomki.

Największe elegantki miały na głowie wysokie białe toczki. Wiele z nich niosło koszyki, bidony i wypchane nie wiadomo czym plastikowe siatki. Inne zamiatały słomianymi miotłami lub zmywały wodą swoje podwórka i chodnik przed domem. Mężczyźni przechadzali się majestacyjnie, z ciężkimi powiekami w połowie okrywającymi zielone oczy, ubrani w kraciaste koszule i dżinsy lub w dresy, łuskając ziarna słonecznika i wypluwając łuski prosto na ulicę.

— W dzień wszyscy są cywilami; ciekawe, ilu z nich nocą staje się mudżahedinami? — zastanawiał się głośno Samson.

Minęli rynek, na którym sprzedawano warzywa, cukier, herbatę, ćwiartki mięsa oganiane od much przez sprzedawczynie, ale także uniwersyteckie dyplomy, paszporty, moździerz i broń krótką. Wyglądało na to, że mimo obecności wozów patrolowych, rosyjskie porządki jeszcze tutaj na dobre nie zagościły.

— Jasny gwint! — wykrzyknął Garnier.

— Jasny gwint! — zawtórował mu Sasza.

French doctors byli zakwaterowani w na pół zrujnowanym gospodarstwie, leżącym na południowym skraju Siernowodska. Koślawe, ceglane budynki gospodarcze przerobione zostały na pomieszczenia mieszkalne, przychodnię, laboratorium i salę operacyjną. Na podwórku, pod otynkowaną na niebiesko ścianą kucą około piętnaściora Czezczenów, czekając na badanie, zastrzyki, opatrunki, szczepionki, a może nawet amputacje.

— Podobno czeczeńskie łapiduchy załatwiały to za pomocą piły mechanicznej — powiedział Garnier. — Nic dziwnego, że ci goście wolą *French doctors*.

— Jasny gwint! — pospieszył z komentarzem Sasza.

French doctors byli na razie zajęci, ale przez uchylone drzwi wychyliła głowę ciemnowłosa pielęgniarka, która usłyszawszy język francuski, rzuciła:

— Proszę przyjechać w południe. Chętnie się z panami spotkamy. Zapraszamy na kieliszek.

— Całkiem niebrzydki raczek, co? — skomentował Samson.

W południe francuscy goście zostali wprowadzeni do jadalni, której ściany zdobiły kartki pocztowe (niektóre z nich bardzo nieprzyzwoite). *French doctors* zasiedli już za stołem. Prawdę mówiąc, prawdziwych doktorów było tam tylko dwóch — internista i chirurg, a przy stole okrytym plastikowym obrusem w kwiaty towarzyszyły im cztery pielęgniarki.

— Niech żyje poligamia — szepnął Samsonowi do ucha Sasza.

Internista był jowialnym brodaczem w koszuli rozpiętej na owłosionej piersi.

— Ja — uderzył się w pierś — jestem Ludovic — rzekł wstając, nie tyle z uprzejmości, ile żeby zaznaczyć swój autorytet. — To jest Jojo, były chirurg paryskich szpitali, co swego czasu miał pięknie wygrawerowane na miedzianej tabliczce, którą pieczołowicie polerowały mu salowe. Przepiłuję was na pół, zanim zdążycie powiedzieć dzień dobry. Zresztą wystarczy spojrzeć na jego nochal w kształcie obżyna — ma fach wypisany na twarzy. Obecne tu panie to Weronika, Beverley (pokazywał je kolejno palcem), Kiki i... jak ty się nazywasz, złotko? ... A, tak, Maria. Imię, jak panowie widzą, łatwo zapomnieć, za to jego właścicielki nie sposób. A wy kim jesteście?

Dziewczęta uśmiechały się uprzejmie. Chirurg także. Samson ocenił sytuację. Ta demonstracyjna bezpośredniość nie robiła na nim wrażenia, ale bardzo go korciło, żeby dostarczyć Dymitrowi Gołubińskiemu choćby drobnej informacji i mieć swój wkład w odbijaniu zakładników, a nie być całkowicie zdany na Rosjan. Musiał więc nawiązać miłe stosunki z tymi ludźmi, dobrze już znającymi teren. Zaczął więc ostrożnie.

— Nazywam się Gaston Sangdeboeuf. Moi przyjaciele to Rościśław i Christoph. Pracujemy w kompanii naftowej. Właśnie przyjechałem i chciałem odwiedzić krajan.

— Kłapnijcie sobie. Czego się napijecie? Martini? Ricard?

Ma obrusie widniały liczne ślady pozostawione przez szklanki, co pozwalało przypuszczać, że sprzątanie nie było ulubionym zajęciem *French doctors*.

— A czym się pan zajmuje u nafciarzy? — spytał Ludovic, jak gdyby nigdy nic, nie spuszczać oka z butelki, której zawartość rozlewał.

Kiedy Samson wypowiedział słowo „ochrona”, wokół stołu dało się wyczuć jakby zimny podmuch. Gdyby powiedział „policja” lub „wojsko” wrażenie byłoby podobnie niekorzystne i Samson zadał sobie pytanie, dlaczego wśród Francuzów wszystko, co kojarzy się z siłami porządkowymi, ma tak kiepską opinię. Zupełnie inaczej jest w krajach anglosaskich. Czy to znaczy, że podobne instytucje brytyjskie lub amerykańskie zasługują na większy szacunek lub że Anglosasi mają taki respekt we krwi? Tak czy owak, teraz należało zatrzeć to nieprzyjemne wrażenie, pozwalając tym sympatycznym ludziom opowiedzieć o ich własnej pracy, w ich oczach zdecydowanie szlachetniejszej.

— Macie wielu pacjentów?

Ale rozmowa się nie kleiła. Ciężko było skłonić Ludovica czy Jojo do opowiedzenia, dlaczego postanowili opatrywać i kroić właśnie Czechenów, zamiast robić to samo z paryżanami lub marsylczykami. Trudno też było wydobyć z Beverley i Kiki ich opinię na temat stosunków miejscowej ludności z obcymi mudżahedinami — arabskimi lub afgańskimi. Nie było też możliwości, żeby się dowiedzieć, czy Weronika i Maria wysłuchiwały jakichś zwierzeń swoich pacjentów. Zrezygnowany Samson skierował rozmowę na zakładników — czy *French doctors* znali Matteo, Caldensa i Virginie? Twarze zamknęły się jeszcze bardziej. Tak, spotkali ich, wypili razem co nieco, ta dziennikarka przyszła kiedyś węszyć po ambulatorium, ale co taka burżujka, pracująca dla świętoszkowatego pisma może wiedzieć o ich problemach? Najlepszy dowód, że dała się porwać i to nie wiadomo, dlaczego.

— Au was? — spytał Sasza. — Nigdy nie było porwań?

— Organizacje pozarządowe są zwykle oszczędzane — odparł Ludovic. — Ale nie zawsze, zwłaszcza te, które służą za przykrywkę dla wywiadu. Te bywają skubane i w sumie, trudno się dziwić. Natomiast Czecheni wiedzą, że jesteśmy tutaj, żeby ich leczyć i dają nam spokój. Zdarza się, że członkowie podobnych organizacji są porywani dla okupu, ale *French doctors* nie jest organizacją bogatą i nikt nie zapłaci milionów, żeby nas wykupić.

Gospodarze nie sprawiali wrażenia, że chcieliby zatrzymać gości, kiedy ci zaczęli zbierać się do wyjścia, jednak Ludovic odprowadził ich na podwórko. Kiedy Sasza i Garnier zostali nieco z tyłu, żeby pożegnać się z pielęgniarkami, Ludovic wziął Samsona na bok.

— Panie Sangdeboeuf, proszę nas nie brać za idiotów, wiemy, że pan tutaj przyjechał wywąchać, co wiemy. Uważa pan, że od czasu do czasu zdarza nam się opiekować jakimś rannym mudzahedinem, pójść nocą w góry z lekarstwami lub zoperować jakiegoś pacjenta, którego nie da się przetransportować. Krótko mówiąc, że posiadamy „informację”. I że, na przykład, możemy coś wiedzieć na temat miejsca, gdzie przetrzymywani są zakładnicy.

Jeśli chodzi o zakładników, to powiem tak: bardzo mi ich żal, bo to w końcu istoty ludzkie, ale szczerze mówiąc, jak się jedzie do tak biednego kraju, żeby się bogacić jego kosztem, to nie ma się co dziwić, że takie rzeczy się zdarzają. Wy zarabiacie na ropie. Czecheni na porwaniach. Porwania są tutaj znane od średniowiecza. Każdy zarabia, jak umie. I tyle. Co do informacji, to wiemy mniej, niż się panu wydaje, a to, co wiemy, nie jest przeznaczone dla pańskich uszu. Nie jesteśmy po tej samej stronie barykady, panie Sangdeboeuf. Podejrzewam, że był pan gliniarzem lub wojskowym. Wie pan, dla nas słowa kapuś i kapusta brzmią podobnie. I niech mnie pan nie próbuje brać na patriotyczne plewy — dla mnie może pan być sobie Francuzem albo czarnuchem, wszystko jedno, i tak nie będzie pan więcej wart niż każda istota ludzka.

To nic osobistego, proszę zrozumieć, więc nie ma przeszkód, byśmy utrzymywali dobrosąsiedzkie stosunki. I jeśli pan albo ktoś z pańskich ludzi zachoruje, możecie na nas liczyć, zajmiemy się wami, a poza tym, w sobotę ósmego świętujemy mój wyjazd. Więc zapraszam pana na osiemnastą, na małe co nieco. Będzie okazja, żeby zjeść i wypić. Jeśli ma pan ochotę przyprowadzić kogoś z pańskich znajomych nafciarzy, proszę się nie krępować, tylko dać nam znać, ilu was będzie. To wszystko, co mam panu do powiedzenia. Jak pan widzi, naprawdę nic do pana nie mam jako do istoty ludzkiej. Więc bez urazy i do widzenia. Proszę nie odmawiać. Zrani pan moje wrażliwe serce.

— Ależ nie mam najmniejszego zamiaru odmawiać. Zawsze miło zjeść i wypić małe co nieco. Czy dobrze rozumiem, że wraca pan do Francji?

— Myli się pan, panie Sangdeboeuf. Nie zamierzam otworzyć gabinetu w szesnastej dzielnicy. Wyjeżdżam do Afganistanu.

Samson patrzył za oddalającą się sylwetką francuskiego doktora. Jaki to tajemniczy dramat kazał mu wybrać taki sposób na życie? I jaki to rodzaj laickiej świętości lub zamiłowanie dla przygody przyгнаło do Czechenii jego towarzyszy? Samson nie znał się na psychologii, ale nie odniósłby sukcesów w swoim zawodzie, gdyby nie lubił takich ludzi...

W samochodzie Sasza powiedział:

— Może dałoby się coś wyciągnąć z tej małej Kiki. Czuję, że ten Jojo nie zadowala jej w pełni, a ona kręci z jakimś *bojewikiem* w baraniej czapie i z ładownicami na piersi. Zobaczę, czy mi się uda *bojewika* zastąpić i dowiedzieć czegoś o zakładnikach.

— Jasny gwint — rzekł Garnier bez związku. Po prostu, miał ochotę powiedzieć Jasny gwint”.

6

Sierociniec Orphans Galore, leżący wcale nie w „Aczój-Martin”, jak to wymawiał Sylbestre, ale poza Aczchoj-Martan — w Bamucie, u stóp zalesionego zbocza góry wznoszącej się nad krętymi nurtami Fortangi i Fajetonki. Także i on był niegdyś gospodarstwem rolnym i miał formę kamiennego czworoboku z obszernych, niedawno doprowadzonych do porządku budynków. Wszystkie wychodzące na zewnątrz okna były zamurowane lub okratowane. Metalowa brama była otwierana zdalnie.

Onieśmielony nieco perspektywą mówienia po angielsku z Anglosa-sami, Samson zatelefonował, żeby uprzedzić o swoim przyjeździe. Garnier o tym nie wiedział, więc zdziwił się, kiedy ciężkie skrzydła bramy otworzyły się same, odsłaniając widok na równo przycięty trawnik, gdzie przy dźwiękach jazzowej muzyki gimnastykowała się czterdziestka dziewcząt i chłopców ubranych w ładne kolorowe spodnie i koszulki. Koszulki miały na sobie amerykańskie lub angielskie napisy, dzinsy zaś były marki Levi's. Patrząc na te dzieci, nikt by nie powiedział, że znajduje się w egzotycznym i rozdartym wojną domową kraju.

— Jasny gwint! — rzekli jednocześnie Garnier i Sasza.

Na spotkanie gości wyszła młoda (no, na drugi rzut oka nie taka znowu młoda) kobieta. Miała na sobie płócienną bluzę khaki i krótką spódnicę w kolorze piaskowym, na nogach zaś białe podkolanówki i traperki. Twarz wolontariuszki okalały krótkie i naturalnie falujące włosy w kolorze popielatym. Oczy ciskały serie błękitnych błyskawic.

Otaksowała wzrokiem przyjezdnych. Garnier to kierowca, więc się nie liczył. Sasza, ze swoją czaszką w kształcie prehistorycznej siekiery, szerokimi ramionami i smukłymi biodrami, mógł być interesujący. Szeffem był ten postawny facet w średnim wieku, któremu wysuszona skóra, opięta na wystających kościach policzkowych, oraz szpakowate i przypominające rogi włosy nadawały wygląd lekko diaboliczny. Wyciągnęła do niego rękę.

— Jestem Betty.

— *Aj em veriapi tunoľju kolmi Gastonplize* [I am very happy to know you. Call me Gaston please. — Miło mi panią poznać. Proszę mi mówić Gaston]

— odparł Samson. Betty przeszła natychmiast na francuski, którym posługiwała się bardzo swobodnie i niemal bez akcentu.

— Ach, więc to pan będzie się zajmował ochroną naszych francuskich przyjaciół. (Wszyscy już o tym wiedzieli). Dobrze, że wreszcie sięgnęli po zawodowca. Zawsze jest dobrze korzystać z pomocy zawodowców. A z tego, co rozumiem, pan jest zawodowcem.

Potem zwróciła się do Saszy i wbiła w niego wzrok.

— *I am Rościsław. Call me Rosty* [Nazywam się Rościsław. Proszę mi mówić Rosty] — rzekł Sasza, wyciągając do niej rękę.

Gestem dłoni wskazała na gimnastykujące się dzieci.

— Proszę nie sądzić, że całe dnie zajmuje im tylko... *fun*. Francuzi również używają słowa *fun*, prawda? Ale to dzieci, czasem muszą się wybiegać. (Uniosła jedną brew). Robin pojechał na zakupy do Groznego, niedługo wróci. Zapraszam na drinka. Francuzi również mówią: *drink*, prawda?

— Na szczęście to słowo ma charakter międzynarodowy — przyznał Samson.

Nad trawnikiem górował taras z dachem wspartym na grubych filarach.

— Właśnie odnowiliśmy poszycie — powiedziała Betty, wskazując na grube belki i krokwie. (Samson pomyślał: „Dużo gestykuluje, jak na Angielkę, to musi mieć związek z jej szlacheckim pochodzeniem”). Proszę usiąść. To tylko zwykły rozkładany stolik, ale musimy być praktyczni, prawda? (Uniosła teraz drugą brew). Jeśli nie lubi pan łąw, proszę usiąść na tym *rocking-chair*. Po francusku też mówi się *rocking-chair*, prawda? Miło pić drinki, patrząc na gimnastykujące się dzieci. Widok jak w Folie-Bergere, prawda? Te wszystkie udka!

Roześmiała się, siadając na bujanym krześle. Ciemnoskóry mężczyzna o ponurym spojrzeniu jasnozielonych oczu podał im drinki. Powiedziała do niego kilka słów po rosyjsku i mężczyzna poszedł do siedzącego w samochodzie Garniera, żeby spytać, czego się napije.

— Ile ma pani sierot? — spytał Samson, żeby jakoś rozpocząć rozmowę.

— Dziwne pytanie do matki — odpowiedziała.

Po czym zrobiła mu okolicznościowy, wspierany statystyką wykład na temat przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Orphans Galore. Nie szczędziła pochwał Stanom Zjednoczonym, które nadały rozmach projektowi brytyjskiemu.

— Skolonizowaliśmy Amerykę dla jej dobra. Teraz ona kolonizuje nas dla naszego dobra. Zawsze miło jest wykorzystywać swojego kolonizatora, prawda?

Bujała się na krześle i przyłapała Saszę na gapieniu się na jej nogi.

— Rosty pewnie się zastanawia, dlaczego nie noszę spodni? Przecież dziś wszystkie baby, które zajmują się czymś niebezpiecznym, noszą spodnie. (Położyła uspokajająco dłoń na ręku Samsona). Tak, wiem, że po francusku nie powinno się mówić „baby”, ale ja — uniosła jedną brew — mimo to lubię mówić „baby”. Dlaczego noszę spodnie?

Niektórzy mówią, że tak wypada. A co to znaczy, że wypada? Przecież tak naprawdę chodzi wyłącznie o to, żeby umieć się zachować, prawda?

A ona umiała.

Dzieci już wróciły pod okiem opiekunki do starej stodoły, którą zmodernizowano i zniekształcono, wybijając w niej szereg kwadratowych okien, zupełnie nie przejmując się proporcjami całości budynku.

— Macie lepsze wyniki z dziećmi rosyjskimi czy czeczeńskimi? — spytał Samson.

Zastanowiła się, tym razem unosząc obie brwi na raz.

— Problem z Czeczenami polega na tym, rzecz jasna, że są inni od nas. Problem z Rosjanami zaś na tym, że oni też nie są tacy jak my.

To „jak my” brzmiało tak pogardliwie, że Sasza poczuł złość.

— A na przykład Francuzi? Jest pani pewna, że są tacy jak wy?

Betty znów się zastanowiła przez chwilę.

— Oczywiście, że nie. Nie chcę panów urazić, ale Francuzi też nie są tacy, jak my. Ale niektórzy przynajmniej się starają, prawda? Koniec końców, udało nam się was przekonać do dobrodziejstw demokracji. To prawda, że u was nie funkcjonuje ona jak u nas, ale lepsze to niż klanowy reżim Czeczenów, którzy gdy nie mają z kim się szarpać, szarpią się między sobą. Wśród dzieci mamy zwłaszcza problem językowy. Czeczeni uczą się rosyjskiego, ale Rosjanie nie uczą się czeczeńskiego, co jest oznaką wyższości Rosjan. Podobnie rzecz ma się z Anglosasami, którzy nie muszą się uczyć innych języków, co jest oznaką ich wyższości. Tu jednak sprawa jest prostsza, bo w głębi duszy Czeczeni wiedzą, że bez Rosjan i w porównaniu z Rosjanami są niczym. Śpiewają swoje nacjonalistyczne pieśni... po rosyjsku! Tak jak Irlandczycy skarżą się po angielsku na krzywdy wyrządzone im przez Anglików. To właśnie dlatego Czeczeni musieli importować sobie z Arabii i Afganistanu mudżahedinów,

którzy nawet nie mówią po czeczeńsku. Nigdy nie mieli wystarczająco wielu Czeczeńów, żeby stworzyć armię. Za dużo jest tutaj mieszanych małżeństw. Zniżyła głos.

— Wiecie panowie, dlaczego nasz Świetozar jest taki ponury? (Głową wskazała milczącego mężczyznę, który im usługiwał). Spytałam go o to. Najpierw nic nie chciał powiedzieć. Ale w końcu wyznał. Miał *girlfriend*. Po francusku też się mówi *girlfriend*, prawda? Była piękna. Ale nie mógł się z nią ożenić, bo ich klany były sobie wrogie. Ojciec i bracia dowiedzieli się o wszystkim. I oczywiście zmuszeni byli biedaczce poderżnąć gardło. Tak to się odbywa, prawda? (uniosła jedną brew). Więc jest smutny. O, proszę! Jest Robin.

Brama ponownie się otworzyła, Robin Chastow wyskoczył ze swego land rovera i podążył ku nim przez trawnik.

Na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród mężczyzn w podobnym wieku. Czterdziestolatek, wzrost średni, figura średnia, twarz raczej podłużna niż kanciasta, ciemnobrązowe włosy średniej długości. Przedziałek po lewej stronie i kosmyk nad czołem po prawej nie miały w sobie nic nadzwyczajnego. Swobodna, nieco sportowa sylwetka pozbawiona była jakiegokolwiek ostentacji. Ruchy szybkie, elastyczne i zdecydowane świadczyły o tym, że mężczyzna dba o formę fizyczną, choć nie czyni tego obsesyjnie.

Pierwsze, co zrobił, to zaprosił do stołu kierowcę, który dotąd siedział w toyocie. Nie była to prowokacja, choć wszyscy zrozumieli, że chciał w ten sposób udzielić lekcji egalitaryzmu Angielce i Francuzom. Do Samsona i Saszy zwrócił się z serdecznym uśmiechem:

— Pozwólcie panowie, że powitam panów jako ten, który przebywa w Czeczenii dłużej od was. Przyjechaliśmy tu stosunkowo niedawno, ale bardzo nas cieszy każda nowa twarz, przypominająca świat cywilizowany. Mam nadzieję, że będziemy się często widywali. A jaka

teraz pogoda w Paryżu? Pozwolisz, wicehrabino, że zapalimy?

Samsonowi spodobało się to „Pozwolisz, wicehrabino, że zapalimy?” wypowiedziane tonem, który sugerował wiele rzeczy równocześnie: że Betty jest słynną arystokratką-filantropką, niegdyś protegowaną Margaret Thatcher, hojnie finansowaną przez swego męża; że nie ma sensu udawać, że się nie zauważyło intymnej relacji łączącej ją i Robina; że Robin zna współczesne zasady stosowania tytułów w języku francuskim i celowo je łamie; że ani on, ani pani domu nie zamierzają pozbawiać swoich gości przyjemności palenia, jeśli ci mają taki nawyk. Robin zapalił papierosa Benson and Hedges, a Betty swojego, dystyngowanie manewrując zapalniczką. Samson z ulgą przypalił jedno ze swoich cuchnących cygar. Sasza powiedział: „Nie, dziękuję, lubię swoje płuca”, a o Garnierze zapomniano. Robin już nie nalegał, żeby mu przekazano informacje meteorologiczne z Paryża i gdy słupek dymu podniósł się z papierosa, którym bardziej wymachiwał, niż go palił, z udawaną, być może, obojętnością spytał:

— Przypuszczam, panie generale, że przyjechał pan poprowadzić śledztwo w sprawie zakładników i podjąć próbę ich uwolnienia?

Samson nigdy nie udzielał wskazówek, nawet w tak nieistotnej sprawie jak jego wojskowy stopień.

— Proszę nie tworzyć mitów, Robinie. Jestem Gaston Sangdeboeuf, kropka. I przyjechałem sprawdzić nasz system bezpieczeństwa oraz, naturalnie, przyjrzeć się sprawie zakładników. Czemu pan o to pyta? Ma pan może jakiś pomysł?

— Nie znałem ich. Przyjechałem już po ich porwaniu. A ty, Betty? Zdaje się, że ich spotkałaś...

— Na pewno spotkałam Virginie, która przyjechała wypłakać mi się w mankiet, bo Caldens nie zwracał na nią uwagi, a Matteo zamęczał ją swoimi awansami, a może było odwrotnie, już nie pamiętam. To nie było nic ważnego.

— W końcu zapłacicie, jak sędzę — powiedział Robin znużonym tonem. — Wszyscy w końcu płacą.

„Nie mówi tego ot, tak sobie — ocenił Samson. — Chce wiedzieć, czy były inne przypadki płacenia okupu”. Odpowiedział, omijając główny temat.

— Na ziemiach, gdzie znajduje się ropę i chce się poprowadzić rurociąg, zawsze może się zdarzyć coś nieprzewidzianego. Nagle biedni stają się bogaci, a niekiedy bogaci stają się biedni. To trochę jak — zaciągnął się cygarem — w Piśmie Świętym. O ile dobrze rozumiem, dla Czeczenów problemem jest to, że chcecie położyć łapę na kaspijskiej ropie.

Cisza. Florety obu panów były jeszcze zabezpieczone, ale obaj już na serio szykowali się do starcia. Samson dostrzegł kogoś więcej niż tylko szefa humanitarnej NGO w tym dyskretnym i uprzejmym Amerykaninie, który wyglądał na bardzo pewnego swoich mięśni, inteligencji, wykształcenia, swoich wpływów, koneksji i skuteczności, ale także (na podświadomość Samsona musiało podzielać jego zawodowe skrzywienie) — swego wykszolenia i doświadczenia, które z pewnością nie były tuzinkowe. Z kolei Robin bez trudu odgadł, że i Samson jest kimś więcej niż zwykłym nafcierzem.

Sasza przyglądał im się rozbawiony. Betty postanowiła się wtrącić.

— Nie mam zielonego pojęcia o tych waszych historiach z rurami, ale dla mnie nie ma nic nieprzewidzianego w całym tym biznesie. Używacie słowa „biznes” po francusku, prawda? Tu od wieków Matuzalemowie uciskają krewkich, młodych ludzi, którzy gdy widzą starca, padają przed nim na twarz. Pojawiają się wahabici i mówią im: „Wystarczy powalczyć, a staniecie się tak samo godni szacunku, jak ci starzy „*foggies*” — jak się mówi *foggies* po francusku?

— Dziady, ramole, pierniki — zaproponował Sacha, jakby Betty zadała to pytanie na serio.

Ona zaś ciągnęła swoją myśl:

— Ci młodzi ludzie, którzy urodzili się, żeby wojować, nie potrafią się temu oprzeć. Jakżeby mogli? Atakują Rosję, bo nie mają nikogo innego do zaatakowania, a koniec końców sami zaczynają się uważać za wahabitów. Tak, muszą zrezygnować z koniaku, ale przecież koniak to nic nadzwyczajnego, prawda? To nie jest wojna między Rosją a Czechenią. To wojna między młodymi a starymi. Jak zwykle.

— Chce pani powiedzieć, że starzy Czeczeni sprzyjają Rosji?

— Starzy Czeczeni żyją antyrosyjskim marzeniem, które sięga czasów Szamila. Wiedzą, że ich bohater narodowy został pobity w dwiętnastym wieku, nawrócił się i przyłączył do cara. Śpiewają pieśni o jego czynach — po rosyjsku, jak już mówiłam — i nigdy nie przyszłoby im do głowy wszczynać wojny, gdyby nie zachęty ze strony Arabów i Afgańczyków.

— Pozwolę sobie nadmienić, że także dzięki pieniądzom amerykańskim — rzekł naiwnym tonem Samson, żeby rozdrażnić Robina.

— Ach, czyli należy pan do tych, którzy wierzą w teorię spisku — przyjął wyzwanie Robin. — W sumie, nie przeczę, że CIA zapuściła tu kilka macek i sypnęła nieco groszem w Czeczenii, ale to było jeszcze przed *Nine-Eleven*. Od tamtej pory wszystko się zmieniło.

— Na pewno. Pytanie, czy na długo — zauważył Sasza, prowokując kłótnię.

Samson przerwał mu jednak, zwracając się ponownie do Betty.

— Czyli krótko mówiąc, uważa pani, że sprawa jakoś się ułoży, gdy Rosjanie wygrają wojnę — jeśli ją wygrają, co nie jest takie pewne.

— Przeciwnie. Rosjanie na pewno wygrają wojnę i w jakimś sensie to najgorsze, co może im się przydarzyć, bo Czeczeni będą wtedy mieli wszelkie powody, żeby się mścić, a ponieważ wendeta jest dla nich

kwestią honoru, nigdy nie zapomną ani jednego zabitego mudżahedina, ani jednej zbombardowanej *sakli*. To się może ciągnąć przez stulecia.

— A co to jest *sakla*?

— Dom — wyjaśnił Robin. — A propos domów, chcecie może zwiedzić nasze budynki? Jesteśmy bardzo dumni z tego, co nam się udało tu zdziałać w tak krótkim czasie.

Sasza został, żeby czarować Betty. Samson poszedł z Robinem, który pokazał mu salki do nauki i do zabawy, kuchnię, sanitariaty, sypialnię chłopców, sypialnię dziewcząt oraz uchylił drzwi do stołówki, w której czterdziestka dzieci opychała się *fast foodem* pod okiem czterech opiekunek — dwóch Angielek, jednej Rosjanki i jednej Czechenki. Wszystkie pomieszczenia — stodoły, składziki, stajnie i obory, zostały odnowione w pstrokatym, dziecięcym stylu. Pokoje dla opiekunek urządzono na strychu. Personel kuchenny, w tym Świetozar, mieszkał w osobnym pawilonie. Budynek główny, ten, do którego przylegał taras, miał na parterze obszerny pokój dzienny i biuro Robina, które służyło mu także za sypialnię. Na piętrze znajdowała się sypialnia (też połączona z biurem) Betty oraz mieszkanie „społecznych rodziców”.

— „Społeczni rodzice”? *Quid est* „społeczni rodzice”? — spytał Samson.

— To wynalazek Betty. Odkryła, że dzieci, które przebywały w obozach dla uchodźców, internatach i urzędowych instytucjach wszelkiej maści, łatwiej się socjalizują, jeśli zapewni im się okres przejściowy pod opieką prawdziwej pary, którą nazywają mamą i tatą, i która uczy ich najprostszych życiowych czynności: jak się umyć, jak używać noża i widelca. Rosjanin i Czechenka, których pan widział w stołówce, są małżeństwem i grają właśnie rolę „społecznych rodziców”. Dziwnym zrządzeniem losu, mają na imię Rusłan i Ludmiła — zupełnie jak u Puszkina! Betty i ja teoretycznie jesteśmy ich przełożonymi, ale przecież generał nie dokonuje zbyt często inspekcji kuchni, a Bóg Ojciec nie

zajmuje się zagubionymi psami. Wszystko działa, a my pozostajemy w zgodzie z brytyjskimi National Foster Care Association i Department of Health, jak również z rosyjskim Ministerstwem Edukacji i Ministerstwem Opieki Społecznej. W zasadzie powinniśmy tu mieć zespół rehabilitacyjny, z dziecięcym psychologiem, pediatrą, neurologiem i pedagogiem. Ale to przyjdzie z czasem. Na razie dzieci mają szansę, że nie zostaną uznane za oligofreników.

— Oligo... co?

— To ważne słowo w medycynie rosyjskiej. Wszystkie dzieci, które im się nie podobają, zostają uznane za oligofreników i zamknięte w zakładach psychiatrycznych. Nawet kodeks rodzinny Federacji Rosyjskiej z 29 grudnia 1995 roku nie chroni ich skutecznie.

— Widzę, że zna się pan na rzeczy, *mister* Chastow.

— To mój zawód. Na przykład, artykuł sto dwudziesty trzeci zaleca, żeby brać pod uwagę pochodzenie etniczne, przynależność religijną i kulturową oraz język ojczysty każdego dziecka, które ma być adoptowane, ale czy naprawdę się to robi? My, w każdym razie, próbujemy praktykować zwykłą integrację. Kim jest mały Rosjanin lub mały Czeczen, jeśli nie przyszłym obywatelem świata? Chce pan zobaczyć moje biuro? Proszę za mną, pokażę panu.

Na progu biura dyrektora Samson nagle się zatrzymał.

— Panie Chastow, proszę mi powiedzieć: czy pan lubi dzieci?

„Bardzo by mnie to zdziwiło — dodał już tylko w myślach. — Wygląda mi na zimnego drania, który nie lubi nikogo. Ciekawe, co odpowie”.

Chastow przystanął z ręką na klamce — okrągłej, metalowej gałce o automatycznym zamku, pochodzącej — podobnie jak wszystkie inne elementy wystroju — z USA.

— Czy lubię dzieci? Dużo się nimi zajmowałem. I w sumie nie wiem, czy je lubię, czy nie. Wiele z nich wyprowadziłem na tak zwaną prostą drogę. Nadzorowałem sierociniec w Petersburgu. Ale przecież nie

trzeba uwielbiać samochodów, żeby skutecznie kierować ruchem. Dla mnie praca w organizacji pozarządowej to zawód jak każdy inny.

Otworzył drzwi i Samson znalazł się w biurze umeblowanym w niezwykle funkcjonalny, a zarazem kompletnie bezosobowy sposób. Metalowe regały i szuflady. Zwykłe, choć wysokiej jakości meble biurowe. Na ścianach mapy przypięte kolorowymi pinezkami. Sprzęt elektroniczny. Przepierzenie z płyty oddzielające biuro od wąskiego pokoiku, w którym pewnie znajdowało się łóżko polowe, stolik nocny i może broń.

— Jestem pod wrażeniem — rzekł Samson. — Toż to prawdziwy sztab operacyjny, panie... generale?

Zaczepek się nie skończyły. Ale tym razem Chastow nie podjął wyzwania.

Samson podszedł do mapy. Zaznaczono na niej stacjonujące w tym regionie jednostki rosyjskie, jak również placówki organizacji pozarządowych, z odsyłaczami do poprzyczepianych obok kartek z nazwiskami ich kierownictwa, numerami telefonu w sieci Inmarsat i częstotliwościami radiowymi. Ani słowa, rzecz jasna, na temat oddziałów czeczeńskich. Samson przeszedł teraz do regałów, na których stało kilka laptopów, stacja Inmarsatu i towarzyszący jej komputer, stacja odbiorczo-nadawcza o zmiennej częstotliwości, inna stacja odbiorczo-nadawcza o zmiennej amplitudzie dla połączeń radiowych na krótki lub długi dystans, kilka walkie-talkie, jeden GPS. Samson odbył wiele misji, podczas których chciałby być tak dobrze wyposażony. Na innych regałach leżały pudła z żywnością i lekami. Niektóre nosiły napis „Prezenty” — zapewne były w nich długopisy, latarki, naczynia kuchenne, różne błyskotki — wszystko, co niedużo kosztuje, a może być przydatne, zwykła tandeta. Biblioteka zawierała poradniki — *Wychowanie seksualne młodzieży*, *Jak postępować w przypadku kazirodztwa?* — niektóre po angielsku, inne przetłumaczone na rosyjski.

— No, naprawdę jestem pod wrażeniem! Jesteście doskonale przygotowani. My mielibyśmy pewnie zaledwie zwykłe obozowisko. Wy macie skarb w fortecy. Nie boicie się, że Czeczeni pewnego dnia mogą sobie to wszystko przywłaszczyć?

— Owszem — rzekł Chastow — umieramy ze strachu — co tak naprawdę znaczyło: „Nie, nie ma takiego zagrożenia”. — Szczerze mówiąc, my, Amerykanie, niewiele ryzykujemy w tym kraju. Nasza obecność jest tak czy owak dla Czeczenów dobrodziejstwem — albo pomożemy im wygnać stąd Rosjan (jak zdają się myśleć idioci z CIA), albo nauczymy ich żyć w dobrej komitywie z silniejszym od nich (tego właśnie uczą ich organizacje pozarządowe). Poza tym wiedzą, że jeśli pozwoliliby wahabitom dobrać nam się do skóry, to możemy pomylić Czeczenię z Afganistanem i pomóc Rosjanom ich uciszyć.

Otworzył jedno z aluminiowych pudeł.

— Proszę spojrzeć, co tu mamy dla „naszych” dzieci: zdalnie sterowane samoloty i samochody, nawet Game Boye...

Samson pochylił się nad pudłem. Pełno w nim było nowoczesnych zabawek.

— Mamy też dzinsy dla dziewcząt i chłopców. I kolczyki — dla jednych i dla drugich. I akordeony. I talerzyki z naklejkami, które lubią Czeczeni. I ściereczki z nadrukiem flagi amerykańskiej — oni to uwielbiają. Tak, Gastonie, jesteśmy tu uważani za dobroczyńców, choć mamy doskonałe stosunki z Rosjanami. Niczym nie ryzykujemy. Za to wy...

Powoli zamknął pudło.

— Doskonale mówi pan po francusku, Robinie — przerwał mu Samson.

— Mam francuskie korzenie — rzekł Chastow łagodnie. — Nasze nazwisko brzmiało niegdyś Chateau. Ale wracając do rzeczy. Tak jak powiedziałem, popełniacie błąd, mieszając się w sprawy, nad którymi nigdy nie będziecie w stanie zapanować. (W tym momencie Samson zrozumiał, że Chastow doskonale wie, iż on wcale nie jest nafcierzem, podobnie jak Chastow wcale nie jest zwykłym pracownikiem NGO,

i że Chastow wie, że on wie, że Chastow wie). Czeczeni są tylko pionkami w tym, co Anglicy nazywali, jak pan zapewne pamięta, największą grą świata. Rosjanie tak naprawdę się nie liczą. Stany Zjednoczone zdają sobie sprawę, że Azja Środkowa jest kluczem do przyszłości; są tu bardzo mocno zaangażowane... Po co, jak to wy mówicie, pchać palec między drzwi? Lub, jak my mówimy, robić wycinanki piłą mechaniczną? Wie pan, Francja...

Skoro wyrafinowany Chastow wypowiedział owo „Wie pan, Francja...” takim właśnie tonem, było oczywiste, że ma zamiar upokorzyć rozmówcę.

— Proszę za mną — rzekł teraz przyjacielsko — pokażę panu piękny widok.

Weszli po schodach i znaleźli się na zawieszonym ponad dachami tarasie. Po jednej stronie rozciągała się szeroka równina. Po drugiej, niemal pionowo wznosiły się góry. Rzeźkie powietrze szczypało płuca. Przez chwilę milczeli, po czym Chastow rzekł:

— Zastanawia się pan, gdzie są pańscy zakładnicy, prawda? Nie musi pan szukać.

Wskazał na stromizny, pocięte szczelinami, najeżone skałami, krwawiące strumieniami, pokryte sierścią nieprzebytej roślinności i zwieńczone białymi szczytami.

— Są tam. Gdzieś tam — poprawił się z uśmiechem.

W drodze powrotnej Samson spytał towarzyszy:

— I co o tym myślicie?

— Jasny gwint — oświadczył Garnier.

Saszy już ten dowcip nie bawił. Przybierając zupełnie inny ton, powiedział:

— Mnie się zdaje, że Chastow z pewnością się nie nudzi z tą swoją Brytulką. Kobita ma fajny tyłeczek... — urwał, szukając właściwego słowa, po czym dorzucił rozmarzonym głosem: — Umieśniony.

Od kilku dni Samson próbował skontaktować się z Dymitrem Gołubiński.

Najpierw czekał. Potem zadzwonił. Jednak wojskowy telefonista znał jedynie rosyjski, a jeśli nawet coś tam rozumiał po angielsku, okazywało się że *mister* Gołubiński jest nieobecny.

Na razie, pozbawiony kontaktów, na które liczył, zgadzając się na misję, Samson był skazany na sprawdzanie liczby identyfikatorów i wysokości ogrodzeń z drutu kolczastego. Od Daniela przyszedł już jeden mail z pytaniem o nowe wiadomości. Czy się to Paryżowi podobało, czy nie, żadnych nowych wiadomości nie było — szczyty okolicznych gór nadal były przypudrowane śniegiem, a dolina Fontangi rozkwitała polnymi makami.

Zapadał zmierzch, gdy bojowy wóz opancerzony wojsk Federacji Rosyjskiej, eskortowany przez dwa transportery BTR-80 (jeden z przodu, drugi z tyłu), zatrzymał się przed wejściem do budynków mieszkalnych francuskiej bazy. Goście przybyli po rosyjsku — bez uprzedzenia. Po krótkiej pogawędce znaleźli się we czwórkę w skromnie umeblowanym bungalowie Samsona. Rosyjski generał (prawdziwy olbrzym) rzucał okiem na sufit, którego mógł dosięgnąć ręką i z pewnym wysiłkiem wcisnął swoje siedzenie między poręcz plastikowego fotela.

— Wytrzyma? — spytał Dymitra tonem, z którego trudno było wyczuć, czy mówi poważnie, czy żartuje.

Zażądał, żeby mu podsunięto stół pod łokcie i rozłożył je na nim szeroko, jakby chciał w ten sposób lepiej przewodniczyć obradom.

— *Nu?* — rzekł ciężko, co miało znaczyć: „I co?”.

Samson patrzył na niego z ciekawością, Sasza z ironią.

— *Nu* — odparł Dymitr i kontynuował po francusku — generał dywizji Zachar Grubko dowodzi regionem Samaszek. Niegdyś byliśmy oficerami w tych samych służbach...

— KGB — szepnął Samsonowi do ucha Sasza.

— Na skutek pewnych wydarzeń musieliśmy się rozstać — ja zająłem się interesami, a on najpierw wywiadem wojskowym...

— GRU — szepnął Sasza.

— .. a potem po prostu zwykłym wojskiem...

— O ile w ogóle można dziś mówić o zwykłym wojsku — uzupełnił Sasza.

— Pozostaliśmy przyjaciółmi i wyświadczamy sobie wzajemne przysługi, gdy zajdzie taka potrzeba.

Dymitr obrócił się do generała i dalej mówił już po rosyjsku, przedstawiając mu kolejno Samsona i Saszę. Samson nie rozumiał ani słowa, Sasza miał mu to wszystko za chwilę przetłumaczyć, jednak najpierw trzeba było rozstrzygnąć kilka kwestii. Sasza miał udawać rosyjskiego emigranta, który nie zna języka swoich przodków. Czy jednak Dymitr sprzedał to kłamstwo swojemu staremu przyjacielowi Zacharowi Grabce? A może Grubko został dopuszczony do sekretu i obaj odgrywali teraz komedię przed Samsonem? A jeśli tak, to jaką rolę w niej miał odgrywać Sasza? Czy dał Rosjanom do zrozumienia, że przyłącza się do nich, żeby oszukać Francuza, czy też może pozostał wiernym Francuzowi, żeby wyprowadzić w pole Rosjan? Dymitr musiał odgadnąć, że Samson zadaje sobie te pytania. Wszyscy zatem zajmowali się w tej chwili czymś, co Samson nazywał „jazdą figurową na lodzie”. „Kiedy trzeba udawać idiotę — zwykły mawiać — nie jestem głupszy od innych”. Poprawił się na krześle i czekał.

Generał powiedział kilka słów po rosyjsku. Dymitr przetłumaczył:

— Pan generał, któremu, za pańskim pozwoleniem, ujawniłem pański stopień, panie pułkowniku, wita pana na terytorium Federacji Rosyjskiej jako przedstawiciela dzielnej armii francuskiej, która walczyła u naszego boku podczas obu wojen światowych.

— Dziękuję — rzekł Samson — ale czuję pewien niedosyt. Powinniśmy wypić za nasze spotkanie. Niestety, Dymitrze, choć uważnie słuchałem pańskich wykładów, jestem dosyć kiepsko zaopatrzonej w zakąski. Czy pan generał zgodzi się pić samą wódkę, czy może wolałby whisky?

Patrząc spod ciężkich powiek, generał spytał, czy nie mają może koniaku. Samson zrozumiał słowo koniak i dał znak Saszy, żeby nalewał.

Generał miał ogromną głowę, zakończoną ogromną szczęką, spoczywającą bez pośrednictwa szyi na ogromnej piersi. Skóra jego policzków była gruba, ziemista i grudkowata.

— Czy pan generał orientuje się w mojej misji w Samaszkach? — spytał Samson Dymitra.

— Tak.

— Mam na myśli misję dotyczącą zakładników.

— Naturalnie.

— A czy ma dla mnie jakąś sugestię?

Dymitr tłumaczył na bieżąco. Grubko wygłosił dłuższą mowę, której Sasza słuchał uważnie, zajmując się butelkami i kostkami lodu. Kiedy Grubko zamilkł, gwałtownie niczym nagle zakręcony kurek lub strzelba, z której wystrzelono ostatni nabój, Dymitr podsumował jego wypowiedź jednym zdaniem:

— Generał sądzi, że zajmie to dużo czasu. Samson powstrzymał się od śmiechu.

— To już trwa blisko sześć miesięcy.

— Generał uważa, że sytuacja jest o tyle trudna, że tak naprawdę nie zależy od Czeczenów, z którymi zawsze daje się negocjować. Wszystko komplikuje obecność arabskich i afgańskich wahabitów dowodzonych przez niejakiego Ali Mansura.

Generał jest świadomy, że porywacze nie domagają się pieniędzy, ale wyjazdu Francuzów. Rozumie też, że chcecie odzyskać zakładników, ale nie zamierzacie opuszczać Czechenii, co służy zarówno waszym, jak i naszym interesom.

— Wiecie, gdzie są zakładnicy?

Gest bezradności Dymitra i bliźniaczy gest generała.

— O ile dobrze rozumiem — rzekł Samson, żeby postawić sprawę nieco ostrzej — mogłem równie dobrze zostać w Paryżu.

Dymitr uniósł uspokajająco dłoń. Przetłumaczył, a generał wygłosił drugą część swego przemówienia.

— Generał sądzi — podjął Dymitr — że w grę wchodzi wielkie interesy finansowe. Wie, że projekt rurociągu interesuje zarówno Rosję, jak i Francję, w przeciwnym wypadku nie przyjechałby tu z panem rozmawiać, bo ma inne rzeczy do roboty, ale jest zdania, że inwestycje francuskie zasługują na to, żeby je chronić wszelkimi środkami. On sam dowodzi dywizją lepiej zaopatrzoną, niż to bywało jeszcze nie tak dawno temu, kiedy to żołnierze rosyjscy musieli sprzedawać naboje, a czasem i broń, żeby się wyżywić, ale sytuacja daleka jest od ideału, więc czułby się bardziej komfortowo, prosząc swoich ludzi o pomoc cudzoziemskim przyjacielom, jeśli ci przyjaciele w jakiś sposób pomogliby im.

Samson zupełnie nie był przygotowany na tego rodzaju szantaż.

— Mogę panu zagwarantować jedno — odezwał się Dymitr — nawet złamany grosz nie trafi do rąk Zachara. To człowiek kryształowo uczciwy. (Poklepał ogromne kolano generała, jakby chciał mu dać do zrozumienia, o czym jest mowa). Ale faktycznie, skoro już eksploatujecie nasze ziemie i morza, to nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybyście dorzucili nieco skwarek do kaszy ludzi, którzy będą ryzykowali życie, ratując waszych ziomków.

— Dobrze — rzekł Samson. — Ja o tym nie decyduję, ale mogę przekazać pańską propozycję. Ile i za co? Jak zamierzacie odbić zakładników, skoro nie wiecie, gdzie są? Jak możecie zagwarantować, że

nie stanie im się krzywda? To naturalne, że troszczycie się o życie waszych chłopców; ja troszczę się o Virginie, Caldensa i Matteo, za których jestem odpowiedzialny. Dymitr przetłumaczył. Grubko słuchał uważnie.

— A poza wszystkim — dorzucił Samson — skoro tak pan stawia sprawę, to jaką mam gwarancję, że nie zwąchał się pan z Czeczenami? Słyszałem już historie o tym, jak Rosjanie sprzedawali zakładników Czeczenom, a następnie odzyskiwali ich za okup wpłacony przez osoby trzecie. Niech pan przetłumaczy, Dymitrze. Pański generał powinien wiedzieć, z kim rozmawia.

Jego sympatia dla Rosjan znacznie się zmniejszyła.

Dymitr powiedział kilka słów po rosyjsku. Za parę chwil, dzięki Sazy, Samson dowie się, co to było. A może się nie dowie? Nie powinno się wysyłać agenta z misją do kraju, którego języka nie zna. Generał siedział nieporuszony. Samson zaczynał rozumieć, dlaczego spotkanie odbywało się u niego, a nie w punkcie dowodzenia rosyjskiej dywizji, który musiał być naszpikowany mikrofonami.

Generał zaczął mówić coś energicznie, akcentując kilka fragmentów wypowiedzi lekkimi uderzeniami prawej pięści, która, gdyby nie uważał, rozwaliby stół. Samsonowi wydało się, że wychwycił słowo „Barbes”.

Dymitr przetłumaczył.

— Generał mówi, że Francuzi muszą zrozumieć, że nie są u siebie i że Czeczenia to nie Barbes [Dzielnica Paryża]. (Dlaczego właśnie „Barbes”?). Nie wszystko zależy od generała. Ale najważniejszy dla niego jest los dzielnych chłopców, którzy przybyli tu z wszystkich zakątków Rosji, żeby wziąć udział w wojnie, której nie rozumieją, ale która pozwoli pokazać Amerykanom figę z makiem.

— Figę z makiem?

— Eufemizm. Inaczej mówiąc: odesłać ich do domu.

— W porządku — rzekł Samson. — Wobec tego pytam raz jeszcze: ile i za co?

Generał wstał. Wysoko, tuż pod sufitem wychylił ostatni kieliszek koniaku. Była w tym człowieku siła i energia, które robiły wrażenie na Samsonie.

— Pożyjemy, zobaczymy. Zadzwoń do pana, pułkownika, jutro rano. Albo pojutrze. Proszę się nie obawiać. Przesiadywanie tutaj nie leży w moim interesie. Mój kawior i kałasznikowy beze mnie się nie sprzedadzą. Ile i za co — zapamiętałem.

Samson i Sasza odprowadzili Rosjan do samochodów. Ciekawe, jak zmieniają się relacje między ludźmi! W Petersburgu Samson czuł się prawie Rosjaninem. W Samaszkach zastanawiał się, kto właściwie próbuje go wystrychnąć na dudka...

— I co? — spytał, gdy znaleźli się z Saszą sam na sam, myjąc kieliszki.

— A to — odparł Sasza, a w jego jasnych oczach płonął ogień, który próbował ukryć — że proponują panu transakcję, w której mają wszystko do zyskania (płaci pan z góry) i nic do stracenia. Jeśli nie znajdą zakładników, to dlatego, że to niemożliwe. To zresztą pewnie jest niemożliwe. Widział pan te góry?

Samson usiadł w jednym z plastikowych foteli, żeby dopić resztkę whisky. Sasza tańczył przed nim jak pajacyk.

— Po czyjej jesteś stronie, Sasza? — spytał Samson ze znużeniem (wypił więcej niż zwykle). — Czy nadal jesteś ze mną, czy może miałem rację, zakazując ci powrotu do kraju twoich przodków, bo teraz należysz do nich? Pracujesz dla Dymitra przeciwko mnie czy dla Zachara przeciwko Dymitrowi? Kim ty jesteś, Sasza?

Sasza, który także sporo wypił, wziął dwa kieliszki, podrzucił je w górę, złapał, przerzucił z ręki do ręki, złapał, znów podrzucił... Samson nie wiedział o tych jego talentach żonglerskich i patrzył na niego zafascynowany niczym dziecko.

— Jesteś niezwykle zdolny, Sasza. Tym bardziej mnie niepokoisz. W co ty właściwie grasz?

Sasza delikatnie odstawił kieliszki na stół i opadł na wykładzinę z rękoma splecionymi pod głową.

— Kim jestem? Zastanawia się pan, czy gram w grę Francuzów czy Rosjan. Ależ pan jest powierzchowny, Samsonie! Czy gra rosyjska lub francuska zawsze jest ta sama? My, Francuzi, zmieniamy prezydenta i parlament jak rękawiczki. Jaka więc jest ta gra francuska? A my, Rosjanie, jaką właściwie grę rozgrywamy między naszym Jelcynem a Putinem? Czy grając w grę pozornie rosyjską, nie grałbym tak naprawdę w grę francuską? I *vice-versa*? Chce pan wiedzieć, kim jestem? Jestem mityczną postacią, którą ostatnio ochrzczono mianem Interfejs. Oto jak informatyka miesza się do filozofii. Interfejs to koncepcja nowa, ale nie pozbawiona prekursorów i rosyjski emigrant we Francji na usługach Rosji jest tego, być może, najlepszym przykładem. Mówiąc naukowo, jestem miejscem geometrycznym podwójnego podporządkowania. W każdym razie...

Wstał ze zrećznością akrobaty i klęcząc, wyszeptał Samsonowi do ucha:

— Oczywiście może pan podejrzewać, panie pułkowniku, że pracuję dla NICH. „Oni” to straszne słowo, prawda? Można je wypowiedzieć tylko z samej głębi: ONI! To jak czknięcie, jak wrzask. „Oni” to potwory z bajki, bo „Oni” znaczy INNI! Ale jacy INNI? To prawdopodobnie jedyne ważne pytanie metafizyczne: kim jest ten „inny”? Czy w naszych czasach istnieją jeszcze wilkołaki, które noszą to straszne imię ONI? Dobra, zostawmy metafizykę. Nie wiem, czy pozwolili mi to usłyszeć specjalnie czy przez nieuwagę, choć osobiście skłonny raczej jestem sądzić, że „specjalnie”, jeśli chodzi o Dymitra i „przez nieuwagę”, jeśli chodzi o jego kumpla, który wygląda jak żalobny kurhan, nie jak człowiek. Jak wychodzili, generał powiedział do Dymitra: „Ten twój Francuz jest naprawdę śmieszny z tymi zakładnikami — od pięciu miesięcy wiemy, gdzie są, ale nic nie możemy zrobić”.

Samson kazał mu powtórzyć.

— Wiedzą, gdzie są zakładnicy?

— Tak zrozumiałem.

— I próbują nam sprzedać tę informację, wiedząc, że nic z nią nie zrobimy, tak jak i oni nic nie mogą zrobić. Tak, Sasza?

— To może nieco bardziej subtelne, panie pułkowniku — odparł Sasza.

Samson do Daniela, szyfrowany e-mail:

Sytuacja tutaj to totalne SNAFU [SNAFU — skrót od *Situation Normal, All Fucked Up*; akronim wymyślony przez amerykańskich żołnierzy w czasie II wojny światowej na określenie chaosu jako stanu normalnego; na język polski można przetłumaczyć to jako: Sytuacja Normalna, ale Fatalnie Upierdliwa]. Jeśli twój angielski jest za słaby, przetłumacz to sobie jako „sytuacja normalna, czyli totalny burdel”. Zakładników przetrzymują jedni, ale negocjować trzeba z innymi, bo ci pierwsi, jak wiesz, nie chcą pieniędzy, a ci drudzy nie powiedzą nie. Wygląda na to, że ci drudzy wiedzą, gdzie ci pierwsi przetrzymują zakładników, co pokazuje, że oba obozy utrzymują ze sobą kontakty, jak to się często zdarza w wojnach o charakterze rewolucyjnym. Wszystkie te hipotezy brzmią prawdopodobnie, ale zastanawiające jest to, dlaczego ci, którzy wiedzą, jeszcze nie podjęli działania w celu wykorzystania tych informacji, które zdają się uznawać za pewne. Czy od początku mieli zamiar nam je sprzedać? Z drugiej strony, czy informacja, której nie można wykorzystać, ma wartość handlową? Sam zdecyduj. Ja spytałem ich: ile i za co? Czekam na odpowiedź.

Oczywiście, prowadzimy tu także nasze własne małe śledztwo. Na razie jego wyniki rozczarowują. Nie dostałem jeszcze obiecanej mi czeczeńskiego tłumacza, a kontakty z Europejczykami z Zachodu, którzy zapędzili się na te rubieże, mają temperaturę bliską zeru. Mamy tu Francuzów, takie hipisowskie typy, raczej wrogo nastawionych (postaram się o ich nazwiska, żebyś je mógł przepuścić przez bazy danych)

oraz Amerykanina, niejakiego Robina Chastowa, tak obnoszącego się ze swoją wiedzą na temat rosyjskich sierocińców, że jak na moje oko, to musi być przykrywka. Tylko co może robić facet takiego kalibru w dziurze na końcu świata, gdzie nie ma mowy o zdobyciu jakichś informacji taktycznych — *that is the question*.

Co do reszty, to moim zdaniem, możecie mieć pełne zaufanie do Sylbestre'a i Crepinota. Mogę wam sprawdzić inne placówki, kiedy tylko poradzę tu sobie z tym małym węzłem gordyjskim, w sprawie którego — jak pamiętam — nie życzycie sobie „hałas, bicie piany i rozgłosu”. Interpretuję to jako polecenie działania w białych rękawiczkach. Nie zamierzam więc pospieszać Rosjan — to im może *facere pedes*. [*Facere pedes* (łac.) — łacińskie tłumaczenie francuskiego zwrotu *faire les pieds*, oznaczającego „dać komuś nauczkę”]

Cześć i czołem.

8

Samson nie zdołał jednak wcielić w życie zasady, żeby spieszyć się powoli. Nadchodzące wypadki miały wywrócić do góry nogami jego podejście do sprawy.

W sobotę życie w bazie toczyło się leniwie, więc pozwolił sobie na dłuższe poranne polegiwanie w łóżku, sjęstę po obiedzie i *dolce far niente* po południu. Wskoczył też do sklepu, nazywając to po wojskowemu „aprowizacją”. Nie chciał się zjawić u *French doctors* z pustymi rękami. W sklepie spotkał Saszę, który wpadł na ten sam pomysł.

— Zawieziemy im ze dwie butelki porządnej whisky. Dzięki temu nie będziemy musieli pić tych ich świństw.

Napełnili siatki butelkami szlachetnego trunku i puszkami wyrafinowanych konserw — delikatnego *foie gras*, pasztetu z kwiczoła, przepiórek w galarecie i pieczonych kasztanów w cukrze, zgodni co do jednego: „Ci goście stroją fochy, bo jesteśmy nafcierzami; jedyny sposób, by pokazać im, gdzie ich miejsce, to urządzić im ucztę, jakiej nie posmakowali”.

Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, ale drzewa rzucały już ukośnie cienie, gdy terenówka zatrzymała się przed siedzibą *French doctors* w Siernowodsku. Między budynkami z cegieł stało już kilka samochodów, a między ścianami tłukło się echo głośnej, rockowej muzyki. Ludovic przywitał „nafcierzy” jak starych przyjaciół. Chirurg Jojo zaryzykował zawodowy żart w stylu „kleszczowego uścisku dłoni”. Weronika, Beverley, Kiki i Maria gorąco powitały Rościśława i Christophe'a (Samson raczej je onieśmiał). Było tam jeszcze trzech

rosyjskich podoficerów w mundurach i dwie czeczeńskie dziewczyny w spódniczkach ledwo zakrywających pośladki („Tatusz mi pozwolił”). Wkrótce przybył czeczeński aptekarz i żydowsko-rosyjski dentysta z żoną. W bawialni pod ścianą ustawiono pokryty wytłaczanym papierowym obrusem stół, uginający się pod jedzeniem, napojami, kartonowymi talerzykami, papierowymi serwetkami i plastikowymi sztućcami.

— Przyjęcie w formie bufetu, tak jest fajniej — wyjaśnił Ludovic.

Rozległ się dźwięk klaksonu i przed wejściem zaparkował land rover Orphans Galore. Z samochodu wyskoczyła Betty, ubrana w obcisłą czarną suknię z diamentową broszką, za nią zaś podążały dwie angielskie opiekunki w dżinsach. „Społeczni rodzice” zostali w obozie z dziećmi.

— Robin nie przyjechał? — spytał Samson, pochylając się nad dłonią Betty.

— Strasznie się pochorował — odparła ze śmiechem. — Ma biegunkę. Powiedziała mi, że to dlatego, że Amerykanie nie są przyzwyczajeni do naturalnej żywności. Nie mają więc naturalnych mechanizmów obronnych. Ludovic był nawet tak miły, że przyjechał go zbać.

— Łało się z niego z obu końców — stwierdził Ludovic. — Dałem mu końską dawkę leku. Jutro powinien się poczuć lepiej, ale będzie jeszcze przetrącony.

— Przez cały dzień siedział zamknięty w swoim pokoju i nikt go nie widział. Nawet ja musiałam używać *loo* dla personelu. Zdaje się, że słowo *loo* pochodzi od francuskiego słowa *lieu* [*Loo* (ang.) — ubikacja; *lieu* (fr.) — miejsce]. Wiedział pan o tym?

Uniosła brew.

Samsona rozbawił ten upór, z jakim niektóre Angielki, gdy tylko nadarzy się okazja, obrażają ducha królowej Wiktorii.

Noc zapadła nad doliną i było coraz mniej płynu w butelkach. Każdy tańczył, jak mu w duszy grało, zgodnie z modą, która napawała Samsona zdumieniem — jaki jest sens tańca, jeśli nie można trzymać w ramionach osoby płci przeciwnej? On sam pozwolił sobie jedynie na kilka wolnych tańców z giętką jak wierzbowa gałązka Betty, kiedy nagle, o godzinie 22....

— Światła! — wrzasnął Samson. — Światła! Światła!!! Zgaście światła!

Strzelano z wszystkich stron. Serie z karabinów, wybuchy. Ktoś w końcu zgasił światło w sali. Wciąż jednak świeciła się girlanda światełek między budynkami.

— Odetnijcie zasilanie! — rozkazał Samson.

Ktoś pobiegł, żeby po omacku wyłączyć generator.

Strzelano z wielkiego i małego kalibru. Salwy z moździerzy tworzyły *basso continuo*. Nagle seriami zajęczały katiusze. Na niebie widać było przecinające się smugi pocisków.

Samson, Ludovic i Betty stali w pewnej odległości od drzwi. Za nimi tancerze położyli się pokotem na podłodze, poza Saszą, który z zimną krwią wykańczał butelkę *single malt*.

— Zdaje się, że ma pan w tym doświadczenie — rzekł Ludovic do Samsona. — Co się dzieje? Zaatakowano nas?

— Nie nas. Czeczeni atakują pozycje Rosjan. Rosjanie odpowiadają we wszystkich kierunkach. Czeczeni są tak blisko, że Rosjanie nie mogą poprosić artylerii o wsparcie. To może chwilę potrwać i na pewno zabłąka się tutaj niejeden pocisk. Macie jakąś piwnicę?

— Tuż pod nami.

— Na wszelki wypadek wszyscy tam zejdźcie.

Obyło się bez paniki. Tancerze i tancerki w ciszy udali się do piwnicy. Niektórzy drżeli ze strachu, ale nikt nie wpadł w histerię. Nie pierwszy raz zostali wzięci w dwa ognie. Podwórze rozblyskało co chwila na biało od rozrywających się w pobliżu pocisków, lub na czerwono i zielono od rozpryskujących się na niebie rac. Nagle Samson dostrzegł tam

jakąś sylwetkę. Była to Betty, w tej scenerii wyglądająca zupełnie absurdalnie w swojej czarnej sukni i diamentowej broszce. Podbiegł do niej.

— Dokąd się pani wybiera?

— A jak pan sądzi? Zadzwoń do Robina, rzecz jasna.

Wokół głów gwizdały im rykoszety. Cegły pryskały na wszystkie strony. Nietknięci dotarli do biura Ludovica.

— Wiem, gdzie jest radiotelefon — powiedziała Betty — ale nie jestem pewna, czy w tych ciemnościach trafię na właściwe przyciski.

— Mam zapalniczkę — odparł Samson.

Płomień zapalniczki oświetlił ich profile. Popielate włosy Betty wciąż były nienagannie uczesane.

— Halo, Robin? Słyszysz to co ja? ... Musimy zejść do piwnicy... A jak twój żołądek, „*darling*”?... (Jej angielski był suchy, wyraźnie akcentujący wszystkie lid). Uspokój dzieci. Muszą umierać ze strachu...

Odłożyła słuchawkę.

— Z jego żołądkiem lepiej. Mówi, że lepiej teraz nie wracać.

— To prawdziwe *understatement* [Delikatnie powiedziane] — rzekł Samson.

Zadzwoił do Sylbestre'a. Wybuchło u nich kilka pocisków, ale odpowiedź Rosjan ostudziła nieco zapal atakujących. Żadnych ofiar. Samson wziął wicehrabinę za rękę.

— Chodźmy. Biegiem.

Pędem przecięli podwórko. W piwnicy *French doctors* i ich goście rozkładali się na klepisku przy świetle dwóch lamp naftowych. Zniesiono tu jedzenie i napoje. Echa strzelaniny docierały do nich mocno przytłumione. Beverley poszukała schronienia w ramionach Garniera, który wciąż powtarzał: „No, jasny gwint!”, głaszcząc ją po ramieniu. Sasza i Kiki ukryli się w odległym kącie pomieszczenia. W innym narożniku

widać było niewyraźne sylwetki rosyjskich podoficerów i czecheńskich krótkich spódniczek.

Dokładnie o północy ofensywa została przerwana. Jeszcze przez jakiś czas trwała chaotyczna odpowiedź Rosjan, a do samego rana słychać było od czasu do czasu ostrzegawcze wystrzały. Jednak wyglądało na to, że incydent dobiegł końca. Całe towarzystwo wróciło na górę, żeby poszukać materacy i koców. Pogaszono lampy naftowe i wśród stłumionych śmiechów, sztubackich żartów i piosenek nuconych przez podoficerów, wszyscy zasnęli w zaimprovizowanym, a przez to bardzo obiecującym nieładzie.

Samson i Ludovic przypadkowo znaleźli się tuż obok siebie.

— Niezłą panu zafundowali ostatnią noc w Czechenii — rzekł Samson w ciemnościach. — Ufutowali pana na swój własny sposób.

Lekarz prawie już spał.

— Przed wyjazdem zajrzę jeszcze do sierocińca — mruknął. — Muszę sprawdzić, jak tam jelita Robina...

9

Wstali bladym świtem. Podoficerowie, młode Czeczenki i dentysta z żoną chcieli jak najszybciej wrócić do siebie. Betty znowu wywołała sierociniec przez radio. Ale sierociniec nie odpowiadał. Samson zadzwonił do bazy. Baza odpowiedziała. Wymienili spojrzenia.

— Odwieziemy panią — rzekł Samson. Może czuł się odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo, a może dręczyły go złe przeczucia.

— Jadę z wami; zobaczę, jak tam kanalizacja Robina — rzekł Ludovic.

Dojeżdżając do fortecy Orphans Galore, zobaczyli, że brama została sforsowana przez wóz bojowy lub ciężarówkę.

Na środku podwórza, w kałuży zakrzepłej krwi ujrzeli Świetozara — leżał na plecach, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Na ścianach było pełno śladów po kulach.

W okratowanych oknach obydwu sypialni wniebogłosy wydzierały się dzieci, a ich „społeczna matka” Ludmiła trzymała się za głowę, krzycząc *Moj muž! Moj muž!*. „Szuka męża” — wyjaśnił Sasza.

Drzwi do biura Robina były na oścież otwarte.

Betty rzuciła się ku nim. Samson poszedł za nią.

Biuro było puste.

Puste.

Zabrano wszystko — mapę, telefon, radioodbiorniki, komputery, stację Inmarsatu, GPS, aluminiowe pudła.

Betty i Samson weszli za przepierzenie. Łóżko było zaścielone.

Podwórze rozbrzmiewało krzykiem i szlochem. Ludovic podbiegł do drzwi, które wychodziły na korytarz łączący obie sypialnie. Drzwi były pospiesznie zabite deskami od zewnątrz. Natomiast te od pawilonu stały otwarte na oścież. Cały personel zniknął.

Gdy Ludovic odrywał przybite do drzwi deski, Samson i Sasza weszli na piętro, gdzie mieszkali „społeczni rodzice”. Znaleźli tam leżącego na łóżku Rusłana.

Miał gardło poderżnięte od ucha do ucha.

Zeszli na dół.

Betty stała po środku podwórza, blada, ale silna. Rzuciła Samsonowi pytające spojrzenie. Sasza przeciągnął palcem po szyi.

Drzwi do sypialni w końcu stanęły otworem. Dziewczęta i chłopcy runęli na zewnątrz, wyjąc niczym zwierzęta. Płaczące opiekunki przytulały wszystkich po kolei. Ludmiła wyszła jako ostatnia. Sasza podbiegł do niej.

— Co tu się wydarzyło? Niech pani mówi.

Kobieta szlochała.

— Ludzie w kominiarkach... Strzelali we wszystkie strony. Założyli panu Chastow worek na głowę... Jednego ogłuszył. Wrzeszczeli: „Gdzie pozostali? Gdzie pozostali?”. Szukali Betty i opiekunek.

— Świetozar próbował się bronić?

Nie, nie. Po prostu do niego strzelili, bo stał im na drodze. Ale Rusłan, co z Rusłanem?... Wykręcała dłonie.

— Dam jej środek uspokajający — powiedział Ludovic. — Tobie też, Betty.

Wicehrabina zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

— Czy wyglądam, jakbym go potrzebowała?

ROZDZIAŁ V

MĘCZENNIK I BOJARZY

Wiosna 2002

1

Nikt nie wiedział, gdzie urodził się Szahid.

W Afganistanie? W Jordanii? W Arabii Saudyjskiej? W Jemenie? W Egipcie? W Maghrebie? W Europie? Jak każdy muzułmanin, był ponadnarodowy. Bił się w Afganistanie, w Bośni, w Kosowie, w Czecze-
nii, a może i gdzie indziej. Nie było nawet wiadomo, czy jest muzułma-
ninem od urodzenia, czy też się nawrócił. Nie miał żadnych związków z
siatką Bin Ladena. Niektórzy podejrzewali, że należał do grupy Bin
Lazemiego, której członek, dawny chrześcijanin, niejaki Si Lachdar,
zginął tak bohaterską i bogobojną (na jedno wychodzi) śmiercią w
Monterosso.

Szahid był wojownikiem Allaha, ale wyglądało na to, że wo-
jownikiem samotnym.

Powszechnie znana była jego namiętność do materiałów wy-
buchowych, którymi posługiwał się prawdziwie po mistrzowsku. Opo-
wiadano, że był zamieszany w podłożenie ładunków pod ambasadę i
liniowiec (oba obiekty były amerykańskie), a w końcu stał się sławny w
świecie muzułmanów (miliard ludzi, lekko licząc) dzięki „zabójczym
nieboszczykom”. Ach, jaką uciechę — od Casablanki przez Chartum i
Islamabad po Dżakartę — wywołali ci „zabójczy nieboszczycy”! A
jeszcze większa radość wybuchła w meczetach zakonspirowanych po-
śród podziemnych parkingów Nowego Jorku, Londynu czy Paryża! Był
to wyczyn mniej spektakularny od *Nine-Eleven*, ale o ileż bardziej wy-
rafinowany i znaczący.

Nie wiadomo było, kiedy Szahid wybrał drogę męczennika, ale to nie miało znaczenia. On zaś mówił otwarcie: „Zawarłem umowę z Allanem — zabiję dla Niego tylu niewiernych, ilu się da, a On mnie za to nagrodzi rajem”. Co rozumiał poprzez „raj”? Siedemdziesiąt nieustająco dziewiczych hurys (lub, jeśli kto woli, młodzieńców — Koran sugeruje i taką możliwość)? A może interpretował te obietnice symbolicznie? Nikt go nigdy o to nie spytał.

Mawiał też (notowano jego słowa, już teraz uważane za święte): „Nasza nienawiść ma większą siłę od atomu”.

Lubił cytować *Gulistan*: „Woda ze studni chrześcijan jest nieczysta, ale wystarczy, żeby obmyć ciało żyda”.

W jakimkolwiek kraju muzułmańskim się znalazł, każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko wiedzieli, co znaczy goszczący na jego twarzy uśmiech mistycznej radości. Męczennik przeznaczony był śmierci z miłości do Boga. Czekał tylko na okazję.

Najczęściej kazał się nazywać Husajnem, przez szacunek dla wnuka Mahometa, syna Fatimy, córki Proroka, pierwszego męczennika muzułmanów, którego pamiątkę śmierci obchodzi się podczas święta Aszura dziesiątego dnia Muharramu — pierwszego miesiąca kalendarza muzułmańskiego. Nikt nie wiedział, jak się nazywał naprawdę.

Jego oczy przypominały lustra.

2

Pod nazwiskiem Samira Ibrahima z Bejrutu zameldował się w „Miedzianym Jeźdźcu” — jednym z najbardziej dyskretnych hoteli Petersburga, położonym blisko pałacu Myszkiców. Pokój zarezerwował już jakiś czas temu. Jego libański paszport był w najlepszym porządku i miał wszystkie wizy, odpowiadające spreparowanemu życiorysowi.

Następnego dnia po przyjeździe zadzwonił do Biblioteki Narodowej i poprosił do telefonu dyrektora, powołując się na wcześniejszą wymianę korespondencji. Mikołaj Władimirowicz Krolikow przyjął go godzinę później.

— Czego dokładnie pan potrzebuje? — spytał. — Personel Biblioteki Narodowej dołoży wszelkich starań, żeby panu dopomóc.

Ten poważny młody człowiek w okularach i pod krawatem bardzo mu się podobał. Fakt, że był muzułmaninem, nie miał żadnego znaczenia — Rosjanie współżyją z islamem od ośmiuset lat. W wioskach, gdzie nie ma meczetu, muzułmanie przychodzą się modlić do cerkwi, w wioskach, gdzie nie ma cerkwi, chrześcijanie mają swój wydzielony kącik w meczecie. Prawosławie pozbawione jest prozelityzmu, podobnie jak rosyjski islam.

— Mikołaju Władimirowiczu — rzekł Libańczyk w bardzo przyzwyczajonej ruszczyźnie — wie pan, jakie związki łączą mój kraj z Francją, waszym odwiecznym sojusznikiem. I wie pan także, iż w dziewiętnastym wieku Francja i Rosja miały liczne problemy z dwoma wielkimi wodzami muzułmańskimi, którzy wypowiedzieli im szlachetną wojnę,

w której w końcu musieli się poddać — jeden Ludwikowi Filipowi w 1847 roku, a drugi Aleksandrowi II w 1859. Chodzi o Abd el-Kadera i imama Szamila, bohatera tak zwanych wojen murydzkich.

— Tak, tak — potwierdził Krolikow.

Była już jedenasta, więc Mikołaj Władimirowicz czuł, że najwyższa pora otworzyć szafę z napisem „Inkunabuły”. Zastanawiał się tylko, czy wypada zaproponować kieliszek gościowi — w końcu są muzułmanie i muzułmanie.

— Wie pan lepiej niż ktokolwiek — mówił dalej „Samir Ibrahim” — że islam rozdarty jest między różnymi dążeniami: marzeniem o zjednoczeniu z jednej strony i niezwykle silnymi bractwami z drugiej, choć między obydwoma tendencjami niekoniecznie musi zachodzić sprzeczność. Szczególnie sufizm i marabutyzm odegrały istotną rolę w Maghrebie, ale pozwolę sobie powiedzieć, że kaukaskie bractwa mistyczne Kadirija i Nakszbandija, które — związane, odpowiednio, w jedenastym i czternastym wieku — legły u podstaw murydyzmu, także mają swój wkład w myśl zarazem mistyczną, jak i narodową. Proszę do tego dorzucić fakt, że Szamil i Abd el-Kader w końcu się spotkali.

— Naprawdę? Osobiście? Te dwie chodzące legendy? — zdumiał się Krolikow.

— Ależ tak. Obaj wprawdzie byli więźniami, ale ich chrześcijańscy zwycięzcy zapewniali im bardzo dostatnie i wygodne życie, pozwalając nawet podróżować pod słowem honoru. Dzięki temu w 1870 roku, w Suezie, w drodze do Mekki, skrzyżowały się losy obu pielgrzymów. Proszę tylko pomyśleć, ile mieli sobie do powiedzenia o historii islamu, chrześcijaństwie, kolonizacji i całej planecie ci dwaj pokonani, ale nieugięci hadži... Oto temat mojej pracy, w której może mi pan pomóc, ponieważ rosyjska Biblioteka Narodowa posiada olbrzymią kolekcję dzieł poświęconych wojnom murydzkim.

— Proszę za mną, pokażę panu nasze pomieszczenia, gdzie zawsze będzie pan mile widziany — rzekł Krolikow, wstając z fotela. — Za chwilę wrócimy tu, jeśli pan zechce, żeby się czegoś napić.

Zwiedzili bibliotekę ufundowaną w 1795 roku przez Katarzynę II. Dziś biblioteka, pozbawiona już obserwatorium, które zostało do niej dobudowane w 1796 roku, oraz otaczającego ją w tamtych czasach parku, „pełnego zakątków, gdzie mogły zaznać odpoczynku umysły zmęczone lekturą uczonych dzieł”, nadal pozostawała jedną z najlepszych na świecie pod względem liczby i wyboru przechowywanych książek. Pod jej sklepieniami ciągnęły się długie galerie regałów wypchanych po brzegi tomami w drogocennych okładkach. Portrety carów sąsiadowały tu z plakatami z epoki komunizmu. Masywne, drewniane i okryte zieloną materią stoły oświetlone były pojedynczymi abażurami, zachęcając do pracy umysłowej. Staromodne kartoteki wznosiły się aż pod sufit. Witryny ukazywały światu arabskie, zdobne rękopisy, pantagrueliczne karty dań wymalowane w starorosyjskim stylu, fotografie brodatych postaci zgromadzonych wokół samowara. Kręte schodki wwiercały się w półmrok sufitów. Małe wagoniki zawieszane na linie w połowie wysokości sal, trzęsąc się i podrygując, dostarczały czytelnikom zamówione książki. Mikołaj Władimirowicz wprowadził Libańczyka do laboratorium, w którym odnawiano przesuszone karty i nadgniłe okładki książek, do rotundy, do sal zawierających zbiory Woltera i Diderota, a nawet do świętego świętych, czyli do „gabinetu Fausta”, którego różowe kolumny i niebieskie łuki wyglądały jak dziełnastowieczna scenografia średniowiecznej opery, a który skrywał, rozłożone na ciężkich pulpitych z ciemnego dębu, palimpsesty z pergaminu, manuskrypty z cielejącej skóry i stare mapy, w tym malowane na wachlarzach. Za każdym razem, gdy Krolikow zatrzymywał „Samira Ibrahima” przed jakimś wyjątkowym, iluminowanym w zielono-złoty arabskich tekstem Koranu, Husajn myślał:

„Pewnego dnia ten też będzie nasz”.

W końcu, poczęstowany jak należy kieliszkiem wódki i zaopatrzony we wszelkie pozwolenia, umożliwiające mu pracę nad wojnami murzydzkimi, Husajn znalazł się na świeżym powietrzu Newskiego Prospektu.

Szedł piechotą.

Niebo było niebieskie, wiosenne, wysoko wiał porywisty wiatr, przeganiając chmury, okrągłe niczym białe pompony. Ponad wodami kanałów polatywały szare kruki i żółtawe mewy. W perspektywie ulic błyszcząły złote i zwieńczone krzyżami kopuły.

To nie była pierwsza wizyta Husajna w Petersburgu, ale nigdy jeszcze nie czuł w sobie takiej nienawiści do jego pomników, ulic, nieba i mieszkańców. Zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się, dlaczego jego nienawiść do Rosji jest aż tak silna.

Poza wszystkim, nienawidził też Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych, w których zdarzyło mu się przebywać. Ale Zachód był już dla niego jedynie jednolitą, przypominającą ketchup magmą, w której zacierają się wszelkie różnice, i której duchowość skazana jest na zagładę. Tylko władza islamu — myślał — może pozwolić Zachodowi uciec przed zalewem kultury coca-coli.

Rosja to co innego. Tak świetnie poradziła sobie z wchłonięciem milionów muzułmańskich Tatarów i przerobieniem ich na wiernych wyznawców prawosławia! I z takim poważaniem potraktowała tych muzułmanów, których nie udało jej się wchłonać! Francuz Lyautey był pełen podziwu dla rosyjskich metod kolonizacji, które według niego nie były „ani zbyt kosztowne, ani zbyt trudne”. Kto pod koniec caratu zaproponował Mikołajowi II, żeby pozbyć się raz na zawsze rewolucyjnej zarazy? Chan muzułmański. W odróżnieniu od Anglosasów, Rosjanie rozumieli od samego początku, że nie można być i kolonizatorem, i rasistą. W największej wojnie wszech czasów, wojnie dwudziestego

pierwszego wieku, potężny Zachód (choć nie tak bardzo potężny, jak się sądzi, czego dowiodły wypadki *Nine-Eleven*) będzie bronił, niezależnie od wszystkiego, wartości *stricte* ekonomicznych; Rosja — duchowych. A Szahid nie lekcewał wartości duchowych — Sidi Ai'ssa [Arabska forma imienia Jezus] omal nie podbił świata, wyruszywszy ze skromnego warsztatu cieśli w Nazarecie, a Prorok, opuściwszy Medynę na jednym wielbłądzie, wkrótce narzuci swoje prawo całej ziemi. Podstawową wadą Rosjan zawsze był pewien rodzaj globalizmu *a rebours* (na temat którego Dostojewski stworzył całą teorię), realizujący się nie tyle poprzez niwelowanie różnic, ile poprzez ich gloryfikację, w której to Rosjanie są prawdziwymi mistrzami. Islam tego nie tolerował. Tylko Rosjanie mogli sobie z nim poradzić (jak za Dżyngis-chana), a potem go udomowić (jak za Iwana III) — zabrało im to trzysta lat, ale w końcu tego dokonali.

Husajn przemierzał miasto, czekając na umówione spotkanie.

Wszędzie cuchnęło nieznośną obecnością chrześcijan. Minąwszy uformowaną w kształt podkowy katedrę Matki Boskiej Kazańskiej (Kazań! — ostateczne zwycięstwo Iwana Groźnego nad Tatarami), kościół kipiący od symboli masońskich, który jeszcze niedawno był muzeum ateizmu (to już cztery powody, dla których można dostać mdłości), staje się oko w oko z utrwaloną w malachicie barokową pychą soboru świętego Izaaka lub, na końcu jednego z rozwidlających się prospektów, z dopiero co odnowionym soborem Zbawiciela na Krwi, zwieńczonym cebulami i bulwami kolorowych kopuł, ewentualnie z kościołem regimentu Preobrażeńskiego, otoczonym monstualnym ogrodzeniem ze zdobitych na Turkach łuf armatnich. Cóż za hańba!

Husajn skierował się w stronę Letnich Ogrodów. Tu wprawdzie był narażony na widok posągów nagich kobiet, które obrażały jego skromność, ale i upewniały co do wyższości jego religii nad chrześcijańską

(jak ci obłudnicy chrześcijanie mogą spokojnie spacerować pośród tych oczywistych znaków rozpusty?). Podszedł aż pod Zamek Inżynieryjny, który kazał wybudować car Paweł. Sądził, że będzie tu żył, a tak naprawdę zginął uduszony przez najbliższych dworzan, podobno na zlecenie angielskich służb wywiadowczych (miło było wspominać kłótnie między chrześcijanami). Tu właśnie prowadził swoje studia Dostojewski i wszyscy dobrze znali jego okno na pierwszym piętrze, w którym do bladego świtu paliła się świeca, w narożniku między Fontanką a ulicą wiodącą do pieszego pomnika Piotra Wielkiego. Pod tym właśnie oknem, o godzinie szesnastej pięć, zatrzymał się Husajn. Jakiś obwieszony aparatami i torbami, postawny i dziarski fotograf, w kamizelce wyposażonej w liczne, wypchane czymś kieszenie, robił zdjęcia zamku pod różnym kątem. Dookoła żadnych gapiów ani przechodniów. Husajn przystanął.

— Jesteś pewny, że to właściwe okno? — spytał po arabsku.

Tamten odwrócił się. Miał szeroką, tłustą i naiwną gębę pod czarnymi, kręconymi i nigdy nie czesanymi włosami.

— Pokój z tobą, Husajnie — rzekł z nabożnym szacunkiem. I wrócił do fotografowania.

— Pokój z tobą, Muludzie. — Wszystko w porządku?

Mulud był Francuzem pochodzenia marokańskiego i członkiem osobistej międzynarodowej siatki Szahida. Często razem pracowali.

— Tak, Bogu dzięki. Mieszkam w hotelu „Oktiabrskaja”. Trochę jeszcze trąci Sowietami, ale przynajmniej jest czysto. I nie ma dużo turystów. Łóżko jest trochę za wąskie, ale cóż, wola Boga.

— Masz plany i zdjęcia?

— Tak, Bogu dzięki. Od osiemnastego wieku wnętrze pałacu Myszków musiało się zmienić, ale plany dają pojęcie o rozmiarach. W każdym razie, zgodnie ze zdjęciem satelitarnym, dziedziniec wewnętrzny jest wciąż w tym samym miejscu. Żeby zmylić tropy, poprosiłem

też o plany pałacu Jusupowa, Antiszkina i Biełozierskiego. W tej bibliotece jest naprawdę wszystko. Obfotografowałem ten pałac z wszystkich stron. Byłoby naprawdę śmiesznie, gdyby mój projekt albumu fotograficznego architektury petersburskiej znalazł w Paryżu wydawcę, co nie? Dodatkowo korzyści, a co! Podziękujmy Wszechmocnemu.

— Spotkanie jutro, jak było umówione. Dasz mi wszystko, co mnie interesuje. Resztą nie zwracaj sobie głowy.

3

Husajn zszedł Newskim Prospektem aż do Mojki, jakby zamierzał wrócić do hotelu, ale przed mostem skręcił w lewo i minął od tyłu konny posąg Piotra Wielkiego, „Miedzianego jeźdźca” Puszkina, któremu hotel zawdzięczał swoją nazwę. Zamierzał pozwolić sobie na jeden jedyny rekonesans i na własne oczy zobaczyć cel, nawet nie po to, żeby uzupełnić informacje zgromadzone przez Muluda, ale żeby poczuć nieprzyjaciela, oszacować jego rangę i rzucić mu taktyczne wyzwanie. Poza wszystkim, nie było nic dziwnego w tym, że libański student zwiedza miasto i interesuje się pałacem Jusupowa, gdzie wyzionął ducha Rasputin.

Ale to nie pałac Jusupowa stanowił obiekt zainteresowania Husajna. Był nim pałac sąsiedni, który Husajn rozpoznał z daleka po turkusowej barwie, obfitości balkonów i wykuszy, które zdawały się wylewać aż na ulicę, oraz po rokokowych gzymsach i rzeźbach, wijących się wokół okien w postaci herbów, panoplii, waz z kwiatami i rogów obfitości. Ten figuratywny liryzm drażnił surowy gust Husajna, ale i usprawiedliwiał zaciekawienie.

Czworobok pałacu Myszkinów wznosił nad Mojką swoją fasadę północną, przedziurawioną na wylot słynną bramą numer 90 o przesadnie zdobionych, grubych skrzydłach, oraz umieszczoną z boku furką dla pieszych; obie wychodziły na dziedziniec wewnętrzny i tę część pałacu, która była zarezerwowana dla Bojarów oraz ich gości.

Fasada wschodnia (ta po lewej stronie) wychodziła na niewielki park, oddzielający pałac Myszkinów od pałacu Jusupowa.

Fasada zachodnia (ta po prawej) wznosiła się nad bocznym zaułkiem noszącym nazwę Myszkin Tupik [Zaułek Myszkinów]. Drzwi, które wychodziły na ten zaułek, należały do Banku Katz i Galperin, o czym informowała lśniąca w słońcu miedziana tablica. Nieco dalej, w tym samym zaułku, znajdowały się drzwi ozdobione nieco skromniejszymi miedzianymi tabliczkami, na których widniały wygrawerowane w archaicznej (snobizm czy prowokacja?) cyrylicy nazwy studia radiowego i telewizyjnego oraz dwóch gazet, mających swoją siedzibę w tymże pałacu.

Fasady południowej nie było, ponieważ pałac Myszkinów przylegał do kamienicy wychodzącej na ulicę Oficerską, zwaną też ulicą Dekabrystów. Biegąca wzdłuż zachodniej fasady pałacu Tupik kończył się przy tylnym wejściu tej właśnie kamienicy. Husajn zauważył, że wejście to posiada zamek z kodem cyfrowym.

Tak wyglądał pałac Myszkinów — kamienny czworobok, masywny, dumny, bogaty; tu biło serce Rosji, której Husajn miał zadać „śmiertelną ranę”. Ach! Zobaczą ci Rosjanie i Amerykanie (nieważne, do którego obozu należą), do czego zdolny jest prawdziwy wyznawca Boga. Husajn miał niespodziankę dla jednych i dla drugich.

Teraz postanowił nie przeciągać wizyty.

Dwaj strażnicy, przechadzający się powoli, po sto kroków w jedną i w drugą stronę i mijający się dokładnie pod bramą numer 90, mieli po dwa metry wzrostu i uzbrojeni byli w pałki. Ale to nie wszystko — wprawne oko Szahida wyłowiło pod gzymsami pierwszego piętra zespół kamer fotografujących przechodniów. Jeśli w środku znajdowały się komputery zdolne do rejestrowania powtarzających się twarzy, lepiej było nie spędzać zbyt dużo czasu w tej okolicy.

Husajn kontynuował więc spacer, przeszedł przez Most Pocałunków, zawrócił do hotelu „Miedziany Jeździec”, gdzie zjadł coś w pustej o tej

porze restauracji i skosztował mołdawskiego wina, które okazało się bardzo przyzwoite (jak tłumaczył Amerykaninowi, zasady ogółu nie dotyczą męczenników). Szaszłyk był doskonały. Pomyślał, że komuniści zrobili wszystko, żeby zabić rosyjską kuchnię i — jak na innych polach — ponieśli sromotną klęskę.

Była prawie dwudziesta, gdy wrócił do swojego apartamentu (uznał, że Libańczyk będzie wyglądał bardziej wiarygodnie w apartamencie niż w zwykłym pokoju). Poza wszystkim, miał dużo bagażu, a duże pomieszczenie bardzo się przydaje, gdy chce się coś ukryć. O tej porze roku w Petersburgu nie było białych nocy, ale słońce jeszcze nie zachodziło. Husajn otworzył podwójne okno. W wieczornym powietrzu stolica (tak, to była prawdziwa stolica) wyszła mu na spotkanie. Odetchnął głęboko, wypuścił powietrze ze świstem i wciągnął je raz jeszcze.

Szahida czekała jedna z najbardziej delikatnych operacji, w jakich kiedykolwiek brał udział i z góry się na to cieszył.

Apartament został umeblowany w stylu empirowym. Tu i tam widniały konsole zdobne w głowy sfinksów i najeżone pazurami łapy lwów. Aranżując trudny do odtworzenia przez ewentualnych nieproszonych gości bałagan, Libańczyk porozkładał w sypialni i w salonie swoje krawaty od Hermesa, koszule od Charveta i slipy od Guy Larochea; na marmurowym stoliku leżały też rozrzucone byle jak dziesiątki drobnych prezentów (czekoladki, perfumy, plastikowe zegarki, pióra, kalendarze, mydełka) przeznaczonych dla rosyjskich przyjaciół, których zamierzał pozyskać, oraz wielkie pudło zabawek z magazynu „Toys R Us” [Zabawki to my] , z którego wyjął teraz jedną zabawkę, starannie owiniętą w papier.

Takich zabawek miał w sumie pięć, gdyż piątka jest w islamie cyfrą świętą (wystarczy wspomnieć na pięć obowiązków muzułmanina: modlitwę, pielgrzymkę, jałmużnę, ramadan i szahadę) i Husajn czułby się winny, gdyby miał ich choć o jedną więcej.

Ostrożnie odwinął elegancki papier i postawił zabawkę na owalnym stoliku w miedzianej ramie, przodem do otwartego okna.

Z wyglądu przypominała ona wielkiego, ciemnobrązowego karalucha o długości mniej więcej siedmiu centymetrów, z trójkątną głową przechodzącą w płaski korpus, błoniastymi skrzydłami składającymi się niczym wachlarz pod rogowymi pochewkami, z nitkowatymi, długimi czułkami i sześcioma kosmatymi odnóżami.

Husajn otworzył blat mahoniowego sekretarzyka, położył na nim laptopa i uruchomił go.

Z niewielkiego pudełka wyjął przedmiot przypominający drążek zmiany biegów. Był to joystick.

Podłączył joystick do komputera i uruchomił program „Owady”.

Ekran zamigotał i Husajn ujrzał na nim szczegóły pokoju, w którym się znajdował — otwarte okno, kawałek szafy z lustrem, grafikę przedstawiającą Napoleona przekraczającego Alpy. To właśnie „widział” jego karaluch.

Wziął do ręki joystick i delikatnie, milimetr za milimetrem, przesunął go do przodu.

„Crockroach” zamachał przezroczystymi skrzydłami i z ledwie słyszalnym pomrukiem uniósł się w powietrze.

To, co „widział” karaluch, natychmiast pojawiała się na ekranie, a Husajn, ograniczając prędkość jego lotu do minimum, najpierw kazał mu kilkakrotnie oblecieć dookoła obwieszony wisiorkami żyrandol. Ćwiczył się w tym pilotażu przez całe dnie, ale i tak potrzebował teraz kilku chwil, żeby uchwycić relacje zachodzące między pozycją mikrodronu a przedmiotami, których obraz przekazywał. Mimo wprawy, Husajn miał wrażenie, że „Cockroach” robi, co chce. W końcu jednak udało mu się nad nim zapanować, a raczej zapanować nad własnymi emocjami. Setki specjalistów posługiwało się tymi mikrodronami w laboratorium lub na świeżym powietrzu; on, Szahid, jako pierwszy miał wykorzystać jeden z nich w prawdziwej operacji. Miał świadomość

wyjatkowego przywileju, jaki przypadł mu w udziale, dzięki umowie zawartej z „Amerykaninem innym niż wszyscy”.

W końcu „Cockroach” wyfrunął przez okno, poleciał w stronę Mojki, musnął jej powierzchnię, minął się z kilkoma muchami, przestraszył parę wczesnych komarów, przeciął kanał, osiągnął poziom granitowego nabrzeża i zaczął wznosić się w powietrze.

Jak na pierwszy rekonesans — wystarczy. Posługując się joystickiem, przywołał „Cockroacha” z powrotem. Dwukrotnie pomylił kierunki i karaluch pofrunął w stronę soboru Świętego Izaaka oraz placu Siennego, ale Husajnowi udało się go w porę odwołać i w końcu mikrodron wleciał przez okno do pokoju i przysiadł na stoliku, z którego rozpoczął swoją podróż. Komputer zarejestrował wszystkie przekazane przez niego obrazy.

Husajn podszedł do okna, żeby odetchnąć. Był spocony. Wychylił się. Była to pora dnia, gdy już nie jest jasno, ale zmierzch jeszcze nie zapadł na dobre. Znad Mojki unosiła się ciepła wilgoć. Poczul zawrót głowy. Tak, jest w Petersburgu, północnej stolicy niewiernych i dzięki niemu to wspaniałe miasto pewnego dnia stanie się częścią imperium Mahometa.

Oczami duszy ujrzał rzeczy, których nie było.

Sobór Świętego Izaaka, którego kopułę dostrzegął, wychyliwszy się z okna, otoczony zostanie czterema minaretami, jak Hagia Sofia. Poskręcane kolumny minaretów będą się wznosiły wokół kościoła Zbawiciela na Krwi. Pojedynczy, przytłaczający minaret wystrzeli z kopuły katedry Matki Boskiej Kazańskiej. A z tych wszystkich minaretów, górujących nad Beit Muhammad [Miasto Mahometa] , będzie płynęło, odmierzając rytm dni i nocy, gardłowe i wzniosłe nawoływanie muezzinów...

Husajn wzniosł oczy ku niebu. Ujrzał tam pływającą, niczym po powierzchni wody, księżycową strużynę i gwiazdzistą kijankę.

To był znak.

4

Następnego dnia rano Husajn przyszedł do biblioteki z ciemnobrązową teczką w ręku. W rotundzie zatrzymał się przed regalem zawierającym książki dostępne dla wszystkich użytkowników i sięgnął po słownik, położywszy teczkę na podłodze. Korpulentny młody człowiek o czarnych, kręconych i nigdy nie czesanych włosach, trzymający w ręku identyczną teczkę, zatrzymał się przy sąsiednim regale i wyjął z półki encyklopedię architektury. Teczkę także położył na parkiecie.

Husajn, przeczytawszy hasło poświęcone bractwu Nakszbandija i zrobiwszy kilka notatek, odstawił słownik na miejsce. Pochylił się, żeby wziąć teczkę, a jego dłoń spoczęła na teczce sąsiada. Żadnych porozumiewawczych gestów czy znaków. Husajn poprosił bibliotekarza o biografię Szamila i studiował ją dobrą godzinę, sumiennie wypełniając fiszki i próbując zapanować nad ogarniającą go niecierpliwością. Potem wrócił do hotelu i wreszcie otworzył teczkę Muluda. Wyjął z niej pamięć zewnętrzną, którą podłączył do komputera. Pamięć zawierała oryginalne plany pałacu Myszkinów i setkę przedstawiających go zdjęć.

Zdjęcia potwierdzały to, co Husajn sam zdążył zaobserwować, a szczególnie obecność kamer, kraty w oknach parteru i pierwszego piętra oraz czujność strażników, patrolujących chodnik niczym opisane w Biblii „lwy szukające zdobyczy, by ją pożreć”. Wyobraźnia Husajna — specja od materiałów wybuchowych — natychmiast podpowiedziała mu możliwość przewiercenia się przez ściany sąsiadującej z pałacem kamienicy; ale możliwe, że istniał jeszcze jakiś inny, mniej hałaśliwy sposób.

Ponownie wyjął z pudła z zabawkami owiniętego w watę „Cockroacha”, otworzył okno i włączył komputer.

Najpierw sprawdził stan baterii. Mikrodroiny jeszcze nie były wyposażone w baterie słoneczne, a ładowanie miniaturowych baterii stanowiło operację zbyt delikatną, żeby poradził sobie z nią zwykły użytkownik. Baterie „Cockroacha” wystarczyły na jeszcze jedną misję. Husajn wziął do ręki joystick. Karaluch wyleciał przez okno, a komputer natychmiast zaczął odtwarzać miejski hałas, który mikrodron wiernie mu przekazywał.

Wzniesienie się w powietrze, przelot nad Mojką i zanurkowanie w prawo nad turkusowy pałac było kwestią zaledwie kilku sekund. Husajn ledwo zdążył wyhamować urządzenie i skrócić pod kątem prostym, cudem unikając roztrzaskania go o ścianę. Na ekranie przewijały się obrazy, niczym w symulatorze lotu, tu jednak były to obrazy rzeczywiste. „Cockroach” przeleciał wzdłuż kilku okien, ale światło odbijało się od szyb w taki sposób, że nie mógł „zajrzeć” do środka. Podfrunął na wyższe piętro, potem jeszcze wyżej — aż na mniej szpiczastą część dachu. W wysokich domach zawsze jest jakieś wyjście na dach, umożliwiające posprzątanie go lub reperację. Husajn, nie spiesząc się, szukał takiego właśnie wyjścia — drzwi lub klapy. W końcu znalazł — w północno-zachodniej części dachu znajdowały się drzwi prowadzące do jednego z dwóch pawilonów nadbudowanych nad fasadą północną. Nad tymi drzwiami z zardzewiałego metalu karaluch nie dostrzegł żadnej kamery.

Zdjęcia Muluda pokazywały, że kamienica, przylegająca do pałacu Myszkinów od południa, była od niego wyższa o jedno piętro. Husajn właśnie sprawdzał to za pomocą „Cockroacha”, gdy nagle obrazy zniknęły z ekranu, pomruk silnika umilkł i zerwany został wszelki kontakt.

Husajn zmusił się do spokoju.

Pewnie przekroczył dopuszczalną odległość lotu, ale przecież „Flying Cockroach 1” był sprytny — zaprogramowano go w taki sposób,

żeby samoistnie wracał w obszar zasięgu, gdy tylko straci kontakt z operatorem.

I rzeczywiście! Po mniej więcej minucie dzielny karaluch znowu dał znak życia — odbierał, przekazywał, a ekran komputera znów świecił obrazami. Husajn podziękował Bogu.

Komputer wskazywał, że mikrodron znajdował się w odległości ponad dwustu metrów od bazy, podczas gdy jego maksymalny zasięg wynosił dwieście dwadzieścia pięć metrów. Husajn zawrócił karalucha nad południowo-zachodnią część dachu. Z tego punktu kazał mu metr po metrze badać ścianę przylegającej do pałacu kamienicy, za każdym razem kontrolując odległość.

Na dwieście dziesiątym metrze zauważył to, czego z nadzieją oczekiwał — metalową, zardzewiałą, przyczepioną do muru drabinę, pozwalającą wspiąć się z dachu pałacu na dach kamienicy. W wielkich miastach tego rodzaju komunikacja między dachami jest częstym rozwiązaniem, ułatwiającym pracę straży pożarnej.

Zygakowatym lotem karaluch wzniosł się ponad kamienicę i obejrzał sobie jej dach. Między dwoma kominami znajdowała się kłapa. Husajn zobaczył już wszystko, co chciał. Przywołał mikrodron do bazy; bateria naładowana już była zaledwie w dziesięciu procentach. Odłożył pojazd do pudła, pomiędzy pistolety pneumatyczne i lalki Barbie.

Potem ukląkł przy łóżku, wyjął z kieszeni sznur modlitewny i zaczął się modlić.

Modlił się zawsze w ten sam sposób — wyliczając dziewięćdziesiąt dziewięć imion i przymiotów Allaha, które wolno wymówić: dobrotliwy, współczujący, czujny, majestatyczny, wszechogarniający, doskonały, nieprzenikniony, wszechmocny... Zatrzymał się przy ostatnim paciorku, nie wypowiadając imienia niedostępnego zwykłym śmiertelnikom. W jego duszy zrodziła się nadzieja, a raczej ekstatyczne oczekiwanie.

— To już wkrótce — wymruczał. — Już wkrótce się to stanie.

5

Zainteresowanie wojnami murydzkimi było dla Husajna wyłącznie przykrywką. Prawdę mówiąc, nie lubił historii, bo oznacza ona zwracanie się ku przeszłości. A przeszłość była dla niego jak stare, zużyte ubranie, które należy wyrzucić na śmietnik. Jego pasjonowało nieustanne tworzenie terazniejszości, w każdej chwili pożerające i zawłaszczające przyszłość. Stworzył tożsamość studenta badającego stosunki między Szamilem i Abd el-Kaderem, bo dawało mu to wiarygodny pretekst do przebywania w Petersburgu. Ale jedno zaczynało mu się w tym wszystkim podobać: zjednoczenie islamu, od Kaukazu po Maghreb, które owo spotkanie dwóch bohaterskich pielgrzymów zdawało się zapowiadać. Na swój muzułmański sposób, pojmując świat jako jeden i wieloraki zarazem, Husajn był globalistą. Przeznaczeniem świata była jedność — *umma* — bo Bóg jest tylko jeden. Dla niego narody nie istniały. Świat zbudowany był z dwóch przypominających dialektykę księżycy antytez — islamu dokonanego i islamu potencjalnego, który zniknie, ponieważ albo przekształci się w islam dokonany, albo zostanie unicestwiony.

Myślał o tym wszystkim, kolejny raz udając się do biblioteki. „Samir Ibrahim” musiał się tam pokazywać jak najczęściej, żeby wtopić się w pejzaż.

Do hotelu wrócił około siedemnastej, znużony lekturą i głodny działania. Jego nastrój uległ zmianie. Kiedy za pierwszym razem manipulował mikrodronem, dławił go strach; za drugim razem cieszył się jak

dziecko, które się bawi latawcem; teraz miał uczucie, jakby dysponował magiczną mocą, która pozwala mu przenikać tajemnice wrogów. Zabawa mikrodrone, która w Stambule, gdy mówił o tym Amerykanin, wydawała mu się zupełnie niewiarygodna, teraz była dla niego równie naturalna jak zaklęcia bohaterów *Baśni z tysiąca i jednej nocy*.

Naturalne też było i to, że to właśnie jemu, rycerzowi Allaha, dana została ta czarodziejska moc. On był tego godny i przeznaczenie sprawiło, że ten cudowny wynalazek, który w rękach wielkiego Szatana służyłby wyłącznie złu, trafił właśnie w jego ręce, które przekażą mu drzemiące w nich dobro.

Wyjął z pudła drugiego karalucha. Włączył komputer, uruchomił program, otworzył okno i zaczął manipulować joystickiem.

Kiedy tylko mikrodrone wyfrunął przez okno, Husajn opuścił go na wysokość dwóch metrów nad ziemią, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywrze na przechodniach.

Początkowo nic się nie działo. Karaluch jeszcze bardziej zniżył lot, a wtedy jakiś mały chłopiec krzyknął:

— Mamo, zobacz, jaki wielki robal! Ugryzie mnie!

— To nie sierpień — odpowiedziała matka — za wcześnie na komary. To pewnie jakiś rodzaj latającego prusaka. A prusaki nie gryzą.

Rosjanie nazywają karaluchy prusakami, podobnie jak Niemcy swoje nazywają *Russe*, czyli „ruskami”.

Mikrodrone pofrunął wzdłuż Mojki, za barką pełną turystów, którzy nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Potem odleciał w kierunku pałacu Myszkinów i przefrunął między dwoma nadbudowanymi nad dachem pawilonami. W ten sposób znalazł się nad wewnętrznym dziedzińcem. Był on prostokątny, cały w pilastrach, ozdobnych ościeżnicach i balkonach z żelaza kutego w spirale i ślimacznice, z głowami Meduz służącymi za kapitele wielkich, złobionych kolumn. Jeden bok zajmował parking, na którym stało kilka samochodów marki wołga i jedno małe zigiuli. Przy drugim boku znajdował się basen z trampoliną,

dziwacznie kontrastujący swą nowoczesną formą z otaczającym go stylem rokokowym. Mimo chłodnego dnia, w basenie pływało kilka osób (kiedy indziej Husajn widział kąpiących się w Newie Rosjan, którzy za jednego rubla wskakiwali między krę).

Mikrodron zatoczył trzy kręgi wokół dziedzińca, nie zbliżając się zbyt do pływaków. W jednej ze ścian budynku znajdowało się troje drzwi balkonowych, otwierających się na zstępujące na trawnik marmurowe schodki. Jedne z nich były uchylone. Przez szybę można było dostrzec salon, w którym chyba ktoś właśnie przebywał...

Przelatując obok pierwszy raz, karaluch przegapił szparę w drzwiach — trudno było ustawić taką prędkość lotu, żeby zachować absolutną precyzję. Przy drugim przelocie, uderzył w szybę, nie uszkadzając jej. Przy trzecim udało mu się wśliznąć między drzwi i futrynę, a Husajn natychmiast kazał mu się wznieść pod sufit, żeby nikt go nie widział i nie słyszał. Tak wolno, jak to tylko możliwe, „Cockroach” krążył wokół salonu, kryjąc się za zakurzonym i obwieszonym pajęczynami gzymsem.

Żyrandol.

Wysokie, mahoniowe szafy, wypchane książkami, oprawionymi w jasną skórę ze złoceniami.

Fajansowy piec sięgający sufitu.

„Cockroach” zapuścił się nieco niżej i odkrył mahoniowy stolik, pośrodku którego znajdował się srebrny samowar. Obok stały dwa srebrne talerze pełne ciastek, cukiernica, imbryk i pięć porcelanowych filiżanek, przy których siedziało pięć osób; początkowo Husajn widział tylko ich czaszki o różnym stopniu owłosienia, pochylające się z szacunkiem nad ceremoniałem nie tak uroczystym jak w Japonii, niemniej jednak bardzo w Rosji istotnym — parzeniem herbaty...

Zmieniając pozycję mikrodronu i każąc mu się pochylać w różne strony, Husajn zobaczył najpierw na swoim ekranie pięć karków, a potem pięć twarzy — jedne *en face*, inne z profilu. Trzy z nich były dobrze

znane większości mieszkańców naszej planety. Wcale go to nie zdziwiło. Pierwszy raz oglądał Bojarów, a już to, czego się dowiadywał, wykraczało poza rzeczy zwyczajne. Skoro jednak Allah dał mu dostęp do najbardziej wyrafinowanych zdobyczy technicznych Ameryki, musiał mieć po temu ważny powód.

Znanymi osobistościami byli:

— siwobrody duchowny z jasnym wąsem, o bardzo czujnym spojrzeniu, mający na głowie białą czapkę z wyhaftowaną nad czołem postacią anioła i dwiema spływającymi na piersi połami, na których również widniały dwa anioły o skrzyżowanych skrzydłach; rozmówcy zwracali się do niego: *Władyka*, czyli Wasza Ekscelencjo;

— mężczyzna w cywilu o wysoko sklepionej, łysej na czubku głowie, siwych (niegdyś rudo-blond), wciąż jeszcze gęstych po bokach włosach, brodzie spoczywającej na piersi niczym u Boga Ojca i spojrzeniu naznaczonym smutkiem, mądrością i dobrocią; zebrani z szacunkiem nazywali go Aleksandrem Isaiczem;

— drugi cywil, ciemnowłosa, z przedziałkiem po lewej stronie, władczą twarzą, grubymi, breźniewowskimi brwiami, lekko skośnymi, „tatarskimi” oczami, wyglądającymi jak dwa otwory strzelnicze, zaskakująco małymi ustami nad pociętym zmarszczkami podbródkiem; jego z kolei, z pełną szacunku poufałością nazywano Żenią.

Były tam jeszcze dwie osoby, których Husajn nie znał:

— rabin o szpakowatej brodzie, w jarmułce, ze znikającymi pod kręconymi faworytami uszami, nazywany Mojsze Isakowiczem;

— Iwan Iwanycz, rosyjski intelektualista w typie Czechowa: bródka i okularki, płaski, szeroki węzeł krawata; to Iwan Iwanycz rozlewał herbatę.

Rozmawiali.

Karaluch „słyszał”, co mówili i przekazywał to do komputera Husajna, który zapisywał każde słowo, podobnie jak zapisywał obrazy.

Niestety, urządzenie znajdowało się już na granicy zasięgu, więc ani obraz, ani dźwięk nie były zbyt wyraźne. Poza tym, ruchy mikrodronu oraz delikatny warkot jego silnika mogły w końcu przyciągnąć uwagę, dlatego Husajn postanowił posadzić maszynę na gzymsie i notować wszystko, co usłyszy.

Pamiętał jednak, że misja mikrodronu nie może trwać dłużej niż godzinę, więc obserwując ekran i notując rosyjskie słowa, słyszane mniej lub bardziej wyraźnie, nieustannie patrzył na zegarek, kontrolując jednocześnie poziom baterii. Wszystko szło świetnie do chwili, gdy rabin pochylił się ku intelektualistce i rzekł:

— Nie uważa pan, Iwanie Iwanyczu, że zaczyna robić się chłodno?

— Ależ tak, Mojsze Isakowiczu — odpowiedział „Czechow”.

Podszedł do drzwi balkonowych i zamknął je. „Cockroach” był uwięziony.

6

NADAWCA: Zielony

ADRESAT: Biały

TEMAT: Raport z podsłuchu FCI zrealizowanego dnia... 2002 od 17.29 do 17.53, w pomieszczeniach pałacu Myszkínów (salon na parterze wychodzący na dziedziniec wewnętrzny).

UWAGI:

Dźwięk był niewyraźny, zatem streszczenie wydaje się bardziej użyteczne niż zwykła transkrypcja nagrania; mimo to transkrypcja zostaje przekazana z tym właśnie zastrzeżeniem. Zdania usłyszane w całości, zapisane zostały w cudzysłowie.

Ze względów bezpieczeństwa, pięciu rozmówców oznaczonych zostało w sposób zaszyfrowany. W załączeniu fotografie, pozwalające zidentyfikować „Mędrca”, „Wezyra” i „Ojca”. Identyfikacja „Zeloty” możliwa jest drogą eliminacji. „Anonim” mówi niewiele, głównie proponując swoim gościom ciastka i herbatę. Wydaje się, że to on jest przedstawicielem grupy zwanej „Bojarami”.

TREŚĆ:

Przedmiotem rozmowy jest sytuacja Żydów w Rosji.

Zelota skarży się na dyskryminację, ale przyznaje, że ma ona charakter religijny, a nie rasistowski. Zgadza się też, że w przeszłości niektórzy Żydzi dali dowody arogancji względem Rosjan. Cytuje zdanie: „My daliśmy wam Boga, umiemy też dać wam cara” i tłumaczy się z niego.

Mędrzec przyznaje, że dyskryminacja istnieje, pomimo lojalności, jaką Żydzi często manifestowali wobec państwa rosyjskiego, zwłaszcza w roku 1812 i 1914. Ubolewa, że dyskryminacja tak

długo bazowała na uprzedzeniach natury religijnej. Za caratu nawrócony Żyd nie był już traktowany jako Żyd, co dla innych Żydów mogło stanowić pokusę. Zauważa, że bezbożnym było oferowanie Żydom dobrobytu materialnego w zamian za wyparcie się własnej wiary, czego skutkiem były nawrócenia czysto konformistyczne, dla niektórych stanowiące wymówkę, że w ten sposób będą bardziej użyteczni swemu ludowi.

Ojciec sygnalizuje, że liczba ludności żydowskiej w Rosji wzrosła w dziewiętnastym wieku pięciokrotnie i zauważa, że ta eksplozja mogła stworzyć pewne problemy. Przypomina też, że bardzo długo Żydzi mieli *de facto* monopol na produkcję wódki.

Mędrzec podkreśla potrzebę przecięcia pęczniejącego wrzodu stonków rosyjsko-żydowskich, który wciąż próbuje się ukrywać. „Za samo użycie słowa Żyd można zostać okrzykniętym antysemitą. Wygląda na to, że słowo Żyd stało się niestosowne”. Tak być nie może, to szkodliwe dla wszystkich. „Nie ma nic bardziej niemoralnego i niebezpiecznego w historii niż przemilczanie pewnych rzeczy; taki proceder może w konsekwencji wywołać skrzywienie w przeciwnym kierunku”.

Zelota przyznaje, że problem jest istotny i podkreśla jego międzynarodowy charakter. Na początku wieku — precyzuje — Żydzi rosyjscy stanowili połowę populacji żydowskiej świata. Wielu z nich uczestniczyło w tworzeniu państwa Izrael.

Ojciec sygnalizuje, że wielu Żydów wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych, gdzie stworzyli lobby generalnie bardzo nieprzychylnie Rosji. Przypisuje im słynne zdanie Williama Hearsta (lub wysługującego mu się pisarza): „Niech sprawiedliwy Bóg zstąpi na ziemię i skończy z Rosją, jak skończył z Sodomą i Gomorą!”.

Zelota przypomina, że Żydów oskarżano o morderstwa rytualne, ale przyznaje, że miało to miejsce częściej w Polsce niż w Rosji.

Anonim przypomina, że Żydzi oskarżali chrześcijan o to, że topią ich ziomek przy okazji chrztu przez zanurzenie.

Ojciec cytuje pewnego Anglika o nazwisku Parks, który stwierdza, że zachowanie Żydów w stosunku do kraju, w którym żyją, nie zawsze jest czytelne. Na przykład, czy czują się bardziej Żydami, czy Brytyjczykami? Stąd lęk przed spiskami.

Mędrzec: „Gdybyśmy zachowali czystość i siłą, którą nam niegdyś zaszczylił święty Sergiusz z Radoneża, nie musielibyśmy się obawiać żadnego spisku”.

Wezyr podkreśla różnicę między pojęciami „Rosjanin” (etnicznie: mieszkaniec Rosji) oraz „Rusin” (mieszkaniec Rusi). Przypomina, że za caratu Żydzi mieli dostęp do tytułów szlacheckich — w 1897 roku 196 członków dziedzicznej szlachty przyznawało się do hebrajskiego jako języka ojczystego (bardziej prawdopodobne, że był to jidysz).

Wezyr rozwija pogląd, że Rosja, nie posiadając naturalnych granic, skazana jest na bycie imperium, niezależnie od ustroju i sprawowanej władzy. Wylicza zamieszkujące dzisiejsze, zmniejszone już nieco imperium rosyjskie grupy etniczne, których pewna część jest stała. Przeznaczeniem Rosji jest wieloetniczność i wielokulturowość. Wezyr pokazuje, że pomimo ograniczonych stref przebywania oraz narzuconego Żydom *numerus clausus*, carowie nigdy tak naprawdę nie dali dowodów antysemityzmu. W czasach pańszczyzny, na przykład, większości Żydów powodziło się znacznie lepiej niż większości Rosjan. Wezyr przypomina słowa Piotra Wielkiego: „Nieważne, czy jesteś ochrzczony czy obrzezany, jeśli jesteś uczciwy i znasz się na swoim fachu”.

Mędrzec snuje rozważania na temat trudnych do przewidzenia skutków działań politycznych: Niemcy, wpuszczając Lenina do Rosji, stworzyły warunki sprzyjające dojściu do władzy Hitlera; rosyjscy liberałowie i rewolucyjni socjaliści, ułatwiając obalenie caratu i dojście do władzy bolszewików, sprowadzili klęskę na swoje własne głowy... „Jedyny sposób przeciwdziałania takim błędom — mówi — to kierowanie się zawsze i wszędzie Boską moralnością”.

Zelota odnosi tę uwagę do tych Żydów, którzy walczyli za rewolucję, a następnie padli ofiarą stalinowskich czystek.

Anonim zauważa, że wielu rosyjskich Żydów szczerze kocha Rosję i rosyjskie obyczaje, którym nawet za granicą (także w Izraelu) pozostają wierni.

Zelota przytakuje temu paradoksowi.

Mędrzec żałuje, że Aleksander Aleksandrowicz Zinowiew nie został zaproszony do tej dyskusji.

Wezyr wpada mu w słowo i w tym momencie transmisja staje się niewyraźna.

UWAGI:

Mikrodron stracony. Powinien zadziałać mechanizm chemicznej autodestrukcji.

ZALECENIA:

Znaczenie rozpoznanych uczestników spotkaniu, uzasadnia natychmiastowe przejście do fazy aktywnej operacji „Śmiertelna rana”. Fakt, że podczas rozmowy nie padło ani jedno zdanie o wydźwięku nacjonalistycznym lub reakcyjnym, nie powinien przedostać się do opinii publicznej. Jednak same nazwiska i przynależność do grupy Bojarów pozwalają skutecznie wykorzystać fakt ich spotkania.

7

Następnego ranka w bibliotece doszło do ponownego spotkania Muluda z Husajnem. Ponownie wymienili się teczkami.

W teczce odebranej przez Muluda znajdowały się dwie dyskietki zawierające raport ze spotkania i zdjęcia.

W pokoju hotelu „Oktiabrskaja” Mulud zabrał się do pracy.

Na ekranie laptopa wyświetlił tekst raportu i zapisał go na dysku. Potem przejrzał całą serię zdjęć z Petersburga, wśród których znalazła się fotka pewnej panienki w krótkiej spódniczce, siedzącej na barowym stołku i zdjętej od dołu. Wrócił do pierwotnej wersji tekstu, który dzięki programowi do steganografii odtworzył na zdjęciu, gdzie niektóre z dwudziestu tysięcy pikseli zmieniły barwę. Ponieważ komputer pracował na gamie szesnastu milionów kolorów, nie zachodziła obawa, że zmiana zostanie zauważona.

Ponieważ zdjęć osób nie można było poddać takiej samej obróbce, ukrył je w najbardziej niewinnych fotografiach, za każdym razem umieszczając je w otoczeniu dwóch fotek mniej lub bardziej roznieglizowanych kobiet, żeby odwrócić uwagę odbiorcy.

Skończywszy pracę, Mulud napisał maila do swojej paryskiej agencji fotograficznej. Zawarł w nim dowcipną uwagę na temat łączenia pracy i hulanki: „Doprawdy nie wiem, co jest bardziej męczące — Peterhof* czy ulica Tairowa”. Kliknął przycisk „Wyślij”.

[Peterhof — leżący pod Petersburgiem zespół pałacowo-ogrodowy, założony przez cara Piotra I]

W ten sposób ze zdjęciami zapozna się inny agent z siatki Husajna. Mulud nie wiedział, czy jest nim dyrektor agencji, jego zastępca, czy któraś z sekretarek. Agent wybierze roznegliżowane zdjęcia oraz te znajdujące się pomiędzy nimi i, nie wiedząc, co ukrywają, wyśle je agentowi amerykańskiemu, który rozszyfruje oryginalny przekaz.

Na tym poziomie stosowano jeszcze bardziej dyskretny sposób komunikacji. Pewna firma pod nazwą Sagittarius wystrzeliła w kosmos sześćdziesiąt satelitów, które pokrywały cały świat i pozwalały klientom firmy przekazywać sobie dane, niezależnie od tego, czy znajdowali się właśnie w równikowej dżungli, na Biegunie Północnym czy Południowym. Niestety, większości biznesmenów wystarczyły ich własne laptopy, a ceny Sagittariusia były tak wysokie, że firma zbankrutowała, ale jej satelity nadal działały, służąc kilku uprzywilejowanym, w tym także członkom Klubu.

Tą właśnie drogą wiadomość od Husajna dotrze do odbiorcy.

*

W tym samym czasie Husajn spotkał się z kolejnym członkiem swojej siatki. Za pięć dwunasta, w labiryncie wąskich, zatęchłych i wysokich niczym studnie podwórek, gdzie — jak głosi legenda — mieszkał Raskolnikow i zamordowana przez niego lichwiarka.

Salem był chudy, miał kościstą głowę sępa, pokierszowaną brzytwą szyję i długie ramiona, którymi potrzasał w powietrzu niczym skrzydłami. Pochodził z Dagestanu i każdemu, kto tylko się nawinął, opowiadał, że w Dagestanie i Czeczenii razem wziętych znajdowało się 60% wszystkim meczetów Federacji Rosyjskiej przy mieszkających tam 15% muzułmanów, oraz że w jego kraju dzieci uczyły się wymieniać imiona swoich przodków do co najmniej dwunastego pokolenia. Do roku 1991 był oficerem KGB, teraz zaś miał się różnych zawodów, których przy tej okazji się nauczył.

— Pokój z tobą — rzekł Salem po arabsku.

— I z tobą — odparł Husajn, który jako jedyny z tej dwójki wiedział, o czym mówi.

Arabski Salema na tym właśnie się kończył, więc kontynuowali rozmowę po rosyjsku. Husajn wyłożył mu plan.

— Pałac Myszkinów? Mowy nie ma. Widziałeś tych strażników? To chyba nasi dawni koledzy...

— Zrobimy tak... — rzekł Husajn, nie zwracając uwagi na obiekcje Salema.

Opisał całą operację.

— To możliwe. Nie ma mowy o wejściu bezpośrednio do pałacu. Trzeba przejść przez sąsiednią kamienicę. Dobrze, że zauważyłeś tylne drzwi w tupiku. Wiara otwiera ci oczy. Główne wejścia takich budynków, w których przebywają „nowi Rosjanie”, strzeżone są niczym Kreml. To tylne wejście jest naszą jedyną szansą. Widzę, że jesteś prawdziwym muzułmaninem, a ja się na tym znam. My, w Dagestanie i w Czeczenii, stanowimy zaledwie piętnaście procent...

— I macie sześćdziesiąt procent meczetów. Tak, wiem. Nie pierwszy raz pracujemy razem.

— Ale nie zamierzam się mocować z zamkiem pod oknami pałacu Myszkinów. Mają tam kamery i czujniki — najmniejszy ruch i strażnicy siądą mi na karku.

— Nie ma mowy o forsowaniu zamka. Drzwi otwiera się za pomocą kodu...

— A znasz ten kod, bracie?

— Wkrótce będę go znał, bracie. Masz broń?

— Mam.

— Dwie sztuki?

— Nawet więcej, jeśli potrzebujesz.

— Z tłumikiem?

— Da się założyć.

- Masz walkie-talkie?
 - Mam.
 - Będziemy potrzebowali trzech kompletów.
 - Nie ma sprawy.
 - Za pięć pierwsza przed drzwiami.
 - Możesz liczyć na mężczyznę, który zna swoich przodków...
 - Do dwunastego pokolenia. Wiem.
- W głosie Husajna nie było cienia sarkazmu.

8

Grupa, którą Husajn zmontował do przeprowadzenia operacji „Śmiertelna rana”, składała się z następujących osób:

- Muluda, Francuza marokańskiego pochodzenia, specja od komunikacji;
- Salema, dawnego oficera KGB, eksperta od zadań specjalnych;
- Mabula, informatyka podsuniętego (można by nawet powiedzieć, że narzuconego) przez zleceniodawcę;
- Fatimy, specjalistki od ochrony.

Powierzenie kobietom zadań terrorystycznych było wynalazkiem Husajna. Jako muzułmanin wiedział, że oddanie kobiet nie zna granic — można od nich żądać dosłownie wszystkiego, pod warunkiem jednak, że sieje traktuje jak sprzęt łatwo wymiernalny. Fatimę (jej prawdziwe nazwisko brzmiało Mary Carrington) spotkał w Oksfordzie. Była Amerykanką zde gustowaną zniewieściałością amerykańskich samców, która szukała ich lepszej wersji w Europie. Ale nie znalazła. Spróbowała więc szczęścia nad Morzem Śródziemnym — z tym samym skutkiem, a w końcu na Bliskim Wschodzie, gdzie spotkała Husajna. Była w nim zakochana. Tym bardziej, że niczego od niej nie żądał. Nawróciła się więc na islam i delectowała upokorzeniami (często całkiem wyimaginowanymi). Husajn wysłał ją na staż do Bośni, gdzie wykazała się zdolnościami zarówno w dziedzinie konspiracji, jak i działań operacyjnych. Wolałby zachować ją w rezerwie jako „śpiocha”, ale wiedział, że w ten sposób nudziłaby się i poszłaby szukać ekscytujących

przygód gdzie indziej. Wykorzystał ją więc jako strzelca wyborowego w Czeczenii, gdzie położyła trupem pół tuzina rosyjskich oficerów. Przygotowując się do „Śmiertelnej rany”, przeniósł ją do Petersburga, gdzie przyjęła ponownie swoją amerykańską tożsamość i mieszkała u Rosjan, pod pretekstem nauki języka.

— Fatima, wiesz, kto mówi?

— Twój głos rozpoznam zawsze i wszędzie.

— Bolszaja Morskaja... Czekaj na telefon.

— Będę tam za godzinę.

Husajn wrócił do pokoju hotelowego i z pudła z zabawkami wyjął trzeciego już karalucha. Wysłał go w ów ciągnący się wzdłuż pałacu Myszkinów tupik i skierował ku tylnemu wyjściu z sąsiedniego budynku. Długo szukał jakiejś pozycji, z której mikrodron mógłby „dostrzec” wstukiwany kod. Kiedy karaluch tkwił w bezruchu, bateria zużywała się wolniej. Husajn zdecydował w końcu posadzić go na parapiecie jednego z okien Banku Katz i Galperin. Teraz trzeba było tylko poczekać. Przez blisko godzinę nikt się nie zjawił, a kiedy wreszcie przysłała jakaś gruba kobieta, jej tusza zasłoniła wystukiwany kod i drzwi się otworzyły, zanim karaluch zdołał zarejestrować cyfry.

Bateria musiała już być na wyczerpaniu. Husajn odwołał mikrodron z powrotem w obawie, żeby go nie odkryto, zanim uruchomi się program autodestrukcji.

Z zaciśniętymi zębami wprowadził w ruch czwarte i przedostatnie urządzenie, które tym razem utrzymywał w powietrzu, powoli zataczając kręgi nad drzwiami. Za każdym razem, gdy ktoś się do nich zbliżał, Husajn zniżał lot karalucha i notował wciskane cyfry, jeśli tylko udawało mu się dojrzeć na ekranie. W ciągu godziny pojawiły się dwie osoby. Husajn odczytał im przez ramię trzy kombinacje: A2578 i A3689 lub A2689. Zadzwoił do Fatimy:

— Współrzędne: 76-68. Drzwi z kodem cyfrowym. Wypróbuj trzy następujące kombinacje... Jeśli drzwi się otworzą, wejdź i wyjdź, jakbyś tylko zostawiła tam list.

Okolice pałacu Myszkinów zostały wcześniej naniesione na mapę w dużej skali, na której każdy centymetr kwadratowy odpowiadał jednemu metrowi w terenie. Jej jedyny egzemplarz znajdował się w posiadaniu Husajna i Fatimy.

— Daj znać, jak poszło.

Zastanawiał się, czy zostawić mikrodron na miejscu i zobaczyć Fatimę przy pracy, ale bateria była już niemal wyczerpana. Przywołał urządzenie z powrotem. Został mu już tylko jeden egzemplarz...

Ktoś inny na jego miejscu byłby zaniepokojony, ale Szahid wiedział, jak sobie radzić z lękiem. Wystarczyła modlitwa i wyrecytowanie dziewięćdziesięciu dziewięciu imion Boga.

Zadzwonił telefon.

— Wynik negatywny. Spróbowałam też A690B, bo to mniej więcej podobny układ palców na klawiaturze. Wynik negatywny.

— Dobrze. Pospaceruj trochę po dzielnicy.

Przez chwilę Husajn rozważał wypróbowanie wszystkich możliwych kombinacji kodu, bez uwzględniania obserwacji mikrodronu. Przecież jeszcze tej samej nocy stanie pod tymi drzwiami z Salemem. Ile może być takich kombinacji? Wspomnieniem sięgnął do lekcji matematyki. Dziewięć cyfr plus zero. A i B. Dwanaście elementów, więc $1 \times 2 \times 3 \times 4 \times 5 \times 6 \times 7 \times 8 \times 9 \times 10 \times 11 \times 12$ permutacji. Coś w okolicach pięciuset milionów.

Nie, trzeba poświęcić ostatniego „Cockroacha”.

Jak poprzednio, karaluch wystartował bez przeszkód.

Husajn bez lęku patrzył, jak się oddala — co ma być, to będzie. Z Bożą pomocą.

Na ekranie pojawiły się tylne drzwi budynku przylegającego do pałacu. Husajn znał już na pamięć wszystkie tabliczki, każdą szparę w murze, spękany tynk, jajowatą gałkę do drzwi i beżową klawiaturę do wystukiwania kodu, nadal kryjącą przed nim swoje tajemnice.

Karaluch wisiał już nad drzwiami od pół godziny, gdy wielki drab w

prążkowanej kamizelce, który kilka minut wcześniej wyszedł z budynku, stanął przed klawiaturą, szykując się do wstukania kodu. Tak, typ ubrany był w prążkowaną kamizelkę. To musiał być *maitre d'hotel* jakiegoś mafioza. Jego potężny wzrost mógł zasłonić kod.

Husajn opuścił mikrodrzon tak nisko, jak tylko mógł i wyraźnie zobaczył cyfry...

— Psiakrew! *Paszol won!*

Kręcąc młynka ramieniem, drab opędzał się od owada, który bzyczał mu nad uchem. Trzask! Ekran zgasł na chwilę, po czym znów się zapalił. Husajn wyprostował joystick i posłał mikrodrzon nieco wyżej. Gdy karaluch znów się opuścił, drzwi właśnie się zamykały.

Kolejny kwadrans upłynął na czekaniu. Nikt nie podchodził do drzwi. Bateria była już w trzech czwartych wyczerpana. Należało odwołać mikrodrzon lub przyjąć do wiadomości, że zostanie stracony na darmo. Ale Husajn umie utrzymywał go na posterunku.

Pięć minut. Dziesięć. Karaluchowi pozostało już zaledwie parę minut życia.

Jakiś dzieciak szedł zaułkiem, podskakując na jednej nodze i energicznie machając drugą.

Dzieciak stanął przed panelem obserwowanym przez mikrodrzon tuż zza jego głowy.

Wspiął się na palce i wystukał kod — 03689.

— Dzięki niech będą Bogu, dawcy łask wszelkich!

9

Tej samej nocy, zostawiwszy Fatimę na czatach w końcu ulicy, Husajn i Salem weszli do budynku sąsiadującego z pałacem Myszkiców przez tylne wejście, które Rosjanie nazywają „czarnym”, w odróżnieniu do „wejścia paradnego”. Salem znalazł włącznik światła i przekręcił go — gdyby spotkali jakiegoś lunatyka (a wszyscy Rosjanie są lunatykami), latarki mogłyby wzbudzić podejrzenia. Po dosyć niechlujnych, drewnianych schodach (od czasu do czasu, między nogami śmigał im pręgowany kocur) weszli na piąte piętro, gdzie drogę zastawiły im jakieś drzwi. Salem otworzył zamek za pomocą plastikowej płytki. Za drzwiami ciągnęły się jeszcze węższe schodki, prowadzące na podest, na który sączyło się światło z umieszczonej w suficie przeszklonej kłapy-światlika. W kącie stała drabina. Salem przystawił ją do światlika i wspinał się pierwszy. Husajn poszedł za nim. Znaleźli się na dachu budynku.

Z ulicy niebo wydawało się czarne poprzez kontrast ze światłami miasta, ale tutaj to właśnie miasto, choć rzęsiście oświetlone, wydawało się zatopione w ciemności. Niebo, łagodnie oblane światłem księżyca w pierwszej kwadrze, rozpościerało na czarnych dachach jedwabisty i uspokajający blask, który one miejscami odbijały niczym lustro. Husajn bez wahania skierował się ku miejscu, gdzie powinna się znajdować drabinka. Oddychał pełną piersią. Był szczęśliwy.

Zgięci w pół zeszli po drabinie. Teraz znajdowali się już na szpiczastym dachu pałacu Myszkiców. Ryzykowali skręceniem karku, ale co

robić — taki zawód. Obeszli dokoła dziedziniec wewnętrzny z basenem oświetlonym reflektorami, które nadawały mu szmaragdowy kolor. Mimo późnej pory trenował w nim jeszcze jakiś zapalony pływak. Słychać było jego parskanie i chlupotanie wody przy kraulu. Husajn i Salem znaleźli się nad drzwiami wychodzącymi na jeden z pawilonów. Husajn zbliżył do warg walkie-talkie i gwizdnął cicho i przeciągle. Fatima odpowiedziała takim samym gwizdnięciem.

Salem zatrzymał się przed metalowymi drzwiami. Zapalił zawieszoną nad czołem latarkę zaopatrzoną w biały filtr i oświetlił zamek skupioną wiązką światła.

— Zabezpieczenie pierwsza klasa — ocenił. — Siadaj, bracie, na czatach i czekaj.

Husajn usiadł na dachu w cieniu rzucanym przez pawilon. Salem położył u swoich stóp plecak, wyjął z niego łaskę myśliwską i oparł się na niej z oczami na wysokości zamka. Z plecaka, zawierającego poprzipinane gumowymi paskami narzędzia, wydobyl starannie wytoczony z brązowanej stali cylinder, z którego wystawało osiem cienkich, zagiętych bolców. Przyłożył narzędzie do zamka i zaczął manipulować w jego wnętrzu za pomocą bolców, szukając zapadek blokujących rotor. Jego delikatne palce, kościste niczym szpony sępa, którego przypominał, popychały, ciągnęły, obmacywały, chwytaly za kolejne bolce... Od czasu do czasu próbował przekręcić narzędzie między kciukiem a palcem wskazującym, po czym wzdychał głęboko i dalej poruszał nim po omacku. Po godzinie narzędzie, poruszane niczym klucz, spowodowało przekręcenie rotora. Drzwi otworzyły się, ukazując zalegające za nimi ciemności. Salem odwrócił się i mrugnął opuchniętą powieką.

Husajn gwizdnął dwa razy do nadajnika i w odpowiedzi usłyszał dwa długie gwizdy.

Salem wyjął z plecaka dwa makarowy z tłumikami. Jeden podał Husajnowi, który przeładowawszy broń, pierwszy wszedł do wnętrza pałacu Bojarów.

Metalowe schodki prowadziły do drzwi, które nie były zamknięte na zamek. Szeroki podest przechodził z jednej strony w galerię, a z drugiej w szerokie, drewniane, wywoskowane schody, pośrodku nakryte chodnikiem. Przez wielkie okna, wychodzące na Mojkę, wpadało światło księżycy, tak że nie było potrzeby włączania latarek.

Husajn nauczył się na pamięć pierwotnego planu pałacu Myszkiców, teraz więc mógł mniej więcej przewidzieć jego aktualny wygląd — Rosjanie nie należą do ludzi, którzy zostawiliby z pałacu jedynie zewnętrzną skorupę, kompletnie przerabiając jego wnętrze. Mogli, rzecz jasna, poprzestawiać kilka ścian działowych, z pewnością jednak uszanowali położenie ścian nośnych, schodów, holi i korytarzy. Jak w większości rosyjskich pałaców z osiemnastego wieku, ten także posiadał parter, dwa piętra, strych i piwnice. Husajn i Salem znajdowali się teraz na piętrze z sypialniami, które nadal musiało spełniać tę samą funkcję, skoro pałac służył Bojarom i ich gościom jako hotel. O tej porze wszyscy spali.

Husajn i Salem zeszli na niższe piętro, gdzie znajdowały się sale przyjęć — niektóre, ze względu na powierzchnię zajmowaną przez bank i media, przerobiono na biura i restaurację. Biura same w sobie mogły być interesujące, ale wątpliwe, żeby to w nich znajdował się cel operacji, który musiał być pilnie strzeżony.

Na parter prowadziły okazałe schody z marmuru, dwukrotnie szersze od poprzednich i podwójnie zakręcone, umieszczone w ogromnej klatce schodowej o rozmiarach sali balowej, ozdobionej lustrami w ramach, zawieszonymi naprzeciwko równie bogato obramowanych okien. Husajnowi zdawało się przez chwilę, że dostrzegł jakiś cień; odwrócił się ku niemu gotów do strzału, ale to było tylko jego odbicie w lustrze. Strażnicy zapewne koncentrowali się na ochronie z zewnątrz i nie fatygowali się częstymi obchodami wnętrza pałacu.

Podłoga była wyłożona kamiennymi płytami. W głębi sali znajdowały

się wysokie, przeszklone drzwi wychodzące na dziedziniec wewnętrzny. Po prawej i po lewej stronie także widać było jakieś drzwi. Z prawej strony dobiegały dźwięki rozmowy i muzyki. Sądząc z położenia, to właśnie tam musiało się znajdować stanowisko ochrony. Husajn otworzył drzwi znajdujące się pod schodami i znalazł się w niewielkiej rupieciarni. Salem spróbował tych *vis-a-vis* i gestem pokazał, że chyba wybrał właściwe. Husajn gwizdnął przeciągle trzy razy i w odpowiedzi otrzymał trzy długie gwizdy. Przez krótką chwilę pomyślał o tej, która gwizdała, przechadzając się brzegiem Mojki, jakby w oczekiwaniu na ukochanego, co w przededniu białych nocy na pewno nikogo nie dziwiło. Ryzykowała niewiele. Ulice Petersburga były znowu tak bezpieczne jak niegdyś ulice Leningradu. A w razie czego, umiała się bronić.

Kolejne schody, tym razem granitowe, prowadziły do piwnicy. Nie było tu światła, więc Salem zapalił lampę na czole, a Husajn trzymaną w lewym ręku latarkę.

Piwnica pałacu została przebudowana. Jej centralną część zajmował basen otoczony galerią z okienkami, przez które można było podziwiać wyczyny trytonów i najad. W końcu piwnicy znajdowała się sala gimnastyczna, do której z jednej strony przylegała strzelnica, a z drugiej zbrojownia. Betonowy korytarz prowadził do amfiteatru na około dwieście miejsc oraz wielkiej, pozbawionej okien sali, pełnej biurek i komputerów. Za kolejnymi drzwiami, z którymi Salem szybko sobie poradził, znajdowała się mniejsza i także ślepa salka. Na środku pomieszczenia cicho mruczał serwer. Grube, czarne kable tworzyły na podłodze węzły, niczym węże boa (o ile węże boa umieją robić węzły), zmierzając do metalowej szafy, stojącej tuż obok serwera. Na jednym z biurek znajdował się ekran i klawiatura oznaczone jako „Administrator sieci”. Na metalowych regałach piętrzyły się segregatory.

W głębi sali znajdowały się opancerzone drzwi.

Salem i Husajn wymienili spojrzenia. Było wielce prawdopodobne, że to, czego szukali, znajduje się właśnie za tymi drzwiami.

Salem podszedł i przykleił do nich ucho, żeby słyszeć dźwięk zapadki, którymi delikatnie poruszał... Spojrzał na zegarek i potrząsnął głową. Za późno, żeby zabierać się za kolejny zamek. Husajn przytaknął. Gwizdnął krótko cztery razy, mając nadzieję, że betonowe ściany przepuszczą sygnał. Odpowiedziały mu cztery równie krótkie gwizdy.

Obaj mężczyźni wrócili na górę, nie spotkawszy żywej duszy. Przy drzwiach wchodzących na dach Salem się zatrzymał. Wyciągnął z plecaka komplet śrubokrętów i wymontował zamek. Kolejno wyjmowane części układał na rozłożonym uprzednio na podłodze pergaminie. Korpus zamka szybko został rozmontowany i Salem zabrał się za cylinder. Wyjął z niego sprężyny i metalowe bolce.

— Co robisz, bracie?

— Wyjmuję zapadki, bracie. Zostawię tylko jedną. Nie będzie śladu włamania, a kiedy wrócę, będę musiał przesunąć tylko tę jedną zapadkę, której położenie zaznaczę na moim narzędziu. I otworzę drzwi, jakbym miał do nich klucz.

— Chwała Bogu, że masz taki talent ślusarski.

Salem podniósł oczy na Husajna.

— Nic nie jest trudne, gdy zna się imiona swoich przodków do dwunastego pokolenia.

10

Na miejsce spotkania został wyznaczony petersburski cyrk, czego zażyczył sobie Mabul („Dobrze się czuję wśród zwierząt, moich braci!”). Mabul był informatykiem narzuconym przez „Amerykanina innego niż wszyscy”, który pod tym względem był jednak dokładnie taki jak wszyscy — lubił, żeby wszystko działało się zgodnie z jego życzeniem.

Spektakl w cyrku pełen był tego tak charakterystycznego dla Rosjan lekkiego współczucia. Treser miał mnóstwo współczucia dla swoich niedźwiedzi, niedźwiedzie dla tresera, trapezistka dla trapezisty, klauni dla klaunów, publiczność dla artystów i artyści dla publiczności. Dla rycerza Allaha było to absolutnie nieznośne.

W antrakcie Husajn poszedł obejrzeć dzikie zwierzęta i zatrzymał się przed klatką tygrysów. W lewym ręku trzymał „Washington Times”. Podszedł do niego jakiś mały, małpowaty stwór, o zbyt długich rękach, okrągłej głowie i okularach grubych niczym denko słoika, trzymający w obu rękach „Economista”.

— Proszę wybaczyć, *sir*, czy jest pan Amerykaninem?

— Nie, *sir*, jestem Libańczykiem. Bardzo mi miło.

— Mnie także. Jak się panu podobał spektakl? Żałuję, że jest tu tylko jedna arena. W Stanach mamy co najmniej trzy.

— Tak, wiem. A bilety sprzedają *Shriners* [Członkowie wolnomularskiej organizacji dobroczynnej] w tych swoich czapkach.

— Ha, ha! Widzę, że zna pan nasz kraj. Nazywam się Mabul. Miło mi pana poznać.

— Husajn, do usług.

— Może po spektaklu przejdziemy się trochę razem?

— Z przyjemnością.

Spotkali się przy wyjściu i poszli w stronę Fontanki.

— A więc? — spytał Mabul. — Namierzył pan cel?

— Jeszcze nie.

— Wie pan, jakich komputerów używają?

Husajn powtórzył symbole, które odczytał z serwera znalezionego w pałacu Myszkinów. Mabul rozpromienił się.

— Właśnie tego się spodziewałem po Bojarach. Jak przewidziałem, wybrali doskonałą „Myszkę”, naprawdę najlepszą. Dobra. „Myszką” nazywam serwer, na cześć pałacu Myszkinów. To świetny gryzoń, ale mam odpowiedni sprzęt, żeby go rozkodować. Dobra. Nie wiem, czy nasz wspólny przyjaciel pana uprzedził, ale bity, oktety i algorytmy nie mają przede mną tajemnic. Jestem, że się tak wyrażę, *Homo informaticus*. Zatrzymałem się w hotelu „Europa”. To najniższy standard, jakiego się można spodziewać po *Homo informaticusie*. Uchodzę tam za przedstawiciela pewnej firmy komputerowej. To tłumaczy cały sprzęt, który z sobą przytargałem. Dobra. Kiedy dotrze pan do celu?

— Dziś w nocy, jeśli pan sobie życzy.

— Oszałał pan? Muszę mieć co najmniej dwadzieścia cztery godziny na dokonanie transkrypcji! A może nie zamierza pan odkładać go na swoje miejsce?

— Wręcz przeciwnie.

— W takim razie trzeba go pożyczyć jutro wieczorem i oddać w nocy z niedzieli na poniedziałek. W ten sposób Bojarzy nie zorientują się, że im znikną! Brytole wymyślili weekend, Rosjanie ich naśladują — tym lepiej dla nich. Czy to możliwe?

— Z Bożą pomocą.

— A, rozumiem, że jest pan przedstawicielem muzułmańskiej dewocji! Ja tam nie wierzę w te wszystkie brednie. Pracuję dla tego (wykonał charakterystyczny gest liczenia banknotów), jak prawdziwy niedowiarek. Dobra, niech pan posłucha. Najprościej będzie, jak w piątek wieczorem przyjdzie pan na kieliszek do baru w Europie (mają tam też coca-cole, jeśli panu zależy) i tam odda mi pan nasz przedmiot. Żadnego szacher-macher, odda mi to pan zupełnie otwarcie, bo w ten sposób nikt nie zwróci na to uwagi. Okej?

Husajna rozbawiły te lekcje konspiracji udzielane przez *Homo informaticusa*. Zatelefonował do Salema i Fatimy, żeby wyznaczyć im spotkanie za półtorej doby.

Piątek spędził w bibliotece, studiując wojny murydzkie. Piątek to dzień *dżemaa*, święty dla islamu. Postać Szamila była bliska Husajnowi, ale tylko do pewnego stopnia. Szamil wprawdzie bił się dzielnie, lecz w końcu uznał się za pokonanego, przyjmując wspaniałomyślność zwycięzcy. Nie z takiej stali wykuci są męczennicy.

Tego wieczora niebo się zaciągnęło i noc, która wreszcie zapadła, była całkiem czarna. Ani śladu księżyca. Odbiór przez walkie-talkie był zadowolający. Salem z głową sepa i Husajn o oczach jak lustra ponownie stanęli przed „czarnymi drzwiami” budynku sąsiadującego z pałacem.

— A gdyby tak, bracie, zmienili kod dostępu — szepnął Salem, złe ptaszysko.

Ale nie zmienili.

Z okazji piątku schody były pełne kuchennych zapachów i muzyki. Śpiewy, głośnie rozmowy, girlandy śmiechu. Dziwnie było tak wspinać się po tych schodach dla służby, nie widząc tych wszystkich ludzi uczujących na każdym pięttrze. Husajn pomyślał, że to jak wędrówka po przewodzie pokarmowym człowieka, bez wglądu w pracę mózgu.

Drabina stała tam, gdzie ją zostawili. Kłapa wciąż otwierała się bez problemu. Natomiast na dachu było ciemno i zimno. Z północy, znad Bałtyku wiał porywisty wiatr, napełniający powietrze niepokojącą wonią. Cóż za pomysł miał Piotr Wielki, żeby ulokować swoją stolicę na samym skraju imperium! A może po prostu przeczuwał, że kiedyś to

miejsce stanie się centrum, gdy on powiększy swoje cesarstwo — od Pacyfiku aż po Atlantyki! A właściwie. .. dlaczego nie, jeśli tylko w międzyczasie władzę przejmą mużłanie? Do Atlantyki już przecież dotarli, wyruszając z Azji z kilkoma zaledwie poligamicznymi jeźdźcami i paroma końmi krwi arabskiej!

Dach był wilgotny i śliski. Śliska była także przerdzewiała drabinka. Na szczęście Husajn i Salem mieli buty do wspinaczki.

Basen był oświetlony, ale pusty.

Cylindryczne narzędzie Salema dokonało cudu — drzwi do pawilonu otworzyły się niczym przy użyciu klucza.

I oto Szahid ponownie znalazł się w jaskini wroga; pozwolił oczom przywyknąć do ciemności, po czym zszedł powoli po schodach, wymacując uważnie każdy stopień.

Na drugim piętrze światła były zapalone, jakby mieszkańcy hotelu jeszcze nie wrócili do swoich pokoi. Istniało więc ryzyko, że wpadną na jakiegoś późnego biesiadnika... Ale obaj intruzi przeszli bezpiecznie, jeden za drugim, niczym szczury.

Na pierwszym piętrze usłyszeli dobiegającą z pokoju muzykę. „Czajkowski” — szepnął Husajnowi zachwycony Salem. Husajn miał w nosie Czajkowskiego. Bał się, że mogą się nadziać na kogoś z gości lub obsługi. Poruszali się więc od wnęki do wnęki, od framugi do framugi, ale wyglądało na to, że wszyscy są zajęci — jedni obsługiwaniem, inni byciem obsługiwany. Niespodzianka czekała w sali przyjęć, która mimo późnej pory była rzęsiście oświetlona. Salem i Husajn zatrzymali się w progach. Czyżby, schodząc po schodach, przyjęli niejako zaproszenie Bojarów? Czyżby kamery zasygnalizowały ich obecność?

Zeszli po schodach w pełnym świetle i nie okazali zmieszania, gdy jakiś wysoki, łysy i korpulentny mężczyzna w wieczorowym ubraniu, minął ich majestatycznie, ciągnąc niedbale rękę po marmurowej poręczy; jego czerwone policzki zwiślały na wyświecony kołnierzyk, a długie nogi ugiwały się pod nim, jakby były zawieszane na łożysku kulkowym.

Szedł dokądś spóźniony? Wychodził zaczerpnąć powietrza? A może był to duch samego Piotra Wielkiego, który przybył nawiedzić swoją stolicę — Miedziany Jeździec w wieczorowym ubraniu? Ale nie. Piotr Wielki na pewno byłby bardziej spostrzegawczy. Zwróciłby uwagę na tych ubranych na sportowo nieproszonych gości, podczas gdy ten odpowiedział tylko lekkim skinieniem głowy na powitanie dwóch śniadych mężczyzn — zapewne sprzątaczy... Szybko zapuścili się w ciemności piwnicy, gdzie wreszcie poczuli się swobodnie.

Dwa dni temu byli tu na rekonesansie. Teraz poruszali się pewniej, gdyż nie tylko znali już topografię pomieszczeń, ale i ułatwiały im to zapalone w korytarzach lampki. Bez problemów dotarli do sali informacyjnej, biurka administratora sieci i opancerzonych drzwi, za którymi znajdował się (taką przynajmniej mieli nadzieję) cel ich wyprawy.

Husajn znalazł i wskazał Salemowi głową schówek na miotły, który mógł im w przypadku obchodu posłużyć za schronienie. Salem wyjął z plecaka trzy małe, czarne pudełeczka. Wrócił do wejścia do piwnicy i umieścił jedno z nich nad drzwiami. Drugie zostawił sobie, a trzecie wręczył Husajnowi.

— Odbiornik włóż do kieszeni. Słuchawkę do ucha. Działa jak radar. Jeśli drzwi się otworzą, zaczniesz warczeć.

— Niegłupie — przyznał Husajn.

— KGB — rozpromienił się Salem.

Rozłożył się ze swoim sprzętem pod drzwiami sejfu. Z plecaka wyjął słuchawki, które założył na uszy. Znał ten typ zamka i wiedział niemal co do milimetra, gdzie należy go nawiercić, żeby następnie za pomocą haczyka uruchomić znajdujący się w środku mechanizm. Tym razem jednak nie mógł zostawić śladów włamania. Musiał więc odnaleźć właściwą kombinację, co nie było łatwe przy sześciu krążkach, ustawiających się w dwudziestu różnych pozycjach każdy. Ale był dumny ze swojego wykszolenia i zamierzał pokazać temu cudzoziemcowi, co potrafi KGB.

Wszystkie krążki ustawił w pozycji zerowej. Za pomocą słuchawek próbował wysłuchać normalny dźwięk zapadek — dźwięk „nienormalny” będzie oznaczał odskoczenie zapadki mechanizmu, a więc otwarcie.

Krażek po krążku wysłuchał każdej z dwudziestu pozycji. W notesie zapisywał te, w których usłyszany dźwięk wydawał się inny. Znalazł takich dwa lub trzy na każdy krążek i teraz zaczął po kolei sprawdzać możliwe kombinacje. Husajn stał na czatach przy wejściu do sali i ku swemu zawstydzeniu stwierdził, że dłoń trzymająca makarowa jest mokra od potu. W głowie dokonywał obliczeń: $1 \times 2 \times 3 \times \dots \times 120 \dots$ Ile to milionów? Ile czasu Salem potrzebuje?

Drzwi otworzyły się z głuchym szcękaniem.

Obaj mężczyźni weszli do środka.

Pokój był mikroskopijny i prawie pusty. Stał tam tylko jeden regał, na którym leżało siedem pudełek opisanych nazwami kolejnych dni tygodnia.

Husajn miał ochotę uklęknąć. W nagości tego pomieszczenia było coś tak obcego zachodniemu stylowi, pełnemu przesady i groteski, że Husajnowi zdało się ono ucieleśnieniem Prawdy. Jeśli Allah kiedykolwiek miałby mieć godną siebie świątynię, to byłaby ona podobna do tego kwadratowego pokoiku z pudełkami noszącymi nazwy siedmiu dni tygodnia, zawierającymi całą mądrość i wiedzę tego świata.

Wziął kasetkę opisaną jako „Piątek”. Plastikowy prostopadłościan krył w sobie archiwa Bojarów od początku ich działalności i cały miesiąc się w jednej dłoni.

Wyszli.

Salem zamknął drzwi, płacząc kombinację, która na zawsze pozostała mu w pamięci.

Husajn tryumfalnie gwizdnął pięć razy do nadajnika. Po jednym gwizdnięciu dla każdego z pięciu filarów islamu.

W Paryżu kampania przeciwko Bojarom osiągnęła już takie rozmiary, które w innym kraju pewnie wydałyby się komiczne, ale nie we Francji, która przełknęła już, niczym japońskie ostrygi, zbiorowe groby Timisoary, pięćset tysięcy zabitych w Kosowie, francuskie okrucieństwa w Algierii oraz kilka innych morskich potworów podobnego kalibru. Nikt się więc nie dziwił i wszyscy prosili o jeszcze. Bojarzy reprezentowali pogromy, generała Durakina, knuty, Iwana Groźnego, wsie potiomkinowskie, kozaków, Katarzynę i jej kochanków, „tajemnicę schowaną w zagadce ukrytej w szaradzie”, „rozległą, bogatą w zboże równinę, zamieszkałą przez lud barbarzyński”, „zepsutą, nieograniczoną władzę, która demoralizuje w sposób nieograniczony”, niewolnictwo, wódkę serwowaną w samowarze, Syberię, katorgę, wycie wilków, nieprawomyślne prawosławie, straconą niedawno łódź podwodną i prezydenta, który nie kiwnął nawet palcem, żeby ją uratować, mafię, gułagi, a nawet, zwłaszcza w ustach dawnych towarzyszy komunistów, „potworności stalinizmu, które dowodzą, że w Rosji nic się nigdy nie zmienia”.

Sensacyjnych tematów zaczynało już jednak brakować, a przecież nie można pozwolić, żeby taka żyła złota uległa wyczerpaniu. Od dawna już było wiadomo, że złym duchem Bojarów jest nawrócony na prawosławie dawny agent KGB, czyli niejaki Igor Popow. Na nabrzeżu Mojki zrobiono nawet zdjęcia mężczyznom w kapeluszach i prochowcach, z których każdy mógł być Igorem Popowem, ale nikomu nie udało się złapać go za rękę.

— Kevin, słuchaj — rzucił Paulo, wpadając do biura swego młodego szefa — mam genialny pomysł!

Kevin, producent telewizyjny, był bardzo niski i nosił kowbojki na wysokim obcasie, które lubił ostentacyjnie kłaść na biurku. Właśnie pił wodę Evian — prosto z plastikowej butelki.

— Paulo, zaczynam się bać.

Paulo, stary wyga, nieogolony, w brudnej kurtce ze sztywnej skóry, miał pierwszorzędnego nosa do różnych spraw oraz sto genialnych pomysłów na dzień, z tym że większość z nich nie nadawała się do realizacji, a większość tych, które się nadawały, kosztowałyby fortunę.

— Igor Popow— rzucił Paulo, opadając na odkształcony fotel.

— Co Igor Popow?

— Mam coś!

— Znalazłeś Igora Popowa?

— Nie. Zresztą lepiej, żebyśmy go nie znaleźli, bo teraz stał się już mitem, a jeśli go znajdziemy, to biorąc pod uwagę, ile ma teraz lat...

— A ile może mieć?

— Pod osiemdziesiątkę, jak sądzę. Nikogo nie może już przestraszyć. A sprzedają się tylko wilkołaki. Natomiast osiemdziesięcioletni wilkołak to groteska.

— No, dobra, więc co znalazłeś?

— Znalazłem panią Popow?

Kevin podkurczył nogi, próbując usiąść normalnie.

— Panią Popow! Gdzie? W Moskwie?

Paulo uśmiechnął się, unosząc w górę kąciki zaciśniętych ust, dotknął z cwaną miną nosa i w końcu wyrzucił z siebie:

— Nic z tego, staruszkule. W Paryżu. Na avenue de Suffren, jeśli chcesz wiedzieć.

— Panią Popow?

— No, nie zupełnie „panią Popow”. To jego kochanka, jego kociak, przyjaciółka, laska nie wiem, jak wy to dziś nazywacie. Ja bym powiedział: „jego metresa”.

— Mieszka na avenue de Suffren?

— Zgadza się.
— Ile ma lat?
— Siedemdziesiąt z groszami. Świetnie zakonserwowana.
— A nazywa się...?
— Na scenie i na ekranie Olga Orłowa. W mieście Marina Krajewska.

— Nigdy o niej nie słyszałem.
— Za wielki talent, żeby odnieść sukces.
— Nie próbowała przez łóżko?
— Ależ tak! Z tym, że zawsze wybierała nie to łóżko, co trzeba.
— A więc?

— Przejrzałem gazety z tamtych lat. Igor Popow był majorem KGB z misją w Paryżu, podobno przeszedł na prawosławie, co dla nas akurat jest korzystne, po czym został zabity, nie wiadomo przez kogo, serią z 11,43 pod drzwiami paryskiej cerkwi — Wniebowstąpienia czy Wniebowzięcia, nigdy tego nie rozróżniałem [Zob. powieść tego samego autora, *Le Retournement* (pol. wyd.: *Werbunek*, Klub Książki Katolickiej, Poznań 2007)]. Właśnie wychodził z mszy. Był w towarzystwie panny Orłowej, która o mały włos też by oberwała, ale strzelec znał się na swojej robocie. Nie uważasz, że to niezły materiał?

Kevin zastanowił się przez chwilę, a w końcu położył obie dłonie płasko na biurku.

— Posłuchaj, Paulo. Jeśli stara puści farbę, ale nie byle co, rozumiesz...

— Rozumiem, Kevin, rozumiem.

Kevin rozważał, jaką by tu złożyć odpowiednio wspaniałą obietnicę. Nic takiego nie przychodziło mu do głowy, więc w końcu westchnął ciężko:

— Jeśli ci się uda, będziesz mógł prosić, o co chcesz. Bo wiesz, oglądalność...

Pani Orłowa otworzyła mu osobiście, obrzuciła wzrokiem trzydniowy zarost i wytłuszczoną kurtkę gościa i przeszła do pokoju, żeby położyć się na kanapie w pozie odaliski, co, mimo jej wieku, całkiem mu się podobało (pani Orłowa regularnie uczęszczała na zajęcia gimnastyczne).

— Proszę się czuć jak u siebie w domu — zaproponowała z wielkopańskim gestem dłoni.

— Proszę nam tylko pokazać, gdzie są gniazdka. Bouftou, uważaj, żebyś czegoś nie potłukł — ostrzegł Paulo kamerzystę.

— On niech się zainstaluje, a ja w międzyczasie chciałbym pani wyjaśnić... choć może moja asystentka już pani wszystko wyjaśniła, gdy umawiała nas na spotkanie...

— Nic mi nie powiedziała.

Pani Orłowa była cała w krągłościach, z dołeczkami w policzkach. Miała na sobie czarny sweter, gdzieniegdzie ozdobiony cekinami, czarne spodnie z lekko błyszczącego materiału, a na szyi jadeitowy naszyjnik. Można by jej dać z pewnością dziesięć lat mniej niż owa sugerowana przez Paula siedemdziesiątka.

Wystrój wnętrza, w którym Bouftou ustawiał reflektory, projektory i teleskopowy trójnog kamery, był zdecydowanie rosyjski — w kącie ikony i palące się przed nimi lampki, matryoszki, książki w cyrylicy, portrety Mikołaja II i Aleksandry Fiodorowny, handzary, samowar, miniaturki z Palechu, grafika przedstawiająca czarnoskórego Puszkina, dywany, poduszki, szale. Wśród tego wszystkiego Bouftou sprawnie zainstalował swój sprzęt.

— A zatem — powiedział Paulo — robimy program o wielkich artystkach... Nie wiem, czy woli pani termin „artystka” czy „aktorka”...

— „Aktorka”, rzecz jasna! (Olga Orłowa wzruszyła krągłym ramieniem). „Artystka” zawsze wydawało mi się pejoratywne, jak po rosyjsku. Podczas gdy *aktrisse!*...

Wzniosła rozanielone oczy do sufitu, który niestety był dosyć niski. Z biegiem lat narzuciła sobie lekki rosyjski akcent, którego wcześniej, jako gwiazdka, nigdy nie używała.

— Więc robimy program o wielkich aktorkach francuskich obcego pochodzenia. Nawiązaliśmy już kontakt z Yasminą Rezą, Maszą Meril, KatiąTchenko, Consuelo de Haviland, Mariną Vlady... Jaka szkoda, że siostr Poliakow nie ma już wśród nas! Odile Versois była wspaniałym stworzeniem...

— Niezła, całkiem niezła. Ale cóż, to inne pokolenie.

— Otóż to — zgodził się Paulo, dając tajemny znak kamerzyście.
— Więc chciałbym panią spytać, pani Olgo, jakie było pani największe doświadczenie teatralne — nie chodzi mi o takie, które zrobiło najwięcej szumu w prasie, ale takie, które panią osobiście najbardziej naznaczyło wewnątrz. Takie, które znalazło w pani największy oddźwięk, jeśli się mogę tak wyrazić.

Bouftou miał już oko przy obiektywie. Olga Orłowa uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Och — rzekła — to było tak dawno temu... W dodatku to było zwykle amatorskie przedstawienie...

— Właśnie o tego rodzaju wspomnienia nam chodzi.

— A więc, proszę sobie wyobrazić, że na pewnym wieczorze organizowanym przez Witiaż (to rosyjska doborowa jednostka zwiadowcza), grałam w *Mewie* Czechowa i ta rola zostawiła we mnie niezatarty ślad. Proszę tylko sobie wyobrazić — grałam główną rolę, a na sali siedział kwiat emigracji — wielki książę Gabriel, który wtedy był jeszcze tylko zwykłym księciem, wielka tancerka Matylda Krzesińska, która kiedyś była kochanką Mikołaja II, hrabia Pietrusza Szeremietiew, wtedy jeszcze bardzo młody, ale już śpiewał boskim kontratenorem... Tego się nie da zapomnieć.

— A w życiu prywatnym, pani Olgo? Wiadomo przecież, że w życiu aktorki to, co prywatne, często miesza się z tym, co należy do zawodu. Ma pani może jakieś wyjątkowe wspomnienie, którym chciałaby się z nami podzielić?

Kolejny tajemny gest w stronę kamerzysty. Tym razem zapaliło się czerwone oko kamery. Olga Orłowa długo milczała, potem sięgnęła po papierosa i zapalniczkę, a w końcu cisnęła w ciszę niczym kamień do studni:

— Nie.

— Przecież była pani tak blisko z tyloma wysoko postawionymi osobistościami, z tyloma wybitnymi umysłami... Nie ma pani nic do powiedzenia na ten temat?

Olga Orłowa uśmiechała się coraz szerzej, jak kot, który wspomina schrupaną mysz i tonem pełnym słodkich, mniej lub bardziej prawdziwych wspomnień odparła, strzepując popiół do zdobionej znakami heraldycznymi popielniczki:

— Nnnie... Widzi pan, tak nie wolno. Co było, to było. Zostają wspomnienia, ale nie należy o nich opowiadać.

— Nawet w telewizji?

— Przede wszystkim w telewizji.

— Dobrze. (Paulo postanowił zaryzykować i zagrać nieco brutalniej — to na ogół działało). A jak pani wspomina fakt, że była pani muzą, heterą i Matą Hari Igora Popowa, człowieka, który dziś gromadzi wokół siebie najbardziej zgubne siły Rosji? Który może się stać Benito Mussolinim, żeby nie rzec: Adolfem Hitlerem naszych czasów? Mówiło się, że został zabity, jednak kto jak kto, ale pani musi przecież wiedzieć, że on żyje. Że to tylko plotka. Być może nawet celowa dezinformacja. Jakie wrażenie na pani zrobiła wiadomość, że on żyje? A może zawsze to pani wiedziała?

Cisza.

Olga Orłowa, mimo wielkiego talentu, nigdy nie odniosła światowego sukcesu, teraz zaś podawano jej na tacy krótki moment chwały, który musiała tylko chwycić w ręce. Nigdy nie jest za późno, żeby zostać wielką aktorką, długo nieznaną i nagle docenioną. Gdyby przyznała, że Igor Popow żyje, a ona była kiedyś jego kochanką, wielki telewizyjny

show stałby dla niej otworem, magazyny kobiece byłyby się o jej zwierzenia, a wydawcy z góry zapłaciliby za jej wspomnienia, z klauzulą pozwalającą na ich „adaptację” (zawsze to lepiej brzmi niż „napisanie od nowa”). Niewykluczone też, że i reżyserzy na wyścigi składaliby jej propozycje; gdyby tak, na przykład, zrobił to Michałków, Zinnemann lub Costa-Gavras... Czuła, że bez trudu mogłaby jeszcze teraz zrobić karierę. Zadziwić świat. Mogłaby wyprowadzić się z tej kawalerki, w której mieszka od czterdziestu lat i kupić sobie, kto wie, mieszkanie w Neuilly lub na Lazurowym Wybrzeżu. A czemu nie w Beverly Hills?

Paulo patrzył na nią jak wąż hipnotyzujący żabę. Zdażył już zauważyć pajęczynę za ikoną i kurz pod dywanem — Olga Orłowa musiała sama sprzątać; możliwe, że z trudem starczyło jej na czynsz... A on właśnie składał jej propozycję nie do odrzucenia.

Olga Orłowa zrezygnowała ze swej rozleniwionej, nonszalanckiej pozy. Usiadła zgarbiona, nie dbając o to, jak wygląda. Lewą rękę wciśnęła między uda, w prawej zaś trzymała papierosa, którego zapaliła, żeby łatwiej jej się myślało.

Paulo czekał. Miał czas. I był pewny wyniku.

W końcu Olga wyprostowała się i spojrzała w kamerę, której oko na chwilę zgasło. Atmosfera w pokoju uległa zmianie. Czuło się, że *aktrisse* zagra za chwilę swoją wielką rolę. Paulo dał znak Bouftou, żeby znowu zaczął kręcić. Olga sprawdziła, czy czerwone oko się zapaliło i spojrzała prosto w obiektyw.

Oblizwała usta i odkaszlnęła, żeby oczyścić gardło palaczki.

Mówiła wolno, starannie wymawiając spółgłoski.

— Nigdy nie byłam kochanką Igora Popowa, ale nie zamierzam ukrywać, że go kochałam. I sądzę, że on też mnie kochał. Jedyna rzecz, której jestem pewna, to że padł martwy u moich stóp, ścięty serią z pistoletu maszynowego, prosto na chodnik piętnastej dzielnicy. Kiedy ktoś znajduje się w stanie, w jakim go widziałam (wspomniany widok stanął jej przed oczami, przerażonymi, ale pełnymi godności)... cóż,

drogi panie, nie może być mowy o plotce lub dezinformacji. Zmartwychwstanie, owszem nastąpi, ale... w dniu ostatecznym.

Jej spojrzenie przeniosło się na ikony, a potem znowu, stwardniałe, obróciło się ku kamerze.

— Być może — dorzuciła.

I żeby zatrzeć nieco wrażenie cynizmu, wzruszyła lekko ramionami i uśmiechnęła się lekko, sugerując, że zmartwychwstanie na tamtym świecie nie jest całkiem wykluczone.

Wypowiedziała się krótko, żeby zwiększyć szansę, że materiał pójdzie w całości.

Po powrocie do biura Paulo rzekł do Kevina:

— No cóż, staruszkule, te złote góry, które mi obiecywałeś, możesz sobie schować do piwnicy. Ta kretynka nie chce gadać. Straciłem czas mój i Bouftou oraz kilka metrów taśmy, która do niczego się nie nadaje.

— Przesadzasz, jak zawsze — rzekł Kevin. — Może coś się da uratować...

Kazał sobie wyświetlić to, co nagrali. Obejrzał materiał, sącząc z butelki wodę Evian.

— Jest całkiem niezła, jak na swoje lata — stwierdził. — I moglibyśmy zostawić ten kawałek: „Nigdy nie byłam kochanką Igora Popowa, ale nie zamierzam ukrywać, że go kochałam. I sądzę, że on też mnie kochał”. Ale czy warto?

— Nie — rzekł stary wyjadacz. — Szkoda zachodu.

— Masz rację — przyznał młody wilk. — Do kosza z tym.

Niedzielny ranek Szahid spędził na mszy prawosławnej w cerkwi świętego Mikołaja, patrona marynarzy.

Jakaś dziwna przewrotność powodowała, że miał wielkie upodobanie do tego prawosławnego bałwochwalstwa. Wiedział, że jego koncepcji Boga bliższe były niektóre odłamy protestantyzmu — zakazywały obrazów, nieufnie odnosiły się do Trójcy Świętej, nie pozwalały pić alkoholu, a ich liturgia sprowadzała się do prowadzonej przez pastora modlitwy, podobnie jak to się odbywa u muzułmanów. Ale właśnie to podobieństwo mogło doprowadzić do pomieszania. Za to u prawosławnych wszystko było pogańskie — zdobnictwo, śpiewy, ikony i kadzidła zwracały się bardziej ku ciału niż ku duchowi, więc pomijając doznania czysto estetyczne (podobnych doświadczałyby, na przykład, w operze), Husajnowi sprawiała niewymowną przyjemność świadomość, jak bardzo jego wrogowie są dalecy od prawdy. „Ha, ha! — mówił sobie w głębi duszy. — Zasługują na karę, która spadnie na nich w końcu czasów, kiedy to będą żywcem obdzierani ze skóry, która będzie im odrastała, żeby ich tortura mogła trwać w nieskończoność”.

Po południu miał umówione spotkanie z Mabulem w podziemnej sali pałacu Jusupowa, gdzie zamordowano Rasputina. Tłum turystów przechadzał się w tę i z powrotem, więc przekazanie plastikowej siatki z ręki do ręki nie stanowiło najmniejszego problemu. Śmieszne figury woskowe bezcześciły to miejsce, w którym rozegrała się jedna z najważniejszych scen XX wieku.

Gdyby Rasputin nie został zamordowany (co nastąpiło prawdopodobnie z inspiracji wywiadu brytyjskiego), być może przekonałby Mikołaja II, żeby zawarł pokój z Niemcami. A wtedy — żadnej rewolucji w Rosji, żadnego komunizmu na świecie, żadnego nazizmu, może nawet żadnego państwa Izrael... Pomarzyć zawsze można.

Husajn i Mabul wymienili spojrzenia. Husajn od razu zrozumiał, co mówiły pijane dumą oczy Algierczyka — tak, taśma magnetyczna „Myszki”, którą zawierała plastikowa siatka, została skopiowana i przesłana, gdzie trzeba. Nigdy więcej Bojarzy nie będą już mieli żadnych tajemnic — przeszłych, teraźniejszych ani przyszłych, w każdym razie tak długo, jak długo ta kradzież nie wyjdzie na jaw. Wszystkie sekrety, które zostały lub zostaną powierzone serwerowi, będą prześwietlone na wylot, nawet jeśli będą zapisane doskonałym szyfrem. Niektórym maszynom nie oprą się żadne szyfry, podobnie jak żaden człowiek nie oprze się niektórym torturom. Wszystkie dane, archiwa, rejestry, katalogi, księgowość, inwestycje, protokoły zgromadzeń, raporty, maile, a także hasła, do których dostęp miał tylko administrator sieci — wszystko to mieściło się w skradzionej i skopiowanej pamięci zewnętrznej.

Ale to nie była wyłącznie kwestia tajemnic.

Zleceńodawcy „Śmiertelnej rany” mogli teraz dowolnie sabotować projekty Bojarów, kierować je na inne tory i wykorzystywać je. Mogli czerpać z „Myszki” prawdziwe informacje (żeby je deformować i karmić nimi media) oraz wprowadzać do niej informacje fałszywe. Wiedząc, do jakiego stopnia rosyjski rząd liczy się ze zdaniem Bojarów, łatwo będzie manipulować w ten sposób jakąś częścią jego polityki.

To właśnie myślał Mabul, szalony Algierczyk, który dla pieniędzy służył różnym panom. Szahid jednak myślał coś zupełnie innego.

*

Niedzielną noc była świetlista.

Nie tylko dlatego, że niebo już zdawało się zapowiadać nadejście białych nocy, ale również dlatego, że zbliżający się do pełni księżyc wylewał na Sankt Petersburg potoki magicznego światła, które kazało wątpić w realność marmurowych i granitowych pałaców. Można było pomyśleć, że samo miasto jeszcze nie istnieje, a spacerowicz przechadza się nie tyle pośród materialnych rzeczy, ile w umyśle Piotra Wielkiego, z którego te rzeczy wyszły, samemu stając się częścią snu cara: „Pewnego dnia, zamiast tej niebiesko-zielonej, bagnistej i pełnej chorobliwych wyziewów równiny, z mojej woli postanie tu geometryczna struktura balustrad, mostów, murów, kolumn, budowli, pomników, latarni, a ludzkie istoty przechadzać się będą nocą, śniąc na jawie — ot, choćby jak ten islamski terrorysta, który niecierpliwie wyczekuje chwili swojego męczeństwa...”

Husajn starannie się przygotował do ostatniej wizyty w pałacu Myszkinów. Włożył buty do wspinaczki, sprawdził latarkę, kieszenie i torbę wypchał mydełkami o zapachu irysowym marki „Iris Spring”, które przywiózł z Czeczenii.

Fatima odpowiedziała na pierwsze wezwanie. Salem punktualnie stanął się na miejscu spotkania i podał Husajnowi jego makarowa. Kod dostępu do budynku był niezmienny.

W niedzielę wieczorem tylne schody budynku były ciche — lokatorzy jeszcze nie wrócili ze swoich daczy lub spali już w najlepsze.

Gdy znaleźli się na dachu, Salem, nieczuły na widoki, od razu zajął się swoją misją, ale Husajn aż zadrżał wobec piękna czarnych zwierciadeł wody i białych lusterek dachówek, które odbijały — każde na swój własny sposób — łagodne światło księżyca, spadające na nie niczym kwietny pył.

Zamek od drzwi pawilonu działał bez zarzutu.

Schody były oświetlone a *giorno* przez księżyc wpadający przez okna od strony Mojki.

Żyrandole spały odwiecznym snem sprawiedliwego.

W piwnicy nie paliły się żadne lampy — musieli się poruszać przy latarce. Salem ponownie umieścił nad drzwiami radar na wypadek obchodu. Husajn włożył sobie słuchawkę do ucha.

Dotarli do jaskini administratora sieci i Husajn rzucił ironiczne spojrzenie na serwer zwany „Myszką”, który nadal udawał ważniaka ze swoimi kablami zwiniętymi w grube wałki. Ale Mabul zgwałcił go i ośmieszył, wyrolował, wypatroszył z wszystkich tajemnic i naszpikował trojanami.

Nikomu nie przyszło do głowy, żeby w czasie weekendu zmienić kombinację zamka szyfrowego...

Opancerzone drzwi otworzyły się przed nimi.

Husajn wyjął kasetkę „Piątek” z plastikowej torby, którą przekazał mu Mabul i odłożył ją na swoje miejsce. Potem powiedział do Salema:

— Zostaw mnie na chwilę.

Salem skłonił sępią głowę i wyszedł. Wiedział, kto jest szefem.

Gdy Husajn został sam, z kieszeni zaczął wyciągać perfumowane mydełka. Zapach taniego mydła irysowego był odpychający. Wcisnął je pod metalowy regał, związał razem lontem od materiału wybuchowego i przyczepił do detonatora z plastikowym mechanizmem zegarowym, który ustawił na godzinę piątą nad ranem, w nadziei, że personel będzie punktualny i nikt nie przyjdzie na kontrolę wcześniej. Przy sobie miał jeszcze nadajnik, którym mógł zdetonować ładunek przez radio, ale zamierzał go użyć tylko w ostateczności. Nie otrzymał przecież żadnego znaku z nieba, wskazującego, że jego męczeństwo miało się ziścić właśnie tego dnia, a chciał w pełni uszanować wolę Allaha.

Nagle w uchu, w którym tkwiła słuchawka, usłyszał warkot.

Wbrew rozkazom, Salem pojawił się w drzwiach. Gestem pokazywał, że ktoś nadchodzi.

Obaj wyciągnęli pistolety.

Na znak dany przez Husajna wyszli ze „skarbcza” i Salem zamknął opancerzone drzwi. Pobiegli do schowka na miotły i zamknęli się w nim, wdychając zapach kurzu, wilgoci i detergentów. Husajn odbezpieczył detonator radiowy. Zgasili latarki. Zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ VI

ATAK

Wiosna 2002

1

Pierwszy dzień po czeczeńskim ataku, który odwrócił uwagę od Orphans Galore i umożliwił porwanie Robina Chastowa, uczestnicy wydarzeń przeżyli jak ogłuszeni.

Sierociniec trwał w osłupieniu, *French doctors* także (Ludovic odłożył wyjazd, choć nikt nie wiedział, czemu właściwie miało to służyć); zdumieni byli również nacierze, co nie przeszkadzało im szeptać w swoim francuskim gronie: „No, proszę! To, co zdarzyło się nam, przytrafiło się także Amerykanom, którzy uważają się za takich mocnych!”.

Wicehrabina silną ręką przejęła kierownictwo Orphans Galore i zajęła się pogrzebem Świetozara — muzułmańskiego Czeczena oraz Rusłana — Czeczena prawosławnego, każdego zgodnie z jego własną religią i obrzędowością. Resztę czasu spędzała przy stacji Inmarsatu, poruszając niebo i ziemię, gotowa natychmiast wywołać trzecią wojnę światową, jeśli to tylko pomoże w odzyskaniu Robina — całego i zdrowego. Nawiązała już kontakt z pewnym członkiem parlamentu ze swojego okręgu wyborczego, z kolegami z Izby Lordów, z Foreign Office, z biurem przy Downing Street nr 10, z ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Rosji, UNESCO, z amerykańskim *Secretary of State* oraz sekretarzem generalnym ONZ, nie mówiąc o Bids for Kids i wszystkich innych NGO, mniej lub bardziej związanych z sierotami, islamem i prawosławiem; skontaktowała się też z Varsity, a nawet — dyskretnie — z Klubem. „Jasny gwint” — skostatował Christophe Garnier, który lubił być na bieżąco.

Samson zdał sprawozdanie z ostatnich wypadków Danielowi i otrzymał odpowiedź, która go nie ucieszyła: „Przyjeżdżam”. Według Samsona, człowieka działającego „w terenie”, miejscem ludzi ze sztabu był sztab i wszelkie wycieczki, jakie sobie fundowali na miejsce działań operacyjnych, mogły się bardzo źle skończyć lub — w najlepszym razie — być bardzo absorbujące. Daniel nie był bardziej kompetentny od Samsona i jego obecność w Czeczeniu w ogóle nie była potrzebna, ale jako były agent cierpiał na nadmierną ruchliwość lub też uważał, że przyznany mu na podróże budżet pozwala mu przejechać się na miejsce i wykazać swoją przydatność. *Quod Danielo placuit placebit Samsoni* [Łac: Co spodobało się Danielowi, spodoba się i Samsonowi] — westchnął Samson.

Bardziej intrygował go brak reakcji ze strony Rosjan. Jeśli się weźmie pod uwagę tysiące pocisków, które musieli zmarnować podczas tych „działań zaczepnych”, trudno się było oprzeć myśli, że jakoś powinni tę batalistyczną orgię uzasadnić.

Następnego dnia, o szarówce, na drodze prowadzącej do obozu nacierzy zabłysło sześć reflektorów — jeden gość, dwa samochody eskorty. Gołubiński.

— Panie pułkowniku, przyjechałem po pana na prośbę generała Grubki. Wiem, że ostatnio nie doszliście do porozumienia, ale były po temu powody. On nie do końca rozumie, kim pan właściwie jest, a że z natury jest ksenofobem, jak wszyscy Rosjanie...

— Chyba, że akurat jesteście ksenolatrami [Ksenolatria — umiłowanie odmienności, inności] — uzupełnił Sasza.

— To prawda. Tak czy owak, zgadza się, żebyśmy wspólnie rozebrali tę partię — pan i my. Oczywiście, jest sceptyczny, jeśli chodzi o pański wkład, ale nie powinien mieć mu pan tego za złe. Gdyby nie wierzył, że armia rosyjska jest najlepsza na świecie, jak mógłby dowodzić dywizją specnazu?

— To prawda — rzekł Samson. — Jeśli się tworzy elitarny oddział, trzeba mu codziennie powtarzać, że taki właśnie jest i mieć nadzieję, że pewnego dnia takim się stanie.

Rosyjski punkt dowodzenia znajdował się dość wysoko. Wojsko zajęło dawny szpital, który został przystosowany do jego potrzeb. Nad budynkami szumiał las anten, a wszędzie były porozstawiane działa wymierzone we wszystkie możliwe strony.

— Muszę panu coś powiedzieć, panie pułkowniku — rzekł Dymitr, zanim wysiedli z terenówki. — Generalnie rzecz biorąc, istnieją dwa typy ludzi: wierzący i niewierzący. Nie mówię „wierzący w Boga”, mówię po prostu „wierzący”. Oczywiście, wierzący są odrobinę niewierzący, a niewierzący — wierzący. Ale to w gruncie rzeczy dwa skrajnie różne temperamenty. Ja zasadniczo jestem niewierzący. Pan jest raczej wierzący niż niewierzący, ale mimo wszystko dosyć sceptyczny. Generał Zachar Grubko jest wierzący. W czasach komunizmu nawet odrobinę wierzył w komunizm! Szczęśliwy jest tylko wtedy, gdy wierzy. Mnie wiara raczej przeszkadza. Jemu jest potrzebna do życia. Proszę za mną. Uwaga na kałuże.

Ziemia była nasiąknięta wodą i każdy ślad gąsienicy zamieniał się w bagienko. Samsonowi przyszło do głowy, że sporo czasu upłynęło od wieczora, który spędził z Dymitrem Gołubińskim w paryskim „Bristolu”.

Sala, do której weszli, była niegdyś laboratorium — na ścianach wisiały jeszcze zlewy, a pod nimi leżały sienniki, na których wałały się kałasznikowy, hełmy, żołnierska uprząż, szaliki w kolorze khaki, telefony polowe. Ściany były obwieszane mapami w różnej skali i napisanymi ręcznie lub na maszynie wykazami w cyrylicy. W sali znajdował się jeden komputer i czarna tablica pokryta jakimiś schematami (wyglądało to na trasę przejazdu oddziału wozów). Na środku sali stał zaimprovizowany stół z desek ułożonych na kobyłce, na nim zaś znajdowały się karafki, butelki, talerze z marynowanym śledziem, pistolety, kawałki chleba, sztylety, poskładane lub porozkładane mapy, walkie-talkie,

do połowy puste lub do połowy pełne szklanki, gazety, miseczki z ziarnem słonecznika, zdjęcia krajobrazów i więźniów, kości kurczaka i wymiotujące petami popielniczki. Wszędzie unosił się pomieszany odór kiepskiego tytoniu i kiszzonej kapusty. Nic w tym pomieszczeniu nie przystawało do tego, jak Samson wyobrażał sobie kantinę generała. Najbardziej jednak zdumiało go to, że w rogu sali ujrzał czerwoną flagę, a w przeciwległym kącie, między dwiema fotografiami jakichś wojskowych, ogromną ikonę w miedzianej koszulce, przedstawiającą brodatego mężczyznę w aureoli.

— Święty Mikołaj — szepnął Sasza. — A te zdjęcia po bokach to Wrangel (ten w futrzanej czapie) i Kołczak (ten w czapce admirała) — dwaj najlepsi oficerowie Białej Armii.

Samson spojrzał na Saszę, sprawdzając, czy ten sobie z niego nie kpi. Czerwona flaga i Biała Armia? Ale Sasza uśmiechnął się tajemniczo.

— To Rosja, panie pułkowniku. A Rosja właśnie próbuje przetrwać swoją historię. To pracochłonne, ale może w sumie dobrze, że próbuje się zaakceptować taką, jaka jest, czyli jako sumę wszystkiego, czym była.

Wokół stołu siedziało około tuzina oficerów w różnych stopniach i wieku, którym przewodził generał Grubko. Spozrzegłszy wchodzących, wstał ciężko, a inni poszli w jego ślady. Krzesła i taborety zazgrzytały po płytkach podłogi. Każdy się przedstawił, wymieniono uściski rąk i zrobiono przy stole miejsce dla trzech kolejnych gości, którym przyniesiono kieliszki z wódką.

— A może wołają koniak? — zapytał generał. — Mamy dobry, armeński.

Gołubiński przetłumaczył i dorzucił od siebie:

— Radzę wziąć wódkę.

Po czym wygłosił dłuższe zdanie po rosyjsku, w którym powtarzało się nazwisko „Szustrenko”. Generał skinął potakująco głową, a Sasza wyjaśnił Samsonowi po francusku:

— Dymitr zaproponował, żebyśmy zagrali w otwarte karty. Ci panowie niczego nie będą przed panem ukrywali w kwestiach dotyczących naszej sprawy, a ja nie będę ukrywał, że rozumiem, co mówią.

— *As you like it* [Jak sobie życzyście] — rzekł Samson.

Teraz zabrał głos generał i Sasza rozpoczął tłumaczenie simultaneousne.

— Na początek pragnę powitać naszego francuskiego towarzysza, który uczynił nam zaszczyt dzielenia z nami naszych problemów, podobnie jak my dzielimy z nim jego problemy. Domyślam się, że długo wykonywał ten sam zawód, który my wykonujemy, więc na pewno jesteście w stanie się porozumieć. Oficer francuski i oficer rosyjski mają ze sobą więcej wspólnego niż rosyjski żołnierz i rosyjski adwokat czy francuski żołnierz i francuski sklepikarz.

Oficerowie dali wyraz aprobachie, jakiś pułkownik klepnął Samsona po plecach, a jakiś porucznik dołąił mu po brzegi do kieliszka, w którym ledwie zdążył zamoczyć usta.

— Muszę powiedzieć — podjął generał — że nie byłem zachwycony pańskim przyjazdem, towarzyszu pułkowniku, i że bez mojego drogiego przyjaciela Gołubińskiego, któremu tak wiele zawdzięczam, nie pojechałbym do pana i nie przyjmował teraz pana u siebie. Obawiałem się, że pańska obecność może skomplikować już i tak trudną sytuację, która powstała z winy trójki pańskich rodaków. Proszę się postawić na moim miejscu. Odpowiadam za utrzymanie porządku i zwalczanie bandytów, a nie za ochronę frajerów, którzy sobie poszli na grzybki.

Mówił to wszystko niskim, pomrukującym głosem, ze swadą, ale bez wrogości.

— Fakt, że taka wojna, jak nasza opiera się na wywiadzie, nie jest dla pana nowością. I tak się składa, że dysponuję odpowiednim wywiadem.

Na pewno nie zdziwi pana, jeśli nie odkryję moich źródeł informacji, ale zapewniam, że były dobre. Wiedziałem, z kim walczę — to niejaki Ali Mansur, Arab, nie Czeczen, mający pod sobą około sześćdziesięciu brodaczy. Broń automatyczna, moździerz, karabiny maszynowe, rakie-ty. Sporo krwi na rękach — nie tylko rosyjskiej, ale i czeczeńskiej, zwłaszcza imamów, których uznał za zbyt umiarkowanych, i których kazał zamordować oraz zastąpić wahabitami. Znałem nie tylko nazwi-sko szefa, liczbę ludzi, uzbrojenie i sposób działania bandytów. Znałem także ich kryjówkę, jej topografię i umocnienia. Nie widzę powodu, żeby ukrywać, że chodzi o jaskinię, którą nazywamy „Szamilewską”, a której główne wejście (dobrze nam znane) znajduje się dwadzieścia pięć kilometrów stąd, na stokach Ażduka. Wystarczyło, żebym zamknął tę strefę, zatkał buldożerami pozostałe wyjścia, spuścił z samolotów kilka zdalnie sterowanych bomb — prosto w główne wejście i poczekał na wyniki: sześćdziesięciu bandytów z głowy, pokój w regionie i deszcz orderów dla moich ludzi.

Szykowaliśmy się do operacji...

Kiwanie głowami, porozumiewawcze uśmiechy wokół stołu.

— I właśnie ten moment wybrał sobie pewien francuski kretyn, pewna francuska kretynka i pewien kretyn belgijski, żeby dać się złapać na grzybobraniu. Zapewne pan rozumie, pułkowniku, że tego dnia nasza odwieczna przyjaźń dla Francji poddana została bardzo ciężkiej próbie.

Mieliśmy tylko dwa wyjścia. Albo postąpić tak, jakby porwanie nie miało miejsca i dokonać ataku. (Wynik? Troje martwych zakładników, zabitych naszymi bombami lub wypatroszonych przez bandytów). Albo chwilowo zrezygnować z ataku. To była najgłupsza decyzja, ale właśnie taką podjęliśmy, żeby oszczędzić życie trójce waszych szaleńców. Oczywiście, sądziliśmy, że chodzi o okup i mieliśmy nadzieję, że wró-cimy do naszego planu, gdy zapłacicie, a zakładnicy wrócą do bazy. Jednak wygląda na to, że chodzi o coś innego — żebyście zabrali ma-natki i wynieśli się do domu. Osobiście wyznam, że guzik mnie obchodzi

wasza „rura” i wolałbym, żebyście zabrali się stąd jak najszybciej razem z waszymi zakładnikami. Z tym, że to już nie jest wyłącznie kwestia strategii, ale polityki i to rosyjski rząd, któremu najwyraźniej zależy na obecności Francuzów, zabronił nam kiwnąć choć palcem bez rozkazu. A przybycie kogoś takiego jak pan, towarzyszu pułkowniku, oznacza, że będzie pan chciał się włączyć w sprawę, i że taki rozkaz może prędko nie nadejść. Czy wyrażam się jasno?

— *Da* — odparł Samson.

Było to pierwsze rosyjskie słowo, jakie wypowiedział w życiu.

— Dobrze. Teraz sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana. Zadzwonili do mnie z dowództwa, bo tak już jest, że w Moskwie kichają, kiedy Waszyngton ma katar. Jankesi są wściekli. Kiedy porwanie dotyczy kogoś innego, to ich to ani ziębi, ani grzeje, ale wystarczy, że włos spadnie z jakiejś amerykańskiej głowy, a reagują natychmiast. Domagają się, żebyśmy teraz, już, natychmiast odbili tego ich Roberta Chastowa. Ewentualnie, są gotowi przyjechać tu sami, z całą ich Delta Force. Nasz prezydent oświadczył, że o tym nie ma mowy i przez chwilę miałem nadzieję, że dostanę rozkaz ataku (na coś by się to porwanie Amerykanina przydało), ale, oczywiście, to się okazało tym bardziej niemożliwe — śmierć trójki Francuzów to przykre i wolelibyśmy tego uniknąć, ale o narażeniu życia Amerykanina w ogóle nie może być mowy. Tak to właśnie wygląda. Nie możemy zaatakować i nie możemy nie zaatakować.

— Czyli jesteście w sytuacji *damned if I do and damned if I don't* [Cokolwiek bym zrobił, jestem zgubiony] — rzekł Samson.

Rozległy się głośne śmiechy. Jedni oficerowie śmiali się, bo zrozumieli, inni zaś dlatego, że uważali angielski Samsona za zabawny.

— Panie generale — ciągnął Samson po francusku — czy ma pan powody przypuszczać, że Robert Chastow został porwany przez tę samą grupę i przetrzymywany jest w tym samym miejscu, co nasi zakładnicy?

Sasza przetłumaczył. Grubko zawahał się przez chwilę, porozumiał się wzrokiem z Gołubińskim i w końcu odparł:

— Tak, towarzyszu pułkowniku. Wiemy, że Jankes został porwany przez Alego Mansura i przetrzymywany jest w tej samej jaskini, ale zamknięty osobno i — jak się zdaje — nieco lepiej żywiony niż pozostali więźniowie.

— A czy Ali Mansur już podał warunki uwolnienia Chastowa?

Generał ponownie rzucił okiem na Gołubińskiego i zarejestrował potakujące zmrużenie powiek.

— To informacja ściśle tajna, którą Jankesi przekazali naszemu rządowi, bo liczą na jego pomoc. Ale nie chcą stracić twarzy. List nadany z Nowego Jorku i traktowany przez nich bardzo poważnie głosi, co następuje: za uwolnienie tego więźnia bandyci żądają dwudziestu milionów dolarów, czyli dwadzieścia razy więcej niż za jakiegoś dziennikarza. Z jednej strony, może mają swoje powody, domagając się tak mało realistycznego okupu. Z drugiej strony, wiedzą, że rozmawiają z najbogatszym krajem świata. Ale najbogatszy kraj świata woli nie pozbywać się tak wielkiej sumy. Jestem w stanie to zrozumieć. Po pierwsze, to wkurzające ulegać szantażowi, zwłaszcza gdy się jest pierwszą potęgą świata, a po drugie, jeśli tym razem zapłacą dwadzieścia, następnym ktoś zażąda trzydziestu.

Samson zastanowił się przez chwilę.

— A jakie zdanie na ten temat ma rząd rosyjski?

Piersią generała wstrząsnął homerycki śmiech.

— Rząd rosyjski nie patrzyłby przychylnym okiem na dwadzieścia milionów dolarów lądujących w mieszkaniu bandytów.

— Powiedzmy sobie jasno — rzekł Gołubiński po francusku. — Oczywiście, że rząd rosyjski byłby zachwycony, uwalniając Amerykanina

z niewoli czeczeńskiej. To by świetnie wyglądało w obecnej sytuacji, zwłaszcza jak się pomyśli o pomocy, której Amerykanie udzielili rebeliantom przez podstawione osoby. Z drugiej strony, myśl o tym, że buntownicy mieliby się wzbogacić o dwadzieścia milionów dolarów i wydać je na broń i amunicję, nie jest zbyt zachęcająca. Więc jeśli się na jednej szali położy tę całą broń i amunicję, a na drugiej życie jednego członka amerykańskiej organizacji pozarządowej, prawdopodobnie oficera lub byłego oficera CIA, to...

Urwał, opuszczając nisko lewą dłoń i wysoko podnosząc prawą.

— Chyba pana rozumiem, Dymitrze — stwierdził Samson. — Moskwa nie ogłosi żałoby narodowej, jeśli Czeczeni ukręcą łeb Chastowowi. Czy pan generał mógłby nam coś powiedzieć o kryjówce Alego Mansura?

Generał zwrócił się do jednego z pułkowników, dowódcy *operatiwnowo oddziału*, czyli oddziału operacyjnego (we francuskiej nomenklaturze: wydział trzeci).

— Michale Iwanyczu, wasza kolej.

Pułkownik skończył przeżuwać marynowanego śledzia i wstał z zaskakującą u tak korpulentnego człowieka werwą. Podeszedł do ściany i szybkim ruchem odsłonił dwie story, które zakrywały mapę oraz montaż zdjęć lotniczych, obejmujących ten sam górzysty region.

— Mapa jest w skali jeden do pięćdziesięciu tysięcy — wyjaśnił. — Takich właśnie używamy do przygotowywania operacji.

Wziął do ręki wskaźnik i zaczął nim dźgać niektóre punkty na mapie.

— Oto szczyt łańcucha, dwa tysiące dwieście trzydzieści dwa metry. A to kotlina leżąca u jego podnóża, z jeziorem, położonym na wysokości tysiąca osiemnastu metrów. Między nimi, na zboczu góry, jedyne prawdziwe wejście do jaskini. Tu znajdują się otwory kominów, które nie mogą służyć za wejście ani drogę ewakuacji. Przykryte są

brezentowymi płachtami, które bandyci regularnie polewają wodą, żeby uniemożliwić wykrycie promieniowania podczerwonego, wydzielanego przez ich instalacje.

Wróćmy do wejścia. Jak widzicie, znajduje się ono w głębi szczeliny w stromej ścianie. Jest schowane za osuwiskiem. Pierwotnie było dosyć szerokie, ale zostało zamurowane, tak że pozostała tylko wąska, betonowa kiszka. Wzdłuż szczeliny znajdują się niewidoczne okienka strzelnicze, gdzie zainstalowano karabiny maszynowe. Te okienka zaopatrzone są w stalowe kurtyny, do których przylegają wielkie kamienie, i które obracają się na osiach przytwierdzonych do skały. Po każdej stronie przejścia umieszczono ładunki wybuchowe uzbrojone w odłamki żelaza; zostały one ukryte w skale, a może je uruchomić każdy ze strażników. Podobne pułapki znajdują się na wszystkich ścieżkach wokół jaskini.

Galerie wewnątrz jaskini pozwalają dostać się do innego stanowiska ogniowego, które znajduje się wyżej i wyposażone jest w moździerz kalibru osiemdziesiąt jeden i rakiety ziemia powietrze. Moździerz wyciąga się w kilka sekund i blokuje w odpowiedniej pozycji, żeby strzelać we wcześniej zaprogramowane cele.

Jest tam tylko jedno wyjście awaryjne — trudno się do niego dostać i kryte jest przez kolejne gniazdo karabinów maszynowych, znajdujące się mniej więcej w tym miejscu. Oczywiście, wszystkie te cele, które pokazałem, są już przez nas namierzone, ale nasza skuteczność, zwłaszcza w pierwszych godzinach bombardowania, może być słaba. Generał wspominał już o zdalnie sterowanych bombach; jeśli o mnie chodzi, to mam wątpliwości, czy jesteśmy w stanie wprowadzić je w tak wąskie i osłonięte betonowymi kurtynami otwory.

Ich skład osobowy przedstawia się następująco. Dowódca: Ali Mansur, Arab. Trzech oficerów, także Arabów. Dziesięć osób personelu pomocniczego — sekretarze, kucharze, sanitariusze, informatycy, łącznicy...

Czeczeni. Mniej więcej pięćdziesięcioosobowy oddział, który dokonuje ataków na zewnątrz lub broni jaskini. Też Czeczeni. W tym momencie wszyscy są w środku, bo mocno utrudniamy im życie na zewnątrz, a także z powodu zakładników. Zbliżył się do komputera.

— Mogę pokazać, towarzyszu generale?

— Pokazuj.

Michał Iwanycz włączył komputer i zaczął komentować pojawiające się na ekranie obrazy. Najpierw ukazały się lotnicze zdjęcia terenu — pionowe, ukośne, z dużych i mniejszych wysokości, a następnie wirtualne montaż, przekroje i obracające się bryły.

— Oto przekrój jaskini północ-południe. A to przekrój wschód-zachód. Uznaliśmy, że oś północ-północny wschód-południe-południowy zachód pozwala lepiej ogarnąć całość. Tu widać zygzakowate, kiszkowate wejście do jaskini o długości około czterdziestu metrów; prowadzi do jaskini, którą nazywamy Przed pokojem, a ten z kolei wiedzie prosto do trzech galerii zwanych przez nas Jedyнкą, Dwójką i Trójką. Jedyńka wspina się ku stanowiskom bojowym, broniącym dostępu przez szczelinę. Dwójka dochodzi do wyższego stanowiska ogniowego, skąd bandyci mają dostęp do samolotów lub helikopterów latających nad kotliną. Trójka nurkuje w głąb jaskini. Jest ona, podobnie jak pozostałe, obudowana cegłami, otynkowana i oświetlona. Ma między metrem siedemdziesiąt a dwoma metrami wysokości. Po jakichś pięćdziesięciu metrach dochodzi do innej jaskini, bardzo obszernej i wysokiej na mniej więcej dwadzieścia metrów, którą nazywamy Wielką Salą. Pełno tu stalaktytów i stalagmitów. Wielka Sala służy za jadalnię i ma połączenie z kuchnią. Właśnie w Wielkiej Sali zbierają się bandyci, gdy Ali Mansur chce do nich wygłosić mowę (choć kiepsko mu to idzie po czeczeńsku). Stąd także odchodzą korytarze, które nazwaliśmy literami od A do G.

Korytarz A to studnia, która wiedzie od szczytu góry i doprowadza do Wielkiej Sali deszczówkę, roztopione śniegi i wszystko, co spływa z

górze i dostaje się tam przez szczeliny niedostępne dla ludzi.

Korytarz B prowadzi do Sali, którą nazywamy Sypialnią — tam wypoczywają bandyci, którzy nie są akurat na akcji lub nie stoją na straży; to mniej więcej jedna trzecia składu oddziału. Mają tu dywany i materace, a pomieszczenia są czyste, bo Ali Mansur nie lubi nieporządku.

Galeria boczna W (Samson potrzebował chwili, żeby się zorientować, że kolejność liter w alfabecie rosyjskim jest inna niż w łacińskim) prowadzi do pomieszczenia, które możemy nazwać punktem dowodzenia. Dostęp tu mają tylko zaufani mudzahedini. Zaczyna się sala, która jest stanowiskiem straży, po czym ciągnie się przez serię wnęk wychodzących na galerię, w której znajduje się sala operacyjna, pokoje dowódców oraz — jak nam się wydaje — cele zakładników. Nie mamy, rzecz jasna, zbyt dokładnych danych na temat tej galerii; wygląda jednak na to, że to właśnie z niej można się dostać do wyjścia awaryjnego, o którym mówiłem wcześniej.

— Innymi słowy — wtrącił Gołubiński — dowódcy mogą wysliznąć się niepostrzeżenie, zostawiając ludzi broniących pozycji.

— Właśnie. Studnia G jest w zasadzie przedłużeniem studni A; też jest niemal pionowa i wpadają do niej kaskady wody, które przepływają przez Wielką Salę. Studnia G służy jako odpływ kanalizacyjny. Tu wylewa się wszelkie nieczystości. Oto co nam wiadomo o Jaskini Szamilewskiej. W porównaniu z innymi jaskiniami, jakie mamy w Rosji, nie jest ona zbyt długa — ma zaledwie sześćset metrów od końca do końca i nie więcej niż pięć kilometrów, licząc długość galerii. Dla porównania, Jaskinia Optimisticzeskaja ma sto trzydzieści jeden tysięcy kilometrów galerii. Mamy też jaskinie znacznie od niej głębsze — Śnieżna ma siedemset siedemdziesiąt metrów, podczas gdy nasza niecałe trzysta, licząc od górnego stanowiska ognia do wejścia do galerii G. Co niżej — nie wiemy. Nikt tam nigdy nie schodził.

Michał Iwanych wrócił na swoje miejsce.

— Mam trzy pytania — rzekł Samson. — Po pierwsze, wentylacja. Sześćdziesięciu chłopa zużywa sporo tlenu i produkuje sporo dwutlenku węgla.

— Są tam szczeliny i wentylatory.

— Po drugie, energia. Choćby do tych wentylatorów.

— Bandy ci wykorzystali spływające z gór kaskady i czerpią z nich energię do generatorów. Podobno w jaskini jest jasno jak w dzień. A po trzecie...?

— Po trzecie... Jestem pod wrażeniem waszego wywiadu. Czy będzie bardzo nieuprzejmie, jeśli spytam, skąd to wszystko wiecie?

Sasza przetłumaczył. Zapadło milczenie.

Generał zwrócił się do innego pułkownika, dowódcy *rozwięt otdieła*, biura wywiadu.

— Juriju Juriczu?

Jurij Juricz był chudy, z rozdzielającym zapadnięte policzki zakrzywionym nosem, na którym spoczywały małe okulary o tak cienkich drucikach, że wyglądały jak binokle. Był wysoki, a gdy wstał, trochę się garbił.

— Speleologia to rosyjski sport narodowy — wyjaśnił dydaktycznym tonem. — Mamy blisko trzydzieści tysięcy speleologów, którzy pracują dla Akademii Nauk, Ministerstwa Geologii oraz Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Ci ludzie wykonują mapy.

Oczy miał czujne i usta zasznurowane. Wiedział, że takie wyjaśnienie nie wystarczy i oczekiwał kolejnych pytań.

— Bez wątpienia — przyznał Samson — jednak...

Zastanawiał się, jak pociągnąć pytanie, żeby nie wydać się naiwnym, ironicznym lub grubiańskim.

— Przypuszczam, że kiedy wasi speleolodzy kreślili te mapy, kaskada nie była jeszcze wykorzystywana jako źródło energii, stanowiska

ogniowe nie były zainstalowane, wejście nie było zamurowane i wzmocnione, punkt dowodzenia nie znajdował się na obecnym miejscu.

— To prawda — zgodził się Jurij Juricz.

Zawahał się przez moment. W końcu jednak postanowił dodać:

— Zdarza nam się chwytac jeńców. A kiedy dajemy im cukierki, pięknie śpiewają.

Samson docenił ironię, ale wiedział też, że żaden jeńiec (chyba, że schwytany zaledwie wczoraj) nie mógł wyjawić, że zakładnik amerykański jest lepiej traktowany od francuskich. Tak czy owak, informacje, którymi dysponowali, raczej nie pochodziły z przesłuchań, niezależnie od tego, czy użyto cukierków, czy innych zachęt. Ewidentnie załatywały infiltracją, czyli agentem na miejscu. A jeśli dowództwo miało swego człowieka w grupie Alego Mansura, to z pewnością nie mogło być mowy o chwaleniu się tym przed obcymi. Nawet większość oficerów siedzących wokół stołu musiała być tego nieświadoma, przynajmniej oficjalnie. W najlepszym razie, mogli się tego domyślać. Samson spojrział na Dymitra, który siedział nieporuszony, i postanowił zakończyć, udając naiwnego:

— No, to wszystko jasne. Przypuszczam, że teraz przyjrzymy się różnym wariantom akcji?

Sprawa jednak nie była taka prosta.

Po pierwsze, nie było wiadomo, czy armia rosyjska otrzyma rozkaz podjęcia działań w celu uwolnienia zakładników. Operacja tego typu nie mogła się obyć bez strat i o ile rozwalenie jaskini i zniszczenie bandy było w zasadzie pewne, o tyle uwolnienie zakładników już znacznie mniej. Mogło się więc zdarzyć, że zarówno ze względów militarnych, jak i politycznych rząd rosyjski nie będzie się chciał angażować.

Gdyby jednak się na to zdecydował, to jaka taktyka byłaby najlepsza?

Po pierwsze, należałoby zastosować blokadę na wypadek, gdyby jaskinia miała jeszcze inne, nieznanne atakującym wyjścia.

Po drugie, było oczywiste, że atak od frontu jest niemożliwy, chyba że przy założeniu strat ludzkich zupełnie nieproporcjonalnych do korzyści wynikających z akcji.

Bo na czym właściwie polegało zadanie? Na uwolnieniu zakładników czy na zniszczeniu bandy? Trzeba to było ustalić.

Skoro wykluczono atak frontalny, to jakie były inne możliwości? Czy można było (na razie zostawiając kwestię zakładników z boku) zniszczyć jaskinię pociskami artyleryjskimi lub bombami lotniczymi i pogrzebać bandytów — żywych lub martwych — na ich własnych stanowiskach ogniowych? Niektórzy twierdzą, że takie rozwiązanie było często stosowane przez Amerykanów podczas Wojny w Zatoce, ale dowódca wojsk inżynieryjnych, obecny na naradzie, wniósł zastrzeżenia natury geologicznej, które całe przedsięwzięcie czyniły mało prawdopodobnym.

— Możecie w nich ładować przez trzy dni i mieć wrażenie, że z góry Ażduk nie został kamień na kamieniu, a kiedy pójdziecie zbierać trupy, dostaniecie serię z karabinu maszynowego.

Rozważano atak przez zaskoczenie od strony wyjścia awaryjnego i przez kominy. Jednak kominy były za wąskie, a wyjście awaryjne zawieszono nad przepaścią, zatem dostanie się tam niepostrzeżenie było niemożliwe.

Pozostawały tylko zdalnie sterowane bomby, których działanie było jednak niepewne. Generał uważał, że mogły one dostatecznie powiększyć wejście główne, tak żeby mógł się tam dostać oddział szturmowy. Michał Iwanycz podkreślał jednak istnienie betonowych umocnień, które według niego, czyniły bomby nieskutecznymi.

Ktoś zaproponował użycie gazu. Jurij Juricz, sączący powoli posiadane przez siebie informacje, wyjawiał, że bandyci mają maski przeciwgazowe, kombinezony strażackie oraz rezerwę powietrza. Gaz zabiłby jedynie zakładników. Propozycję odrzucono.

Dyskutowano także nad otoczeniem jaskini i neutralizowaniem po kolei jej mieszkańców. Skuteczne mogłyby się okazać pociski *fuelair*,

które wypalają tlen. Z drugiej jednak strony, obawiano się, że korytarze mogą być zaminowane. Założywszy nawet, że atakujący dostaliby się na galerie i rozminowali je, musieliby się poruszać niezwykle ostrożnie — podmuch przy wybuchu granatów mógłby się obrócić przeciwko atakującym, podobnie zresztą jak rykoszety broni automatycznej.

— Krótko mówiąc — zakończył jeden z oficerów — gdyby nam się udało wejść do jaskini, musielibyśmy wysłać oddział saperów, uzbrojonych w noże i broń jednostrzałową.

— Oraz maski przeciwgazowe, na wypadek gdyby bandyci próbowali użyć gazu — dorzucił inny.

— Oraz latarki elektryczne, bo przecież bandyci nie zrobią nam prezentu ze swojego oświetlenia — zakończył trzeci.

Zjedli pospiesznie obiad i kolację, a o trzeciej nad ranem generał wstał, ziewając niczym hipopotam.

— Przerwa, towarzysze. Dziś już nic nie wymyślimy, pora się rzucić w objęcia Orfeusza.

— Morfeusza, Zacharuszka, Morfeusza — poprawił Gołubiński.

— Orfeusz, Morfeusz, co za różnica? — odparł Grubko, przeciągając się. — Jeden i drugi cywil.

Pozostali oficerowie też podnieśli się z miejsc. Każdy udał się do siebie. Generał podał rękę Samsonowi, a Dymitr zaproponował jemu i Saszy, żeby przenocowali w obozie. Tak będzie prościej, niż odwozić ich do bazy nafciarzy.

— Tylko będzie pan musiał, panie pułkowniku, spać ze mną w pokoju.

Samsonowi przyszło do głowy, że Dymitrowi chodzi o coś więcej i przystał na propozycję.

2

Pokój Dymitra był bardzo skromny, ale panowały w nim nienaganny porządek i czystość. Znać było rękę dobrze wytresowanego ordynansa. Jedwabna piżama, którą pan domu pożyczył Samsonowi, została starannie wyprasowana.

— Może jeszcze kieliszek przed snem? — zaproponował gospodarz, kiedy gość zakończył prowizoryczną toaletę w sąsiedniej łazience.

— Dziękuję — odparł Samson — ale chyba dość już wypiliśmy. W każdym razie ja na pewno.

— A ja nie.

Dymitr otworzył podróżny neseser z angielskiej skóry, zawierający karafkę i kieliszki z rżniętego szkła. Nalał sobie odrobinę.

— Ciekaw jestem, co pan myśli o dzisiejszym wieczorze.

Siedzieli naprzeciwko siebie, na łóżkach polowych, ze stopami opartymi na turkmeńskim dywanie. Stopy Gołubińskiego były różowe i bezwłose, stopy Samsona — żółtawe i kosmate.

— Było serdecznie i profesjonalnie. Nie znaleźliśmy rozwiązania, ale zrobilibyśmy to, gdyby takowe istniało. W każdym razie, gratuluję informacji, które wyciągnęliście z jeńców.

Dymitr uśmiechnął się.

— Wiedziałem, że się pan nie da nabrać. Większość naszych oficerów nie wie, że udało nam się przeniknąć do bandy Mansura. Nie opowiem, jak to zrobiliśmy ani w jaki sposób się porozumiewamy i mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe...

— To oczywiste. Nie muszę *to know*[Wiedzieć].

— Bez wątpienia. Ale musi pan wiedzieć, że ten agent u Czece-
nów należy do mnie. Do mnie osobiście. Często go zatrudniałem, naj-
pierw na użytek państwa, potem na mój własny. Gdybym go nie miał
(Samsonowi słowo „miał” wydało się w wydzwisku mocno niewolni-
cze, ale przecież i on „miał” swoich agentów), nie zgodziłbym się z
panem pracować. Do niego właśnie Grubko czynił aluzję, kiedy mówił,
co mi „zawdzięcza”. Co więcej, gdyby pańscy zakładnicy nie dali się
złapać i nie uczynili naszej akcji praktycznie niemożliwą, zawdzięczał-
by mi jedno z największych zwycięstw nad buntownikami. Dla mnie
osobiście życie tego agenta ważniejsze jest od życia waszych zbieraczy
grzybów, ale musimy się liczyć z opinią publiczną i nie chcemy, żeby
cały świat trąbił o tym, że dwoje Francuzów, jeden Belg i jeden Amery-
kanin padli ofiarą działań wojennych Rosjan. A właśnie. .. Co pan myśli
o tym Amerykaninie? Spotkał go pan, jak mi się zdaje. Ma nazwisko,
które mogłoby być rosyjskie i nie pierwszy raz nas odwiedza. Ma nawet
swoją kartotekę.

Samson zastanowił się przez chwilę.

— Sądzę, że jest... taki jak my.

— Tak, trzeba przyznać, że my jesteśmy rasą szczególną, prawda?
Trudno to zdefiniować, ale to się czuje. Grubko, na ten przykład, też
jest taki jak my.

Dymitr leżał na plecach, trzymając kieliszek na brzuchu. Samson po-
trząsnął głową.

— Niezupełnie. Po pierwsze fizycznie. Taki kolos jak on nigdy nie
mógłby ująć czyjejs uwadze. A poza tym, czyja wiem.... Czuję w nim
bardziej oficera polowego niż *szpiona*.

— Ma pan nosa, panie pułkowniku! Zachar był ze mną w szkole
KGB, ale to było trochę zbyt perfidne jak na jego czystą duszę. W GRU

czuł się bardziej swobodnie, ale i tak zawsze był raczej „borzojem”, nie „wikingiem”...

— To znaczy?

— Wykonawcą, nie decydem. Potem dali mu pułk pod komendę, a on dał popis swoich talentów, które są — ma pan absolutną rację — ściśle wojskowe. Jak mówiłem, Grubko jest wierzący.

— Chce pan powiedzieć, że lubi wierzyć, nie ważne w co? Nawet w sprzeczności? I dlatego ma w kantine i czerwoną flagę, i zdjęcia białych oficerów, nie mówiąc o ikonie?

— Dla Zachara Grubki, pułkownika, nie ma w tym nic sprzecznego, bo wszystko to jest po prostu Rosją. To wiara przodków, to wielcy wodzowie (nieważne, po której stronie walczyli), to flaga, która nas doprowadziła do zwycięstwa nad Hitlerem podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Samson poczuł, że Dymitr jest w nastroju do zwierzeń i postanowił nie przepuścić takiej okazji. Zwalczył chęć do snu.

— Co pan pije, Dymitrze?

I już z pełnym kieliszkiem w ręku zapytał:

— Czemu pański przyjaciel lepiej się czuł w GRU niż w KGB?

— To nie ten sam zawód. Z jednej strony, budżet GRU był prawie dziesięciokrotnie większy od naszego, bo był związany z zespołem wojskowo-przemysłowym, a nie da się zaprzeczyć, że w rodzinie wywiadowczej zawsze byliśmy ubogimi krewnymi, co wcale nie było przyjemne. Z drugiej strony, GRU pracowało wyłącznie za granicą i dla świętej, wiecznej Rosji, podczas gdy my mieliśmy w KGB dyrektoriat, który zajmował się wyłącznie Rosjanami. I to dla kogo? Dla państwa. Co w tamtych czasach znaczyło — dla ideologii. Dla partii. GRU nie ma na rękach rosyjskiej krwi, panie pułkowniku.

Przez chwilę milczeli, po czym Samson spytał łagodnie:

— Doskwiera to panu?

Dymitr popadł w zadumę na tak długo, że Samson zaczął się zastanawiać, czy nie zasnął z otwartymi oczami, ale w końcu Rosjanin odpowiedział:

— Cieszę się, że mnie pan o to pyta. Wiem, że człowiekowi Zachodu trudno jest zrozumieć to, co się dzieje w Rosji. Sami nie jesteśmy pewni, czy to rozumiemy. Nigdy nie byłem wielkim ideologiem. Naturalnie, należałem do partii komunistycznej, ale to nie była taka partia, jakie macie na Zachodzie. To była PPPARTIA. Której nazwę należało wymawiać, jękając się z entuzjazmu. Pewnie było w naszym kraju trochę ludzi wierzących w komunizm, ale w PPPARTII była ich zaledwie garstka. Byliśmy na to za inteligentni. Tak, wygłaszałem wraz z innymi wyznanie wiary w komunizm, bo nie sądzono nas wedle wiary, ale właśnie wedle wyznania wiary; chodziło o to, żeby wygłosić to absurdalne credo i nie wybuchnąć śmiechem. Właśnie dlatego dewiza Sołżenicyna „Życ bez kłamstwa” wydała takie owoce.

Żeby wstąpić do Partii, nie wystarczyło chcieć. Trzeba było przejść egzaminy, wykazać się. Nie chodziło o poglądy, ale o gwarancje. Lenin zawsze eliminował tylu członków, ilu mógł, choć sam ich rekrutował. Wystarczyło zgubić legitymację, żeby zostać wykluczonym. Partia była produktem elitarnym. A KGB była elitą elit. Więc nawet jeśli się przyjmie, że w Partii było kilku starych mamutów, którzy wierzyli w marksizm-leninizm, to w KGB nie było już ani jednego. Naczytaliśmy się zbyt wielu zakazanych książek, odwiedziliśmy zbyt wiele krajów, o których inni mogli tylko pomarzyć. Jako pierwsi zrozumieliśmy, że Partia ciągnie kraj w przepaść. Nie miałem wystarczająco wysokiego stopnia, żeby odegrać jakąś rolę w historii, która się wtedy rozgrywała, ale gdy się pan przyjrzy nazwiskom ludzi, którzy skierowali Rosję na właściwe tory, znajdzie pan wśród nich samych członków KGB, od Andropowa poczynając, a na Gorbaczowie kończąc, o którym nie wszystko jeszcze wiadomo.

Szkopuł w tym, że naszym szefom wydawało się, że wystarczy obalić reżim i uniknąć wojny domowej, żeby życie stało się normalne.

Jeśli chodzi o obalanie, to im się nawet udało — najbardziej totalitarny system w historii świata upadł bez jednej ofiary i to w kraju, który Zachód miał za barbarzyński! Jeśli się pomyśli o stu tysiącach ofiar czystek we Francji, nasza łagodność wydaje się zupełnie nieprawdopodobna. Tyrania, która trwała trzy czwarte wieku, pochłonęła dobre trzydzieści milionów istnień i żadnego aktu zemsty! Ani jednego! Jak to wytłumaczyć? Może cnotami naszego prawosławnego ludu, a może także dalekowzrocznością naszych przywódców.

Ale z budowaniem poszło już gorzej. Łatwo jest wymazać przeszłość, ale trudniej coś postawić w jej miejsce. Jak panu mówiłem, osobiście jestem z gruntu niewierzący, więc nie wierzyłem, że rosyjskie społeczeństwo stanie się z dnia na dzień idealne. Znałem to dawne, mogłem w nim wykonywać funkcje zgodne z moimi kompetencjami. Nowego nie znałem, więc wolałem się wycofać, czego nie żałuję.

Pytał pan, czy mi to doskwiera? Właściwie co? To, że pracowałem w instytucji, która była dzieckiem Czeki? Nie. Jestem z tego dumny. To nie znaczy, że jestem dumny z tego, co Czeka robiła za Lenina i Stalina (czego zresztą nie powinno się mieszać, bo Lenin sprawił, że przegraliśmy pierwszą wojnę światową, a Stalin wygrał drugą). Ale KGB za moich czasów to już nie była Czeka, a ja pracowałem w Pierwszym Dyrektoriacie, więc mam na rękach więcej krwi rosyjskiej niż ci z GRU. Służyłem Rosji takiej, jaką była w czasach, w których przyszło mi żyć, tak samo jak wy, Francuzi, służyliście Napoleonowi lub rozmaitym Republikom, nawet jeśli nie byliście zwolennikami cesarstwa czy republikanami. Służba narodowi jest ponad wszystkim. A dziś widzę, że największym zagrożeniem jest globalizm, na którym skorzystają tylko te amerykańskie świnię.

Głos Dymitra zadrżał. Nienawiść do Amerykanów podchodziła mu do gardła. Samson pozwolił mu chwilę pomilczeć, po czym powiedział bardziej poufałym tonem:

— Niech pan posłucha, Dymitrze... (Właściwie, proszę mi mówić Gaston lub Samson — jak pan woli; jestem na emeryturze i mój pseudonim już nie jest tajny). Czy właśnie dlatego zabrał mnie pan na kolację do Bojarów?

Z kieliszkiem w dłoni Dymitr wyprostował się z łatwością, która doskonale świadczyła o stanie jego mięśni brzucha.

— A! Nic panu nie umknie, Samsonie. Zaprosiłem pana na kolację do Bojarów, bo po pierwsze, świetnie się u nich jada, a po drugie, faktycznie mam pewien pomysł.

— Odbudowanie sojuszu francusko-rosyjskiego?

— To bardziej złożone. Kiedyś powiem panu, o co chodzi. Ale jest faktem, że Eurazja znajduje się jakby w nawiasach, którymi są Francja i Rosja, prawda? Dopił pan swój kieliszek? Może teraz się trochę prześpijmy. Jak mówi rosyjskie przysłowie: ranek jest mądrzejszy od wieczora.

— Zgoda.

Dymitr zgasił światło.

— Jeszcze jedno — rzekł Samson już w ciemnościach. — Czy możliwy byłby rekonesans w terenie?

— Pieszo? Wozem?

— Samolotem, a najlepiej helikopterem. Żeby rzucić okiem na wejście do jaskini, stok, pochyłość, teren, okolice...

— Na pewno, jeśli nie boi się pan, że będą do nas strzelać. Cóż, będzie pan musiał wpakować sobie hełm na głowę, żeby ktoś nie wpakował panu kulki w tyłek. (Dymitr był dumny ze swojej gry słów). Pogadam o tym z Grubką.

Samson zamknął oczy i zasnął, nie wiedząc nawet kiedy, a gdy się zbudził, okno było już bladoniebieskie, a Dymitr — ubrany, ogolony i pachnący bergamotką — delikatnie potrząsał za jego ramię.

— Baczość, pułkowniku! Helikopter Waszej Wysokości kwili pod drzwiami.

3

Samson spędził prawie całe swoje życie zawodowe w służbach specjalnych, więc jego wyczucie terenu było zupełnie inne niż dowódcy piechoty, do którego każdy kopczyk, rów, krzak i parów przemawia własnym językiem. On tego doświadczenia nie miał. Miał jednak w sobie ten specyficzny i pierwotny dialog, jaki żołnierz prowadzi z ziemią, w której pewnego dnia zostanie pochowany, a która do tego czasu ratuje mu życie, o ile on potrafi ją zrozumieć, przyjąć, ugłaskać, wtopić się w nią i postępować tak, jak ona sobie życzy. Oczywiście, widziana gołym okiem dowódcy oddziału, nie ma ona tego samego oblicza, co oglądana z wysokości helikoptera, niemniej jednak wciąż powtarza tę samą prawdę: niezależnie od jakości sprzętu, jakim się dysponuje, lub szarych komórek dowódcy, rozwiązanie zawsze jest zapisane (niekiedy szyfrem) właśnie w terenie.

W helikopterze było ich pięciu: pilot, dowódca załogi, Samson, Dymitr i Sasza, którego obecność była zupełnie zbędna, ale on sam nie mógł znieść myśli, że jakaś strzelanina mogłaby się odbyć bez jego udziału.

Helikopter wznosił się, aż przeleciał nad grzebieniem Ażduka. Gdy zawisł nad południowym stokiem — tym, który schodzi ku ziemiom teoretycznie jeszcze należącym do zbuntowanej Czeczenii, pilot odwrócił się do pasażerów i brodą wykonał fatalistyczny i wymowny gest — od tej pory może być gorąco. Pasażerowie wiedzieli, na co się narażają. Jeśli w grę wchodziłoby kilka kulek z karabinu, to pół biedy — o ile

pozostaną w górze; jeśli jednak wystrzeli w nich amerykański Stinger, będą mieli najwyższą chwilę, żeby się pomodlić.

Topografia terenu była prosta — jeden łańcuch górski tworzący kotlinę, a w środku jezioro.

Przelecieli nad kotliną. Na jej ścianie północnej widoczna była przecinająca górę szczelina, łatwa do rozpoznania dla każdego, kto widział zdjęcia i umiał czytać mapy. Tam właśnie znajdowało się wejście do jaskini. Dookoła wznosiły się nagie skały i zbocza porośnięte iglakami.

— *Niże nie nada!* — spytał pilot, biorąc pasażerów za cywilów.

— Niżej nie schodzimy? — przetłumaczył Sasza.

— Schodzimy — odparł Samson.

— *Niże* — przetłumaczył Sasza.

Helikopter zaczął schodzić niżej, pozostając w obrębie kotliny, jak najdalej od jej ścian. Wokół polatywały orły.

— Na dwoje babka wróżyła — rzekł Gołubiński. — Albo nie będą strzelali, żebyśmy uwierzyli, że ich tam nie ma, albo zaczną strzelać, żebyśmy uwierzyli, że siedzi tam tylko trzech żołdaków, a nie cała banda Alego Mansura.

— *Niże nie nada!* — spytał pilot.

— *Niże* — odparł Samson.

Teraz znajdowali się na poziomie wejścia do jaskini. Patrząc przez lornetkę, można było rozpoznać maskujące je rumowisko. W pobliżu nie było widać żadnej platformy, na której mógłby wylądować helikopter. Atakujący musieliby dostawać się do szczeliny pod ostrzałem stanowisk ogniowych znajdujących się po bokach.

— *Niże nie nada!* — ponownie spytał pilot, który sam już zaczynał się nieco denerwować. — Prosimy się o kłopoty.

Maszyna znajdowała się już znacznie poniżej wyższego stanowiska ogniowego jaskini — tego, które było naszpikowane moździerzami i karabinami maszynowymi.

— *Niżej, niżej* — rozkazał Samson.

Różnica wysokości między wejściem do jaskini a taflą jeziora wynosiła około trzystu metrów. Jezioro miało niemal doskonale okrągły kształt, promień około dwustu metrów i otoczone było stromymi skałami, między którymi, niemal dokładnie na wprost jaskini, znajdowała się maleńka, otoczona trzcina plaża.

Sasza żartował po rosyjsku z dowódcą załogi.

— Często chodzicie się kąpać? Dużo tu ryb? Marynowany śledzik? Próbowaliście?

— Uszy wienią, gdy się ciebie słucha — odpalił dowódca załogi.

Woda w jeziorze miała intensywnie zielony kolor, a poranna bryza delikatnie marszczyła jej powierzchnię. Wyglądało jak oko jednookiego smoka.

— Wracamy — zakomenderował Samson. — Ale najpierw zróbmy jeszcze jedną rundkę tam, naprzeciwko, żeby cel rekonesansu nie był taki oczywisty. Rzućmy okiem na tę polankę, którą zauważyłem na zdjęciach. A potem podlećmy jeszcze nad tę dolinę przed nami, jakbyśmy szukali wejścia do jaskini w innym miejscu, niż ono się znajduje.

Jedynymi mieszkańcami doliny były kozice i cała załoga wkrótce wylądowała z powrotem w obozie, nie doznawszy najmniejszego uszczerbku. Po śniadaniu zjedzonym w kantynie Grubki (jedli to samo co cały oddział — kapuśniak i kaszę gryczaną), Samson spytał Dymitra:

— Czy moglibyśmy się spotkać tylko we trzech: pan, ja i generał? Mam chyba pomysł...

4

Zapadał już wieczór, gdy Samson wrócił do bazy nacierzy i pierwszą osobą, którą ujrzał w świetle zachodzącego słońca, był wysoki i szczupły Daniel, przechadzający się szybkim i nerwowym krokiem, z rękami w kieszeniach i papierosem w ustach.

— Witaj, Samsonie. Masz coś nowego? W Paryżu się niecierpliwią.

Samson pomyślał: „O, proszę! Pies łańcuchowy. Mógł chociaż spytać, co u mnie słychać”. I żeby podrażnić się nieco z Danielem, rzekł:

— Dobrą miałeś podróż? Jak ci się podobają czeczeńskie drogi? No, ale ty przecież jeździsz konno — jesteś przyzwyczajony do odcisków na tyłku.

— Słuchaj, Samson, jesteś tutaj już od jakiegoś czasu, a jedyne, co się wydarzyło, o ile się nie mylę, to porwanie tego nieszczęsnego Jankesa z organizacji humanitarnej — tuż pod twoim nosem.

— Mój nos nie odpowiada za bezpieczeństwo tego typu, nawet jeśli to Jankes z organizacji humanitarnej. A ty co? Przyjechałeś mi powiedzieć, że szefostwo postanowiło się stąd wynieść i uratować zakładników?

— Daj spokój. Chodzi o miliardy dolarów. Gra idzie o kaspijską ropę. Stosunki francusko-rosyjskie. Przyszłość Europy. Jeśli się stąd wyniesiemy, to zostawimy pole tym draniom Amerykańcom!

— O, proszę. Raz mówimy o biednym Jankesie, a raz o draniach Amerykańcach. Powiedz mi coś, Danielu. Rozumiem, że wolimy dopaść

brodaczy i uratować zakładników, ale mamy świadomość, że dopadając brodaczy, ryzykujemy jednak trochę życiem zakładników, prawda? Ale te miliardy dolarów, czyli nasza obecność tutaj, czyli wyeliminowanie Alego Mansura, liczą się znacznie bardziej niż życie Mateo, Virginie i Caldensa, o panu Chastowie nie wspominając. Tak?

Daniel przystanął. Jego jaskrawoniebieskie oczy wbite były w dym papierosa.

— Czyżbyś na starość zrobił się bardziej wrażliwy? Chyba nie krokodyle łzy pomogły ci robić karierę w oddziałach operacyjnych.

— Zawsze byłem oszczędny, jeśli chodzi o ludzkie życie, może trochę za bardzo. Ale zdziwię cię Danielu: *hic et nunc* zgadzam się z twoimi szefami. Nie z powodu tych miliardów dolarów, z których nie zobaczę nawet centa, ale dlatego, że nigdy nie należy ustępować wobec szantażu. *Dura lex* — jak duraleks. Mogli nie leżeć na te grzyby. Mógł nie zajmować się tymi sierotami. Nie wolno się ugiąć w obliczu gróźb. Chciałem tylko wiedzieć, jak OILOC zareaguje, jeśli podejmiemy próbę uwolnienia, w której zakładnicy położą głowę. Ale widzę, że firma przyjęłaby to z nawet z pewną ulgą — rebelianci straciliby wszelkie możliwości nacisku. To właśnie miałeś mi powiedzieć, tak?

Daniel znów zaczął spacerować. Jego włosy, o których trudno było powiedzieć, czy są jeszcze blond czy już siwe, płonęły blaskiem ostatnich promieni słońca.

— Ciii, Samsonie — rzekł. — Takie rzeczy się robi, ale się o nich głośno nie mówi. Żadnego hałasu, bicia piany i rozgłosu. Ale mogę ci powiedzieć jedno: jeśli zginie Mateo, wdowa po nim dostanie smakowite odszkodowanie. Jeśli zaś odzyskamy całą trójkę żywą, ty i ja dostaniemy to odszkodowanie do podziału, jako premię.

„No, proszę! Teraz wiadomo, po co Daniel włókł się tu z Paryża — zrozumiał Samson. — Cóż, spróbujemy zarobić dla niego tę połówkę premii”.

— Zatem, *quae cum ita sint*, mogę ci powiedzieć, że cieszę się z twojego przyjazdu i od razu zaprzęgnę cię do roboty.

— Mnie? Do jakiej roboty?

— Ależ logistycznej, na Boga. Jesteś logistykiem, czyż nie?

Samson wyłożył Danielowi swój prosty i zaskakujący plan.

Daniel słuchał w milczeniu, poprosił o jedno czy dwa wyjaśnienia, zgłosił jedną czy dwie obiekcje, przyjął do wiadomości odpowiedzi i wszystko zarejestrował w komputerze, który mu służył za mózg.

— To będzie kosztowało! Czemu to Rosjanie nie dostarczą sprzętu?

— Bo ten sprzęt to jedna z niewielu rzeczy, które Francuzi jeszcze potrafią zrobić lepiej od innych. Mam katalogi u siebie w domu. Wyślę maila do Adeliny i złożę u ciebie zamówienie.

— Możesz mi podać przybliżoną kwotę?

— To twoja działka, nie moja. Ale powiedzmy, jakieś sto tysięcy.

— Franków?

— Euro.

— Muszę spytać szefa o zgodę... (Daniel rzucił okiem na zegarek).

A szef spyta swojego szefa...

Samson spojrział na niego ze współczuciem.

— Generał Grabko potrzebował zaledwie pięciu minut, żeby otrzymać zgodę swoich szefów.

— Wojskowi nie zarządzają budżetem jak ludzie interesu, mój stary. Jak masz dotację przeznaczoną na amunicję, to wiesz, że ją wydasz. Zupełnie jakbyś już tę amunicję miał w magazynie. Z forszą tak nie jest. O, mam pomysł! A jakbyśmy tak spróbowali trochę wydusić z wujaszków z Ameryki? W końcu ich to też dotyczy. Mają jednego zakładnika, którego my będziemy próbowali odbić. A dla nich taka suma to jak splunąć. Zresztą, może i oni zapłacą jakąś małą premię.

— Możesz próbować — powiedział Samson znużonym głosem — ale zrób to dyskretnie. Naszą jedyną szansą jest zaskoczenie, a ci goście mają agentów dosłownie wszędzie. Nie zapominaj, że mają, a raczej mieli kontakty w Ameryce. Strzeż się Echelona [Amerykański satelitarny system wywiadowczy].

— Mógłbyś mieć do mnie trochę zaufania!

— Wiem, Danielu. Jesteś przecież gościem, który *has been pro* [Jest byłym zawodowcem]..

— Właśnie dostałem maila.

— I co?

— „Budżet zatwierdzony...”.

— Uff.

— „Pod jednym warunkiem: Sangdeboeuf nie weźmie udziału w żadnej operacji, nieodpowiedniej dla ludzi w jego wieku, która mogłaby skompromitować naszą firmę”.

— To jakiś żart?

— Mogę ci pokazać tekst.

Samson o mało nie wybuchł, ale w końcu, podejrzenie spokojny, burknął:

— Dobra, zgoda. Pewnie mają rację. *Sucro fresas* [Nawiązanie do francuskiego powiedzenia *sucre les fraises*, które znaczy: być niedołąnym, zidiociałym].

5

Następnego ranka, nie czekając na zaproszenie, Samson kazał się zawieźć w towarzystwie Saszy do punktu dowodzenia Rosjan. Straż zaprezentowała broń, ordynans podniósł szlaban. Odkąd wiadano, że Francuz jest wojskowym, a nie zwykłym nafciarzem, traktowano go jak przyjaciela. Rosjan bawiło goszczenie u siebie tego cudzoziemca i chętnie by się dowiedzieli, co robił tak daleko od Paryża. Jeden z wąsatych podoficerów pobiegł po Gołubińskiego. Jakiś podporucznik otworzył drzwiczki terenówki, żeby francuski *pałkownik* mógł wysiąść.

— Jasny gwint — mruknął Garnier.

Gołubiński zaprowadził Samsona prosto do generała, a zaraz potem nadbiegł truchtem rozchełstany i zgarbiony dowódca *razwietotdieła*, pułkownik Jurij Juricz, błyskając oczami zza cieniutkich okularków. Saszę dopuszczono do towarzystwa.

— Panie generale — zaczął Samson — mam nowiny z Paryża. Moja firma zgadza się na sfinansowanie naszego planu oraz dostarczenie najlepszego sprzętu na świecie, jednak pod dwoma warunkami. Po pierwsze, uzbrojenie zostanie zapewnione przez armię rosyjską...

Ten warunek, zupełnie wyssany z palca, miał cel psychologiczny. Chodziło o przypochlebianie się Rosjanom, chwając ich uzbrojenie, faktycznie zresztą doskonałe.

— Zgoda — rzekł generał, drapiąc się po chropowatym policzku, gdzie mimo starannego golenia, każdy z włosków tworzył mały, czarny

punkcik. Drugi policzek oparł na pięści, która mogłaby powalić bawoła. Oczy generała były pozbawione wyrazu.

— Drugi warunek — ciągnął Samson — jest taki, że wysłannik firmy OILOC, czyli ja, weźmie udział w operacji.

Generał spojrzął na Dymitra i Jurija.

— Ma jakieś doświadczenie? — spytał Jurij Juricz.

Dymitr przetłumaczył.

— Zostałem wyszkolony przez służby akcji bezpośredniej — odparł Samson — i bardzo lubię to robić. Pięćdziesiąt godzin rocznie, mniej więcej.

Nikt nie podał jego słów pod wątpliwość.

— Czemu nie — podsumował generał.

— Ja też chciałbym wziąć udział w akcji — wtrącił Sasza.

— Masz doświadczenie? — spytał Dymitr.

— W moim jacuzzi.

— Trzeba będzie pana nieco podszkolić — rzekł Jurij Juricz.

— Zanim zaczniemy, mam trzy pytania — powiedział Samson.

— *Nu?* — wyburczał generał.

— *Primo*, wiemy, że Mansur ma około sześćdziesięciu ludzi, z czego pięćdziesięciu zdolnych do walki. Karabiny maszynowe, moździerz, miny, rakiety... Ile stanowisk ogniowych jest w jaskini?

Jurij Juricz dokonał szybkich obliczeń w pamięci.

— Strażnicy, strzelcy, ładowniczy... moździerz, karabiny maszynowe... Od trzydziestu pięciu do czterdziestu.

— Chce pan powiedzieć, że przekroczone tu zwykle stosowaną proporcję trzech ludzi na stanowisko?

— Znacznie.

— Wszystkich rzucają do walki. Nikt nie chce stracić okazji zabicia niewiernego i osiągnięcia rajy. Poza tym, w razie strat, muszą być gotowi natychmiast dokonać podmianki. Są więc w gotowości.

— Po drugie, jak jest zorganizowany ich wywiad? Jakimi źródłami dysponują? Jak przesyłają informacje? Jak je wykorzystują? Mówiąc dokładniej, czy mają peryskopy — elektroniczne lub innego rodzaju? Czy mają drony, może amerykańskie? Krótko mówić, czy z tej swojej jaskini widzą świat zewnętrzny, czy też może są zupełnie ślepi?

Generał i Jurij Juricz wysłuchali tłumacza i wymienili spojrzenia. Jurij Juricz powiedział:

— Przesłuchania jeńców nie pozwoliły nam...

— Daj spokój — wpadł mu w słowo Dymitr. — Powiedziałem naszemu francuskiemu przyjacielowi, że mamy nasze źródło wewnątrz jaskini.

— Skoro uznałeś to za konieczne... Zresztą, to twoje źródło.

Jurij Juricz zwrócił się do Samsona.

— Tym źródłem, skoro już o nim mowa, jest prosty człowiek (pseudonim *Duraczok* [Głupek]), który nie jest w stanie dostarczyć nam zbyt wielu detali technicznych. Podejrzewam, że głównie interesuje pana, czy bandyci będą mogli obserwować tę polankę, którą pan wypatrzył na pochyłości. Gołym okiem — nie. Ukryta jest bowiem za urwiskiem. O ile wiemy, wróg nie dysponuje peryskopami i nie ma dostępu do amerykańskich dronów. Ale mógłby, a jak panu wiadomo, zawieszony w powietrzu drony są praktycznie nie do wykrycia. Wydaje mi się jednak, że polanka jest tak dobrze osłonięta, że w ogólnym zamieszaniu to, co się tam będzie działo, umknie uwadze nawet najnowocześniejszego dronu. Pozostają jeszcze kamery wideo. Bandyci poutykali je tu i ówdzie po krzakach i skałach, podobnie zresztą jak radiowe skanery i anteny ukryte w rozłupanych kawałkach drewna. W ten sposób „słyszą”, co się dzieje dookoła. Na przykład, istnieje ryzyko, że przechwycą rozmowę prowadzoną przez walkie-talkie. Wiemy, że w ich punkcie dowodzenia znajduje się sala, gdzie na okrągło siedzą operatorzy

wpatrzeni w ekrany i ze słuchawkami na uszach. My jednak możemy do pewnego stopnia narzucić naszym ludziom ciszę, a poza tym wątpię, czy te kamery i anteny sięgają tak daleko — od polanki do jaskini jest dobry kilometr w linii prostej. W końcu, sądzę, że tony materiałów wybuchowych, które generał rozrzuci po całym terenie, z pewnością też dosięgną kamer i anten. Odpowiadając więc na pytanie, którego właściwie pan nie zadał, powiem tak: po kilku godzinach przygotowań, bandyci będą właściwie ślepi i głusi.

Sasza tłumaczył na bieżąco. Jurij Juricz zdjął okulary i pomasaował sobie nasadę nosa.

— Dziękuję, panie pułkowniku — odparł Samson. — Po trzecie, czy można się skontaktować z waszym źródłem i na jakiej częstotliwości? Nie pytam wyłącznie z *idle curiosity* [Z próżnej ciekawości]. Wasz agent mógłby nam wskazać moment najbardziej dogodny dla ataku.

Gołubiński i Jurij Juricz wymienili spojrzenia.

— Nasz system wygląda następująco — rzekł Gołubiński. — W normalnym trybie mamy czas na kontakt radiowy trzy razy dziennie. W większości przypadków Duraczok nie nadaje ani nie odbiera, ale wie, że jeśli wyjdzie z jaskini, to w tych właśnie porach może się z nami połączyć. W jednym przypadku na sześć próbuje być na nasłuchu. Przekazujemy mu wtedy wiadomości i odbieramy raport. W obecnych okolicznościach możemy spróbować nadać wiadomość, że będziemy na permanentnym nasłuchu. On jednak nie będzie nas mógł informować o działaniach przeciwników, przynajmniej dopóki nie dostaniemy się do jaskini.

— Proszę wziąć też pod uwagę, że jeśli Duraczok wskaże nam właściwy moment ataku, to będzie wiedział, kiedy ruszymy. A przypuścimy, że został przewerbowany. Że postanowił zdradzić i rzucić ten tłusty kąsek Alemu Mansurowi. Przypuścimy, że go podejrzewali i torturowali.

— Duraczok będzie znał moment ataku, ale nie sposób — zwrócił uwagę Samson.

— Mogą się domyślić — odparł Gołubiński. — W końcu Kolumb znalazł sposób, żeby postawić jajko na czubku, a pański pomysł, pułkowniku, to właśnie coś w tym rodzaju. Opiera się na tym, że najciemniej jest pod latarnią. Ale znam Duraczoka i sądzę, że nawet jeśli się połapie, będzie myślał tylko o jednym: ukryć się jak najlepiej i przecze-kać. Uważam, że powinniśmy go uprzedzić — chociażby dla jego bezpieczeństwa. Jeśli zaś mówimy o najdogodniejszym momencie, to jest oczywiście, że będziemy działać nocą.

— My, Dymitrze?

— Chyba nie sądzi pan, Samsonie, że zostawię pana samego?

— Dymitrze Aleksandryczu — zaprotestował generał — już dawno przestałeś uprawiać ten sport.

— Tego się nie zapomina, jak jazdy na rowerze.

— Twoje życie jest w twoich rękach, mój drogi. Jeśli zginiesz, to na własne życzenie.

— To się nazywa prawdziwy przyjaciel.

— Kiedy się zaczną działania dywersyjne? — spytał Samson.

— Kiedy pan będzie chciał, ale nie przed północą.

— A dlaczego?

Samson nie mógł uwierzyć własnym uszom, gdy Dymitr wyjaśnił mu, że od upadku komunizmu armia rosyjska rzadko udawała się w ryzykowny bój bez błogosławieństwa. To błogosławieństwo najczęściej dokonywało się pod postacią mszy, podczas której żołnierze upierali się, żeby przystąpić do komunii, nim przyjdzie im odwalić kitę. A żeby przystąpić do komunii, musieli się wypowiedzieć, specnaz zaś dysponował tylko jednym kapelanem. Poza tym, między spowiedzią a komunią musiało upłynąć dwanaście godzin postu.

— Jasny gwint! — skomentował Sasza.

— Nie szkodzi — rzekł Samson. — Tak czy owak, sprzęt nie przyjedzie wcześniej niż za jakieś trzy-cztery dni.

Samson był marzycielem. Tkwiący w nim chrześcijanin pomyślał, że to wielkie nawrócenie Rosji, która spłynęła krwią milionów męczenników, może zmienić historię świata.

6

Samson był z siebie zadowolony. Wszystko szło mniej więcej tak, jak sobie życzył. Nade wszystko zaś cieszył się, że znowu, mimo swego wieku, zorganizował akcję w terenie. Kiedy ostatnio, w Monterosso, skakał ze spadochronem, trochę się poobijał, ale jak na weterana i tak wyszedł z tego całkiem nieźle, więc nie widział powodu, dla którego nie miałby tego powtórzyć. Przed oczami stanął mu obraz Adeliny. Tak, gdyby zostawił swoje kości w Czeczenii, płakałaby po nim, a on czułby się z tego powodu szczęśliwy i nieszczęśliwy zarazem. Ale cóż... Jest żoną oficera. Wie, że w niektórych zawodach jedynym *modus vivendi* jest poświęcenie. *Morituri te salutant*.

Samson jednak zamierzał podjąć to niezbyt pasujące do jego wieku ryzyko nie tylko po to, żeby dowieść, że jest jeszcze pełen wigoru. Miał pewne przypuszczenia, a w razie, gdyby się potwierdziły, wołał być na miejscu. Możliwe, że motywy kierujące Dymitrem też nie były tak całkiem niewinne — kto wie, czy nie miał podobnych podejrzeń.

Tymczasem Samson postanowił złożyć wizytę wicehrabinie. Och, miał dla niej wiele współczucia, tym większego, że nie był obojętny na jej wdzięki, ale miał też inne powody.

Zastał ją, jak serwowała *whisky and soda* dwóm Anglikom i jednemu Amerykaninowi. Młodszy z Anglików był synem lorda i mówił jak najzwyklejszy *cockney*. Starszy był *cockney'em* i usiłował mówić jak lord, bardzo starannie wymawiając „h”. Obaj deklarowali gotowość

zrzucenia bomb atomowych na Moskwę, jeśli „Ruscy” natychmiast nie uwolnią Roberta Chastowa. Amerykanin wykazywał więcej spokoju i rozwagi — takie historie wymagają czasu; Bob radził uzbroić się w cierpliwość.

Samson nie rozumiał ani słowa z tego, co mówili. Różnica akcentów przeszkadzała w odbiorze treści, ale wyraźnie odbierał poczucie wyższości emanujące z czwórki Anglosasów.

Wyższość Anglików była pocieszna, ale też smakowita. Pobici przez Amerykanów podczas Wojny o Niepodległość i wzięci przez nich do galopu po II wojnie światowej, zdawali się czerpać z tych klęsk jakąś paradoksalną dumę i wierzyć w to, że rządzą światem *per procura*. Dla nich stwierdzenie: „Razem z Amerykanami jesteśmy najsilniejsi” nie miało nic wspólnego z rozważaniami natury etycznej.

Punkt widzenia Amerykanina był całkiem inny. On z kolei wiązał wszechmoc Stanów Zjednoczonych z cnotami moralnymi. „Właśnie dlatego, że jesteśmy najbardziej czysti, cnotliwi, idealistyczni i demokratyczni, dajemy światu nasze najlepsze umysły i naszych najlepszych ludzi. Tym samym, jesteśmy najpotężniejsi. Podsumowując: jesteśmy tego warci”. Tkwiła w tym wiara w immanentną sprawiedliwość i postęp, której Samson nie podzielał, ale w jakiś gorzki sposób bawiła go ta pewność siebie, którą rzeczywistość zdawała się usprawiedliwiać. Można się nie zgadzać z amerykańską doktryną, ale nie sposób się oprzeć amerykańskiej potędze, a to pozwala Amerykanom twierdzić, że ich doktryna jest najlepsza w świecie, bez ryzyka, że ktoś im zaprzeczy, bo dysponują siłą, żeby takiego śmiałka natychmiast unicestwić. Krótko mówiąc, spokojny i zrównoważony Amerykanin daje światu tylko jeden wybór: dać się uwieść lub pozwolić się zgwałcić.

Wicehrabina nie wdawała się w ogólności. Bombardując swoich rozmówców spojrzeniami błękitnych oczu, mobilizowała ich do uwolnienia Robina i kropka. Mówiła tonem prowokującym, tnąc zdania, bezskutecznie próbując ukryć zdenerwowanie.

— Czczeni nie są przecież większymi potworami od innych tubylców, prawda? Widziałam stare kobiety czeczeńskie, jak przynosiły jedzenie rosyjskim żołnierzom marnie karmionym przez ich kwatermistrzostwo. Co nie zmienia faktu, że w historii niemal zawsze dokonywali złych wyborów. Podczas rewolucji byli po stronie bolszewików. Podczas drugiej wojny światowej — po stronie hitlerowców. Teraz wzięli sobie na głowę wahabitów i brodaczy. (Prawa brew powędrowała w górę). A potem narzekają. Ja tam wcale się nie dziwię, że Stalin kazał ich deportować, żeby im dać nauczkę, skoro woleli Hitlera od niego. (Lewa brew w górze). Przeciwnie, mam za złe Rosjanom, że nie czynili dostatecznych różnic między narodem rosyjskim, który zaczął się cywilizować w kontaktach z Europą, a tymi dzikusami, których powinno się traktować właśnie jak dzikusów. Na przykład my, kiedy w Indiach mieliśmy problemy podczas buntu sipajów (swoją drogą, byliśmy sami sobie winni, bo dostarczyliśmy sadło krowie hinduistom, a słoninę wieprzową muzułmanom), poradziliśmy sobie szybciej, niż można było się spodziewać. Wy, Amerykanie, też nie pozwoliliście, żeby ci wasi Indianie za długo wam bruździli, prawda?

— Zdumiewa mnie pani, Betty — przerwał jej Samson. — Myślałem, że kieruje się pani humanitaryzmem, a tymczasem zdaje się pani pochylać ucisk i eksterminację.

Betty spiorunowała go wzrokiem.

— Wszystko w swoim czasie. Najpierw ucisk, potem akcje humanitarne.

Ponownie zwróciła się do obu Anglików.

— Nie wiem, dlaczego słowo „tubylec” jest dziś postrzegane jako pejoratywne. Ja pochodzę z Kentu i jestem z tego dumna. Fakt, że tubylcy z Kentu i tubylcy z Czeczenii nie mają takiego samego koloru skóry i takich samych obyczajów. Ale co z tego? Istnieją dwa typy rasizmu. Jeden polega na chęci eliminowania ras innych niż własna. Drugi

na eliminowaniu ras, w tym własnej, poprzez ich mieszanie. Ja nie jestem rasistką. Kent to Kent, a Czeczenia to Czeczenia. Dam przykład. Co się działo w Kencie, kiedy ktoś kogoś zamordował w czasach, gdy jeszcze byliśmy cywilizowani? Wieszano zabójcę i zapominało się o sprawie. A dziś? Dziś utrzymuje się takiego do śmierci na koszt podatników. To znacznie droższe rozwiązanie niż kawał sznura, ale zasada ta sama: państwo uzurpuje sobie prawo do sądzenia jednostek. W Czeczenii to tak nie działa. Przypuśćmy, że Asłan zabija Uraara. Teraz *tejp* [*Tejp* — w Czeczenii klan lub organizacja plemienna] Umara marzy tylko o jednym: zabić Asłana. Przypuśćmy, że Asłan ucieka. *Tejp* spokojnie poczeka, aż syn Asłana skończy piętnaście lat, a potem — ciach! To jest wyjście radykalne. Ale można się z tego wygrzebać w inny sposób. Asłan wyjechał i przez kuzynów oraz przyjaciół podejmuje negocjacje. Dziesięć baranów, dwadzieścia, sto... W końcu dochodzą do porozumienia co do okupu za zamordowanego. I co się wtedy dzieje, jak sądziecie? Asłan wystawia czek i po sprawie? Nie. Asłan daje się zaszyć w całunie, tak, panowie, w całunie — razem z głową. Ludzie z jego *tejp* kładą go na nosze i transportują przez góry do siedziby *tejp* Umara. W międzyczasie zostają tam dostarczone barany. Wtedy żona Umara bierze do ręki handzar, rozcina całun i Asłan zmartwychwstaje, blady jak ściana.

— Nie rozumiem, do czego pani zmierza — rzekł starszy z Anglików. — Kto z nas powinien dać się zaszyć w całun?

Samson wstał, żeby się pożegnać, mając nadzieję, że Betty odprowadzi go do samochodu, co jednak się nie stało.

— Niepokoi się pani? — Odezwał się po francusku. — Niepotrzebnie. Historie z zakładnikami na ogół kończą się w chwili, gdy porywacze żądają okupu. A jeśli cena jest za wysoka, zawsze można się targować.

— Nigdy nie zaszkodzi się potargować, prawda? Mój mąż jest bogaty, ale dwadzieścia milionów dolarów nie wchodzi w grę. Bids for Kids będzie musiało się na serio zaangażować.

Samson nie okazał zdziwienia faktem, że mąż miałby partycypować w kosztach uwolnienia kochanka.

— Jakiego typu mężczyzną jest Robin? — spytał bez ogródek.

Betty zastanowiła się przez chwilę.

— To człowiek, który chciałby w coś wierzyć, ale nie potrafi.

Samson zdziwił się, że wicehrabina dzieliła ludzi wedle tego samego kryterium, co Dymitr.

— Zawsze zajmował się działalnością humanitarną?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że był urzędnikiem. Nie zadajemy sobie zbyt wielu pytań.

— Bo nie chcecie usłyszeć kłamstw?

— Ani prawdy. Pyta pan, jakiego typu mężczyzną jest Robin. A jakiego typu kobietą jestem ja? Czy naprawdę uważa pan, że ludzkie istoty można jakoś sztywno klasyfikować?

— Do pewnego stopnia. Na przykład, są miłośnicy przygód i domatorzy. Pani jest miłośniczką przygód. A on? Jaką pracę wykonywał jako urzędnik? Wie pani coś na ten temat?

— To nie moja sprawa.

— I nie dziwi pani, że Czeczeni porwali spokojnego Amerykanina, który zajmuje się sierotami? Poza wszystkim, wiemy, że do 11 września 2001 Amerykanie niejako popierali rebelię. Powiadają, że żołnierze rosyjscy sprzedawali rebeliantom broń za dolary. Zatem rebelianci musieli skądś dostawać te dolary.

— Może ma pan rację. Ale *Nine-Eleven* wszystko zmieniło. A akcja podjęta przez Amerykanów w Afganistanie nie uczyniła ich popularnymi wśród muzułmanów, bez względu na to, skąd pochodzą, prawda? (Brew powędrowała w górę). Mniejsza o to! Dużo się modlę. Mam nadzieję, że będzie okej. Po francusku też się mówi „okej”, prawda?

7

W nocy w stronę kotliny wystrzelono kilka pocisków, żeby trochę zaniepokoić bandytów, natomiast rankiem rozpętało się prawdziwe piekło.

Najpierw nadleciały samoloty, które zrzuciły bomby i rakiety, niczym wielkie kupy ekskrementów, przelatując nad przypadkowymi celami rozrzuconymi po całej kotlinie, a zwłaszcza nad celem-przynętą, czyli dolinką z kozicami. Szczelina dająca dostęp do jaskini nie została zbombardowana — żeby dać szansę zakładnikom, trzeba było przekonać Alego Mansura, że nic do niego nie mają.

Potem nastąpił atak artylerii, tłukącej bez wytchnienia we wcześniej namierzone cele — „oczywiste” punkty przejścia i „możliwe” punkty wsparcia, rozrzucone po kotlinie, a zwłaszcza po jej południowym stoku, najbardziej oddalonym od jaskini.

Wreszcie nad grzebieniem gór zawisły helikoptery M18, które okrążyły kotlinę, podczas gdy ciężarówki przywoziły na miejsce oddziały żołnierzy. Radio trzeszczało. Wydawano rozkazy. Meldowano wykonanie. Przekazywano informacje z jednostki do jednostki. Zupełnie jawnie. Jeśli anteny bandytów nie zostały zniszczone, tym lepiej — dzięki temu, zaczęli rozumieć scenariusz, jaki im przygotowano: „Na skutek informacji dostarczonych przez dezertera, armia rosyjska postanowiła dokładnie spenetrować kotlinę i zniszczyć wszelkie wrogie elementy, które skoncentrowane są, jak się zdaje, na południowym stoku doliny”. Ani słowa o zakładnikach. Ani razu nie pada nazwisko Alego Mansura.

Operacja ta, pod kryptonimem „Pieczorin”, miała być częścią szerokiej, wielokierunkowej ofensywy pod kryptonimem „Lermontow”. Tak więc, w interesie znajdujących się w jaskini bandytów było siedzieć cicho i czekać na odwołanie operacji, bo przecież wszystkie operacje w końcu zostają odwołane.

W południe pierścień się zacisnął. Trzy drony produkcji rosyjskiej — dziwaczne samolociki o długości mniej więcej trzech metrów i takiej samej rozpiętości, wyposażone w kamery telewizyjne, ochrzczone wdzięczną nazwą „Trzmiel” — latały nad teatrem działań wojennych, żeby sprawdzić szczelność zapór oraz wszelkie zagłębienia terenu, które mogły posłużyć za schronienie. „Gdybyśmy mieli drony w Algierii — pomyślał Samson — szybciej wygalibyśmy wojnę. Ale co z tego? I tak ukradziono nam pokój”.

Tego ranka, po liturgii odprawionej przez łysego i brodatego kapelana, odśpiewanej *a capella* przez żołnierzy, których głosy mogły być ozdobą każdej opery, generał Zachar Grubko zebrał swoich oficerów i wygłosił do nich znamienne przemówienie.

— Jak tylko otoczmy teren, zaczniemy go, jak zwykle, przeczesywać, to znaczy szukać bandytów, ich ścieżek, przejść, kryjówek. Jasne? (Potrząsał wielkimi pięściami). Pierwszego, który znajdzie bandytę, ścieżkę, przejście lub kryjówkę bandyty, złapię za łeb i osobiście wbiję na pał. Jasne?

Korpulentny Michał Iwanycz, dowódca *operatiwnowo otdieła*, odważył się odpowiedzieć:

— Nie, towarzyszu generale, to nie jest jasne. Musimy poznać zadanie, które nam powierzacie, a nie to, którego nam n i e powierzacie.

Grubko splunął na ziemię.

— Wasze zadanie nie polega ani na nawiązaniu kontaktu, ani na rozpoznaniu. To zadanie czysto dywersyjne, polegające na przygotowaniu celu i wyczerpaniu sił wroga. Będziemy nękali nie wielką liczbę bandytów i wielką liczbę stanowisk ogniowych, które

muszą oni obsłużyć. Naszym celem jest pozbawienie ich snu. Po ośmiu dniach bez zmruczenia oka z dzielnych *bojewików* Alego Mansura zostanie mokra plama! Wtedy zaatakujemy i wszystkich ich nakryjemy czapką. Wytłumaczcie waszym ludziom, że jeśli coś znajdują, mają o tym zameldować, ale wszelka inicjatywa jest zabroniona. I uwaga: pierwszego, który wygada swoim ludziom prawdziwy cel akcji, złapię za łeb i osobiście wbiję na pal. Jasne?

Samson, któremu Sasza tłumaczył każde słowo, przypomniał sobie z nostalgią czasy, gdy starzy francuscy wojacy tak właśnie przemawiali do swoich oddziałów.

Od południa zaczęło się przeczesywanie terenu. Tu tyralierą szły całe bataliony, tam patrole przemykały między skałami lub gałęziami świerków. Rosjanie byli rozproszeni po całej kotlinie, również w pobliżu wejścia do jaskini, ale stosownie do rozkazów generała i ku zdumieniu podoficerów, którzy ni w ząb nie rozumieli, co jest grane, ludzka sieć rozciągnięta po terenie wciąż pozostawała nieszczelna. *Bojewiki* mogli się czuć zaniepokojeni, ale nie mieli powodu, żeby podejmować jakieś desperackie działania.

Po trzech dniach strzelaniny i wybuchów oraz trzech nocach rozświetlonych rakietami i smugami pocisków, południowa ściana kotliny została wreszcie porzucona, jakby już wystarczająco ją spenetrowano, a wysiłki wojska przerzuciły się na ścianę północną — tę, w której znajdowała się jaskinia, co miało zasiać panikę pośród bandytów. Oficerowie otrzymali od Jurija Juricza rozkaz zawarcia w radiowych meldunkach komunikatu, że teraz przeczesywana będzie ściana północna. Jeden z podoficerów, zmieniając strażnika trzymającego wartę w bezpośrednim pobliżu jaskini, poinformował go na cały głos, że następnego dnia duże oddziały będą się przesuwały w tym właśnie kierunku, żeby dokładnie wszystko przeszukać, ale nie spodziewano się zbyt wiele — operacja „Pieczorin” nie dała wyników lepszych niż inne operacje ofensywy „Lermontow”.

8

Ponieważ Samson miał brać udział w operacji armii rosyjskiej (Armii Czerwonej, jak jeszcze ją nazywano), zgodził się założyć jej mundur (w ten sposób jego obecność miała być łatwiej strawna dla oddziału), choć miał w tym względzie pewne skrupuły.

Z jednej strony, całe swoje dorosłe życie spędził, walcząc z ludźmi noszącymi mniej więcej podobne mundury. Z drugiej strony (podwójny paradoks), choć pracował głównie w tajnych służbach, w których kłamstwo i przebranie były zwykłymi narzędziami pracy, nie przepadał za wojskową maskaradą. Coś kazało mu wierzyć w świętość munduru i stopnia. Brzydziło go noszenie epoletów, do których nie miał prawa, podobnie jak czułby obrzydzenie, podając się za szlachcica, którym nie był, lub księdza, nie otrzymawszy święceń. Natomiast Sasza był zachwycony, wkładając mundur rosyjskiego kapitana, choć przecież był francuskim majorem w stanie spoczynku. Gołubiński włożył mundur majora, do którego miał pełne prawo. Daniel pozostał w cywilu w bazie nafciarzy, gdzie bez żalu żegnał odjeżdżających przyjaciół. Czas, gdy jeździł z nimi, dawno minął — teraz zarabiał pieniądze.

Helikopter Mi8 oderwał się od ziemi i gdy tylko przeleciał nad równiną, oczom pasażerów ukazał się cudownie zdeformowany, prometejski pejzaż Kaukazu. Najprostszą drogą dolecieli nad kotlinę. Mimo maskujących barw mundurów, kotlina wyglądała niczym ludzkie mrowisko. Samson dojrzał wzgórek, za którym kryło się wyższe stanowisko ogniowe jaskini — błyszczał nietknięty, niczym łysa głowa wśród

świerkowego lasu, który bombardowania położyły pokotem. Potem przelecieli nad nawisem znajdującym się powyżej wyjścia awaryjnego, które zostało kompletnie zdewastowane przez bomby. Sądząc po rumowisku, trudno było przypuszczać, żeby ktokolwiek był w stanie się tamtędy wydostać. Mimo to, pułapki zostały zastawione. Przelecieli nad jeziorkiem, bladezielonym w świetle poranka, a po pokonaniu skalnego grzebienia, dotarli na polankę, którą Samson wypatrzył podczas pierwszego rekonesansu. Wytoczono tu Dezetkę [DZ — *Drop Zone*, czyli strefa zrzutu; tu: miejsce startu i lądowania helikopterów], rozbito namioty, usypano szańce, a pośrodku dymia już kuchnia polowa, wokół której krzątało się dwóch kucharzy.

— Wasi ludzie lubią wygody — zauważył Samson.

— Mają prawo do paru przywilejów — odparł Gołubiński. — To najlepsi specje w specnazie.

Jeden z podoficerów w nienagannym mundurze zsalutował nienagannie, meldując:

— Są na plaży.

Na ukrytą wśród skał plażę prowadziła wydeptana w krzakach ścieżka. Gdy tyko nowo przybyli postawili tam stopę, z wody wyskoczyło około dziesięciu przypominających trytony stworów, w dziwacznych kapturach na głowach i maskach na twarzach, które zdawały się nie posiadać ani oczu, ani ust, w kamizelkach, przypominających pancerze owadów i z długimi płetwami zamiast nóg. Sasza natychmiast wyrecytował fragment wiersza Puszkina, który potem w zaimprovizowanym przekładzie powtórzył dla Samsona:

Morze wzdyma się burzliwie.
Fala pieniać się w przypiływie
Łąd zalewa coraz szerzej
I trzydziestu trzech rycerzy

Ukazuje się na brzegu,
Ustawiają się w szeregu
I do miasta kroczą śmieie,
A Czarnomor na ich czele*.

[Fragment *Bajki o carze Sułtanie* Aleksandra Puszkina w przekładzie Jana Brzechwy]

Gołubiński wybuchnął śmiechem.

— Czołem, Czarnomorze! — powiedział do stojącego z przodu nurka. — Masz rację, Sasza, od kiedy dowodzi tą grupą, nazywamy go Czarnomorem. Jak widzisz, w tym kraju czytuje się jeszcze Puszkina. Niestety, nie jest ich trzydziestu trzech, a tylko jedenastu, ale w akcji warci są tyle, co trzydziestu trzech innych. To najlepsi z najlepszych. Nurkowie i speleolodzy. No, Czarnomorze, co sądzisz o ekwipunku panów Francuzów?

Czarnomor zdjął kominiarkę. Był przystojnym blondynem, choć z przodu brakowało mu jednego zęba. Samson zrobił na własny użytek obserwację, że armia rosyjska pozostawała jednak trochę w tyle — we Francji pływonurkowie do zadań specjalnych musieli mieć fizjonomię bez zarzutu. Dokonano prezentacji. Czarnomor zauważył, że Sasza uważnie mu się przygląda.

— Zastanawiacie się, towarzyszu kapitanie, dlaczego nie mam jednego zęba? — spytał. — Tak jest łatwiej spluć.

Po czym zademonstrował, o czym mówi.

— Nie, tak naprawdę chodzi o coś innego. To mąż mojej ukochanej przywitał mnie kiedyś żelazkiem. Pożyczyłem od niego to żelazko i powinniście zobaczyć, jak on teraz wygląda — płaski jak garnitur, który właśnie wyszedł z magła. Nie, to też nie tak. Tak naprawdę, to dlatego, że próbowałem rozgryźć chleb, który nam tutaj daje kwatermistrzostwo, towarzyszu majorze. Nie, nie, nie chodzi o to. Tak naprawdę...

Jego kumple także pozdejmowali z głowy kaptury płetwonurków.

— Czarnomor, niech cię licho! Poumieramy ze śmiechu!

Gołubiński przerwał te żarty:

— No więc? Jak sprzęt?

— Doskonały, towarzyszu majorze. Pozostaje tylko pytanie, czy można z nim sypiać. A odpowiedź brzmi: tak, jeśli nie ma nikogo innego pod ręką.

— Zrobiliście już pierwszy rekonesans?

— Czekaliśmy na was, towarzyszu majorze. Nie chcieliśmy się utopić, nie mając za plecami spokoju waszych oczu, jak to mówią. Trochę żeśmy się tylko popluskali.

— Gotowi tam wrócić?

— Zawsze gotowi służyć Związkowi Radzieckiemu! O, przepraszam: świętej Rosji, towarzyszu majorze! O, przepraszam: panie majorze.

Czarnomor był urodzonym kpiarzem.

Pierwszy dwuosobowy zespół stanął na brzegu jeziora. Obaj nurkowie nieśli urządzenia napędzające, które teraz uruchomili. Natychmiast zanurzyli się w wodzie.

Samson wyobrażał sobie, jak pogrążają się w głębinie, wśród gęstniejących ciemności, rozcinanych światłem latarek przymocowanych rzepami do przedramienia, jak sprawdzają głębokość zanurzenia na komputerach i czas na zegarkach, od czasu do czasu wymieniając spojrzenia zza masek.

Samson, Sasza i Dymitr usiedli na plaży. Kucający obok Czarnomor powstrzymał się od opowiadania dowcipów, co zapewne było wyrazem szacunku. Jak dziecko bawił się budowaniem zamku z piasku.

Po jakichś czterdziestu minutach dwójka wynurzyła się, ociekając wodą i trzęsąc się z zimna. Dowódca wyjął ustnik i szcękając zębami, zameldował:

— Dno jest na czterdziestu pięciu metrach. Ciemno jak w dupie u Murzyna. Żeby niczego nie przeoczyć, trzeba rozstawić nurków co dwa metry. To zabierze trochę czasu — skały są poodrywane i pod niektórymi nawisami kompletnie nic nie widać.

— Mamy na to cały dzień — rzekł Dymitr. — Do dzieła. Kiedy nurkowie zakładali sprzęt, wziął Samsona na bok.

— Jest pan pewny, że chce pan z nimi płynąć, Gastonie?

Samson spojrzał mu prosto w oczy.

— Wiem, co chce pan powiedzieć. Jestem starym grzybem, a gdy ostatnio skakałem podczas akcji, prawie sobie skasowałem facjatę — *cassato la figurum*. (Dymitr potrzebował sekundy, żeby zrozumieć). Zgoda. Ale po pierwsze, od tamtego czasu jeszcze skakałem parę razy, a jeśli chodzi o nurkowanie, to trenuję je regularnie na basenie. Czasem nawet nurkuję w nieczynnym kamieniołomie, gdzie po wyczynach kilku początkujących, widoczność jest zerowa. Zimą temperatura nie przekracza pięciu stopni. Bo nie wiem, czy pan zauważył, Dymitrze, ale temperatura wody nigdy nie spada poniżej zera. O co więc chodzi?

— Jak pan sobie chce, pułkowniku.

Samson czuł (a intuicja nigdy go jeszcze nie zawiodła), że armia rosyjska zaplanowała szeroko zakrojoną operację, a OILOC włożyła w nią sporo pieniędzy. Czy zatem mógł nie rzucić na szalę własnej osoby?

Założył sprzęt, wspomagany przez Saszę, jęczącego, że musi zostać na lądzie.

— A co takiego trudnego w podrygiwaniu pod wodą z kauczukową rurą w gębie!

Samson założył gruby kombinezon z polaru, a na to wodoszczelny piankowy kombinezon z butami. Sprawdził ciśnienie w obu butlach, oba zawory, kompas i komputer do nurkowania, który przytwierdził do nadgarstka. Założył pas balastowy i kamizelkę, na którą nałożone były dwie butle ze sprężonym powietrzem. Potem dołączył do nurków Czar-nomora, który właśnie sprawdzał ich sprzęt, zawory w butlach i poziom ciśnienia.

— Słuchajcie, chłopaki — rzekł Czarnomor, tym razem bez zbytnich wygłupów. (Dymitr tłumaczył). — W zasadzie na tej plaży jesteśmy niewidoczni dla wroga, ale nigdy nic nie wiadomo. Dlatego — cisza i spokój. Schodzicie bez hałasu.

Płynę pierwszy i osiągam dno. Rozstawiacie się za mną co dwa metry. Towarzysz Francuz będzie przedostatni, a towarzysz major zamknie szyk. Kiedy już znajdzie się w wodzie i na pozycji, da sygnał do odpłynięcia, trzy razy uderzając nożem w swoją butlę. W tym momencie każdy znajduje swoją pozycję, dopasowuje się do nurka pod sobą i płynie, uważając na skały na jego poziomie. Nigdy nie tracimy z oczu tego, który jest pod nami. Jeśli któremuś się to przytrafi, złapię go za łeb (Czarnomor sparodiował generała) i osobiście wbiję na pal. (Nerwowe śmiechy).

Jeśli który zauważy jakąś dziurę, uderza kilka razy w swoją butlę i wszyscy się zatrzymujemy. Ten, który dostrzegł dziurę, sprawdza; jeśli to nie jest wejście do którejś z galerii, uderza trzy razy i ruszamy dalej; jeśli dziura wygląda na wejście, uderzy całą serią. Wtedy wszyscy zbieramy się wokół niego.

Jeśli w tym momencie będę miał więcej niż sto barów, wpłynę do dziury jako pierwszy razem z moim partnerem. Pozostali wracają do domu, poza towarzyszem majorem i pułkownikiem Francuzem — oni będą mieli więcej powietrza od nas, bo będą płynęli bliżej powierzchni, więc zostaną teraz przy wejściu do galerii jako nasza osłona.

Cała grupa podeszła do brzegu. Za chwilę mieli porzucić jeden świat i wejść do całkiem innego. Gdzieś w oddali zagrzechotała seria z kałasznikowa. Nad szczytami kołowały dwa orły. Niebo przypominało ogromną, błękitną muszlę, a jezioro małą, zieloną muszelkę.

Obciążony pasem balastowym Czarnomor gładko zsunął się do wody, która nawet nie zmarszczyła toni. Statecznie zniknął pod jej powierzchnią, a za nim poszli jeden po drugim jego ludzie. Kiedy nadeszła

kolej Samsona, on także zanurzył się w innym żywiole i uniół ramię, trzymając w dłoni zawór od kamizelki wypornościowej. Powietrze wydostało się z kamizelki z ledwie słyszalnym świstem. Firma OILOC dobrze się sprawiła — Samson byłby zachwycony, posiadając taki sprzęt na własność.

Sasza został na brzegu.

— Chrzest u chrześcijan — powiedział z emfazą — symbolizuje śmierć. Kiedy jesteśmy chrzczeni, umieramy z Chrystusem, by wraz z Nim się odrodzić. My, ludzie prawosławia, praktykujemy chrzest przez zanurzenie, by uczynić ten akt bardziej przekonującym. A zatem, panie pułkowniku, ja pana chrzczę w imię Ojca i Syna i Du...

Uczył przesadnie wielki znak krzyża nad głową Samsona, który i tak już nie usłyszał bluźnierstwa. Lodowaty chłód wody już pożerał mu twarz i mroził szyję, a wokół niego zamykał się mrok wodnej toni.

Rekonesans nic nie dał i patrol wynurzył się na powierzchnię, żeby się ogrzać i zregenerować. O powrocie pod wodę tego samego dnia nie było mowy — wszyscy byli za bardzo napompowani azotem.

Do pracy wrócili następnego dnia, dokładnie według tego samego schematu, ale i tym razem w skałach jeziora znaleźli jedynie małe groty, prowadzące donikąd. Kolacja byłaby ponura, gdyby Czarnomor nie zadbał o rozrywkę — przebrał się za syrenę i odegrał przed całym towarzystwem zaimprovizowany i sprośny monodram, nawiązujący jednocześnie do Gogola, Aleksieja Tołstoja i Rimskiego-Korsakowa. Jego ludzie pokładali się ze śmiechu, a Sasza, który nie mógł już wytrzymać, włączył się do sztuki jako Neptun tańczący gigę i uwodzący swoją własną córkę... Gołubiński przyglądał się temu pobłaźliwie, jak dobry wujek, który patrzy, czyjego bratankowie dobrze się bawią. Samson jadł w milczeniu. Odkrył w sobie zamiłowanie do wódki i pił ją nabożnie,

systematycznie zakąszając, jak go nauczyli ojciec Atanazy i Sasza. Bardzo chciał przekazać tę nową umiejętność Adelinie.

Zanim zasnął w swoim śpiworze, zmówił coś w rodzaju krótkiej modlitwy: „Panie Boże, spraw, żebyśmy znaleźli wejście... Ale, oczywiście, zrobisz, jak uważasz”.

9

Następnego ranka wznowiono poszukiwania. Wyżej nadal trwało czesanie terenu i bombardowanie. Nurkowie nie zwracali na nie uwagi. Zbadali mniej więcej połowę skalnej ściany. Ominęli pionową ścianę z wejściem do jaskini i zbliżali się do ściany ze studnią G.

Ją też ominęli.

Samson z niesłabnącą uwagą przyglądał się skalnej ścianie, która przypadła mu w udziale. Sprawdzał głębokościomierz. Pilnował też pleców nurka pracującego pod nim. Od czasu do czasu dopompowywał nieco kamizelkę, żeby się utrzymać na właściwej głębokości. Było bardzo zimno. Posuwali się naprzód, wśród wodnej roślinności, ostrych i niebezpiecznych skał, iluzorycznych zagłębień i wystraszonych rybich ławic.

Nagle zabrzmiała seria uderzeń w butlę! I Samson zrozumiał natychmiast, że jego modlitwa (o ile tak to można nazwać) została wysłuchana, że znaleźli galerię, przez którą wody z jaskini wpływają do jeziora. Nie pomyślał „dziękuję”, ale cały jego umysł pograżył się w uczuciu wdzięczności. Zabrzmiała druga seria uderzeń. Bogu niech będą dzięki! Samson powoli wypuścił powietrze z kamizelki i opadł niżej. Głębokościomierz wskazywał teraz dwadzieścia pięć metrów. Pozostali płetwonurkowie już zebrali się koło zanurzonej w wodzie skały, pod którą ział szeroki otwór.

Czarnomor ustawił ludzi w szeregu i przeliczył.

Zapalił latarkę i przyjrzał się twarzom zdeformowanym przez maski

i ustniki. Wskazał pięciu nurków, którzy natychmiast się wynurzyli. Musieli złożyć meldunek, zapewnić zmianę i zabezpieczyć osłonę ekipie wynurzającej się. Potem wskazał dwóch kolejnych, gestem pokazując, że mają przygotować powrót całego komanda.

Następnie wyjął z kieszeni kamizelki hak i za pomocy młotka wbił go w szczelinę skały. Jeden z nurków miał przytwierdzoną na plecach szpulę z nawiniętą na niej linką zakończoną karabińczykiem. Czarnomor przytwierdził karabińczyk do haka. Pokazał nurkowi, żeby wracał na powierzchnię. W ten sposób grupa będzie miała asekurację. Samson z uznaniem przyglądał się tym czynnościom, do złudzenia przypominających działania jego formacji akcji bezpośredniej. Czarnomor zaczepił karabińczyk od własnej linki do tego samego haka i wraz ze swoim partnerem wpłynął do dziury.

Samson i Dymitr zostali z innymi nurkami przy wejściu, oddychając spokojnie, żeby oszczędzać powietrze i obserwując, jak obaj mężczyźni zapuszczają się coraz głębiej, wbijając w skałę haki i przyczepiając do nich linkę rozwijaną przez nurka, który właśnie się wynurzył. Butle miały pojemność dwustu barów. Do tej chwili zużyli pięćdziesiąt. Zgodnie z zasadami nurkowania w jaskiniach, Czarnomor i jego towarzyszy powinni zawrócić, gdy zużyją mniej więcej jedną trzecią zapasu, czyli około siedemdziesięciu barów. Czas płynął. Samson coraz częściej popatrywał na zegarek i głębokościomierz. Z tymi Rosjanami nigdy nic nie wiadomo! Są zdolni do różnych szaleństw. Dymitr czekał nieporuszony.

W głębi otworu zamigotało światło. Pojawił się Czarnomor ze swoim partnerem. Czarnomor podpłynął do Samsona i przed jego nosem uderzył w dłonie, jakby bił brawo. Dobrze wieści! Czarnomor znowu przeliczył ludzi i dał sygnał do odwrotu. Tym razem popłynął jako ostatni. Butle wyposażone w liczne reduktory ciśnienia pozwalały na

dekompresję na sześciu i na trzech metrach głębokości. W końcu wszyscy znaleźli się na brzegu, w euforii oddychając świeżym powietrzem. Czarnomor złożył meldunek. Galeria wspina się na jakieś dwieście metrów, tworząc syfon. Dochodzi do malutkiej, okrągłej jaskini o średnicy około dwudziestu metrów i mniej więcej piętnastu metrach kwadratowych suchego ładu; większa część jaskini to zbiornik wodny, który na zasadzie naczyń połączonych musi się znajdować na tym samym poziomie co jezioro. W górę prowadzi pionowa studnia.

— Zdjąłem na chwilę maskę — rzekł Czarnomor. — Strasznie tam cuchnie, towarzyszu majorze. Jak w kiblu bandytów.

— Ależ tam właśnie byliście, Czarnomorze — uprzejmie odpowiedział Gołubiński.

Obsługa obozu przynosiła szczękającym zębami nurkom kubki z herbatą, a ci pili łąpczywie, parząc sobie języki. Samson trząśł się jak osika, ale był szczęśliwy. Jego pomysł, tak nieprawdopodobny i zarazem tak prosty, okazał się strzałem w dziesiątkę. Cuchnąca studnia musiała być studnią G, która dawała dostęp do Wielkiej Sali, czyli do serca wroga.

Kiedy Samson przestał się trząść, Dymitr odciągnął go na bok.

— Co dalej? — spytał Dymitr.

— Dziś odpoczynek i ostatnie przygotowania sprzętu. Jutro przenosimy wszystko do Małej Sali, którą urządzimy jak należy. W nocy — atakujemy.

— Nadal chce pan tam iść, Samsonie? Podejrzewam, że teraz bardziej niż kiedykolwiek?

— Jak pan odgadł, Dymitrze?

Uścisnęli sobie dłonie.

10

Przygotowano „bagażę”. Po kolei napełniano butle i każdy osobiście sprawdzał poziom ciśnienia, zanim zamontował reduktor. Potem sprawdzono wyporność wodoszczelnych worków (nie można było dopuścić, żeby przemokły albo wypłynęły na powierzchnię), dopompowując i spuszczać powietrze z dołączonych do nich wałków pławnych. Gromadzono żywność, napoje, koce, ubrania, sprzęt do wspinaczki (haki, liny, młotki, karabińczyki, kliny, bloczki), sprzęt elektroniczny, wzmacniacze światła, reflektory na podczerwień, telefony, kamery i przewijarki do filmów, makarowy i kałasznikowy z tłumikami, granaty i miotacze granatów. Na wypadek zasadzki w okolicach galerii lub wewnątrz syfonu, mieli specjalne kałasznikowy, które pozwalają strzelać pod wodą, z pociskami w kształcie strzały, żeby woda nie dostała się do lufy i nie rozsadziła jej.

Po długiej nocy, podczas której każdy starał się zebrać jak najwięcej sił, i po śniadaniu składającym się głównie z czarnego chleba i kiełbasy (Samson, któremu takie menu bardzo odpowiadało, pomyślał o cienkich jak welon tostach Adeliny), wszyscy pobrali sprzęt i w bladym świetle poranka komando stanęło szeregiem na brzegu jeziora, które o tej porze wydawało się zupełnie czarne.

Czarnomor przebiegł wzrokiem swoich ludzi, rzucił pytające spojrzenie Gołubińskiemu, po czym szeroko machnął ramieniem i rzucił:

— A więc, z Bożą pomocą!

— Pozdrówcie ode mnie potwora z Loch Ness! — krzyknął Sasza.
— I pobaraszkuje z panem Charonem.

Nurkowie dźwigali dodatkowe butle z rezerwą powietrza, więc z jakimś trudem zanurzali się w wodnej toni. W końcu zniknęli jeden po drugim, cicho jak cienie zmarłych odchodzące w zaświaty. Trzymali się linki asekuracyjnej, a każdy ciągnął za sobą nieprzemakalny worek, przyczepiony do tej samej linki za pomocą karabińczyka. Zejście pod wodę odbyło się szybko i bezproblemowo. Komando, jak po sznurku, dopłynęło do wejścia do jaskini, gdzie do haków przyczepiono zapasowe butle.

Dotarli do galerii, która była szeroka i wypełniona przejrzystą wodą, przewiercaną światłem latarek, w którym pryzmatycznie opalizowała roślinność porastająca skalne ściany i kamienie. Nieznane Samsonowi ryby pierzchały na wszystkie strony. Teraz trzeba było dotrzeć na górę galerii. Wydawało się to łatwe. Komando wynurzyło się w Małej Sali, a gdy dotarli do suchego lądu i zdjęli maski, potrzebowali dłuższej chwili, żeby przyzwyczaić się do mdlącego zapachu. Ze szczytu studni G wpadała do jeziora kaskada i łatwo było się domyślić, co z sobą niosła. Miała jednak tę zaletę, że zagłuszała wszelkie inne hałasy.

Trzech nurków odpakowało broń i ustawiło się na posterunku twarzą do studni, na wypadek niespodziewanej wizyty bandytów. Kolejny zapalił acetylenową lampę i zaczął przygotowywać posiłek. Jeszcze inni odpakowywali pościel i podłączali telefony do linii, którą jeden z nurków rozciągnął między brzegiem a Małą Salą. Wreszcie, dwóch członków komanda zabrało się za uzbrajanie studni. Zgodnie z mapą, odległość między poziomem Małej Sali, znajdującej się na wysokości jeziora, a Wielką Salą wynosiła około sześćdziesięciu metrów.

Zwiadowcy wiercili dziury w ścianach studni, wbijali kołki i za pomocą elektrycznego śrubokręta wkreślali w nie śruby zaopatrzone w metalową płytkę z otworami na karabińczyki. Dziury nawiercane były

w dwóch kolumnach, w odległości około trzydziestu centymetrów od siebie. Po każdej stronie przyczepili sznurową drabinkę i przesuwając ją, posuwali się metr za metrem. Jeden pracował, drugi go zabezpieczał i co piętnaście minut zamieniali się rolami. Ta wspinaczka filmowana była przez trzeciego nurka, który szedł za nimi tak, jak to w miarę możliwości miało się odbywać w dalszej części operacji. Gołubiński zadzwonił do generała.

— Dotarliśmy do wylotu.

— Atak przewidziany na...?

— Drugą czterdzieści pięć. O tej porze zaczniesz ich bardziej ciśnąć?

— Spokojna głowa. To już pięć dni, jak bandyci nie śpią i teraz też nie damy im się zdrzemnąć. A! Mam wiadomość dla twojego Francuza. Słuchaj uważnie.

Dymitr odwrócił się do Samsona.

— Generał przekazuje rozkaz od pańskiego przyjaciela Daniela. Firma OILOC żąda, żeby się pan natychmiast zameldował w bazie. Jeśli nie, to zwolnią pana.

— O, to urocze, że aż tak się o mnie troszczą!

— Boją się kłopotów z firmą ubezpieczeniową, jeśli coś się panu przytrafi.

— Biedna Francja!

Rozwinąwszy drabinki, które miały służyć grupie do wspinaczki, ostatni z pary zwiadowców zszedł na dół i złożył meldunek Czarnomorowi.

— Trzeba się wspiąć pionowo na jakieś czterdzieści metrów, potem jest mniej więcej dwudziestometrowa półka, a potem znowu bardzo ostra pochyłość, ale mimo spadającej wody, można się wspinać bez drabinki, tylko przy użyciu haków zabezpieczających. Pięć metrów wyżej widać prześwit.

— Słysząc coś?

— Tylko szum wody.

— Jaka jest pochyłość między ostatnim hakiem a prześwitem?

— Czterdzieści stopni. Można się wspiąć, tyle że jest mokro i ślisko. Ale jest się czego chwycić.

Czarnomor dowodził częścią operacji polegającą na spenetrowaniu jaskini. Generał Grabko udzielił Gołubińskiemu nieoficjalnej zgody na dowodzenie grupą podczas ataku.

— Wyślij dwóch ludzi na rekonesans — powiedział Dymitr do Czarnomora. — Niech się nie pokazują. Jeśli ktoś ich zobaczy, mają strzelać i zabić.

Po kilku minutach wysłani na rozpoznanie wrócili na dół. Studnia faktycznie miała swój wylot w Wielkiej Sali, która była jasno oświetlona; z sufitu zwieszały się białe, stalaktyty, a z podłogi na ich spotkanie podążyły brązowe, gdzieniegdzie tęczowe stalagmity. Zwiadowcy odważyli się wystawić tylko czubek nosa. Zobaczyli stoły i ławy oraz fragmenty murowanych galerii, które odpowiadały tym na planie. Wydawało im się też, że przy wejściu do galerii W dostrzegli cienie dwóch ludzi, ale nie byli pewni.

Samson i Gołubiński spojrzeli po sobie.

— Ruszamy zgodnie z planem — zdecydował Gołubiński.

Zjedli posiłek, po czym rozłożyli się gdzie kto mógł, żeby możliwie wygodnie spędzić najbliższych kilka godzin. W pewnej chwili Samson poczuł, że chce mu się śmiać.

„Co ja, Gaston Sangdeboeuf, robię tutaj, między Ruskimi, którzy dbają o mój wypoczynek w tym czeczeńskim kiblu? Ach, żeby tak Adelina mogła mnie teraz zobaczyć! Na pewno nie byłaby bardzo zaskoczona”.

Druga trzydzieści.

Wartownicy budzą śpiących.

Wszyscy chwytają za broń i półkolem otaczają Gołubińskiego.

— Dzieci — zaczyna, przywołując starą i serdeczną formułkę używaną w rosyjskiej armii — pamiętajcie, że my, specnaz, jesteśmy najlepsi z najlepszych. Dziś mamy okazję udowodnić to całemu światu. Jeśli uwolnimy zakładników, gwarantuję, że będą o nas mówili od Pekinu po San Francisco. Jest nas mniej więcej jeden przeciwko pięciu, ale po naszej stronie jest element zaskoczenia. Goście, z którymi będziecie walczyć, to bandyci. Jeden wart drugiego. Będziemy działali szybko, nie biorąc jeńców. Jedyni, których nie zabijemy, to czwórka zakładników i pewien czarnodupiec, który wyłazł z kryjówki, krzyknie moje nazwisko: Gołubiński. Jaskinia wygląda tak jak na planie. Jesteście specnazem. Naprzód.

Kilku mężczyzn przeżegnało się szybko i komando rusza na spotkanie przeznaczenia.

Wspinają się po sznurowych drabinkach, idą na czworakach, czepiają haków, czołgają. Potężna kaskada spada im na głowy. Dwaj zwiadowcy docierają do wejścia do Wielkiej Sali, wychylają głowy, potem ramiona i po lewej stronie, w ostrym świetle, od którego bolą oczy, widzą dwóch brodaczy z ładownicami na piersiach. Broń Rosjan zaopatrzona jest w tłumiki — wyciąga się rękę i — „pach, pach”. Obaj brodacze leżą na ziemi — jeden na plecach, drugi niezdarnie, na boku, rżąc cicho.

Komando zajmuje Wielką Salę, ludzie ustawiają się twarzą do wszystkich wejść: galerii zwanej Trójką, która prowadzi do Przedpokoju, a stąd do stanowisk ogniowych i wejścia do jaskini; galerii B, która wiedzie do Sypialni; galerii W, którą dochodzi się do punktu dowodzenia. Kolejne posunięcia zostały przećwiczone ze sto razy na polance, gdzie na ziemi odtworzony został plan Wielkiej Sali.

Gołubiński i Samson zapuszczają się w głąb galerii W. Gołubiński przechodzi nad trupem brodacza. Samson obchodzi go dookoła.

Znajdują się teraz w murowanym korytarzu, który pomalowano na zielono — w kolorze islamu. Mijają stanowisko wartowników — dwa łóżka, telefon, radioodbiornik, trochę naczyń we wnęce.

Nieco dalej, w korytarzu po prawej, spostrzegają drzwi zasłonięte kotarą, którą Dymitr odsuwa, osłaniany przez Samsona. W środku — łóżko polowe, dywanik modlitewny, skrzynki z amunicją. To zapewne kryjówka Alego Mansura, który teraz znajduje się na którymś ze stanowisk ogniowych.

Dziesięć kroków dalej, znowu po prawej, otwór prowadzący do dużej sali, pełnej map, komputerów, klawiatur, odbiorników radiowych. Przed jednym z ekranów, bokiem do wejścia, siedzi długobrody facet. Samson unosi broń, ale Gołubiński jest szybszy — czaszka mężczyzny pęka. Samson czuje zazdrość — z powodu precyzji strzału, nie ze względu na sam fakt jego oddania. Nigdy nie lubił zabijać.

Idą dalej.

Zielony korytarz staje się coraz węższy, ale wciąż jest jasno oświetlony. Znowu po prawej wejście zasłonięte kratą. Jakaś kobieta, Europejka, wstaje gwałtownie, jakby nagle obudzono ją ze snu. „Matylda — myśli Samson. — To znaczy, Virginie”. Nie zdążyła ich zobaczyć — przechodzą niczym dwa cienie. Kolejna krata, a za nią pusta cela. Trzecia, za którą znajdują się dwa łóżka. Na pierwszym leży ktoś zawinięty

w koc; wygląda jakby spał. Na drugim klęczy młody człowiek z naiwnie złożonymi rękami i zamkniętymi oczami, modląc się tak, jak kiedyś modliły się małe dzieci.

Dalej, po lewej, zaczynają się schody na górę. Na pewno prowadzą do wyjścia awaryjnego, które teraz, po bombardowaniach, już nie nadaje się do użytku, więc nie jest pilnowane.

W głębi korytarza znajdują się jakieś drzwi.

Wyglądają jak zwykłe drzwi do mieszkania i zupełnie nie pasują do wnętrza jaskini przekształconej w funkcjonalny punkt dowodzenia.

Samson i Dymitr przystają na chwilę z pistoletami w dłoniach i palcami na spustach.

— Myślisz to samo, co ja? — pyta cicho Samson.

— Wcale bym się nie zdziwił, gdybyś miał rację — odpowiada Dymitr, wciąż pilnujący nienaganej francuszczyzny.

Zamiast otworzyć drzwi kopniakiem, jak przewiduje instrukcja, Dymitr ostrożnie naciska klamkę lewą ręką i obaj wchodzi do środka.

Znajdują się na loggii, która zawieszona jest ponad obszerną salą. To zarazem pałac z *Tysiąca i jednej nocy*, z dywanami, poduszkami, niskimi stolikami, nargilami, miedzianymi tacami, oraz pokój operacyjny, z komputerami, skanerami, ekranami telewizyjnymi, radioodbiornikami i Inmarsatem.

Jedną ze ścian zajmuje ogromny ekran. Samson z osłupieniem dostrzega na nim swoją własną, pomarszczoną jak śliwka twarz, z miną nieco diaboliczną i szpakowatymi włosami nastroszonymi niczym diabelskie rogi. Trzymając pierożek nadziany na widelec, Samson na ekranie pochyla się ku siedzącej obok ciemnowłosej, chudej kobiecie z cygarniczką w ustach i pyta ją uprzejmie: „Ale czym tak naprawdę jest ta <myśl rosyjska>„?

Pod ekranem, plecami do nich siedzi przed klawiaturą jakiś mężczyzna. Ma na sobie jedwabny, amarantowy, haftowany złotem szlafrok i pali papierosa. Mówi niedbale po angielsku:

— Sądźcie, że teraz dla odmiany pozwolą nam pospać?

Odwraca głowę, żeby zobaczyć, kto wszedł.

Z wysokości loggii Samson rzuca:

— *And how are you today, mister Chastow?* [Jak się pan dziś miewa, panie Chastow?]

ROZDZIAŁ VII

CZARNA DZIURA

Czerwiec 2002

1

Stary kapitan rezerwy Protopopow (stary, jak na kapitana) miał w życiu jedno powołanie lub, jak kto woli, jeden nałóg: służbę.

Z entuzjazmem służyłby carowi, wiernie służył komunizmowi, chętnie by nawet służył jelicynowskim demokratom, tyle że demokraci nie przepadają za pojęciem służby — nie lubią służyć ani nie lubią, żeby im służono (służenie samemu sobie to już całkiem inna bajka). Dla Protopopowa utworzenie grupy zwanej Bojarami było zatem jak manna z nieba — odpowiadając za bezpieczeństwo pałacu Myszkiców, miał do czynienia z przełożonymi, którzy wiedzą, czego chcą, oraz z personelem, który umie słuchać poleceń. Ze swoją drużyną umiejętnionych drabów, przed którymi pałka nie miała żadnych tajemnic i którzy ćwiczyli strzelanie dwa razy w tygodniu, Protopopow, niezbyt wysoki, ale barczysty, czuł, że wypełnia misję, dla której się narodził — słowem, trudno o większe szczęście.

Należy dodać, że Protopopow tak bardzo lubił swoich Bojarów i służbę dla nich, że nie mógł znieść myśli o jakimkolwiek zastępcy, któremu marzyłoby się, żeby go wysiudać ze stanowiska. Zatem pod rozmaitymi pretekstami pozbywał się regularnie tych, których mu narzucano. Skutek? Nie był w stanie podołać pracy, a ta nie zawsze była wykonywana do końca jak należy. I tak, na przykład, Protopopow zmuszał się do tego, żeby nocować na miejscu, w pałacowej stróżówce, wśród petów i zatłuszczonych papierzysek, ale systematycznie zapomniał o obchodach, nie zawsze sprawdzał zegar, na którym odbijali swoje

karty pracy jego podwładni i coraz częściej, strzegąc bezpieczeństwa swoich mocodawców, opierał się wyłącznie na kamerach z czujnikami i innych gadżetach.

Nocą z niedzieli na poniedziałek, o trzeciej dwadzieścia jeden, wyrwał go ze snu dzwonek telefonu. Obudził się w mgnieniu oka, gotowy do podjęcia działania.

— Co jest? Co się dzieje?

Głos w słuchawce (głos prawdziwie generalski) ryknął tak głośno, że Protopopowowi zadrżała błona bębenkowa.

— Z kim rozmawiam? Może byś się tak przedstawił, durniu!

— Kapitan Protopopow, dyrektor ochrony pałacu Myszkinów — odparł Protopopow, jękając się lekko, tak że jego nazwisko zabrzmiało jak Protopopow.

Nie miał cienia wątpliwości, jeśli chodzi o stopień rozmówcy; świętokradztwo podawania się za generała, gdy się nim nie jest, przekraczało możliwości jego wyobraźni, a rozmowa z generałem była dla niego niczym konwersacja z samym Bogiem Ojcem. Cóż, dla każdego, kto wierzy w hierarchię, jest niejako oczywiste, że wszelkie hierarchie pochodzą od tej jedynej — Boskiej.

— Dobra, kapitanie Jakiśtam, możesz od razu oddać swoje epolety temu idiotcie, który cię nimi obdarował. Twój system ochrony został złamany, skradziono ci taśmy magnetyczne serwera, a ja osobiście wbiję cię na pal. Natychmiast sprawdź, co się dzieje! I oddzwoń do generała Grubki pod ten numer telefonu...

Protopopow odłożył słuchawkę, ryknął i na czele sześciu uzbrojonych ludzi pomknął do piwnicy, którą oświetlił rzęsiście, przesuwając jedną z wajch na tablicy rozdzielczej. Szczerze mówiąc, jego panika wynikała wyłącznie ze stopnia rozmówcy — Protopopow uważał, że nikt nie może się dostać do pałacu, zatem z pewnością nikt się do niego nie dostał.

Ale był spostrzegawczy. Choć pudełeczko przyklejone nad drzwiami do piwnicy było małe i czarne, rozpoznał je natychmiast — radar...

W tym momencie stary wiarus odzyskał spokój. Porozstawiał swoich ludzi zgodnie ze wskazówkami podręcznika, wyznaczył, kto kogo będzie krył, jak mają się poruszać skokami, kto będzie otwierał drzwi. Wskazał zwiadowcę, a sam ruszył za nim.

Ostrożnie zeszli po schodach i przemykając się od jednej wnęki do drugiej, przemieścili się korytarzem w stronę „skarbcy”.

„Skarbiec” był zamknięty.

Zachowując wszystkie środki ostrożności, Protopopow otworzył drzwi pancerne.

W środku nie było nikogo.

Sprawdził stan pudełek na regale. Nie brakowało ani jednego dnia tygodnia.

Staremu kapitanowi zaczęła wracać nadzieja. Najgorsze jeszcze nie nadeszło. Cała afera była zwykłym nieporozumieniem. Co za ulga! A jednak, mały, czarny radar nie przykleił się sam nad drzwiami do piwnicy.

Mydełka wciśnięte pod regał umknęły czujności Protopopowa, który zamknął za sobą drzwi pancerne.

Ze swoimi ludźmi obszedł po kolei wszystkie puste i oświetlone pomieszczenia — biuro administratora sieci, salę informatyczną, salę gimnastyczną, strzelnicę...

Nigdzie żywej duszy.

Tkwący w Protopopowie naiwny optymista mówił: „Wszystko jest w porządku, to tylko pomyłka, nie ma żadnej katastrofy”. Ale był w nim także zawodowiec, który wiedział, gdzie ukryli się intruzi, bo przecież nie mogli być nigdzie indziej — schowali się za jedynymi drzwiami, których jeszcze nie otworzył, w schowku na miotły, tuż obok „skarbcy”.

Ustawił ludzi w najbardziej dogodny sposób, z boku drzwi, na wypadek, gdyby tamci postanowili strzelać przez drewno. Dwóm kazał położyć się na ziemi i przygotować do strzału, z lufą kałasznikowa wymierzona w skrzydło drzwi. Sam przykleił się plecami do ściany, kilka

centymetrów od futryny, w przestrzeni będącej martwym polem.

W końcu, nieco niepewnie (bo przecież trudno mówić zdecydowanym głosem do kogoś, kogo się nie widzi i kogo, być może, nawet wcale tam nie ma, a co więcej, ma się nadzieję, że go tam nie ma, bo jeśli jest, to jest to ktoś niebezpieczny, kto naraził nas na dyshonor, a teraz trzeba go schwytać z narażeniem życia) powiedział:

— *A nu, wychodź!* (No, dobra! Wyłaź!).

*

Husajn i Salem nie mieli najmniejszego zamiaru wyjść.

Żeby nie stać się łatwym celem, Salem klęczał w kącie, ukryty za miotłami, wiadrami i całą baterią detergentów. Jego wzrok i pistolet były wymierzone w drzwi obramowane światłem. Zastanawiał się, jakie ma szanse wyjść z tego cało. Marne. Został wszczęty alarm. Przeciwnik miał miażdżącą przewagę w liczbie i uzbrojeniu. Nic to, zobaczymy. Tak czy owak, Salem zakończy godnie życie, mając za sobą udane sforsowanie zamka do „skarbcy”.

Husajn przykucnął w odwiecznej pozie muzułmanów, wiedząc, że jego poświęcenie wreszcie się ziści, bo nadeszła chwila, dla której przeżył swoje życie. Po raz ostatni recytował modlitwę, przesuwał między palcami pestki daktyla nanizane na modlitewny sznur.

— Miłosierny, Współczujący, Król wszechrzeczy, Dawca łask wszelkich, Dobrotliwy, Litościwy, Wspaniałomyślny...

Te obramowane światłem drzwi były ostatnią przeszkodą dzielącą go od raju i patrzył na nią z miłością, bo wiedział, że za chwilę zniknie.

— No! Wyłazić! Na czworakach! — zakrzyknął głos z drugiej strony.

Tak, zaraz stąd wyjdzie. Wyjdzie z tej śmierdzącej wilgotną ścierką kanciapy. Wyjdzie w chwale i prosto w górę. Na wieczność. Nigdy nie wyjdzie stąd, czołgając się, jak mu rozkazuje niewierny. On słucha tylko rozkazów Boga. Wyjdzie, wzlatując ku niebu! Nie bez powodu zaopatrzył się w mydelka. Czyż materiał wybuchowy nie jest właśnie mydłem oczyszczającym stworzenie?

— Ten, który daje wiele w zamian za niewiele, Karmiciel, Dawca życia, Dawca śmierci, Pierwszy, Ostatni, Widoczny, Ukryty, Pobłażliwy...

Kiedy recytował te słowa, przed oczami przesuwają mu się chaotyczne obrazy: czuła i śniada twarz matki, rozgwieżdżone niebo nad pustynią, gdzie gwiazdy są tak blisko, że można je niemal chwycić ręką, gazela uciekając przed dżipem pełnym białych i różowych mężczyzn, strzelających do niej z karabinu maszynowego, daktylowce skłaniające się ku wodzie, żeby w niej oglądać odbicie swych obfitych owoców, gęste, siwe brwi świętego imama, który podarował mu sznur modlitewny, a nad tym wszystkim księżyc, księżyc, który zawsze go inspirował, który był embrionem, okruszkiem, zakrzywionym ostrzem handżara, pokrytym meszkiem policzkiem, soczystym owocem lub brzemieniem łożem, z którego w kolejnym miesiącu narodzić się ma spoczywający w nim embrion. Ach, kochał wszystkie te księżycy, sypiące swoje światło na morze, pływające po piasku, polerujące łyse góry, rzucające ukradkowe spojrzenia poprzez zasłony...

— Współczujący, Król, Pan wszelkiej chwały, Obrońca...

Przepełniony wdzięcznością Husajn powoli kończył modlitwę. Jeszcze kilka sekund i zobaczy swojego Boga.

Dotarł do dziewięćdziesiątego siódmego paciorka i niecierpliwie wstał.

— *Ar-Raszid*, Nieomylny, *As-Sabur*, Cierpliwy...

Sznur modlitewny nie miał już więcej paciorków.

Husajn spojrział na drzwi — ten czarny, cienki i kruchy prostokąt, ze śmieszoną ramką światła i śmiesznym, bezsilnym diabłem wrzeszczącym tuż za nim. Doprawdy, jest się z czego pośmiać.

Setne imię Boga nie może zostać wypowiedziane ludzkimi ustami. Ale przecież trzeba było jakoś pokazać tym niewiernym z drugiej strony drzwi, z kim mają do czynienia. Zatem ze wszystkich sił, jakie miał w piersi, Szahid krzyknął:

— *Allahu akbar!* (Bóg jest wielki!).

I nacisnął włącznik, który wysadził w powietrze jego, Salema, kącik na miotły, Protopopowa, sześciu ludzi Protopopowa i cały semteks poutykany w „skarbcu”.

Piwnica pałacu Myszkiców uniosła się w górę, jak wieloryb, który chce wyskoczyć z wody i nie mogąc zawisnąć w powietrzu, spada w to samo miejsce pośród huku i chaosu.

Kiedy na miejsce przybyła straż pożarna, znalazła już tylko zgliszcza, porozrywane ciała, a na metalowym biurku z odkształconymi szufladami — gładką, oderwaną od tułowia głowę muzułmańskiego męczennika, w której otwarte oczy lśniły niczym lustra, i której rysy rozświetlał słynny *bassamat al-farah*.

2

W pierwszym odruchu Robin chce sięgnąć po broń, ale nie ma jej pod ręką. W jaskini człowiek czuje się bezpieczny, jak w brzuchu matki. Głównym uczuciem Robina jest zaskoczenie. W drugim odruchu zastanawia się, czy ma jakąkolwiek szansę na zniszczenie otaczających go dowodów i stwierdza, że takowa nie istnieje. Tak czy owak, wyświetlony na gigantycznym ekranie obraz pokazuje niezbitcie, że Robin dysponuje nagraniami z siedziby Bojarów. Potem (wszystko to dzieje się w ułamkach sekund) zastanawia się, jak ci dwaj ludzie w rosyjskich mundurach polowych — Francuz, którego poznał w bazie Orphans Galore i ten drugi, którego nie zna, mogli się tu dostać. Może jednak przybywają jako przyjaciele (wciąż ten sam syndrom jaskini). Wstaje więc z gracją i odpowiada po francusku:

— Doskonale, panie Sangdeboeuf. A pan?

Ale dwaj goście nie opuszczają swoich makarowów z tłumikiem (zły znak), a nieznajomy mówi bez ogródek, poprawnym angielskim z cieniem rosyjskiego akcentu:

— Proszę usiąść na kanapie po lewej.

Ironicznie wzruszając ramionami, Robin siada na kanapie. Nieuprzejmie byłoby dyskutować. Ze swego miejsca rzuca okiem na ekran, na którym, po lewej stronie kobiety, siedzącej na lewo od Sangdeboeufa, rozpoznaje drugiego gościa, zasiadającego u szczytu stołu.

— Ty draniu — mówi przyjaźnie Sangdeboeuf do Rosjanina.
— Sfilmowałeś naszą kolację! Powinienem być się domyślić.

— Skrzywienie zawodowe, mój drogi. Na pewno mnie rozumiesz — odpowiada tamten.

Goście zdają się zupełnie nie przejmować tym, co się może dziać za ich plecami (to też zły znak). Ale przecież Rosjanie nie zaatakowali — nie sposób byłoby tego nie zauważyć. To znaczy, że podeszli od tyłu. Ale jak to możliwe?

Sangdeboeuf pozostaje na loggii, skąd panuje nad sytuacją. Rosjanin, przesadnie wymuskany, jakby dopiero co skończył się golić, czesać i prasować mundur, sadowi się przed klawiaturą i przegląda kilka wybranych na chybił-trafił plików. Po dziesięciu minutach już wie, jakim skarbem dysponuje Chastow — pamięcią zewnętrzną serwera Bojarów.

Wstaje.

— Zawiadomię generała.

Sangdeboeuf schodzi z loggii, bierze krzesło, ustawia je przodem do Robina i siada z makarowem w dłoni.

Robin uznaje, że to dobry moment do rozpoczęcia rozmowy.

— Nie wyobraża pan sobie, jak się cieszę, że pana widzę, drogi Sangdeboeuf. Ci islamscy idealisci są doprawdy nużący. Jaka pogoda na zewnątrz?

— Pogawędzimy sobie we trójkę, kiedy wróci mój przyjaciel — odpowiada Sangdeboeuf zimno, ze spojrzeniem wbitym w amarantowy, haftowany złotem szlafrok.

Siedzą w milczeniu dobry kwadrans.

Wymuskany Rosjanin pojawia się na loggii. Wygląda jeszcze mniej pociągająco niż przed chwilą. Schodzi po schodach, kryty przez swego współnika, podchodzi do Robina. Jego zachowanie jest tak agresywne, że Robin zastanawia się, czy Rosjanin go nie uderzy i jak się wtedy powinien zachować: czy ma dowieść, że potrafi zabić człowieka gołymi rękami? Poddać się bez walki? A może chociaż wstać, żeby nie być całkiem na łasce i niełasce tamtego? Nie mogąc się zdecydować, zdaje się na instynkt. Rosjanin zaś mówi po prostu:

— Proszę wstać. Muszę pana przeszukać.

Robin wstaje i unosi ramiona.

Rewizja jest szybka, profesjonalna i tak uprzejma, jak to tylko możliwe. Rewidujący pachnie doskonałą wodą kolońską z bergamotką. Następuje kurtuazyjny gest ręką:

— Pan przodem.

Robin wchodzi po schodach, mija loggię, zapuszcza się w korytarz, mija schody po prawej stronie, prowadzące do wyjścia awaryjnego (wie, że jest zasypane) i celę, w której zamknięto Francuza i Belga (już ich tam nie ma). Podchodzi do kolejnej celi.

— Stop.

Robin staje. Rosjanin wyciąga z kieszeni pęk kluczy. Robin poznaje je — należały do strażnika, który miał breloczek w kształcie butelki coca-coli. Strażnik musi się już zabawiać z siedemdziesięcioma dziewczynkami w raju Allaha. Rosjanin otwiera kratę.

— Pan pozwoli.

Robin wchodzi do celi. Krata zamyka się za nim z dźwiękiem dobrze naoliwionych zamków. Robin odwraca się — goście zniknęli. Zmusza się, żeby oddychać spokojnie i nie wykonywać gwałtownych ruchów. Siada na łóżku — zwykłej desce przymocowanej do ściany. Materaca brak.

W pierwszej chwili Robin rozgląda się za czymś, co mogłoby posłużyć za narzędzie samobójstwa. Na nogach ma kapcie bez sznurowadeł. Jego szlafrok nie ma paska. Zegarek jest zbyt wielki, żeby go połknąć. Wygląda na to, że Rosjanie już opanowali jaskinię. Czyżby przy pomocy tego Francuza, który najwyraźniej należy do francuskiego wywiadu? Pożyjemy, zobaczymy.

Robin myśli o tysiącu rzeczy naraz, nie skupiając się na żadnej z nich. Punkt pierwszy: niezależnie od wszystkiego, operacja „Śmiertelna rana” częściowo się udała, bo pamięć serwera Bojarów została skopionana w wielu egzemplarzach i teraz znajduje się w posiadaniu Klubu.

Punkt drugi: jego, Robina, przyszłość jest mocno niepewna, a jeśli ci ludzie nie uwierzą, że nie ma wiele do ukrycia, może przeżyć wiele nieprzyjemnych chwil. Punkt trzeci: w dniu, w którym przystąpił do Klubu, zaakceptował to, że może go czekać zarówno wszystko, co najlepsze, jak i wszystko, co najgorsze, więc nie powinien się teraz dziwić, że akurat wypada reszka, a nie orzeł. Punkt czwarty: byłoby jednak szkoda nie dotrzeć do pierwszego stopnia wtajemniczenia w Klubie, nie stać się jednym z Patriarchów i nie poznać ostatecznej tajemnicy organizacji. Punkt piąty: ile czasu upłynie, zanim Betty znajdzie sobie kogoś, kto go zastąpi w łóżku? Punkt szósty: Robin IV i Christobel mają zastępczego tatusia, więc nie jest tak najgorzej. Punkt siódmy: ciekawe, co by o nim teraz pomyślał Dziadek — w wojnie na śmierć i życie przeciwko Rosji Robin I wygrał bitwę, a Robin III pewnie odda życie, ale wróg i tak dostanie za swoje, bo kampania przeciwko Bojarom dokonała cudów w opinii publicznej, obudziła uśpioną rusofobię i przygotowała grunt pod wszelkie inne antyrosyjskie działania, jakie tylko chciałoby się podjąć.

3

W tym samym czasie wyczerpani bezsennym tygodniem mudżahe-dini zostali wyeliminowani jeden po drugim, nawet nie zdając sobie sprawy, co się dzieje. Do głowy im nie przyszło, że śmierć nadeszła od strony jeziora i wpłynęła do jaskini, żeby ich zabrać. Wartownicy z Przedpokoju błyskawicznie powędrowali do raju Allaha. Śpiący w Sy-pialni nigdy się nie obudzili. Obsada dwóch wyższych stanowisk ogniowych, w której połowa ludzi czuwała, przyklejając łzawiące ze zmęczenia oczy do moździerzy, a druga połowa odpoczywała, czekając na swoją zmianę, także została wzięta z zaskoczenia. Stanowiska ogniowe, pilnujące wejścia głównego, zostały wyczyszczone jedno po drugim, z dyskrecją gwarantowaną przez tłumiki. Opór stawiało tylko ostatnie stanowisko. Tu znajdował się Ali Mansur we własnej osobie, który zranił dwóch Rosjan w chwili, gdy wchodzili do ostatniej wnęki. Zaraz potem padł. Pięćdziesięciu wycieńczonych wahabitów nie dało rady jedenastu świeżym, wypoczętym, doskonale wyszkolonym i znakomicie uzbrojonym ludziom, strzelającym prosto w głowę.

Gołubiński koordynował akcję, nie biorąc w niej udziału osobiście. Samson był razem z nim. Parę razy miał okazję do strzału, ale się powstrzymał, uznając, że to nie należy do niego. Nie chodzi o to, że się odcinał. Przeciwnie, wiedział, że ludzie, którzy giną, giną z jego winy i czuł wielki, wzniosły smutek zwycięstwa. Zupełnie jakby dusze tych mężczyzn kręciły się wokół niego, szukając przejścia przez kominy

jaskini, którymi ulecą na spotkanie ze swoim Bogiem, gdy tymczasem wszędzie unosił się zapach już krzepnącej krwi. Ten zaduch i ta apoteoza napełniały Samsona głęboką melancholią. Nie był wielkim filozofem, właściwie żadnym filozofem, nawet w takim znaczeniu, jakie temu słowu przypisywała Adelina, ale nieobce mu były dylematy metafizyczne. Po co się żyje? Po co się umiera? Skoro tak bardzo Kocham życie, dlaczego wybrałem zawód, który polega na zadawaniu śmierci?...

Z jednej ze szczelin w skale Wielkiej Sali dobył się zduszony okrzyk:

— Nie strzelać! Nie strzelać! Gołubiński! Gołubiński!

Mały, kudłaty i brodaty człowieczek w podartym ubraniu wypętlzył ze szczeliny, macając rękami w powietrzu i mrużąc oczy, żeby je przyzwyczaić do światła. Gołubiński właśnie wydawał rozkazy swoim ludziom. Człowieczek podbiegł do niego, z ręką przyłożoną najpierw do czoła, a potem do serca — jak to zwykli czynić muzułmanie; po rosyjsku pocałował go w ramię; mało brakowało, a by przed nim ukląkł. Gołubiński szczerze się ucieszył, widząc go żywym.

— Duraczok, stary łobuzie! Znowu ci się upiekło! Masz chyba dziewięć żyć, jak kot, co? Ile czasu chowałeś się w tej dziurze?

— Trzy dni, towarzyszu majorze. (Zaśmiał się niemal histerycznie.) Trochę wam zeszło, zanim uwolniliście biednego Duraczoka!

— Nie było ci chyba aż tak źle w tej twojej mysiej norze, co łobuzie?

— Miałem z sobą kilka fig i trochę wody, ale muszę wam powiedzieć, towarzyszu majorze, że najbardziej się bałem, żeby mnie nie zdradziło chrapanie, kiedy zasypiałem! Ale daliście tak wspaniałe zajęcie, że nawet nie zauważyli, że się nie stawiam na odpawę.

— Tym lepiej. W końcu możesz pozbyć się tej tajgi, która ci wyrosła na twarzy!

Samson nie rozumiał ich ani w ząb, ale czuł, że słowa tak naprawdę wcale nie są ważne, ponieważ ci dwaj mężczyźni używali ich wyłącznie po to, żeby sobie powiedzieć, że się lubią i że są szczęśliwi, bo spotykają się cali i zdrowi.

— Mam dla ciebie robótkę — rzekł Gołubiński. — Sprawdzisz, czy bandyci są w komplecie, a jeśli który jeszcze się rusza, to...

Charakterystycznym gestem przeciągnął ręką po szyi.

— Z przyjemnością, towarzyszu majorze.

4

Wracają.

Rosjanin otwiera kratę.

— Pan pozwoli.

Idą do apartamentu Robina, którego zapraszają gestem, żeby usiadł na kanapie. Siada, z nogą założoną na nogę, w pozycji nonszalanckiej, niemal wyzywającej. Obaj kumple — *Frenchie* i Rusek, siadają twarzą do niego na krzesłach. *Frenchie* wyjmuje ze swojego pistoletu magazynek, odciąga zamek, wkłada do magazynka znajdujący się w komorze nabój, umieszcza magazynek na swoim miejscu i wkłada pistolet za pas. Robin rozumie, że ta zabawa w rozbrajanie się oznacza: „Na nic nie licz, chłopie. Jest nas dwóch i obaj znamy się na tej robocie”. Rusek także ma pistolet za paskiem. Czy zostawił nabój w komorze? Pewnie nie. Chyba, że przesadnie ufa zabezpieczeniu broni. Tak czy owak, nawet gdyby Robin był w stanie zapanować nad tą dwójką, to co by mu z tego przyszło?

Francuz wyciąga z kieszeni ołówek i na prawym kolanie opiera blok do notowania. Rosjanin stawia na stole magnetofon, wciska guzik nagrywania i krzyżuje ramiona na piersiach.

— Nieoficjalne przesłuchanie Robina Chastowa zarejestrowane dnia... 2002 roku, w Jaskini Szamilewskiej przez Dymitra Gołubińskiego i Gastona Sangdeboeufa.

Mister Chastow, pan pozwoli, że się przedstawię: Dymitr Gołubiński, biznesmen, były oficer specnazu i były oficer KGB. Zna pan już mojego przyjaciela Sangdeboeufa. Muszę uprzedzić, że mundury, które

mamy na sobie, mają charakter ściśle okolicznościowy. Nie jest pan więźniem armii rosyjskiej. Proszę zatem nie pokładać nadziei w międzynarodowych konwencjach rodem z Genewy czy tego typu miejsc. Ta jaskinia zostanie zniszczona. Pańskie ciało może zostać odnalezione lub nie. My nie podlegamy nikomu i przed nikim nie musimy się tłumaczyć. Nie chcę być niemiły, ale chcę, żeby pan zrozumiał, że jest pan całkowicie w naszych rękach. Tych oto czterech rękach, które pan tutaj widzi. Robin patrzy na te cztery ręce — dłonie *Frenchiego* są śniade, małe i inteligentne, o krótko obciętych paznokciach, dłonie Ruska są różowe, dłuższe, jakby węzowate i wypiełgnowane przez wprawna manikiurzystkę.

— Jest coś jeszcze — ciągnie Rusek. — Właśnie się dowiedziałem przez telefon, że pałac Myszkinów wyleciał w powietrze. Nagrania, które pan posiada, zdają się wskazywać, że to pan może być za to odpowiedzialny. Chcielibyśmy usłyszeć, co pan na to.

— Pałac Myszkinów! Wyleciał w powietrze?!

Robin jest jak ogłuszony.

W powietrze? Dlaczego? Jednocześnie widzi, że patrzącym na niego mężczyznom jego wykrzykniki wydają się zakrawać na kpiny. Dla nich on już nie jest człowiekiem, ale obiektem badań pod szkiełkiem mikroskopu. Nie ma sensu niczemu zaprzeczać — trzeba im udowodnić, że on z tą eksplozją nie ma nic wspólnego, i że jest mu ona nie na rękę!

— To pana dziwi? — pyta Gołubiński, niemal bez ironii.

Robin postanawia grać całkowitą szczerą. To nie jest sprzeczne z deontologią Klubu, a sądzi, że to jego jedyna szansa na przeżycie.

— To mnie dziwi i nie dziwi zarazem. Nie było tego w programie. Zaplanowaliśmy złożoną i delikatną operację w dziedzinie infiltracji informatycznej, z której byliśmy zadowoleni, a która miała zadać Rosji „Śmiertelną ranę” (to kryptonim naszej operacji), a tymczasem pograżyliśmy się w najbardziej banalnym terroryzmie. Patrząc z tego punktu

widzenia, jestem zdziwiony, a nawet rozczarowany. Z drugiej strony, mogłem przewidzieć, że narzędzie, którego użyłem, może mi wybuchnąć w rękach. Bo takie było jego powołanie.

Robin czuje, że jego inkwizytorzy mają ochotę wymienić spojrzenia, ale tego nie robią. Czuje też, że mówiąc tak otwarcie, podnosi wartość swoich akcji.

— Przypuszczam, że zginął podczas eksplozji? — dorzuca.

Ani Sangdeboeuf, ani Gołubiński nie zadają sobie trudu, żeby wypowiedzieć śmieszny tekst: „To my jesteśmy od zadawania pytań”. Gołubiński pyta po prostu:

— Kto to był?

— Ten sam — odpowiada Robin z satysfakcją, której nawet nie próbuje ukryć — który wysadził w powietrze kilku wojskowych nieboszczyków. Operacja „Zabójczy nieboszczycy” — na pewno pamiętacie. Kiedy dowiedziałem się o istnieniu takiego geniusza, pomyślałem: „Tego gościa mi trzeba!” — tak samo, jak renesansowi książęta, którzy czuli nieprzepartą chęć skorzystania z usług tego czy innego legendarnego kondotiera. (Śmieje się w duchu z patosu swojej wypowiedzi).

— Zatem szukał pan specja od materiałów wybuchowych?

— Ależ skąd. Szukałem człowieka z wyobraźnią, gotowego skorzystać z nowych narzędzi i nowoczesnych metod. Zapomniałem, że mam do czynienia z fanatykiem, a wyobraźnia fanatyków skupiona jest tylko i wyłącznie na jednym.

— To ten człowiek, którego media nazwały Męczennikiem? — pyta Sangdeboeuf.

— Tak, to ten. I to właśnie powinno mi dać do myślenia. Husajn nie rozumował jak my, choć studiował w Oksfordzie. Dla niego życie ludzkie zupełnie się nie liczyło — ani jego własne, ani innych.

— A dla pana pańskie życie się liczy — bardziej stwierdza niż pyta Gołubiński.

Robin uśmiecha się.

— Gdybym uważał, że moje życie jest nic nie warte, to ile warte byłoby w moich oczach wasze życie? A skoro pragnę szacunku dla mojego... Baronowie angielscy wymogli na Janie bez Ziemi szacunek dla ich praw obywatelskich. Kto na tym skorzystał? Lud.

Całe wykształcenie Robina, wychowanie, jakie odebrał jako dżentelmen z Południa, a także wykształcenie oficera CIA nauczyły go panować nad emocjami i z tej umiejętności korzysta w tych trudnych chwilach. Przy okazji, odkrywa z zadowoleniem, że nie odczuwa fizycznego strachu przed tą dwójką, która może mu, wedle swego uznania, wyrwać paznokcie, pozbawić go godności i życia. Czuje dumę i podniecenie na myśl, że tak dobrze rozgrywa z nimi tę z góry przegraną partię.

— A co z pałacem Myszkiców? — ryzykuje pytanie. — Jakie straty?

— Na razie trudno to oszacować — odpowiada Gołubiński. — Wszystko zdarzyło się chwilę temu. Kilka ofiar, rzecz jasna. Ale proszę się nie martwić — poza terrorystami, sami Rosjanie.

— Nieźle mnie zrobił ten Męczennik. Kazałem mu tylko pożyczyć taśmy magnetyczne waszego serwera, a on wysadził w powietrze waszą jaskinię! Krótko mówiąc, sądziłem, że nim manipuluję, a to on manipulował mną, prawda?

Odrobina pokory zawsze dobrze robi takiej scenie.

— Niekoniecznie. Możliwe, że założył ładunki tylko na wszelki wypadek, jako rodzaj zabezpieczenia. Nakrył go nasz patrol. Poczul, że jest w pułapce. I doprowadził do eksplozji, która miała nastąpić całkiem innego dnia, gdy skończy się jego wstrzemięźliwość. Oczywiście, pod warunkiem, że mówi pan prawdę. Jaki był pański plan?

— Nie do końca wiem, z kim rozmawiam, ale niech moje wątpliwości zagrają na waszą korzyść. Zakładam, że wiecie, na czym polega

nowoczesna wojna — to już nie jest wojna pozycyjna ani wojna manewrowa (nawet w powietrzu); to już nie jest wojna militarna, polityczna czy ekonomiczna lub — dokładniej — wojna energetyczna. Tak naprawdę jest to wojna informacyjna. Zgadza się pan?

— Proszę mówić dalej.

— Jeśli panuję nad informacją, panuję nad terenem.

— Jeśli pan wie, gdzie jestem, a ja nie wiem, gdzie pan jest...

— Nie mówię o informacji w sensie taktycznym. Mówię, że żyjemy w świecie, w którym czynnikiem decydującym jest tak zwana opinia publiczna, więc trzeba nią manipulować, a ten kto najlepiej nią manipuluje...

— Wygrywa wojnę.

— Otóż to. Sami widzicie, że nie ma w tym żadnej tajemnicy. Wiem, że to może wyglądać tak, jakbym panom robił wykład (Robin czuje, że powoli bierze sprawy we własne ręce), ale nie ma w tym także nic nowego, poza jednym.

Do pewnego momentu, czyli mniej więcej do końca osiemnastego wieku, nikomu nie przyszła do głowy dziwaczna myśl, żeby łączyć wojnę z moralnością. Walczono o korzyści materialne i wygrywał ten, który uważał się za silniejszego, pokonując tego, który uważał się za słabszego. Potem zaczęto się bić nie tylko o rzeczy, ale i o sprawy i stwierdzono, że ten, który zwycięża, jest zarazem tym, który się uważa za najbardziej moralnego. Ludzie dobrze się biją, kiedy sądzą, że walczą o Dobro. I nie chodzi tylko o to, że żołnierze lepiej wtedy strzelają, ale również o to, że bankierzy więcej wtedy inwestują. Nadażają panowie?

— Jako były komunista, nawet pana wyprzedzam.

— Zatem wyprzedzi mnie pan także, gdy powiem, że najważniejszym zadaniem jest przekonać opinię publiczną, że wasz wróg jest wcieleniem Zła. Dowodzenie, że wy jesteście wcielonym Dobrem, byłoby pewnie subtelniejsze, ale istnieje ryzyko, że ludzie mogliby mieć wątpliwości. Kiedy się ma monopol na informację, co w naszych

czasach staje się coraz łatwiejsze, wasz wróg może sobie nawet być aniołem (co zdarza się jednak dosyć rzadko), a wy i tak możecie z niego uczynić diabła. Ale chociaż tak zwanej opinii publicznej można wcisnąć niemal wszystko, nie jest źle mieć jako punkt wyjścia kilka rzeczywistych elementów z piekła rodem. Nam wydało się, że pod tym względem wasza Liga Bojarów to doskonały wybór. (Gest w stronę ekranu, który już zgasł, ale na którym jeszcze przed chwilą widniały postacie Samsona i Gołubińskiego biesiadujących w pałacu Myszkinów).

— Tyle, że my nie jesteśmy Bojarami i nie tworzymy żadnej ligi...

— Och, właśnie w tym punkcie jesteście (proszę mi wybaczyć) nieco naiwni. Gdybyście byli ligą o ściśle zdefiniowanych celach, Bojarami o określonym profilu, bylibyście dla nas znacznie mniej użyteczni. Natomiast tacy, jak jesteście, wyznający, jeśli dobrze zrozumiałem, ideologię mniej lub bardziej nacjonalistyczną, możecie być uznani za faszystów, komunistów, populistów, monarchistów czy co tam jeszcze. Można was podlać każdym sosem, a wy nie będziecie w stanie niczemu zaprzeczyć i jesteście na naszej łasce i niełasce. Dla nas, *mister* Gołubiński, jesteście „ukrytym błogosławieństwem” i wysadzanie was w powietrze nie stanowiło elementu naszej gry. Teraz, przynajmniej przez jakiś czas, będziecie mogli się kreować na ofiary — dziś trudno o coś, co daje większą popularność (choć jeszcze dwieście lat temu był to wyłącznie powód do pogardy). Uważam więc, że ten wybuch jest bardziej szkodliwy dla nas, niż dla was...

Robin miał wrażenie, że panuje nad sytuacją.

— Wciąż pan powtarza „my, my”... — przerywa mu Sangdeboeuf. — Kim są ci „my”? Nie mówi pan jak przeciętny Amerykanin — „My jesteśmy najsympatyczniejsi”, ani jak zwykły agent CIA — „My jesteśmy najbardziej niegodziwi”. Kiedy pan mówi „my”, panie Chastow, jest w tym coś subtelnego. Jakie rozróżnienie pan czyni między „my” i „ja”?

Samson mówi po francusku. Nawet wobec więźnia — zwłaszcza wobec więźnia wstydy się swojej angielskiej wymowy.

Robin składa w duchu hołd wycuciu swego rozmówcy i jego nieugiętości. Myśli też, że chyba nie będzie mu wcale tak łatwo zbyć *Frenchiego* i Ruska ogólnikami. Czy istnieje Rosjanin, którego trudno owinać sobie wokół palca za pomocą ogólników?

Odpowiadając, starannie dobiera słowa.

— Tak, jestem Amerykaninem i nie będę ukrywał, że przez jakiś czas pracowałem dla CIA, będącej organizmem biurokratycznym i prymitywnym, który nieraz już dowiódł swojej bezwartościowości. Dziś, panowie, jestem niezależny.

— A, tak, oczywiście. Wiceprezes pozarządowej organizacji humanitarnej, który przez przypadek pracuje w Czeczenii.

— Panowie, nie jestem tak głupi, żeby was nie doceniać. Jestem w rękach dwóch zawodowców i moją jedyną szansą na wykaraskanie się z tego jest powiedzenie wam prawdy. A tak się składa, że nie mam nic do ukrycia. Muszę was tylko o tym przekonać.

Tak, reguła zakazuje mówienia o Klubie w obecności osób niewtajemniczonych, ale ta reguła dotyczy sytuacji zwyczajnych, a nie takich, gdzie gra idzie o życie. Robin postanawia kontynuować.

— Kiedy mówię „my”, mam na myśli pewną dyskretną organizację — dyskretną, ale nie tajną — która próbuje wpływać na politykę światową w sposób korzystny dla wspólnoty wszystkich ludzi i zjednoczonej ludzkości. Uważamy, że takie rozwiązanie będzie najbardziej racjonalne, najmniej kosztowne i najbardziej korzystne z punktu widzenia poszanowania praw człowieka przy pomocy organizmów, którym udało się wznieść ponad przestarzały koncept narodu, suwerenności, niepodległości, prawa ziemi i prawa krwi.

— Jak się nazywa ta wasza organizacja? — pyta Francuz.

Robin waha się. „Klub” nie jest tajemnicą sam w sobie, ale lepiej stopniować wyznania, powoli schodząc w głąb.

— Organizacja.

— Ilu członków?

— Co roku przyjmujemy trzynastu studentów uniwersytetu Varsity, który sam miałem zaszczyt ukończyć. Mają wtedy około dwudziestu lat. Przyjmując, że średnia długość życia wynosi około siedemdziesiąt pięć lat, $75 - 20 = 55$, co pomnożone przez trzynaście daje około siedmiuset członków.

— Wszyscy są Amerykanami?

— Nie jestem pewny. Organizacja podobno została utworzona przez Niemców, możliwe więc, że jakaś niezależna rekrutacja odbywa się także w Niemczech. To zwiększyłoby liczbę członków, ale na liściach dostępnych w Stanach tego nie widać.

— Organizacja nie jest więc tajnym stowarzyszeniem, mającym na celu wspieranie amerykańskiej hegemonii?

— Absolutnie nie.

— W takim razie nie rozumiem — mówi Gołubiński — po co się dobieracie do grupy, którą nazywacie Ligą Bojarów, do czego wam był potrzebny Męczennik, po co finansujecie zabójstwa obywateli rosyjskich i czym się pan zajmuje w tej czeczeńskiej jaskini, gdzie udaje pan zakładnika, choć tak naprawdę jest pan współnikiem.

Można wyczuć, że w Rosjaninie wzbiera wściekłość. Wygląda na to, że nie wszystko idzie tak dobrze, jak Robin sądził. Sangdeboeuf wyciąga rękę do przyjaciela.

— Pozwól mu się wytłumaczyć, Dymitrze. On bardzo tego chce.

— W istocie — mówi Robin, dochodząc do wniosku, że zawsze łatwiej jest się dogadać z kimś cywilizowanym, nawet jeśli nie jest Anglosasem. — Sami panowie zobaczycie, że nie próbuję w niczym umniejszyć swojej odpowiedzialności względem was. Pytacie, czy Organizacja służy amerykańskiej hegemonii, a ja odpowiadam: nie, to hegemonia amerykańska jest chwilowo na usługach Organizacji. Dopóki istnieją ataki zwane suwerenne narody, dopóty, jeśli chce się zmienić

oblicze świata, trzeba się opierać właśnie na nich, a lepiej opierać na narodzie najpotężniejszym niż, dajmy na to, na Lichtensteinie.

— Chce pan powiedzieć, że będąc Amerykaninem, montuje pan samobójstwo Stanów Zjednoczonych Ameryki?

— Tak — odartł Robin, co oznaczało „nie”. — Tylko, że dla tych, którzy dotarli do pewnego poziomu hierarchii w Organizacji, Stany Zjednoczone Ameryki nic nie znaczą. Na razie są nam przydatne, więc je wykorzystujemy. Liczymy jednak na to, że ostatecznie rozpląną się w morzu zjednoczonej ludzkości, która według nas jest dla ludzkiej natury jedynym rozsądnym i godnym szacunku rozwiązaniem.

Przez chwilę Robin zastanawia się, czy właśnie nie zdradził tajemnic Klubu. Ale Klub nie ma przecież tajemnic, które mogliby pojąć niewtajemniczeni.

— Czyli wyrzuci pan flagę amerykańską niczym dziurawe gacie?

— Dorzucimy do niej tyle gwiazd, że trudno je będzie zliczyć. Na jedno wychodzi.

— Mówił pan o hierarchii i stopniach... — przypomina Sangdeboeuf.

Robin rzuca desperacko:

— Mamy trzynaście stopni, które liczy się od trzynastego do pierwszego.

— Ilu jest członków pierwszego stopnia?

Jak mawiał Mark Twain, lepiej nie kłamać, żeby nie musieć potem pamiętać swoich kłamstw. Robin chce pozostać wierny tej radzie.

— Trzynastu. Nazywamy ich Patriarchami.

— Poważnie, czy „z językiem w policzku” [Angielskie wyrażenie *tongue-in-cheek* oznacza, że mówi się o czymś żartobliwie, w tonie nieco kpiarskim]? — pyta Sangdeboeuf, głównie żeby pokazać, że zna to wyrażenie.

— I tak, i tak.

— Patriarchowie kierują tym waszym stowarzyszeniem kolektywnie, czy wybierają jakiegoś przewodniczącego?

— Nie mam pojęcia.

— A na którym poziomie pan się znajduje?

— Na drugim.

— No, jeśli pan liczył na to, że po „Śmiertelnej ranie” dostanie się pan na pierwszy, to się pan przeliczył — mówi Gołubiński.

Sangdeboeuf podejmuje przerwany wątek:

— Twierdzi pan, że „Śmiertelna rana” to operacja polegająca na zwróceniu opinii publicznej — światowej, jak przypuszczam — przeciwko Rosji. Dlaczego właśnie Rosji?

— Właśnie! — podchwytuje Gołubiński. — Jestem w stanie pojąć, że Rosja, która jest drugą potęgą świata, może przeszkadzać Ameryce, która jest pierwszą, ale w czym zawadza ona takiemu lobby jak wasza Organizacja?

— To nie jest lobby, a Rosja zawadza nam podwójnie. Po pierwsze, ogranicza hegemonię amerykańską, która jest użyteczna dla naszego dzieła. Po drugie, jest jedynym potężnym krajem, w którym kultywowane są jeszcze, i to dosyć skutecznie, wartości fundamentalnie reakcyjne, które są niebezpieczne dla naszego ideału postępu.

— A co pan nazywa „wartościami reakcyjnymi”?

— Przywiązanie do dóbr nierzeczywistych, to znaczy niematerialnych. Iluzję, która głosi, że nie wszystko w życiu człowieka zależy od jego wolnego wyboru.

— Czy do tych wartości reakcyjnych zaliczyłby pan także patriotyzm?

Robin uśmiecha się.

— Ambrose Bierce definiuje patriotyzm jako „łatwopalny odpadek, gotów zająć się od pochodni każdego, kto tylko ma ambicję zabłysnąć”.

— A ów podziwiany przez Europejczyków, osławiony amerykański patriotyzm?

— Chwilowo jest dla nas użyteczny, bo sprzyja hegemonii, która dla nas jest najlepszym środkiem do osiągnięcia stanu powszechnej równości. Kiedy do tego dojdziemy, patriotyzm amerykański rozpułnie się w masie wszystkich innych kompletnie już zbędnych patriotyzmów.

— A wracając do pańskiego „po pierwsze” — mówi Sangdeboeuf, liżąc ołówek — dlaczego mówi pan, że Rosja ogranicza waszą hegemonię?

— Ponieważ posiada ona, do pewnego stopnia, rzecz jasna, środki, żeby z nami konkurować i jeśli nie będziemy uważali, może ich mieć coraz więcej. Każda baryłka ropy, wydobyta przez Rosję, to jedna baryłka więcej dla niej i jedna baryłka mniej dla Stanów Zjednoczonych. A to już daje różnicę dwóch baryłek. Rosjanie uważają, że rosyjska ropa należy do nich, administracja amerykańska chciałaby w tym mieć swój udział, a my sądzymy, że nie byłoby źle, gdyby Ameryka pozbawiła Rosję tej ropy, do której jest tak bardzo przywiązana, żeby miała do niej dostęp cała planeta.

— I sądzą, że potem z kolei Ameryka pozwoli się jej pozbawić?

— Sądzymy, że kiedy Ameryka opanuje świat, sama się w nim rozpuści.

— Krótko mówiąc, Organizacja ma się za coś w rodzaju państwa i prowadzi własną politykę?

— Organizacja nie uważa się za państwo, bo jest wrogo nastawiona do pojęcia państwa, które nie jest państwem uniwersalnym. I właśnie dlatego prowadzi własną politykę. Która niekiedy zbieżna jest z polityką państwa amerykańskiego. Już to panom mówiłem.

— A dlaczego właśnie amerykańskiego?

— Też już to mówiłem. Bo, z jednej strony, jesteśmy Amerykanami, a z drugiej, Ameryka jest najpotężniejszym państwem, więc możemy ją wykorzystać do naszych celów.

— Kiedy mówi pan o ropie — spytał Gołubiński — myśli pan o ropie kaspijskiej?

— Między innymi.

— A jaki jest związek między kaspijską ropą a pańskim pobylem w Czeczenii?

Robin znowu przyjmuje stanowczy ton, który do tej pory całkiem nieźle mu służył.

— Nie muszę panom mówić, że uprawiając politykę „odepchnięcia” wobec Rosji, administracja amerykańska wspierała, tak dyskretnie jak tylko mogła, rebelię Czeczenów. Jeden z moich przyjaciół zajmował się tym osobiście. Ale przychodzi *Nine-Eleven* i rząd amerykański zmienia na jakiś czas politykę — zostawia Czeczenów i wchodzi w komitywę z Rosjanami, bo zauważa, że flirt z islamem może się obrócić przeciwko niemu. Ale my, panie Gołubiński, wiemy, że słabo rozwinięte kraje islamu nie stanowią na dłuższą metę wielkiego zagrożenia dla naszych celów. Islam zostanie wchłonięty przez *New Age*, tak samo jak inne religie.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Zaraz do tego dojdę. Najpierw, w oparciu o istnienie Bojarów, zaplanowałem operację „Śmiertelna rana”. Następnie znalazłem idealne narzędzie w osobie Męczennika, genialnego twórcy „zabójczych nieboszczyków”. Potem zawarliśmy porozumienie, żeby wspólnie tę operację przeprowadzić. Jego korzyść: wejście w posiadanie doskonałego sprzętu, który zdecydowałem się mu powierzyć, zadanie ciosu Rosji oraz, o czym nie wiedziałem, sprawienie sobie przyjemności w postaci wysadzenia w powietrze waszego lokalu i kilku facetów na dokładkę. Moja korzyść: z jednej strony, skuteczne przeprowadzenie operacji „Śmiertelna rana”, dzięki siatce Męczennika (ja nie miałem najmniejszych możliwości dostania się do pałacu Myszkínów), a z drugiej strony, ponowne nawiązanie w imieniu Organizacji kontaktu z Czeczenami

i zorganizowanie w okolicy Morza Kaspijskiego przyczółka, który będzie należał do nas, a nie do rządu amerykańskiego.

— A pańskie porwanie? Czyż to nie była niepotrzebna komplikacja? Przecież przy dzisiejszych możliwościach technicznych, mógł pan prowadzić swojego Męczennika z Waszyngtonu czy Honolulu, równie dobrze, jak z tej jaskini.

— Ach, zdumiewa mnie pan, panie Sangdeboeuf! Przecież doskonale pan wie, jak ważne w tego rodzaju układach są relacje międzyludzkie. Jak ja, Amerykanin, mógłbym wzbudzić zaufanie Męczennika, gdybym nie zgodził się oddać w ręce jego przyjaciela Alego Mansura? Wie pan dobrze, że głównym problemem oficera prowadzącego jest wpoić swemu agentowi przekonanie, że nie jest się takim jak inni prowadzący, że się go nie wystawi do wiatru.

— A więc? — dopytuje się Rosjanin. — Jak to się odbyło?

— Bardzo prosto. Mogłem dołączyć do Czeczenów z pomocą wyspecjalizowanych służb, ale porwanie wydawało się sposobem najprostszym i najmniej podejrzanym, nie mówiąc już o tym, że kwestia ewentualnego okupu otwierała bardzo ciekawe możliwości. To był pomysł Husajna — zawsze miał talent do omijania rzeczywistości... Problemem było tylko takie zaaranżowanie porwania, żeby uprowadzono tylko mnie. Trzeba było wybrać dzień, kiedy z góry było wiadomo, że zagraniczny personel sierocińca będzie nieobecny. Podałem Husajnowi datę imprezy u *French doctors*...

— Jaką drogą?

— Wiadomość w umówionej skrytce. No i zachorowałem, żeby nie jechać z innymi.

— Symulował pan chorobę?

— Kpi pan sobie? Zażyłem środek na wywołanie biegunki... Szczerze mówiąc, potrzebowałem trzech dni, żeby dojść do siebie. Ludzie

Mansura na próżno szukali pozostałych cudzoziemców, których też mieli porwać (cały plan znał tylko Mansur). Skoro ich nie znaleźli, porwali mnie *hey presto* [W mgnieniu oka]. Przywieźli mnie tutaj jako zakładnika. Po przybyciu na miejsce, wpadłem prosto w ramiona Husajna i przekazałem mu mikrodrony (Sangdeboeuf robi notatkę), które miały posłużyć do spenetrowania waszego lokalu. On odjechał do Petersburga. A ja od kilku godzin pracuję nad materiałem informatycznym, który sobie od was pożyczył, a który dostałem drogą mailową.... Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Jeśli mogę tak powiedzieć.

— Te mikrodrony nie znajdowały się czasem w pudełku z zabawkami, które mi pan pokazał? — pyta Sangdeboeuf.

— To było dziecinne. Po prostu, nie mogłem się oprzeć pokusie. Ale proszę przyznać, że wtedy się pan nie zorientował.

— O ile się nie mylę, podczas pańskiego „porwania” zginęła jedna lub dwie osoby...

— A, tak. Służący — nie pamiętam, jak się nazywał — no i ten społeczny tatuś. Mansur uznał, że dobrze będzie ich zlikwidować. Dla większego prawdopodobieństwa.

— Dwóch martwych Czeczenów to zero martwych... — powiedział Gołubiński.

Robin rzucił okiem na Rosjanina i zobaczył, że ten go nienawidzi — nie z osobistej antypatii, ale dlatego, że jest Amerykaninem.

— Jeśli o mnie chodzi — mówi Sangdeboeuf, ponownie liżąc ołówek — od początku miałem podejrzenia, ale tym, co głównie obudziło moją czujność, była wysokość pańskiego okupu. Dwadzieścia milionów dolarów! Chodziło o to, żeby za szybko nie zapłacono, prawda? A może, co jeszcze subtelniejsze, byłby to elegancki sposób subwencjonowania czeczeńskiej rebelii?

Robin nie odpowiada. Czy to ostatnie przesłuchanie, czy może pierwsze z serii? Nie wie. Ci, którzy go przepytują, wydają się jeszcze szukać w głowie pytań.

— Ilu członków liczy pańska siatka? — pyta Gołubiński.

— Moja? Husajn i informatyk, który pewnie wyjechał już z Rosji wczoraj wieczorem lub dziś rano, po skopiowaniu waszej pamięci.

— Nazwisko?

— Nazywamy go Szalonym Algierczykiem. Dla Husajna przybrał pseudonim Mabul.

— A reszta siatki?

— Ludzie Husajna. Nie znam ich.

— Wróćmy do Organizacji — mówi Sangdeboeuf. — Macie tam jakieś hasła, rytualne gesty, znaki rozpoznawcze?

— Chce pan wiedzieć, czy ściskając sobie ręce, odchyłamy mały palec? Nie, żadnej dziecinady.

— Lista członków?

— Dostępna na żądanie.

Przesłuchujący wymieniają spojrzenia.

Sangdeboeuf robi minę, która oznacza: „Wyciągnęliśmy z niego wszystko, co mogliśmy”.

Gołubiński robi inną: „Gdyby go dobrze przycisnąć, można by skonstruować niezłe dossier, ale nie wiem, czy warto?”.

Zapada milczenie, które ma w sobie coś ostatecznego.

Teraz panuje atmosfera absolutnej obojętności.

Gołubiński wciska w magnetofonie przycisk „Stop”. Taśma już niczego nie rejestruje. Silnik zatrzymał się na dobre.

Nadal nienaganny w manierach, Gołubiński zwraca się do Robina:

— Zechce pan wstać, Mister Chastow i podejść do tego pięknego isfahanu, wiszącego na ścianie po lewej.

Robin wstaje, odwraca się plecami do Rosjanina i Francuza i staje przed wspaniałym isfahanem.

— A może jednak nie — mówi Gołubiński z namysłem. — Może raczej przed tym z Samarkandy.

Robin zrozumiał natychmiast. Nie ma sensu brudzić isfahanu krwią i mózgiem. Dywan z Samarkandy nadaje się do tego w sam raz.

Zastanawia się, co powstrzymuje Gołubińskiego przed wpakowaniem mu kulki między oczy. Czemu zabijanie z zimną krwią musi się odbywać strzałem w kark? Czyżby chodziło o biblijne „Nie zabijaj” w jakiś skomplikowany sposób połączone z tym, co CIA nazywa „najwyższą krzywdą”? A może jest coś obscenicznego w tym, że tuż przed śmiercią kat i ofiara stają ze sobą twarzą w twarz?

Robin stoi z nosem przy czerwonych i niebieskich nitkach, które pachną wełną, dymem i wielbłądzim potem i słyszy za plecami szcęk zamka pistoletu.

5

Początkowo uwolnienie trójki zakładników, Belga i dwojga Francuzów, nie narobiło takiego szumu, jakiego się spodziewano.

Oczywiście, pokazano ich w Moskwie, ich rodziny przyjechały rzuć im się w ramiona, żona Matteo zafundowała sobie nową fryzurę, żeby się godnie zaprezentować w telewizji, narzeczona Caldensa udeżyła w szloch, a Virginie podziękowała Niebiosom za to, że nie została zgwałcona, ale istniały trzy powody, dla których na pudło rezonansowe opinii publicznej nałożono tłumik.

Po pierwsze, uwolnienie zakładników było sukcesem armii rosyjskiej, więc należało o tym mówić najmniej, jak się dało. Po drugie, bojownicy walczący o wolność swojego ludu zostali zmasakrowani przez kolonialistów — takiej klęski nie wypadało nagłaśniać. W końcu, po trzecie, jedyny naprawdę interesujący zakładnik, czyli Amerykanin, nadal nie został odnaleziony.

Podobno został pogrzebany pod skalnymi resztkami Jaskini Szamielskiej. Nic dziwnego, według jednych komentatorów, Rosjanie na pewno zbombardowali Czechenów w sposób niewspółmierny do potrzeb z powodu swojej niekompetencji; według innych, z powodu wrodzonej nienawiści do Amerykanów. Amerykanie domagali się prawa do przeszukania miejsca zdarzenia, a Wielka Brytania wiernie sekundowała „swojemu panu”. Czy były straty po stronie Rosjan? Tym nikt się nie przejmował. Firma OILOC, mogąca teraz bez przeszkód kontynuować

swoje kaspijskie wierzenia, nie miała już żadnego powodu, żeby nagłaśniać całe wydarzenie i konsekwentnie wcielała w życie swoją dewizę: żadnego hałasu, bicia piany i rozgłosu.

Eksplozja w podziemiach pałacu Myszkina, która koniec końców nie spowodowała jakichś wielkich strat, także nie wzbudziła wielkiego zainteresowania światowych mediów. Poza wszystkim, cóż znaczyła śmierć kilku najemnych zbójów na żołdzie nacjonalistycznej organizacji oraz zburzenie kilku kiczowatych kariatyd, wobec niewinnych ofiar *Nine-Eleven*? Zresztą, czy Rosjanie mieli jakieś dowody na to, że sprawcami zamachu byli czeczeńscy mudżahedini? Sami mogli sfingować atak dla celów propagandowych!

Tylko rosyjskie media, wspierane przez należące do Bojarów „Pałkę” i „Fakty i Legendy”, a także Bank Galperin i Katz, wykorzystały temat, ukazując sukces operacji w Jaskini Szamilewskiej jako odwet wzięty na czeczeńskim terroryzmie, wspomagając się zdjęciami petersburskich ofiar oraz wywiadami z bojownikami specnazu, których sfilmowano podczas działań operacyjnych.

6

Oto góra od tygodnia wstrząsana eksplozjami, od których chwieje się w posadach.

W samym sercu góry — jaskinia, od kilku chwil pograżona w prehistorycznym milczeniu.

W samym sercu jaskini — punkt dowodzenia wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt do komunikacji, skąd za naciśnięciem guzika można się połączyć z całym światem.

W tej scenografii rozgrywał się komiks, w którym wszystko jest maksymalnie uproszczone — jak w większości współczesnych konfliktów: „Jestem Geniuszem Zła. — A my Krzyżowcami Dobra”, a maski bohaterów i zdrajców rozsadzają ekran wirtualnego hełmu.

Tutaj sytuacja była bardziej złożona.

Robin stał z nosem przy ścianie, jak dziecko postawione do kąta, a jego głównym zmartwieniem było to, żeby do samego końca zachowywać się jak dżentelmen. Nie był religijny, nie wierzył w życie po życiu, sądził, że koniec nadejdzie lada moment i był dumny ze swojego spokoju. Przez chwilę miał ochotę obrócić się na pięcie i spojrzeć śmierci w twarz, ale uznał, że byłoby w tym coś niestosownego. Przez głowę przelatywały mu różne myśli. „Wydaje mi się, że okażę się godny Dziadka” i „Wiem, że mam w sobie francuską krew, ale umrę jak prawdziwy Anglosas”. Czuł też złość i żal — prawdę mówiąc, był przekonany, że tak dobrze sobie poradził z tym koneserem wódki i żabojadem! Najwyraźniej się pomylił. Z tyłu dwaj mężczyźni szeptali między sobą i gdyby

nadstawił ucha (choć gardził takimi sztuczkami), mógłby pewnie usłyszeć, co mówią, tak jak każdy z nas mógłby, gdyby tylko chciał, usłyszeć aniołów i demony, spierające się cicho za naszymi plecami.

Sangdeboeuf wyciągnął rękę ku przedramieniu Rosjanina, ale go nie dotknął. Nie dotyka się uzbrojonego człowieka, który gotuje się do strzału. To kwestia *savoir-vivre'u*.

— Jedną sekundę, Dymitrze. Przecież on nie ma szans uciec. Dlaczego chcesz go...?

— A dlaczego nie?

— Ale dlaczego tak?

— Bo tak.

— Nie zabiliśmy dziś już dość ludzi?

— Jedno życie więcej, jedno mniej... Ten sukinsyn...

„Sukinsyn”, dosłownie przetłumaczone z rosyjskiego, wymknęło mu się mimochodem.

— Chcesz być szeryfem z Dzikiego Zachodu?

— Ty nie możesz tego zrozumieć. Rosja zaczyna znowu być Rosją, a ten skurwysyn (znalazł wreszcie odpowiednie słowo) spada nam na kark? Więc ja zamierzam sobie z niego zrobić prezent.

Dymitr ponownie podniósł ramię, które przed chwilą opuścił i Samson zobaczył, że to ramię drży. Mimo wielkiej odporności, rzeź ostatnich godzin odcisnęła na tym człowieku swoje piętno. Niewiele było trzeba, żeby chybił. Samson poczuł, że chciałby mu oszczędzić tego zażenowania.

Sam dobrze nie wiedział, dlaczego chce uratować życie Robina Chastowa. Nie chodziło o osobistą sympatię, ani (broń Boże!) o przychyłność wobec hegemonii amerykańskiej, ani tym bardziej o zrozumienie dla działań tego agenta globalizmu. Nie chodziło też o szacunek dla życia jako takiego. Gdyby ktoś spytał Samsona o jego pogląd na ludzkie życie, odpowiedziałby, że życie niektórych ludzi jest warte więcej od życia innych. I wcale nie był pewny, czy pan Chastow należy do tych

pierwszych. Nie, chodziło o co innego — o uczucie, które było w lepszym guście niż miłosierdzie: to zabójstwo nie miało w sobie nic użytecznego. W szachach zawsze błędem jest zbędne bicie. Trzeba znaleźć bardziej eleganckie wyjście z sytuacji. Poza tym, Samson czuł, że jeśli ocali jedno życie, Adelina (która nawet się o tym nie dowie) będzie mu za to w jakiś tajemniczy sposób wdzięczna.

— Do czego on ci się przyda martwy? — spytał cicho, szukając argumentów logicznych i profesjonalnych, które pozwoliłyby osiągnąć to, czego pragnęłaby Adelina.

— A po co mi żywy?

— Jego można by o to spytać.

— Jeśli powiedział prawdę, to nie ma nam nic do zaoferowania. Jeśli skłamał, nadal będzie to robił.

— A gdyby go tak zwerbować?

— Po co? Obieca wszystko, co chcesz, a kiedy wyjdzie na wolność, poleci złożyć raport. Poza tym, jego operacja się udała — ma zawartość naszego serwera.

— Nie jest stracona — znajduje się tutaj.

Szeptali jak dwóch kiepskich uczniów, wpatrując się w amarantowy szlafrok, jak w plecy nauczyciela.

— Tak, ale jak mamy go do siebie przywiązać? Nic na niego nie mamy.

— Dymitrze, jestem rozczarowany. Sądziłem, że masz więcej sprytu. Oczywiście, że wyprze się wszystkiego, co nam obieca. (Samson już miał gotową mowę obrończą i wierzył w jej skuteczność). Ale na naszym poziomie werbunek zawsze odbywa się bez gwarancji, to nieuniknione. W jakiejś mierze Chastow, choć nic nie zrobił, jest „umoczony”, bo przeszedł przez nasze ręce. Sądzę, że goście z безпеکی będą rozumować *as follows*.

Samson wstał z rękami w kieszeniach, zrobił kilka kroków i wrócił do Dymitra, który wciąż miał oczy wbite w przyszpilonego do ściany Robina.

Teraz Samson zaczął mówić głośno, żeby więzień go słyszał.

— Pomińmy fakt, że jeśli wyeliminujemy Chastowa, operacja uwolnienia zakładników stanie się połowiczną klęską, co nie będzie zbyt miłe dla twojego przyjaciela Grubki. Ale postawmy się na miejscu szefów Chastowa. Wysłali go tutaj, mając na oku dwa cele: jeden bliski i drugi odległy. Bliski to kradzież pamięci serwera Bojarów, tak by się nie zorientowali i zorganizowanie przeciwko nim akcji dezinformacyjnej. Cel odległy to zdobyć przyczółek nad Morzem Kaspijskim. I jaki jest bilans? Pamięć została skradziona, ale ty o tym wiesz i zostaną podjęte odpowiednie środki ostrożności. W dodatku, miał miejsce zamach na pałac Myszkina, który nie był w ich planie i w którym zginęli ludzie. Co do czeczeńskiej hołoty, z którą Chastow się skumał, to została ona wdeptana w ziemię, nikt nie uszedł z życiem. Operacja „Śmiertelna rana” nie jest całkowitym fiaskiem, ale też nie ma się specjalnie czym chwalić. Dorzuć do tego fakt, że Chastow spędzi kilka godzin lub dni w towarzystwie Rosjan i jego szefowie nie mogą sobie nie zadać pytania: a może go zwerbowali? A może został zwerbowany już wcześniej i stąd połowiczny sukces operacji? Poza wszystkim, pięćdziesięciu synów Allaha leży tutaj i gryzie ziemię! Kto może zagwarantować, że to nie Chastow dał Rosjanom informacje, które umożliwiły tę akcję? Zatem Chastow wie, że tak czy owak, będzie podejrzany. A my możemy te podejrzania potwierdzić. To też wie. W jego interesie więc leży pójście z nami na kompromis, żebyśmy tego nie zrobili. My natomiast mamy alternatywę, ale nie: *to kill or not to kill*, ponieważ *to kill* byłoby głupotą. Musimy się zastanowić, jak tę sytuację wykorzystać. Złapałeś Amerykanina za rękę, w amarantowym szlafrocuku i w komitywie z Czeczenami, więc albo robisz dużo szumu i organizujesz zwiedzanie jaskini z przewodnikiem, albo rozgrywasz to subtelniej.

W przeciwieństwie do Samsona, Dymitr mówił bardzo cicho.

— Powiem ci od razu, że ta historia ze złapaniem za rękę nie przejdzie. Zbyt ważne są dobre stosunki rosyjsko-amerykańskie.

Gdybym zaproponował takie rozwiązanie, usłyszałbym: „Czemu nie zostawił pan tego gościa na dnie jaskini?”

— No, właśnie. Natomiast jeśli zgodzisz się zagrać w jego grę, to mamy tu przed sobą Bogu ducha winnego wiceprezesa organizacji pozarządowej, porwanego przez złych Czechenów i dzięki tobie uwolnionego przez sławetną armię rosyjską...

Długa cisza zaciążyła nad jaskinią.

Twarz Dymitra, w miarę jak przyswajał sobie rozumowanie Samsona, tężała, a rysy stawały się coraz twardsze. Nagle powiedział:

— Niech pan będzie uprzejmy się odwrócić.

Robin odwrócił się powoli, zastanawiając się, czy kula o średnicy dziewięciu milimetrów uderzy go ostatecznie w czoło, a nie w podstawę czaszki, czując ulgę, że wciąż jeszcze żyje i zmuszając się do tego, żeby ta ulga nad nim nie zapanowała. Pierwszym, co zobaczył, było to, że Rosjanin schował broń do kabury.

— Słyszał pan, co mówił mój przyjaciel? — spytał Gołubiński.

Wargi miał odrętwiałe i z trudem artykułował spółgłoski.

— Słyszałem — swobodnie odpowiedział Robin.

Teraz z kolei wstał Gołubiński i zaczął spacerować dookoła, splatając i rozplatając dłonie za plecami. Mówił tonem pełnym dydaktyzmu, tak naturalnym dla większości Rosjan.

— Naszej sytuacji nie brakuje pikanterii. Wszyscy trzej jesteśmy zawodowcami, ale spotykamy się z powodów, które nie mają nic wspólnego ze sprawami zawodowymi. Pan, *mister* Chastow, pomijając pańską humanitarną przykrywkę, twierdzi, że pracuje dla Organizacji o charakterze „pozarządowym”. Mój przyjaciel, Sangdeboeuf, jest zatrudniony przez OILOC. A ja jestem człowiekiem interesu, próbującym oddać przysługę przyjaciółom, licząc, rzecz jasna, na przyszłe korzyści. Wszyscy trzej korzystamy jednak z wpojonych nam umiejętności i zdobytego doświadczenia.

Sangdeboeuf ma rację, mówiąc, że na poziomie, na którym się znajdujemy, tajemnica nie ma już racji bytu. Pozostaje tylko pytanie, czy zgadza się pan kontynuować swoją grę, którą my uczynimy naszą. Został pan porwany przez bandytów (powtarza to cały świat, włącznie z CNN, która jest wyrocznią prawdy objawionej), a my odnajdziemy pana, jak łatwo przewidzieć, w zakratowanej celi, z kajdanami na nogach. Pan, oczywiście, będzie kipiał wdzięcznością dla Rosji, co sprawi przyjemność mojemu prezydentowi, a może i pańskiemu, bo ostatnio stali się oni — jak to mówią Francuzi — niczym tyłek i portki. Zaraz potem będzie pan mógł wrócić do Stanów Zjednoczonych lub kontynuować pańską działalność w czeczeńskim sierocińcu.

Chce pan wiedzieć, co my na tym zyskamy?

Z jednej strony, dokończymy pańskie przesłuchanie, prosząc pana o przekazanie nam informacji na temat pańskich dawnych misji jako oficera CIA oraz na temat tej Organizacji, do której podobno pan należy. Nie oczekujemy, że wyjawi nam pan jakieś zasadnicze tajemnice, ale zawsze miło jest uzupełnić sobie wiedzę o tym czy innym scenariuszu, o tej czy innej bitwie i zabezpieczyć się nieco na przyszłość. Z drugiej strony, będzie pan niczym zaobrączkowany ptak, jak więzień, któremu pozwala się na ucieczkę z „pluskwą” w walizce. Wszystkie pańskie działania będą dla nas stanowiły jakąś informację.

Oczywiście, zda pan raport swoim szefom. I jedno z dwojga: albo pana odsuną (zawsze to jakaś korzyść), albo zachęcą, żeby grał pan na dwie strony. Nam zależy na jednym: nie stracić kontaktu. To wszystko.

Wyobraźmy sobie, że pan odmówi.

Przesłuchanie, które pan przed chwilą odbył, zostało sfilmowane i nadal jest filmowane, a my możemy to nagranie tak zmontować, jak nam się tylko zamarzy. Nie sędzę, żeby pański rząd lub Organizacja były zachwycone, widząc pana na ekranie telewizji całego świata, do brze odżywnego i różowiutkiego, w haftowanym złotem szlafrocisku

i przy komputerze, podczas gdy uchodzi pan za zakładnika, a w zamachu na pałac Myszkínów, w który jest pan zamieszany, zginęli ludzie... no, prawie ludzie — Rosjanie.

Rzecz jasna, może pan zawsze powiedzieć „nie”, co byłoby przykre dla pańskiego taty, któremu przecież zawdzięcza pan kilka sekund wysiłku i koncentracji, oraz dla mamy, która poświęciła panu dziewięć miesięcy niewygód. Pański wybór. Jeśli jednak powie pan „tak”, nawet myśląc „nie”, nie będzie się pan mógł wyprzeć tego „tak” i nie pomoże żadne dementi. Dobrze pan wie, że opinia publiczna to broń jednostrzałowa.

Trzeba wszystko przewidzieć. W tym czy innym momencie może pana korcić, żeby popełnić samobójstwo, ale wtedy, może mi pan wierzyć, film, który właśnie kręcimy, obiegnie cały świat.

I nieco drwiąco Rosjanin dorzucił:

— Okej?

Robin zrozumiał, że to właśnie przez wzgląd na tę chwilę, wiadomą od początku świata, zawsze nienawidził Rosji.

Tak, pomijając oczywistą alternatywę w postaci kulki w łeb, nie miał innego wyjścia niż nagiąć się do żądań tego Barbarzyńcy, który w tym momencie kontrolował sytuację. To upokorzenie zostanie kiedyś stukrotnie pomszczone, ale na razie musiał je przełknąć. Wyrażenie „okej”, zwłaszcza w ustach cudzoziemców, zawsze go przyprawiało o dreszcze. Dla niego było ono symbolem tej najbardziej niewyraźnej części globalizmu, której poświęcił życie. Przez chwilę miał więc ochotę odpowiedzieć po rosyjsku: *Dawaj!* Do dzieła! Jednak uznał, że bardziej obraźliwe będzie rzucić z akcentem prosto z Bronxu, który jemu, Południowcowi, był całkiem obcy:

— Okej!

— Doskonale — rzekł Gołubiński. — W takim razie zajmujemy się makijażem.

— Makijażem?

Rosjanin uśmiechnął się.

— Chyba pan sobie nie wyobraża, *mister* Chastow, że wygląda pan teraz na ofiarę porwania od ośmiu dni przetrzymywaną w zamknięciu? Ale proszę się nie obawiać. Na zdjęciach wypadnie pan bardzo przekonująco. A prawdę przechowamy we wspomnieniach. I nakręcimy odcinek pt. „Makijaż”. Pewnego dnia może nam się przydać.

Dwa dni później w Kwaterze Głównej armii rosyjskiej, zwanej Szpitalem, odbyła się wielka feta. Oficerowie w galowych mundurach. Szampan z Krymu, wina z Mołdawii i Gruzji, koniak z Armenii, wódki wszelkich marek i woni. Kawior czerwony i czarny. Szaszłyk. Jesiotr. Syberyjskie *pielmieni*. Pierogi. *Watruszki*. Kisiel. [*Pielmieni* — rodzaj pierogów z farszem mięsnym; *watruszki* — drożdżówki z serem]

Wersja oficjalna: czeczeńscy bandyci dokonali zamachu terrorystycznego w samym środku Petersburga (zob. zdjęcia), działając na rozkaz fanatyka pochodzenia obcego, który zginął (zob. zdjęcia urwanej głowy) wraz z siedmioma rosyjskimi strażnikami (zob. zdjęcia ciał i ich rodzin w żałobie). W ramach represji, armia rosyjska zaatakowała Jaskinię Szamilewską, unieszkodliwiła tam setkę bandytów i uwolniła trójkę zakładników, których twarze były już wszystkim znane (zob. zdjęcia). W trakcie przeszukiwania jaskini, dwa dni później uwolniono także nieszczęsnego zakładnika narodowości amerykańskiej (zdjęcie), który przez wiele dni pozostawał zamknięty w lochu (zdjęcie), w kajdankach na rękach i nogach (zdjęcie). Na fotografii można było zobaczyć wiceprezesa organizacji Bids for Kids w łachmanach, ze skutymi nadgarstkami i kostkami, z wynędzniałą twarzą i oczami wzniesionymi do nieba. Były także zdjęcia generała Grubki, wkraczającego do lochu,

żeby osobiście uwolnić więźnia. Podsumowując, Rosjanie uwolnili obywatela amerykańskiego, działając w ramach międzynarodowej współpracy w zakresie walki z terroryzmem. Na jakiś czas prasa światowa była zmuszona milczeć o nieszczęsnych, uciskanych Czechenach.

Dla świętujących Rosjan (życiu dwóch rannych nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, a straty po stronie nieprzyjaciela nigdy nie zakłócały świętowania triumfu) najbardziej liczyło się nie tyle samo uwolnienie zakładników i zniszczenie bandy, ile rozmaite incydenty z operacji zaciskania pętli wokół jaskini i przeczesywania terenu („Pamiętasz, jak leżałem w jeżynach, a ty pomyślałeś, że do mnie strzelają... Pamiętasz, jak zobaczyliśmy tę dziurę i pomyśleliśmy, że to wejście”) oraz mistrzowska operacja zajęcia jaskini, która nie była zaminowana i po kolei odkrywała przed nimi swoje tajemnice. Każdy miał stamtąd jakąś pamiątkę: jeden broń, drugi sznur modlitewny, trzeci menażkę, czwarty egzemplarz Koranu — przedmioty, których wartość miała nie tyle charakter materialny, ile mistyczny, były trofeami, wyrwanymi z jednej rzeczywistości i przeniesionymi do innej. Dowództwo wolałoby przemilczeć fakty dotyczące wyprawy speleologicznej, ale znało je zbyt wiele osób, więc zdecydowano wysławiać pod niebiosa Czarnomora i jego ludzi. Natomiast francuski pułkownik zażyczył sobie, żeby go pominięto na liście zasłużonych.

Przy honorowym stole, wokół generała Grubki, którego ponure oblicze było tak promienne, jak to tylko możliwe, siedziało kilkoro rosyjskich dziennikarzy i telewizyjnych kamerzystów oraz jakiś Amerykanin, któremu udało się tutaj przybyć przed swymi zachodnimi kolegami, i którego serwowana pieprzówka przyprawiała o potężną czkawkę. Przy stole siedział także ostatni z uwolnionych zakładników — Robin C. Chastow III, wiceprezes Bids for Kids, oraz pani dyrektor angloamerykańskiego sierocińca, słynna wicehrabina Betty, której kolejny raz udało się wziąć udział w zupełnie nadzwyczajnych wydarzeniach. Poproszono ich o powiedzenie kilku słów. Mister Chastow oddał hołd Europejczykom, którzy dzielili z nim los zakładnika, a którzy już powrócili

do swoich rodzin, jak również Rosjanom, dzięki którym zostali uwolnieni. Podkreślił radość, z jaką on, Amerykanin, bierze udział w tym święcie odrodzonej Rosji — radość podzielaną z pewnością przez wszystkich Amerykanów miłujących pokój i wolność. Wicehrabina uniosła brew i kieliszek do kamery i powiedziała tylko: *Mud in your eye and bottoms up**! [Dostłownie: „Błotem w oczy i denka w górę” — idiomatyczne wyrażenie, które można przetłumaczyć: „Wasze zdrowie i do dna!”], co wywołało burzę oklasków, choć większość klaszczących nie miała pojęcia, co oklaskuje. Przy sąsiednim stole Gołubiński i Samson kulili się cichutko między Michałem Iwanyszem i Jurijem Juriczem, ale w jednej ceremonii wzięli udział z przyjemnością. Mimo niższego stopnia, porucznik Czarnomor otrzymał rozkaz, żeby sięść przy stole na honorowym miejscu i domyślał się, co go czeka. W pewnej chwili pułkownik Michał Iwanysz wstał, a na sali zapadła cisza. Strzelił palcami, na co ordynans przyniósł wiaderko z lodem i zatopioną w nim karafkę. Michał Iwanysz podszedł do Czarnomora i spytał groźnym tonem:

— Gdzie twoje szkło?

Czarnomor lekkim zezem spojrzął na swój naramiennik, na którym błyszczały trzy gwiazdki porucznika armii rosyjskiej, odrzucił z czoła kosmyk jasnych włosów i wskazał na stojący przed nim wielki kryształowy kielich:

— Oto ono, towarzyszu pułkowniku. Większego, niestety, nie posiadam.

Pułkownik po brzegi napełnił kieliszek przejrzystym płynem z karafki. Wszyscy pochylili się, żeby obserwować, czy zachowane są wszystkie elementy obrzędu. Teraz pułkownik wyjął z kieszeni gwiazdkę (rosyjscy kapitanowie mają ich cztery) i wrzucił ją do kieliszka, tak że kilka kropel wylało się z niego na stół. Gwiazdka zadźwięczała o kryształ.

Czarnomor wstał z godnością, wziął głęboki wdech, chwycił kielich w obie ręce i uniósł do ust, których nie miał prawa wysunąć do przodu, żeby nie zostać posądzonym o to, że pije na raty. Otworzył szeroko usta i wlał cały płyn do gardła, niczym do lejka. Jego jabłko Adama poruszało się rytmicznie. Kiedy gwiazdka dotknęła jego warg, odwrócił kielich dnem do góry, żeby pokazać, że jest pusty, wytarł usta grzbietem dłoni i uśmiechnął się od ucha do ucha, demonstrując brak jednego zęba. Wszyscy widzieli, że trzyma się mocno na nogach, które przezornie rozstawił nieco szerzej. Wziął do ręki swoją gwiazdkę i spokojnie usiadł.

Ale oficer ma dwa naramienniki, więc pułkownik spytał ponownie, równie groźnym tonem:

— Gdzie twoje szkło?

— Wciąż to samo, towarzyszu pułkowniku — odparł Czarnomor, mrugając porozumiewawczo do przyjaciół.

Kielich ponownie został napełniony. Po sam brzeg (sprawdzono). Pułkownik wrzucił do niego drugą gwiazdkę, ponownie wylewając na stół parę kropli. Kolejny ruch głową. Samson patrzył i rozumiał, że uczestniczy w czymś więcej niż żołnierskich żartach — w obrzędzie przejścia, niemal sakramencie.

Czarnomor wstał równie statecznie jak za pierwszym razem i wziął kielich w pewne dłonie.

— Musieli go uprzedzić — szepnął Dymitr do Samsona. — Na pewno wypił trzy łyżki oliwy.

Dłoń podnosząca płyn do ust nie zadrżała ani razu i przejrzysty alkohol znowu wpłynął do szeroko rozwartego gardła. Po raz kolejny jabłko Adama wykonało kilka ruchów, a usta znowu dotknęły gwiazdki. Poza zwykłą grą, było w tym skupienie i jakieś nabożeństwo. Porucznikowi tylko „porucza się” zadania. Kapitan to we wszystkich armiach świata pierwszy prawdziwy stopień oficerski. Odwracając kielich dnem do góry, Czarnomor wrzucił do lewej dłoni drugą gwiazdkę. Wszyscy obserwowali go, żeby sprawdzić, czy pół litra czystej wódki, pochłonięte w dwóch zaledwie, potężnych łykach, wyrwie na nim jakieś wrazenie.

Jego powieki mrugały szybko, ale nadal trzymał się prosto. Oficerowie podążyli ku niemu, porwali go w ramiona i zaczęli podrzucać w powietrze — znowu i znowu.

— Patrz na nich, kiedy znowu siądą za stołem — rzekł Gołubiński do Samsona. — Zaczną sobie nalewać. Jeśli naleją sobie po brzegi, to znaczy, że akceptują awans Czarnomora. Jeśli tylko po łyżku, to znaczy, że nie uważają go za godnego.

— No, cóż — rzekł Samson. — Ja uważam go za godnego.

Nalał sobie pełny kieliszek wódki i chciał go wypić jednym haustem, ale się zakrztusił.

— Zagryź korniszonem! Szybko zagryź korniszonem! — odpowiedział Dymitr.

8

Były też inne przyjęcia. Pierwsze — u nafciarzy, zafundowane przez kompanię OILOC, teraz już pewną, że będzie mogła kontynuować prace w Czeczenii. Daniel wziął Samsona na bok i stanęli między dwiema piramidami skrzynek szampana, które przyleciały samolotem.

— Szefostwo wie, że nie posłuchałeś ich polecenia, ale biorąc pod uwagę wyniki, są skłonni przymknąć oko. Dostaniesz swoją część premii.

— Cóż za wspaniałomyślność, doprawdy — rzekł Samson. — Tak, wiem: *Victor non judicatur* [Nie sędzi się zwycięzcy].

— Co to znaczy?

— „Nie należy sędzić Wiktora”.

— Co takiego?!

— Żartuję. To z łaciny i znaczy: powiedziałem Rosjanom, że mogą sobie zatrzymać sprzęt speleologiczny.

— Kosztowny gest — westchnął Daniel — ale dobrze zrobiłeś.

Potem przysłała kolej na Orphans Galore, żeby ufetować zwycięzców. Na przyjęcie przybyli przedstawiciele różnych organizacji pozarządowych, dwaj Anglicy, których Samson już kiedyś spotkał, a nawet zastępca amerykańskiego sekretarza stanu, który w towarzystwie reporterów CNN, „Washington Post” i „Washington Times” (którzy

udawali, że się nie znają) pragnął dać wyraz swemu zadowoleniu. Wielki Grabko, ze swoją niedźwiedzią postawą, uznany został za bardzo fotogenicznego. W międzyczasie otrzymał stopień generała pułkownika [W wojsku polskim odpowiada temuż stopień generała broni] i kilka młodych Amerykanek próbowało go uwieść.

French doctors także wydali bankiet. Oczywiście, byli przygnębieni stratami po stronie Czeczenów. „Naprawdę trzeba było ich wszystkich wytłuc?” — dziwił się Ludovic, ale mimo to czuł się w obowiązku świętować uwolnienie zakładników, którzy wrócili do Francji, Belgii i Stanów Zjednoczonych.

Najszczęśliwszy był Sasza, który pierwszego wieczora zrobił sobie prezent w postaci sekretarki rosyjskiego sztabu, drugiego wieczora poderwał amerykańską asystentkę reżysera, trzeci zaś spędził w towarzystwie Kiki i Weroniki.

Gołubiński wrócił do Petersburga, ale nalegał, żeby Samson go tam odwiedził.

— Zjemy kolację w pałacu Myszkina.

Goście byli ci sami co trzy tygodnie wcześniej — jasnowłosa i pulchna księżna Masza, ciemnowłosa Warwara z fifką, kudłaty i brodaty (ale jak podkreślał „nie wahabita”) ojciec Atanazy. Sasza wyraził ochotę obejrzenia rumowiska, ale Gołubiński odmówił.

— Próbujemy wszystkim wmówić, że z pałacu nie pozostał kamień na kamieniu. Tak naprawdę, straty ograniczają się do piwnic. Ale dziś aura ofiar zamachu jest dokładnie tym, czego potrzebujemy. Sądzę, że przez jakiś czas ataki przeciwko nam nieco przycichną. Samsonie, dółż sobie bieługi — jej cena wzrośnie trzykrotnie, kiedy Amerykanie skolonizują region Morza Kaspijskiego.

Obaj mężczyźni popatrzyli sobie w oczy, a to spojrzenie powiedziało więcej niż słowa.

— O, proszę — zauważyła księżna Myszkina — przeszli już na „ty”.

Następnego dnia Samson wylądował na Roissy. Adelina wyszła po niego na lotnisko.

— Opuściłam jeden wykład.

Kiepsko prowadziła rovera i grubiańscy kierowcy trąbili na nią z wszystkich stron. Śmiała się z tego. Od czasu do czasu rzucała okiem na Samsona.

— Czemu tak na mnie patrzysz?

— Żeby się upewnić, że jesteś żywy.

— Jeśli nie przestaniesz, mogę tego nie przeżyć.

Chciał ją zabrać do restauracji. Odmówiła. Wszystko przygotowała w domu.

— To będzie świetna kolacyjka. Zobaczysz.

Zdziwił się, że sama postanowiła coś ugotować, ale wszedłszy do świeżo odmalowanego mieszkania, przekonał się, że dania kupiła u rosyjskiego dostawcy, a różnorodne zakąski poukładała na drewnianych talerzach, pomalowanych na czerwono, czarno i złoto.

— Żebyś poczuł się swojsko, Gastonie.

Wódka zamarzła w butelce i trzeba ją było włożyć pod ciepłą wodę. Adelina chciała ją powoli sączyć, ale Samson udzielił jej lekcji — do dna, wdech, zakąsić. Oczywiście, opowiedział jej swoje przygody, jak wszyscy mężczyźni opowiadają o swoich przeżyciach kobietom, które kochają — pomniejszając własne bohaterstwo, żeby mu nadać nadnaturalne proporcje.

— Wiesz, na dnie tego syfonu, mając nad głową pięćdziesięciometrową kaskadę, a nad tym wszystkim trzysta metrów ziemi, wcale nie byłem dumny...

Adelina nieustannie znajdowała pretekst, żeby głaskać go po rękę, kolanie, głowie, jakby chciała się upewnić, że nadal jest obok niej.

— To zabawne. Kiedy byłeś wojskowym i wyjeżdżałeś na misję, bałam się znacznie mniej.

— Wierzyłaś, że armia mnie ochroni?

— Przede wszystkim, miałam uczucie, że te misje zasługują na to ryzyko. W jakimś sensie, wszystko, co robiłeś, było zawsze (głos jej się załamał) dla Francji. Teraz to było dla pieniędzy. A bez nich można żyć. To się wydaje nieco... bluźniercze. Tak jakby się rzucało wyzwanie losowi z powodu czegoś tak mało ważnego.

— Można żyć bez nich, ale lepiej się żyje z nimi.

— Gdyby chodziło tylko o to... próbowałabym cię powstrzymać. Ale wiem, że masz to we krwi.

— To, to znaczy co?

— *Kalos kindunos*.

— Chwila, moment! Sądziłem, że to ja mam tu monopol na klasyczne wykształcenie. Co to jest to twoje *kalos* coś tam?

— Moje „*kalos* coś tam” znaczy „piękne ryzyko”, głuptasie.

Widział, że z trudem powstrzymywała łzy.

— Wiesz, że jestem na emeryturze, ale mimo wszystko zadzwoniłem do Firmy — tak, dla porządku. Rozmawiałem z Ernestem. Jutro spotykam się z nim w Forcie. Tam wydarzyło się coś szczególnego... nie mogę ci powiedzieć... Ale muszę go o tym powiadomić.

Adelina potrząsnęła głową z pobłażaniem.

— Wszyscy jesteście niereformowalni!

Wypił ostatni kieliszek, zjadł ostatniego marynowanego grzybka, a w końcu, nieśmiało, jękając się lekko i wycierając usta wykrochmaloną serwetką, powiedział:

— Adelino, nie masz czasem ochoty, żebym ci zdjął okulary?
Enlevare lunettas?

9

Pod skrzydłami Boeinga lecącego ze wschodu na zachód planeta Ziemia kręciła się z zachodu na wschód, co sprawiało, że nie tylko samolot zbliżał się do celu, ale i cel w jakimś sensie zbliżał się do samolotu. Doskonale zdając sobie sprawę z fałszywości tej tezy, Robin, pólężąc w fotelu pierwszej klasy, i tak odczuwał niepokój, gdyż wcale nie spieszyło mu się do domu. Ta podróż ze wschodu na zachód, niczym podróż przez historię (cywilizacje następowały po sobie mniej więcej w tym właśnie porządku), zupełnie mu się nie podobała; zastanawiał się, czy ten ruch obrotowy będzie trwał w nieskończoność i czy kometa Cywilizacji, poświeciwszy nieco nad Ameryką, nie polecą znowu rozświetlić nieba Chin, Indii lub — co bardziej prawdopodobne — Eurazji. Może idea globalizmu wybuchnie w rękach Amerykanów i stolicą świata nie będzie Waszyngton, a Petersburg stanie się stolicą Europy...

W głębi duszy Robin nie czuł się złamany swymi doświadczeniami, lecz nagi — bardziej nagi niż w dniu swej inicjacji w Klubie.

Podczas regularnych przesłuchań wydał absolutnie wszystko — nie z tchórzostwa, ale przeciwnie, doskonale nad sobą panując, bo przecież nic, o czym mówił, nie było naprawdę tajemnicą — ani nazwisko dr Kirstena, ani innych członków Klubu, których znał, ani adres Kaaby, ani misje, które wypełnił, ani stopnie wtajemniczenia, ani struktura Organizacji, której nazwę (Klub) w końcu, przez zwykłe roztargnienie,

zdradził. Niczego się nie wstydził, bo doktryna Klubu zakładała, że „to, co nie może zostać wyjawione, jest niemożliwe do wyjawienia”, po co więc strugać bohatera? Jeśli chodzi o sekrety CIA, to były już one stare jak świat i nawet ci, co go przesłuchiwali (dwóch Rosjan w cywilu, bardzo zresztą uprzejmych, specjalnie przybyłych z Moskwy) nie przywiązywali do nich żadnej wagi.

Nie, jeśli Robin czuł się nagi i znieważony, to z powodu seansu charakteryzacji, kiedy jego ciało wykorzystano do wmówienia wszystkim wokół, że doznał cierpienia od Czeczenów, którzy przecież przyjmowali go niczym księcia. Za pomocą beżowego podkładu o lekko szarawym odcieniu wyszczuplono mu twarz, wyrzeźbiono zapadnięte skronie, „podkrażono” oczy, pogłębiono bruzdę między nosem a ustami. Jego mięśnie — na czole, łuku brwiowym, skroniach i wokół oczodołów same pracowały na rzecz wroga. Ach, ten ołówek boleśnie przyciskany do dolnej powieki! A on mógł tylko zgadzać się na wszystko, kiedy jego wróg charakteryzował go do roli, którą on sam sobie napisał! Samo kłamstwo nic nie znaczy. Ale obserwować, jak kłamstwem staje się nasze ciało, będące naszym najcenniejszym dobrem — to dopiero jest cierpienie.

Wracając do Stanów, Robin nie myślał o powrocie do domu. Miał zamiar stawić się w Klubie i zdać sprawę z misji ani udanej, ani nieudanej, podczas której trochę się ośmieszył. Plan przewidywał, że zostanie wyzwolony w zamian za okup, który stanowiłby sprytny sposób dostarczenia pieniędzy czeczeńskim buntownikom, a tymczasem uwolniony został nie przez przyjaciół, ale przez przeciwników. „Śmiertelna rana” mogła być wprawdzie kontynuowana i nie było powodu, żeby przerywać kampanię dezinformacji wymierzoną przeciwko Bojarom, ale Bojarzy byli już uprzedzeni i gotowi do riposty, więc operacja nie osiągnie zamierzonych efektów.

Sytuacja nie wyglądała jednak tak, jak to sobie wyobrażali Sangdeboeuf i Gołubiński, którzy rozumowali jak oficerowie wywiadu. W ich

pojęciu odnieśli najwspanialsze zwycięstwo świata w dziedzinie ofensywnego kontrwywiadu — dokonali przewerbowania agenta. W rzeczywistości jednak, Robin sam sobie wyznaczył swoją misję, więc nie musiał się tłumaczyć przed żadną władzą. W najgorszym razie nie uda mu się tym razem wspiąć na pierwszy poziom wtajemniczenia Klubu i stać się jednym z Patriarchów. Ale będą inne okazje, bo on sam nie uważał się za „przewerbowanego”, a Klub też nie będzie go tak traktował.

Poza wszystkim, miał powód do satysfakcji — w obliczu śmierci, której nie mógł przewidzieć, Robin zachował się godnie i to sprawiło mu prawdziwą przyjemność. On, członek globalistycznego Klubu, walczący o ujednoczoną ludzkość, w której mieszą się wszystkie rasy, cieszył się, bo ani Rosjanie, ani Francuzi nie ujrzeli strachu w oczach Amerykanina, dżentelmena z Południa, członka rodu Chastowów, wnuka „pułkownika Chastowa” z Chastow Plantation. Czyż to nie komiczne? „Jak te najgłupsze instynkty są w nas zakorzenione!”.

Rozstanie z Betty nie było miłe. Wicehrabina nie rozumiała, dlaczego opuszcza Czeczenię.

— Wszyscy powiedzą, że masz pietra.

— Opinia „wszystkich” jest mi obojętna.

— Zostałeś porwany i uwolniony — piękna przygoda! Banda Mansura już nie istnieje, nic ci więc nie grozi.

— Nie chodzi o zagrożenie, Betty.

— Jeśli masz mnie dosyć, to po prostu powiedz. W Czeczenii nie brakuje przystojnych facetów. (Jedna brew uniesiona). Mam wrażenie, że ten generał, który ma po dwa metry w każdą stronę, patrzył na mnie łakomie. (Druga brew w górze, nogi skrzyżowane i rozprostowane).

Robin nie mógł powiedzieć Betty, że się myli, że ze strony Czeczenów nic mu nie grozi, że nigdy nie został przez nich porwany i że jego misja w regionie Morza Kaspijskiego została zakończona właśnie dlatego, że zabito jego czeczeńskich przyjaciół. Jeśli uda mu się zrekonstruować

siatkę, być może wróci, ale w obecnym stanie rzeczy nie ma tu nic do roboty poza zajmowaniem się sierotami, które go w ogóle nie obchodzą. Nie przeszkadzało mu to, że okłamuje Betty, ale to, że kłamie tak kieszonko i sam czuł w tonie swego głosu, że powody, które jej podaje (konieczność zdania raportu prezesowi Bid for Kids, badania lekarskie, przesłuchanie w CIA) nie brzmią przekonująco. Akt pogodzenia w łóżku nie wypadł za dobrze i kochankowie rozstali się w kwaśno-słodkiej atmosferze, nie obiecując sobie ponownego spotkania, ani nie przysięgając, że już nigdy się nie zobaczą. Robin miękko zaproponował Betty, żeby wyjechała wraz z nim, chociaż na jakiś czas, ale został tylko ofuknięty:

— Biorąc pod uwagę pięćdziesięciu poległych mudzahedinów, raczej muszę się zająć powiększeniem sierocińca. Już poprosiłam męża, żeby uruchomił dodatkowe fundusze. Skoro nie musimy płacić okupu za ciebie...

Jedno dziwiło Robina. Oczywiście, wysłał do dr Kirstena zasztyfrowane sprawozdanie mailem, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Nawet potwierdzenia odbioru.

— Mam nadzieję, że stary kret żyje i ma się dobrze!

Robin rozmyślał o Hamlecie, wzywającym ducha swego ojca, bo dr Kirsten faktycznie przypominał kreta, nie tylko z powodu swego nieforemnego ciała, ale i poprzez skojarzenia z ciemnością, tajemnicą i ryciem niewidocznych tuneli w tkance społeczeństwa i historii.

Wysiadając na lotnisku Kennedy'ego, Robin stwierdził że głoszony przez Klub ideał „Człowieka totalnego” właśnie się urzeczywistnia. Anglosasi, Skandynawowie, Niemcy i Włosi pomieszani byli z Murzynami, Latynosami, Filipińczykami, Arabami, Żydami, Japończykami, Chińczykami. Najmniej było Indian, jako że Anglosasi niewielu ich zostawili przy życiu. Niespodziewanie (może to zmęczenie nastroiło go tak literacko) do głowy przyszedł mu cytat:

Jam jest Totalny Pies, syn wszystkich ludzkich ras;
W mych żyłach wyje krew, co płynie w każdym z was:
Ma dusza sforą jest, co siedząc w kręgu, śni...

Edmund Rostand, *Kogut* — jedna z ulubionych lektur Dziadka.

Roześmiał się w duchu: „Doprawdy, moja podświadomość nie jest zbyt poprawna politycznie!”.

Jak zwykle, zatrzymał się w hotelu „Algonquin”, gdzie zjadł samotną kolację. W myślach obracał wydarzenia ostatnich dziewięciu miesięcy, które wydały na świat jego nowe wcielenie, będące jeszcze dla niego wielką niewiadomą.

Liczne telefony do dr Kirstena nie dały żadnego efektu. Następnego dnia wynajął kolejny Oldsmobile Intrigue, żeby pojechać do Varsity — może w jego skrytce pocztowej w Kaabie czeka na niego jakiś list?

10

Varsity nie wywarło na nim już takiego wrażenia, jak poprzednimi razy.

Te gęsto porośnięte bluszczem ściany budynków, które zdawały się chwiać na wietrze, ta konwencjonalna i — jak mu się teraz zdawało — nieco demagogiczna architektura, ten taśmowy układ akademików i gazonów, miły dla oka i kojący dla wyobraźni, ta wszechobecna brytyjskość — wszystko to sprawiło, że poczuł się skrepowany. I jeszcze te kościoły i kaplice! Dla każdego coś miłego. Snuł się po opustoszałych alejkach, po których zimą przewalają się tłumy, rozpoznając każdy glif, każdą wieżyczkę i dziwiąc się, jak bardzo czuje na sobie ich piętno. Tym razem żadnych płomieni i proporców — to nie ta pora roku. Przezroczysta kopuła czarnej, marmurowej Kaaby pojawiała się tu i tam w perspektywie alei, ale nie czuł się jeszcze na siłach, żeby się z nią zmierzyć. Szedł więc przed siebie, myśląc: „Więc jak to? To Varsity, które tak kochałem, jest tylko zwykłym kampusem, trochę pretensjonalnym, robiącym wrażenie na prowincjuszach, którzy przybywają tu ssać mleko *alma mater*? I wyrzucał sobie te myśli, gdyż nienawidził romantycznej nuty rozczarowania.

W ten sposób dotarł do domku dr Kirstena. Okiennice były zamknięte — jak wiele innych. Profesorowie spędzali wakacje w swoich letnich domach w Vermoncie czy Nowym Meksyku, ewentualnie polecieli szlifować hiszpański w Salamance lub chiński w Pekinie. Poszedł

do biblioteki, w której spędził tyle godzin. Dominujący nad wielką salą ostrołuk przywitał go kolejny raz wygrawerowanymi w kamieniu słowami z Biblii: PRAWDA WAS WYZWOLI. Wydało mu się to równie śmieszne, jak diaboliczny napis nad bramą Auschwitz: *Arbeit macht frei* [Praca czyni wolnym] i wzruszając ramionami odpowiedział tak, jak to uczynił dwa tysiące lat wcześniej Poncjusz Piłat: „Cóż to jest prawda?”. Jedna z bibliotekarek rozpoznała go.

— Ach! Był pan takim pracowitym studentem, *mister* Chastow! Nic dziwnego, że osiągnął pan sukces w życiu.

Spytał o dr Kirstena.

— Doktor Kirsten — odparła bibliotekarka, bardzo uważając, żeby nie użyć rodzaju męskiego ani żeńskiego — przebywa obecnie w Niemczech, w Tübingen. Wiem, że zawsze pan był jednym z pupilów... — dorzuciła z uśmiechem.

Robin wciąż nie miał odwagi wejść do Kaaby. Poszedł na obiad do „Black Jacka”, tawerny, gdzie w jednej z dębowych ław wyciął niegdyś nożem swoje nazwisko. Wykonanie tego arcydzieła zajęło mu wtedy kilka godzin, a teraz musiał się zdrowo naszukać, żeby tę ławę odnaleźć, gdyż została gdzieś przestawiona. Kazał sobie podać „Molsona” — jego ulubione kanadyjskie piwo. Żując i popijając, wciąż sobie powtarzał:

— Co się ze mną dzieje? No, co się ze mną dzieje?

Nie był chory, nie był smutny, był tylko zdenerwowany. A nerwość była, jego zdaniem, oznaką złego wychowania lub błędu genetycznego. Kelnerka — studentka pierwszego roku, pracująca, żeby opłacić chesne, zerkąła na niego, biorąc za jednego z tych *dirty old men* [Starych lubieżników], ale nie udało jej się go rozchmurzyć. W końcu nie wytrzymał, wskoczył do samochodu, wrzucił bieg wsteczny, o mało

nie zderzył się z innym samochodem, który wyjeżdżał z parkingu w tym samym momencie, i pełnym gazem ruszył w stronę Kaaby.

Zatrzymał się pod czarnym, lśniącym sześcianem.

Pamiętał dzień, który dwadzieścia lat wcześniej spędził w tym budynku, nagi i w towarzystwie innych nagich młodych ludzi, odpowiadając na pytania. Ponownie przeżywał tamte odczucia i porównywał je z tymi, których doznał ostatnio, w Jaskini Szamilewskiej, stojąc z nosem przy dywanie z Samarkandy i słuchając tego, co za jego plecami mówią Francuz i Rosjanin, na których łaskę i niełaskę był wtedy zdany. W tamtej chwili jego amarantowa i haftowana złotem *aaba* była jak nagość — mimo pozorów, jeszcze bardziej radykalna niż ta prawdziwa. Operację „Śmiertelna rana” przemyślnie skonstruował jego umysł, więc to jego umysł był nagi pod spojrzeniem tamtych dwóch mężczyzn, a jego życie pozbawione zostało jakiegokolwiek wartości — odebrane lub darowane, dla niego znaczyło wszystko, a dla nich nic. Pod tym podwójnym spojrzeniem, które przewiercało go od tyłu, nie był wart więcej od żaby pod laboratoryjnym skalpelem. Przypomniawszy sobie, że w tamtej chwili absurdalnie zatroszczył się o *aabę* — zastanawiał się, czy kula uderzy w jego kark czy w plecy i wołał, żeby w kark, bo wtedy nie zostanie przedziurawiony surowy jedwab...

Przypomniawszy sobie także inne zdarzenie.

Do zdjęć zdjął, rzecz jasna, szlafrok. Kiedy jednak, po skończonym przesłuchaniu, Gołubiński i Samson kazali mu zidentyfikować własny sprzęt — radio, Inmarsat, BLU, GPS, który został „skradziony” przez bandytów, a teraz miał zostać mu „zwrócony” przez armię rosyjską (zdjęcie), Gołubiński podniósł rzucony na kanapę szlafrok i podał mu go, mówiąc uprzejmie:

— To, zdaje się, także należy do pana.

Robin dosłyszał w tym więcej niż uprzejmość. Wydało mu się, że oddając mu ten zbytkowny przedmiot, Gołubiński z satysfakcją przypominał mu upokarzającą sytuację, w której znajdował się, gdy po raz

ostatni miał go na sobie — upokarzającą tym bardziej, że uległ pokusie zupełnie niewybaczalnej dla zawodowca i nie zostawił szlafroka w sierocińcu w dniu swojego „porwania”. Tak, kochał ten szlafrok jakąś dwuznaczną miłością. Kiedy Szahid mu go podarował w dniu, w którym także musiał rozebrać się do naga, stał się on dla niego symbolem „Śmiertelnej rany”, operacji, z której był tak dumny; teraz zaś był on jedynym, co pozostało po tamtym szalonym i dzielnym człowieku, który, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, po prostu sobie z niego zadrwił. Prawdę mówiąc, był tak przywiązany do tego przedmiotu, że o mały włos byłby go zniszczył, żeby się za to ukarać, ale w końcu uległ pokusie zatrzymania go. Teraz szlafrok znajdował się w torbie na dnie bagażnika samochodu, a on myślał z dziwną rozkoszą o tym, jak wieczorem założy go na siebie raz jeszcze i wdychając jego korzenny zapach, będzie czuł lekkie drapanie złotych nitek na swojej skórze. Położył dłoń na stalowych drzwiach.

Przez głowę przelatywały mu absurdalne myśli — a jeśli zmieniono kod do drzwi wejściowych? A jeśli rozwiązano Klub? A jeśli jego skrytkę przydzielono już innemu członkowi?

Ale wszystko było w porządku. Drzwi posłusznie ustąpiły po użyciu elektronicznego klucza. Poczta wciąż znajdowała się na końcu prawego korytarza, a przez małe okienko dojrzał, że w jego skrytce leży jakiś list. Była to gruba koperta, w której wymacać można było coś na kształt broszury lub notesu. Na kopercie nie było numeru celi — Robin mógł ją więc otworzyć na miejscu, ale się powstrzymał. Choć teraz, pod koniec czerwca, Kaaba wydawała się całkiem pusta, nie było gwarancji, że jakiś inny członek Klubu nie znajduje się w pobliżu, gotowy zajrzeć przez ramię lekkomyślnego kolegi. Robin wrócił do wynajętego samochodu, w którym czuł się trochę jak u siebie.

Usiadł za kierownicą, położył kopertę na kolanach, a dłonie na kopercie, jakby palcami próbował wyczuć, co zawiera. Przez głowę przelatywały mu najbardziej absurdalne myśli. Przesyłka wybuchnie mu w

rękach, gdy ją otworzy. Znajdzie w niej rozkaz popełnienia harakiri. Dowie się, że został wykluczony z Klubu (wiedział jednak, że tego się nie praktykuje).

Zmusił się, żeby otworzyć kopertę, rozrywając ją jak najdelikatniej.

Ze środka wyjął oprawiony w biały safian zeszyt.

Znajdująca się na okładce cyfra 1 nie została wydrukowana, ale wycięta, tak misternie, że było przez nią widać pierwszą stronę — białą, o zaokrąglonych rogach, z zatopionymi w papierze kilkoma źdźbłami słomy. Na pierwszej kartce — nic. Na drugiej — nic. Na kolejnych — nic. Na ostatniej — nic. Robin policzył — było ich 20, co dawało 40 stron, a 40 symbolizuje w Biblii wysoką, ale nieokreśloną liczbę.

Ujął zeszyt za grzbiet i potrząsnął nim, żeby się upewnić, że nic nie ma w środku. Wypadł z niego jakiś kartonik, który ześliznął się na podłogę. Robin musiał się schylić i poszukać go między pedałami, z trudem wciskając tam palce. Dwa razy podnosił kartonik i dwa razy go upuszczał. Ogarnął go strach i kiedy wreszcie udało mu się uchwycić kartonik, najpierw zaczął go odczytywać do góry nogami. W końcu przeczytał:

Patriarcha Robin C. Chastow III proszony jest o stawienie się w Panama City Beach na uroczystość inicjacji na pierwszy stopień wtajemniczenia.

Nie podano dokładnego miejsca ani daty, ani godziny.

Poza tym nie całkiem jasno wyznaczonym spotkaniem, Robin nie miał nic do roboty. Wiedział, że jeśli wróci do Atlanty, wszyscy będą chcieli z nim rozmawiać o jego niewoli czeczeńskiej — wywiady dla „Atlanta Constitution” i „Atlanta Journal”, dla stacji telewizyjnych i radiowych, przyjęcia w Piemont Driving Club, w kościele episkopalnym... Lepiej było poczekać, aż kurz nieco opadnie.

Wsiadł więc do Intrigue i niespiesznie przejechał Stany z północy na południe. Zatrzymywał się w motelach, a kolację jadał w barach, oglądał najgłupsze seriale telewizyjne i poddawał się poetyckiej aurze amerykańskich autostrad, które różnorodność krajobrazów przekształcają w taką monotonię. Przejechał przez Nową Anglię, ojczyznę *waspów*, przekroczył linię Mason-Dixon, która rozdzieliła abolicjonistów i zwolenników niewolnictwa, ominął Waszyngton, który już nie pamiętał, że został niegdyś spalony przez Anglików, przeciął Wirginię, najbardziej snobistyczny ze wszystkich pięćdziesięciu stanów, Karolinę Północną, Karolinę Południową i przez Smoky Mountains dotarł do rodzinnej Georgii.

Przez wszystkie te godziny spędzone za kierownicą rozmyślał na dwa tematy.

Chwilami myślał o tym, że stając się Patriarchą, zrealizował swoje ambicje i ambicje swego dziadka i dzięki temu otwiera się przed nim nieskończenie szersze pole do działania. Zastanawiał się, rzecz jasna, czemu zawdzięczał ten awans, skoro jeszcze nie zdał sprawy z ostatniej

misji — czyżby Patriarchowie wierzyli w jej powodzenie na podstawie jego dotychczasowych osiągnięć? A może ktoś umarł i powstały wakat przyspieszył ich decyzję? Ciekawy był także, rzecz jasna, jaka wiadomość czeka na niego w Panama City Beach (dlaczego właśnie w Panama City Beach?), ale nie niepokoił się tym zbyt. Jak do tej pory, wszystkie zwroty i przeskok, które towarzyszyły jego kolejnym awansom ze stopnia na stopień, udało mu się zaakceptować i przyjąć bez zastrzeżeń — stały się one niejako częścią jego samego. Jeśli więc zostali Patriarchowie postanowili przyjąć go do swego grona, to znaczy, że kolejna przemiana (która z pewnością nastąpi) także odbędzie się bezboleśnie. Być może, dzięki nowej funkcji, będzie miał okazję zemścić się na Gołubińskim i Bojarach.

Chwilami zaś, patrząc na te rozległe, porośnięte milionami sosen równiny i wzgórza, myślał o tym, czym Stany Zjednoczone są dla świata. Po pierwszym okresie, naznaczonym przez Sir Waltera Raleigha, w którym Ameryka została po prostu podbita i skolonizowana (jak niezliczone kraje przed nią i po niej), stała się ona schronieniem dla wszystkich upokorzonych i uciśnionych świata — baptystów i anabaptystów, duchoborców [Sekta religijna wspierana przez Lwa Tołstoja], więźniów sumienia, polskich i rosyjskich Żydów, biednych Greków, biednych Włochów, antykomunistycznych Rosjan, antynazistowskich Niemców. I dla nich wszystkich, gdy tylko przeszli przez drakońskie sito Ellis Island, pod przenikliwym spojrzeniem oświetlającej świat Wolności, Ameryka stawała się, niczym w *West Side Story*, ucieleśnieniem marzenia. Najzabawniejsze, że kiedy ci „prześladowani” przestali być prześladowani, sami zaczęli prześladować innych, mordując Indian, niewolniczo eksploatując Murzynów, kradnąc Teksas i Kalifornię Meksykanom i odgrywając baszów w Ameryce Południowej, a potem na całym świecie. W jakimś sensie amerykańska przygoda nie różni się specjalnie od biblijnej przypowieści o dłużniku, któremu darowano długi, a on zaraz

poleciał się rzucić do gardła własnym dłużnikom.

W Stanach odległości są tak wielkie, że nawet jedno- lub dwudniowe objazdy wydają się niczym, jeśli ma się przed sobą sporo czasu. Robin nie miał zresztą ochoty się spieszyć na tajemnicze spotkanie w Panama City Beach, jakby się go bał lub nazbyt go pragnął. O ile nie miał ochoty zatrzymywać się w Atlancie ani oglądać teraz Chastow Plantation, o tyle wydawało mu się stosowne zboczyć z drogi w kierunku Vidalii, żeby złożyć wizytę swojej byłej żonie i dzieciom, którzy musieli śledzić w telewizji historię jego porwania i uwolnienia i być może ucieszą się, widząc go całym i zdrowym. Zatrzymał się więc w motelu i zatelefonował. Dawid wydawał się zachwycony, słysząc jego głos w słuchawce.

— Witaj, awanturniku! Podobno odwiedziłeś czeczeńskie haremy! Wróciłeś? Kiedy się pojawisz, żeby nam o wszystkim opowiedzieć? Nie chcesz przyjechać dziś wieczorem? Za późno? No, dobra, przyjedź jutro na śniadanie. Założę się, że w Czeczenii nikt ci nie zrobił takiej *grits*, jaką umie przyrządzić Connie.

Robin powstrzymał grymas. Nie był miłośnikiem kaszy kukurydzianej, która jest głównym punktem programu śniadania Południowców, a jeszcze mniej doceniał tę, która gotowała jego była żona. Przyjął jednak zaproszenie, obiecując sobie, że nie zabawi tam zbyt długo.

Tym razem nie zapomniał o prezentach dla dzieci — grze elektronicznej dla Robina i lalce z Georgii, którą przechrzczył na czeczeńską, dla Christobel. Wkrótce jednak miał się przekonać, że popełnił o wiele gorszą gafę.

Zatrzymawszy Intrigue przed małym domkiem Dawida, stwierdził, że jego lewa kolumna nadal jest przyozdobiona flagą Konfederatów, za to prawa została udekorowana gwiazdzystym sztandarem federalnym i oba te symbole smętnie zwisają w bezwietrznym powietrzu, niczym

dwa martwe ptaki powieszono za ogon, żeby odstraszać żywe. Dawid był nostalgicznym Południowcem i od zawsze miał symbol Dixie na swoim domu, który traktował jak swoją twierdzę. Był też wiernym amerykańskim patriotą i oddawał trójkolorowej fladze należny jej hołd. Jednak afiszowanie się z tymi uczuciami, które po *Nine-Eleven* stały się tak banalne... To było zupełnie niepodobne do Dawida.

On jednak wyglądał jak zawsze. Stał na szczycie schodów na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na biodrach, palcami skierowanymi do dołu, piersią wypiętą, w tak charakterystycznej dla siebie pozie kowboja. Miał na sobie dżinsy i koszulę w kratę, zwaną *wife-beater* [Mąż, który ma zwyczaj bić żonę („damski bokser”)]. Zęby błyszczały jasno w jego kościstej i ogorzalej twarzy. Wydawał się szczerze zachwycony widokiem byłego męża swojej żony.

— Więc udało ci się z tego wykaraskać? Brawo! Kto cię bardziej sponiewierał — przekłęci Czeczeni czy przekłęci Ruscy?

Ich dłonie uściśniły się mocniej niż zwykle. Twarze — surowa i gładka — uśmiechały się do siebie.

— Nie wiedziałem, że jesteś miłośnikiem barw narodowych — rzekł Robin, wskazując ruchem głowy na *Stars and Stripes* [Gwiazdy i paski — flaga amerykańska].

— To długa historia. Chodź, najpierw przywitaj się z Connie. Bardzo się o ciebie niepokoiła, nie masz pojęcia, jak bardzo.

Robinowi było nieprzyjemnie usłyszeć właśnie z ust Dawida, że Konstancja się o niego niepokoiła i nie był pewny, czy Dawid nie powiedział mu tego właśnie po to, by mu było nieprzyjemnie. W tym momencie zobaczył, że w drzwiach ukazała się Konstancja, która do krzepkiej piersi przytulała ubrane na różowo niemowlę. Zapomniał, że oczekiwała dziecka i zmieszał się, gdyż nawet nie mógł tego faktu ukryć, bo nie przywiózł dla niemowlęcia żadnego prezentu. Nie lubił popełniać gaf, a tym razem było mu szczególnie niemiło, bo niemiła mu

była myśl, że Konstancja, jego Konstancja nosiła w sobie i wydała na świat dziecko Dawida. To uczyniło ich związek przesadnie oczywistym, w jakiś sposób sprośnym. Dziecko wydało mu się monstualną kopią penisa Dawida i poczuł niesmak.

— Jak on, znaczy chciałem powiedzieć, ona ma na imię? — spytał, żeby ukryć zażenowanie, mając jednocześnie świadomość, jak bardzo nie pasuje do niego zachwycanie się urodą niemowlęcia.

W tym momencie zobaczył, jak Konstancja wytrzeszcza oczy i usłyszał jej krzyk:

— Robin, jesteś zupełnie siwy!

— Jak to?

— A tak to, staruszku, posiwiałeś — potwierdził Dawid. — Musiałeś tam spędzić paskudne chwile. Wchodź do środka.

Robin wszedł. Nad kominkiem wisało lustro i przesunawszy wazon z kwiatami, Robin stwierdził, że jego kasztanowe włosy rzeczywiście mocno posiwiały — zwłaszcza jeden, opadający mu na czoło kosmyk był teraz żółtawo-biały, co wyglądało dosyć odpychająco. Żaden problem, jego fryzjer z Atlanty znał się na płukankach, więc gdy kosmyk nabierze srebrzystej barwy, będzie nawet pociągający. Tym, co niepokoiło Robina, był jednak fakt, że przez wszystkie te dni golił się, mył zęby i czesał, a nie zauważył tych zmian. Nieprawdopodobne. Nigdy się nie dowie, czy ta transformacja nastąpiła nagle czy stopniowo. Niepokojące.

Nadbiegł Robin IV i Christobel. Robin dał im prezenty i wykrztusił usprawiedliwienie, jeśli chodzi o najmłodszego:

— Nigdy nie wiem, co się daje takim maluchom. (Nie wiedział, czy rodzice się na to nabrali. Nie, na pewno nie. Przecież ani razu nie spytał o zdrowie Konstancji, a oni nie przysłali mu zawiadomienia...). Więc jak właściwie ma ona na imię?

— Georgia — rzekł dumnie Dawid.

Starsi ociągali się z otwieraniem prezentów — oglądali ojca z wszystkich stron, z dumą i podziwem.

— Czy to prawda, że to Rosjanie cię uwolnili, ojcze? — spytał Robin.

— Czy Czeczeni byli dla ciebie bardzo niedobrzy, ojcze? — spytała Christobel.

Dla swoich dzieci był teraz bohaterem, którego widziały w telewizji, i o którym ich koledzy rozprawiali przez trzy dni bez przerwy. Sława jego fałszywej niewoli i pozornego uwolnienia okryła także jego potomstwo. To go złościło. I choć do prawdy przywiązywał niewielką wagę, trudno mu było teraz opowiadać komukolwiek, a zwłaszcza swoim dzieciom i zwłaszcza w obecności Konstancji i Dawida, przygody, których nie przeżył. Odpowiadał więc monosylabami, „tak”, które znaczyło „nie”, oraz „nie”, które znaczyło „tak”.

Śniadanie było dokładnie tak paskudne, jak przewidział. Bardzo chętnie obyłyby się nie tylko bez *grits*, ale i bez małych kiełbasek, smażonych jajek i naleśników polanych syropem klonowym. O kawie lepiej nie mówić! Już dawno zdążył się odzwyczaić od wodnistej, zabarwionej na brązowo lury, którą Amerykanie nazywają kawą.

Za to Konstancja była o wiele bardziej uprzejma niż zwykle — z pewnością, niewola byłego męża obudziła w niej instynkty macierzyńskie. Zaczął się nawet zastanawiać, czy to nie z jego powodu ukryła tego dnia swoje kuszące nogi w białych spodniach.

Odprężył się dopiero wtedy, gdy Dawid opowiedział jeden ze swoich kawałów.

— A to znacie? Dyskutuje trzech pastorów i dochodzą do wniosku, że ich grzechy jednak sporo ważą, więc ten katolicki pomysł ze spowiedzią to całkiem niezła sprawa. Oczywiście, nie wierzą w rozgrzeszenie, ale tak czy owak, mogliby od czasu do czasu, w największej tajemnicy, zwierzać się sobie nawzajem ze swoich grzechów i doznawać ulgi. Przystają na to. „Moim grzechem jest rozwiązłość — mówi pastor presbiterian. — W każdy sobotni wieczór posuwam żonę diakona, bez tego

nie byłbym w stanie w niedzielę wygłosić kazania”. „Moim grzechem — mówi metodysta — jest alkoholizm. Zdarza mi się dyskretnie strzelić sobie piwko”. „Ze mną jest jeszcze gorzej — mówi baptysta. — Moim grzechem jest plotkarstwo. Jak mi ktoś powierzy sekret, natychmiast muszę go rozpowiedzieć całemu miastu. A teraz życzę wam dobrej nocy”.

Kiedy tylko nadarzyła się okazja, Robin dał stamtąd drapaką, wymawiając się ważnymi spotkaniami. Cała rodzina odprowadziła go do samochodu, który tym razem dzieci podziwiała z nabożnym zachwytem. Robin IV spytał, czy wkrótce znowu zobaczą ojca w telewizji. Christobel uwiesiła się na jego ramieniu. Piękna Konstancja nadstawiła mu do pocałowania policzek. Dawid przyglądał się tej scenie z rękoma na biodrach i miną zadowolonego ze swego stadka *pater familias*. Robin siedział już za kierownicą i opuścił szybę, żeby powiedzieć wszystkim do widzenia, kiedy Dawid zbiegł ze schodów.

— Pytałeś mnie o tę flagę.

— Od przybytku głowa nie boli. Czy jednak nie wydaje ci się, że w naszych czasach jest w tym jakaś sprzeczność?

— Sprzeczność?

— Między sztandarem niewolnictwa i flagą demokracji!

Była to, rzecz jasna, kpina, ale nie na pierwszy rzut oka. Robin wiedział, oczywiście, że Południe nie biło się o utrzymanie niewolnictwa, ale o wolny rynek, i że dla Stanów Zjednoczonych demokracja oznacza przede wszystkim przedsiębiorczość.

— Oj, Robinie, przecież dobrze wiesz, że zawsze miałem chorobliwą słabość do przegranych spraw.

— Mówisz o największej potędze świata! Trochę szacunku, bardzo proszę. Nie sądzisz chyba, że kilku nędznych arabskich fanatyków, którzy pod pretekstem, że nam rozwalili dwie wieże...

— Nie o to chodzi, Robinie. Ameryka nie może zostać rozbita od zewnątrz. Ale od środka to już się w połowie dokonało.

(*Redneck* [Dosłownie „czerwony kark” — wieśniak] był dziwnie poruszony, co dodawało mu elokwencji). Narkotyki, globalizm, prawa obywatelskie, Akcja Afirmatywna, poprawność polityczna, ropa, *New Age*, *New World Order*... Nasza stara, dobra Ameryka, Ameryka pionierów, Ameryka czystego serca, Ameryka, która zajmowała się głównie filantropią i indykiem w Dniu Dziękczynienia...Ta Ameryka zniknęła. I dlatego wywiesiłem jej flagę, tak jak wywieszam flagę Południa. Dla uczczenia pamięci zmarłych.

I jako typowo amerykański feminista-obłudnik poczuł się w obowiązku dorzucić (Konstancja słuchała):

— Connie się ze mną zgadza.

— Tak — rzekł Robin sarkastycznie — tak, Ameryka Normana Rockwella umarła i została pochowana. Jesteście tego żywym dowodem, prawda?

Panama City Beach to ucieleśnienie pojęcia horyzontalności. Jest to długi pas wybrzeża na krańcu Zatoki Meksykańskiej, mniej więcej pośrodku tej części Florydy, którą nazywa się „trzonkiem rondla”. Nie ma tu nic poza plażą z białego piasku i rozciągającą się jak okiem sięgnąć powierzchnią szmaragdowej, słonej wody. W pejzażu tym nie ma nic pionowego, choć kilka kęp rosnących ukośnie palm kokosowych próbuje dać tego chwiejną namiastkę. Mało tam domów mieszkalnych i sklepów, za to motele i hotele, wielkie i małe, ciągną się całymi setkami, niczym klocki, usiłując różnić się od siebie wzajemnie, żeby przyciągnąć klienta, co jest daremnym trudem, bo klient nie lubi różnic. Klient chce za swoje pieniądze oglądać biały piasek i szmaragdową wodę, a ponieważ tego towaru jest akurat w Panama City Beach pod dostatkiem, klient jest ogólnie rzecz biorąc zadowolony, niezależnie od tego, czy zatrzymał się w hotelu nędznym czy luksusowym. Poza wszystkim, tylko nieliczni zadają sobie trud wyprawienia się z motelu nad morze, gdzie ryzykują, że zmoczy ich jakaś fala — potrzebę kąpieli całkowicie zaspokaja przyhotelowy basen. Klienci Panama City Beach należą przeważnie do dwóch kategorii ludzi — studentów lub rolników, stąd też plaża ta nazywana jest albo „światową stolicą letnich wakacji”, albo „riwierą wieśniaków”.

Robin zatrzymał się w najwygodniejszym motelu, jaki udało mu się znaleźć. Lubił anonimowość moteli i fakt, że twarz kierownika ogląda się w nich tylko raz — w dniu przybycia, bo zaraz po tym, jak przyjmuje on pieniądze za cały pobyt z góry, znika gdzieś w swojej norze, skąd

wypełzył wyłącznie po to, żeby zainkasować należność. Tym razem jednak ten mechanizm zawiódł, gdyż Robin musiał zatrzymać się tam na dłużej, niż przewidywał.

Po zameldowaniu się musiał się czymś zająć, czekając, aż Klub się z nim skontaktuje. A „zajęcie się czymś” w Panama City Beach to zadanie żywo przypominające pracę Syzyfa, chyba że się lubi place zabaw, ale Robin nie bardzo się widział na karuzeli lub na zjeżdżalni. Były tu jeszcze rejsy z kapitanem Davisem, wyprawy na ryby z kapitanem Andrew, nocne kluby o sugestywnych nazwach „The Curve”, „Show'n Tail” [*Curve* — krzywa, niebezpieczny zakręt, ale także kobiece kształty; nazwa drugiej knajpy to gra słów, którą można przetłumaczyć jako „Pokaz d... Maryni”] czy wreszcie „La Vela”, który zatrudniał pięć kapel, miał trzynaście parkietów i czterdzieści osiem barów dla około siedmiuset klientów. Te atrakcje Robina też nie pociągały. Było tam również muzeum morza, posiadające w swojej kolekcji wraki nawet z szesnastego wieku, ale zwiedzenie go nie zabrało dużo czasu. Poza kontemplowaniem wschodów i zachodów słońca z wysokości miejskiego nabrzeża, kilkoma kąpielami w zatoce, wizytą od czasu do czasu w pralni, paroma kieliszkami wypitymi w barze i połkniętymi w restauracji ostrygami (Robinowi nawet nie przyszło do głowy, żeby skorzystać z kuchenki w apartamencie), nie miał w Panama City Beach naprawdę nic do roboty, co dla tak aktywnego człowieka jak on wkrótce stało się nie do zniesienia. Spacerować? Słońce prażyło jak szalone. Przejazdźki samochodem? W promieniu stu mil nie było nic do oglądania....

Oczywiście, nawet ze swym białym kosmykiem Robin bez trudu mógł poderwać jakąś plażowniczkę, ba, mógł je zmieniać jak rękawiczki, ale nie był w nastroju do amorów. Kiedy raz jeden na plaży pozwolił się wciągnąć w rozmowę kobiecemu ciału przyodzianemu w dwa różowe sznureczki, był absolutnie zdegustowany stylem panienki.

— Nie do wiary — powiedziała — jak mi pan przypomina tego faceta z telewizji — no, tego, który został zgwałcony przez Czeczenów.

— A, pewnie ma pani na myśli Chastowa — odpowiedział Chastow. — Nie wiedziałem, że został zgwałcony.

— O, na pewno — upierała się owa urodzona optymistka. — Oni zawsze to robią.

Uzyskawszy tę cenną informację, Robin zrezygnował z podrywania.

Na domiar złego, kiedy trzeciego dnia poszedł się wykąpać, ujrzał wokół siebie kilka milionów meduz. Na wodzie, aż po horyzont, unosiły się wokół niego galaretowate, przezroczyste, opalizujące parasolki z cienkimi parzydełkami na brzegach. Robin wycofał się pospiesznie, ale nie zdołał uniknąć poparzenia i dostał pokrzywki. Nie wrócił już więcej do wody, ograniczając się do długich sjest na plastikowym szezlongu i kontemplowania delfinów tańczących w morzu farandolę, wyskakujących na powierzchnię i z pluskiem wpadających do wody, lub pelikanów przelatujących o stałej porze nad jego głową.

Całymi dniami czekał na nieznanego gościa, który przybędzie do niego, Patriarchy Roberta Chastowa III, żeby mu oznajmić, czego Klub od niego oczekuje. Ale nikt się nie zjawiał. Każdego wieczora włączał komputer, sprawdzając pocztę. Żadnego maila nie było.

Bezczynność wprawia w nastrój kontemplacyjny. Ktoś inny pewnie wykorzystałby ten czas na podsumowanie swojego życia, albo w formie rachunku sumienia, albo po prostu wspomnień. To jednak nie leżało w naturze Robina. Jego życie było nierozzerwalnie związane z Klubem, więc nie wiedząc, co Klub chce z nim począć, jego życie — przeszłe, teraźniejsze czy przyszłe — nie interesowało go w najmniejszym stopniu.

Powoli, najpierw z dnia na dzień, potem z godziny na godzinę, a w końcu z minuty na minutę, zaczęła do niego docierać prawda — absolutnie nie do przyjęcia, a jednak podświadomie zaakceptowana. Jak rak. Nieprawdopodobna i pewna. Bardziej dotkliwa od najstraszniejszego bólu i bardziej nieuchronna od śmierci. Oślepiająca. Ogłuszająca.

Nawet gdy już nabrał absolutnej pewności, dał sobie jeszcze dziesięć dni. To było nazbyt straszne. Pod koniec szóstego poczuł, że wyczerpała się jego cierpliwość, nadwyrężyła godność i znikła możliwość pomyłki. Wiadomość od Klubu została mu przekazana.

Robin spakował walizki, jeszcze raz na próżno rzucił okiem na komputer i wyjechał.

Jeśli kodeks moralny Anglosasów, który Robin odziedziczył, przyjął za własny i udoskonał, zawiera jakiś formalny zakaz, to jest nim *self-pity*, czyli użalanie się nad sobą, uważane za szczyt niestosowności. Tym razem jednak, być może z powodu kilku kropli francuskiej krwi w swoich żyłach, Robin nie był w stanie oprzeć się ogarniającemu go *self-pity*. Jechał swoim luksusowym Oldsmobilem Intrigue, sam nie wiedząc, dokąd (na pewno nie jechał na południe, bo Zatoka Meksykańska stanowi naturalną granicę), jakby prowadzony przez automatycznego pilota. Przypominał sobie odpowiedź, której udzielił podczas ceremonii inicjacji w Klubie, gdy go spytano, czego się boi najbardziej na świecie: „Odkrycia, że świat nie jest takim, jakim go sobie wyobrażam, a raczej, że jest tylko takim, jakim go sobie wyobrażam”. Teraz był pogrążony w takiej właśnie rozpacz, a raczej (z rozpacz, można się pewnego dnia podnieść) w beznadziei — bez dna i prawdopodobnie bez końca.

Chwilami zastanawiał się, czy czułby się tak samo, gdyby go wykluczono z Klubu, zamiast awansować. Skutek byłby mniej więcej ten sam, ale ból nieporównywalnie mniejszy. Porzucony kochanek pociesza się, powtarzając sobie, że przynajmniej był kochany, a Robin mógłby sobie mówić, że sprawa, o którą walczył Klub, była piękną sprawą, a on dobrze jej służył. Tymczasem w Panama City Beach zrozumiał, że nie został wykluczony z Klubu, bo Klub już nie istnieje, a właściwie nie istniał nigdy lub co najmniej od wielu pokoleń. Ten nieistniejący Klub

skonstruował doskonały system wychowawczy. Gdyby on, Robin, nie był prowadzony od jednego stopnia wtajemniczenia do drugiego, od pierwszego do dwunastego, nigdy nie pojąłby znaczenia stopnia trzynastego, nie umiałby zinterpretować symboliki białego zeszytu o białych kartkach, tego dziwnego Panama City Beach i braku kontaktu. Być może, spędziłby resztę życia, siedząc nad Zatoką Meksykańską i czekając na posłańca, który nigdy nie nadejdzie. A może ciskałby się, próbując zadawać pytania innym członkom Klubu... Ale nie z nim takie numery. Szczegóły całej mistyfikacji jeszcze mu umykały, ale całość jasno układała się w umyśle. Klub był grą, filozofią, farsą, stowarzyszeniem wzajemnie się wspierających ambitnych osobników. Nie był jednak klubem — nie Klubem.

W sumie było to takie oczywiste. Tak jak Kaaba nie zawierała żadnych ponurych, ezoterycznych akcesoriów, tak i Klub był zupełnie pusty. Jego tajemnica sprowadzała się do tego, że go nie było. W gruncie rzeczy, ogłosiwszy ideę „Człowieka totalnego”, aseksualnego i sklonowanego mieszańca, do jakiej jeszcze można było aspirować tajemnicy, jeśli nie do nicości? Robin czuł nieskończoną gorycz — nie tylko za siebie samego, ale i za Dziadka, który miał to szczęście, że nie dotarł do najwyższego poziomu i nie dowiedział się, że kpiono sobie z niego przez całe życie. Prowadził i myślał o tym, jak wyprowadzono go w pole.

Jechał całą noc i cały dzień, nie jedząc, nie pijąc i zatrzymując się jedynie po to, żeby zatankować.

Miewał napady wściekłości, kiedy czuł, że mógłby zamordować dr Kirstena. Kiedy indziej znów myślał o samobójstwie. Po co żyć, skoro nie ma już po co?

Zawsze był sam, ale o tym nie wiedział. Teraz zaczął sobie z tego zdawać sprawę.

Od czasu do czasu myślał: „Kupię sobie psa. Albo kota”.

I jego gruczoły łzowe zaczynały reagować.

Pomyślał o koniach swego dziadka, które od dawna już nie żyły i pierwszy raz za nimi zatęsknił.

Co mu teraz zostało z życia? Nic, bo w nic nie wierzył. Przecież nie będzie się nadal zajmował Bids for Kids!

Poczuł tak wielką potrzebę wyzalenia się, że zadał sobie pytanie, kto jest mu najbliższą osobą.

Betty? Nie. W Betty tak naprawdę kochał tylko nogi. Jego dzieci? Teraz miały innego ojca, który w coś wierzy, i który nauczy je w coś wierzyć. Konstancja była tylko nieporozumieniem. Doktor Kirsten? Doktor Kirsten nigdy mu nie był bliski, teraz zaś stał się tak daleki, jak to tylko możliwe. Gdy się dobrze zastanowić, to człowiekiem, któremu Robin zawdzięczał najwięcej, był Francuz o nazwisku Sangdeboeuf, który w głębi czeczeńskiej jaskini uratował mu życie. Robin poczuł teraz dla niego coś w rodzaju czułości, a także życzliwej zazdrości. Tak, ten człowiek miał swoje przekonania, coś, w co wierzył. Jako wojskowy, na pewno wiedział, choćby mgliście, za co walczy — za Francję. Co za naiwność!

Był też ten Rosjanin, który najwyraźniej nienawidził Ameryki. A cóż takiego złego mu ona zrobiła, poza lekkim poturbowaniem Rosji? Jeśli to właśnie był powód, to znaczyło, że musiał on kochać swój kraj i w niego wierzyć. W takim razie i on zasługiwał na zazdrość. Co do kuli, którą o mały włos wpakowałby w ciało Robina, to Robin nie miał mu tego za złe. „Nie wiem, co bym zrobił na ich miejscu. Nigdy nie wiadomo, czy oszczędność środków leży po stronie życia, czy po stronie śmierci”.

Wciąż jechał.

Zabicie dr Kirstena byłoby nie fair. Samobójstwo nie stanowiło problemu — Robin miał w bankowej skrytce pistolet Smith&Wesson 357 Magnum, który załatwiłby sprawę. Sprawienie sobie psa wydawało się bardziej skomplikowane — trzeba by wybrać rasę, a potem takiego psa wyprowadzać...

Intrigue zażądała paliwa. Robin nie miał pojęcia, w której części Stanów się znajduje. Jego wewnętrzny GPS nie działał. Zatrzymał się na stacji benzynowej i stwierdził, że ziemia nasypu oświetlonego ostatnimi promieniami słońca jest czerwona, piękną czerwienią rudy żelaza, która przywiodła mu na myśl pejzaże dzieciństwa. Przypomniał sobie wyrażenie „czerwona glina Georgii”. Zanim zdecyduje się na psa lub samobójstwo, dobrze będzie pocierpieć we własnym kącie — nie byle jakim kącie, ale własnej norze, własnym legowisku, gdzie będzie mógł wylizać swoje rany lub zdechnąć. Spytał czarnego pracownika stacji, gdzie się znajduje. Czterdzieści mil od Savannah. Świetnie się składało — poza mieszkaniem w Atlancie, Robin nie miał innego miejsca na ziemi niż Chastow Plantation. Zadzwoił do Chestera i ruszył w drogę.

Słońce już zaszło i niebo przybrało kolor świetlistego granatu, kiedy Robin ujrzał dom, którego pierwsze piętro zdawało się unosić ponad czarnymi cieniami parku, niczym statek parowy płynący po falach morza nocy. Pan tego miejsca wysiadł z klimatyzowanego samochodu i otoczyła go gorąca wilgoć Georgii (wcześniej, tankując samochód, jakoś jej nie dostrzegł), oblepiając mu głowę, plecy, dłonie i uda, jak ciepła i mokra pościel.

Nadbiegł Wuj Chester. Uściski. Długie poklepywanie po plecach. Wielkie ręce, czarne z wierzchu, białe od spodu, chwytające rączki walizek.

Ach, tak się martwił o pana Robina!... Co za szczęście widzieć go z powrotem, choć bardzo się postarzał! Jakie to było wzruszające, oglądać go w telewizji! Tym razem zostanie dłużej, prawda? Tak będzie rozsądniej! W starej, dobrej Georgii nie ma paskudnych Czeczenów! Czy pan Robin chce swój *mint julep* teraz czy później? Na kolację jest, oczywiście, sum, którego Chester własnoręcznie złowił.

Pan Robin chciał przede wszystkim wziąć prysznic.

Poszedł do swojego pokoju. Kiedy kładł się tutaj ostatnim razem w łożu z baldachimem należącym do Dziadka, jego świat kręcił się jeszcze wokół Klubu. Teraz kręcił się wokół pustki.

Pustka. Pojęcie trudne do pojęcia. Poza wszystkim, założywszy, że Klub jest pozbawiony sensu, czy należy także założyć, że i świat jest go pozbawiony? Tak, bo Klub (który nie istnieje), odzierając się z wszystkiego, nieuchronnie wiedzie ku ostatecznej pustce — wielkiej czarnej dziurze.

Robin rozpakował walizkę, wyjął z niej kosmetyczkę i (wiedziony odruchem) komputer, który postawił na okrągłym stoliku z klonowego drewna.

Chester włączył stare klimatyzatory (po jednym na pokój), ale panująca na zewnątrz temperatura sprawiała, że na efekty ich pracy trzeba było długo czekać. Robin rozebrał się, bezładnie rzucając wilgotne od potu ubrania na podłogę. Potem je pozbiera. Poszedł do łazienki i długo lał wodę z prysznicza, nim zrobiła się tak zimna, jak chciał. Wszedł do starej wanny, ustawionej na lwich łapach z brązu, namydlił się, wyszorował i obficie zlał wodą, z cichą nadzieją, że w ten sposób spłucze z siebie całe nieszczęście, które na niego spadło. Wytarł się o tyle o ile, licząc na to, że parująca z niego woda przyniesie orzeźwienie.

Teraz musiał sobie odpowiedzieć na kilka praktycznych pytań. Czy oznajmi dr Kirstenowi (z którym nie ma kontaktu), że opuszcza Klub (który nie istnieje)? A może przeciwnie, spróbuje wyzyskać dla własnej korzyści niezwykłą potęgę, jaką Klub zapewnił sobie w służbie nicości?

Nie założył kapci i szedł boso po płytkach łazienki i parkiecie pokoju, zostawiając za sobą ślady, niczym Piętaszek na plaży Robinsona. Ach, gdyby tylko miał takiego Piętaszka! Nagle poczuł głód. Nic nie jadł od... sam już nie pamiętał, od kiedy. Wyobraził sobie kwaśny smak i chłód lodu *mint julep* na wargach. Chętnie zszedłby na kolację w szortach, ale nie mógł tego zrobić z szacunku dla Chestera. Otworzył jedną z komód i ze stosu poukładanych tam rzeczy wyciągnął koszulę z krótkim rękawem i lekkie spodnie. Skarpetki? Nie. Miał gdzieś parę płóciennych tenisówek, które włoży na gołe stopy. Szukając ich, przeszedł obok stolika z klonowego drewna i zobaczył, że nie zdając sobie

z tego sprawy, włączył komputer.

A komputer informował go, że ma wiadomość.

Zbieg okoliczności? A może ktoś obserwował go przez lornetkę i mail nadszedł, kiedy tylko w jego oknie zapaliło się światło? To śmieszne! Bardziej prawdopodobne, że Robin był obserwowany w Panama City Beach, a kiedy stamtąd wyjechał, ktoś wysłał tego maila.

Zapomniał o tenisówkach, *mint julepie* i sumie Chestera.

Zasiadł przed ekranem i wbił w niego oczy, nie wiedząc, kto okaże się nadawcą, czy list jest z bliska czy z daleka, z antypodów, czy może z równoległego świata. Był tak zmęczony, że w głowie zrodziła mu się dziwaczna myśl: A jeśli nadawcą jest duch Chastow Plantation, ten niewolnik, który podobno zmarł w łańcuchach, dla którego komputer i Internet byłyby formą magii? Skoro nic nie jest prawdą, wszystko staje się możliwe.

Ale nadawcą był po prostu Patriarcha Kirsten, który wyznaczył Patriarsze Chastowowi wirtualne spotkanie, „najchętniej z użyciem kamery, dzięki której Ty będziesz wiedział, że ja to naprawdę ja, a ja będę mógł zobaczyć Twoją minę!”.

O umówionej porze Robin siada przed ekranem, ustawia małą kamerę na stole z klonowego drewna, nakierowując ją na swoją własną twarz, uruchamia program Netmeeting, klika na ikonkę czata.

Pojawiają się dwa obrazy — po lewej, jego własny, z pobielającymi włosami; po prawej — gumowa twarz dr Kirstena z obwisłymi policzkami. Jakość połączenia jest kiepska i Robin ma chwilami wrażenie, że jego rozmówca odbija się w krzywych zwierciadłach muzeum Grevina — jedne go wydłużają, inne pogrubiają, jeszcze inne rozmazują. Mogli бы nawiązać połączenie głosowe, ale obaj zgodzili się, że lepiej będzie pisać, żeby dać sobie nawzajem czas do namysłu i żeby móc się przy tej refleksji obserwować.

Doktor Kirsten do Robina:

„Niezły numer, prawda?”.

Robin do dr Kirstena:

„Tak”.

Doktor Kirsten:

„Jestem ciekaw... Jaki teraz czujesz smak?”.

Robin:

„Smak popiołu”.

Doktor Kirsten:

„Ze mną było tak samo. To normalna reakcja, zważywszy okoliczności. Lubisz książki Rudyarda Kiplinga?”.

Robin:

„Trochę już trąci myszką, prawda?”.

Doktor Kirsten:

„Tak, wielka szkoda. Napisał piękne rzeczy (samo jego imię brzmi szlachetnie — jak pomruk tygrysa). Ale stworzył też, między innymi, ten marny wiersz...”.

Robin:

„If.

Doktor Kirsten:

„Tak, «Jeżeli zdołasz...
... Patrzeć na zgliszcza tego, czemuś oddał życie,
By ze spokojem w sercu wszystko odbudować...»...».

Robin:

„«A wtedy, synu, staniesz się mężczyzną»...».

Doktor Kirsten:

„Właśnie. Ale nasz Rudyard, choć stworzył Wielką Grę, nie przewidział, że może być gorzej — że można nie tyle oglądać zgliszcza dzieła swojego życia, ale dowiedzieć się, że to dzieło po prostu nigdy nie istniało. To znacznie gorsze, prawda?”.

Robin:

„Tak, to znacznie gorsze”.

Doktor Kirsten:

„Jak myślisz, dlaczego awansowaliśmy cię na Patriarchę?”.

Robin:

„Nie mam zielonego pojęcia”.

Doktor Kirsten:

„Ach, nie rozumiesz, że to komplement? Bo jesteś jednym z niewielu kandydatów, którzy (przynajmniej mamy taką nadzieję) są na tyle silni, że wytrzymają ten wstrząs i nie polecą podzielić się wrażeniami z «Washington Post», nie popełnią samobójstwa ani nie zrobią niczego podobnie głupiego”.

Robin:

„Przyznam, że o «Washington Post» jakoś nie pomyślałem”.

Doktor Kirsten:

„To chyba ten francuski myśliciel Ernest Renan powiedział: «Całkiem możliwe, że prawda jest ponura». To wymysł Francuzów. To, co nie istnieje, nie może być ponure. Zresztą to, co istnieje, też nie może”.

Robin:

„Czyli to znaczy, że naprawdę nic nie ma?”.

Doktor Kirsten:

„Nie ma całościowego obrazu świata, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Wszystko jest względne, nieistotne, przemijające i wie o tym tylko nas trzynastu. Trzynastu Patriarchów. Nie twierdzę, że nie ma na świecie innych nihilistów, ale w ich przypadku jest to intuicyjne. My zaś od blisko trzech wieków szukamy za pomocą niekonwencjonalnych narzędzi, a wynik zawsze jest ten sam: nic, nihil, nada, nichts, niczowo, zip”.

Robin:

„W tej chwili, być może dlatego, że wciąż jeszcze jestem pod wpływem szoku, nie obchodzi mnie filozoficzny aspekt zagadnienia. O ile dobrze zrozumiałem, Klub nie istnieje lub nasze pojęcie o nim było zupełnie groteskowe. Niemniej jednak, chciałbym parę rzeczy wyjaśnić”.

Doktor Kirsten (ze swymi wargami z gutaperki rozciągniętymi w szerokim uśmiechu):

„Słucham”.

Robin:

„Kto mnie mianował Patriarchą?”.

Doktor Kirsten:

„Pozostałych dwunastu”.

Robin:

„Kim oni są?”.

Doktor Kirsten:

„Poznasz ich nazwiska i spotkasz się z nimi. To dwunastu dzielnych parafian, bardziej nihilistycznych niż wszyscy

dziewiętnastowieczni Rosjanie razem wzięci, kompletnie pozabawionych złudzeń, których nie przeraża «wieczna cisza nieskończonych przestrzeni»,.

Robin:

„Dwunastu Mędrców? Trzynastu Mędrców, licząc ze mną?”

Doktor Kirsten (gulgotając ze śmiechu):

„Powinieneś raczej powiedzieć: Trzynastu Szaleńców. Trzynastu Rycerzy Nicości (uwielbiam francuskie słowo *néant* — nicość, doskonale się rymuje z *hi-han*) [Francuska onomatopeja naśladowująca ryk osła], Trzynastu Biesiadników na Uczcie Wygłodzonych, Trzynastu Fundatorów Judaszowej Eucharystii... Mam nadzieję, że zwróciłeś uwagę na użyte przeze mnie wielkie litery”.

Robin:

„Musicie mieć niezły ubaw, kiedy się spotykacie”.

Doktor Kirsten:

„Jak rzymscy wróżbici”.

Robin:

„A co właściwie robią Patriarchowie?”.

Doktor Kirsten:

„Robimy, co nam się podoba. Możemy robić, co chcemy, bo Bóg nie istnieje. Zauważył to już Dostojewski. Ty też będziesz mógł robić, co zechcesz”.

Robin:

„Żeby robić, co się chce, trzeba mieć na to środki”.

Doktor Kirsten:

„A, chcesz wiedzieć, skąd nadlatują pieczone gołąbki? Mamy wśród Patriarchów kilku ważnych bankierów, którzy, choć w nic nie wierzą, szczytą się jednak uczciwością. Dysponują funduszami, które należą do Klubu, a które oni pomnażają w sposób astronomiczny. Potem rozdzielają je pomiędzy sprawy, które im się podobają lub ich bawią. Bardzo

uważamy, żeby wśród nas nie znaleźli się «prawdziwie wierzący», bo ci byliby skłonni zdefraudować nasze przychody na rzecz swoich zbożnych dzieł — Opus Dei, masoneria, neonaziści, trockiści, syjoniści, a może i Hezbollah? Nie, my starannie dobieramy sobie facetów w twoim typie, którzy ze stopnia na stopień doprowadzani są w końcu do tego, żeby w nic już nie wierzyć. Tak jest pewniej. Nie przeraża nas trochę zepsucia, marzeń o potędze lub nawet lekko obsesyjnej antypatii. Ty, na przykład, masz lekkiego świra na punkcie walki z Rosją i to nam się nawet spodobało — wspieraliśmy cię w tym i nadal będziemy wspierać, bo we współczesnym świecie Rosja może stać się antynicością. Natomiast gdybyś był zagorzałym obrońcą esperanto lub prawa białych myszek do samostanowienia, mielibyśmy więcej wątpliwości, czy ci pozwolimy stać się Patriarchą — kompletnie pozbawionym złudzeń i całkowicie przekonanym do prawdy Koheleta: *vanitas vanitatum et omnia vanitas*”.

Robin:

„Podejmujecie decyzje większością głosów?”.

Doktor Kirsten:

„Ależ drogi chłopcze, nie ma u nas nic równie sakramencko głupiego i demokratycznego. My w zasadzie we wszystkim się zgadzamy, bo w nic nie wierzymy. Co więcej, uzależnieni jesteśmy od mody, politycznej poprawności, naszych preferencji kulinarnych, sympatii seksualnych i politycznych... Ewoluuujemy. Obawiam się, że w pewnym momencie wspieraliśmy nawet Ku-Klux-Klan. Dziś — przeciwnie — Akcją Afirmatywną. Co za różnica? Wszystko zostaje w rodzinie: «Słuchaj, Joe, jeden z naszych klubowiczów ma świetny plan, żeby napsuć krwi Rosjanom, będzie zabawnie, mógłbyś mu skapnąć milion?»,,.

Robin:

„Podejrzewam, że to jednak nie jest takie proste”.

Doktor Kirsten:

„Łatwizna”.

Robin:

„Odbywacie regularnie spotkania?”.

Doktor Kirsten:

„Najrzadziej, jak tylko się da. Jest przecież telefon, faks, maile. A jeśli naprawdę trzeba coś zachować w tajemnicy, nie zastąpi spotkania twarzą w twarz”.

Robin:

„Ale jaki właściwie macie cel?”.

Doktor Kirsten, śmiertelnie poważnie:

„Oddawać cześć naszej patronce: świętej Entropii”.

Robin, po chwili:

„Zechce pan wyjaśnić?”.

Doktor Kirsten:

„Nigdy nie słyszałeś o entropii?”.

Robin:

„Fizykę miałem dawno temu”.

Doktor Kirsten:

„Weź kule czerwone i niebieskie i włóż je osobno do tego samego pudełka. Potrząśnij. Pomieszają się. Potrząśnij znowu i znowu. Pomieszają się na różne sposoby. Nigdy już się nie podzielą na dwie grupy. To jedyna prawdziwa tajemnica świata”.

Robin:

„I czego to dowodzi?”.

Doktor Kirsten:

„Połóż jakieś bardzo gorące ciało obok ciała chłodniejszego — ciało gorące ogrzeje to drugie, które nie straci ani jednej kalorii”.

Robin:

„I czego to dowodzi?”.

Doktor Kirsten:

„Że świat dąży do stanu prawdopodobieństwa i maksymalnego bałaganu. Kosmos to jedynie wypadek przy pracy i wróci do stanu początkowego chaosu. To druga zasada

termodynamiki Sadi Carnota. Jesteśmy jedynymi, którzy umieli ją zastosować do historii i filozofii. Właśnie dlatego między sobą nigdy nie nazywamy się Patriarchami, ale Entropistami — to jest nasze prawdziwe tajemne imię”.

Robin:

„A co z «Człowiekiem totalnym» z drugiego stopnia?”.

Doktor Kirsten:

„Prawdopodobnie będzie on jeszcze bardziej odpychający niż wszyscy pojedynczy ludzie razem wzięci. Ale taki już los świętej Entropii, która krok po kroku prowadzi wszechświat do całkowitej jednorodności. To nie będzie zabawne, ale się stanie i wszystkie siły, które się temu przeciwstawiają, zwane siłami negentropicznymi, to siły reakcyjne. Ty nie czujesz powołania do bycia reakcjonistą, prawda? A mnie wydaje się dosyć przyjemne popychanie świata i historii ku otchłani. Zawsze należy grać po stronie nieuchronnego”.

Robin:

„*Summa summarum*, nie jestem pewien, czy mam w sobie wystarczająco dużo siły”.

Doktor Kirsten:

„Ależ tak, na pewno. Wiem, w jakim jesteś stanie — w stanie spełnienia. I z pewnością pamiętasz definicję spełnienia autorstwa niezrównanego Ambrose'a Bierce'a? ((Spełnienie to śmierć wysiłku i narodziny niesmaku». Przyznaj, że to właśnie czujesz”.

Robin:

„A co to oznacza w praktyce?”.

Doktor Kirsten:

„W praktyce to będzie tak, jak zechcesz. Na twoim miejscu na jakiś czas odłożyłbym operację ((Śmiertelna rana» *ad acta*, ale w taki sposób, żeby w każdej chwili móc ją wznowić jako operację dezinformacji. Jestem pewien, że narobiłeś niezłego bigosu z tą ich pamięcią serwera i nawet za jakiś czas

będzie można jeszcze jej użyć. A na razie... Przeczytałem twój raport i wygląda na to, że w jakimś sensie pozwoliłeś się zwerbować temu tandemowi Sangdeboeuf-Gołubiński, czyż nie?”.

Robin:

„Oni sądzą, że mnie zwerbowali”.

Doktor Kirsten:

„To świetnie, bo dzięki temu masz pretekst, żeby zachować z nimi kontakt. I nawet się nie spostrzegą, jak ty zwerbujesz ich. Na twoim miejscu nawiązałbym bliskie stosunki z Bojarami. Powinieneś im wmówić, że ujęła cię ich etyka. Koniec końców, bardzo pociągała cię etyka Szahida. Postaraj się być nieco eklektyczny!”.

Robin:

„A czemu miałyby to służyć?”.

Doktor Kirsten:

„Nie domyślasz się? Można by utworzyć rosyjską filię Klubu. Kiedyś już o tym myśleliśmy, pamiętasz? To byłby wspaniały psikus w prezencie dla świętej Rosji, nie sądzisz? A tobie może się to udać, bo masz dostęp do rekrutów na bardzo wysokim poziomie. Nie chciałbyś zostać Patriarchą odpowiedzialnym za sprawy rosyjskie? Masz przecież taki sentyment do tego narodu!”.

Robin:

„Chcecie w nieskończoność rozwijać Klub, który nie służy niczemu i nigdy niczemu nie służył?”.

Doktor Kirsten:

„Czy nigdy, to nie wiadomo. Jak znam Niemców, to gdzieś tam na początku musiało być trochę idealizmu. Ale my, Amerykanie, w to nie wierzymy. Jeśli niebo jest puste, puste jest wszystko. A niebo na pewno jest puste. Ale trzeba działać, bo jak powiedział Pascal, człowiek nie jest w stanie pozostać bez ruchu. Mam wrażenie, że nie do końca chwytasz wielkość naszego marzenia. Cała energia, którą zużywamy, żeby przyspieszyć to ogromne i nieuchronne zniszczenie, jakim jest

entropia, to nasze nieustanne i dobrowolne dążenie ku przeznaczeniu... Nie sądzisz, że to wspaniałe?”. (Obraz na ekranie coraz bardziej się zamazuje; można by pomyśleć, że dr Kirsten nadaje z Erebu).

Robin:

„Nie bardzo rozumiem. Niektórzy wierzą w teorię spisku, ale te spiski — dobre czy złe — zawsze mają jakiś cel: odbudowę Świątyni Jerozolimskiej, wskrzeszenie imperium syjonistycznego, wyzwolenie uciśnionych, tryumf rasy aryjskiej lub *ad maiorem Dei gloriam*. Po co zawiązywać spisek, który prowadzi donikąd? To wbrew naturze”.

Doktor Kirsten:

„Mój drogi Entropisto, opowiem ci pewną historię. Zaczepnąłem ją od Józefa Flawiusza i trochę zaadaptowałem.

Przez całe życie wielki Pompejusz marzył o Świątyni Salomona. Wiesz, że religie Wschodu zaczynały być wtedy modne, więc usłyszał o tej wyjątkowej budowli, wzniesionej tysiąc lat wcześniej, zburzonej pięćset lat później, odbudowanej i powiększonej całkiem niedawno, która podobno kryła w sobie Boską obecność. Oczywiście, Pompejusz z założenia wierzył wyłącznie w Jowisza i spółkę, ale znał historię Arki, do której nikt nie mógł się zbliżyć, bo padał rażony gromem. Słyszał o kamiennych tablicach z prawem wyrzycim na nich przez samego Boga na szczycie góry Synaj. Wiedział, że Aaron i Mojżesz robili jakieś magiczne sztuczki ze swoimi laskami. Wiedział też, że Święte Świętych, które znajdowało się w Świątyni, było miejscem tak świętym, że wejść tam mógł tylko wielki kapłan i to wyłącznie raz do roku. Wyobraźnia Pompejusza wystawiona była na ciężką próbę — co ten wielki kapłan widział w Świętym Świętych, kiedy tam wchodził? (Twarz dr Kirstena zmienia się na ekranie, niczym Belzebub — z jego włosów wyrastają węgorze i żmije, a z jego ust wystaje to trąba słońca, to znów lepki język mrówkojada).

Znasz historię. Wojna domowa w Palestynie. Rzymianie jak zwykle na tym korzystają. W końcu Arystobulos wycofuje się do Świątyni, która była wtedy prawdziwą twierdzą, i korzystając z urwiska, na którym leżała, broni się zaciekle przed armią rzymską i jej wojennymi machinami. Ma tylko jeden słaby punkt — nie wolno mu prowadzić wojny w szabat. Po trzech miesiącach oblężenia Rzymianie biorą Świątynię szturmem. Następują zbiorowe samobójstwa obrońców, masyakra kapłanów w trakcie odprawiania nabożeństw, eksterminacja dwunastu tysięcy Żydów. A Pompejusz nareszcie może zaspokoić ciekawość.

Przecina Dziedziniec Pogan, Dziedziniec Kobiet, Dziedziniec Mężczyzn, Dziedziniec Kapłanów. Wokół niego — nic, tylko złoto, srebro, drogocenne drewno, kość słoniowa, drogie materie. Gwałci nietykalność sanktuarium. Dociera do Świętego Świętych. Tu, lubię sobie wyobrażać, że zatrzymał się i zrobił krok w tył, ogarnięty pragnieniem smakowania triumfu lub jakimś mistycznym lękiem, do którego sam się przed sobą nie przyznawał. W końcu, unosi zasłonę. I co znajduje w tym miejscu najświętszym ze wszystkich?

Nic.

To znaczy, trochę liturgicznego badziewia — parę złotych waz i świeczników. Ale ten Bóg, jedyny i zazdrosny, który sprawił, że tak wiele o Nim mówiono, nie stawiał się na spotkanie.

Podejrzewam, że Pompejusz był po trosze rozczarowany, a po trosze zadowolony. Nie sądzisz?”.

Robin:

„Doktorze Kirsten, zawsze chciałem zadać ci trochę niedelikatne pytanie”.

Doktor Kirsten:

„Śmiało”.

Robin (obserwując własną twarz, której rysy na ekranie wydają się zupełnie bez wyrazu, choć w wytrzeszczonych pod białym kosmykiem oczach czai się szaleństwo):

„Skoro już nadarza się okazja... Zawsze się zastanawiałem, jak wszyscy zresztą, czy jest pan, a może pani, kobietą czy mężczyzną. Czy mógłby mi pan (pani) zrobić mały strip-tease, żebym się wreszcie upewnił?”.

Odpowiedź nie nadchodziła, a tymczasem, na skutek burzy nastąpiła awaria elektryczności. Najpierw zgasły lampy, potem, z żalosnym jękiem i warkotem, klimatyzatory, w końcu ekran komputera, gdyż jego baterie nie zostały wcześniej podładowane.

Była już noc i przez jej ciemności Robin usłyszał dźwięk przypominający szelest gazet — to deszcz uderzał o dach, o dęby opatulone zakurzonym mchem luizjańskim, o spragnioną wody ziemię. Podeszedł do uchylonego okna i uniósł je. Do pokoju wdarła się łagodna i płodna woń zgnilizny, którą wciągnął pełną piersią.

Usłyszał kroki. Ciemność rozproszyło pasemko światła. Ktoś zastukał. Drzwi otworzyły się. Na progu stał Chester z lampą naftową w rękę. Wcześniej wchodził już na górę kilkakrotnie, zaglądał przez dziurkę od klucza i widział, że pan Robin był zajęty. Teraz jednak może pan Robin zechce zejść na dół, wypić kieliszek i zjeść kolację. Samą awarią nie należało się przejmować — w lecie zdarzało się to często w czasie burzy.

Zeszli po schodach i przeszli przez dom, przyświecając sobie lampą naftową, która odbijała się w lustrach i gładkich płaszczyznach drewna, podczas gdy oni sami wyglądali jak dwa nieuchwytnie cienie. Biała twarz Robina odbijała niekiedy świetlne refleksy, ale twarz Chestera nie — można by pomyśleć, że lampa naftowa przesuwa się sama lub jest niesiona przez ducha.

Taras zewnętrzny nie był oświetlony, ale przecież nie trzeba nic widzieć, żeby pić *mint julep*. Robin opadł na bujany fotel. Z nieba płynęły potoki deszczu. Stojący za Robinem Chester stwierdził, że leje jak z cebra.

Kaskady wody tworzyły zasłonę, która wydawała się zawieszona na frontonie domu, a ich szum nie przypominał już szelestu gazet, ale przenikliwy dźwięk ich rozdierania lub — jak stwierdził Chester — hałas grzechotek tysiąca grzechotników.

Chester chodził w tę i z powrotem ze swoją lampą, a Robin czuł za sobą tę jego dobroczynną, niemal macierzyńską lub anielską obecność. Poprosił o drugi *mint julep*, mniej ze względu na smak alkoholu, a bardziej po to, żeby po raz kolejny obserwować, z jaką godnością Chester go przygotowuje i przyniesie.

W końcu trzeba jednak było udać się na kolację, więc Robin zasiadł za mahoniowym stołem, przy którym zmieściłyby się dwadzieścia cztery osoby, on zaś siedział tu sam, w ciemności, przed serwetką z angielskim haftem i trochę kopnącą lampą naftową, wokół której krążyły ćmy. Powyżej, pośród nocy unosiła się pomarszczona twarz Chestera, która także wyglądała jak wyrzeźbiona w mahoniu, z oczami o żółtawych białkach i zębami, które czas zabarwił na szaro, poza tym jednym, złotym, który wesoło błyszczał w wydatnych ustach. Robin pomyślał, że nadejście „Człowieka totalnego” oznaczało zniknięcie Chestera i zrobiło mu się żal.

W Chesterze zaszła jednak pewna zmiana. Kiedyś był on wciele niem dyskrecji, odkąd jednak zobaczył pana Robina w telewizji, nie widział powodów, dla których miałby się powstrzymać od zadawania pytań. Chciał wiedzieć, czy Czeczenia jest płaska czy górzysta, czy jest tam ciepło, czy zimno, czy są tam biali i czarni, republikanie i demokraci, sumy, dziki, daniele, przepiórki, węże zwane mokasynami, czy można tam głosować na kogo się chce, czy kobiety są poważne czy frywolne, czy Czeczeni wierzą w Jezusa, o czym głoszą kazania ich pastory i czy są lepszymi kaznodziejami od baptystów... Robin odpowiadał, jak umiał, pełen podziwu dla takiej ciekawości.

Teraz on z kolei zaczął Chestera wypytywać o jego nieliczne podróże. Z pewnością nie był nigdzie za granicą, ale może w Nowym Jorku? Chester skrzywił się. Tak, spotkał kiedyś nowojorczyków, białych i czarnych, ale nic nie rozumiał z tego ich żargonu. Zachód? Nie, nigdy nie był na zachodzie, bo i po co? Z Savannah bardzo dobrze widać morze. Za to dzieci Chestera podróżowały. Jeden z jego synów służył nawet w *marines* i strzegł amerykańskich ambasad w jakichś egzotycznych krajach, może w Japonii, chyba że to była Belgia, no, jeden z tych krajów, które ogląda się w telewizji. Po nitce do kłębka, Robin zrozumiał, że Chester nigdy nie opuścił Georgii. I nie była to kwestia nieufności lub wrogiego nastawienia, ale tego, że w Georgii pod dostatkiem było *okry* i *squasha* [Warzywa popularne na Południu Stanów] i można tu było chwalić Pana Boga wedle swego uznania, po co więc wyjeżdżać? Na całym świecie pełno jest braci, których można kochać, ale skoro w Georgii też jest ich pod dostatkiem, w dodatku takich, którzy modlą się do Jezusa tak samo jak Chester, to w jakim celu Chester miałby jechać szukać ich w Alabamie lub w Chinach? Czy był choć raz w Atlancie, stolicy Georgii? Tak, był. Podobało mu się? Nie. Dlaczego? Z wielu powodów. Jakich? W końcu wymienił je, choć niechętnie, bo bardzo nie lubił mówić źle o bliźnich.

Po pierwsze, jest tam za dużo domów i są za wysokie. Po drugie, za dużo tam samochodów, które jeżdżą za szybko. Jest też za dużo ludzi, którzy biegają we wszystkie strony, jakby dokądś im się spieszyło. Butelki po piwie i winie brzoskwinowym walają się w rynsztoku. Panuje ogłuszający hałas. Młodzi ludzie nie są uprzejmi. Wszyscy mówią niezrozumiałym językiem. Bezwstydne kobiety paradują w krótkich spódniczkach, nawet te czarne. Nie ma dostępu do rzeki, w której można by opłukać twarz lub spokojnie zarzucić wędkę. A jeśli by się chciało kupić narkotyki, to są wszędzie, ale Wuj Chester nie należy do tych, co się szprycują.

Robin patrzył na tego potomka niewolników, który wprawdzie sam nie był niewolnikiem, ale zakotwiczył się w świecie raczej na miarę szopa pracza niż człowieka, i który choć należał do wymierającego gatunku, najwyraźniej uważał się za szczęśliwego. W tej chwili był szczęśliwy, że rozmawia z panem Robinem na temat, który mu leży na sercu. Ach, nie. Chesterowi nie podobało się w Atlancie. Nie, nie wydaje mu się, żeby mógł żyć w tak hałaśliwym miejscu. Nie, nie zmartwi się, jeśli nigdy tam już nie wróci.

Nagle jego usta rozciągnęły się w czułym, jakby skruszonym, niemal miłosnym uśmiechu. Potrząsnął głową.

— Ale... przecież to także Georgia.

*

Po kolacji Chester wsiadł do swojego różowego gruchota ze skrzydełkami, żeby wrócić do siebie, a Robin został sam na tarasie Chastow Plantation. Przestało padać. Ziemia głęboko oddychała przesyconym wodą powietrzem. Żaby nadrzewne znowu zaczęły swój koncert. Między przepływającymi obłokami pojawiły się gwiazdy, błyszczące na czubkach drzew. Nagle zrobiło się tak przyjemnie, że Robin nie mógł się oprzeć pokusie włożenia swojej haftowanej złotem *aaby*, żeby ponownie zasiąść w bujanym fotelu na świeżym powietrzu. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, poczuł, jak narasta w nim uczucie, które nie ma nic wspólnego z niedawną beznadzieją. Całe jego jestestwo doznało nagłego wstrząsu, przypominającego (niech Bóg wybaczy) radość życia, jakiej nigdy jeszcze nie zaznał.

Próbował znaleźć jakieś wyjaśnienie i początkowo usiłował przypisać to wyłącznie wpływowi burzy, ale tak naprawdę chodziło o coś zupełnie innego. Kilka godzin wcześniej sądził, że nastąpił koniec świata. Teraz widział, że dotarł do początku zupełnie nowego, nieskończenie bardziej interesującego świata. Chciał wytłumaczyć sobie tę odmianę w

kategoriach filozoficznych: „nic” nie może istnieć, zatem nie można się zadrećzać zniknięciem „niczego”. Dowiedziawszy się o nieistnieniu Klubu, czego tak naprawdę się dowiedział? Dowiedział się o nieistnieniu „niczego”. A to ci dopiero nowina! „Nic” nie istnieje. W porządku, nie ma sprawy, ale jakie to ma znaczenie? Śmiać mu się chciało na myśl, że ponad dwadzieścia lat wodzony był za nos w imieniu „niczego”. Fakt, że w służbie „niczego” ryzykował życie, wydawał mu się dobrym dowcipem. Ależ był głupcem! Jak mógł wcześniej nie zauważyć, że kolejne stopnie wtajemniczenia Klubu nieuchronnie prowadziły do „niczego”, bo nie mogły prowadzić do niczego innego niż właśnie „nic”? I jak owo „nic” mogło wydawać się czymś?

Czuł się wolny. Zszedł po trzech drewnianych schodkach podestu; kropelka wody spadła mu na kark. Wybuchnął śmiechem.

W jego umyśle wezbrał przypływ nieokreślonych scen i obrazów. Z pewną czułością myślał o Chesterze, Dawidzie Melanie, Sangdeboeufie. Wzruszył się na wspomnienie, że malutka córeczka Konstancji nosi imię Georgia — imię tej Georgii, do której tak przywiązany jest Chester. Gładził surowy jedwab swego szlafroka i myślał z wdzięcznością o Męczenniku. Czy był to skutek śmieci, o którą otarł się tak blisko, czy może rozpaczy, w której pogrążył się w Panama City Beach? Nie wiedział i było mu to obojętne. I nagle odkrył nowy powód do zachwyty — tę skazę w swoim pochodzeniu, przez którą niegdyś tak bardzo cierpiał.

— Nie jestem prawdziwym *waspem*.

Wiedział, że niezależnie od tego, co myśli dr Kirsten, nie mógłby być takim samym Patriarchą jak pozostałych dwunastu, wykorzystującym Klub dla swoich potrzeb i zabawy, w porywach nihilistycznego cynizmu. Entropia, entropia...

Nie wiedzieć czemu powiedział na głos w swobodnej francuszczyźnie, której nigdy nie używał:

— *L'entropie, c'est pas mon truc*. Entropia to nie moja bajka. Powtórzył to z amerykańskim akcentem:

— *L'entropi se pa mą tłuK.*

A potem z akcentem rosyjskim:

— *L'antrropi se pa mon triuk.*

I roześmiał się sam do siebie, samotny pod rozgwieżdżonym niebem i korynckim portykiem domu.

Teraz widział wyraźnie (zdał sobie sprawę, że już przed chwilą o tym myślał) „potęgę”, na czele której miał się znajdować. Co za sens, żeby tracić energię na niszczenie energii? I jeszcze przechwalać się, że się przyspiesza bieg historii? Co za fałszywa elegancja! W rzeczywistości, teraz, *a posteriori*, mógł powiedzieć, że był wrogim agentem, któremu udało się dostać do Klubu, przeniknąć do niego i który mógł go wykorzystywać wedle własnego uznania. To nie była nawet kwestia zemsty, choć z pewnością poczułby satysfakcję, mogąc odplacić Klubowi tą samą monetą; chodziło raczej o to, żeby nie stracić okazji. Doktor Kirsten (nawiasem mówiąc, wielka szkoda, że propozycja striptease'u pozostała bez reakcji — byłaby niezła zabawa) sugerował, że Klub mógłby manipulować Bojarami, ale czy nie byłoby zabawnie skorzystać z tej propozycji w drugą stronę? Byłby to subtelny i bardzo przyjemny pojedynek ze zniechęconym Gołubińskim. Robin pomyślał o swojej operacji „Śmiertelna rana”, która polegała na opanowaniu serwera Bojarów, żeby tańczyli, jak on im zagra, ale przecież Klub sam przypominał gigantyczny serwer, którego on znał wszystkie łącza, programy i hasła. Ta metafora informatyczna bardzo go ujęła.

— Będę koniem trojańskim w serwerze Klubu.

W służbie kogo, czego? To jeszcze należało określić. Na poziomie wtajemniczenia, który osiągnął, Robin nie musiał już wierzyć w żadną sprawę. Jeśli jednak takowa by się pojawiła, nie wykluczał, że mógłby ją uznać za swoją. Klub prowadził go od wyzwolenia do wyzwolenia. Nie było powodu, żeby się zatrzymywać.

Był ostatecznie wyzwolony. Nie potrzebował już żadnego wyzwolenia.

SPIS TREŚCI

| | |
|----------------------------------------------------------------|-----|
| I. Pomysł intrygi. Wrzesień-grudzień 2001 | 7 |
| II. Pułkownik idzie na emeryturę. Styczeń 2002..... | 99 |
| III.Lata podróży i nauki młodego Robina Chastowa. 1960-2000. . | 143 |
| IV.W Czeczenii. Wiosna 2002..... | 223 |
| V. Męczennik i Bojarzy. Wiosna 2002..... | 291 |
| VI.Atak. Wiosna 2002..... | 353 |
| VII. Czarna dziura. Czerwiec 2002..... | 417 |